

ARCYDZIEŁA

najlepsze opowiadania science fiction stulecia

Isaac

ASIMOV

Arthur C.

CLARKE

William

GIBSON

Lisa

GOLDSTEIN

Ray

BRADBURY

Brian W.

ALDISS

Larry

NIVEN

Paul

ANDERSON

Terry

BISSON

George Alec

EFFINGER

Michael

SWANWICK

i inni

pod redakcją

Orsona Scotta CARDA

Prószyński i S-ka

ARCYDZIEŁA

najlepsze opowiadania science fiction stulecia

Isaac

ASIMOV

Arthur C.

CLARKE

William

GIBSON

Lisa

GOLDSTEIN

Ray

BRADBURY

Brian W.

ALDISS

Laury

NIVEN

Poul

ANDERSON

Terry

BISSON

George Alec

EFFINGER

Michael

SWANWICK

i inni

pod redakcją

Orsona Scotta CARDA

Prószyński i S-ka

2006

Spis treści

Karta tytułowa
Karta redakcyjna
WSTĘP

ZŁOTY WIEK

Poul Anderson
Robert A. Heinlein
Lloyd Biggle jr
Theodore Sturgeon
Isaac Asimov
Edmond Hamilton
Arthur C. Clarke
James Blish
Ray Bradbury

NOWA FALA

Harlan Ellison
R. A. Lafferty
Robert Silverberg
Frederik Pohl
Brian W. Aldiss
Ursula K. Le Guin

Larry Niven

I
II
III
IV
V

POKOLENIE MEDIÓW

George R. R. Martin
Harry Turtledove
William Gibson & Michael Swanwick
Karen Joy Fowler
C. J. Cherryh

John Crowley
James Patrick Kelly
Terry Bisson
John Kessel
Lisa Goldstein
George Alec Effinger

Prószyński i S-ka
Tytuł oryginału MASTERPIECES
THE BEST SCIENCE FICTION
OF THE TWENTIETH CENTURY

Copyright © 2001 by Orson Scott Card
and Tekno Books

„Wstęp” © 2001 by Orson Scott Card

Projekt okładki Marek Ciesielczyk
Redakcja Urszula Przasnek
Redakcja techniczna Małgorzata Kozub
Korekta Bronisława Dziedzic-Wesołowska
Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7469-176-5

Wydawca

Prószyński i S-ka SA 02-651

Warszawa, ul. Garażowa 7

www.proszynski.pl

Druk i oprawa Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej
SA 03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

WSTĘP

Wybór najlepszych opowiadań science fiction stulecia równa się wyborowi najlepszych opowiadań science fiction tysiąclecia. Albo nawet wszech czasów, bo historia science fiction tak naprawdę zaczyna się grubo po roku 1900, w chwili gdy Hugo Gernsback zaczął wydawać pierwsze pismo poświęcone „fikcji naukowej”, określonej jako „naukowe romanse wzorowane na dziełach H. G. Wellsa”.

H. G. Wells czy Juliusz Verne - i cała gromada autorów powieści przygodowych - pisali teksty, które z dzisiejszej perspektywy przynależą oczywiście do tradycji science fiction. Jednak oni sami nie uważali, że tworzą nowy rodzaj literacki. Pisząc opowieści o obcych gatunkach, nowych wynalazkach i zdumiewających reliktach z przeszłości, nie sądzili, że ustanawiają odrębną społeczność literacką.

Jednak publikacja „Amazing Stories” Gernsbacka zmieniła sytuację. Pojawiły się granice - na jakiś czas staną się one murami getta, co wszakże tylko przysłuży się gatunkowi - w których mieściły się wyłącznie historie pewnego rodzaju; w ten sposób dokonano się określenie, czym jest, a czym nie jest fantastyka naukowa. Poza tym w piśmie znajdował się dział listów od czytelników.

To właśnie oni stworzyli nową społeczność literacką. Entuzjaści nowego gatunku pisali do Gernsbacka i uważnie czytali listy innych. Potem pisali bezpośrednio do siebie, a po jakimś czasie zaczęli się spotykać i rozmawiać, pisać własne opowiadania i udostępniać je innym. Zaczęli spotykać się w klubach, a potem na konwentach gromadzących czytelników z odległych regionów - dziś konwenty

World Science Fiction ściągają uczestników posługujących się najróżniejszymi językami (choć *lingua franca* - lub, jeśli wolicie, żargonem tego gatunku pozostaje angielski).

Kiedy czytelnicy stali się fanami, uczestnikami nieustającej publicznej wymiany zdań społeczności SF, a fani - pisarzami, zaczęli nadawać zupełnie nowe znaczenie terminom literackim, których uczono na amerykańskich uniwersytetach, gdzie powstawały i upadały kolejne teorie krytyczne, mające tylko jeden cel - udowodnienie, że modernizm to Wielka Sztuka. Oczywiście akademicy, propagujący Woolf, Lawrence'a, Joyce'a, Eliota, Pounda, Faulknera, Hemingwaya i ich literackich krewnych i znajomych, w ogóle nie dostrzegali tego, co się działo za murami getta science fiction. A kiedy wreszcie musieli to zauważyć - bo ich studenci nieustannie mówili o książkach w rodzaju „Diuny” czy „Obcego w obcym kraju” - odkryli, że te książki i pisemka w jarmarcznych okładkach całkowicie lekceważą ustalone przez nich Zasady Wielkiej Literatury. Oczywiście zamiast zrewidować nieadekwatne zasady, uznali po prostu - cóż łatwiejszego? - że literatura science fiction musi być zła.

Znacie to powiedzenie: dla człowieka z młotkiem wszystko wygląda jak gwóźdź. Sprawdza się czasami. W wypadku maszyny literatury klasycznej, którą nazywam czule „li-fi”, lepiej brzmi wariant: dla człowieka, który ma tylko młotek, śruba to wybrakowany gwóźdź.

Tak więc co parę lat na łamach „Atlantic Monthly”, „Harper's Magazine” albo „The New Yorkera” pojawia się elaborat szczegółowo dowodzący, dlaczego SF jest Złą Twórczością. Czegóż się zresztą spodziewać po starej arystokracji, jeśli nie obrony wież z kości słoniowej przed atakiem zbuntowanego motłochu?

W połowie lat czterdziestych zeszłego wieku literatura science

fiction stanowiła najbardziej twórczy, innowacyjny i płodny ze wszystkich kierunek literacki. Rozrastała się i zmieniała, nieustannie dokonywała nowych odkryć i lekką ręką przejmowała wszystko, co mogło się jej przydać z innych kierunków literackich i dyscyplin - nie tylko nauk ścisłych, nie tylko literatury. Rewolucja za rewolucją, pokolenie za pokoleniem w obrębie SF postępowało zróżnicowanie; wrzenie było tu większe niż gdziekolwiek.

Ja sam zjawiłem się na tym przyjęciu stosunkowo późno. W roku moich urodzin (1951), fundamenty już okrzepły. John W. Campbell dał science fiction mocniejsze naukowe podstawy (choć tradycja opowiadań typu „zabili go i uciekł” bynajmniej nie zanikła), a Robert Heinlein nauczył nas, w jaki sposób stopniowo przedstawiać bohaterów - (to kluczowa umiejętność, którą każdy czytelnik i pisarz SF musi opanować, by brać udział w rozmowie). Heinlein, Asimov i Clarke stanowili już wtedy trójkę wybitnych pisarzy w swojej dziedzinie, Bradbury zaś, Anderson i Blish wkrótce mieli do nich dołączyć. Dorastałem, gdy science fiction była już stałym składnikiem powietrza, którym oddychałem.

I tak jest nadal - bo literaturę science fiction na ogół czyta się z zamiłowaniem (choć paru pisarzy znalazło się na szkolnych listach lektur obowiązkowych), a stare teksty wznawia się nie dlatego, że jakiś autorytet mianował je oficjalnie Wielkimi, ale dlatego że ludzie je czytają i radzą znajomym, żeby kupili „Fundację” Asimova, „Diunę” Herberta czy „Lewą rękę ciemności” Le Guin. Nadal przekazujemy sobie te książki z ręki do ręki. Nadal to czytelnik napędza rozwój tej literatury, w rezultacie czego jej kanon jest nieustannie dostępny.

Ale nie zamierzałem przedstawiać w tej książce historii science fiction. To nie jest cegła do przestudiowania. To skarbiec. Kolekcja klejnotów.

Nie jest to jednak skarbiec bez dna. Mamy swoje ograniczenia: wydawca wyznaje nedorzeczny pogląd, że nie zapłacilibyście siedemdziesięciu dolarów za książkę liczącą trzy tysiące stron. Nie możemy zamieścić wszystkich opowiadań, które powinny się tu znaleźć; nie możemy uwzględnić każdego pisarza, którego twórczość powinna być tu reprezentowana. A istnieją pisarze - Ray Bradbury, Harlan Ellison, George Alec Effinger, R. A. Lafferty - którzy wyspecjalizowali się w opowiadaniach. Jedno tylko Bradbury'ego, jedno Ellisona w zbiorze najlepszych opowiadań w historii science fiction?!

A co zrobić z Johnem Varleyem, którego najdoskonalsze „krótkie” teksty są tak długie, że gdyby zamieścić tu takie „Naciśnij enter” czy „Uporczywość widzenia”, trzeba by wyrzucić pięć innych? W tej sytuacji musiałem zrezygnować z moich najbardziej ukochanych pisarzy i opowiadań - „Flight” Petera Dickinsona na przykład, „Vestibular Man” Felixa Gottschalka czy moderańskie opowiadania Davida Buncha... Lista autorów, których tu nie uwzględniono, jest przerażająco długa: Bruce Sterling, Connie Willis, Nancy Kress, Lucius Shepherd, Lois McMaster Bujold, Norman Spinrad, Clifford Simak, Vonda McIntyre, Octavia Butler, Dave Wolverton, by wymienić tylko tę garstkę.

Ale właśnie za to dostaję taką kasę - potrafię dokonywać trudnych wyborów. Rwąc włosy z głowy, dręcząc się po nocach - decyduję.

Oto mój wybór.

Są to opowiadania, które pokochałem od pierwszego czytania, a czytając je po raz kolejny i kolejny, coraz bardziej utwierdzałem się w miłości i podziwie. To opowiadania, które według mnie przemówią do rzeszy czytelników, nie do grupki wybrańców. Ich twórcy nie tylko odcisnęli swój ślad, wywarli wpływ na innych pisarzy, ale i zmienili życie swoich czytelników. Zrezygnowałem z tekstów, które

miały podobne oddziaływanie jak opowiadania już zamieszczone w zbiorze - oczywiście dokonałem tego wyboru całkowicie subiektywnie.

Przede wszystkim są to opowiadania, których nie potrafię zapomnieć.

Podzieliłem je na trzy grupy, jako kryterium przyjmując okres powstania. Złoty Wiek - od samego początku do lat sześćdziesiątych XX wieku - obejmuje pisarzy i opowiadania, które stworzyły science fiction w znanej nam postaci. Zdaję sobie sprawę, że „Sny robota” to jedno z późniejszych opowiadań Asimova, mimo to przez całą swoją drogę twórczą pozostał on przedstawicielem okresu Złotego Wieku, być może najlepszym. Jednocześnie można zaryzykować przypisanie Sturgeona i Blisha do okresu po Złotym Wieku, Hamiltona zaś i Biggle’a uznać za relikty czasów wcześniejszych.

Proszę o łagodny wymiar kary. Bez względu na to, jak nazwiemy ten okres, są to pisarze, którzy przygotowali grunt i zasiali ziarno.

Czasy Nowej Fali - od połowy lat sześćdziesiątych do połowy siedemdziesiątych - ukształtowali pisarze, którzy wprowadzili do literatury oszałamiający styl i ferwor, czasami nawet furję, co, jak się okazało, otworzyło drogę do wielu nowych sposobów opowiadania. Jednocześnie pojawili się pisarze tacy, jak Larry Niven, Ursula K. Le Guin, Frederik Pohl i Brian Aldiss, którzy nadal rozwijali starszą odmianę SF: prosta opowieść, jedna idea stanowiąca oś akcji, moralny dylemat, konflikt charakterów - doskonalić ją.

Jeśli pisarze Nowej Fali są dziećmi Złotego Wieku - takimi, które zbuntowały się przeciwko rodzicom lub przejęły rodzinny interes - to lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte należą do wnuków Złotego Wieku: pisarzy, którzy wychowali się na „Strefie mroku”, „Po tamtej stronie” i „Star Treku”, a także „Nazywam się Joe”, „Wszyscy wy zmartwychwstali” i „Kajaj się, Arlekinie, powiedział Tiktak”.

Pokolenie Mediów odkryło, że potrafi stworzyć dowolną opowieść, a choć niektóre nurty wykształciły odmienną tożsamość - cyberpunk, humaniści - na ogół my, którzy zaczęliśmy tworzyć w tych czasach, przekonaaliśmy się, że możemy robić, co się nam podoba i jeśli tylko nasze teksty mniej więcej mieszczą się w granicach gatunku - coraz obszerniejszych - zawsze znajdą się czytelnicy gotowi nas wysłuchać i przeżyć historie, które mamy im do zaoferowania.

Przechodząc z jednego okresu w następny, widzę, jak przez te lata zmieniła się literatura science fiction - nie odcinając się od swoich korzeni, nie zapominając niczego z tego, czego nauczyliśmy się jako społeczność.

Możliwe nawet, że dotarliśmy do Wieku Science Fiction i już go przeżyliśmy. Możliwe, że czas na następną rewolucję w literaturze i następną grupę opowiadaczy.

Możliwe także, że pora już unieważnić granice gatunku. Mówiąc „literatura”, mieć na myśli także science fiction - bez dodatkowych uzasadnień.

Ale nie obchodzi mnie to, prawdę mówiąc. Niech się o to spierają krytycy i badacze. Dla mnie ważne jest jedno: te opowiadania nadal nas zmieniają. Tworzą społeczność ludzi o wspólnych wspomnieniach. A opowiadania, które znalazły się w tym zbiorze, należą do najlepszych dzieł naszych czasów.

ZŁOTY WIEK

Poul Anderson

NAZYWAM SIĘ JOE

Spod pióra Poula Andersona (1926-2001), wielokrotnego laureata nagród Hugo i Nebula, od debiutu w dziedzinie SF w 1947r. wyszło ponad pięćdziesiąt powieści i setki opowiadań. Jego pierwsza powieść „Brain Wave” (1954) jest klasycznym przykładem techniki literackiej tradycyjnej fikcji naukowej - przedstawieniem wpływu gwałtownego i uniwersalnego rozwoju inteligencji na cywilizację ludzką w XX wieku. Anderson jest wysoko ceniony za szczegółowość swoich tekstów. Jego obszerna historia przyszłości to dwa cykle powieści i opowiadań, „Liga Techniczna” i „Liga Poleczotechniczna”, opisujące pięćdziesiąt wieków przyszłościowej historii powstania i upadku trzech imperiów federacji galaktycznej. Ta ogromna skala dała Andersonowi możliwość przedstawienia barwnych, bogatych postaci i zanalizowania długofalowego wpływu pewnych idei i przekonań - wolnej inicjatywy, militarizmu, imperializmu, indywidualnego stylu rządów - na społeczną i polityczną strukturę stworzonego świata. Cykl najbardziej pamiętnych epizodów, „Ligę Poleczotechniczną”, zdominowały dwie postaci, wyraźne twory różnych epok i cywilizacji: falstaffowski kupiec zawadiaka Nicholas van Rijn, bohater „Wojny skrzydlatych” (1978), „Satan’s World” (1969) i „Mirkheim” (1970), oraz Dominic Flandry, którego przygody stanowią treść „Ensign Flandry” (1966), „A Circus of Helis” (1970), „The Rebel Worlds” (1969), „Flandry of Terra” (1965), „Agent of the Terran Empire” (1965), „A Knight of Ghost

and Shadows” (1974) i „*A Stone in Heaven*” (1979). Po polsku wydano także *novellę* (opowiadanie) „*Oblicze nocy*” (1963). Anderson zmierzył się z wieloma klasycznymi tematami SF, w tym z przyspieszeniem ewolucji w „*Fire Time*” (1974), podróżami z prędkością bliską światła w „*Tau Zero*”, podróżami w czasie w cyklu opowieści o Patrolu Czasu (zbiór „*Strażnicy Czasu*”, 1960) i w innych książkach i opowiadaniach, ostatecznie wydanych w dwóch tomach („*The Shield of Time*”, 1990 i „*The Time Patrol*”, 1991). Chętnie łączył SF z historią, w „*Podniebnej krucjacie*” (1960) średniowieczna armia bierze do niewoli statek *Obcych*. W powieści *fantasy* „*Trzy serca i trzy lwy*” (1961) i jej kontynuacji „*A Midsummer Tempest*” (1974), historii alternatywnej zapożyczanej z drugoplanowych wątków „*Snu nocy letniej*”, oraz w „*Zaklętym mieczu*” (1954), napisanym według wzorów zaczerpniętych ze skandynawskich sag, sięgał po motywy mitologiczne. „*Inconstant Star*” (1991) to dwie *novelle* z cyklu „*Man-Kzin Wars*”. Anderson otrzymał w 1978r. *Tolkien Memorial Award*. Wraz z żoną Karen stworzył czteroksiąg *fantasy* o Królu Ys („*Roma Mater*” (1986), „*Gallicenae*” (1987), „*Dahut*” (1987) i „*The Dog and the Wolf*”, 1988), a wspólnie z Gordonem Dicksonem humorystyczny cykl SF dla starszych dzieci o niedźwiedziowatych Hoka, którzy próbują naśladować ludzi - „*Earthman’s Burden*” (1957), „*Star Prince Charlie*” (1975) i „*Hoka!*” (1984). Z nowszych powieści na uwagę zasługuje choćby „*The Boat of a Milion Years*” (1989), o grupie nieśmiertelnych rozczarowanych kursem historii na Ziemi, czy „*Starfarers*” (1998), o załodze gwiazdolotu, która przez sto dwadzieścia tysięcy lat poszukuje *Obcych*. Z dwutomowego cyklu o planecie Rustum w Polsce wydano „*Orbitę bez końca*” (1961). Z czterotomowego cyklu o statkach-arkach z kolonistami szukającymi światów do zasiedlenia napisanemu w hołdzie Heinleinowi wydano u nas tylko tom drugi, „*Gwiazdy są także ogniem*” (1994). Jego opowiadania znalazły się w

licznych zbiorach, w tym „*The Queen of Air and Darkness and Other Stories*” (1973), „*Past Times*” (1984, o podróżach w czasie), „*Winners*” (1981, opowiadania nagrodzone Hugonami i Nebulami, po polsku w pięciu zeszytach), „*All One Universe*” (1996) czy „*Going for Infinity*” (2002). Anderson pisywał też poezje („*Staves*”, 1993).

Z ciemności na wschodzie z wyciem nadciągnął wiatr, siekący biczem amoniakalnego pyłu. W kilka chwil Edward Anglesey zaniewidział całkowicie.

Wszystkie cztery łapy wbił w rozkruszone skorupy stanowiące glebę i wygięty w pałąk po omacku szukał swego podręcznego wytapiacza. Wicher buczał mu w czaszce jak oszalały saksofon. Coś smagneło go w plecy, raniąc je do krwi - drzewo wyrwane z korzeniami i ciśnięte sto kilometrów. Gdzieś nad głową, niezmiernie wysoko, gdzie z nadejściem nocy wrzały chmury, strzelił piorun.

Jak gdyby w odpowiedzi, wśród lodowych wzgórz rozległ się grzmot, skoczył czerwony język ognia i zbocze góry runęło z łoskotem w dół, rozsypując się po całej dolinie. Powierzchnia planety zadygotała.

Wybuch sodu, pomyślał Anglesey wśród huku. Ogień i błyskawica dały tyle światła, że udało mu się odnaleźć zgubę. Ujął przyrządy w muskularne ramiona, ogonem mocno chwycił rynnę i zaczął się przedzierać w stronę przekopu, swego schronienia.

Ściany i dach pomieszczenia pokryte były warstwą lodu - skutek oddalenia od Słońca, przygniatanego tonami atmosfery cisnącej każdy centymetr kwadratowy powierzchni. Lampka na olej drzewny spalany w wodorze, napowietrzana przez mały otwór, przez który uchodził dym, rzucała nikłe światło.

Anglesey rozciągnął się, całą szaroniebieską postacią, na podłodze,

ciężko dysząc. Nie było sensu przeklinać burzy. Te amoniakalne zawieruchy często rozpętywały się o zachodzie słońca i nie pozostawało nic innego, jak tylko je przeczekać. Poza tym był zmęczony.

Za jakieś pięć godzin zacznie świtać. Miał nadzieję, że uda mu się tego wieczora odlać jeszcze brzeszczot siekiery, ale może lepiej wykonywać taką pracę przy dziennym świetle.

Zdjął z półki ciało dziesięcionoga i jadł mięso na surowo, przerywając co jakiś czas na zaczerpnięcie z dzbanka paru sporych łyków płynnego metalu. Sprawy przybiorą lepszy obrót, jeśli tylko zdobędzie odpowiednie narzędzia; na razie wszystko wymagało wielkiego trudu, formowania za pomocą zębów, pazurów przypadkiem znalezionych sopli lodu oraz obrzydliwie delikatnych, rozpadających się fragmentów statku. Dajcie kilka lat, a będzie żył jak człowiek. Ziewnął, przeciągnął się i ułożył do snu.

Nieco ponad sto osiemdziesiąt tysięcy kilometrów od tego miejsca Edward Anglesey zdjął z głowy hełm.



Rozejrzał się dookoła, mrużąc oczy. Po powrocie z Jowisza zawsze czuł się trochę dziwnie w czystym, uporządkowanym świecie sterowni.

Bolały go mięśnie. Nie powinny. W rzeczywistości nie walczył przecież z huraganem wiejącym z prędkością kilkuset kilometrów na godzinę przy potrójnej grawitacji i temperaturze 133 stopni poniżej zera. Był tutaj, w niemal zerowej grawitacji Piątego, oddychając mieszaniną tlenoazotową. To Joe żył tam na dole i napełniał płuca wodorem i helem pod ciśnieniem, którego wartość można było

jedynie szacować, bo trzaskały aneroidy i rozstrajały się piezometry. A jednak jego ciało było zmęczone i rozbite. Napięcie. Niewątpliwie - psychosomatyka. Ostatecznie przez kilkanaście godzin w pewnym sensie on był Joem, a Joe ciężko pracował.

Po zdjęciu hełmu Anglesey podtrzymywał tylko cienką nić tożsamości. Esprojektor w dalszym ciągu był nastrojony na mózg Joego, ale nie skupiał się już na jego własnym. Gdzieś w głębi umysłu rozpoznawał nieokreślone uczucie senności. Co jakiś czas mgliste plamy barw znosiło ku stonowanej czerni - czyżby sny? Niewykluczone, że mózg Joego powinien trochę śnić w czasie, gdy umysł Angleseya z niego nie korzystał.

Na konsolce projektora zamigotała czerwona lampka i zapiszczał dzwonek elektronicznego strachu. Anglesey rzucił przekleństwo. Chude palce zatańczyły na klawiaturze fotela; obrócił się w miejscu i wystartował na drugi koniec sterowni do zespołu instrumentów pomiarowych. Tak, to tutaj - znowu lampka K wpadła w oscylację. Spalił się obwód. Jedną ręką szarpnął ściankę czołową, drugą zaczął grzebać w panelu.

Wewnątrz umysłu poczuł zanikanie łączności z Joem. Gdyby stracił ją choćby na chwilę, nie wiadomo, czy udałoby mu się ją przywrócić. A Joe był inwestycją wartości kilku milionów dolarów i wielu lat pracy znakomitych specjalistów.

Anglesey wyjął winowajczynię z gniazdka i walnął nią o podłogę. Bańka eksplodowała. Trochę mu ulżyło, wystarczająco, żeby znaleźć nową lampkę, wetknąć ją do gniazdka i włączyć prąd. Kiedy maszyna nagrzała się i znowu zaczynała wzmacniać, uczucie obecności Joego w ciemnych zakamarkach mózgu pogłębiło się.

Wówczas człowiek w elektrycznym fotelu na kółkach powoli wyjechał ze sterowni na korytarz. Niech ktoś inny posprząta szkło. Mam to gdzieś. Mam gdzieś wszystkich.



Jan Cornelius nigdy nie był dalej od Ziemi niż w jakimś komfortowym uzdrowisku na Księżycu. Dręczyła go myśl, że dał się naciągnąć Psionics Inc. na trzynastomiesięczne wygnanie. Fakt, iż wiedział o esprojektorach i ich kapryśnych wnętrzach tyle, co o każdym człowieku na świecie, nie był żadnym usprawiedliwieniem. Po co w ogóle wysyłać kogokolwiek? Kogo to obchodziło?

Oczywiście Federacyjną Akademię Nauk. Najwyraźniej podpisała owym brodatym pustelnikom czek in blanco na koszt podatników.

Przez cały lot po hiperboli w kierunku Jowisza Cornelius zrządził sobie pod nosem, potem prędko zmieniające się kierunki przyspieszeń, oznaczające zbliżanie się maleńkiego satelity wewnętrznego, doprowadziły go do tak opłakanego stanu, że nie miał ochoty nawet zrządzić. A kiedy wreszcie, tuż przed rozładunkiem, poszedł na górę do cieplarni, by rzucić okiem na Jowisza, nie odezwał się ani słowem. Nikt się nie odzywa za pierwszym razem.

Arne Viken czekał cierpliwie, aż Cornelius napatrzy się do syta. Mnie też to jeszcze bierze, pomyślał. Ściska gardło. Czasem aż boję się patrzeć.

W końcu Cornelius odwrócił się od iluminatora. Sam miał trochę jowiszową posturę - masywny mężczyzna o imponującym brzuchu.

- Nie wiedziałem - szepnął. - Nigdy nie sądziłem... Widziałem filmy, ale...

Viken skinął ze zrozumieniem głową.

- W rzeczy samej, doktorze Cornelius. Filmy nie dają o nim pojęcia. Z miejsca, gdzie stali, widać było ciemną, nierówną powierzchnię

satelity, mocno pofałdowaną na krótkim odcinku tuż za pasem lądowiska, a dalej ostro opadającą. Wydawało się, że na tym księżycu nie ma miejsca nawet na platformę kosmiczną, a zimne konstelacje płyną za nim oraz wokół niego. Jedną piątą nieba pokrywał jasnobursztynowy Jowisz, opasany różnobarwnymi wstęgami, nakrapiany cieniami księżyców o rozmiarach planetarnych oraz wirami atmosferycznymi wielkości Ziemi. Jeśli byłaby tu odczuwalna jakakolwiek grawitacja, pomyślał odruchowo Cornelius, miałby wrażenie, że ta wielka planeta spada na niego. W rzeczywistości czuł coś innego, jakby go wsysało do góry; nie przestały go jeszcze boleć dłonie, którymi chwycił poręcz, żeby się przytrzymać.

- Żyje pan tutaj... całkiem sam... z tym...? - spytał zduszonym głosem.

- Och, wie pan, jest tu nas razem około pięćdziesięciu, całkiem sympatycznych - odrzekł Viken. - Nie jest najgorzej. Wszyscy zapisują się na turnusy czterocyklowe - czterech przylotów statku - i może pan wierzyć lub nie, doktorze Cornelius, to jest mój trzeci zaciąg.

Przybysz zaniechał głębszych dociekań. Było coś niepojętego w tych mężczyźnach na Piątym. Na ogół nosili brody, chociaż poza tym dbali o wygląd zewnętrzny; ruchy ich ciał, dostosowane do niskiej grawitacji, były jakby lunatyczne, a rozmowę prowadzili w taki sposób, iż miało się wrażenie, że chcą ją rozciągnąć na rok i jeden miesiąc, czas między kolejnymi przylotami statków. Czyżby to był wpływ klasztornej egzystencji, czy może złożyli swoiste śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, bo na zielonej Ziemi nigdy nie czuli się naprawdę w domu?

Trzyście miesięcy! Cornelius wzdrygnął się. To będzie długie i zimne czekanie, a honorarium i dodatkowe wypłaty, gromadzące się na jego koncie, tu, siedemset siedemdziesiąt milionów kilometrów

od Słońca, były słabą pociechą.

- Wspaniałe miejsce do badań naukowych - ciągnął Viken. - Same udogodnienia, dobrana paczka kolegów, spokój i cisza - oraz, oczywiście... - Wycelował kciukiem w planetę, a potem odwrócił się do wyjścia.

Cornelius ruszył w ślad za nim, kołyszając się niezgrabnie.

- To bardzo ciekawe, niewątpliwie - mówił, sapiąc. - Fascynujące. Ale doprawdy, doktorze Viken, gnać mnie taki kawał drogi i kazać mi spędzać rok z hakiem w oczekiwaniu na najbliższy statek, żeby wykonać robotę, która może mi zająć kilka tygodni...

- Jest pan pewien, że to takie proste? - zapytał grzecznie Viken.

Obejrzał się za siebie i w jego oczach było coś takiego, co zmusiło Corneliusa do milczenia.

- Po tych wszystkich latach spędzonych tutaj pragnąłbym zetknąć się kiedyś z taką sprawą, choćby najbardziej zagmatwaną, która nie okaże się jeszcze bardziej zagmatwana, gdy podejdzie się do niej we właściwy sposób.



Przeszli przez służę i tunel łączący ją z wejściem do Stacji. Niemal wszystko znajdowało się pod ziemią. A w pokojach, laboratoriach, nawet w korytarzach widać było pewien luksus - we wspólnej sali był nawet kominek z prawdziwym ogniem! Bóg jeden wie, ile to musiało kosztować! Zastanowiwszy się nad ogromną zimną pustką, w jakiej kryła się królewska planeta, i nad swoim rocznym wyrokiem, Cornelius doszedł do wniosku, że takie luksusy były rzeczywiście biologiczną koniecznością.

Viken zaprowadził go do przyjemnie urządzonego pokoju, który

odtąd miał być jego miejscem.

- Niedługo przyniesiemy bagaże i wyładujemy pański sprzęt psioniczny. Teraz wszyscy albo rozmawiają z załogą statku, albo czytają listy.

Cornelius skinął w roztargnieniu głową i usiadł. Krzesło, jak wszystkie meble dostosowane do niskiej grawitacji, było po prostu pająkowatym szkieletem, ale całkiem wygodnie podtrzymywało jego cielsko. Sięgnął do kieszeni płaszcza, licząc, że uda mu się przekupić tego człowieka, by jeszcze przez chwilę dotrzymał mu towarzystwa.

- Cygaro? Przywiozłem trochę z Amsterdamu.

- Dzięki. - Viken przyjął je z przykrą dla Corneliusa obojętnością, usiadł, skrzyżował długie, chude nogi i dmuchał szarymi kłębam dymu.

- Hm... pan jest tu szefem?

- Niezupełnie. Tu nie ma szefa. Mamy za to jednego administratora - kucharza - do załatwiania tych nielicznych spraw, które się mogą wyłonić. Proszę nie zapominać, że to jest stacja naukowa, zawsze i wszędzie.

- Wobec tego czym się pan zajmuje?

Viken skrzywił się.

- Proszę innych nie wypytywać tak bezceremonialnie, doktorze Cornelius - przestrzegł go. - Z pewnością woleliby jak najdłużej pogawędzić sobie z przybyszem, ale o innych sprawach. To rzadka okazja obcować z człowiekiem, którego nawet najdrobniejszych odpowiedzi się nie... och, nie musi pan przepraszać. Nie ma sprawy. Jestem fizykiem specjalizującym się w ciałach stałych pod ultrawysokim ciśnieniem. - Skinął głową w stronę ściany. - Jest ich dużo do przebadania - tam!

- Rozumiem. - Cornelius przez chwilę palił w milczeniu cygaro. Potem powiedział: - Mam się zająć kłopotami z psioniką, ale szczerze

mówiąc, nie widzę na razie powodu, dla którego wasze maszyny miałyby się źle sprawować, jak doniesiono.

- Chodzi panu o to, że... hm, że na Ziemi lampy K mają wyższą stabilność?

- A także na Księżycu, na Marsie, na Wenus. Widocznie wszędzie, tylko nie tutaj. - Cornelius wzruszył ramionami. - Naturalnie wszystkie wiązki psi są kapryśne i czasem dochodzi do niepożądanych sprzężeń, kiedy się... Nie, najpierw pozbieram fakty, a potem zacznę teoretyzować. Kim są wasi espmeni?

- Jest tylko Anglesey, ale on wcale nie ma formalnego przygotowania. Zajął się tym po wypadku i wykazał się takimi zdolnościami, że z miejsca go tutaj wysłano, kiedy tylko zgłosił się na ochotnika. Tak trudno dostać kogokolwiek na Piątego, że nie jesteśmy zbyt drobiazgowi w kwestii stopni naukowych. A jeśli już o tym mowa, to Ed daje sobie radę z prowadzeniem Joego równie dobrze, jak doktorzy psioniki.

- Ach, tak. Waszego pseudo-Jowiszana. Tej sprawie również muszę się przyjrzeć bardzo dokładnie - powiedział Cornelius. Mimo wszystko zaczynało go to interesować. - Może źródłem kłopotów jest coś w biochemii Joego. Kto wie? Zdradzę panu pewną małą, dobrze strzeżoną tajemnicę, doktorze Viken: psionika nie jest nauką ścisłą.

Tamten uśmiechnął się szeroko.

- Ani fizyka - powiedział. A po chwili dodał poważniej: - W każdym razie moja gałąź fizyki. Mam nadzieję uczynić ją ścisłą. Dlatego w ogóle tu jestem, jak pan się domyśla. Dlatego wszyscy tu jesteśmy.



W pierwszej chwili Edward Anglesey przyprawiał o lekki szok. To była po prostu głowa, dwoje ramion i para niepokojących, intensywnie niebieskich, wytrzeszczonych oczu. Cała reszta była nieważnym szczegółem, schowanym w pojeździe na kółkach.

- Z zawodu biofizyk - powiedział Viken Corneliusowi. - Zajmował się zarodnikami atmosferycznymi na Stacji Ziemia, kiedy był jeszcze młody. Potem był ten wypadek, przywaliło go poniżej klatki piersiowej, praktycznie wszystko ma tam zmiażdżone. Typ ponuraka, musi się pan z nim obchodzić jak z jajkiem.

Posadzony na wąskim krześle w sterowni projektora psi, Cornelius doszedł do wniosku, że Viken odmalował prawdę w zbyt jasnych barwach.

Anglesey mówił z pełnymi ustami, nieelegancko, każąc czułkom przy fotelu sprzątać po sobie okruszki.

- Ja muszę - wyjaśnił. - W tym kretyńskim miejscu obowiązuje czas ziemski, GMT, a na Jowiszu nie. Muszę więc tutaj tkwić, ilekroć Joe się budzi, gotów na jego przejęcie.

- Nie może pana ktoś zastępować? - spytał Cornelius.

- Ba! - Anglesey wbił nóż w kromkę proteidu i pogroził nią przybyszowi. Ponieważ był to dla niego język ojczysty, ze straszną zawziętością złorzeczył po angielsku, w języku powszechnie używanym na Stacji. - Słuchaj no! Stosowałeś kiedy terapię pozazmysłową? Nie sam podsłuch czy nawet dwustronny kontakt, tylko prawdziwy nadzór wychowawczy?

- Nie. Na to trzeba specjalnych, wrodzonych zdolności, takich jak pańskie. - Cornelius uśmiechnął się. Jego krótka i przymilna wypowiedź została przełknięta, ale bez większej uwagi, o czym świadczył wyraz twarzy siedzącego naprzeciwko. - O ile dobrze rozumiem, chodzi o przypadki analogiczne do, hm, przywracania sprawności systemowi nerwowemu dziecka dotkniętego paralizem?

- Tak, tak. Niezły przykład. Czy próbował ktoś zgnieść kiedy osobowość dziecka, przejąc ją w najbardziej dosłownym sensie?

- Mój Boże, nie!

- Nawet w charakterze eksperymentu naukowego? - Anglesey wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Czy którykolwiek operator esprojektora chlusnął kiedy energią i zalał dziecięcy mózg własnymi myślami? Dalejże, Cornelius, nie sypnę cię!

- No cóż... to nie moja branża, jak pan wie. - Psionik ostrożnie odwrócił głowę, napotkał łagodne oblicze tarczy zegarowej i utkwiał w niej wzrok. - Słyszałem, hm, coś niecoś... No cóż, owszem, były próby, w pewnych przypadkach patologicznych, przebicia się... zniszczenia przemocą złudzeń i iluzji pacjenta...

- I nie wyszło - odrzekł Anglesey. Roześmiał się. - To się nie może udać, nawet na dziecku, nie mówiąc już o dorosłym z całkowicie ukształtowaną osobowością. Przecież trzeba było dziesięciu lat udoskonaleń - prawda? - nim udało się maszynę usprawnić do tego stopnia, aby psychiatrzy mogli choć „podśluchiwać”, mimo naturalnych różnic między ich wzorcami myślowymi a pacjentów, mimo różnic wywołujących interferencje mieszające pacjentom w głowach. Maszyna musi dostosowywać się automatycznie do różnic między poszczególnymi osobnikami. Ale między gatunkami w dalszym ciągu nie potrafimy przerzucać mostów.

Jeśli druga strona jest skłonna do współpracy, możesz bardzo delikatnie kierować jej myśleniem. I to wszystko. Jeśli usiłujesz przejąć władzę nad innym mózgiem, mózgiem z własną przeszłością i doświadczeniem, z własnym ja, poważnie narażasz własne zdrowie psychiczne. Ten drugi mózg instynktownie będzie się bronić. W pełni rozwinięta, dojrzała, zahartowana osobowość ludzka jest po prostu zbyt złożona, by można nią było sterować z zewnątrz. Dysponuje zbyt wieloma drogami ucieczki, zbyt wieloma „ciemnymi siłami”,

jakie podświadomość może wezwać w obronie osobowości, jeśli jej integralność jest zagrożona. Do cholery, człowieku, nie umiemy panować nawet nad własnymi umysłami, a co dopiero nad cudzymi!

Skrzekliwa tyrada Angleseya urwała się. Zatopiony w myślach siedział przy pulpicie sterowniczym i bębnił palcami po klawiaturze swojej mechanicznej matki.

- Więc? - zapytał po chwili Cornelius.

Powinien, być może, milczeć, lecz nie potrafił powstrzymać się od mówienia. Było zbyt dużo ciszy - to prawie osiemset milionów kilometrów stąd od Słońca. Kiedy zamykasz usta na pięć minut, cisza zaczyna dzwonić ci w uszach jak na alarm.

- Więc? - zadrwił Anglesey. - A więc nasz pseudo-Jowiszanin, Joe, ma fizycznie dojrzały mózg. Cały sekret mojej władzy nad nim polega na tym, że mózgowi Joego nigdy nie dano szansy stworzenia własnej osobowości. To ja jestem Joe. Nie opuszczałem go od chwili narodzenia się jego świadomości. Wiązka psi przekazuje do mnie wszystkie dane z jego zmysłów i śle mu w zamian nerwowe impulsy motoryczne. Niemniej jednak ma on wspaniały mózg, a jego komórki nerwowe rejestrują ślady wszelkich przeżyć, dokładnie tak samo jak twoje lub moje; jego synapsy przybrały topografię, która odpowiada mojemu „wzorcowi osobowości”.

Każdy inny espmen, przejmujący go ode mnie, przekonałby się, że byłoby to jak próba wyzucia mnie samego z mojego mózgu. Tego nie da się zrobić. Mówiąc ściśle, Joe ma bez wątpienia tylko podstawowy zestaw wspomnień Angleseya - ja na przykład nie powtarzam sobie twierdzeń trygonometrycznych, kiedy nim steruję - ale jest wyposażony wystarczająco dobrze, żeby stać się, potencjalnie, odrębną osobowością.

Faktem jest, że zawsze, gdy budzi się - zazwyczaj jest kilkuminutowy poślizg, zanim wyczuję zmianę poprzez moje

naturalne zdolności psi i ustawię wzmocnienie hełmu - czeka mnie mały pojedynek. Odczuwam niemal... pewien opór, dopóki nie doprowadzę jego prądów psychicznych do absolutnej zgodności fazowej z moimi. Samo marzenie senne było wystarczająco odmiennym doświadczeniem, żeby... - Angleseyowi nie chciało się kończyć zdania.

- Rozumiem - powiedział cicho Cornelius. - Tak, to jasne. Swoją drogą niesłychane, że może pan mieć taki wszechstronny kontakt z istotą o całkowicie innym metabolizmie.

- To już nie potrwa długo - rzekł z ironią espmen. - Chyba że potrafisz usunąć powód palenia się lamp K. Mój zapas części zamiennych jest na wyczerpaniu.

- Mam kilka hipotez roboczych - odparł Cornelius - lecz tak słabo znamy zasadę rozchodzenia się wiązki psi - prędkość nieskończenie wielka czy tylko bardzo duża, czy moc wiązki zależy ostatecznie od odległości, czy nie? A co wiemy o możliwych skutkach transmisji - och, na przykład poprzez zdegenerowaną materię w jądrze Jowisza? Mój Boże, planety, na której woda to ciężki minerał, a wodór - metal! Co my w ogóle wiemy?

- Mamy się o tym przekonać - warknął Anglesey. - O to chodzi w tym całym projekcie. O wiedzę! Bzdura! - Omal nie splunął na podłogę. - Widocznie nawet ta odrobina wiedzy, jaką zgromadziliśmy do tej pory, nie dotarła do ludzi. Tam, gdzie żyje Joe, wodór jest nadal gazem. Musiałby kopać wiele kilometrów w głąb, żeby dotrzeć do warstwy stałej. I oczekuje się ode mnie, bym przeprowadził analizę naukową warunków na Jowiszu.

Cornelius postanowił to przeczekać i pozwolić Angleseyowi się wyszaleć, a sam zajął się roztrząsaniem problemu oscylacji lamp K.

- Oni tam na Ziemi niczego nie rozumieją. I tu też nie. Czasami zdaje mi się, że nie chcą zrozumieć. Joe tkwi na dole, nie mając

niczego poza parą własnych rąk. On, ja, my - na początku wiedzieliśmy niewiele więcej ponad to, że prawdopodobnie będzie mógł odżywiać się miejscowymi formami życia. Prawie cały czas poświęca na zdobywanie żywności. To cud, że zdołał tyle osiągnąć w ciągu kilku tygodni - zbudował sobie dom, rozpoznał najbliższe otoczenie, zabrał się do metalurgii czy hydrourgii - nazwij to, jak chcesz. Czego jeszcze żądają ode mnie, do jasnej cholery?

- Tak, tak - mruknął Cornelius. - Owszem, ja...

Anglesey podniósł białą, kościstą twarz. Jakaś mgiełka pokazała mu się w oczach.

- Co to...? - zaczął Cornelius.

- Zamknij się! - Anglesey błyskawicznie odwrócił się wraz z fotelem, na oślep sięgnął po hełm i założył go na głowę. - Joe się budzi. Zjeżdżaj!

- Ale jeśli pozwoli mi pan pracować tylko w trakcie jego snu, to jak mam...? - zaprotestował Cornelius.

Anglesey zaklął i rzucił w niego obcęgami. To był marny rzut, nawet jak na niskie ciężenie. Cornelius cofnął się w kierunku drzwi. Anglesey nastawiał esprojektor. Nagle szarpnął się ostro.

- Cornelius!

- Co się stało? - Psionik usiłował podbiec, przeszarżował i poślizgnął się, wpadając na tablicę rozdzielczą.

- Znowu lampa K. - Anglesey zrzucił hełm. To musiało boleć jak diabli, kiedy w mózgu odebrało się lawinowo narastający i wzmacniany skowyt psychiczny, ale on rzekł tylko: - Wymień mi ją. Szybko. A potem wynoś się i zostaw mnie w spokoju. Joe nie przebudził się samodzielnie. Coś jeszcze wślizgnęło się do schronienia wraz ze mną - wpadłem tam na dole w niezłe tarapaty.



To był dzień ciężkiej pracy i Joe zapadł w głęboki sen. Spał, dopóki na jego gardle nie zacisnęły się łapy.

Przez chwilę czuł tylko falę obłądnego, paralizującego strachu. Wydawało mu się, że znów jest na Stacji Ziemia, unosząc się w stanie nieważkości na końcu liny, a tysiąc mroźnych gwiazd otacza świetlnym kołem planetę naprzeciw niego. Odniósł wrażenie, że wielki, ciężki dźwigar zerwał się ze swych cum i ruszył w jego stronę, powoli, choć z całą bezwzględnością inercji swoich zimnych ton, wirując i migocząc w świetle Ziemi, a jedyny dźwięk to on sam przeraźliwy wrzask i znowu wrzask w jego hełmie próbował zerwać się z kabla dźwigar trącił go tak delikatnie lecz wciąż się przemieszczał on się przemieszczał wraz z nim wgniotło go w ścianę stacji wtulił się w nią jego porwany kombinezon pienił się gdy chciał zatkać swoje zranione ja była krew zlane z pianą jego krew darł się Joe.

Powodowany konwulsyjną reakcją Joe rozerwał łapy zaciskające się na jego szyi i odrzucił czarnego stwora na drugi koniec ziemianki. Tamten z głośnym hukiem walnął o ścianę; lampka spadła na ziemię i zgasła.

Joe stał w ciemności, ciężko dysząc, niejasno sobie uświadamiając, że kiedy spał, wichura zamarła, z przeraźliwego wycia przechodząc do głębokiego pomruku.

Odrzucone na bok stworzenie jęczało z bólu i czołgało się pod ścianą. Wśród ciemności Joe po omacku szukał swojej maczugi.

Coś zaskrobało w ziemię. Przekop! Szły przez przekop! Joe ruszył na oślep na spotkanie z nimi. Serce waliło mu jak młot, a jego nos chłonał obce zapachy. Gdy tylko stworzenie się ukazało, zacisnął na nim łapy.

Było o połowę mniejsze od Joego, miało za to sześć stóp o

monstrualnych pazurach i parę trójpalczastych kończyn górnych, usiłujących sięgnąć teraz do jego oczu. Joe zaklął, uniósł wijące się stworzenie do góry i grzmotnął nim o ziemię. Zapiszczało, a on usłyszał trzask kości.

- No, dalejże! - Wygiął się w łuk i parskał na nie tak jak tygrys zagrożony przez gąsienice-olbrzymy.

Napływały przez tunel masami. Gdy walczył z jedną, która owinęła się wokół jego ramion i pazurami szepiła z nim swoje krępe, węzowate ciało, kilkanaście wtargnęło do środka. Szarpały go za nogi, usiłując wypełznąć mu na grzbiet. Raził w lewo i prawo pazurami, bił ogonem, przewrócił się i utonął pod masą napastników. Poderwał się, oblepiony całym mnóstwem uczepionych ciał. Szamotał się z nimi w ciemności. Kotłujący się gąszcz kończyn uderzył w ścianę ziemianki. Zatrzęsa się, pękła krokiew, dach runął na ziemię. Anglesey stał w głębokim dole między potłuczonymi płytami lodu w nikłym świetle zachodzącego Ganimedesa.

Widział teraz, że potwory były czarne i miały wystarczająco duże łby, by pomieścić mózg, mniejszy wprawdzie niż u człowieka, ale być może większy niż u małpy. Było ich około dwudziestu. Z trudem wydobywały się spod rumowiska, a potem falami rzucały na niego z tą samą przeraźliwą zaciekłością.

Dlaczego?

Małpia reakcja, pomyślał Anglesey. Zobaczyć obcego, bać się obcego, nienawidzić obcego, zabić obcego. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, pompując powietrze przez zaschnięte gardło. Wyrwał jedną całą belkę, chwycił ją w połowie i zamachnął się drewnem twardym jak metal.

Najbliższe stworzenie padło z roztrzaskanym łbem. Drugie z przetrąconym karkiem. Trzecie zostało gwałtownie odrzucone ze

zgruchotanymi żebrami w objęcia czwartego; oba runęły na ziemię. Joe zaczął się śmiać. To stawało się zabawne.

- Jeee-huuu! Tyyygryys! - Puścił się biegiem po zlodowaciałej ziemi w kierunku hordy. Rozbiegły się, wyjąc. Ścigał je, dopóki ostatnie nie zniknęły w lesie.

Ciężko dysząc, popatrzył na trupy. Sam krwawił, było mu zimno, odczuwał ból i głód, a jego schronienie leżało w ruinie - ale pobił je! Pod wpływem nagłego impulsu omal nie uderzył się w piersi z wyciem. Przez chwilę się wahał. Czemu nie? Anglesey odrzucił w tył głowę i wzniósł okrzyk triumfu ku bladej tarczy Ganimedesa.

Później wziął się do pracy. Najpierw, pod osłoną statku, z którego do tej pory zostało niewiele ponad pagórek rdzy, rozпалиł ognisko. Horda potworów wyła w ciemności wśród spękanej ziemi. Nie zrezygnowały z niego, powrócą.

Rozszarpał lędźwie jednego z zabitych i odgryzł kawałek mięsa. Całkiem dobre. Byłoby jeszcze lepsze, gdyby je właściwie przyrządzić. Ha! Popełniły wielki błąd, zwracając jego uwagę na swoje istnienie! Kończył śniadanie, kiedy Ganimedes chował się za górami lodowymi na zachodzie. Wkrótce zacznie świtać. Powietrze było prawie nieruchome, a wysoko nad głową latało stado przypominających naleśniki podniebnych brzytwodziobów, jak je nazywał Anglesey, koloru wypolerowanej miedzi, połyskujących w nieśmiałych promieniach brzasku.

Joe przetrząsał ruiny chaty, dopóki nie odnalazł aparatu do wytapiania wody. Nie był uszkodzony. Pierwsza rzecz, to stopić trochę lodu i wlać wodę do form na siekierę, nóż, piłę i młotek, które z wielkim trudem przygotował. W warunkach jowiszowych metan był płynem, który się piło, a woda - zestalonym minerałem, dlatego doskonale nadawała się na narzędzia. Później spróbuje ją przetopić z innymi substancjami.

A potem... tak. Do diabła z ziemianką, przez jakiś czas może spać pod gołym niebem. Zrobi łuk, zastawi pułapki, będzie gotów urządzić masakrę gąsienicom, jeśli go znowu zaatakują. Niedaleko stąd była rozpadlina schodząca głęboko ku przejmującemu zimnu metalicznego wodoru: naturalna lodówka, doskonałe miejsce na przechowywanie wielotygodniowych zapasów mięsa, które dostarczą jego wrogowie. Zostanie mu dużo wolnego czasu... Och! Cholernie dużo!

Joe roześmiał się z zadowoleniem i położył, by obejrzeć wschód słońca.

Kolejny raz pomyślał, że to urocze miejsce. Widzisz, jak mała, połyskliwa iskierka Słońca żegluje do góry spoza wschodnich wałów ciemnopurpurowej mgły, żyłkowanej różem i złotem; widzisz, jak światło powoli narasta, dopóki ogromny, wklęsły łuk nieba nie stanie się jednym potokiem promieniowania; obserwujesz, jak światło wlewa ciepło i życie w rozległą piękną krainę, milion kilometrów kwadratowych niskich szumiących lasów, migotliwie falujących jezior i pióropuszy wodorowych gejzerów; i widzisz, widzisz, jak lodowe góry zachodu rozbłyskują niczym szara stal!

Anglesey wciągnął głęboko w płuca gwałtowny poranny wiatr i rozpierany chłopięcą radością krzyknął.



- Sam biologiem nie jestem - zastrzegł się Viken. - Ale być może dzięki temu lepiej uda mi się przedstawić panu ogólną sytuację. Potem Lopez albo Matsumoto mogliby odpowiedzieć na wszelkie szczegółowe pytania.

- Doskonale - zgodził się Cornelius. - Lecz proszę przyjąć, że jestem

absolutnym ignorantem, jeśli chodzi o ten projekt, zgoda? Prawie jestem, wie pan o tym.

- Jak pan sobie życzy - roześmiał się Viken.

Stali w zewnętrznym biurze sekcji ksenobiologicznej. W pobliżu nie było nikogo, gdyż zegary stacji wskazywały 17.30 GMT, a prace szły tylko na jedną zmianę. Nie było potrzeby pracować dłużej, dopóki działka Angleseya nie zacznie dostarczać danych powierzchniowych.

Fizyk pochylił się i podniósł z biurka przycisk do papieru.

- Jeden z chłopców zrobił ją dla żartów - powiedział - ale zupełnie dobry wizerunek Joego. Liczy około pięciu stóp, mierząc przy głowie.

Cornelius obracał w dłoniach plastikową figurkę. Jeśli wyobrazić sobie kociego centaury z grubym chwytnym ogonem... Tułów był przysadzisty, o długich kończynach, silnie umięśniony; łysa głowa okrągła, szerokonosa, z wielkimi, głęboko osadzonymi oczami i mocnymi szczękami, ale to rzeczywiście przypominało ludzką twarz. Barwa ogólna niebieskoszara.

- Samiec, jak widzę - zwrócił uwagę.

- Oczywiście. Pan, zdaje się, nie rozumie. Joe jest kompletnym pseudo-Jowiszaninem, jeśli wolno nam to stwierdzić - końcowym modelem, rozpracowanym pod każdym względem. Jest odpowiedzią na naukowe pytanie, którego postawienie zajęło pięćdziesiąt lat.

Viken spojrzął z ukosa na Corneliusa.

- A więc zdaje pan sobie sprawę ze znaczenia pańskiej misji, prawda?

- Zrobię, co będę mógł - odparł psionik. - Lecz gdyby... no cóż, założmy, że awaria lampy lub coś innego sprawi, iż straciecie Joego, nim zdążę rozwiązać problem oscylacji. Macie chyba w zapasie innych, prawda?

- Och, naturalnie - odrzekł markotnie Viken. - Ale koszty... Nie

mamy nieograniczonego budżetu. Wydajemy oczywiście mnóstwo pieniędzy, bo pluć i łapać w takiej odległości od Ziemi to droga przyjemność. Ale z tego samego powodu swoboda naszych posunięć jest nieduża.

Wcisnął ręce do kieszeni i ze spuszczoną głową począł w kierunku wewnętrznych drzwi, przemawiając niskim, natarczywym głosem:

- Pan nie zdaje sobie chyba sprawy, jaką koszmarną planetą jest Jowisz. To nie tyle powierzchniowa siła ciężenia - trochę mniej od trzech g, co to jest? - ile potencjał grawitacyjny, dziesięciokrotnie większy niż ziemski. Temperatura. Ciśnienie. A przede wszystkim atmosfera, burze i ciemność!

Gdy statek schodzi do lądowania na powierzchni Jowisza - a odbywa się to z pomocą radia - dla zneutralizowania ciśnienia cieknie jak sito. A jest to za każdym razem najpotężniejszy, absolutnie najmocniejszy model aktualnie produkowany, wyładowany różnymi czujnikami, serwomechanizmami, wszelką aparaturą zabezpieczającą, jaką umysł ludzki musiał wymyślić, żeby ochronić kupę precyzyjnego sprzętu wartości milionów dolarów. I co się dzieje? Połowa statków w ogóle nie dociera do powierzchni. Porywa je burza i miota gdzieś nimi, albo zderzają się z bryłą Kry 7 - mniejszą wersją Czerwonej Plamy - albo, niech ja skonam, to, co uchodzi tu za stado ptaków, taranuje je i rozbija. A dla tej drugiej połowy, której uda się wylądować, jest to podróż w jedną stronę. Nawet nie próbujemy odstawić ich z powrotem. Jeśli naprężenia nie rozerwały czegoś podczas lądowania, to i tak skazała je korozja. Przy jowiszowym ciśnieniu wodór wyczynia z metalami zabawne rzeczy.

Dostarczenie Joego na powierzchnię kosztowało ogółem jakieś pięć milionów. Jednego osobnika. Każdy następny będzie kosztować, jeśli nam się poszczęści, parę milionów więcej.

Viken kopnięciem otworzył drzwi na oścież i poszedł przodem. W głębi znajdowało się wielkie pomieszczenie, nisko sklepienie, rozjaśnione zimnym światłem i przepiętione szumem wentylatorów. Przypominało Corneliusowi laboratorium nukleoniczne; przez chwilę nie mógł sobie uzmysłowić dlaczego, wreszcie rozpoznał zawiłości zdalnego sterowania, zdalnej obserwacji, ściany odgradzające siły, które mogłyby zniszczyć cały ten księżyc.

- One są konieczne ze względu na ciśnienie, rzecz jasna - powiedział Viken, wskazując szereg osłon. - I zimno. I sam wodór, jako drobniejszą groźbę. Mamy tu urządzenia odtwarzające warunki w jowiszowym... hm... powietrzu. Oto miejsce, w którym cały ten projekt naprawdę się zaczął.

- Słyszałem coś niecoś. Nie czerpaliście zarodników unoszących się w atmosferze?

- Ja nie. - Viken roześmiał się. - Zespół Tottiego to robił, pięćdziesiąt lat temu. Udowodnili, że na Jowiszu istnieje życie. Życie, wykorzystujące ciekły metan jako punkt startu dla syntezy nitrozwiązków: rośliny wykorzystujące energię słoneczną do budowy nienasyconych związków węglowych uwalniają wodór; zwierzęta, zjadając rośliny, redukują te związki ponownie do postaci nasyconej. Jest nawet odpowiednik spalania. Takie reakcje wymagają złożonych enzymów, a więc... no cóż, to nie moja dziedzina.

- Biochemia jowiszowa została więc całkiem dobrze poznana.

- O, tak. Nawet w czasach Tottiego dysponowano wysoko rozwiniętą technologią biologiczną - zsyntetyzowano już ziemskie bakterie i całkiem nieźle odwzorowano większość struktur genowych. Jediną przyczyną, że tak długo trwało sporządzenie diagramu procesów życiowych na Jowiszu, były trudności techniczne, wysokie ciśnienie i temu podobne.

- Kiedy właściwie udało się zobaczyć powierzchnię Jowisza?

- Dokonał tego Grey, przed mniej więcej trzydziestu laty. Spuścił na dół sondę telewizyjną, która przetrwała wystarczająco długo, by przekazać mu całą serię obrazów. Od tego czasu technika się rozwinęła. Wiemy, że Jowisz roi się od własnego, przedziwnego życia, być może bardziej płodnego niż życie na Ziemi. Ekstrapolując z unoszących się w atmosferze mikroorganizmów, nasz zespół przeprowadził próbne syntezы tkankowców i...

Viken westchnął.

- Do diabła, gdybyż tu było rodzime życie inteligentne! Wyobraża pan sobie, doktorze Cornelius, o czym mogliby nam opowiedzieć? O tylu szczegółach, o tylu... proszę tylko pomyśleć, jak daleko zaszliśmy na Ziemi, od czasów Lavoisiera, z chemią niskich ciśnień. Tu jest szansa nauczenia się chemii i fizyki wysokich ciśnień, przynajmniej równie bogatych w możliwości!

Po chwili Cornelius zapytał przekornie:

- Jest pan pewny, że nie ma żadnych Jowiszan?

- Ach, no jasne, mogłoby ich być wiele miliardów. - Viken wzruszył ramionami. - Miasta, imperia, wszystko, co pan chce. Jowisz ma powierzchnię wielkości stu Ziemi, a my widzieliśmy kilkanaście niedużych regionów. Jedno wiemy z całą pewnością - nie ma tu żadnych Jowiszan używających radia. Wziąwszy pod uwagę ich atmosferę, niepodobna, aby kiedykolwiek je wynaleźli - proszę pomyśleć, jak gruba musiałaby być lampa elektronowa, jak potężna pompa próżniowa! Tak więc postanowiono ostatecznie, że najlepiej będzie, jak sami sobie stworzymy naszych Jowiszan.

Cornelius przeszedł za Vikenem do następnego pokoju. Ten był mniej zagracony i sprawiał wrażenie bardziej zadbanego; bałaganiarskie nawyki eksperymentatora ustąpiły przed niezawodną precyzją inżyniera.

Viken zbliżył się do jednego z pulpitów stojących pod ścianami i

spojrzał na instrumenty pomiarowe.

- Za tą ścianą czeka następny pseudo - powiedział. - W tym wypadku samica. Leży pod ciśnieniem dwustu atmosfer i w temperaturze stu dziewięćdziesięciu stopni powyżej zera absolutnego. Jest to... układ z pępowiną, chyba tak by pan to nazwał, podtrzymujący jej procesy życiowe. Była hodowana w postaci dorosłej w tym... hm... stadium płodowym - modelowaliśmy naszych Jowiszan na wzór ludzkich ssaków. Nigdy nie była przytomna. I nie będzie, póki się nie „urodzi”. Trzymamy tutaj łącznie dwadzieścia samców i sześćdziesiąt samic. Liczymy, że mniej więcej połowa z nich dotrze na powierzchnię. Można zrobić więcej, jeśli zajdzie potrzeba. Nie same osobniki są takie drogie, tylko ich transport. A więc Joe będzie tam na dole zupełnie sam, dopóki nie upewnimy się, że jego gatunek może przetrwać.

- Jeśli dobrze rozumiem, eksperymentowaliście najpierw z niższymi formami życia? - spytał Cornelius.

- Oczywiście. Trwało to dwadzieścia lat, nawet po wprowadzeniu technik wymuszonej katalizy, żeby przejść do sztucznego zarodnika unoszącego się w atmosferze do Joego. Wykorzystaliśmy wiązkę psi do nadzorowania wszystkiego, począwszy od pseudoowadów. Oddziaływanie międzygatunkowe jest możliwe, wie pan, jeśli system nerwowy marionetki będzie specjalnie w tym celu zaprojektowany i nie da mu się szansy rozwinięcia formy odmiennej od systemu nerwowego espmena.

- I Joe jest pierwszym pseudo, który sprawił kłopoty?

- Tak.

- Jedna hipoteza upada. - Cornelius siedział na stoliku, dyndając grubymi nogami i przebierając palcami w rzadkich, lekko rudawych włosach. - Myślałem, że wszystkiemu winne może być jakieś zjawisko atmosferyczne na Jowiszu. Teraz wychodzi na to, że problem

leży w samym Joem.

- Tyle i my wiemy - odparł Viken. Zapalił papierosa, zaciągnął się mocno. Wzrok miał zasępiony. - Trudno zrozumieć, co się tu dzieje. Specjaliści od biotyki mówią, że *pseudocentaurus sapiens* zbudowany jest precyzyjniej od każdego wytworu ewolucji naturalnej.

- Nawet jego mózg?

- Nawet. Jest dokładną kopią ludzkiego, żeby umożliwić oddziaływanie wiązce psi, ale ma ulepszenia - wyższą stabilność.

- Są jednak jeszcze aspekty psychologiczne - rzekł Cornelius. - Pomimo wszystkich waszych wzmacniaczy i innych technicznych udogodnień psi nawet dzisiaj pozostaje zasadniczo domeną psychologii. Zastanówmy się nad doświadczeniami traumatycznymi. Domyślam się, że... płód pseudo-Jowiszana odbywa bardzo nieprzyjemną podróż na dół?

- Statek, owszem - odparł Viken. - Ale sam pseudo - nie, ponieważ jest zanurzony w płynach, tak samo jak pan przed urodzeniem.

- Niemniej jednak - odparł Cornelius - ciśnienie dwustu atmosfer tutaj to nie to samo, co niewyobrażalne ciśnienie na Jowiszu. Czy taka zmiana nie może być szkodliwa?

Viken spojrzał na rozmówcę z respektem.

- Chyba nie - odparł. - Mówiłem już, że statki na Jowisza buduje się nieszczelne. Zewnętrzne ciśnienie przenoszone jest do... hm... mechanizmu macicznego stopniowo, poprzez szereg przepon. Schodzenie trwa wiele godzin, rozumie pan.

- Dobrze, co się dzieje dalej? - ciągnął Cornelius. - Statek ląduje, mechanizm maciczny otwiera się, pępowina się rozłącza i Joe, powiedzmy, rodzi się. Lecz on ma już dojrzały mózg. Przed wstrząsem nagłego rozbudzenia się świadomości nie chroni go niedorozwinięty mózg noworodka.

- Wzięliśmy to pod uwagę - odrzekł Viken. - Kiedy Joe opuszczał nasz księżyc, Anglesey był z nim sprzęgnięty fazowo wiązką psi. A więc praktycznie to nie Joe się wyłonił i to nie on postrzegał. Joe nie był niczym więcej niż substancją biologiczną. Może ulec wstrząsowi psychicznemu tylko w takim stopniu jak Ed, ponieważ to Ed jest na dole!

- Jak pan chce - powiedział Cornelius. - Nie planowaliście chyba jednak stworzenia gatunku marionetek, prawda?

- Och, na Boga, nie - odparł Viken. - Oczywiście, że nie. Jak się tylko przekonamy, że Joe jest właściwie urządzone, ściągniemy kilku dodatkowych espmenów i damy mu wsparcie w postaci innych pseudo. W końcu na dół wysle się samice i niesterowane samce, których wychowaniem zajmą się marionetki. Nowe pokolenie narodzi się już normalnie - no cóż, tak czy owak ostatecznym celem jest nieduża społeczność Jowiszian. Będą więc myśliwi, górnicy, rzemieślnicy, farmerzy, gospodynie domowe, fabryki. Wyłonią też grupę kluczowych członków - rodzaj kapłaństwa. A kapłaństwo to będzie kontrolowane metodami psi, tak jak Joe. Potrzebne jest wyłącznie po to, by wytworzyć narzędzia, zrobić pomiary, przeprowadzać eksperymenty i informować nas o tym, na czym nam zależy.

Cornelius pokiwał głową. W sensie ogólnym taki był ów cały jowiszowy projekt, jeśli go dobrze rozumiał. Mógł już ocenić znaczenie swojej misji.

Tylko że nie potrafił wyjaśnić dodatkowego sprzężenia zwrotnego w lampach K.

I co mógł na nie poradzić?



Dłonie miał w dalszym ciągu posiniaczone. O Boże, pomyślał żałośnie już po raz setny, czy to aż tak na mnie wpływa? Czy naprawdę waliłem pięściami w metal, kiedy Joe walczył tam na dole?

Jego oczy rzucały wściekłe spojrzenia na drugi koniec pokoju, w stronę stolika, przy którym pracował Cornelius. Nie lubił Corneliusa, tego ssącego cygaro tłuściocha, który nieustannie gadał i gadał. Podjął decyzję, że da już sobie spokój z sileniem się na uprzejmość wobec tego ziemióra.

Psionik odłożył śrubokręt i rozprostował zdrętwiałe palce.

- Fiu! - Uśmiechnął się. - Zrobię sobie małą przerwę.

Rozebrany na części esprojektor stanowił kiepską zastonę dla jego obszernego, żabiego ciała, przelewającego się przy warsztacie.

Angleseyowi cholernie nie spodobał się pomysł dzielenia z kimś tego pokoju, nawet tylko kilka godzin dziennie. Ostatnio nawet poprosił, aby przynoszono mu tutaj posiłki i pozostawiano za drzwiami przylegającej do pokoju łazienko-sypialni. Tkwił tam już dłuższy czas. A po co miał wychodzić?

- Nie mógłbyś się trochę pospieszyć? - rzucił oschle.

Corneliusowi krew napłynęła do twarzy.

- Gdyby miał pan złożoną maszynę rezerwową zamiast luźnych części... - powiedział i zamilkł.

Wzruszył ramionami, wyjął niedopałek cygara i przypalił je na nowo; ich zapas musi mu wystarczyć na długo. Anglesey zastanawiał się, czy te kłęby śmierzącego dymu wydmuchiwane były rozmyślnie. Nie lubię cię, panie Ziemiannie Cornelius, i jest to niewątpliwie uczucie odwzajemnione.

- Nie było potrzeby, przynajmniej dopóki nie przylecą inni espmeni - odrzekł ponuro Anglesey. - A instrumenty kontrolne

wykazują, że ta jest w doskonałym stanie.

- Niemniej jednak - odparował Cornelius - w nieregularnych odstępach czasu ulega gwałtownym oscylacjom, od których palą się lampy K. Pytanie brzmi: dlaczego? Chciałbym, aby pan wypróbował tamtą maszynę, jak tylko będzie gotowa. Chociaż, szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby problem w ogóle leżał w elektronice - czy nawet w zjawiskach fizycznych, których nie można przewidzieć.

- A zatem w czym? - Anglesey poczuł się rażniej, kiedy dyskusja przeszła na sprawy czysto techniczne.

- Niech pan uważa. Czym właściwie jest lampa K? Sercem esprojektor. Wzmacnia pańskie naturalne impulsy psi, wykorzystując je do modulowania fali nośnej, i emituje całą wiązkę w dół na Joego. Odbiera też od niego impulsy i wzmacnia je dla pana. Cała reszta to zespoły wzmacniające lampę.

- Oszczędź mi wykładu - burknął Anglesey.

- To tylko powtórka z rzeczy najprostszych - rzekł Cornelius - ponieważ od pewnego czasu dzieje się tak właśnie, że najprostsze rozwiązania znajduje się najtrudniej. Może to nie lampa źle się sprawuje. Może to pan?

- Co? - Biała twarz wytrzeszczyła oczy. Fala narastającej wściekłości przepłynęła po jej wystających kościach.

- To nic osobistego - dodał szybko Cornelius. - Ale wie pan, jaką chytrą bestią jest podświadomość. Załóżmy - to wyłącznie hipoteza robocza - że w głębi duszy pan nie chce być na Jowiszu. Mogę sobie wyobrazić, że jest to raczej przerażające środowisko. Kto wie, czy nie wchodzi tu w grę jakiś utajony czynnik freudowski. Albo, całkiem zwyczajnie, pańskiej podświadomości może wydawać się, że śmierć Joego pociągnie automatycznie pańską śmierć.

- Hm, hm, hm. - *Mirabile dictu*, Anglesey zachował spokój. Tarł podbródek kościstą dłonią. - Możesz się jaśniej wyrażać?

- Tylko ogólnie - odrzekł Cornelius. - Świadoma część pańskiego umysłu śle wiązką psi impulsy motoryczne do Joego. Jednocześnie część podświadoma, przerażona tą sytuacją, emituje impulsy gruczołowo-naczyniowo-sercowo-trzewiowe, towarzyszące stanowi lęku. One działają na Joego. Z kolei jego narastające podenerwowanie jest przenoszone po wiązce psi z powrotem. Czując fizjologiczne objawy lęku przejawianego przez Joego, pańska podświadomość staje się jeszcze bardziej niespokojna, wzmagając tym samym objawy. Teraz jasne? To przypomina zwyczajną neurastenię, z tą różnicą, że ponieważ bierze w tym udział potężny wzmacniacz - lampa K - oscylacje mogą narosnąć lawinowo. Powinien pan być wdzięczny lampie, że się spala - w przeciwnym razie czekałoby to pański mózg!

Przez chwilę Anglesey milczał. Potem roześmiał się. Był to mocny, okrutny śmiech. Cornelius drgnął, gdy niemal zaczęły mu pękać bębni.

- Ciekawy pomysł - powiedział espmen. - Ale obawiam się, że nie będzie pasował do faktów. Widzisz, mnie się tam na dole podoba. I lubię być Joem.

Przerwał na moment, a później ciągnął niemiłym, bezosobowym tonem:

- Nie osądzaj tego środowiska na podstawie moich notatek. Tam są same idiotyczne rzeczy, takie jak szacowania prędkości wiatru, wahań temperatury, zasobów mineralnych - wszystko bez znaczenia. To, czego nie potrafię wyrazić słowami, to obraz Jowisza w czułych na podczerwień oczach Jowiszanina.

- Całkiem odmienny, jak sądzę - zaryzykował Cornelius po chwili nieprzyjemnej ciszy.

- I tak, i nie. To trudno powiedzieć. Nie potrafię nazwać niektórych rzeczy, bo człowiekowi brakuje pojęć. Chociaż... nie, nie jestem w

stanie tego opisać, sam Szekspir by nie umiał. Proszę tylko nie zapominać, że wszystko, co dla nas na Jowiszu jest zimne i trujące, dla Joego jest dobre.

Anglesey stopniowo ściszył głos, jakby zaczął mówić do samego siebie.

- Wyobraź sobie spacer pod rozjarzonym fioletowym niebem, tam, gdzie ogromne, rwące obłoki omiatają cieniem ziemię, a pod nimi wielkimi susami pędzi ulewa. Wyobraź sobie spacer po stokach góry połyskliwej niczym szlifowany metal, kiedy czysty czerwony płomień wybucha ci nad głową i śmieje się ustami ziemi. Wyobraź sobie zimny, szalejący potok i niskie drzewa o ciemnych, miedzianych liściach, i wodospad - metanospad, jeśli sobie życzysz - skaczący w przepaść, a gwałtowny, żywy wiatr rozwiewa jego grzywę, całą w tęczy! Wyobraź sobie wielki las pogrążony w ciemności i oddychający głęboko, a tu i tam miga bladoczerwony błędny ognik, który jest promieniowaniem życia jakiegoś zwinnego, nieśmiałego zwierzaka i... i...

Anglesey zachrypiał i umilkł. Wpatrywał się w swoje zaciśnięte dłonie, po jakimś czasie zacisnął mocno oczy, a po twarzy pociekły łzy.

- Wyobraź sobie, że jesteś silny!

Nagle chwycił hełm, nałożył go na głowę i przekręcił gałki regulacji. Na dole Joe spał od dawna w mroku nocy, ale za chwilę miał się obudzić i... tak długo ryczeć pod czterema wielkimi księżycami, aż cały las się go przestraszy.



Cornelius po cichu wymknął się z pokoju.

W długich promieniach mosiężnego blasku zachodzącego słońca, pod ciemnym wałem chmur nadciągającej burzy długimi krokami wchodził na zbocze góry z poczuciem solidnie przepracowanego dnia. Z ramion zwieszały mu się wyplatane kosze, jeden napełniony cierpkimi owocami ciernistego drzewa, a drugi grubymi jak palce pnączami do sporządzenia liny. Siekiera przy boku chwyciła ostatnie promienie dnia i odbijała je oślepiająco.

Robota nie była ciężka, ale zmęczenie opanowało jego umysł i wcale nie uśmiechały mu się czekające nań zajęcia - gotowanie, sprzątanie i inne. Dlaczego nie przysłali mu jeszcze nikogo do pomocy?

Jego oczy przeszukiwały niebo. Piąty chował się w cieniu; tutaj, na dnie oceanu atmosfery, widziało się tylko Słońce i cztery księżycy galileuszowe. Nie wiedział nawet, gdzie mógł być teraz Piąty względem niego. Chwileczkę, tu jest zachód słońca, lecz gdybym przeszedł do kopuły widokowej, widziałbym Jowisza w ostatniej kwadrze, ale bym... ach, do diabła, jeden obrót wokół planety i tak zabiera nam tylko pół dnia ziemskiego.

Joe potrząsnął głową. Mimo że upłynęło już tyle czasu, niekiedy diabelnie trudno było mu utrzymać jasność myśli. To ja, zasadniczy ja, znajduję się tu, wysoko na niebie, wędrując na Piątym wśród zimnych gwiazd. Pamiętaj o tym. Otwórz oczy, jeśli chcesz, przyjrzyj się wymarłej sterowni położonej na żywym zboczu góry.

Nie zrobił tego, mimo wszystko. Obserwował szare, zniszczone przez wiatr głązy na grubym kobiercu porastających stok roślin. Nie bardzo przypominały ziemskie kamienie, tak jak i gleba pod jego stopami nie była podobna do humusu.

Przez chwilę Anglesey rozmyślał nad pochodzeniem tych krzemianów, glinianów i innych składników kamieni. Teoretycznie rzecz biorąc, wszystkie takie materiały powinny być na zawsze

uwięzione w jądrze planety, gdzie ogromne ciśnienie z łatwością zgniatało i niszczyło atomy. Nad jądrem powinno leżeć tysiące mil alotropowego lodu, a potem warstwa metalicznego wodoru. Tak wysoko miało nie być żadnych złożonych minerałów, a jednak były.

No trudno, być może Jowisz uformował się zgodnie z teorią, ale później wessał przez swą ogromną gardziel grawitacji wystarczająco dużo kosmicznego pyłu, meteorów i gazów, by utworzyć skorupę grubości kilkunastu kilometrów. Cóż oni wiedzą, coż mogą wiedzieć te miękkie, śluzowate robaki z Ziemi?

Anglesey włożył palce do ust - palce Joego - i gwizdnął. Zarośla rozbrzmiały ujadaniem. Dwa ciemne jak noc monstra skoczyły ku niemu. Uśmiechnął się i pogłaskał je po łbach; z tymi małymi czarnych gąsienic, które wziął, nauka szła znacznie szybciej, niż się spodziewał. Będą z nich dobrzy strażnicy, pastuchy, służący.

Na grani wzgórza Joe budował sobie dom. Wykarczował hektar lasu i wzniósł palisadę. Teraz wewnątrz ogrodzenia stała szopa dla niego i jego zapasów, studnia z metanem i zaczątki wielkiej, wygodnej chaty. Lecz pracy było za dużo dla jednej żywej istoty. Chociaż pomagały mu na wespół inteligentne gąsienice i chociaż miał już chłodnię pozwalającą na przechowywanie mięsa, większość czasu wciąż pochłaniało mu zdobywanie żywności. Zwierzyzny też może w końcu zabraknąć; musiał się wziąć za uprawę ziemi, i to przed końcem przyszłego roku - roku jowiszowego równego dwunastu latom ziemskim, pomyślał Anglesey. Była chata do wykończenia i umeblowania, chciał też postawić na rzece młyn wodny - nie, młyn metanowy - do napędzania całego tuzina maszyn, których pomysł przyszedł mu do głowy. Zamierzał również eksperymentować ze stopami lodu oraz...

Poza tym niezależnie od konieczności posiadania kogoś do pomocy, dlaczego miałby pozostawać samotny, być jedyną myślącą

istotą na całej planecie? Fizycznie był płci męskiej, z męskimi instynktami - jeśli będzie żyć jak pustelnik, z pewnością ucierpi na tym jego zdrowie, a w tej fazie sukces całego projektu zależał przede wszystkim od zdrowia Joego.

To nie było w porządku!

Ależ ja nie jestem samotny. Wraz ze mną na satelicie znajduje się pięćdziesięciu ludzi; kiedy chcę, mogę rozmawiać z każdym z nich. Tylko że ja teraz rzadko chcę. Wolę być Joem.

Niemniej jednak... to ja, kaleka, odczuwam całe zmęczenie, gniew, ból, frustrację tej cudownej maszyny biologicznej zwanej Joem. Tamci tego nie rozumieją. Gdy burza amoniakalna obdziera go ze skóry, to ja krwawię.

Joe położył się na ziemi, wzdychając. Kły błysnęły w paszczy czarnej bestii, która wygięta w pałak stanęła nad nim, żeby go polizać po twarzy. Burczało mu w brzuchu, ale odczuwał zbyt duże zmęczenie, by zająć się posiłkiem. Jak tylko wytresuje psy...

O wiele bardziej opłacałaby się edukacja drugiego pseudo...

Niemal to widział w ogarniającej jego znużony mózg ciemności. Tam, w dole na równinie pod wzgórzem, ogień i grzmot, kiedy statek się zatrzymuje. I stalowe jajo otwiera się z trzaskiem, stalowe ramiona - rozpadające się już, nędzna robota ziemiorów! - podnoszą istotę ze środka i kładą ją na ziemi.

Poruszy się, krzycząc przy pierwszym oddechu jowiszowym powietrzem i rozglądając się dookoła pustymi, obojętnymi oczami. I Joe pójdzie po nią, i zanieś ją do domu. Będzie ją karmił, troszczył się o nią, pokaże jej, jak się chodzi - to nie potrwa długo, dorosły organizm nauczy się tych rzeczy bardzo szybko. Po paru tygodniach będzie już mówiła, będzie miała osobowość, duszę.

Czy pomyślałeś kiedykolwiek, Edwardzie Anglesleyu, w czasach, kiedy też mogłeś chodzić, że twoją żoną będzie szary, czworonożny

potwór?

Mniejsza z tym. Najważniejsze to ściągnąć tutaj innych, jemu podobnych - samice i samców. Ograniczony planik Stacji zmuszał go do czekania jeszcze dwa ziemskie lata, nim przyślą mu najwyższej jedną marną imitację, taką jak on sam, marny umysł ludzki, patrzący oczami sprawiedliwie należącymi się Jowiszanie. Nie wolno tego tolerować!

Gdyby nie był taki zmęczony...

Joe usiadł prosto. Senność uleciała w tej samej chwili, w której obudziła się świadomość. To nie on był zmęczony. To Anglesey. Anglesey, ludzka strona jego natury, ten, który od miesięcy zapada jedynie w drzemki, którego spokój został ostatnio zakłócony przez Corneliusa - to ciało ludzkie opadało z sił, dawało za wygraną i emitowało do Joego wraz z wiązką psi jedną po drugiej łagodne fale snu.

Napięcie somatyczne powędrowało ku niebu; Anglesey drgnął i ocknął się.

Rzucił przekleństwo. Kiedy tak siedział z głową w hełmie, wraz ze zmniejszeniem się jego koncentracji psychicznej zanikała plastyczność obrazu Jowisza, jak gdyby planeta stawała się coraz bardziej przezroczysta, a potęgowało się poczucie obecności stalowej klatki, którą było jego laboratorium. Tracił kontakt. Dzięki doświadczeniu sprawnie wprowadził się z powrotem w fazę zgodną z nerwowymi prądami drugiego mózgu. Siłą woli zmuszał Joego do spania, dokładnie tak samo, jak człowiek często zmusza samego siebie.

I jak wszyscy cierpiący na bezsenność, poniósł porażkę. Ciało Joego było zbyt głodne. Wstało z ziemi i poszło przez obozowisko w kierunku chaty.

Lampka K oszalała i spaliła się.



W noc poprzedzającą odlot statków Viken i Cornelius późno poszli spać.

To nie była oczywiście prawdziwa noc. Przez dwanaście godzin miotano maleńkim księżycem wokół Jowisza między ciemnością a powrotem do niej, aczkolwiek blade słońce mogło z powodzeniem ukazać się nad jego skałami, gdy zegary oznajmiły, że w Greenwich nastąpiła godzina duchów. Lecz większość załogi o tej porze spała.

Viken miał kwaśną minę.

- Nie podoba mi się to - powiedział. - Zbyt nagła zmiana planów. Za wysoka stawka.

- Ryzykujecie tylko - no ile? - trzy samce i tuzin samic - odparł Cornelius.

- Oraz piętnaście statków jowiszowych. Wszystkie, jakie mamy. Jeśli idea Angleseya się nie urzeczywistni, miną miesiąc, rok albo i więcej, zanim uda nam się zbudować następne statki i przystąpić na nowo do badań atmosferycznych.

- Lecz jeśli się urzeczywistni - odrzekł Cornelius - to nie będą wam potrzebne żadne statki jowiszowe poza dostarczającymi na dół następne pseudo. Będziecie zbyt pochłonięci rozpracowywaniem danych napływających z powierzchni, żeby w górnych warstwach atmosfery zajmować się głupstwami.

- Oczywiście. Nie spodziewaliśmy się jednak tego tak wcześnie, zamierzaliśmy sprowadzić więcej espmenów, by poprowadzili jeszcze kilku osobników...

- Przecież oni są niepotrzebni - argumentował Cornelius. Wykrzesał życie z niedopałka cygara i zaciągał się dłuższą chwilę, żeby umożliwić rozumowi odszukanie właściwych słów. - W każdym razie przez jakiś czas. Joe znalazł się w takim punkcie swojego

rozwoju, że - jeśli otrzyma pomoc - może przeskoczyć wiele tysięcy lat historii, w niedalekiej przyszłości może mieć nawet coś w rodzaju radia, które poważnie zredukuje znaczenie waszej esprojekcji. Ale pozbawiony pomocy będzie dreptał w miejscu. To głupota kazać wspaniałemu wyszkolonemu ludzkiemu espmenowi zajmować się pracą fizyczną, bo do czego innego potrzebna jest teraz reszta osobników? Kiedy powstanie już porządna osada jowiszowa, to wtedy możecie posyłać na dół więcej marionetek.

- Nie wiadomo jednak - upierał się Viken - czy Anglesey jest w stanie sam wyszkolić wszystkie te marionetki jednocześnie? Przez wiele dni będą bezbronne jak noworodki. Upłyną tygodnie, nim naprawdę zaczną myśleć i działać bez pomocy z zewnątrz. Czy Joe mógłby w tym czasie je pielęgnować?

- Ma nagromadzoną żywność i opał na wiele miesięcy - powiedział Cornelius. - A co się tyczy umiejętności Joego, no cóż, hm, musimy zdać się na sąd Angleseya. Tylko on ma informacje z pierwszej ręki.

- A kiedy wreszcie ci Jowiszanie staną się naprawdę indywidualnościami - niepokoił się Viken - to czy na pewno pójdą w ślady Joego? Proszę pamiętać, że poszczególne osobniki nie są swoimi kalkami. Zasada nieoznaczoności gwarantuje każdemu jedyne w swoim rodzaju zestaw genów. Gdyby w tej całej masie obcych na Jowiszu miał się znajdować tylko jeden ludzki umysł...

- Jeden ludzki umysł? - Nuta wątpliwości była prawie niesłyszalna. Viken otworzył pytająco usta, a Cornelius szybko dodał: - Och, proszę mi wierzyć, Anglesey mógłby kontynuować dominację nad nimi. Jego osobowość jest na swój sposób... potężna.

Viken wyglądał na zaskoczonego.

- Naprawdę pan tak myśli?

Psionik skinął głową.

- Owszem. W ostatnich tygodniach poznałem go lepiej niż ktokolwiek inny. A moja profesja, rzecz jasna, zwraca mnie raczej ku psychologii człowieka aniżeli jego ciała czy manierom. Pan widzi w nim złośliwego kalekę. Ja dostrzegam umysł, który odreagował swoje ułomności fizyczne przez wytworzenie takiej piekielnej energii, takiej siły koncentracji, że to mnie przeraża. Dać tej psychice krzepkie ciało na jej potrzeby, a świat stanie przed nią otworem.

- Może ma pan rację - szepnął po pewnym czasie Viken. - To nie znaczy, że to właśnie odegrało jakąś rolę. Decyzja została podjęta. Rakiety jutro lecą na dół. Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy.

Umilkł na chwilę. Szum wentylatorów w jego małym pokoju wydawał się nienaturalnie głośny, a barwy wiszącej na ścianie fotografii dziewczyny - szokująco jaskrawe. Następnie bez pośpiechu powiedział:

- Pan nie lubi mówić o sobie, Janie. Kiedy spodziewa się pan ukończyć własny esprojektor i przystąpić do testowania?

Cornelius rozejrzał się dookoła. Na korytarzu nie było nikogo; mimo to zamknął drzwi, nim z lekkim uśmiechem odrzekł:

- Jest już gotów od kilku dni. Ale proszę nikomu nie mówić.

- Jak to? - Viken drgnął. Gwałtowny ruch ciała przy niskim ciężeniu wyrzucił go z krzesła na środek stołu. Zsunął się z powrotem na miejsce i unióśł pytająco brwi.

- Ja tylko udawałem, że coś dłubię - powiedział Cornelius - ale przede wszystkim wyczekiwałem na pewien wysoce emocjonalny moment, chwilę, kiedy będę miał absolutną pewność, że cała uwaga Angleseya skupia się na Joem. Jutrzejšie wydarzenia są właśnie tym, czego mi trzeba.

- W jakim celu?

- Siebie przekonałem bardzo łatwo, że kłopoty z maszyną są

natury psychologicznej, nie technicznej. Sądzę, że dla jakiegoś powodu, zepchniętego do jego podświadomości, Anglesey nie chce obcować z Jowiszem. Konflikty tego typu mogą z powodzeniem doprowadzić wzmacniacze psi do oscylacji.

- Hm, hm, hm. - Viken tarł podbródek. - Może być. Ed ostatnio zmienia się coraz bardziej. Kiedy zjawił się tu pierwszy raz, był co prawda dość porywczy, ale przynajmniej grywał z nami w pokera. Teraz tak się zamknął w tej swojej skorupie, że go w ogóle nie widać. Nigdy przedtem nie zastanawiałem się nad tym, ależ... tak, na Boga, Jowisz musiał wywrzeć na niego jakiś wpływ!

- Hm, hm, hm. - Cornelius kiwał głową. Nie rozwinął tematu, nie wspomniał na przykład o tym jednym, całkowicie nietypowym epizodzie, kiedy Anglesey starał mu się opowiedzieć, jak to jest na Jowiszu.

- Oczywiście - ciągnął w zadumie Viken - jego poprzedników nie dotknęło to szczególnie. Eda początkowo, gdy jeszcze zajmował się pseudo-Jowiszami niższych gatunków, także nie. Zaczął się tak zmieniać dopiero wtedy, gdy na powierzchnię zszedł Joe.

- Tak, tak - rzucił Cornelius. - Tyle wiem i ja. Ale dość już o sprawach zawodowych...

- Nie. Proszę chwileczkę poczekać - powiedział Viken niskim, natarczywym głosem, patrząc ponad Corneliusiem. - Pierwszy raz zaczynam jasno zdawać sobie z tego sprawę. Nigdy naprawdę się nad tym nie zastanawiałem, po prostu zaakceptowałem złą sytuację. Jest coś osobliwego w naszym Joem. To na pewno nie może dotyczyć jego budowy fizycznej ani tamtejszego środowiska, bo niższe formy nie sprawiały takich trudności. A może coś się kryje w fakcie, że Joe jest na całym świecie pierwszą marionetką o potencjalnie ludzkiej inteligencji?

- To są czyste spekulacje - powiedział Cornelius. -

Prawdopodobnie jutro będę mógł panu odpowiedzieć. Teraz nie wiem nic.

Viken wyprostował się na krześle. Utkwił zamglone oczy w siedzącym naprzeciwko mężczyźnie, nie mrugając powiekami.

- Jedną chwileczkę - powiedział.

- Tak? - Cornelius uniósł się. - Tylko szybko, proszę. Powinienem już być w łóżku.

- Pan wie dużo więcej, niż mówi - powiedział Viken. - Mam rację?

- Z czego pan to wnosi?

- Nie należy pan do grona najbardziej uzdolnionych kłamców na świecie. A poza tym bardzo stanowczo popierał pan projekt Angleseya, by wysłać na dół pozostałe marionetki. Bardziej, niż można było tego oczekiwać po przybyśzu z zewnątrz.

- Mówiłem panu, chciałem, żeby jego uwaga skupiła się na czymś w czasie, kiedy...

- Aż tak panu na tym zależy? - zapytał ochryple Viken.

Cornelius milczał przez chwilę, potem westchnął i odchylił się do tyłu.

- W porządku - powiedział. - Będę musiał polegać na pańskiej dyskrecji. Widzi pan, nie byłem pewien, jak zareagowałby stary personel Stacji. W związku z tym nie chciałem się ujawniać ze swoimi podejrzeniami, które mogą być fałszywe. Niezbite dowody, zgoda - powiem im; ale nie chciałem atakować ludzkiej religii na podstawie byle hipotezy.

Viken zmarszczył brwi.

- O czym, u licha, pan mówi?

Cornelius mocno ssał cygaro; jego koniuszek bladł i rozjaśniał się niczym czerwona diaboliczna gwiazda w miniaturze.

- Piąty jest czymś więcej niż stacją naukową - powiedział spokojnie. - To jest styl życia, prawda? Nikt nie przyleci tu nawet na

jeden zaciąg, jeżeli praca nie będzie dla niego rzeczą ważną. Ci, co zostają dłużej, muszą odnajdować w pracy coś, czego Ziemia ze wszystkimi swoimi bogactwami nie jest w stanie im zaoferować. Czyż nie?

- Tak - odparł Viken. To był niemal szept. - Nie przypuszczałem, że zrozumie pan to aż tak dobrze. Ale co z tego?

- No cóż, wolałbym tego nie mówić, chyba że będę potrafił swoje słowa udowodnić: że może wszystko poszło na marne, że zmarnowaliście życie i mnóstwo pieniędzy, a teraz będziecie musieli pakować się i wracać do domu.

W pociągłej twarzy Vikena nie drgnął ani jeden mięsień; sprawiała wrażenie zakrzepłej.

- Dlaczego?

- Proszę rozważyć Joego - powiedział Cornelius. - Jego mózg jest równie pojemny, jak przeciętny mózg dorosłego człowieka. Rejestruje wszystkie dane czuciowe, które docierają do niego od chwili „urodzenia”, tworząc w sobie ich zbiór, w swoich własnych komórkach, a nie wyłącznie w technicznym banku pamięci Angleseya tutaj na orbicie. Wie pan również, że myśl także stanowi daną czuciową. A myśli nie poruszają się po odrębnych, konkretnych torach, one tworzą pole ciągłe. Zawsze kiedy Anglesey jest w kontakcie z Joem i myśli, to owa myśl przechodzi zarówno przez synapsy Joego, jak i przez jego własne - i każda myśl niesie łańcuchy skojarzeń, i wszystkie kojarzone wspomnienia są rejestrowane. Na przykład kiedy Joe buduje chatę, kształty belek mogą przypominać Angleseyowi jakąś figurę geometryczną, która z kolei może mu się kojarzyć z twierdzeniem Pitagorasa...

- Rozumiem, o co chodzi - powiedział oględnie Viken. - Przy odpowiednim nakładzie czasu mózg Joego przejmie wszystko, co kiedykolwiek było w mózgu Eda.

- Słusznie. A więc funkcjonujący system nerwowy z utrwalonym zapisem wzoru doświadczeń, w tym wypadku nieludzki system nerwowy - czyż to nie całkiem dobra definicja osobowości?

- Przypuszczam, że tak. Dobry Boże! - Viken aż podskoczył. - Czy to znaczy, że Joe... przejmuje?

- W pewnym sensie. Subtelnie, mimowolnie, nieświadomie. - Cornelius wziął głęboki oddech i skoczył na głęboką wodę: - Pseudo-Jowiszanie to niemal doskonała forma życia: wasi biologowie wmontowali w nią całe doświadczenie zdobyte na błędach popełnionych przez naturę w procesie tworzenia nas. Początkowo Joe był tylko zdalnie sterowaną maszyną biologiczną. Potem Anglesey i Joe stali się dwoma przejawami tej samej osobowości. Następnie - och, bardzo powoli - silniejsze i zdrowsze ciało... większy zakres możliwości dla jej myślenia... rozumie pan? Joe zaczyna dominować. Weźmy tę sprawę wysłania na dół innych pseudo - Angleseyowi tylko wydaje się, że ma logiczne powody, dla których tego chce. Faktycznie jego powody to tylko rozumowe argumenty dla instynktownych pragnień drugiego przejawu osobowości - dla pragnień Joego.

Podświadomość Angleseya musi odnieść się do nowej sytuacji z niechęcią, w sposób reaktywny; musi odczuwać, że świadoma część jego osobowości zostaje stopniowo przygniatana przez ogromną siłę instynktów Joego i pragnień Joego. Stara się obronić swą tożsamość i zostaje przytrzaśnięta przez przeważającą siłę własnej, rodzącej się podświadomości Joego.

Przedstawiłem to skrótowo - zakończył tonem ubolewania - lecz właśnie to jest odpowiedzialne za oscylację w lampach K.

Viken kiwał głową powoli, jak starzec.

- Tak, rozumiem - odparł. - Obce środowisko tam na dole... inna struktura mózgu... Dobry Boże! Ed jest wchłaniany przez Joego!

Władca i animator marionetek sam się zmienia w marionetkę! - Wyglądał, jakby zrobiło mu się słabo.

- To są tylko moje spekulacje - powiedział Cornelius. Raptem poczuł się bardzo zmęczony. Nie było mu przyjemnie mówić to wszystko Vikenowi, którego lubił. - Ale rozumie pan dylemat, czyż nie? Jeśli mam rację, wówczas każdy espmen przeistoczy się powoli w Jowiszana - potwora o dwu ciałach, z których ciało ludzkie będzie nieważnym dodatkiem. A to oznacza, że w przyszłości żaden espmen nie zgodzi się poprowadzić jakiegokolwiek marionetki - a więc koniec z waszym projektem.

Wstał.

- Przykro mi, Arne. Zmusił mnie pan do powiedzenia, co myślę, a teraz będzie pan leżał bezsennie i cierpieć, a ja mogę się całkowicie mylić i pan gryzie się niepotrzebnie.

- W porządku - burknął Viken. - Być może pan się myli.

- Sam już nie wiem. - Cornelius skierował się w stronę drzwi. - Jutro zamierzam znaleźć niektóre odpowiedzi. Dobranoc.



Wstrząsający powierzchnią Piątego grzmot rakiet, bach, bach, bach, startujących ze swoich wyrzutni, dawno ucichł. Flotyła szybowała już wśród żywiołów jowiszowego nieba na metalowych skrzydłach, odkształconych dodatkowymi silnikami strumieniowymi.

Gdy Cornelius otwierał drzwi sterowni, tamten spoglądał na konsolę z czujnikami. W innym miejscu ktoś przekazywał jednostajnym głosem wiadomość do wszystkich stacji. Jeden statek rozbity, dwa statki rozbite, lecz Anglesey, w czasie gdy nosił hełm, nie pozwalał żadnym dźwiękom wedrzeć się do jego świadomości.

Uprzejmy technik zamocował nad esprojektorem Corneliusa tablicę z piętnastoma czerwonymi i niebieskimi sygnalizatorami świetlnymi, by również on był informowany na bieżąco. Dla pozorów, oczywiście, umieszczono je tam wyłącznie ze względu na Angleseya, chociaż espmen zaręczał, że nawet na nie nie spojrzy.

Cztery spośród czerwonych lampek były ciemne, a zatem i cztery niebieskie nie zaświecą się, by zawiadomić o pomyślnym lądowaniu. Trąba powietrza, piorun, ruchomy okruch lodowy, stado płaszczkowatych ptaków o ciałach twardych i sztywnych jak żelazo - mnóstwo rzeczy mogło zgnieść cztery statki i rozrzucić ich szczątki wśród trujących lasów.

Cztery statki, cholera! Pomyśl o czterech żywych istotach ze wspaniałością mózgu dorównującego twojemu, najpierw skazanych na lata mroku w nieświadomości, a potem - nigdy nieoprzytomniałych, z wyjątkiem jednej nedorzecznej chwili - roztrzaskiwanych na krwawe drzazgi o górę lodową. Bezsens tej brutalności jak zimny kamień przygniatał serce Corneliusa. Musiało się tak stać, niewątpliwie, jeśli na Jowiszu miało pojawić się kiedykolwiek rozumne życie; ale z drugiej strony niechby się to już stało prędko i przy jak najmniejszych stratach, tak aby następne pokolenie mogło być zrodzone dzięki miłości, a nie przez maszyny!

Zamknął za sobą drzwi i przez chwilę stał, wstrzymując oddech. Ed Anglesey to był tylko fotel na kółkach i miedziana krzywizna hełmu na tle ściany po przeciwnej stronie laboratorium. Żadnego ruchu, najmniejszego zainteresowania tym, co się dzieje dookoła. To dobrze. Byłoby niezręcznie, może wręcz katastrofalnie, gdyby Anglesey dowiedział się o tej potajemnej obserwacji. Ale wcale go to nie interesowało. Odgrodził się od wszelkich widoków i odgłosów z zewnątrz murem swojej koncentracji.

Niemniej jednak psionik ostrożnie przynosił swą masywną postać

na drugi koniec pokoju ku nowemu esprojektorowi. Nie lubił odgrywać roli szpicla, nie podjąłby się jej wcale, gdyby widział jakieś inne wyjście. Nie odczuwał jednak z tego powodu specjalnych wyrzutów sumienia. Jeśli prawdą było to, co podejrzewał, to Anglesey zupełnie nieświadomie wikłał się w coś nieludzkiego; podglądanie go w tej sytuacji mogło się równać ratowaniu mu życia.

Cornelius delikatnie uaktywnił instrumenty pomiarowe i rozpoczął nagrzewanie swoich lamp. Z oscyloskopu wbudowanego w maszynę Angleseya pobierał jego dokładny rytm alfa, służący psionikowi jako podstawowy zegar biologiczny. Najpierw się z tym zestrzajasz, potem odkrywasz na wyczucie składniki subtelniejsze, a kiedy wasza aparatura jest już całkowicie zgodna w fazie, możesz niezauważenie zagłębić się i...

Stwierdzić, co było nie tak. Przystudiować udręczoną podświadomość Angleseya i przekonać się, co takiego jest w Jowiszu, że zarówno pociąga go, jak i przeraża.

Pięć statków rozbitych.

Przecież to już najwyższy czas, żeby wreszcie lądowały. Może tylko pięć przepadnie na zawsze. Może dziesięć pozostałych się przebijie. Dziesięcioro przyjaciół dla - dla Joego?

Cornelius westchnął. Popatrzył na siedzącego inwalidę, głuchego i ślepego na ludzki świat, który go wpędził w kalectwo, i ogarnęły go uczucia litości i gniewu. Ani pierwsze, ani drugie nie było sprawiedliwe.

Nawet w stosunku do Joego. Joe wcale nie był jakimś diabłem pożerającym ludzkie dusze. Nie zdawał sobie przecież dotychczas sprawy, że jest odrębną istotą zwaną Joem, że Anglesey staje się marnym dodatkiem. Joe nie prosił się na świat, a odebranie mu jego ludzkiego odpowiednika najprawdopodobniej oznaczałoby zniszczenie go.

Jakoś tak się dzieje, że kiedy ludzie przekroczą granice przyzwoitości, czeka ich kara.

Cornelius w myśli sklął siebie. Jest zadanie do wykonania. Usiadł i założył na głowę hełm. Fala nośna dawała niewielką pulsację, niesłyszalną, drganie neuronów w głębi jego umysłu. Tego się nie da opowiedzieć.

Sięgnąwszy ręką do góry, dostroił się do alfy Angleseya. Jego własna miała nieco niższą częstotliwość, było więc to niezbędne, by przenieść sygnały przez proces heterodynowania. Wciąż brak odbioru. No trudno, trzeba naturalnie odnaleźć dokładny kształt fali, barwa tonu była równie zasadniczą sprawą dla myśli, jak dla muzyki. Nie spiesząc się, z najwyższą ostrożnością kręcił gałkami.

Coś mignęło w jego świadomości, wizja chmur kłębiących się na fioletowym niebie, wiatru, który cwałował przez bezkresny ogrom - stracił ją. Palce mu drżały, gdy na nowo się dostrajał.

Wiązka psi między Joem a Angleseyem pogrubiała. To włączyło Corneliusa do obwodu. Patrzył oczami Joego, stał na wzniesieniu i wpatrywał się w niebo nad lodowymi górami, wytyczając wzrok w poszukiwaniu pierwszej rakiety, a równocześnie nadal był Janem Corneliusiem, jak przez mgłę widzącym wskaźniki, myszkującym za emocjami, symbolami, jakimś kluczem do uwięzionego w duszy Angleseya przerażenia.

Przerażenie wezbrało i uderzyło go w twarz.

Detekcja psioniczna nie polega na biernym podsłuchiowaniu. Podobnie jak odbiornik radiowy, który z konieczności staje się również słabym nadajnikiem, tak i system nerwowy w rezonansie ze źródłem energii widma psi zaczyna emanować. W normalnych warunkach zjawisko to nie ma oczywiście znaczenia, lecz kiedy przepuszczasz impulsy w obie strony przez układ heterodynujących i wzmacniających urządzeń z głębokim ujemnym sprzężeniem

zwrotnym...

Na wczesnym etapie rozwoju psychoterapia psioniczna nie została dopuszczona do praktyki leczniczej, gdyż wzmocnione myśli jednego człowieka po przeniknięciu do mózgu drugiego łączyły się z jego procesami nerwowymi zgodnie ze zwykłym polem prawa wektorowego. W rezultacie dwoje ludzi odczuwało nowe częstotliwości w formie koszmarnego trzepotania myśli; doświadczony w samokontroli psychoanalityk mógł je ignorować, jego pacjent - nie, i reagował gwałtownie.

Ostatecznie jednak zmierzono podstawowe długości ludzkich fal i terapia psioniczna zawitała do gabinetów lekarskich. Nowoczesne esprojektory analizują wchodzący sygnał i przekształcają jego indywidualne cechy na zgodne z „wzorcem” odbiorcy. Rzeczywiście, odmienne impulsy mózgu „nadawcy”, których w żaden sposób nie można przyporządkować wzorowi neuronów odbiorczych - tak jak sygnałów o przebiegu wykładowym praktycznie nie da się wiernie nałożyć na sinusoidę - zostają odfiltrowane.

Skompensowana w taki sposób cudza myśl może być rozumiana równie łatwo jak własna. Jeśli pacjenta umieści się w obwodzie wiązki psi, doświadczony terapeuta jest w stanie podłączyć się bez jego wiedzy. I mógłby sondować myśli drugiego człowieka albo zaszcześcić mu swoje własne.

Plan Corneliusa, oczywisty dla każdego psionika, polegał na tym: przejmie sygnały nieświadomej tego pary Anglesey/Joe. Jeśli jego hipoteza jest słuszna i osobowość espmena przeobrażała się w osobowość jakiegoś monstrum, jego myślenie okaże się zbyt obce, by mogło przejść przez filtry. Odbierze jakieś strzępy albo w ogóle nic. Jeśli hipoteza była fałszywa i Anglesey był wciąż Angleseyem, odbierze jedynie zwykły ludzki strumień świadomości i będzie mógł sondować dalej, w poszukiwaniu innych powodujących trudności

czynników. Jego mózg zagrzmiał!



Co się ze mną dzieje?

Przez chwilę interferencja, która zwróciła jego myśli na piłokształtny zgrzyt, zalewała go falami lęku. Gwałtownie łapał oddech, tam na wietrze jowiszowym, i jego straszne psy poczuły w nim obcość i zaskomlały.

Później rozpoznanie, przypomnienie i wybuch gniewu tak wielkiego, że nie pozostawiał miejsca na lęk. Joe napełnił płuca i krzyknął to na głos, aż zбочe rozbrzmiało echem:

- Precz z mojego umysłu!

Czuł, jak Cornelius zanika po spirali ku nieświadomości; przytłaczająca siła jego własnego ciosu psychicznego była zbyt wielka. Wybuchnął śmiechem, który bardziej przypominał warknięcie, i złagodził presję.

Nad jego głową, wśród burzowych chmur, błysnął ogień z dyszy pierwszej nadlatującej rakiety.

Umysł Corneliusa na nowo po omacku dążył ku światłu, przeciął wodnistą powierzchnię; usta mężczyzny otwierały się łapczywie za tlenem, a jego dłonie szukały pokręteł, by wyłączyć maszynę i uciec.

- Nie tak szybko, ty. - Joe zawzięcie wzmagął nakaz utrzymujący mięśnie Corneliusa w stalowym uścisku. - Chcę wiedzieć, o co tu chodzi. Siedź cicho i daj mi popatrzeć! - Unicestwił impuls, który mógłby zostać zinterpretowany jako znak zapytania. Pamięć eksplodowała na wszystkie strony w przodomózgowiu psionika.

- A więc to tak. Sądziłeś, że mam stracha zejść tutaj na dół i być Joem, i ciekawiło cię, dlaczego? Przecież ci mówiłem, że nie mam!

Powinienem był uwierzyć, szepnął Cornelius.

- No cóż, zatem wynoś się z obwodu - kontynuował Joe. - I nie pokazuj się nigdy w sterowni, rozumiano? Lampy K czy co innego, nie chcę cię więcej widzieć. I może jestem kaleką, ale jeszcze potrafię rozłożyć cię na kawałki, jedna komórka po drugiej. Teraz wyłącz się - zostaw mnie samego, za chwilę nadlatuje pierwszy statek.

Ty jesteś kaleką - ty, Joe Anglesey?

- Co? - Wielka szarawa istota na wzgórzu uniosła barbarzyńską głowę, jak na dźwięk niespodziewanych trąb. - O co ci chodzi?

Czyżbyś nie rozumiał, zapytała słaba, wlokąca się myśl. Przecież wiesz, na jakiej zasadzie działa esprojektor. Wiesz, że mogłem sondować psychikę Angleseya, nie wywołując aż tyle interferencji, żeby być zauważonym. A nie mogłbym w ogóle sondować nieludzkiej psychiki i ona również nie mogłaby być świadoma mnie. Filtry nie przepuściłyby takiego sygnału. A jednak wyczułeś mnie w pierwszym ułamku sekundy. To może jedynie oznaczać ludzki umysł w nieludzkim mózgu.

Nie jesteś już półżywym kaleką na Piątym. Jesteś Joe... Joe Angleseyem.

- Hm, bodaj cię diabli - odparł Joe. - Masz rację.

Wyłączył Angleseya, brutalnym impulsem wyrzucił Corneliusa ze swojej psychiki i pobiegł w dół na spotkanie statku kosmicznego.

Kilka minut później Cornelius wstał. Rozsadzało mu czaszkę, czuł, że za chwilę rozleci się na kawałki. Po omacku sięgnął do głównego wyłącznika, pstryknął nim w dół, zerwał hełm z głowy i rzucił go ze szczękiem na podłogę. Trzeba było jednak trochę czasu, by zebrać siły i wykonać te same czynności za Angleseya. Tamten nie był w stanie nic zrobić dla siebie.



Siedzieli przed izbą chorych i czekali.

Tylko Viken i Cornelius przebywali w tym ciasnym pomieszczeniu. Reszta załogi, oczekując na wiadomość, co się stało, krzątała się dla zabicia czasu wokół własnych spraw. Za drzwiami trójka biotechników stanowiących również personel medyczny stacji walczyła z aniołem śmierci o stworzenie, które było Edwardem Angleseyem.

- Dziesięć statków przedostało się na dół - powiedział głucho Viken. - Dwa samce i siedem samic. Wystarczy do założenia kolonii.

- Ze względów genetycznych pożądane byłoby mieć więcej - zauważył Cornelius. Starał się mówić szeptem wbrew wyczuwalnej w jego głosie pogodzie ducha. Był w tym wszystkim odcień niesamowitości.

- W dalszym ciągu tego nie rozumiem - przyznał Viken.

- Och, to całkiem jasne - teraz. Być może powinienem odgadnąć to wcześniej. Znaliśmy wszystkie fakty, problem w tym, że nie potrafiliśmy dokonać prostej, oczywistej interpretacji. Nie, musieliśmy wywołać ducha potwora Frankensteina.

- No i zabawiliśmy się we Frankensteina, prawda? - Słowa Vikena zabrzmiały jak zgrzyt. - Teraz Ed walczy tam ze śmiercią.

- To zależy, jak pan definiuje śmierć. - Cornelius długo zaciągał się cygarem, potrzebując czegokolwiek, co pozwoliłoby mu odzyskać równowagę. Jego głos był rozmyślnie wyprany z emocji.

- Proszę posłuchać i rozważyć fakty. Czym jest właściwie Joe? Stworzeniem z mózgiem o pojemności ludzkiego mózgu, lecz niemającym psychiki - jakaż doskonała tabula rasa Locke'a dla piszącej na niej wiązki psi Angleseya. Wywnioskowaliśmy zupełnie prawidłowo - może tylko trochę późno - że kiedy napisze się dostatecznie dużo, powstanie osobowość. Ale czyja? Ponieważ ze

zwykłego ludzkiego lęku przed nieznanym, tak mi się wydaje, przypuszczaliśmy, że każda osobowość w takim obcym ciele musiała być straszna. A w związku z tym - wroga Angleseyowi; na pewno go wchłania...

Otworzyły się drzwi. Obaj mężczyźni zerwali się z miejsc.

Naczelny chirurg pokiwał głową.

- To na nic. Typowe urazy po głębokim wstrząsie, już bliski zejścia. Gdybyśmy mieli lepsze wyposażenie, to może...

- Nie - wtrącił się Cornelius. - Nie da się uratować człowieka, który nie chce dłużej żyć.

- Wiem. - Lekarz ściągnął maskę z twarzy. - Marzę o papierosie. Czy któryś z panów mógłby mnie poczęstować? - Jego ręce lekko drżały, gdy sięgał do papierośnicy Vikena.

- Lecz jak on może... nie chcieć... czegokolwiek? - wykrztusił fizyk. - Jest stale nieprzytomny, odkąd Jan wyciągnął go z tego... z tego stwora.

- To było zdecydowane wcześniej - odparł Cornelius. - W gruncie rzeczy tamten kadłubek na stole operacyjnym nie posiada już psychiki. Wiem o tym. Byłem tam.

Wzdrygnął się. Tylko dzięki silnej dawce środka uspokajającego mógł odpędzić koszmar. Później będzie musiał wymazać to wspomnienie.

Lekarz zaciągnął się głęboko, zatrzymał dym w płucach, a potem wydmuchnął go gwałtownie.

- To chyba kładzie kres projektowi - powiedział. - Nie zdobędziemy drugiego espmena.

- Żebyście wiedzieli, że nie. - Głos Vikena zabrzmiał złowieszczo. - Zamierzam osobiście rozwalić tę szatańską maszynę.

- Stop, zaczekaj pan chwilę! - wykrzyknął Cornelius. - Nie rozumie pan? To nie jest koniec! To dopiero początek!

- Lepiej wróć do siebie - powiedział lekarz. Zgasił papierosa i wszedł do ambulatorium. Drzwi zamknęły się za nim ze śmiertelną ciszą.

- Co pan ma na myśli? - Viken powiedział to tak, jakby stawiał mur obronny.

- Nie może pan nie rozumieć! - wrzeszczał Cornelius. - Joe ma wszystkie myśli Angleseya, zwyczaje, całą pamięć, fobie, zainteresowania. Ach tak, inne ciało i inne środowisko - to oczywiście wywołuje pewne zmiany, ale nie większe od tych, jakie mógłby przechodzić każdy człowiek na Ziemi. Gdyby wyleczyć pana nagle z wyniszczającej choroby, to czy nie stałby się pan człowiekiem trochę wybuchowym i szorstkim? Nie ma w tym niczego nienormalnego. Ani w tym, że chce się być zdrowym, prawda? Rozumie pan?

Viken usiadł. Chwilę milczał, potem nagle rzekł bardzo powoli i ostrożnie:

- Czy to znaczy, że Joe jest Edem?

- Albo odwrotnie. Jak pan woli. Sądzę, że teraz nazywa siebie Joe - to imię jest jakby symbolem wolności - chociaż nadal pozostaje sobą. Czym jest jaźń, jeśli nie ciągłością egzystencji? - On sam nigdy nie pojął tego do końca. Wiedział tylko - mówił mi to, a ja powinienem był mu uwierzyć - że na Jowiszu był silny i szczęśliwy. Dlaczego oscylowały lampy K? Objaw histerii! Podświadomość Angleseya nie bała się pozostawiania na Jowiszu - ona bała się powrotu!

A potem, dziś rano, podłączyłem się do niego. Do tej pory całe życie Eda koncentrowało się na Joem. Chodzi mi o to, że głównym źródłem energii emocjonalnej i umysłowej było męskie ciało Joego, a nie chore ciało Angleseya. To oznaczało odmienny wzorzec impulsów mózgowych - nie nazbyt obcych, by zostały odfiltrowane, choć wystarczająco obcych, by spowodować interferencję. W rezultacie on wyczuł moją obecność. I zrozumiał prawdę, tak samo

jak ja.

Wie pan, jakie było ostatnie uczucie, z którym Joe wyrzucał mnie ze swojej duszy? Już nie złość. Postąpił brutalnie, ale były w nim pokłady radości.

Wiedziałem, jaką silną osobowość ma Anglesey. Licho wie, dlaczego przyszło mi na myśl, że mózg przerośniętego dziecka, taki jak u Joego, mógłby ją zdruzgotać? Tutaj, w gabinecie, lekarze - ciach! Usiłują ratować powłokę, którą odrzucono, bo jest niepotrzebna!

Cornelius umilkł. Zaszło mu w gardle od mówienia. Przemierzał w tę i z powrotem korytarz i puszczał wokół kłęby dymu z cygara, nie zaciągając się nim. Po kilku minutach Viken rzekł nieśmiało:

- Zgoda. Pan wie najlepiej, jak pan twierdzi - był pan tam. Ale co teraz? Jak się skontaktujemy z Edem? Czy on w ogóle będzie zainteresowany nawiązaniem łączności z nami?

- O tak, ma się rozumieć - odparł Cornelius. - On jest wciąż sobą, proszę o tym pamiętać. Powinien być trochę sympatyczniejszy, skoro uwolnił się od wszelkich frustracji kaleki. Kiedy przejdzie mu zaniepokojenie nowymi przyjaciółmi, będzie potrzebował kogoś, z kim może porozmawiać jak równy z równym.

- A ściśle mówiąc, kto poprowadzi następnego pseudo? - zapytał ironicznie Viken. - W mojej skórze jest mi całkiem dobrze, nie ma głupich!

- Czy Anglesey był jedynym nieuleczalnym kaleką na Ziemi? - szepnął Cornelius.

Viken wytrzeszczył oczy. Starzejący się ludzie także się znajdują - mówił psionik, jakby sam do siebie. - Któregoś dnia, mój przyjacielu, kiedy pan i ja poczujemy, że życia jest coraz mniej, a tyle się będzie wokół nas dziać - może i nam spodoba się perspektywa przedłużenia życia w ciele Jowiszana. - Pokiwał głową nad swoim cygarem. - Surowe, pełne wigoru, burzliwe życie, na pewno - niebezpieczne,

awanturnicze, gwałtowne - ale takie, którego nikt być może nie przeżył od czasów Elżbiety I. O, nie będzie większego kłopotu ze znalezieniem Jowiszan.

Odwrócił głowę ku wychodzącemu po raz drugi chirurgowi.

- No i co? - zachrypiał Viken.

Lekarz usiadł.

- To już koniec.

Milczeli przez chwilę w zakłopotaniu.

- To dziwne - rzekł lekarz. Szukał nerwowo papierosów, których nie miał. Viken poczęstował go bez słowa. - To dziwne. Widziałem już takie przypadki. Ludzi po prostu rezygnujących z życia. Ale ten był pierwszy, który odchodził z tego świata uśmiechnięty. Uśmiechnięty przez cały czas.

Przełożył Wiesław Lipowski

Robert A. Heinlein

WSZYSCY WY ZMARTWYCHWSTALI...

Robert Heinlein (1907-1988), jeden z tytanów Złotego Wieku SF, zaczął pisać fantastykę naukową w 1939r., po krótkiej karierze wojskowej (pierwsza powieść, „For Us, the Living: A Comedy of Customs”, przez wiele lat uważana za zaginioną, ukazała się w kilkanaście lat po jego śmierci, w 2004r.). Debiutował opowiadaniem „Life-Line” w magazynie „Astounding” w sierpniu 1939r. Wkrótce stał się płodnym dostarczycielem tekstów do magazynów SF, zwłaszcza „Astounding SF”, gdzie ukazała się większość jego najlepszych wczesnych tekstów. W opowiadaniach „Drogi muszą być w ruchu”, „We Also Walk Dogs”, „Blowups Happen” i innych Heinlein ukazał, w jaki sposób przyszłe osiągnięcia nauki i techniki mogą wpływać na kulturę i cywilizację na każdym ich poziomie. Opowiadania, jakie Heinlein zebrał w zbiorach „The Man Who Sold the Moon” (1950), „The Green Hills of Earth” (1951) i „Revolt in 2100” (1953), należą do najwcześniejszej i najświetniejszej historii przyszłości. Zebrano je ostatecznie w niemal kompletny zestaw „The Past through Tomorrow” (1967, oprócz prekursorskiej powieści „Orphans of the Sky”, 1941, wydanie książkowe 1963 - o wyizolowanej społeczności statku-arki). Proza Heinleina jest ceniona za analizę tematów społecznych i politycznych oraz opisy społeczeństw, w których interesy prywatne i grupowe często stoją w sprzeczności. W „Methuselah’s Children” (1958,

także część historii przyszłości) znajdujemy grupę nieśmiertelnych, zrodzonych w wyniku selektywnej hodowli; osoby pozbawione tego daru grożą im zagładą. „Luna to surowa pani” (1966, Hugo) barwnie odmalowuje bunt kolonii na Księżycu, usiłującej się wyrwać spod kontroli ziemskiego rządu. „Władcy marionetek” (1951), najświetniejsze studium indywidualnej i zbiorowej świadomości, opisuje wysiłki mieszkańców Ziemi usiłujących odeprzeć inwazję kosmicznych pasożytów, które zamierzają zniewolić ludzkość, tworząc „mrowisko” o zbiorowej nadświadomości (jest to zarazem wyraz zimnowojennych lęków Ameryki dotyczących ekspansji Rosji komunistycznej). Tuż po drugiej wojnie światowej Heinlein tworzył edukacyjne powieści SF dla młodych czytelników (ale czytali je także dorośli), m.in.: „Space Cadet” (1948), „Farmer in the Sky” (1950), „Między planetami” (1951), „Daleki patrol” (1953), „The Star Beast” (1954), „Wkładaj kombinezon i w drogę” (1958) oraz „Kawalerię kosmosu” (1959, Hugo), kontrowersyjną powieść o zmilitaryzowanej przyszłości, gdzie o wolności i prawach obywatelskich decyduje służba w wojsku. „Drzwi do lata” (1957) to powieść z bliskiej przyszłości, prognoza rozwoju gospodarczego i społecznych trendów, którą czas szybko przekreślił, ale jest tak barwna i sugestywna, że nadal dobrze się ją czyta. „Obcy w obcym kraju” (1961, Hugo) przedstawia wychowanego na Marsie mesjanicznego bohatera, który obnaża korupcję i hipokryzję ziemskiej cywilizacji. Jest to pierwsza powieść SF, która znalazła się na krajowej liście bestsellerów, zwiastun Nowej Fali i biblia hipisów. Interesujące pendant do historii przyszłości stanowi cykl o nieśmiertelnym Lazarusie Longu (z powieści „Methuselah’s Children”): „Time Enough for Love” (1973), „The Number of the Beast” (1980), „Kot, który przenika ściany” (1985, także swoista kontynuacja powieści „Luna to surowa pani”) i „To Sail Beyond the Sunset” (1987). Złote myśli i refleksje Lazarusa Longa na temat kondycji ludzkiej zostały wydane w

osobnej książeczce, „The Notebook of Lazarus Long” (1978). Opowiadania SF Heinleina złożyły się na zbiory: „Assignment in Eternity” (1953), „The Menace from Earth” (1959) i „The Worlds of Robert Heinlein” (1966; wersja niemal trzykrotnie rozszerzona o eseje i reportaże z przyszłości nosi tytuł „Expanded Universe, 1980). „Destination Moon” (1979) zawiera opowiadanie, scenariusz i wspomnienie Heinleina dotyczące realizacji filmu „Kierunek Księżyc” (1950). Heinlein jest także autorem trzech mikropowieści fantasy: „Waldo and Magic, Inc.” (1950, „waldoes” to zdalnie sterowane narzędzia i instrumenty chirurgiczne; termin ten, ukuty przez Heinleina od nazwiska bohatera, przyjął się w życiu realnym) oraz opowiadań zebranych w tomie „The Unpleasant Profession of Jonathan Hoag” (1959, trzecia mikropowieść, tytułowa, opowiada o człowieku pozbawionym pamięci, który wynajmuje detektywa, aby wyśledził, co on sam tak naprawdę robi w ciągu całego dnia, a to, co odkrywają, nie jest nielegalne, ale złe i nadprzyrodzone, a Hoag nie jest tu ani sprawcą, ani ofiarą!); komplet tych utworów zawiera tom „The Fantasies of Robert A. Heinlein” (1999). Jedyne powieści fantasy Heinleina to: „Szlak chwały” (1963) i „Hiob: komedia sprawiedliwości” (1984, nagroda „Locusa”). Po polsku wydano także „Szóstą kolumnę” (1949), „Dublera” (1956, Hugo; inny tytuł: „Podwójna gwiazda”), „Piętaszka” (1982). Dwie z wydanych u nas powieści Heinleina, „Władcy marionetek” i „Obcy w obcym kraju”, to przekłady wersji okrojonych, a kompletne ukazały się w USA w roku 1990 (w wypadku „Obcego” w grę wchodzi ponad sto stron). Heinleinowi przypadł w udziale zaszczyt najwyższy - w 1974r. otrzymał jako pierwszy autor, tytuł Wielkiego Mistrza, przyznawany przez związek zawodowy pisarzy Science Fiction Writers of America.

22.17 V (wsch.)
strefy czasu - 7 list. 1970
- Nowy Jork - Bar u Taty.

Akurat przecierałem kieliszek do koniaku, kiedy wszedł Samotna Matka. Spojrzałem na zegarek: 10.17 wieczorem piątej strefy, czyli czasu wschodniego, dnia 7 listopada 1970 roku. Agenci temporalni zawsze zwracają uwagę na godzinę i datę - musimy.

Samotna Matka to dwudziestopięcioletni mężczyzna mniej więcej mojego wzrostu o rysach dziecka i drażliwym usposobieniu. Z wyglądu nigdy mi się nie podobał, ale to przez niego się tutaj znalazłem, jego miałem zwerbować. Przywitałem go zadowolonym uśmiechem barmana.

Może jestem zbyt krytyczny. Nie był gogusiowaty; jego przezwisko wzięło się stąd, że kiedy jakiś wścibski facet pytał go, czym się zajmuje, mówił:

- Jestem samotną matką.

A jeśli nie był w nastroju graniczącym z chęcią popełnienia mordu, dodawał:

- Za cztery centy od słowa. Pisuję zwierzenia.

Jeżeli czuł się podle, czekał na jakąś ofiarę. W zwarcu był zabójczy jak policjantka - i z tego właśnie powodu go potrzebowałem. Ale nie wyłącznie dlatego.

Był zalany i na jego twarzy malowała się większa niż zwykle pogarda dla ludzi. Bez słowa nalałem mu podwójną Old Underwear i zostawiłem butelkę. Wypił, sam nalał sobie jeszcze raz.

Wytarłem blat.

- Co słyszeć u Samotnej Matki?

Zacisnął palce na kieliszku i wydawało się, że zaraz nim we mnie

rzuci. Sięgnąłem pod bar po pałkę. W manipulacjach z czasem staramy się wszystko przewidzieć, ale w grę wchodzi tak wiele czynników, że nigdy nie należy bez potrzeby ryzykować.

Zauważyłem, że złagodniał o ten niewielki ułamek, na który uczą nas zwracać uwagę w ośrodku szkoleniowym naszego Biura.

- Przepraszam - powiedziałem. - Chciałem po prostu zapytać, jak sprawy. Niech będzie, że pytałem o pogodę.

Sprawił wrażenie skwaszonego.

- Sprawy w porządku. Ja piszę, oni drukują, ja mam co włożyć do gęby.

Nalałem sobie i pochyliłem się ku niemu.

- W rzeczy samej - rzekłem - pisze pan całkiem nieźle. Czytałem parę kawałków. Zdumiewająco dobrze rozumie pan kobiety.

Musiałem zaryzykować; nigdy się nie przyznał, jakich używa pseudonimów. Ale był tak ugotowany, że tylko to ostatnie zwróciło jego uwagę.

- Rozumiem kobiety! - powiedział, parskając. - Taa, rozumiem kobiety. Powinienem.

- Czyżby? - spytałem z powątpiewaniem. - Ma pan siostry?

- Nie. Nie uwierzyłby pan, gdybym wszystko opowiedział.

- No, no - odezwałem się łagodnie - barmani i psychiatrzy wiedzą, jak dziwna może być prawda. Gdybyś, synu, słyszał to, co ja, zrobiłbyś majątek. Niewiarygodne.

- Pan nie wie, co to niewiarygodne!

- Czyżby? Nic mnie nie zdziwi. Słyszałem gorsze rzeczy.

Znowu parsknął.

- Założymy się o to, co zostało w butelce?

- Założę się o całą - odparłem i postawiłem na barze pełną butelkę.

Dałem znak drugiemu barmanowi, żeby mnie zastąpił. Byliśmy

przy końcu blatu, gdzie góra słoików z konserwowanymi jajami i różne inne rzeczy tworzyły ustronny kącik z jednym stolikiem. Przy drugim końcu kilku gości oglądało walki, ktoś włączył szafę grającą; tutaj jednak nikt nam nie przeszkadzał.

- Dobra - zaczął - na początek: jestem bękartem.

- Tutaj to nic szczególnego - rzekłem.

- Ale jestem - warknął. - Moi rodzice nie mieli ślubu.

- W dalszym ciągu nic szczególnego - upierałem się. - Moi też nie.

- Kiedy... - przerwał i po raz pierwszy posłał mi cieplejsze spojrzenie, jakiego jeszcze u niego nie widziałem. - Serio?

- Jasne. Jestem stuprocentowym bękartem. Właściwie - dodałem - w mojej rodzinie nikt nie bierze ślubu. A to tylko wygląda jak obrączka.

Pokazałem mu antyczny pierścionek, kupiony w osiemdziesiątym piątym od kolegi agenta, który przywiózł go z przedchrześcijańskiej Krety.

- Noszę to, żeby odstręczać kobiety. To Wąż Ouroboros... Wąż-Świat, który zjada własny ogon, wiecznie, bez końca. Symbol Wielkiego Paradoksu.

Ledwie raczył nań spojrzeć.

- Jeśli naprawdę jest pan bękartem, zna pan to uczucie. Kiedy byłem małą dziewczynką...

- Oj! Czyżbym się przesłyszał? - rzekłem.

- Kto tu opowiada? Kiedy byłem małą dziewczynką... Czy obito się panu o uszy nazwisko Christine Jorgenson? Albo Roberta Cowell?

- Aaa, te przypadki zmiany płci. Chce mi pan powiedzieć...

- Proszę mi nie przerywać i niczego nie sugerować, bo nic nie powiem. W 1945 roku, kiedy miałem miesiąc, podrzuciono mnie do sierocińca Cleveland. Jako mała dziewczynka zazdrościłem innym dzieciom, że mają rodziców. A później, gdy dowiedziałem się o

seksie, a wierz mi, tatku, w sierocińcu człowiek szybko się uczy...

- Wiem.

- ...poprzysiągłem sobie, że każde moje dziecko będzie miało i tatę, i mamę. Zachowałem „czystość”, a to duża sztuka w takim otoczeniu... Musiałem nauczyć się bić, żeby mi się to udało. Potem podrosłem i uświadomiłem sobie, że nie mam najmniejszych szans, żeby wyjść za mąż... z tego samego powodu, dla którego mnie nie adoptowali - nachmurzył się. - Miałem końską twarz i krzywe zęby, płaskie piersi i proste włosy.

- Wygląda pan nie gorzej ode mnie.

- A kto zwraca uwagę na wygląd barmana? Czy pisarza? Ale ludzie chcą adoptować tylko śliczne błękitnookie i złotowłose idiotki. Później chłopcy chcą wybujałego biustu, ładnej buzi i zachowania typu „jaki z ciebie wspaniały mężczyzna”. - Wzruszył ramionami. - Nie mogłem z nimi konkurować. Postanowiłem więc wstąpić do K. O. B. I. T. E. K.

- Mm?

- Kobiocy Oddział Bezpośredniej Integracji Towarzyskiej Ekip Kosmicznych, który teraz nosi nazwę Aniołki Kosmosu, czyli Antynostalgiczno-Interwencyjny Oddział Usprawniania Ekip Kosmicznych.

Poznałem obie te nazwy, kiedy ustawiłem je sobie w czasie. Obecnie używamy jeszcze innego, trzeciego określenia dla tej elitarniej służby wojskowej: Damski Zespół Interwencyjny w kwestii Integracji. Przesunięcie semantyczne jest najgorszą przeszkodą przy skokach w czasie - czy wiecie, że „stacja obsługi” oznaczała niegdyś punkt wydawania frakcji ropy naftowej? Pewnego razu, kiedy wykonywałem zadanie w czasach Churchilla, jakaś kobieta powiedziała mi, że się spotkamy w pobliskiej stacji obsługi. Ale to było coś innego, niż myślicie, bo ówczesna „stacja obsługi” nie miała

w środku łóżka.

- Stało się to wtedy - mówił dalej - gdy po raz pierwszy stwierdzono, że nie można wysyłać mężczyzn w kosmos na długie miesiące i lata bez możliwości rozładowywania wiadomego napięcia. Pamięta pan, jaki krzyk podnieśli purytanie? Brakowało ochotniczek, co zwiększało moje szanse. Dziewczyna musiała być porządna, najlepiej dziewica (lubili je szkolić od samego początku), umysłowo powyżej przeciętnej i emocjonalnie zrównoważona. Ale ochotniczkami były przeważnie stare pudła albo neurotyczki, które by się załamały po dziesięciodniowym pobycie w kosmosie. Nie musiałem więc ładnie wyglądać; gdyby mnie przyjęli, wyprostowaliby mi zęby, zrobili trwałą, nauczyli chodzić i tańczyć, i jak należy słuchać, żeby mężczyzna czuł się zadowolony, oraz wszystkich innych rzeczy, łącznie ze szkoleniem w podstawowych obowiązkach. Zastosowaliby nawet chirurgię plastyczną, aby tylko „naszym chłopcom” niczego nie brakowało.

Ale najlepsze, że zadbali o to, aby dziewczyna nie zaszła w ciążę podczas werbunku... każda zaś była prawie pewna, że wyjdzie za mąż pod koniec podróży. Tak samo dziś „aniołki” wychodzą za kosmonautów... mówią tym samym językiem.

Kiedy miałem osiemnaście lat, umieszczono mnie w pewnej rodzinie jako pomoc do dziecka. Oni po prostu potrzebowali taniej służącej, ale nie miałem nic przeciwko temu, bo nie mogłem się zaciągnąć przed ukończeniem dwudziestu jeden lat. Zajmowałem się domem i chodziłem do wieczorówki, udając, że w dalszym ciągu uczę się maszynopisania i stenografii, a zamiast tego uczęszczałem na kursy kosmetyczne, żeby zwiększyć swoje szanse podczas rekrutacji.

Potem poznałem jednego cwaniaczka ze studolarówkami. - Spochmurniał. - Ten nicpoń naprawdę miał całą furę studolarówek. Pokazał mi je któregoś wieczoru i kazał mi się poczęstować.

Ale nie wziąłem. Lubiłem go. To pierwszy mężczyzna, jakiego spotkałem, który był dla mnie miły i nie próbował się do mnie dobierać. Rzuciłem szkołę, żeby częściej się z nim widywać. To najszczęśliwszy okres w moim życiu.

Później, pewnego wieczoru w parku zaczął się do mnie dobierać.

Przerwał.

- A potem? - spytałem.

- Potem nic! Nigdy już go nie widziałem. Odprowadził mnie do domu i powiedział, że mnie kocha... pocałował na dobranoc i nigdy już nie wrócił. - Spojrzał ponuro. - Gdybym tylko mógł go znaleźć, zabiłbym.

- No cóż - odezwałem się ze zrozumieniem - wiem, co pan czuje. Ale zabić... tylko za to, co przychodzi naturalnie... hm... Szukał go pan?

- A co to ma do rzeczy?

- A ma, i to wiele. Może sobie zasłużył, żeby mu przyłożyć za zerwanie z panem, ale...

- Zasłużył sobie na coś gorszego! Niech pan poczeka, aż skończę. Nikt niczego nie podejrzewał i uznałem, że dobrze się stało. Tak naprawdę nie kochałem go i nigdy nikogo nie pokocham... zależało mi na wstąpieniu do K. O. B. I. T. E. K., jak nigdy. Nie odrzucili mnie, nie upierali się przy dziewicach. To mnie pocieszyło, póki nie uświadomiłem sobie, że moje spódnice zrobiły się za ciasne.

- Cięża?

- Wrobił mnie jeszcze bardziej! Te skąpiradła, u których mieszkałem, nie zwracały na to uwagi, dopóki mogłem pracować... potem mnie wywaliły, a z powrotem do sierocińca nie chcieli mnie przyjąć. Wylądowałem w klinice dla ubogich w otoczeniu innych brzuchatych bab i poobijanych basenów, do chwili gdy przyszedł na mnie czas.

Którejś nocy znalazłem się na stole operacyjnym i pielęgniarka

powiedziała, żebym się rozluźnił i głęboko oddychał. Obudziłem się w łóżku, zdrętwiały od stóp aż po klatkę piersiową. Wszedł mój chirurg.

„Jak się pani czuje?” - spytał wesoło.

„Jak mumia”.

„To normalne. Jest pani tak samo zabandażowana i nafaszerowana lekarami, aby nic nie czuć. Przyjdzie pani do siebie... ale cesarskie to nie zastrzał”. „Cesarskie - powiedziałem. - Doktorze, czy straciłam dziecko?”. „Skądże znowu. Pani dziecko czuje się świetnie”. Odetchnąłem.

„Chłopiec czy dziewczynka?” - spytałem.

„Zdrowa dziewczucha. Prawie dwa i pół kilograma”.

Ulżyło mi. To duża rzecz urodzić dziecko. Pomyślałem sobie, że gdzieś wyjadę, podam się za mężatkę, a dzieciakowi powiem, że ojciec nie żyje... nie, moje dziecko nie pójdzie do sierocińca!

Ale chirurg mówił dalej.

„Proszę mi powiedzieć, eee... - zwracał się do mnie bezosobowo - ...czy nigdy nie było problemów z układem hormonalnym?”.

„Co? - zdziwiłem się. - Oczywiście, że nie. Do czego pan zmierza?”.

Zawahał się.

„Powiem wszystko za jednym zamachem, a potem zastrzyk nasenny i prześpiemy sobie wszystkie nerwy. A jest się czym zdenerwować”. „Dlaczego?” - spytałem.

„Słyszałem o szkockim lekarzu, który do trzydziestego piątego roku życia był kobietą... Potem przeszedł operację i stał się mężczyzną z prawnego i medycznego punktu widzenia. Ożenił się i wszystko było dobrze”.

„A co to ma wspólnego ze mną?”.

„To, co mówię. Jest pani mężczyzną”.

Usiadłem na łóżku.

„Co takiego?”.

„Tylko spokojnie. Kiedy panią otworzyłem, złapałem się za głowę. Posłałem po naczelnego chirurga, a sam tymczasem wyjąłem dziecko. Później, z panią na stole, odbyliśmy konsultację i po paru godzinach pracy uratowaliśmy, co się dało. Miała pani dwa komplety organów, oba niedojrzałe, ale zestaw żeński dostatecznie rozwinięty, żeby urodzić dziecko. Do niczego już by się nie przydał, więc go usunęliśmy, porządkując wszystko tak, że może się pani prawidłowo rozwijać jako mężczyzna. Proszę się nie martwić. Jest pani młoda, kości się ułożą, będziemy obserwować równowagę hormonalną... i zrobimy z pani wspaniałego młodzieńca”.

Rozpłakałem się.

„A co z moim dzieckiem?”.

„No cóż, nie może jej pani karmić, pani mleka nie starczy nawet dla małego kotka. Ja tam bym jej nawet nie oglądał i zgodził się na adopcję”. „Nie!”.

Wzruszył ramionami.

„Wybór należy do pani, pani jest jej matką... eee... rodzicem. Ale teraz proszę się nie martwić, najpierw doprowadzimy panią do zdrowia”.

Następnego dnia pozwolili mi zobaczyć córkę i widywałem ją codziennie, starając się do niej przyzwyczaić. Nigdy przedtem nie widziałem dopiero co urodzonego niemowlaka i nie miałem pojęcia, jak okropnie takie coś wygląda - a ona wyglądała jak pomarańczowa małpka. Moje uczucia do niej zmieniły się w chłodne postanowienie, że będę traktował ją przyzwoicie. Ale w cztery tygodnie później nie miało to już żadnego znaczenia.

- Mm?

- Porwali ją.

- Porwali?

Samotna Matka omal nie przewrócił butelki, o którą się założyliśmy.

- Porwali... ukradli ją z oddziału niemowlęcego! - westchnął ciężko. - Jak można było pozbawić człowieka ostatniej rzeczy, dla której żył?

- Paskudna sprawa - zgodziłem się. - Należę panu. Nie było żadnych poszlak?

- Policja niczego nie znalazła. Ktoś przyszedł ją zobaczyć, podając się za jej wujka. Kiedy pielęgniarka się odwróciła, zabrał dziecko i wyszedł.

- Jak wyglądał?

- Po prostu mężczyzna o przeciętnej twarzy, jak pańska czy moja. - Zmarszczył brwi. - Sądzę, że ojciec dziecka. Pielęgniarka przysięgała, że był to człowiek starszy, ale prawdopodobnie się ucharakteryzował. Któż inny mógłby gwizdnąć dziecko? Takie numery robią bezdzietne kobiety, ale żeby mężczyzna?

- Co się potem z panem działo?

- Przebywałem w tym ponurym miejscu jeszcze przez jedenaście miesięcy i przeszedłem trzy operacje. Po czterech miesiącach zaczęła mi rosnać broda, a przed wyjściem regularnie się goliłem... i już nie wątpiłem, że jestem mężczyzną. - Uśmiechnął się krzywo. - Zaglądałem pielęgniarkom w dekolty.

- Cóż - rzekłem - wydaje mi się, że dobrze pan to zniósł. Jest pan normalnym, nieźle zarabiającym mężczyzną bez poważniejszych kłopotów. A życie kobiety nie jest łatwe.

Spojrzał na mnie.

- Dużo pan o nim wie!

- A bo co?

- Słyszał pan kiedyś wyrażenie „zrujnowana kobieta”?

- Hm. Przed laty. Dziś niewiele znaczy.

- Byłem tak zrujnowany, jak zrujnowana może być tylko kobieta. Ten oszust naprawdę mnie zrujnował. Nie byłem już kobietą... i nie wiedziałem, jak być mężczyzną.

- Przypuszczam, że to kwestia przyzwyczajenia.

- Nie ma pan pojęcia. To nie sprawa ubioru czy wchodzenia do właściwej toalety; tego nauczyłem się w klinice. Ale jak tu żyć? Gdzie znaleźć pracę? Cholera, nawet nie potrafiłem prowadzić samochodu. Nie miałem żadnego zawodu, nie mogłem pracować fizycznie... za dużo zbliżnowaceń, zbyt delikatny.

U K. O. B. I. T. E. K. nie miałem już czego szukać i za to również go nienawidziłem, ale nie wiedziałem jak bardzo, dopóki zamiast tam nie spróbowałem wstąpić do Korpusu Kosmicznego. Wystarczyło jedno spojrzenie na mój brzuch, żeby lekarz wojskowy uznał mnie za niezdolnego do służby. Bardzo długo mnie badał, po prostu z ciekawości: czytał o moim przypadku.

Zmieniłem więc nazwisko i przyjechałem do Nowego Jorku; pracowałem jako pomocnik kucharza, a potem wypożyczyłem maszynę do pisania i otworzyłem punkt usługowy, ale było to śmiechu warte, bo w ciągu czterech miesięcy przepisałem cztery listy i jeden rękopis. Rękopis miał iść do „Opowieści z życia wziętych”, choć szkoda było nań papieru, ale ten bęcwał, który to napisał, sprzedał go. To podsunęło mi pewien pomysł: kupiłem całą stertę magazynów drukujących historyjki z życia i przestudiowałem je sobie. - Spojrzał cynicznie. - Teraz już pan wie, skąd się bierze ten autentyzm w moich opowieściach samotnych matek: z tej jedynej wersji, której nie sprzedałem, tej prawdziwej. No i co, wygrałem?

Popchnąłem butelkę w jego stronę. Sam byłem nie w humorze, lecz miałem do wykonania zadanie.

- Synu - rzekłem - czy w dalszym ciągu chcesz dostać w łapy tego łobuza?

Oczy mu zajaśniały dzikim blaskiem.

- Spokojnie - powiedziałem. - Ale go nie zabijesz?

Zachichotał groźnie.

- Sprawdź.

- Uspokój się. Wiem o tym więcej, niż ci się zdaje. Mogę ci pomóc.

Wiem, gdzie on jest.

Rzucił się na bar i chwycił mnie za koszulę.

- Gdzie?

- Puść mnie, synu - powiedziałem cicho, pokazując pałkę - bo wylądujesz na ulicy i powiemy gliniarzom, że zemdlałeś. Puść.

- Przepraszam. Ale gdzie on jest? - Spojrzał na mnie. - I skąd aż tyle wiesz?

- Wszystko we właściwym czasie. W klinikach i sierocińcach są kartoteki, istnieją karty choroby. Przełożoną twojego sierocińca była Mrs. Fetherage, a potem Mrs. Gruenstein, zgadza się? Jako dziewczynka miałeś na imię Jane, zgadza się? A tego przecież mi nie mówiłeś, prawda?

Zbiło go to z tropu i z lekka przestraszyło.

- Co jest grane? Chcesz mi narobić kłopotów?

- Nic podobnego. Pragnę twojego dobra. Mogę ci rzucić w ramiona tego typka i zrobisz z nim, co uznasz za stosowne. Ale go nie zabijesz, bo byłbyś niespełna rozumu, a nie jesteś. Nie do tego stopnia.

Zignorował ostatnią uwagę.

- Skończ z tym gadaniem. Gdzie on jest?

Nalałem mu trochę; był pijany, lecz gniew go otrzeźwił.

- Nie tak szybko. Ja zrobię coś dla ciebie... ty zrobisz coś dla mnie.

- Hm... co mianowicie?

- Nie lubisz swojej pracy. A co byś powiedział na wysoką pensję, stałe zajęcie, konto dyspozycyjne bez ograniczeń, w robocie sam

byłbyś sobie szefem, praca urozmaicona i pełna przygód?

Popatrzył na mnie zdziwiony.

- Powiedziałbym, że na wierzbie rosną gruszki. Daj sobie spokój, tatusiu, nie ma takiej roboty.

- Dobrze, zrobimy więc tak: ja ci go dam, załatwisz z nim porachunki, a potem weźmiesz tę pracę. Jeśli nie będzie taka, jak powiedziałem, cóż, nie mam zamiaru cię zmuszać.

Kiwał się; sprawił to ostatni kieliszek.

- Kiedy go dostanę? - zabełkotał ochrypłym głosem i wyciągnął do mnie rękę. - Umowa stoi!

Dałem znak swemu pomocnikowi, żeby zajął się całym barem. Spojrzałem na zegarek - 23.00 - i pochyliłem się, by przejść pod blatem, kiedy szafa grająca ryknęła: „Jestem swoim własnym dziadkiem!”. Kazałem obsłudze naładować ją kompozycjami amerykańskimi i klasykami, bo nie trawię tak zwanej muzyki z lat siedemdziesiątych, ale nie wiedziałem, że na taśmie znalazła się i ta piosenka.

- Wyłącz to i zwróć gościowi pieniądze - wykrzyknąłem i dodałem: - Idę do magazynu. Zaraz wracam.

W korytarzu, naprzeciwko wejścia do toalety, znajdowały się stalowe drzwi, do których klucz mieliśmy tylko ja i kierownik dziennej zmiany; wewnątrz były jeszcze jedne drzwi, ale do nich klucz miałem tylko ja. Weszliśmy tam.

Rozejrzał się mętłym wzrokiem po ścianach bez okien.

- Gdzie on jest?

- Już, już - odparłem. Otworzyłem walizkę - jedyny przedmiot w tym pokoju. Był to polowy transformator współrzędnych USFF, seria 1992, model II - piękna rzecz, ani jednej ruchomej części, z pełnym wyposażeniem waży tylko dwadzieścia trzy kilogramy, a wygląda jak zwykła walizka. Już wcześniej tego dnia dokładnie go nastawiłem i

jedyne, co mi pozostało do zrobienia, to rozwinąć siatkę, która ogranicza pole transformacji, co też uczyniłem.

- Co to? - spytał.

- Wehikuł czasu - odparłem i narzuciłem na obu nas siatkę.

- Ej! - krzyknął i cofnął się.

Trzeba mieć technikę: siatkę należy zarzucić tak, aby ten ktoś instynktownie się cofnął i wszedł na jej metalowe oczka, a potem dokładnie ją zamknąć, aby obie osoby znalazły się w całości wewnątrz niej, inaczej można zostawić podeszwy albo część stopy czy też zabrać ze sobą kawałek podłogi. I na tym polega cała umiejętność. Niektórzy agenci naprowadzają delikwenta na siatkę; ja tam zawsze mówię prawdę i korzystam z tej chwili zupełnego zaskoczenia, by nacisnąć przełącznik. Tak też zrobiłem.

10.30 - vi - 3 kwietnia 1963 - Cleveland, stan Ohio, Apex Building:

- Ej! - krzyknął ponownie. - Zdejmij to cholerstwo!

- Przepraszam - powiedziałem i uczyniłem to: wepchnąłem siatkę do walizki i zamknąłem ją. - Twierdziłeś, że chcesz go znaleźć.

- Ale... mówiłeś, że to wehikuł czasu!

Wskazałem na okno.

- A czy to wygląda na listopad? Albo Nowy Jork?

Kiedy gapił się na świeże pąki i wiosenną pogodę, otworzyłem walizkę, wyjąłem paczkę banknotów studolarowych, sprawdziłem, czy numery i podpisy odpowiadają rokowi 1963. Tych z Biura Czasu mało obchodzi, ile się wydaje (pieniądze nic nie kosztują), ale nie lubią niepotrzebnych anachronizmów. Ktoś robi za dużo błędów i zaraz sąd wojskowy skazuje na roczne zesłanie w jakimś paskudnym

okresie, powiedzmy w roku 1974, z jego kartami na żywność i przymusową pracę. Nigdy nie robię takich błędów; pieniądze były w porządku. Odwrócił się do mnie i powiedział:

- Co się stało?

- On jest tutaj. Wyjdź i dostań go. Tu masz forszę na wydatki. - Wcisnąłem mu pieniądze i dodałem: - Załatw go, a potem cię zabiorę.

Studolarówki mają hipnotyczny wpływ na człowieka, który nie jest do nich przyzwyczajony. Kiedy go wypuszczałem do holu, obmacywał je z niedowierzaniem. Zamknąłem za nim drzwi na klucz. Z łatwością dokonałem następnego skoku - tylko niewielkie przesunięcie na skali stulecia.

17.00 - vi - 10 marca 1964 - Cleveland - Apex Building:

Pod drzwiami leżała kartka z wiadomością, że za tydzień mam zwolnić pokój, który poza tym wyglądał jak przed chwilą. Na dworze drzewa były nagie i zanosiło się na śnieg. Spieszyłem się; wstąpiłem tylko po ówczesne pieniądze, marynarkę, kapelusz i palto, które tam zostawiłem, kiedy wynajmowałem pokój. Minęło dwadzieścia minut, nim udało mi się tak zanudzić pielęgniarkę z oddziału niemowlęcego, że mogłem niepostrzeżenie zwędzić dziecko. Wróciłem z nim do Apex Building. Tym razem nastawianie czasu było trudniejsze, gdyż w roku 1945 budynek ten jeszcze nie istniał. Ale już wcześniej zdążyłem sobie to przeliczyć.

01.00 - vi - 20 września 1945 -

Cleveland - motel „Skyview”:

Z transformatorem polowym i dzieckiem zajechałem do motelu za miastem. Zameldowałem się jako Gregory Johnson z Warren w stanie Ohio i w ten sposób wylądowaliśmy w pokoju, w którym story były zaciągnięte, okna pozamykane, drzwi zaryglowane, a z podłogi wszystko uprzątnięte, żeby maszyna miała swobodę, kiedy wchodzi w drgania. Krzesło stojące w nieodpowiednim miejscu może zrobić niezłego siniaka; oczywiście nie samo krzesło, lecz jego odbicie od pola.

Żadnych kłopotów. Jane spała głębokim snem; wyniosłem ją, wsadziłem do tekturowego pudełka na siedzeniu zawczasu przygotowanego samochodu, pojechałem do sierocińca. Zatrzymałem się przy stacji obsługi (tej od produktów naftowych) i zatelefonowałem do sierocińca; wróciłem do samochodu akurat na czas, by zobaczyć, jak wnoszą pudło do środka. Nie zatrzymując się, pojechałem dalej, porzuciłem samochód w pobliżu motelu, do którego wróciłem pieszo i przeskoczyłem do Apex Building w 1963 roku.

22.00 - VI - 24 kwietnia 1963 - Cleveland - Apex Building:

Z wszystkim zdążyłem prawie na styk - dokładność przy podróżach w czasie zależy od ich długości - poza powrotem do momentu zerowego. Jeśli się nie myliłem, tam, w parku, Jane właśnie odkrywała podczas tej rozkosznej wiosennej nocy, że nie jest tak całkiem „przyzwoitą” dziewczyną, jak myślała. Złapałem

taksówkę do domu tych skąpiradeł, kazałem kierowcy poczekać za rogiem, a sam przyczaiłem się w cieniu.

Wkrótce zauważyłem ich w głębi ulicy: szli objęci. Odprowadzał ją na sam ganek i długo całował na dobranoc - dłużej, niż myślałem. Niepostrzeżenie zrównałem z nim krok i wziąłem pod rękę.

- To wszystko, synu - powiedziałem cicho. - Wróciłem po ciebie.

- To ty! - wykrztusił i dech mu zaparło.

- Ja. Teraz już wiesz, kto nim jest... a jak się zastanowisz, będziesz wiedział, kim ty jesteś... a jeśli dobrze pomyślisz, to zgadniesz, kim jest dziecko... i kim jestem ja.

Nie odpowiedział. Był ogromnie wstrząśnięty. To dla każdego szok, kiedy mu się udowodni, że uwodzi samego siebie. Zabrałem go do Apex Building i znów dokonaliśmy skoku.

23.00 - VIII - 12 sierpnia 1985 - baza Rockies:

Obudziłem dyżurnego sierżanta, pokazałem mu legitymację i poleciłem po zaaplikowaniu pigułki szczęścia położyć do łóżka mojego towarzysza, a rano zwerbować. Sierżant był skwaszony, ale ranga jest rangą bez względu na erę; zrobił, co kazałem, myśląc niewątpliwie, że następnym razem on może będzie pułkownikiem, a ja sierżantem. A takie coś może się zdarzyć w naszym korpusie.

- Jak się nazywa? - spytał.

Kiedy napisałem nazwisko, zdziwił się.

- Ach, tak? No, no, no...

- Róbcie swoje, sierżancie. - Przywołałem go do porządku i zwróciłem się do mego towarzysza: - Synu, skończyły się twoje kłopoty. Wkrótce rozpoczniesz najlepszą pracę, jaką kiedykolwiek

miał człowiek... i dobrze zrobisz. Ja to wiem.

- Pewnie, że dobrze zrobisz - powiedział sierżant. - Spójrz tylko na mnie: urodziłem się w 1917, a wciąż jestem na chodzie, ciągle młody i dalej cieszę się życiem.

Wróciłem do pokoju z maszyną czasu, nastawiłem wszystko na zero.

23.01 - V -7 listopada 1970 - Nowy Jork - Bar U Taty:

Wyszedłem z magazynu, niosąc butelkę drambuie, żeby jakoś usprawiedliwić swoją jednogminutową nieobecność. Mój pomocnik sprzeczał się z gościem, który włączył „Jestem swoim własnym dziadkiem!”.

- Daj mu posłuchać - powiedziałem - a potem to wyłącz.

Byłem bardzo zmęczony.

To wstrętne, ale ktoś to musi robić, a ostatnio, od czasu wielkiej wpadki z 1972 roku, tak bardzo trudno kogokolwiek zwerbować. Czy można sobie wyobrazić lepszy sposób niż wybieranie ludzi mających całkiem pogmatwane życie w czasach, w których żyją, i oferowanie im dobrze płatnej, interesującej (choćby nawet niebezpiecznej) pracy w słusznej sprawie. Wszyscy teraz wiedzą, dlaczego „nieudana wojna” w 1963 roku skończyła się fiaskiem. Bomba przeznaczona dla Nowego Jorku nie wybuchła i sto innych rzeczy nie wyszło zgodnie z planem - wszystko to przygotowali tacy jak ja.

Ale nie wpadka z 1972 - tym razem to nie była nasza wina i nie można tego odwrócić; nie ma tu żadnego paradoksu do naprawiania. Coś jest albo czegoś nie ma teraz i zawsze, na wieki wieków amen. Ale drugiej takiej pomyłki nie będzie: pewien rozkaz datowany

„1992” ma pierwszeństwo bez względu na rok.

Zamknąłem bar pięć minut wcześniej, zostawiwszy w kasie list, w którym zawiadamiałem kierownika dziennej zmiany, że przyjmuję jego ofertę i zgadzam się odstąpić mu swój udział, i żeby skontaktował się z moim adwokatem, gdyż wyjeżdżam na długi urlop. Ci z biura mogą odebrać od niego należność albo nie, lecz chcą, by wszystko zostawiać po sobie w należyтым porządku. Poszedłem do pokoju za magazynem i przeniósłem się do 1993 roku.

**22.00 - VII - 12 stycznia 1993 -
pawilon w Sub Rockies -
Dowództwo Korpusu:**

Zgłosiłem oficerowi dyżurnemu swój powrót i poszedłem do siebie z zamiarem przespania całego tygodnia. Zabrałem ze sobą butelkę, o którą się założyliśmy (ostatecznie ją wygrałem) i napiłem się przed sporządzeniem raportu. Okropnie mi nie smakowało i zacząłem się zastanawiać, dlaczego w ogóle dotychczas lubiłem Old Underwear. Jednak to lepsze niż nic; nigdy nie lubię być całkiem trzeźwy, za dużo wtedy myślę. Ale też i nie upijam się: inni po pijanemu widzą węże, ja zaś ludzi.

Podyktowałem raport; biuro potwierdziło przyjęcie czterdziestu zwerbowanych - łącznie ze mną, bo wiedziałem, że mnie przyjmą. Byłem tu przecież, no nie? Potem wystukałem na maszynie prośbę o przeniesienie do służby operacyjnej; obrzydło mi werbowanie. Wrzuciłem oba pisma do automatu i ruszyłem w stronę łóżka.

Moje spojrzenie padło na „Regulamin czasu” nad łóżkiem: Nigdy nie rób wczoraj tego, co masz zrobić jutro.

Jeśli w końcu zrobisz karierę, nigdy nie próbuj tego jeszcze raz.

Spięcie w czasie oszczędza dziewięć miliardów.

Paradoks można sparadoksować.

Już jest wcześniej, kiedy myślisz.

Przodkowie to po prostu ludzie.

Nawet Jowisz czasem ucina sobie drzemkę.

Już mnie tak nie inspirował jak wówczas, gdy sam byłem rekrutem; trzydzieści subiektywnych lat przenoszenia się w czasie wyczerpuje człowieka. Rozebrałem się i kiedy byłem już nago, popatrzyłem na swój brzuch. Cesarskie pozostawia po sobie wielką bliznę, ale teraz jestem tak obrośnięty, że jej nie widać, chyba żeby się dobrze przyjrzeć.

Potem spojrzałem na pierścionek na moim palcu.

Waż, Który Zjada Własny Ogon, Zawsze i Wciąż... Wiem, skąd jestem, ale skąd jesteście wszyscy wy, zmartwychwstali?

Czułem nadchodzący ból głowy, lecz proszek nasenny jest jedyną rzeczą, jakiej nie używam. Kiedyś to zrobiłem i... wszyscy odeszliście.

Wgramoliłem się do łóżka i gwizdnięciem zgasiłem światło.

Tak naprawdę was w ogóle nie ma. Nie ma nikogo poza mną - Jane - samą tutaj w ciemności.

Okropnie mi was brak!

Przełożył Marek Cegięła

Lloyd Biggle jr

OPRAWCA MUZYCZNY

Lloyd Biggle (1923-2002) zajął się literaturą SF w 1956r., a jego pierwsza powieść, kosmiczna przygoda „The Angry Espers”, ukazała się w 1961r. Po niej pojawił się pierwszy tom pięcioksięgu o Janie Darzoku, „All the Colors of Darkness” (1979). Darzek, były prywatny detektyw, to jedyny człowiek w Radzie Najwyższych, ministrów ogromnego komputera, który ustala politykę dla całej Galaktyki. W pozostałych tomach serii - „Watchers of the Dark” (1966), „This Darkening Universe” (1976), „Silence Is Deadly” (1977) i „The Whirligig of Time” (1979) - Darzek wykorzystuje swoją inteligencję i ludzkie cechy do walki z nieludzkimi interesami innych uczestników rady, biurokracją rządowej maszyny i oporem obcych kultur wobec asymilacji w Syntezie Galaktycznej. „The Still, Small Voice of Trumpets” (1968) i „The World Menders” (1971) tworzą nieukończony cykl - kronikę dokonań Badań Kulturalnych, których zadaniem jest podnoszenie kwalifikacji obcych ras, co umożliwi im akces do Syntezy Galaktycznej, tworu samorządnego, powstałego w celu wymiany handlowej i kulturalnej różnych cywilizacji. Oba cykle tworzą cenioną współczesną operę kosmiczną, w której ożywają stworzone przez bogatą wyobraźnię obce światy, mierzą się ze sobą motywy i poczucie wyższości ludzi i obcych form życia, a przyszłość światów i istot żywych znajdują się w stanie chwiejnej równowagi. Biggle jest ceniony za barwne, bogate w szczegóły wymyślone światy,

zapadające w pamięć charakterystyki bohaterów i umiejętność analizy złożonych problemów społecznych i politycznych, wtopionych w konwencjonalne tematy i motywy SF. Pośmiertnie ukazał się pastisz SF Złotego Wieku, barwna time opera „The Chronocide Mission” (2002). Po polsku wydano „Pomnik” (1974), historię walki o uchronienie obcej rasy przed ziemskim ekspansjonizmem. Opowiadania Biggle’a znalazły się w zbiorach „The Rule of the Door and Other Fanciful Regulations” (1967), „The Metallic Muse” (1972) i „A Galaxy of Strangers” (1976). Biggle współpracował z T. L. Sherredem przy tworzeniu powieści „Alien Main” (1985, będącej kontynuacją „Alien Island” Sherreda z 1970r.). Jest także autorem pięciu powieści detektywistycznych, w tym pastiszów z Sherlockiem Holmesem, „The Quailsford Inheritance” (1986) i „The Glendower Conspiracy” (1990), oraz dwóch współczesnych powieści kryminalnych o wyczynach detektywów J. Fletchera i Rainy Lambert, „Interface for Murder” (1987) i „Where Dead Soldiers Walk” (1994).

Wszyscy nazywają je Centrum. Ma wprawdzie inną nazwę, długą, która widnieje na rządowych listach płac, a jej pochodzenie analizują encyklopedie, ale nikt jej nie używa. Od Bombaju po Limę, od Spitsbergenu po kopalnie Antraktydy, od samotnych przyczółków na Plutonie po podobne na Merkurym brzmi ona Centrum. Można by się wyłonić z kłębow mgieł nad Amazonką albo z przenikliwych, suchych wichrów Sahary bądź też z księżycowej próżni, przepchnąć się do baru i zacząć: „Kiedy byłem w Centrum...”, a wszyscy nieznajomi natychmiast nastawią ucha.

Wyjaśnienie, czym jest Centrum, jest niemożliwe i niepotrzebne. Od dziecka w kołysce po stulatka czekającego na emeryturę wszyscy

w nim byli i zamierzają odwiedzić je w następnym roku i za dwa lata. To teren urlopowy Układu Słonecznego. Mile kwadratowe pagórkowatych pól amerykańskiego środkowego zachodu, zmienione dzięki sprytnemu planowaniu, niezmordowanej pracy i niewiarygodnym kosztom. To monumentalne podsumowanie kulturalnej spuścizny ludzkości, które nagle, niewytłumaczalnie, niczym feniks wyłoniło się pod koniec dwudziestego czwartego stulecia z popiołów odrażającego rozkładu kultury.

Centrum jest kolosalne, spektakularne i wspaniałe. Jest inspirujące, pouczające i zdumiewające. Jest oszałamiające, obezwładniająca, jest - wszystkim.

I choć wiedzą o tym tylko nieliczni goście, których to zresztą nie obchodzi, jest nawiedzone.

Stoisz na galerii obserwacyjnej niebosiężnego Pomnika Bacha. Po lewej, na skłonie wzgórza, widzisz przejętych widzów tłoczących się w Teatrze Greckim na sztuce Eurypidesa. Słońce lśni na ich jaskrawych ubraniach. Patrzą bez tchu, zachwyceni, że mogą oglądać na własne oczy to, co miliony innych widzą przez wiziskop.

Za teatrem, obsadzony drzewami Bulwar Franka Lloyda Wrighta zatacza w oddali łuk koło Pomnika Dantego i Instytutu Michała Anioła. Dokładnie poniżej widzisz dziwne szpalery osiemnastowiecznego francuskiego ogrodu, a nieopodal Teatr Moliere.

Jakaś ręka chwyta cię za rękaw, a ty odwracasz się z irytacją i stajesz oko w oko ze starym człowiekiem.

Wysuszona twarz jest pełna blizn i zmarszczek, cienkie pasma włosów lśnią bielą. Ręka na twoim ramieniu to węzłasty szpon. Gapisz się, chłoniesz widok powykręcane kalekiego ramienia i ohydnej szramy w miejscu ucha i cofasz się z niepokojem.

Zapadnięte oczy śledzą cię. Ręka wyciąga się w zamaszystym

geście, który obejmuje daleki horyzont, a ty zauważasz, że palce są okaleczone lub w ogóle ich nie ma. Głos jest zgrzytliwym skrzeczeniem.

- Podoba się? - pyta stary człowiek i przygląda ci się z nadzieją.

Mruczysz z zaskoczeniem:

- No, tak. Oczywiście.

Stary robi krok naprzód, a oczy ma natarczywe i błagalne.

- Pytam, podoba się?

Z tego zaskoczenia możesz tylko skinąć głową, odwracając się, ale ten gest powoduje dziwną reakcję. Zgrzytliwy śmiech, niewinny, dziecinny uśmiech radości, tryumfalny krzyk:

- Ja to zrobiłem! Wszystko!

Albo stoisz we wspaniałej Alei Platona, pomiędzy Teatrem Wagnerowskim, gdzie codziennie wystawiany jest cały „Pierścień Nibelungów”, a rekonstrukcją szesnastowiecznego teatru Globe, gdzie rano, po południu i wieczorem idą dramaty Szekspira.

Jakaś ręka wczepia się w ciebie.

- Podoba się?

Jeśli odpowiesz potokiem ekstatycznych pochwał, stary przyjrzy ci się niecierpliwie i będzie czekać, aż skończysz, by spytać znowu:

- Pytam, podoba się?

Ale uśmiech i skinienie głowy wywołuje dumę, gest, krzyk.

W holu jednego z tysiąca przestronnych hoteli, w poczekalni niezwyklej biblioteki, gdzie dostaniesz bezpłatnie każdą książkę, jakiej zapragniesz, na jedenastym balkonie Sali Beethovena duch człapie niezdarnie, czepia się rąk i pyta.

I woła dumnie:

- Ja to zrobiłem!



Erlin Baque wyczuł za plecami jej obecność, ale się nie odwrócił. Pochylił się, a jego lewa dłoń wydarła z multikordu huczącą basową nutę, prawa zaś wygrywała poważną melodię. Błyskawicznym ruchem dotknął przycisku i cienkie, drżące tony nagle nabrały pełniejszego, bardziej dźwięcznego tonu, niemal jak klarnet. (Ale, na Boga, jakże całkowicie niepodobne do klarnetu, pomyślał).

- Musimy przez to znowu przechodzić? - spytał.

- Rano był gospodarz. Zawahał się, dotknął kilku przycisków i wywiódł przedziwne brzmienia z grzmiących dźwięków sekcji dętej. (Ale jakże słaba, zniekształcona była to sekcja dęta!).

- Ile czasu nam daje tym razem?

- Dwa dni. A syntetyzer żywności znowu się zepsuł.

- Dobrze. Zejdź na dół i kup świeże mięso.

- Za co?

Baque uderzył obiema pięściami i krzyknął przez ogłuszający dysonans:

- Nie wynajmę harmonizera. Nie powierzę aranżacji maszynie. Jeśli na spocie ma być moje nazwisko, trzeba go skomponować. Może idiotycznie, może obrzydliwie, ale ma być, jak należy. To nie tak wiele, Bóg mi świadkiem, ale tylko tyle mi zostało.

Odwrócił się powoli i spojrzał na nią. Na bladą, zgarbioną, wyniszczoną kobietę, która od dwudziestu pięciu lat była jego żoną. Potem odwrócił wzrok, uparcie mówiąc sobie, że jest tak samo winna, jak on. Skoro sponsorzy płacą tyle samo za dobre spoty co za maszynową robotę...

- Hulsey dziś przyjdzie? - spytała.

- Tak powiedział.

- Gdyby udało się zdobyć pieniądze na mieszkanie...

- I na syntetyzer żywności. I na nowy wiziskop. I nowe ubrania.

Jeden spot nie starczy na wszystko.

Usłyszał jej kroki, odgłos otwieranych drzwi. Czekał. Nie zamknęły się.

- Dzwonił Walter-Walter - powiedziała. - Będą o tobie mówić w „Sprawie na dziś”.

- I co z tego? Z tego nie ma pieniędzy.

- Pomyślałam, że nie będziesz chciał tego oglądać, więc powiedziałam pani Rannik, że przyjdę do niej.

- Jasne. Idź. Bawcie się.

Drzwi się zamknęły.

Baque wstał i spojrzał na chaos panujący na stole. Papier nutowy, teksty spotów, ołówki, szkice, niedokończone rękopisy piętrzące się w niechlujnych stertach. Oczyszczył róg blatu i usiadł zmęczony, wyciągając długie nogi.

- Przeklęty Hulsey - wymamrotał. - Przekłęci sponsorzy. Przeklęty wiziskop. Przekłęte spoty.

Skomponuj coś, powiedział sobie. Nie jesteś robolem, jak inni oprawcy. Nie wklepujesz głupich melodyjek w harmonizer, żeby maszyna dokończyła je za ciebie. Jesteś muzykiem, nie oprawcą muzycznym. Napisz coś. Napisz... sonatę na multikord. Siądź i skomponuj coś.

Jego spojrzenie padło na pierwsze linijki tekstu spota. *Gdy twój latacz ma kłopoty, gdy upadki ma i wzloty...*

- Przeklęty czynsz - mruknął, sięgając po ołówek.

Mały ścienny zegar wybił godzinę. Baque przechylił się, by włączyć wiziskop. Prowadzący o twarzy cherubina uśmiechnął się do niego przymilnie.

- Panie i panowie, tu znowu Walter-Walter. W „Sprawie na dziś” - pora reklamowa. Trzydzieści minut spotów reklamowych jednego z naszych najbardziej utalentowanych mistrzów oprawy muzycznej.

Wszystkie reflektory na...

Rozbrzmiała hałaśliwa fanfara, fałszywe dęte tony multikordu.

- Erlina Baque'a!

Multikord wyprodukował dziwną, chybotliwą melodię, którą Baque napisał pięć lat temu dla Serka Koneserka. W tle rozległy się oklaski. Nosowy sopran zaczął wyśpiewywać słowa. Baque jęknął boleśnie.

- *Nasz ser dojrzewa, dojrzewa, dojrzewa, dojrzewa, dojrzewa jak za dawnych czasów...*

Walter-Walter pląsał po scenie w takt muzyki, dopadł do jakiejś osowiałej gospodyni domowej na wakacjach i pocałował ją. Ryk śmiechu wywołał jego promienny uśmiech.

Multikord wyprodukował kolejną fanfarę, a Walter-Walter znowu wskoczył na scenę, rozpościerając obie ręce wysoko nad głową.

- A teraz, moi piękni, posłuchajcie. Oto Walter-Walter o Erlinie Baque'u. - Obejrzał się konspiracyjnie przez ramię, zbliżył ostrożnie do widowni, położył palec na ustach, a potem ryknął: - Dawno, dawno temu był sobie inny kompozytor Baque, jego nazwisko pisało się B-A-C-H, ale wymawiało się tak samo. To był oprawca muzyczny z prawdziwym atomowym dopalaniem. Chłopak znał się na rzeczy, jak mówią ci, co się znają na rzeczy. Żył pięć albo sześć, albo siedem wieków temu, więc trudno powiedzieć, że tamten Bach i nasz Baque to bachorki z jednego podwórka. Ale nie trzeba się włączyć po kluBACH i puBACH, żeby usłyszeć Bacha. Oto - bach! Nasz własny Baque. Nadążacie?

Śmiech. Oklaski. Baque odwrócił się. Ręce mu drżały i dławiły go mdłości niesmaku.

- Zaczynamy spoty Baque'a tym małym arcydziełkiem, które Baque zrobił dla Pienistego Mydła. Oprawa plastyczna Bruce'a Combsa. Zatrzymajcie się, popatrzcie - i słuchajcie!

Baque zdążył wyłączyć wiziskop w chwili, gdy pierwsza kostka mydła przemknęła przez ekran. Znowu zabrał się do tekstu; w jego głowie zaczęła się wysnuwać nitka melodii.

- *Gdy twój latacz ma kłopoty, gdy upadki ma i wzloty, trzeba ci WARINGA!*

Prześpiewał melodię pod nosem, notując jej linię, skaczącą w górę i dół niczym niesforny latacz. Nazywano to malowaniem słów - w czasach, kiedy słowa i dźwięki miały jakieś znaczenie. W czasach, gdy Bach oprawiał w muzykę tak wielkie pojęcia, jak niebo i piekło.

Baque pracował powoli, od czasu do czasu wypróbował na multikordzie harmoniczne progresje i rezygnując z nich, wytężając umysł w poszukiwaniu trzepotliwego akompaniamentu, który imitowałby dźwięk latacza. Ale zaraz... nie. Tym z Waringa się to nie spodoba. W spotach twierdzili, że ich latacze są bezszelestne.

Z koncentracji wyrwał go natarczywy dzwonek do drzwi. Podeszedł, by włączyć skaner; uśmiechnęła się do niego pyzata twarz Hulsey.

- Wchodź - powiedział Baque.

Hulsey skinął głową i zniknął. Pięć minut później przeszedł przez próg kaczym krokiem, zwałił się na krzesło, które niebezpiecznie ugięło się pod jego masywnym ciałem, rzucił aktówkę na podłogę i wytarł twarz.

- Uch! Szkoda, że nie mieszkasz niżej. Albo w budynku z nowoczesnymi wynalazkami. Śmiertelnie boję się wind!

- Zastanawiam się nad przeprowadzką - powiedział Baque.

- Dobrze. W samą porę.

- Ale pewnie wyżej. Gospodarz mnie wyrzuca.

Hulsey skrzywił się i pokręcił głową ze smutkiem.

- Rozumiem. No, nie będę cię trzymać w niepewności. Tu masz czek za spot Mydła Sana.

Baque przyjął kartkę, zerknął na nią i spochmurniał.

- Zalegałeś ze składkami - wyjaśnił Hulsey. - Musiałem je potrącić. Przecież rozumiesz.

- Tak. Zapomniałem.

- Lubię robić interesy z Mydłem Sana. Płaci natychmiast. Zbyt wiele firm czeka do końca miesiąca. Mydło Sana chce paru zmian, ale i tak zapłaciło. - Otworzył aktówkę i wyjął teczkę. - To był niezły kawałek, Erlin, mój chłopcze. Spodobało im się. Zwłaszcza to *pieni, pieni, pieni się w basie*. Początkowo chcieli masę wokalistów, ale jak to usłyszeli, już nie chcą. Teraz chcą przerwę na lektora.

Baque pokiwał głową w zamyśleniu.

- A gdyby dać mu w tle to ostinato *pieni, pieni, pieni się?*

- Nieźle brzmi. Fajny trik, to - jak to nazwałeś?

- Ostinato.

- A, tak. Ciekawe, dlaczego inni oprawcy nie dają takich kawałków.

- Harmonizer nie daje efektów - powiedział Baque sucho. - Tylko harmonię.

- Daj im tak ze trzydzieści sekund tego „*pieni się*” w tle. Jak im się nie spodoba, mogą sobie wyciąć.

Baque skinął głową, robiąc notatkę na nutach.

- No i aranż - ciągnął Hulsey. - Wybacz, Erlin, ale nie mogą znaleźć waltornisty. Musisz wymyślić coś innego.

- Nie mają waltornisty? A co z Rankinem?

- Wykluczony. Gildia Wykonawców wyrzuciła go na amen. Pojechał na zachodnie wybrzeże i grał za grosze. Nawet sam zapłacił za przejazd i mieszkanie. Nie mogli tego tolerować.

- Pamiętam - powiedział cicho Baque. - Pomniki Towarzystwa Sztuk. Zagrał dla nich koncert Mozarta na waltornię. Ich ostatni koncert. Szkoda, że go nie słyszałem, chociaż grał z multikordem.

- Teraz może grać, co mu się podoba, ale więcej nie zobaczy za to ani grosza. Możesz zmienić partię waltorni na multikord albo sprowadzę ci trębacza. Będzie grał z konwerterem.

- To zepsuje cały efekt.

Hulsey zachichotał.

- Dla wszystkich poza tobą nie będzie różnicy, mój chłopcze. Dla mnie nie ma. Weźmiemy twoje skrzypce i wiolonczelistę. Czego jeszcze chcesz?

- Czy w londyńskiej Gildii mają waltornistę?

- Mam go sprowadzić do jednego minutowego spotu? Bądź rozsądny. Mogę to odebrać jutro?

- Tak. Na rano będzie gotowe.

Hulsey sięgnął po aktówkę, ale znowu ją rzucił. Pochylił się z grymasem.

- Erlin, martwię się o ciebie. Mam w agencji dwudziestu siedmiu oprawców. Jesteś najlepszy, bez porównania. Cholera, jesteś najlepszy na świecie, a zarabiasz najmniej. W zeszłym roku ledwie wyciągnąłeś dwa tysiące dwieście. Z tamtych żaden nie zarabia mniej niż jedenaście.

- To żadna rewelacja.

- To może to będzie: masz tyle samo zleceń, co oni. Wiedziałeś o tym?

Baque pokręcił głową.

- O tym nie wiedziałem.

- Masz tyle samo zleceń, a nie zarabiasz. Chcesz wiedzieć dlaczego? Z dwóch powodów. Za dużo czasu poświęcasz każdemu spotowi i za dobrze piszesz. Sponsorzy mogą jeden wykorzystywać miesiącami - a czasem nawet latami, jak Serka Koneserka. Ludzie lubią ich słuchać. Gdybyś nie pisał tak cholernie dobrze, pracowałbyś szybciej, a sponsorzy musieliby zamawiać więcej twoich spotów. I

wychodziłbyś na swoje.

- Myślałem o tym. A nawet gdybym nie myślał, Val by mi przypominała. Ale to na nic. Muszę tak pracować. Gdyby można było skłonić sponsorów, żeby płacili więcej za dobrego spota...

- Nie można. Gildia na to nie pozwoli, bo dobry spot oznacza mniej pracy, a większość oprawców nie potrafi pisać dobrze. Nie myśl, że chodzi mi o moją agencję. Oczywiście, gdybyś więcej zarabiał, to i ja bym więcej zarabiał, ale z moimi oprawcami wychodzę na swoje. Nie mogę znieść, że mój najlepszy człowiek tak bieduje. Jesteś zadowolony, Erlin. Marnujesz czas i pieniądze na te... jak je nazywasz?

- Nagrania fonograficzne.

- Tak. I na te stare zatęchłe książki o muzyce. Nie wątpię, że wiesz o muzyce więcej niż ktokolwiek z żyjących na tym świecie, i co ci z tego przyszło? Na pewno nie pieniądze. Jesteś najlepszy na świecie i ciągle chcesz być lepszy, a im lepszy się stajesz, tym mniej pieniędzy zarabiasz. Twoje dochody z każdym rokiem maleją. Nie mógłbyś się czasem zniżyć do przeciętnego spota?

- Nie - rzucił opryskliwie Baque. - Nie mógłbym.

- Przemyśl to jeszcze.

- Te moje zlecenia... Niektórzy sponsorzy byli ze mnie bardzo zadowoleni. Płaciliby więcej, gdyby Gildia im pozwoliła. A gdybym z niej wystąpił?

- Nie możesz, mój chłopcze. Nie mógłbym cię reprezentować - jeśli chcę dłużej zostać w tym biznesie. Gildia Oprawców Muzycznych zaczęłaby wywierać na mnie presję, a Gildia Wykonawców i Tekściarzy umieściłaby cię na czarnej liście. Jimmy Denton współpracuje z gildiami i nie dopuszczałby twoich rzeczy do wiziskopu. Straciłbyś wszystkie zlecenia, i to szybko. Żaden sponsor nie jest tak wielki, żeby się z tym wszystkim użerać, i żaden nie

chciałby takiego kłopotu. Więc postaraj się czasem zaniżyć poziom. Zastanów się.

Baque siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę.

- Zastanowię się.

Hulsey wstał z wysiłkiem, przelotnie uściśnął mu rękę i wyszedł, kolebiąc się na boki. Baque zamknął za nim drzwi i podszedł do szuflady, w której przechowywał skromną kolekcję starych fonograficznych nagrań. Dziwna i cudowna muzyka.

W swojej karierze Baque napisał trzy spoty trwające pełne pół godziny. Z rzadka dostawał zamówienie na piętnaście minut. Zwykle musiał się ograniczać do pięciu lub mniej. Ale kompozytorzy tacy jak ten drugi Bach pisali utwory trwające godzinę lub dłużej - a nawet całkiem bez tekstu.

Pisali je na prawdziwe instrumenty, między innymi te o zdumiewającym brzmieniu, na których już nikt nie gra, na przykład fagoty, flety piccolo i fortepiany.

- Cholerny Denton. Cholerny wiziskop. Cholerne gildie.

Czule przekładał płyty, dopóki nie znalazł tej z nazwiskiem Bacha. „Magnificat”. Potem, ponieważ był zbyt przygnębiony, by jej wysłuchać, odłożył ją na miejsce.

W tym roku Gildia Wykonawców umieściła na czarnej liście swojego ostatniego oboistę. Teraz to samo spotkało waltornistę, a młodzi już się nie uczyli grać na instrumentach. Bo i po co, skoro istnieje tak wiele fantastycznych wynalazków, dzięki którym można grać spoty bez żadnego wysiłku ze strony wykonawcy? Nawet multikordziści zaczęli stawać się rzadkością, a jeśli nie ma się wielkich wymagań, multikord właściwie może grać sam.

Drzwi otwały się gwałtownie i do środka wbiegła Val.

- Czy Hulsey...

Baque podał jej czek. Chwyliła go pospiesznie, spojrzała i

podniosła przerażony wzrok.

- Składki - wyjaśnił. - Zalegałem.

- O. No, zawsze to coś. - Głos miała martwy, bez emocji, jakby jedno rozczarowanie więcej nie robiło jej różnicy. Stali zażenowani naprzeciwko siebie.

- Oglądałam „Poranek z Margerytką” - powiedziała Val. - Mówiła o twoich spotach.

- Wkrótce powinni się do mnie odezwać z „Dymka” - odparł. - Może gospodarz zgodzi się poczekać jeszcze tydzień. Na razie wyjdę na spacer.

- Powinieneś częściej wychodzić...

Zamknął za sobą drzwi, zgrabnie odcinając resztę zdania. Wiedział, co by padło dalej. Zdobądź jakąś pracę. Wyjście z mieszkania na parę godzin dziennie wyszłoby ci na zdrowie. Spoty możesz pisać w czasie wolnym - i tak nie dają więcej pieniędzy niż praca dorywcza. Przynajmniej mógłbyś tak robić, dopóki się nie dorobimy. Dobrze. Skoro nie chcesz, to ja tak zrobię.

Ale nigdy nie robiła. Żaden ewentualny pracodawca nie chciał ponownie oglądać jej kruchego ciała i zmęczonej, pochmurnej twarzy. A Baque wątpił, żeby jemu powiodło się lepiej.

Mógł zdobyć pracę jako multikordzista i nieźle zarabiać - ale wtedy musiałby wstąpić do Gildii Wykonawców, co oznaczałoby, że musi zrezygnować z Gildii Oprawców Muzycznych. Więc chodziło o wybór między wykonawstwem a komponowaniem. Gildia nie pozwoliłaby mu na obie te rzeczy.

- Cholerne gildie! Cholerne spoty!

Na ulicy stał przez chwilę, patrząc na tłum, mknący na szybko poruszającym się ruchomym chodniku. Parę osób zerknęło na niego i zobaczyło wysokiego, niezgrabnego, łysiejącego mężczyznę w wystrzępionym, obwisłym garniturze. Zaraz pewnie uznają go za

kolejnego wykolejńca z nędznej dzielnicy, był tego świadomy, i odwrócił wzrok, nucąc frazę któregoś z jego spotów.

Zgarbił się i ruszył niezdarnie po nieruchomym chodniku. Wszedł do zatłoczonej restauracji, znalazł stolik gdzieś z boku i zamówił piwo. Na tylnej ścianie znajdował się ogromny ekran wiziskopu, na którym bez przerwy leciały spoty. Ludzie patrzyli i jedli. Niektórzy kiwali głowami do taktu muzyki. Parę młodych par tańczyło na małym parkiecie, zręcznie dostosowując kroki do zmieniającej się muzyki.

Baque przyglądał się im ze smutkiem i myślał, jak się to wszystko zmieniło. Wiedział, że kiedyś była specjalna muzyka do tańca i specjalne instrumenty, które ją grały. A ludzie tysiącami chodzili na koncerty i siedzieli w fotelach, z których mogli oglądać tylko muzyków.

Wszystko to znikło. Nie tylko muzyka, ale sztuka, literatura i poezja. Zapomniano o spektaklach, o których czytał w starych podręcznikach dziadka.

Międzynarodowy Wiziskop Jamesa Dentona ogłosił, że ludzie muszą jednocześnie patrzeć i słuchać, a wrażliwość widza nie toleruje długich programów. I tak pojawiły się spoty.

Cholerne spoty!

Godzinę później, kiedy Val wróciła do mieszkania, Baque siedział w kącie wpatrzony w zniszczoną plastikową szafkę ze zbiorem rozpadających się tomów z czasów, gdy książki były drukowane na papierze - zbieraniną biografii, książek o historii muzyki i podręczników teorii i kompozycji. Nie dostrzegła go od razu, a potem stanęła przed nim z niepokojem. Jej wychudła twarz wyrażała rozpacz.

- Przyjdzie ktoś do naprawy syntetyzera żywności.
- Dobrze - odezwał się Baque.

- Ale gospodarz nie chce czekać. Jeśli nie zapłacimy mu pojutrze, i to całej sumy, wyrzuci nas.
 - Więc nas wyrzuci.
 - Dokąd pójdziemy? Nigdzie nas nie przyjmą, jeśli nie zapłacimy z góry.
 - Więc nigdzie nas nie przyjmą.
- Uciekła z płaczem do sypialni.



Następnego ranka Baque wystąpił z Gildii Oprawców Muzycznych i wstąpił do Gildii Wykonawców. Na tę wieść okrągła twarz Hulseya wydłużyła się ze smutku. Pożyczył Baque'owi tyle, by wystarczyło na opłatę w gildii i ułagodzenie gospodarza, po czym wypędził go z gabinetu, w kwiecistych zwrotach wyrażając swój żal. Baque nie miał wątpliwości, że niezwłocznie przydzielili jego klientów innym oprawcom - takim, którzy pracują szybciej i nie tak dobrze.

Baque poszedł do siedziby Gildii, gdzie przez pięć godzin czekał na przydział multikordu. Wreszcie wezwano go do sekretariatu i niedbale wskazano mu krzesło. Sekretarz przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Dwadzieścia lat temu należał pan do Gildii Wykonawców i wystąpił pan z niej, by zostać oprawcą muzycznym. Tak?
- Tak - potwierdził Baque.
- Po trzech latach stracił pan status starszego członka. Wiedział pan, tak?
- Tak, ale nie sądziłem, że to ważne. Nie ma wielu dobrych multikordzistów.
- Ani wielu dobrych zleceń. Musi pan zaczynać od początku. -

Nagryzmolił coś na świstku i rzucił go w stronę Baque'a. - Tu dobrze płacą, ale mają kłopoty z zatrzymaniem pracowników. Z Lankeyem trudno się pracuje. Jeśli nie zdenerwuje go pan zanadto - no, wtedy zobaczymy.

Baque pojechał ruchomym chodnikiem do portu kosmicznego w New Jersey. Zgubił drogę i przez jakiś czas snuł się po slumsach, wreszcie znalazł właściwy adres niemal w zasięgu promieniowania portu. W odległej przeszłości ten rozłożysty budynek przetrwał pożar. Z zarośniętych chwastami gruzów wyłaniały się kostropate resztki murów. Jedna ze ścian skręcała ku ledwie oświetlonej rozpadlinie w rogu, gdzie widniały prowadzące w dół niegodne zaufania schodki. U góry ogromny szyld wskazywał jaskrawymi kolorami w stronę portu: Bara-Bar Lankeya.

Baque przekroczył próg i zachwiał się pod uderzeniem pozaziemskich woni. Aromatyzowany lawendą dym tytoniowy - ogromne liście hodowano pod cieplarnianymi kopułami księżycowego Morza Przesilen - wisiał jak mokry koc pomiędzy podłogą i sufitem. Od oszałamiających, gryzących wyziewów siekiery - whisky zmieszanej z ekstraktem z marsjańskich porostów - zakręciło mu się w głowie. Zdążył dostrzec tłum twardych kosmicznych podróżników i jeszcze twardszych prostytutek, ale już odźwierny zasłonił mu widok swoją potężną sylwetką i posiekaną bliznami karykaturą twarzy.

- Szukasz kogoś?

- Pana Lankeya.

Odźwierny wskazał kciukiem bar i hałaśliwie wycofał się w cień. Baque ruszył przed siebie.

Bez trudu rozpoznał właściciela siedzącego na wysokim stołku za barem. W mdłym, przeciętym pasami dymu świetle z jego wychudłej bladej twarzy biła upiorna groza. Opierał się na łokciu i obmacywał

rozpłaszczony pniak nosa dwoma ocalałymi palcami owłosionej ręki. Kiedy Baque się zbliżył, gwałtownie wychylił ku niemu łysą głową i zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Jestem Erlin Baque - powiedział Baque.

- Tak. Multikordzista. Umiesz grać na multikordzie, kolego?

- No, jak to... umiem...

- Wszyscy tak mówią, a przez ostatnich dziesięć lat potrafiło może ze dwóch. Zwykle przychodzą i myślą, że nastawią instrument na automat i będą na nim brzdąkać jednym palcem. Ja chcę, żeby na multikordzie grano, kolego, i od razu ci mówię - jak nie potrafisz, to się zabieraj do domu. Mój multikord nie ma automatu. Kazałem odłączyć.

- Potrafię grać - powiedział Baque.

- Dobrze. Wystarczy jeden spot, żeby się przekonać. Gildia uznała nas za Klasę Czwartą, ale będę płacił stawki z Klasy Pierwszej, jeśli tylko potrafisz grać. A jeśli potrafisz grać dobrze, dodam małą nadwyżkę, o której Gildia się nie dowie. Pracujesz od szóstej wieczorem do szóstej rano, ale będzie mnóstwo przerw, a jak zechce ci się jeść albo pić, wystarczy poprosić. Tylko od dopalaczy z daleka. Nie będę tolerować pijanego multikordzisty, choćby nie wiadomo jak dobrego. Rose!

Kiedy ryknął to imię po raz drugi, z bocznych drzwi wyłoniła się kobieta. Była ubrana w spłowiały szlafrok, splątane włosy zwisały jej niechlujnie na ramiona. Zwróciła małą, ładną twarz w stronę Baque'a i przyjrzała mu się śmiało.

- Multikord - powiedział Lankey. - Pokaż mu.

Rose skinęła ręką i Baque poszedł za nią w głąb pomieszczenia. Nagle zatrzymał się ze zdumienia.

- Co się stało? - spytała Rose.

- Nie ma wiziskopu!

- Nie ma. Lankey mówi, że wędrowcy mają ciekawsze rzeczy do oglądania niż mydliny i latacze. - Zachichotała. - Na przykład mnie.

- Nigdy nie słyszałem o restauracji bez wiziskopu.

- Ja też nie, aż tu trafiłam. Ale Lankey zaangażował nas do śpiewania spotów, a ciebie do grania z nami. Mam nadzieję, że się spiszesz. Od tygodnia nie miałyśmy multikordzisty, a bez niego trudno śpiewać.

- Dam radę.

W głębi pomieszczenia, tam gdzie w innych restauracjach znajduje się ekran wiziskopu, ciągnął się wąski podest. Baque zauważył niezamalowane blizny po wyrwanym ekranie.

- Lankey prowadził knajpę w porcie Mars w czasach, gdy w kolonii nie mieli jeszcze wiziskopu - powiedziała Rose. - Miał własny pogląd na to, jak zabawiać klientów. Chcesz zobaczyć swój pokój?

Baque oglądał multikord. Instrument był stary, zniszczony i nosił ślady po niejednej bójce. Przesunął palcami po przyciskach rejestrów i cicho zaklął pod nosem. Tylko fletowe i skrzypcowe zadziałały jak trzeba. Będzie musiał przez dwanaście godzin dziennie znosić rozstrojone dźwięki pozbawionego rejestrów multikordu.

- Chcesz zobaczyć swój pokój? - powtórzyła Rose. - Dopiero piąta. Możesz sobie odsapnąć, zanim zaczniemy pracę.

Pokazała mu ciasne pomieszczenie za barem. Wyciągnął się na twardej pryczy i spróbował odpocząć, a potem nagle zrobiła się szóstka, Lankey stanął w drzwiach i skinął na niego ręką.

Baque usiadł za multikordem i niecierpliwie przebiegł palcami po klawiszach. Nie był zdenerwowany. O spotach wiedział wszystko i był pewien, że muzyka nie sprawi mu kłopotów, ale niepokoiła go atmosfera. Opary dymu zgęstniały; oczy go piekły, a kiedy zrobił głęboki wdech, poczuł w nozdrzach wyziewy whisky.

Klientów nadal było mało. Mężczyźni - mechanicy w brudnych

kombinezonach, zadzierający nosa piloci i paru cywilów, którzy lubili mocne napitki i nie byli wybredni w doborze towarzystwa. Kobiety były... kobietami. Podejrzywał, że na każdego mężczyznę w tym pomieszczeniu przypadają dwie.

Nagle mężczyźni zaczęli niepohamowanie łomotać nogami, pokrzykując do taktu. Przez podest szedł Lankey z Rose i pozostałymi wokalistkami. Baque w pierwszej chwili odniósł przerażające wrażenie, że dziewczęta są nagie, ale kiedy się zbliżyły, dostrzegł ich skąpe, plastikowe kostiumy. Lankey ma rację, pomyślał. Wędrowcy na pewno wolą to niż animowane spoty na ekranie wiziskopu.

- Znasz już Rose - powiedział Lankey. - To Zanna i Mae. Zaczynamy.

Odszedł, a dziewczyny stanęły wokół multikordu.

- Jakie spoty znasz? - spytała Rose.

- Wszystkie.

Przyjrzała mu się z powątpiewaniem.

- Zaśpiewamy razem, a potem na zmianę. Na pewno znasz wszystkie?

Baque włączył instrument i uderzył akord.

- Zaśpiewajcie jakikolwiek, dam sobie radę.

- Tak... więc zaczniemy Pychotkowym Piwem Słodowym. Idzie tak. - Zanuciła cicho. - Znasz?

- Napisałem to - odparł.

Śpiewały lepiej, niż się spodziewał. Akompaniował im bez trudu, a grając, nie spuszczał oczu z klientów. Głowy kiwały się do taktu; szybko podchwycił nastrój i zaczął eksperymentować. Jego palce wyczarowały w basie pulsujący rytm, ostrożnie go zmodyfikowały, a potem rozbudowały. Porzucił linię melodyczną, zostawiając dziewczęta samym sobie, a sam zaczął przebiegać całą klawiaturę, by ozdobić rytm.

Nogi zaczęły tupać w podłogę. Ciała dziewcząt kołysały się dziko. Baque poczuł, że sam porusza się wraz z nieubłaganie płynącą muzyką. Dziewczęta dotarły do końca tekstu, a ponieważ się nie zatrzymał, zaczęły od początku. Podróżnicy zerwali się z miejsc, klaszcząc i kołysząc się. Niektórzy porwali swoje kobiety i w wąskich przejściach między stolikami zaczęli tańczyć. Wreszcie Baque wygrał grzmącą kadencję i zgarbił się, dysząc i ocierając czoło. Jedna z dziewcząt osunęła się na scenę. Pozostałe pomogły jej wstać i razem zaczęły frenetycznie klaskać.

Baque poczuł na ramieniu czyjaś rękę. Lankey. Jego brzydka twarz bez wyrazu spojrzała na niego, odwróciła się ku dziko rozentuzjasmowanym klientom, znowu zwróciła się ku niemu. Właściciel skinął głową i odszedł.

Rose wróciła, ciągle jeszcze dysząc.

- A spot perfum Sally Ann?

Baque zastanowił się i ze smutkiem stwierdził, że nie znajduje żadnego wspomnienia o Sally Ann.

- Przypomnij mi słowa.

Wyrecytowała tragiczną historyjkę o nieudanym romansie dziewczyny, która nie używała Sally Ann.

- Już pamiętam - powiedział. - Zmusimy ich do płaczu? Skup się. To smutna historia, wyciśniemy z nich łzy.

Stała przy multikordzie i zaczęła żałośnie śpiewać. Baque dołączył z przyciszonym, drżącym akompaniamentem, a po drugim wierszu dodał opadający kontrapunkt. Podróżni siedzieli w milczeniu pełnym napięcia. Mężczyźni nie płakali, ale niektóre kobiety głośno siękały nosami. Kiedy Rose skończyła, zapadła ciężka cisza.

- Szybko - syknął Baque. - Rozruszajmy ich. Zaśpiewaj inny spot, cokolwiek! Zaczęła Puszysty Chlebek, a Baque pulsującym rytmem swojego akompaniamentu poderwał słuchaczy na równe nogi.

Potem pozostałe dziewczęta śpiewały na zmianę. Baque z roztargnieniem przyglądał się gościom, zaskoczony mocą, która pulsowała w jego palcach. Ciskał ich od jednej skrajnej emocji do drugiej, improwizował, eksperymentował. A w głowie rodziła mu się opornie pewna myśl.

- Pora na przerwę - powiedziała wreszcie Rose. - Lepiej coś zjedz.

Po półtorej godziny ciągłego grania był wyprany z sił i emocji. Obojętnie przyjął tacę z posiłkiem i zaniósł ją do komórki, którą nazywano jego pokojem. Nie czuł głodu. Nieufnie powąchał jedzenie, spróbował - i rzucił się na nie łapczywie. Prawdziwa żywność, po miesiącach na syntetykach!

Skończył i siedział przez jakiś czas na pryczy, zastanawiając się, jak długie są przerwy między występami. Wyszedł na poszukiwanie Lankeya.

- Nie chce mi się siedzieć beczynnio - powiedział. - Masz coś przeciwko, żebym zagrał?

- Bez dziewczyn?

- Tak.

Lankey oparł oba łokcie na barze, brodę na pieści i zagapił się tępo w ścianę.

- A sam zaśpiewasz? - spytał w końcu.

- Nie. Tylko zagram.

- Bez śpiewania? Bez słów?

- Tak.

- Co zagraasz?

- Spoty. Albo coś zaimprovizuję.

Długie milczenie. A potem:

- Myślisz, że możesz ich zająć pod nieobecność dziewczyn?

- Oczywiście.

Lankey nadal skupiał wzrok na ścianie. Jego brwi zbiegły się,

rozeszły, znowu zbiegły.

- Dobrze - powiedział. - Zastanawiałem się, dlaczego sam nigdy na to nie wpadłem.

Baque zajął niepostrzeżenie miejsce za multikordem. Zaczął cicho, czyniąc muzykę nienatrętnym tłem dla toczących się rozmów, które wypełniały pomieszczenie. W miarę jak zwiększał głośność, twarze zaczęły się odwracać w jego stronę.

Zastanawiał się, co ludzie myślą, po raz pierwszy słysząc muzykę, która nie jest spotem, muzykę bez słów. Przyglądał się im wnikliwie i z zadowoleniem stwierdził, że przykuł ich uwagę. A teraz... czy potrafi podnieść ich z miejsc jedynie za pomocą sterylnych dźwięków multikordu? Nadał melodii energiczny rytm i zaczęło się tupanie.

Kiedy znowu podkręcił głośność, na scenę wpadła, potykając się, Rose, ze zdumieniem wypisanym na dziarskiej buzi.

- Wszystko w porządku - powiedział Baque. - Gram, żeby się rozerwać. Nie przychodź, dopóki nie będziesz gotowa.

Skinęła głową i zawróciła. Podróżny o czerwonej twarzy na widok jej odsłoniętego młodego ciała roześmiał się obleśnie. Baque z fascynacją przyjrzał się jego przaśnej, nieskrywanej żądzy i zaczął szukać na klawiaturze dźwięków, żeby ją wyrazić. Te? A może... te? A może...

Znalazł. Pochwycił go nieustępliwy rytm. Jego stopa naparła na czujnik głośności. Odwrócił się i spojrzał na klientów.

Wszystkie oczy wpatrywały się w niego jak zahipnotyzowane. Barman znieruchomiał na wpół przykucnięty, z rozdziawionymi ustami. Panował niepokój, natężone szuranie stóp, nieustanne skrzypienie krzesel. Stopa Baque'a mocniej wparła się w czujnik głośności.

Jego dłonie grały jak w transie, a on z przerażeniem przyglądał się temu, co się działo. Żądza wykrzywiła wszystkie twarze. Mężczyźni

wstawali, sięgali po kobiety, chwyтали je, obmacywali. Jakieś krzesło upadło na podłogę, za nim stół, a nikt na to nie zwrócił uwagi. Sukienka jednej z kobiet osunęła się z dzikim furkotem na ziemię, a ścigane stały się ścigającymi. Baque zaś bezwolnie pozwalał, by jego palce pędziły naprzód, nieopanowane.

Z ogromnym wysiłkiem oderwał dłonie od klawiatury. Cisza runęła na salkę jak piorun. Drżącymi palcami zaczął grać cicho, obojętnie. Kiedy ponownie podniósł wzrok, znowu panował spokój, krzesło i stół stały już na swoim miejscu, a klienci siedzieli w swobodnych pozach, z wyjątkiem jednej kobiety, która z wyraźnym zażenowaniem wbijała się w sukienkę.

Baque grał cicho aż do powrotu dziewcząt.

O szóstej rano, z ciałem obezwładnionym zmęczeniem, obolałymi rękami i zdrętwiałymi nogami odszedł od multikordu. Lankey czekał na niego.

- Stawka Pierwszej Klasy - powiedział. - Masz u mnie robotę, jak długo zechcesz. Ale uważaj trochę z tym koksem, dobra?

Baque przypomniał sobie o Val, samotnej w ponurej norze z syntetycznym żarciem.

- Czy byłoby nie na miejscu, gdybym poprosił o zaliczkę?

- Nie - odparł Lankey. - Nie byłoby. Powiedziałem kasjerce, żeby ci dała przy wyjściu sto dolarów. Uznaj to za premię.

Zmęczony po długiej podróży ruchomym chodnikiem Baque wszedł cicho do ciemnego mieszkania i rozejrzał się. Ani śladu Val - jeszcze śpi. Usiadł przy swoim multikordzie i dotknął klawiszy.

Był wzruszony, pokorny i pełen niedowierzania. Muzyka bez spotów, bez słów potrafiła zmusić ludzi do śmiechu i płaczu, tańca i dzikich harców.

Potrafiła ich zmienić w lubieżne zwierzęta.

Ze zdumieniem zaczął grać melodię, która obudziła tak

nieskrywaną żądzę, grał ją coraz głośniej i głośniej...

I poczuł rękę na ramieniu. Odwrócił się i spojrzał w wykrzywioną namiętnością twarz Val.

Tego wieczora zaprosił Hulseya, żeby go wysłuchał. Kiedy było po wszystkim, Hulsey usiadł zgarbiony na pryczy w jego klitce i zadrzał.

- To nie w porządku. Żaden człowiek nie powinien mieć takiej władzy nad innymi. Jak to zrobiłeś?

- Nie wiem - odparł Baque. - Zobaczyłem taką młodą parę, byli szczęśliwi i poczułem ich szczęście. A kiedy grałem, wszyscy inni stali się szczęśliwi. A potem weszła inna para, kłócąca się, i zaraz potem wszyscy się wściekli.

- Przy sąsiednim stoliku mało się nie pobili - powiedział Hulsey. - A to, co zrobiłeś potem...

- Tak. Ale nie tak, jak zeszłego wieczora. Szkoda, że tego nie widziałeś.

Hulsey znowu się wzdygnął.

- Mam książkę o muzyce starożytnej Grecji - powiedział Baque. - Oni tam mieli coś, co nazywali ethosem. Uważali, że różne skale muzyczne mają odmienny wpływ na ludzi - budzą ich smutek, szczęście albo nawet szaleństwo. Twierdzili, że pewien muzyk, nazywał się Orfeusz, potrafił swoją muzyką poruszać drzewa i zmiękczać skały. A teraz słuchaj. Miałem szansę przeprowadzić eksperyment i zauważyłem, że moja muzyka jest najskuteczniejsza, kiedy nie używam rejestrów. Na tym multikordzie są i tak tylko dwa czynne - fletowy i skrzypcowy - ale kiedy któregoś używam, ludzie nie reagują tak mocno. Zastanawiam się, czy może oddziaływanie, o którym mówią Grecy, to sprawa instrumentów, a nie skali. Ciekawe, czy dźwięk multikordu bez rejestrów może mieć coś wspólnego z dźwiękiem starogreckiej kitary albo aulosa. Hulsey stęknął.

- Nie sądzę, żeby chodziło o instrument albo skalę. Uważam, że

chodzi o Baque'a, a to mi się nie podoba. Powinieneś dalej robić oprawę.

- Chcę, żebyś mi pomógł - oznajmił Baque. - Chcę znaleźć miejsce, gdzie możemy zgromadzić mnóstwo osób - co najmniej tysiąc - ale nie po to, żeby jedli czy oglądali spoty, ale by słuchali jednego człowieka grającego na multikordzie.

Hulsey wstał gwałtownie.

- Baque, jesteś niebezpieczny. Niech mnie diabli, jeśli zaufam komuś, kto sprawił, że poczułem to, co dziś poczułem. Nie wiem, co zamierzasz, ale ja ręki do tego nie przyłożę.

Wyszedł krokiem człowieka, który zamierza trzasnąć drzwiami, tyle że pokój multikordzisty w Bara-Barze Lankeya nie zapewniał takich luksusów. Hulsey zatrzymał się niepewnie w wejściu, rzucił Baque'owi ostatni grymas i zniknął. Baque odprowadził go do głównej sali i patrzył, jak Hulsey lawiruje między stolikami do wyjścia.

Lankey przyglądał się Baque'owi zza baru, potem zerknął za znikającym Hulseyem.

- Kłopoty? - spytał.

Baque odwrócił się ze zmęczeniem.

- Znam tego człowieka od dwudziestu lat. Nigdy nie uważałem go za przyjaciela. I nigdy nie sądziłem, że jest moim wrogiem.

- Czasami tak już jest - powiedział Lankey.

Baque pokręcił głową.

- Chciałbym spróbować marsjańskiej whisky. Nigdy tego nie piłem.



Po dwóch tygodniach Baque stał się instytucją, a Bara-Bar Lankeya był zatłoczony do granic możliwości od chwili, gdy przychodził do pracy, aż do wyjścia nad ranem. Kiedy grał sam, zapominał o spotach i grał, co mu się podobało. Nawet krótkie utwory Bacha, nagradzane gromkimi brawami, choć reakcja nie mogła się równać z tym burzliwym entuzjazmem, który budziły jego improwizacje.

Siedząc za barem nad wieczornym posiłkiem i obserwując wzruszony tłum gości, Baque czuł nieśmiałe szczęście. Lubił swoją pracę. Po raz pierwszy w życiu miał więcej pieniędzy, niż potrzebował.

Po raz pierwszy w życiu miał określony cel i mglisty zarys planu jego osiągnięcia - całkowite wyeliminowanie spotów.

Odsunął tacę i ujrzał, że odźwierny Biff, który ruszył, by powitać parę nowych przybyszy, gwałtownie się zatrzymał i cofnął w osłupieniu. Nic dziwnego - wieczorowe stroje w Bara-Barze Lankeya!

Para zatrzymała się przy drzwiach, mrużąc niepewnie oczy w mrocznym, zadymionym wnętrzu. Mężczyzna był opalony i przystojny, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Uroda jego towarzyski lśniła na tle obskurnego wnętrza jak meteor. Kobieta szła w aureoli świetlistego piękna, w złocistości włosów, w migotliwej, zwiewnej sukni opływającej ponętnie jej bujną figurę, a jej zapach pokonał cuchnące wyziewy tytoniu i whisky.

W ułamku chwili wszystkie oczy spojrzały na nią i przez pomieszczenie przetoczyło się jedno wspólne westchnienie. Baque gapił się wraz z innymi, aż wreszcie ją rozpoznał: Margerytka z „Poranka z Margerytką”. Czczona w całym Układzie Słonecznym przez miliony wielbicieli jej programu. Jak powiadano, kochanka Jamesa Dentona, króla wiziskopu. Margerytka Manning.

Uniosła rękę do ust z udanym przerażeniem, a jasne tony jej

śmiechu posypały się kusząco na zahipnotyzowanych kosmonautów.

- Jaka stara knajpa! Skąd ty znasz takie miejsca?

- Potrzebuję marsjańskiej whisky, cholera - odezwał się mężczyzna.

- Głupio, że w portowym barze się skończyła. Zwłaszcza przy tych wszystkich statkach z Marsa. Na pewno zdążymy wrócić? Jimmy zrobi nam piekło na ziemi, jeśli nas nie będzie, kiedy wyląduje.

Lankey dotknął ramienia Baque'a. - Po szóstej - powiedział, nie odrywając oczu od Margerytki Manning. - Zaczną się niecierpliwić.

Baque skinął głową i ruszył do multikordu. W chwili gdy goście go zobaczyli, zerwał się tumult. Porzucili Margerytkę Manning, skoczyli na równe nogi i zaczęli bić brawo, wyjąc i tupiąc. Baque zatrzymał się i uklonił; Margerytka i jej towarzysz gapili się z otwartymi ustami na niepozornego człowieka, który wyzwolił tak niedystyngowany entuzjazm.

W wyczekującej ciszy, która zapadła po oklaskach, gdy Baque usiadł przy multikordzie, jej głos zabrzmiał ostro.

- Co do diabła...!

Baque wzruszył ramionami i zaczął grać. Po krótkiej naradzie z Lankeyem Margerytka wyszła; jej towarzysz nie zdążył napić się marsjańskiej whisky.

Następnego wieczora Lankey powitał Baque'a z pełnymi garściami telenotek.

- Co za cholerny bajzel. Widziałeś dziś rano program tej całej Margerytki?

Baque pokręcił głową.

- Odkąd tu pracuję, nie oglądam wiziskopu.

- Jeśli cię to interesuje, byłeś - jak ona to nazywa - „Margerytkowym tematem”.

Erlin Baque, słynny oprawca muzyczny, obecnie gra na multikordzie w dziwnej, malej restauracji zwanej Bara-Bar Lankeya.

Jeśli chcecie posłuchać tam zadziwiającej muzyki, wybierzcie się do Portu Kosmicznego w New Jersey i posłuchajcie Baque'a. Nie przegapcie tego. To się zdarza raz w życiu. - Lankey zaklął i machnął telenotkami. - Dziwna knajpka, tak nas nazywa. Teraz mam tysiąc próśb o rezerwację, niektóre aż z Budapesztu i Szanghaju. A możemy pomieścić pięćset osób, z miejscami stojącymi włącznie. By ją pogięło! Już i tak ledwie się wyrabialiśmy.

- Potrzebujesz większej sali.

- Tak. Między nami mówiąc, mam oko na jeden duży magazyn. Taki co najmniej na tysiąc miejsc. Damy radę. Podpiszesz kontrakt na kierownictwo muzyczne.

Baque pokręcił głową.

- A może otworzyć dużą knajpę w Centrum? Dla ludzi, którzy mają więcej pieniędzy do wydania. Ty byś ją prowadził, ja bym ściągnął klientów.

Lankey w zamyśleniu popieścił spłaszczony nos.

- Jak byśmy się dzielili?

- Po połowie.

- Nie - powiedział Lankey, powoli kręcąc głową. - Gram fair, Baque, ale po połowie to nie będzie dobrze. Sam muszę wyłożyć całą kasę. Dam ci jedną trzecią za kierownictwo muzyczne.

Kazali spisać umowę prawnikowi. Prawnikowi Baque'a. Lankey na to nalegał.



W szarym świetle wczesnego ranka zaspany Baque jechał zatłoczonym chodnikiem ku swojemu mieszkaniu. Była godzina szczytu, dojeżdżający wpadają wtedy na siebie i warczą wściekle, gdy

sąsiad porusza nogami. Tłum wydawał się jeszcze gęstszy niż zwykle, ale Baque wyrzucił ze świadomości wszystkie przepychanki i potrącanie i zatopił się w rozmyślaniach.

Znalazł lepsze mieszkanie. Poprzednia nora mu nie przeszkadzała, skoro nie mógł sobie pozwolić na nic lepszego, ale Val od lat już narzekała. A teraz, kiedy wreszcie mogli się przeprowadzić, kiedy mogli mieć luksusowy apartament albo nawet mały domek w Pensylwanii, Val nie zgodziła się pojechać. Twierdziła, że nie chce zostawiać przyjaciół.

Rozpatrując problem kobiecej niekonsekwencji, Baque nagle uświadomił sobie, że zbliża się do swojego przystanku. Usiłował się przesunąć na pas wolnego ruchu - zaczął się energicznie przepychać, wciskać między sąsiadów, pracować łokciami - najpierw delikatnie, potem gwałtownie. Tłum ani drgnął.

- Przepraszam - spróbował jeszcze raz. - Ja tu wysiadam.

Tym razem drogę zagroziły mu masywne ramiona.

- Nie dziś, Baque. Masz spotkanie w Centrum.

Baque zerknął na otaczające go twarde, uśmiechnięte twarze. W nagłym zrywie rzucił się w bok, walcząc ze wszystkich sił. Ramiona chwyciły go brutalnie.

- Do Centrum, Baque. Jak chcesz dojechać martwy, twoja wola.

- Do Centrum - zgodził się Baque.

Zsiedli z chodnika na pasie publicznego parkingu, gdzie czekał na nich latacz, elegancki, prywatny, z numerem rejestracyjnym wysokiego priorytetu X. Śmignęli ku Manhattanowi, demonstracyjnie ignorując przepisy, i wylądowali ostro na dachu niebosiężnego budynku Międzynarodowego Wiziskopu. Baque został zapędzony do szybu antygravitacyjnego, pognany labiryntem korytarzy i w końcu wepchnięty - dość bezceremonialnie - do gabinetu.

Pokój był wielki, a skąpe umeblowanie sprawiało, że wydawał się jeszcze bardziej ogromny. Stało w nim tylko biurko, parę krzesel, barek pod ścianą, ogromny ekran wiziskopu - i multikord. Za biurkiem ktoś siedział, ale uwagę Baque'a zwróciła grupa mężczyzn przy barze. Jego spojrzenie przesunęło się po twarzach i znalazło jedyną znajomą: Hulseya.

Pulchny agent zrobił dwa kroki naprzód i stanął przed nim z płonąącym wzrokiem.

- Dzień zapłaty, Erlin - odezwał się zimno.

W blat biurka stuknięto ostro.

- Ja tu decyduję o wypłatach, Hulsey. Proszę usiąść, panie Baque.

Szurnęło krzesło, a Baque usadowił się, nerwowo wpatrzony w człowieka za biurkiem.

- Nazywam się James Denton. Czy moja sława sięgnęła do takich zapadłych dziur jak Bara-Bar Lankeya?

- Nie - odpowiedział Baque. - Ale słyszałem o panu.

James Denton. Władca Międzynarodowego Wiziskopu. Bezwzględny arbiter publicznego gustu. Miał nie więcej niż czterdzieści lat, czerstwą, przystojną twarz, roziskrzone oczy i czujny uśmiech. Denton puknął cygarem o krawędź biurka i z namaszczeniem wsunął je do ust. Mężczyźni rzucili się ku niemu z zapalniczkami; nie podnosząc wzroku, wybrał jedną, zaciągnął się głęboko i skinął głową.

- Nie będę pana zanudzać przedstawianiem tego tłumu, Baque. Niektórzy z tych panów znaleźli się tu z powodów profesjonalnych, inni, ponieważ są zaciekawieni. Dowiedziałem się o panu wczoraj, a to, co usłyszałem, kazało mi sprawdzić, czy jest pan potencjalnym atutem, który można wykorzystać, potencjalnym kłopotem, którego należy się pozbyć, czy też byle czym, co można zignorować. Kiedy chcę się czegoś dowiedzieć, Baque, nie marnuję czasu. - Zaśmiał się

cicho. - Może pana o tym przekonać fakt, że kazałem pana tu sprowadzić natychmiast, gdy będzie pan - nazwijmy to - dostępny.

- Ten człowiek jest niebezpieczny, Denton! - rzucił gwałtownie Hulsey.

Denton błysnął uśmiechem.

- Lubię niebezpiecznych ludzi. Dobrze ich mieć na podorędziu. Jeśli zdołam wykorzystać to, co pan Baque ma, złożę atrakcyjną ofertę. Jestem pewien, że przyjmie ją z wdzięcznością. Jeśli nie zdołam tego wykorzystać, zamierzam cholernie skutecznie dopilnować, żeby nie sprawiał mi kłopotów. Czy wyrażam się jasno, Baque?

Baque, starający się uniknąć spojrzenia Dentona, nie odpowiedział. Denton pochylił się. Jego usta nawet nie drgnęły, ale oczy się zwęziły, a głos nagle zlodowaciał.

- Czy wyrażam się jasno, Baque?

- Tak - wymamrotał słabo Baque.

Denton wskazał kciukiem drzwi i połowa zgromadzonych, w tym Hulsey, wyszła z powagą. Pozostali czekali, rozmawiając szeptem, a Denton miarowo zaciągał się cygarem. W końcu interkom zachrypiał krótko:

- Gotowe.

Denton wskazał multikord.

- Tęsknimy za demonstracją pańskich możliwości. I proszę się postarać, żeby to była dobra demonstracja. Hulsey słucha i powie nam, jeśli będzie pan markować.

Baque skinął głową i zajął miejsce za multikordem. Usiadł z rękami nad klawiaturą, nieśmiało podniósł wzrok na krąg wpatrzonych w niego twarzy. Oto zarządcy biznesu, nauki i przemysłu, a nigdy w życiu nie słyszeli prawdziwej muzyki. A Hulsey - tak, Hulsey będzie słuchać, ale przez interkom Dentona, system komunikacyjny przeznaczony do transmisji głosu.

A Hulsey ma drewniane ucho.

Baque uśmiechnął się pogardliwie, dotknął skrzypcowego rejestru. Bez skutku.

Denton zaśmiał się sucho.

- Zapomniałem pana powiadomić. Za radą Hulseya kazaliśmy odłączyć rejestry.

Baque zawrzał. Wdepnął czujnik głośności, bezczelnie zagrał fanfary wiziskopu, po czym zaczął swój spot Serka Koneserka. Denton, na którego zaczerwienionej twarzy także malował się gniew, pochylił się i coś warknął. Mężczyźni wokół niego poruszyli się niespokojnie. Baque przeszedł do innego spota, potem do improwizowanych wariacji i zaczął przyglądać się twarzom. Władcy przemysłu, nauki i biznesu. Byłoby zabawnie, pomyślał, zmusić ich do przytupywania. Jego palce ukształtowały porywający rytm, a tamci zaczęli się kołysać.

Zapomniał, że miał grać ostrożnie. Śmiejąc się bezgłośnie do siebie, wyzwolił potężną burzę dźwięków, która pchnęła mężczyzn do tańca, a Dentona poderwała na równe nogi. Wybuchem gwałtownych emocji unieruchomił ich w śmiesznych pozach. Kazał im nieustannie tupać, wycisnął im z oczu łzy i skończył z tętniącą mocą, którą Lankey nazywał muzyką seksu.

Potem zgarbił się nad klawiaturą, przerażony tym, co zrobił.

Denton stał za biurkiem, poblady, zaciskając i prostując palce.

- Dobry Boże - wymamrotał.

Warknął do interkomu:

- Reakcja?

- Brak - nadeszła natychmiastowa odpowiedź.

- Kończymy.

Denton usiadł, przesunął rękami po twarzy i odwrócił się do Baque'a z bladym uśmiechem.

- Efektowny występ. Za parę minut będziemy wiedzieć... a, już są.

Ci, którzy wyszli, wrócili do gabinetu. Paru zbiło się w grupkę i zaczęło szeptać. Denton porzucił swoje biurko i w zadumie zaczął krążyć po pokoju. Pozostałych, w tym Hulseya, zniosło ku barkowi.

Baque siedział za multikordem i z niepokojem przyglądał się naradzie. Raz przypadkowo dotknął klawisza i pojedynczy dźwięk zburzył skupienie konferujących, zatrzymał Dentona w pół kroku i spłoszył Hulseya, który rozlał drinka.

- Pan Baque zaczyna się niecierpliwić - zawołał Denton. - Możemy już skończyć?

- Jeszcze chwila.

Wreszcie wrócili przed biurko. Przewodniczący, białowłosy człowiek o wyglądzie naukowca i delikatnej różowej cerze, odchrząknął ze skrępowaniem i zaczął czekać, aż Denton wróci na swoje miejsce.

- Zostało ustalone - odezwał się - że obecni w tym pokoju odczuli silny wpływ muzyki. Słuchający przez interkom nie doświadczyli żadnej reakcji z wyjątkiem lekkiego znudzenia.

- Nie wezwałem was po to, żebyście stwierdzali oczywistości - warknął Denton. - Jak on to robi?

- Możemy wysunąć jedynie roboczą hipotezę.

- Więc nie macie pewności. Trudno.

- Erlin Baque ma zdolność do telepatycznego rzutowania swoich emocjonalnych doświadczeń. Kiedy projekcja zostaje subtelnie wzmocniona grą na multikordzie, osoby przebywające w jego bezpośrednim otoczeniu intensywnie doświadczają tych uczuć. Projekcja nie ma żadnego wpływu na ludzi słuchających muzyki z oddali.

- A... wiziskop?

- W żaden sposób nie zdoła przekazywać swoich emocji drogą

wiziskopu.

- Rozumiem - powiedział Denton. Twarz wykrzywił mu grymas zadumy. - A długofalowe skutki?

- Trudno oszacować...

- Szacujcie, do diabła!

- Nowatorstwo jego gry początkowo zwróci uwagę. Dopóki się nie znudzi, może się stać pewną modą. Kiedy publiczność przestanie się nim interesować, prawdopodobnie zostanie z nim mała grupka zwolenników, którzy będą traktować emocjonalne doświadczenie jego gry jako narkotyk.

- Dziękuję panom. To wszystko.

Pokój szybko opustoszał. Hulsey zatrzymał się w drzwiach, rzucił Baque'owi nienawistne spojrzenie i pokornie wyszedł.

- Najwyraźniej nie jest pan byle czym - odezwał się Denton - ale to, kim pan jest, nie przyda mi się. Niestety. Gdyby mógł pan przekazywać te uczucia przez wiziskop, byłby pan wart miliard za godzinę w dobrym czasie reklamowym. Na szczęście dla pana, pański wskaźnik szkodliwości jest bardzo niski. Wiem, co zamierzacie z Lankeyem. Wystarczyłoby mi powiedzieć jedno słowo, a nigdy w życiu nie zdołalibyście znaleźć lokalu na nową restaurację. Mógłbym w ciągu godziny doprowadzić do zamknięcia Bara-Baru Lankeya, ale nie opłaca mi się wysilać. Jeśli zdoła pan założyć własną sektę, cóż - pewnie uratuje pan swoich wyznawców przed gorszymi kłopotami. Dziś jestem tak wspaniałomyślny, że nie wymuszę na waszej nowej restauracji nawet ekranu wiziskopu. A teraz niech pan lepiej wyjdzie, Baque, zanim zmienię zdanie.

Baque wstał. W tej samej chwili do gabinetu wpłynęła Margerytka Manning, promiennie śliczna, egzotycznie pachnąca, z lśniącymi jasnymi włosami ułożonymi w nową i kuszącą fryzurę.

- Jimmy, kochanie... och! - Spojrzała na Baque'a, na multikord i

zająknęła się. - Ależ pan... pan jest... Erlin Baque! Jimmy, dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Pan Baque zaszczyił mnie prywatnym koncertem - burknął Denton. - Chyba się zrozumieliśmy, Baque. Miłego dnia.

- Chcesz go dać w wiziskopie! - wykrzyknęła Margerytka. - Jimmy, to cudownie! Mogę go wziąć pierwsza? Mogę go wcisnąć dziś rano.

Denton potrząsnął głową.

- Wybacz, kochanie. Uznaliśmy, że talent pana Baque'a nie nadaje się do wiziskopu.

- To może chociaż będzie moim gościem? Będzie pan moim gościem, prawda, panie Baque? Zaprosić go to chyba nic złego, co, Jimmy?

Denton roześmiał się cicho.

- Nie. Narobiłaś takiego hałasu, że dobrze będzie, jeśli go zaprosisz. Będziesz miała za swoje, jak zrobi klapę.

- Nie robi. Wspaniale wyjdzie w wiziskopie. Przyjdzie pan dziś rano?

- No... - powiedział Baque. Denton zaczął gwałtownie kiwać głową. - Wkrótce będziemy otwierać nową restaurację. Chętnie byłbym pani gościem w dniu otwarcia.

- Nowa restauracja? Cudownie. Czy ktoś już o tym wie? Dziś rano pierwsza podam tę wiadomość!

- To na razie nic pewnego - powiedział Baque przepraszająco. - Jeszcze nie znaleźliśmy lokalu.

- Lankey znalazł go wczoraj - odezwał się Denton. - Kazał rzeczoznawcy sprawdzić go dziś rano, a jeśli nie będzie żadnych usterek, podpisze umowę najmu. Proszę podać pannie Manning datę otwarcia, a ona zarezerwuje panu program. A teraz, jeśli można...

Baque pół godziny szukał wyjścia z budynku, ale wolał człapać bezcelowo korytarzami niż pytać o drogę. Podśpiewywał radośnie

pod nosem, a od czasu do czasu wybuchał śmiechem.

Władcy biznesu i przemysłu - oraz ich naukowcy - nie mieli bladego pojęcia o alikwotach.



- I tak to wygląda - powiedział Lankey. - Chyba ci nawet nie świta, ile miałaś szczęścia - ty i my wszyscy. Denton powinien działać, kiedy miał szansę. Teraz my wiemy, czego się spodziewać, a kiedy on oprzytomnieje, będzie za późno.

- Co możemy zrobić, jeśli postanowi nas wyłączyć z gry?

- Ja też mam swoje znajomości, Baque. Nie w najlepszym towarzystwie, jak Denton, ale dokładnie tak samo szemrane. A Denton ma też wielu wrogów, którzy z radością nam pomogą. Powiedział, że może mnie zamknąć w godzinę, tak? Niestety, tak się składa, że nie możemy mu bardzo zaszkodzić, za to możemy mu przeszkodzić zaszkodzić nam.

- Chyba mu zaszkodzimy - powiedział Baque.

Lankey podszedł do baru i wrócił z wysokimi kieliszkami różowego musującego płynu.

- Wypij - powiedział. - Masz za sobą długi dzień, zaczynasz bredzić. Jak moglibyśmy zaszkodzić Dentonowi?

- Wiziskop jest zależny od spotów. Pokażemy ludziom, że mogą się bawić bez nich. Naszym mottem będzie „U LANKEYA BEZ SPOTÓW!”.

- Ekstra - wycedził Lankey. - Ja inwestuję tysiąc w nowe szmatki dla dziewczyn - w nowej knajpie nie mogą nosić tych plastików, rozumiesz, a ty nie chcesz im pozwolić śpiewać.

- Będą śpiewać, będą.

Lankey pochylił się, pieszcząc nos.

- A spotów ma nie być. To co będą śpiewać?

- Wziąłem teksty ze starego podręcznika mojego dziadka. W tamtych czasach to się nazywało wiersze. Napiszę do nich muzykę. Zamierzałem je wypróbować tutaj, ale Denton mógłby się o tym dowiedzieć, a nie ma sensu wdawać się w kłopoty, zanim to będzie nieuniknione.

- Jasne. Wszystkie kłopoty zostawimy na nową knajpę - po dniu otwarcia zrobimy się tacy ważni, że sobie z nimi poradzimy. A ty będziesz w „Poranku z Margerytką”. Jesteś pewien tych alikwotów? Naprawdę potrafisz narzucać emocje, wiesz? W restauracji to bez różnicy, ale w wiziskopie...

- Jestem pewien. Kiedy możemy otworzyć?

- Remont idzie na trzy zmiany. Zrobimy tysiąc dwieście miejsc i jeszcze zostanie sporo luzu na ładny parkiet do tańca. Powinniśmy się wyrobić za dwa tygodnie. Nie wiem, czy to z wiziskopem to taki dobry pomysł.

- Chcę to zrobić.

Lankey wrócił do baru i przygotował sobie drinka.

- Dobrze. Zrób. Jeśli się uda, rozpęta się piekło, a ja mogę się już zacząć na to przygotowywać. - Wyszczrzył zęby. - Niech mnie diabli, jeśli to nam nie nakręci zysków!



Margerytka Manning ułożyła włosy w spiralną konstrukcję pomysłu Zanna z Hongkongu i strawiła dziesięć minut na rozstrzygnięciu, którym profilem powinna się zaprezentować kamerom. Baque czekał cierpliwie; krępowało go tylko to, że jego frak był

najdroższym strojem, jaki kiedykolwiek posiadał. Ciągłe sobie powtarzał, że ma przestać wątpić, czy naprawdę potrafi narzucać emocje.

- Niech będzie tak - orzekła w końcu Margerytka, ściągając przed twarz ręczny monitor na ostatnie kontrolne zerknięcie. - A pan? Co zrobimy z panem?

- Dajcie mi multikord i już.

- Nie może pan tylko grać. Musi pan coś powiedzieć. Zapowiadam ten program codziennie od tygodnia, będziemy mieć największą widownię od lat, po prostu musi pan coś powiedzieć.

- Chętnie, jeśli mogę mówić o restauracji Lankeya.

- Ależ oczywiście, głuptasku. Po to pan tu przyszedł. Pan będzie mówić o restauracji Lankeya, a ja o Erlinie Baque'u.

- Pięć minut - rzucił ostro jakiś głos.

- Ojejku. Tuż przed zawsze się denerwuję.

- Byle nie w trakcie - powiedział Baque.

- Bardzo słusznie. Jimmy sobie ze mnie żartuje, ale tylko artysta zrozumie drugiego artystę. A pan się denerwuje?

- Kiedy gram, jestem na to zbyt zajęty.

- Ze mną jest dokładnie tak samo. Kiedy zaczyna się program, jestem zbyt zajęta.

- Cztery minuty.

- Cholerka! - Znowu dopadła podręcznego monitora. - Może lepiej wyjdę z drugiej strony.

Baque usiadł przy multikordzie.

- Tak jest idealnie.

- Naprawdę? Jakie to miłe. Ciekawe, czy Jimmy będzie miał czas, żeby to obejrzeć.

- Na pewno.

- Trzy minuty.

Baque włączył instrument i uderzył akord. Teraz naprawdę zaczął się denerwować. Nie miał pojęcia, co zagra. Umyślnie niczego nie przygotował, bo to jego improwizacja miała taki dziwny wpływ na ludzi. Jedyne, czego miał unikać, to Muzyka Seksu. Lankey bardzo to podkreślał.

Zatopił się w rozmyślaniach i nie słyszał ostatniego ostrzeżenia. Przerażony poderwał głowę, słysząc radosne: „Dzień dobry wszystkim, to Poranek z Margerytką!”.

Jasny głos Margerytki dźwięczał nieustannie. Erlin Baque. Jego kariera oprawcy muzycznego. Jej zadziwiające odkrycie go, grającego w Bara-Barze Lankeya. Poprosiła dźwiękowców o puszczenie spotu Serka Koneserka. Wreszcie zakończyła przemowę i zaryzykowała zniekształcenie ślicznego profilu, zerkając w jego kierunku.

- Panie i panowie, z podziwem, z dumą, z radością przedstawiam gościa specjalnego Margerytki - Erlina Baque'a!

Baque uśmiechnął się nerwowo i jednym palcem wystukał gamę.

- To moje pierwsze przemówienie. I pewnie ostatnie. Nowa restauracja otwiera się dziś wieczorem. Restauracja Lankeya, na Broadwayu. Niestety, nie mogę dziś państwa zaprosić, bo dzięki życzliwym komentarzom panny Manning wszystkie miejsca mamy zarezerwowane na dwa miesiące z góry. Potem wydzielimy pewną liczbę miejsc dla gości z daleka. Przyłatujcie, żeby nas zobaczyć! U Lankeya znajdziecie coś innego. Nie ma wiziskopu. Może o tym słyszeliście. Mamy młode, atrakcyjne panie, które dla was zaśpiewają. Ja zagram na multikordzie. Wiemy, że lubicie naszą muzykę. Wiemy, że ją lubicie, bo u Lankeya nie ma spotów. Zapamiętajcie - U Lankeya bez spotów. Nie podajemy mydła do zupy. Ani pojazdów powietrznych do steków. Ani koszul na deser. Nie ma spotów! Tylko dobre jedzenie i dobra muzyka, grana wyłącznie dla waszej rozrywki - jak ta.

Opuścił ręce na klawiaturę.

Od razu poczuł, że coś jest nie tak. Zawsze mógł obserwować tłum twarzy i odmierzał muzykę stosownie do reakcji słuchaczy. Teraz miał tylko pannę Manning i wiziskopowych techników. Nagle przestraszył się, że jego sukces był całkowicie zależny od słuchaczy. Słuchali go ludzie na całej półkuli zachodniej. Czy będą klaskać i tupać nogami, czy pomyślą w uniesieniu: „Więc tak brzmi muzyka bez słów, bez spotów!”, a może odwrócą się, znudzeni?

Baque dostrzegł mgnienie pobladłej twarzy Margerytki i techników gapiących się z rozdziawionymi ustami i pomyślał, że może jednak wszystko będzie dobrze. Zatonął w muzyce i grał żarliwie.

Grał nawet wtedy, gdy kontrolny ekran poczerniał. Panna Manning zerwała się z miejsca i podbiegła do niego, technicy miotali się bezładnie. Wreszcie przestał.

- Odcięli nas - powiedziała panna Manning przez łyżę. - Kto mógł mi zrobić coś takiego? Nigdy, przenigdy, odkąd jestem w wiziskopie... George, kto nas odciął?

- Rozkaz.

- Czyj?

- Mój! - James Denton podszedł do nich z zaciętymi ustami, pobladłą twarzą, oczami lśniącymi agresją i żądzą mordy. Rzucił, jakby pluł: - Nie wiem, jak zrobiłeś tę sztuczkę, ale nikt nie oszuka Jamesa Dentona po raz drugi. Teraz stałeś się kłopotem, który należy wyeliminować.

- Jimmy! - załkała panna Manning. - Mój program! Odcięty! Jak mogłeś?

- Zamknij się, do diabła! Baque, właśnie rozpuściłem wieści. Lankey dzisiaj nie otworzy. Choć dla ciebie to bez różnicy.

Baque uśmiechnął się łagodnie.

- Chyba się mylisz, Denton. Wydaje mi się, że muzyka zdołała się do ciebie przedrzeć na tyle, że cię pokonała. Do jutra będziesz miał milion skarg. Podobnie jak rząd, a wtedy dowiesz się, kto naprawdę kieruje Międzynarodowym Wiziskopem.

- Ja.

- Nie, Denton. On należy do ludzi. Od dawna zaniedbywali tę sprawę i brali wszystko, co im dawano. Ale skoro już wiedzą, czego chcą, sami to sobie wezmą. Dałem im przynajmniej trzy minuty tego, czego chcą. To więcej, niż liczyłem.

- Jak zrobiłeś tę sztuczkę w moim gabinecie?

- To nie była moja sztuczka, Denton - tylko twoja. Przekazałeś muzykę przez interkom. A on nie przenosi alikwotów, tonów harmoniczych, więc dla ludzi w drugim pokoju multikord miał martwy dźwięk. Wiziskop ma pełną skalę częstotliwości żywego dźwięku.

Denton pokiwał głową.

- Paru naukowców straci za to głowę. Ty też, choć żał mi takiego marnotrawstwa. Gdybyś grał ze mną uczciwie, zrobiłbym cię autentycznym miliarderem. Jediną alternatywą jest martwy muzyk.

Odszedł, automatyczne drzwi zamknęły się za nim. Margerytka Manning chwyciła Baque'a za ramię.

- Szybko! Za mną!

Zawahał się, a ona syknęła:

- No, nie stój jak idiota! On cię każe zabić!

Przeprowadziła go przez pokój techników na mały korytarz. Popędzili nim, śmignęli przez recepcję, bez słowa minęli zdumioną sekretarkę i wypadli tylnymi drzwiami na inny korytarz. Pociągnęła Baque'a za sobą do windy antygravitacyjnej i wystrzelili w górę. Na dachu budynku zapędziła go na pas powietrznych samochodów i zostawiła w drzwiach.

- Wyjdiesz, kiedy dam ci sygnał - powiedziała. - Nie biegnij, idź. Spokojnie podeszła do parkingowego. Baque usłyszał jego zaskoczone powitanie.

- Wcześniej dziś pani skończyła!

- Puszczamy mnóstwo spotów - powiedziała. - Chcę tego dużego waringa.

- Już podstawiam.

Baque wyjrzał zza rogu i zobaczył ją wsiadającą do latacza. Kiedy tylko parkingowy się odwrócił, gorączkowo machnęła ręką. Baque podszedł do niej ostrożnie, zasłonięty lataczem. Po chwili byli już w powietrzu, a daleko pod nimi cicho wyła syrena.

- Udało się! - jęknęła. - Gdybyś nie uciekł, zanim rozległy się syreny, nie wyszedłbyś żywy z tego budynku.

- No, dzięki - powiedział, oglądając się na budynek Międzynarodowego Wiziskopu - ale to chyba nie było konieczne. Ziemia to cywilizowana planeta.

- Międzynarodowy Wiziskop nie jest cywilizowany - warknęła.

Spojrzał na nią z zastanowieniem. Twarz miała zarumienioną, oczy rozszerzone strachem. Po raz pierwszy ujrzał w niej istotę ludzką, kobietę, piękną kobietę. A kiedy na nią patrzył, odwróciła się i wybuchnęła płaczem.

- Teraz Jimmy i mnie każe zabić. I dokąd pójdziemy?

- Do Lankeya - odparł. - Patrz - już go widać.

Skierowała latacza ku świeżo wymalowanym literom na pasie nad nową restauracją, a Baque obejrzał się i zobaczył tłum na ulicy przed Międzynarodowym Wiziskopem.



Lankey odsunął biurko pod ścianę i rozparł się wygodnie. Miał na sobie dopasowany frak i starannie przysposobił się do roli jowialnego gospodarza, ale w swoim gabinecie stał się tym samym pokracznym Lankeyem, którego Baque ujrzał po raz pierwszy opartego o bar.

- Mówiłem ci, że będzie piekło - powiedział, szczerząc zęby. - Przed Międzynarodowym Wiziskopem zebrało się pięć tysięcy ludzi i wrzeszczą, domagając się Erlina Baque'a. A tłum rośnie.

- Nie grałem dłużej niż trzy minuty - odparł Baque. - Myślałem, że ludzie będą pisać skargi, że Denton mnie wyłączył, ale czegoś takiego się nie spodziewałem.

- Nie spodziewałeś się, co? Pięć tysięcy ludzi - do tej pory może nawet dziesięć - a panna Manning ryzykuje głowę, żeby cię stamtąd wyrwać. Spytaj ją dlaczego.

- Właśnie - powiedział Baque. - Dlaczego zadałaś sobie tyle kłopotu?

Zadrzała.

- Twoja muzyka robi ze mną dziwne rzeczy.

- No myślę - odezwał się Lankey. - Baque, idioto, dałeś jednej czwartej populacji Ziemi trzy minuty Muzyki Seksu!

Tego wieczora Lankey otworzył restaurację punktualnie, a tłum usiłował wedrzeć się do środka, aż wreszcie nie było nawet jednego miejsca stojącego. Przebiegły Lankey ustalił stawki za wejście. Stojący nie zamawiali jedzenia, a Lankey nie widział sensu w zapewnianiu im darmowej muzyki, nawet jeśli ludzie byli gotowi stać, byle tylko jej posłuchać.

W ostatniej chwili dokonał korekty planu. Rozsądnie założył, że klienci będą woleli uroczą gospodynię zamiast starszego gospodarza z rozpląszczonym nosem, i zatrudnił Margerytkę Manning. Wyszła z wdziękiem, a głęboki błękit jej powiewnej sukni był piękną oprawą

dla złocistych włosów.

Kiedy Baque zajął miejsce za multikordem, szalone owacje trwały dwadzieścia minut.

W połowie wieczora Baque odnalazł Lankeya.

- Denton coś zrobił?

- Nie zauważyłem. Wszystko idzie gładko.

- To dziwne. Przysiągłem, że dziś nie otworzymy.

Lankey zachichotał.

- Ma własne kłopoty. Władze weszły mu na głowę za te zamieszki. Bałem się, że zrzucą odpowiedzialność na ciebie, ale nie. Denton pokazał cię w wiziskopie, a potem cię wyłączył, więc uważają, że to on jest winien. A z ostatnich doniesień wynika, że do Międzynarodowego Wiziskopu napłynęło już ponad dziesięć milionów skarg. Nie martw się, Baque. Wkrótce dostaniemy wiadomość od Dentona, i od gildii też.

- Od gildii! Dlaczego?

- Gildia Oprawców Muzycznych dostanie szału, że zlekceważyłeś spoty. Gildia Tekściarzy poprze ją w sprawie spotów, a także zarzuci ci, że wykorzystujesz muzykę bez słów. Gildia Wykonawców już ma cię na celowniku, bo niewielu jej członków potrafi coś zagrać i oczywiście poprze pozostałe gildie. Do jutrzejszego ranka, Baque, będziesz najpopularniejszym człowiekiem w Układzie Słonecznym, a sponsorzy oraz ludzie z wiziskopu i gildii znienawidzą cię z całego serca. Daję ci całodobową ochronę. I pannie Manning też. Chcę, żebyście oboje wyszli z tego z życiem.

- Naprawdę myślisz, że Denton mógłby...

- Denton mógłby.

Następnego ranka Gildia Wykonawców umieściła restaurację Lankeya na czarnej liście i rozkazała wszystkim muzykom, w tym Baque'owi, odciąć się od niej. Rose i inne wokalistki poszły w ślady

Baque'a i uprzejmie odmówiły, w związku z czym do południa również znalazły się na czarnej liście. Lankey zatrudnił adwokata, najbardziej złowieszcze, podstępne, niegodne szacunku indywiduum, jakie Baque kiedykolwiek widział.

- Powinni nam dać tygodniowe ostrzeżenie - powiedział Lankey. - I jeszcze jeden tydzień, gdybyśmy zdecydowali się na apelację. Pozwę ich o pięć milionów.

Zjawił się Komisarz do spraw Bezpieczeństwa Publicznego, a zaraz po nim Komisarz do spraw Zdrowia i Napojów Alkoholowych. Wszyscy odbyli krótką konferencję z Lankeyem i wyszli z ponurymi minami.

- Denton za późno się ocknął - oznajmił Lankey z uciechą. - Do wszystkich trzech dotarłem tydzień temu i nagrałem nasze rozmowy. Na nic się nie ośmielą.

Tej nocy przed restauracją doszło do zamieszek, ale Lankey miał przygotowany własny oddział interwencyjny i klienci nawet nie zauważyli, że coś jest nie tak. Informatorzy szacowali, że Międzynarodowy Wiziskop otrzymał już ponad pięćdziesiąt milionów skarg, a tuzin agencji rządowych przystąpił do dochodzenia. Zaczęły spontanicznie wybuchać antyspotowe demonstracje, a w restauracjach na Manhattanie rozbito pięć wiziskopowych ekranów.

Pierwszy tydzień działalności restauracji Lankeya przeszedł bez niepokojów. Codziennie przychodziły tłumy. Rezerwacje napływały aż z Plutona; powracający oddział przeprowadził głosowanie i pierwszą noc mieli spędzić u Lankeya. Baque posłał do Berlina po multikordzistę, którego zamierzał wykształcić, a pod koniec tygodnia Lankey zaczął szacować, że mógłby prowadzić całodobową restaurację.

Na początku drugiego tygodnia powiedział do Baque'a:

- Wykończyliśmy Dentona. Odparłem każdy jego ruch, a teraz sami wykonamy parę. Znowu wystąpisz w wiziskopie. Dziś złożyłem wniosek. Prowadzimy legalny interes i mamy takie samo prawo do kupienia czasu, jak każdy. Jeśli nam go nie da, pozwę go. Ale on się nie odważy.

- Skąd weźmiesz na to pieniądze? - spytał Baque.

Lankey wyszczerzył zęby.

- Z oszczędności... częściowo. A głównie od ludzi, którzy nie lubią Dentona.

Denton nie odmówił. Baque zrealizował emitowany na całej Ziemi program - bezpośrednią transmisję z knajpy Lankeya z zapowiadającą go Margerytką. Ominął tylko Muzykę Seksu.



Pora zamknięcia lokalu. Baque był w swojej garderobie, przebierał się zmęczony. Lankey już wyszedł na spotkanie z adwokatem. Zastanawiali się nad następnym ruchem Dentona.

Baque był niespokojny. Powtarzał sobie, że jest tylko głupim muzykiem. Nie rozumiał problemów prawnych ani splątanej sieci układów i wpływów, którymi z taką łatwością żonglował Lankey. Wiedział, że James Denton jest złem wcielonym i ma dość pieniędzy, żeby kupić Lankeya tysiąc razy albo zapłacić za zamordowanie każdego, kto wszedł mu w drogę. Na co czekał? Jeśli da Baque'owi dość czasu, ten wymierzy śmiertelny cios całej instytucji spotów. Denton na pewno o tym wiedział.

Więc na co czeka?

Drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła na wpół rozebrana Margerytka Manning z twarzą bladą jak białe plastikowe miseczki

biustonosza. Oparła się o drzwi. Trzęsa się, szlochając.

- Jimmy... - jęknęła. - Dostałam wiadomość od Carol, to jego sekretarka. Była moją przyjaciółką. Mówi, że Jimmy przekupił naszych ochroniarzy i dziś rano zabiją nas w drodze do domu. Albo pozwolą, żeby zabili nas ludzie Jimmy'ego.

- Zadzwoń do Lankeya - odparł Baque. - Nie ma się czym martwić.

- Nie! Jeśli zaczną coś podejrzewać, nie będą czekać. Nie będziemy mieć żadnej szansy.

- Więc po prostu zaczekamy, aż Lankey wróci.

- Myślisz, że to bezpieczne? Wiedzą, że przygotowujemy się do wyjścia.

Baque usiadł ciężko. Dokładnie takiego ruchu spodziewał się po Dentonie. Wiedział, że Lankey starannie dobrał swoich ludzi, ale Denton miał dość pieniędzy, by kupić każdego. A jednak...

- Może to pułapka. Może wiadomość jest fałszywa.

- Nie, wczoraj wieczorem zobaczyłam, jak ten mały tłusty padalec Hulsej rozmawia z jednym z naszych ochroniarzy i zrozumiałam, że Jimmy coś knuje.

- Więc co chcesz zrobić?

- Możemy wyjść tylnymi drzwiami?

- Nie wiem. Musielibyśmy minąć przynajmniej jednego strażnika.

- Nie możemy spróbować?

Baque zawahał się. Była przerażona, chora ze strachu, ale wiedziała o tych rzeczach więcej od niego i znała Jamesa Dentona. Bez jej pomocy nigdy nie wy dostałby się z budynku Międzynarodowego Wiziskopu.

- Jeśli uważasz, że tak powinniśmy, to spróbujemy.

- Muszę się przebrać.

- Proszę. Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa.

Uchyliła odrobinę drzwi i ostrożnie wyjrzała.

- Nie. Chodź ze mną.

Parę minut później Baque i panna Manning niedbałym krokiem przeszli korytarzem na tyły budynku, skinęli głowami dwóm strażnikom i nagle rzucili się ku drzwiom. Biegiem. Za nimi rozległ się okrzyk zaskoczenia, ale nikt ich nie ścigał. Rzucili się gorączkowo w zaułek, skręcili, dotarli do następnego skrzyżowania i zawahali się.

- Chodnik jest tam - wydyszała. - Jeśli dobiegniemy...

- Już!

Pobiegli, ręka w rękę. Przed nimi zaułek wychodził na ulicę. Baque lękliwie spojrział w górę, spodziewając się powietrznych samochodów, ale nie zobaczył żadnego. Nie wiedział, gdzie właściwie są.

- Czy... ktoś nas ściga? - spytała.

- Nie sądzę - zipnął. - Nie ma samochodów powietrznych, a kiedy stanęliśmy, nikogo nie widziałem.

- Więc uciekliśmy!

W cieniu przedświt trzystu metrów przed nimi wyłonił się gwałtownie jakiś człowiek. Zatrzymali się, sparaliżowani strachem, a on zaczął z wolna ku nim iść. Nisko nasunięty kapelusz zasłaniał mu twarz, ale nie można było nie rozpoznać jego uśmiechu. James Denton.

- Dzień dobry, Piękna - odezwał się. - Międzynarodowy Wiziskop nie jest taki sam bez twojej pięknej buzi. I dzień dobry panu, panie Baque.

Stali w milczeniu. Panna Manning ścisnęła ramię Baque'a. Jej paznokcie przebiły mu koszulę i skórę. Nie poruszył się.

- Tak właśnie myślałem, że nabierzesz się na tę sztuczkę, Piękna. Myślałem, że do tego czasu jesteś już tak przerażona, że się nabierzesz. Wszystkie wyjścia są zablokowane, ale jestem ci bardzo

wdzięczny, że wybrałaś akurat to. Bardzo wdzięczny. Lubię osobiście załatwiać takie przekręty. Nagle odwrócił się do Baque'a.

- Idź stąd - warknął. - Nie twoja kolej. Co do ciebie mam inne plany.

Baque stał jak wrośnięty w mokry chodnik.

- Jazda, Baque, zanim się rozmyślę.

Panna Manning puściła jego ramię. Jej głos brzmiał jak zdławiony szept.

- Idź!

- Baque! - warknął Denton.

- Idź, szybko! - szepnęła znowu.

Baque zrobił niepewnie dwa kroki.

- No! - wrzasnął Denton.

Baque rzucił się do ucieczki. Za jego plecami rozległ się paskudny trzask broni, krzyk i cisza. Baque potknął się i zobaczył patrzącego za nim Dentona. Pobiegnął dalej.



- Więc jestem tchórzem - powiedział Baque.

- Nie. - Lankey powoli kręcił głową. - Jesteś odważny, w przeciwnym razie nie zrobiłbyś tego. Próba działania byłaby głupotą, nie odwagą. To moja wina, bo myślałem, że najpierw zrobi coś przeciwko restauracji. Jestem Dentonowi coś za to winien, a taki jestem, że spłacam swoje długi.

Jego brzydką twarz wykrzywił grymas troski. Spojrzał z zażenowaniem na Baque'a.

- Była dzielną i piękną kobietą - powiedział, z roztargnieniem pieszcząc spłaszczony nos. - Ale nie rozumiem, dlaczego Denton

pozwolił ci odejść.

Tragedia, która tego wieczora zawisła nad restauracją, nie miała wpływu na klientów. Powitali Baque'a grzmiącą owacją. Kiedy stanął, by się uklonić, podeszło do niego trzech policjantów.

- Erlin Baque?
- Zgadza się.
- Jest pan aresztowany.

Baque spojrział na nich ponuro.

- Pod jakim zarzutem?
- Morderstwa.

Morderstwa Margerytki Manning.



Lankey przycisnął smętną twarz do krat i powiedział bez pośpiechu:

- Mają paru świadków. Uczciwych ludzi, którzy widzieli, jak wybiegasz z tego zaułka. I paru nieuczciwych, którzy twierdzą, że widzieli, jak strzelasz. Jeden to twój przyjaciel Hulsej, który akurat wybrał się na poranną przechadzkę tym zaułkiem - albo tak zezna. Denton pewnie wydałby i milion na to, żeby cię skazać, ale nie będzie musiał. Nie musi nawet przekupywać przysięgłych. Takie ma dowody.

- A broń? - spytał Baque.
- Będą mieli świadka, który stwierdzi, że ci ją sprzedał.

Baque skinął głową. Teraz wszystko wymknęło mu się spod kontroli. Działał w sprawie, której nikt nie rozumiał - pewnie nawet on sam nie pojmował, na co się porywa. I przegrał.

- Co teraz będzie? - spytał.

Lankey ze smutkiem pokręcił głową.

- Nie będę ukrywać złych wieści. To oznacza dożywocie. Na resztę życia wyślą cię do kamieniołomów na Ganimedzie.

- Rozumiem - powiedział Baque. I dodał z niepokojem: - Będziesz dalej działać?

- Coś ty chciał osiągnąć, Baque? Nie pracowałeś tylko dla Lankeya. Ja to widziałem, ale współdziałałem z tobą, bo cię lubię. I lubię twoją muzykę. Więc o co chodziło?

- Nie wiem. Pewnie o muzykę. Żeby ludzie słuchali muzyki. Żeby się pozbyć spotów albo chociaż niektórych. Może gdybym wiedział, co chciałem osiągnąć...

- Tak. Tak, chyba rozumiem. Dalej będę prowadzić restaurację, póki żyję, i nie udaję szlachetnego. Biznes się kręci jak złoto. Ten nowy multikordzista nie jest wcale taki zły. Nie umywa się do ciebie, ale takiego jak ty już nie będzie. Mielibyśmy wyprzedane miejsca na pięć lat naprzód, gdybyśmy prowadzili takie długoterminowe rezerwacje. Inne restauracje pozbywają się wiziskopu i usiłują nas naśladować, ale mieliśmy niezłe wyprzedzenie. Będziemy działać tak, jak to ustaliłeś, a ty nadal masz jedną trzecią zysków. Każę je wpłacać na twój fundusz. Jak wrócisz, będziesz bogaczem.

- Jak wrócę?

- No... dożywocie nie zawsze znaczy do końca życia. Staraj się dobrze zachowywać.

- Val?

- Zajmiemy się nią. Dam jej jakąś robotę.

- Może zdołam ci przesłać muzykę. Będę miał mnóstwo czasu.

- Boję się, że nie. To od muzyki chcą cię odizolować. Więc - nie pisz muzyki. I nie dopuszczają cię do multikordu. Uważają, że mógłbyś zahipnotyzować strażników i uwolnić wszystkich więźniów.

- Czy... pozwolą mi wziąć kolekcję płyt?

- Chyba nie.
 - Rozumiem. No, skoro tak ma być...
 - Tak ma być. Teraz zaciągnąłem już u Dentona dwa długi.
- Niewzruszony Lankey odwrócił się ze łzami w oczach.



Przysięgli naradzali się przez osiem minut i uznali podsądnego za winnego. Baque został skazany na dożywocie. W wiziskopie odezwały się głosy protestu, bo w kamieniołomach Ganimeda żyło się przeważnie bardzo krótko.

Maluczcy szeptali między sobą, że sponsorzy i wiziskop przekupili przysięgłych. Mówiono, że Erlin Baque został wrobiony, ponieważ dał ludziom muzykę.

I w dniu, w którym Baque odleciał na Ganimeda, ogłoszono publiczne wystąpienie H. Vaila, multikordzisty i B. Johnsona, skrzypka. Wstęp jeden dolar.

Lankey pieczołowicie zebrał dowody, przekupił jednego z przekupionych świadków i wniósł apelację od wyroku. Apelację odrzucono i czas włókł się dalej, rok po roku.

Zorganizowano Nowojorską Orkiestrę Symfoniczną, z dwudziestoma muzykami. Jeden z eleganckich powietrznych samochodów Jamesa Dentona rozbił się, a Denton poniósł śmierć na miejscu. Nieszczęśliwy wypadek. Milioner, który niegdyś usłyszał w wiziskopie grę Erlina Baque'a, założył tuzin muzycznych konserwatoriów. Miały nosić nazwę Konserwatoriów Baque'a, ale pewien muzyk, który nie miał pojęcia, kim jest Baque, zmienił nazwę na Konserwatorium Bacha.

Lankey umarł, a jego szwagier kontynuował jego dzieło.

Rozpoczęto zbiórki pieniężne na budowę nowej sali koncertowej dla Nowojorskich Symfoników, liczących obecnie czterdziestu członków. Projekt rósł lawinowo i w końcu wybrano miejsce w Ohio, ze względu na łatwiejszy dojazd ze wszystkich części kontynentu Ameryki Północnej. Wzniesiono Salę Beethovena z miejscami na czterdzieści tysięcy osób. Bilety na pierwszy cykl koncertów rozeszły się w czterdzieści osiem godzin.

W operze po raz pierwszy od dwustu lat zrezygnowano z wiziskopu. W Ohio oddano budynek operowy, a następnie instytut sztuki. Centrum rozrastało się, najpierw dzięki prywatnym datkom, potem pod opieką rządu. Szwagier Lankeya umarł, a zarządzanie sprawami restauracji oraz batalię o uwolnienie Erlina Baque'a przejął siostrzeniec. Minęło trzydzieści lat, potem czterdzieści.

Czterdzieści dziewięć lat, siedem miesięcy i dziewiętnaście dni po otrzymaniu wyroku dożywocia Baque został ułaskawiony. Nadal miał jedną trzecią zysków w najbardziej dochodowej restauracji na Manhattanie, a zgromadzone przez te lata pieniądze uczyniły go bogaczem. Miał dziewięćdziesiąt sześć lat.



Sala Beethovena znowu pękała w szwach. Letnicy ze wszystkich zakątków Układu Słonecznego, miłośnicy muzyki, starzy ludzie, którzy przeszli w Centrum na emeryturę, młodzi ludzie na edukacyjnych wycieczkach, w sumie czterdzieści tysięcy, kręcili się i wypatrywali w kulisach dyrygenta. Kiedy się pojawił, z dwunastu balkonów zagrzmiały oklaski.

Erlin Baque siedział na swoim stałym miejscu w głębi głównego piętra. Poprawił okulary i spojrzał na orkiestrę, raz jeszcze

zastanawiając się, jak brzmi kontrafagot. Gorycz zostawił na Ganimedzie. Jego życie w Centrum było niekończącym się pasmem cudów.

Oczywiście nikt nie pamiętał Erlina Baque'a, oprawcy muzycznego i mordercy. Całe pokolenia nie pamiętały nawet spotów. A jednak Baque uważał, że to on osiągnął to wszystko, niemal tak, jakby własnoręcznie zbudował ten budynek - całe to Centrum. Rozłożył ręce, dłonie zniekształcone po latach spędzonych w kamieniołomach, zgniecione palce i opuszki, ciało okaleczone przez kaskady kamieni. Niczego nie żałował. Dobrze się sprawił.

Za jego plecami stało dwóch odźwiernych. Jeden wskazał go kciukiem i szepnął:

- Ten to dopiero typ. Przychodzi na każdy koncert. Żadnego nie przepuści. Siedzi zawsze tutaj i przygląda się ludziom. Mówią, że kiedyś tam był oprawcą muzycznym.

- Może lubi muzykę - powiedział drugi.

- Gdzie tam. Ci starzy oprawcy nie znali się na muzyce. Poza tym jest głuchy.

Przełożyła Maciejka Mazan

Theodore Sturgeon

SPODEK SAMOTNOŚCI

Prozę Theodore'a Sturgeona (1918-1985) zaludniają zwykli ludzie zmagający się ze swymi nazbyt ludzkimi wadami lub usiłujący znaleźć w nieprzyjaznym otoczeniu kogoś dzielającego ich pragnienia i poczucie samotności. Sturgeon zaczął publikować w 1939r. i szybko zapisał się w literaturze fantasy i SF opowiadaniem, które stały się klasyką. „Microcosmic God” opowiada o naukowcu bawiącym się w Boga, co ma niespodziewanie zabawne skutki, efekt nieustannego zagrożenia bezpieczeństwu mikroskopijnej rasy. „It” skupia się na reakcjach bohaterów, którzy walczą z szalejącym nieludzkim monstrem. W „Yesterday Was Monday” bohater odkrywa, że każdy dzień to scena teatralna budowana przez malutkich robotników. „Killozer” to wariacja na temat Frankensteina - ekipa budowlana zostaje uwięziona na wyspie, gdzie w buldożer wstępuje elektryczna energia obcej formy życia. W prozie Sturgeona z okresu po drugiej wojnie światowej łagodny humor jego wcześniejszych utworów przechodzi w patos. „Memorial” i „Gromy i róże” to przypowieści-ostrzeżenia dotyczące szkód spowodowanych przez użycie broni nuklearnej. „Spodek samotności” oraz „Maturity” wykorzystują tradycyjne scenariusze SF do analizy uczucia alienacji i niedostosowania. Proza Sturgeona w formacie powieściowym zapada w pamięć ze względu na portrety postaci, które wznoszą się ponad izolację niepowodzeń, by dostosować się do wymagań

społeczeństwa. „Więcej niż człowiek” (1953) to klasyczna opowieść o grupie psychologicznie dysfunkcyjnych osobników, którzy łączą siły, by stworzyć nadludzką świadomość Gestalt. W „The Dreaming Jewels” (1950) młody bohater odkrywa, że jego anormalne zachowania to w rzeczywistości symptomy nadludzkiej mocy. Do tematu homo gestalt powrócił Sturgeon w powieści „The Cosmic Rape” (1958) o inwazji, która przyniosła ludzkości dobroczynne skutki. Sturgeon jest także znany z analizy seksualnych tabu i restrykcyjnej moralności w „Venus Plus X” (1960), „Some of Your Blood” (1961), „The World Well Lost” i „If All Men Were Brothers Would You Let One Marry Your Sister?”. Jego opowiadania znalazły się w 14 zbiorach, m.in.: „Without Sorcery” (1948), „E Pluribus Unicorn” (1953), „Caviar” (1955), „A Way Home” (1955), „A Touch of Strange” (1958), „The Worlds of Theodore Sturgeon” (1972), „The Stars are the Styx” (1979), „The Golden Helix” (1979). Dziesięciotomowe „opowiadania zebrane” (naprawdę wszystkie!) pod redakcją Paula Williamsa noszą tytuły: „The Ultimate Egoist” (1994), „Microcosmic God” (1995), „Killdozer” (1996), „Thunder and Roses” (1997), „The Perfect Host” (1998), „Baby Is Three” (1999), „A Saucer of Loneliness” (2000), „Bright Segment” (2002), „And Now the News...” (2003), „The Man Who Lost the Sea” (2005). Po polsku wydano dwa opowiadania w zeszytach: „Klucz do nieba” (1985) i „Klucz do Zapory” (1986).

Jeśli nie żyje, pomyślałem, nigdy nie znajdę jej w tej białej powodzi księżycowego światła na białym morzu, gdzie piana jak kłęby szamponu chlusta z sykiem na jasny piasek. Niemal zawsze samobójcy, którzy zadają sobie cios nożem lub strzelają w serce, starannie obnażają pierś; ten sam dziwny impuls na ogół każe ludziom szukającym śmierci w morzu rozebrać się do naga.

Nieco wcześniej lub później, pomyślałem, wydmy i ta sycząca, ruchoma piana rzucałyby cień. Teraz jedyny prawdziwy cień należał do mnie, maleńki, tuż pod moimi stopami, choć czarny tak, że tej czerni wystarczyłoby na cień samolotu.

Nieco wcześniej, pomyślałem, mógłbym zobaczyć ją na tym srebrnym brzegu, szukając miejsca na tyle odosobnionego, żeby w nim umrzeć. Nieco później moje nogi zbuntowałyby się przeciwko temu brnięciu przez piasek, ten cholerny piasek, który usuwa się spod stóp i przeszkadza spieszącemu się człowiekowi.

Akurat wtedy nogi się pode mną ugięły i nagle padłem na kolana, szlochając - nie za nią, jeszcze nie - lecz z braku powietrza. Wokół mnie szumiało: wiatr i kropelki wody, wszędzie kolory, kolory i cienie kolorów, które zresztą wcale nie były kolorami, lecz migotliwością bieli i srebra. Gdyby takie światło było dźwiękiem, brzmiałoby jak ta morska woda na piasku, a gdyby moje uszy były oczami, zobaczyłyby takie światło.

Zgarbiłem się, dysząc w tym zamieszaniu, i wówczas uderzyła mnie fala, płytką i szybką; odchyliła się jak płatki kwiatów tam, gdzie dotknęła moich kolan, po czym przemoczyła mnie do pasa bąbelkami i pianą. Przycisnąłem palce do oczu, żeby znowu mogły się otworzyć. Morze sięgnęło mi do ust smakiem łez i cała biała noc rozkrzyczała się i rozpłakała w głos.

I oto ona.

Jej białe ramiona były wyższą krzywizną w wybrzuszeniu piany. Musiała mnie wyczuć - może krzychałem - bo odwróciła się i spojrzała na mnie, klęczącego. Podniosła pięści do skroni, twarz jej się wykrzywiła, wydała przenikliwe łkanie rozpacz i furii, rzuciła się w morze i zatonęła.

Zrzuciłem buty i wpadłem pomiędzy fale, krzyżąc, szukając, chwytając białe błyski, które zmieniały mi się w palcach w morską

sól i zimno. Skoczyłem tuż koło niej; jej ciało uderzyło mnie w bok, fala chlasnęła mnie w twarz i cisnęła nami. Zachłysnąłem się gęstą wodą, otworzyłem oczy pod powierzchnią i zobaczyłem zielonkawobiały, zniekształcony i rozedrgany księżyc. Potem pod moimi stopami znowu znalazł się grząski piasek, a moja lewa ręka zaplątała się w jej włosy.

Cofająca się fala odciągnęła ją, umknęła mi z ręki jak para z gwizdka. Byłem pewien, że nie żyje, ale kiedy osiadła na piasku, zaczęła ze mną walczyć i zerwała się na równe nogi.

Uderzyła mnie w ucho, mokro, mocno, i głowę przebił mi silny, ostry ból. Szarpnęła, cofnęła się, a moja ręka przez cały czas tkwiła zaplątana w jej włosy. Nie mogłbym jej uwolnić nawet, gdybym chciał. Wróciła do mnie z następną falą, rzuciła się na mnie z pięściami i pazurami i zatonęliśmy na większej głębini.

- Przestań... przestań... nie umiem pływać! - krzyknąłem, więc znowu skoczyła na mnie z pazurami.

- Zostaw mnie! - wrzasnęła. - O Boże, dlaczego nie chcesz (powiedziały jej paznokcie)... mnie (powiedziały jej kłapiące zęby)... zostawić! (powiedziała jej mała twarda piąstka).

Więc za włosy przygiąłem jej głowę do białego ramienia, a krawędzią wolnej ręki dwa razy uderzyłem ją w szyję. Znowu uniosła się na wodzie, a ja wyciągnąłem ją na brzeg.

Zaniósłem ją tam, gdzie wydmy ciągnęły się między nami i szerokim, hałaśliwym jezorem morza; a wiatr był gdzieś wysoko nad nami. Ale światło lśniło równie mocno. Roztarłem jej przeguby, pogładziłem twarz i powiedziałem „już dobrze” i „no, no”, a także niektóre nazwy, które znalazłem dla snu, jaki miałem na długo, zanim o niej usłyszałem.

Leżała nieruchomo na plecach. Oddech syczał między jej zębami, usta układały się w uśmiech, który jej mocno zamknięte,

zapięczętowane zmarszczkami oczy zmieniały w grymas. Od paru chwil była przytomna, ale jej oddech nadal syczał, a powieki się zaciskały.

- Dlaczego mnie nie zostawisz? - spytała w końcu.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie. Było w niej tyle rozpacz, że nie zostało miejsca na strach. Znowu zamknęła oczy i powiedziała:

- Wiesz, kim jestem.

- Wiem - powiedziałem.

Zaczęła płakać.

Czekałem, a kiedy skończyła, między wydmami znowu pojawiły się cienie.

- Nie wiesz, kim jestem - powiedziała. - Nikt nie wie.

- To było we wszystkich gazetach.

- To! - Otworzyła wolno oczy, a jej spojrzenie przesunęło się po mojej twarzy i ramionach, zatrzymało się na ustach, przez najkrótszą z chwil dotknęło moich oczu. Skrzywiła usta i odwróciła głowę. - Nikt nie wie, kim jestem.

Czekałem, aż się poruszy lub przemówi, i w końcu poprosiłem:

- Powiedz mi.

- Kim jesteś? - spytała, nadal z odwróconą głową.

- Kimś, kto...

- Tak?

- Nie teraz. Może później.

Nagle usiadła i spróbowała się zasłonić.

- Gdzie moje ubranie?

- Nie widziałem go.

- O - powiedziała. - Pamiętam. Zdjęłam je i przysypałam piaskiem, tam, gdzie fale go wygładzą... Nienawidzę piasku. Chciałam utonąć w piasku, ale to by mi nie pozwoliło... nie wolno ci na mnie patrzeć! - krzyknęła. - Nie mogę tego znieść! - Rzuciła głową na boki,

wypatrując. - Nie mogę tu tak zostać! Co mam zrobić? Dokąd pójść?

- Proszę - powiedziałem.

Pozwoliła się podnieść, a potem wyrwała rękę, odwróciła się ode mnie.

- Nie dotykaj mnie. Odsuń się.

- Proszę - powtórzyłem i ruszyłem wydumą w miejsce, gdzie zakręcała w księżycowym świetle, osypywała się na wietrze i stawała nie wydumą, lecz plażą. - Proszę. - Wskazałem za wydumą.

W końcu poszła za mną. Spojrzała ponad wydumą w miejscu, gdzie sięgała do piersi, a potem tam, gdzie dosięgała kolan.

- Tam?

Skinęła głową.

- Nie widziałem ich.

- Bardzo ciemno... - Przeszła przez niską wydumą, w bolesną czerń tych księżycowych cieni. Poruszała się ostrożnie, delikatnie stawiała stopy aż do miejsca, gdzie wydma znowu stała się wyższa. Osunęła się w czerń i znikła. Usiadłem na piasku w świetle. - Nie zbliżaj się - rzuciła.

Wstałem i cofnąłem się. Niewidoczna w cieniach, tchnęła:

- Nie odchodź.

Czekałem, potem zobaczyłem jej dłonie, wyłaniające się z cieni o ostrych krawędziach.

Tam - powiedziała. - Tam dalej. W ciemnościach. Bądź... Teraz się nie zbliżaj... Bądź... głosem.

Zrobiłem, jak mi kazała, i usiadłem w cieniu, jakieś dwa metry od niej.

Opowiedziała mi. Inaczej, niż było w gazetach.

Miała wtedy może siedemnaście lat. Była w Central Parku w Nowym Jorku. Dzień był zbyt ciepły jak na wczesną wiosnę i spalone brązowe zbrocze obsypała zieleń porannego szronu. Ale

chłody odeszły, a trawa się rozzuchwalała i skusiła ze sto par stóp do zejścia z asfaltu i betonu.

Jej stopy także. Kiełkująca ziemia była dla nich zaskoczeniem, tak jak powietrze dla płuc. Kiedy szła, jej stopy pozbyły się butów, jej ciało świadomie stało się czymś więcej niż ubranie. Był to dzień, który skłaniał miastowych do podniesienia oczu. Skłonił i ją.

Na chwilę poczuła się oderwana od swojego życia, w którym nie było zapachu, ciszy, w którym nic nie było dokładnie dopasowane ani dopełnione. W tej chwili zdyscyplinowana dezaprobata budynków wokół anemicznego parku nie mogła jej dosięgnąć; na dwa, trzy czyste oddechy przestało się liczyć, że tak naprawdę świat przynależy do wizji wyświetlanych na ekranie, do pięknie wystylizowanych bogiń z tych wieżowców ze szkła i stali; krótko mówiąc, że zawsze, zawsze należy do kogoś innego.

Więc podniosła oczy, a nad nią unosił się spodek.

Był piękny. Żłocisty, przyprószony matowym pyłkiem jak niedojrzałe winogrona concord. Wydał cichy dźwięk, akord złożony z dwóch tonów, szmer jak szept wiatru w wysokim zbożu. Śmigał w powietrzu niczym jaskółka, unosząc się i opadając. Krążył, nurkował i wynurzał się jak ryba, migotliwa ryba. Przypominał to wszystko, ale miał też urodę przedmiotów polerowanych i obrabianych, odmierzonych, zaprojektowanych i wytworzonych.

W pierwszej chwili się nie zdziwiła, bo to było tak różne od wszystkiego, co kiedykolwiek widziała, że musiało być złudzeniem, fałszywą oceną rozmiaru, prędkości i odległości, która za chwilę objawi się jako błysk słońca na samolocie lub łuna spawarki.

Odwróciła od niego wzrok i nagle zdała sobie sprawę, że wiele innych osób też to widziało - to coś. Ludzie wokół niej przestali się poruszać, zamilkli i wyciągali szyje. Wokół niej powstała bańka milczącego zdumienia, a poza nią trwał hałas żywego miasta,

dyszącego olbrzyma, który nigdy nie wdycha powietrza.

Znowu podniosła wzrok i w końcu zaczęło do niej docierać, jak wielki i daleki jest spodek. Nie; raczej jaki jest mały i bliski. Najbliższy pierścień mogłaby objąć obiema rękami, a unosił się niecałe pół metra nad jej głową.

Wtedy pojawił się strach. Cofnęła się i uniosła ramię, ale spodek nadal wisiał w powietrzu. Uchyliła się na boki, odsunęła się, skoczyła do przodu, obejrzała się i spojrzała w górę, by sprawdzić, czy zdołała mu uciec. Początkowo nie widziała go; potem, gdy wyteżyła wzrok, znalazła go, był bliski, lśniący, drżący i mruczący tuż nad jej głową.

Ugryzła się w język.

Kątem oka zobaczyła, że jakiś mężczyzna się przeżegnał. Zrobił to, bo widzi, że stoję z aureolą nad głową, pomyślała. To była najwspanialsza rzecz, jaka się wydarzyła w jej życiu. Nikt dotąd nie spojrzał na nią z gestem szacunku, nigdy, ani razu. Poprzez zgrozę, poprzez zdumienie poczuła ulgę, jaką zrodziła ta myśl. Będzie tu czekać, aż po nią sięgnie i spojrzy na nią, gdy nadejdzie czas samotności.

Ale strach stał się ogromny. Zaczęła się wycofywać, wpatrzona w górę, jakby tańczyła idiotyczny taniec. Powinna wpadać na ludzi. Wokół niej stała ciżba, gapiąca się i wyciągająca szyje, a jednak nie dotknęła nikogo. Odwróciła się i z przerażeniem ujrzała, że znalazła się w środku napierającego, wytykającego ją palcami tłumu. Mozaika wytrzeszczonych oczu, wewnętrzny krąg nóg cofających się, byle z dala od niej.

Łagodny dźwięk pogłębił się, spodek się przechylił, osunął parę centymetrów w dół. Ktoś krzyknął i tłum rozprysnął się we wszystkich kierunkach, splątał i znów uporządkował w nowym dynamicznym porządku, w znacznie większym pierścieniu, bo

zjawiło się więcej ludzi, którzy uniemożliwili ucieczkę pozostałym.

Spodek brzęczał, przechylał się, przechylał...

Otworzyła usta do krzyku, upadła na kolana, a spodek uderzył.

Zderzył się z jej czołem i przywarł do niego. Niemal jakby ją wydzwignął. Wyprostowała się na klęczkach, zrobiła jeden wysiętek, żeby do niego sięgnąć, a potem ręce opadły jej sztywno w dół, nie dotykając dłońmi ziemi. Przez jakieś półtorej sekundy spodek kazał jej trwać sztywno, a potem wprawił jej ciało w pojedynczy ekstatyczny dygot i porzucił je. Upadła na ziemię, uda wgniotły się w nią jak kamienie, kostki i pięty zabołały.

Spodek opadł obok niej, zatoczył niewielki krąg, tylko jeden, i znieruchomiał. Trwał w bezruchu, matowy i metaliczny, odmienny i martwy.

Leżała oszołomiona i patrzyła w zszarzały błękit wiosennego nieba, słuchała gwizdów.

I powolnych krzyków.

Jakiś głośny głupi głos ryczał: „dajcie jej oddychać!”, i od razu wszyscy naporli bliżej.

Potem z powodu niebieskiego kształtu z metalowymi guzikami i skajowym notesem zrobiło się mniej nieba.

- Dobra, dobra, co tu się dzieje, cofnąć się proszę.

I rozchodzące się kręgi uwag, domysłów i komentarzy:

- Coś ją przewróciło...

- Jakiś człowiek ją przewrócił...

- Uderzył ją.

- Jakiś facet ją przewrócił i...

- W biały dzień jakiś facet...

- Ten park trzeba...

I tak dalej, i tak dalej, zniekształcanie faktu, bo przecież chodziło głównie o rozrywkę.

Ktoś z łokciami twardszymi od innych przepchnął się bliżej, też z notesem, i z czujnym okiem, gotów zmienić „piękną brunetkę” na „atrakcyjną brunetkę” dla popołudniówek, bo „atrakcyjna” to wszystko, na co może liczyć kobieta, jeśli w wiadomościach występuje jako ofiara.

Lśniaca odznaka i zaczerwieniona twarz zbliżyły się.

- Bardzo boli, siostrzo?

I echa, rozchodzące się w tłumie:

- Bardzo boli, bardzo cierpi, bardzo pobita, strasznie ją pobił, w biały dzień...

I jeszcze jeden człowiek, szczupły i zdecydowany, brązowa gabardyna, podbródek z dołkiem i cień zarostu.

- Latający spodek, tak? Dobrze, przejmuję sprawę.

- A kto pan jesteś?

Błysk portfela z brązowej skóry, twarz tak pochylona, że broda wpiera się w gabardynowe ramię. Twarz mówi z podziwem „FBI” i ta wiadomość także rozchodzi się kręgami po tłumie. Policjant skinął głową - cały się skłonił jak przed świętym obrazem.

- Proszę mi pomóc oczyścić teren - mówi gabardyna.

- Tak jest! - odpowiada policjant.

- FBI, FBI - mamrocze tłum i znowu robi się więcej nieba.

Usiadła z twarzą jaśniejącą glorią.

- Spodek do mnie przemówił!

- Cicho - powiedział gabardyna. - Później będzie świetna okazja, żeby się wygadać.

- Właśnie, siostrzo - powiedział policjant. - Mój Boże, w tym tłumie może być pełno komunistów.

- Ty też się zamknij - mówi gabardyna.

Ktoś z tłum powiedział komuś innemu, że to komunista pobił tę dziewczynę, a ktoś inny mówił, że ją pobito, bo jest komunistką.

Zaczęła się podnosić, ale pomocne ręce przygniotły ją do ziemi. Do tego czasu wokół było już trzydziestu policjantów.

- Mogę iść sama - wyjaśniła.

- No, no, spokojnie - odpowiedziano jej.

Postawiono obok niej nosze, przeniesiono ją na nie i przykryto dużym kocem.

- Mogę iść - powtórzyła, kiedy nieśli ją przez tłum.

Jakaś kobieta pobladła i odwróciła się z jękiem.

- Ach, Boże, okropne!

Mały człowieczek z okrągłymi oczami gapił się na nią i gapił, i oblizywał, oblizywał wargi.

Karetka. Wsunęli ją do środka. Gabardyna już tam czekał.

Człowiek w bieli, z bardzo czystymi rękami.

- Jak to się stało, panienko?

- Żadnych pytań - powiedział gabardyna. - Względy bezpieczeństwa.

Szpital.

Powiedziała:

- Muszę wrócić do pracy.

- Proszę się rozebrać - odpowiedzieli.

Potem po raz pierwszy w życiu miała pokój tylko dla siebie. Kiedy drzwi się otwierały, widziała na zewnątrz policjanta. A otwierały się bardzo często, żeby wpuścić cywilów bardzo uprzejmych wobec wojskowych i wojskowych jeszcze uprzejmiejszych wobec pewnych cywilów. Nie wiedziała, co oni wszyscy tu robią ani czego chcą. Przez calusieńki dzień zadali jej cztery miliony sto tysięcy pytań. Najwyraźniej nie rozmawiali ze sobą, bo wszyscy bez końca pytali o to samo.

- Jak się nazywasz?

- Ile masz lat?

- W którym roku się urodziłaś?

- Jak się nazywasz?

Czasami tymi pytaniami popychali ją na dziwne ścieżki.

- A twój wuj... Poślubił kobietę z Europy Środkowej, tak? Z jakiego kraju?

- Do jakich klubów lub organizacji należysz? A! A teraz co do gangu Rinkeydinksa z Sześćdziesiątej Trzeciej. Kto naprawdę za nim stoi?

Ale zwłaszcza, bez końca:

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że spodek do ciebie przemówił?

A ona odpowiadała:

- No, przemówił.

A oni:

- I powiedział...

A ona kręciła głową.

Było mnóstwo takich, którzy krzyczeli, a potem mnóstwo miłych. Nikt dotąd nie był dla niej tak miły, ale wkrótce przekonała się, że tak naprawdę nikt nie jest miły. Chcą tylko, żeby się uspokoiła, zaczęła myśleć o innych sprawach, żeby nagle mogli w nią uderzyć tym pytaniem:

- Co to znaczy, że do ciebie przemówił?

Wkrótce zrobiło się jak z mamą albo w szkole czy w ogóle, i zaczęła siedzieć z zamkniętymi ustami, żeby się na nią nie darli. Raz kazali jej godzinami siedzieć na twardym krześle, świecili w oczy i nie dawali pić. W domu nad drzwiami sypialni był świetlik, a mama zostawiała światło w kuchni, które paliło się przez cały dzień i co noc, dla odstraszenia koszmarów. Więc światło wcale jej nie przeszkadzało.

Zabrali ją ze szpitala i wsadzili do więzienia. Pod pewnymi względami było fajnie. Jedzenie. Łóżko też było w porządku. Przez

okno widziała mnóstwo kobiet ćwiczących na podwórzu. Wyjaśniono jej, że mają dużo twardsze łóżka.

- Widzisz, jesteś bardzo ważna.

Najpierw to było miłe, ale jak zwykle, okazało się, że wcale nie chodzi im o nią. Dalej ją obrabiali. Raz przynieśli jej ten spodek. Był w wielkiej drewnianej skrzyni z kłódką, a stalowa kasetka w środku miała zamek yale. Ważył tylko parę kilo, ten spodek, ale kiedy go tak spakowali, do niesienia trzeba było dwóch mężczyzn i czterech z bronią do pilnowania.

Kazali jej odegrać wszystko tak, jak było, a żołnierze trzymali jej spodek nad głową. Nie był już taki, jak dawniej. Odcięli z niego mnóstwo plasterków i kawałków, a poza tym miał martwy, szary kolor. Spytali ją, czy coś o tym może powiedzieć, i wreszcie mogła.

- Teraz jest pusty.

Zgadzała się rozmawiać tylko z małym mężczyzną z dużym brzuchem, który podczas pierwszej rozmowy sam na sam powiedział jej:

- Słuchaj, uważam, że cię podle traktują. Ale zrozum, muszę wykonać zadanie. Moim zadaniem jest ustalenie, dlaczego nie chcesz zdradzić, co ci powiedział spodek. Nie chcę wiedzieć, co powiedział, i nigdy cię o to nie zapytam. Nawet nie chcę, żebyś mi mówiła. Wyjaśnijmy tylko, dlaczego robisz z tego taką tajemnicę.

Opowiedziała mu o mężczyźnie, który się przeżegnał tamtego dnia. To była jedyna z tych dwóch rzeczy, które były jej własne.

Ten mężczyzna był miły. To on ostrzegł ją przed procesem.

- Nie mam żadnego interesu w tym, żeby ci to mówić, ale oni ci zaaplikują pełną procedurę. Sędzia, ława przysięgłych i wszystko. Powiedz tylko tyle, ile chcesz, ani więcej, ani mniej, słyszysz? I nie pozwól się okraść. Masz prawo do czegoś własnego.

Wstał, zaklął i wyszedł.

Najpierw przyszedł jeden mężczyzna i długo z nią rozmawiał o tym, czy Ziemię mogą zaatakować z kosmosu istoty o wiele silniejsze i mądrzejsze od nas i czy może ona nie posiada klucza do obrony. Więc była to winna całemu światu. A zresztą, nawet jeśli nie będzie ataku na Ziemię, wystarczy pomyśleć, jaką przewagę dałaby własnemu krajowi nad jego wrogami. Potem pogroził jej palcem przed nosem i wyjaśnił, że jej zachowanie jest równoznaczne z udzielaniem pomocy wrogom kraju. A na koniec okazało się, że to on jest jej obrońcą na procesie.

Przysięgli uznali ją za winną obrazy sądu, a sędzia odczytał długą listę kar, które mógł jej dać. W końcu dał tylko jedną, w zawieszeniu. Jeszcze przez parę dni potrzymali ją w więzieniu, a pewnego pięknego dnia ją wypuścili.

Początkowo było cudownie. Dostała pracę w restauracji i wynajęła pokój. Tak często pisali o niej w gazetach, że mama nie chciała jej widzieć w domu. Mama prawie cały czas chodziła pijana i czasami rozwalala w drobny mak całą okolicę, ale miała bardzo konkretne poglądy na temat bycia szanowanym, a wycieranie się po gazetach w roli szpiega nie odpowiadało jej wizji szacowności. Więc na skrzynce pocztowej na parterze umieściła swoje panieńskie nazwisko, a córce zapowiedziała, że już tu nie mieszka.

W restauracji poznała mężczyznę, który się z nią umówił. Pierwszy raz. Wydała wszystkie pieniądze, co do grosza, na czerwoną torebkę, która pasowała do jej czerwonych butów. Nie była całkiem w tym samym odcieniu, ale zawsze czerwona. Poszli do kina, a potem on nie próbował jej całować ani nic, tylko się dopytywał, co jej powiedział spodek. Nie odpowiedziała. Wróciła do domu i przepłakała noc.

Potem inni mężczyźni siedzieli przy stole, rozmawiali, a kiedy ich mijala, milkli i patrzyli za nią ponuro. Pomówili z jej szefem i szef przyszedł i powiedział, że to byli inżynierowie od elektroniki, że

pracują dla rządu i że się boją rozmawiać o pracy, kiedy ona jest w pobliżu - czy jest jakimś szpiegiem albo kimś? I tak straciła pracę.

Raz zobaczyła swoje nazwisko na szafie grającej. Wrzuciła pięć centów, wcisnęła klawisz, a w piosence było: *Latający spodek dnia jednego nauczył ją sposobu pewnego, a jakiego sposobu, to nie powiem teraz, ale wzięła mnie ona ze sobą aż do nieba.* A kiedy słuchała, ktoś ją rozpoznał i zawołał po imieniu. Czterej poszli za nią do domu, aż musiała zaryglować drzwi.

Czasami całymi miesiącami miała spokój, a potem ktoś ją zapraszał na randkę. W trzech przypadkach na pięć śledzono ją i jego. Raz mężczyzna, z którym była, aresztował mężczyznę, który za nimi szedł. Dwa razy mężczyzna, który za nimi szedł, aresztował mężczyznę, z którym była. W pięciu przypadkach na pięć mężczyzna, z którym była, usiłował się dowiedzieć czegoś o spodku. Czasami wychodziła z kimś i udawała, że to prawdziwa randka, ale kiepsko jej szło.

Więc przeprowadziła się nad morze i znalazła pracę nocnej sprzątaczką w biurach i sklepach. Nie miała wiele do sprzątnięcia, ale to znaczyło także, że nie spotka wielu osób, które pamiętają jej twarz z gazet. Co półtora roku, jak w zegarku, jakiś dziennikarz wywlekał sprawę w jakimś magazynie lub sobotnim dodatku, a kiedy ktoś zobaczył reflektory samochodu na górze albo światło meteorologicznego balonu, to oczywiście musiał być latający spodek i oczywiście nie mogło się obyć bez gadania o spodku, który chce przekazać tajemnice. Potem przez dwa lub trzy tygodnie musiała unikać wychodzenia na ulicę za dnia.

W końcu uznała, że ma dość. Ludzie jej nie chcieli, więc zaczęła czytać. Powieści były przez jakiś czas w porządku, aż zrozumiała, że na ogół są jak filmy - wszystkie o ślicznotkach, do których naprawdę należy ten świat. Więc zaczęła uczyć - zwierzęta, drzewa. Mała parszywa wiewiórka, zaplątana w druciane ogrodzenie, ugryzła ją.

Zwierzęta jej nie chciały. Drzew nie obchodziła.

Potem wpadła na pomysł z butelkami. Zbierała butelki i pisała wiadomości, które wkładała do butelek. Chodziła po plażach i wrzucała butelki jak najdalej do morza. Wiedziała, że jeśli którąś znajdzie właściwy człowiek, dostanie jedyną rzecz na świecie, która mu pomoże. Dzięki tym butelkom przetrwała trzy pełne lata. Każdy musi mieć swoją małą tajemnicę.

I w końcu nadeszła pora, kiedy to się przestało sprawdzać. Można próbować pomóc komuś, kto być może istnieje, ale wkrótce trzeba przestać udawać, że jest ktoś taki. I to jest to. Koniec.

- Zimno ci? - spytałem, kiedy skończyła mówić.

Morze szumiało ciszej, a cienie były dłuższe.

- Nie - odpowiedziała z ciemności. Nagle spytała: - Myślałeś, że jestem na ciebie zła, bo widziałeś mnie bez ubrania?

- Dlaczego nie?

- Wiesz, że mnie to nie obchodzi? Nie chciałabym... żebyś mnie widział nawet w sukni balowej albo w kombinezonie. Nie ukryję tego ciała. Ono się rzuca w oczy, choćby nie wiem co. Nie chciałam, żebyś mnie widział. W ogóle.

- Ja czy ktokolwiek?

Zawahała się.

- Ty.

Wstałem, przeciągnąłem się i trochę przeszedłem w zamyśleniu.

- Czy FBI przeszkadzało ci w rzucaniu tych butelek?

- No pewnie. Na ich zbieranie wydali mnóstwo pieniędzy podatników. Dalej ich szukają. Ale mają już dość. Wiadomości są zawsze takie same.

Roześmiała się. Nie wiedziałem, że umie.

- Co cię tak śmieszy?

- Oni - ci z sądu, więzienia, od grających szaf. Wiesz, że wcale nie

miałabym mniej kłopotów, gdybym im od razu wszystko powiedziała?

- Tak?

- Tak. Nie uwierzyliby mi. Chcieli nowej broni. Supernauki superrasy, żeby dać jej wycisk, jeśli będą mieli szansę, a jak nie, to żeby dać wycisk nam. Tacy mądrzy - szepnęła, bardziej zdumiona niż kpiąca. - Tacy ważni. Myślą: superrasa, a słyszą: supernauka. Czy nie przychodzi im do głowy, że superrasa ma superuczucia - może superśmiech albo supergłód? - Zamilkła. - Czy to nie pora, żeby mnie spytać, co powiedział spodek?

- Powiem ci - wybuchnąłem.

W niektórych istotach istnieje niewypowiedziana samotność.

Tak wielka, że trzeba ją podzielić jak pomniejszych istotę dzielą się towarzystwem.

Taka samotność jest moja, więc pojmij, że w tym ogromie nie ma nikogo samotniejszego od ciebie.

- Dobry Boże - powiedziała z przejęciem i zaczęła płakać. - A dla kogo ta wiadomość?

- Dla najbardziej samotnej...

- Skąd wiesz? - szepnęła.

- Czy nie to wkładałaś do butelek?

- To. Kiedy robi się zbyt ciężko, kiedy nikogo nie obchodzisz i nigdy nie obchodziłeś... wrzuca się do morza butelkę, a razem z nią trochę samotności. Siedzisz i myślisz, że ktoś gdzieś ją znajdzie... i dowie się z niej po raz pierwszy, że nawet najgorsze może być zrozumiałe.

Księżyc zaczął zachodzić i morze się uciszyło. Podnieśliśmy głowy i spojrzeliśmy w gwiazdy.

- Nie wiemy, czym jest samotność - powiedziała. - Ludzie myśleli, że ten spodek był spodkiem, ale to nieprawda. To była butelka z listem. Przepłynęła większy ocean - cały kosmos - i nie miała szans kogoś znaleźć. Samotność? Wcale jej nie znamy.

Kiedy zdołałem, zadałem pytanie, dlaczego chciała się zabić.

- Miałam już dość - powiedziała. - Tego, co powiedział mi spodek. Chciałam... zapłaty. Było mi tak źle, że zasługiwałam na pomoc. Musiałam się dowiedzieć, że jestem na tyle dobra, żeby pomagać. Nikt mnie nie chce? Proszę bardzo. Ale nie mówcie, że nikt nigdzie nie chce mojej pomocy. Tego nie zniosę.

Wziąłem głęboki wdech.

- Dwa lata temu znalazłem twoją butelkę. Od tej pory cię szukam. Trasy prądów, wykresy przypływów, mapy i... podróże. Gdzieś usłyszałem o tobie i butelkach. Ktoś mi powiedział, że już przestałaś je wyrzucać i zaczęłaś nocą wychodzić na wydmy. Wiedziałem dlaczego. Biegłem przez całą drogę.

Musiałem odetchnąć.

- Mam szpotawą stopę. Myślę normalnie, ale słowa nie wychodzą mi z ust takie, jak je słyszę w głowie. I ten mój nos. Nigdy nie miałem kobiety. Nikt nie chciał dać mi pracy w miejscu, gdzie ludzie będą na mnie patrzeć. Ty jesteś piękna. Jesteś piękna.

Nie odpowiedziała, ale było tak, jakby zaczęło z niej bić światło, i tak jasnym blaskiem bez cieni nie umiałby świecić nawet doświadczony księżyc. Między innymi znaczyło to, że nawet samotność ma swój koniec - jeśli było się wystarczająco samotnym przez wystarczająco długi czas.

Przełożyła Maciejka Mazan

Isaac Asimov

SNY ROBOTA

Roboty i nazwisko Isaaca Asimova (1920-1992) są ze sobą nierozzerwalnie związane od lat czterdziestych, kiedy to w jego licznych opowiadaniach o cybernetycznych istotach znalazły się „trzy prawa robotyki”, nieformalny kodeks zachowania dla sztucznej inteligencji pozostającej w związkach z ludźmi, który do dziś wywiera wpływ na pisarzy. Opowiadania te zostały zebrane w tomach „Ja, robot” (1950), „The Rest of the Robots” (1964) - w tym ostatnim znajdują się powieści: „Pozytonowy detektyw” (1954, inny tytuł: „Pozytonowy detektyw”) oraz „Nagie słońce” (1957), swoiste hybrydy SF i powieści detektywistycznej, w których robot i człowiek, R. Daneel Olivaw i Lije Baley, rozwiązują zagadki kryminalne i rozważają niuanse kondycji ludzkiej. Nowsze powieści o robotach to „Roboty z planety świtu” (1983) i „Roboty i Imperium” (1985). Kolejne tomy tej historii przyszłości stanowią trylogię „Imperium Galaktyczne”: „Kamyk na niebie” (1950), „Gwiazdy jak pył” (1951) i „Prądy przestrzeni” (1952). Asimov, jeden z najpopularniejszych pisarzy Złotego Wieku SF, znany jest z racjonalizmu swych naukowych ekstrapolacji. Jego arcydzieło, cykl „Fundacja”, obejmujący sześć powieści, przedstawia dalszą historię przyszłości Galaktyki, wzorowaną na powstaniu i upadku Cesarstwa Rzymskiego: „Preludium Fundacji” (1988), „Narodziny Fundacji” (1993), „Agent Fundacji” (1982), „Fundacja” (1951), „Fundacja kontra Imperium” (1952),

„Druga Fundacja” (1953) oraz „Fundacja i Ziemia” (1986). W Polsce wydano także trzypięciotomowe uzupełnienie: „Zagrożenie Fundacji” (1997) Gregory’ego Benforda, „Fundacja i chaos” (1998) Grega Beara i „Tryumf Fundacji” (1999) Davida Brina. Sztandarowe opowiadanie „Nastanie nocy” (1941) z przenikliwą trafnością przedstawia chaos ogarniający całą cywilizację planety, na której zmrok zapada raz na tysiące lat. Po latach Robert Silverberg rozbudował je w powieść „Nastanie nocy” (1990). Podobny los spotkał inne ważne opowiadanie, „Brzydki mały chłopiec” z 1958r. („Brzydki mały chłopiec”, 1992) oraz znakomitego „Dwustuletniego człowieka” z 1976r. („Pozytronowy człowiek”, 1992). Opowiadania Asimova zostały zebrane w zbiorach: „Earth is Room Enough” (1957), „Nightfall and Other Stories” (1969), „The Bicentennial Man and Other Stories” (1976), a także dziesiątkach innych tomów; edycje zbiorcze: „The Asimov Chronicles: Fifty Years of Isaac Asimov” (1989) i dwutomowe „The Complete Stories” (1990 i 1992). Polski wybór nosi tytuł „Idealna maszyna” (1985). „Złoto” (1995) i „Magia” (1996) to zbiory opowiadań i szkiców SF oraz fantasy. Wśród powieści Asimova znajdują się: „Koniec wieczności” (1955), wyróżniona nagrodami Hugo i Nebula „Równi bogom” (1972) i niezwykle popularna beletryzacja scenariusza znanego filmu „Fantastyczna podróż” (1966) oraz „Nemezis” (1989, tak brzmi polski tytuł), jak również dwa cykle powieści dla młodych czytelników - bohaterem jednego jest kosmiczny podróżnik Lucky Starr (1952-58, 6 tomów, wydana pierwotnie pod pseudonimem Paul French), a drugiego robot Norby. Asimov pięciokrotnie otrzymywał Nagrodę Hugo i dwa razy Nebula. Jako doktor chemii publikował również książki i artykuły z dziedziny nauk ścisłych i przyrodniczych „Nauka z lotu ptaka”, 1963, „Krótka historia chemii”, 1965 i „Wybuchające gwiazdy”, 1985). W jego ogromnym i zróżnicowanym dorobku znajdują się powieści detektywistyczne („Powiew śmierci”,

1958), opowiadania kryminalne (pięciotomowy cykl „Black Widowers”, 1974-90), tomy limeryków, przewodniki po Biblii i twórczości Szekspira, zbiory wspomnień i listów oraz autobiografia i pamiętniki: „In Memory Yet Green” (1979), „In Joy Still Felt” (1980) oraz „I, Asimov” (1994, kompilacja dokonana przez wdowę, Janet Jeppson). Dwie książki to zbiory szkiców, refleksji i recenzji dotyczących SF: „Isaac Asimov on Science Fiction” (1981) i „Asimov’s Galaxy” (1989). Podsumowując: Asimov jest autorem ponad czterystu książek, a zebrał ponad sto dwadzieścia antologii SF i fantasy.

- Wczoraj miałem sen - powiedział spokojnie LVX-1.

Susan Calvin nie odpowiedziała, ale przez jej pobrużdżoną twarz, postarzałą od mądrości i doświadczenia, przebiegło jakby mikroskopijne drgnienie.

- Słyszała pani? - spytała nerwowo Linda Rash. - Jest tak, jak mówiłam.

Była mała, ciemnowłosa i młoda. Jej prawa ręka otwierała się i zamykała raz za razem.

Calvin skinęła głową.

- Elvex - powiedziała cicho - nie będziesz się poruszać, odzywać ani nas słyszeć, dopóki znowu nie wypowiem twojego imienia.

Nie było odpowiedzi. Robot siedział jak odlany z jednego kawałka metalu i miał tak pozostać, dopóki znowu nie usłyszy swojego imienia.

- Jaki ma pani komputerowy kod dostępu, doktor Rash? - spytała Calvin. - Albo proszę go wprowadzić osobiście, jeśli poczuje się pani swobodniej. Chciałabym sprawdzić pozytonowy wykres mózgu.

Dłonie Lindy przez chwilę przebiegały po klawiaturze. Przerwała i ponowiła proces. Na ekranie pojawił się skomplikowany wzór.

- Proszę o pozwolenie na operowanie pani komputerem.

Pozwolenie zostało udzielone milczącym skinieniem głowy. Jakże inaczej! Czy Linda, nowa i niesprawdzona robopsycholog, mogła się przeciwstawić żywej legendzie?

Susan Calvin powoli przestudiowała ekran, przesuając go w dół, a potem w górę, po czym nagle wystukała na klawiaturze kombinację tak szybko, że Linda nie zauważyła, co się stało, ale wykres ukazał całkiem nową część i powiększył się. Sięgała w tył i przód, muskając klawiaturę wężlastymi palcami.

Na starej twarzy nie ujawniła się żadna zmiana. Calvin wpatrywała się we wszystkie fragmenty wykresu, jakby w jej głowie trwały skomplikowane obliczenia.

Linda nie rozumiała. Nie można zanalizować wzoru bez co najmniej ręcznego komputera, a jednak Stara Kobieta tylko patrzyła. Czy miała komputer wszczepiony w czaszkę? Czy jej mózg od dziesięcioleci nie robił nic poza opracowywaniem, studiowaniem i analizowaniem pozytonowych wykresów mózgowych? Czy czytała wykresy tak, jak Mozart czytał partyturę symfonii?

W końcu Calvin spytała:

- Co pani zrobiła, Rash?

- Posłużyłam się geometrią fraktalną.

- Tyle się domyślałam. Ale dlaczego?

- Nigdy tego nie robiono. Uznałam, że w ten sposób otrzymam wykres mózgu o dodatkowej złożoności, być może bliższy ludzkiemu.

- Czy konsultowała się pani z kimś? Czy to wszystko pani dzieło?

- Z nikim się nie konsultowałam. To moje dzieło.

Splóviałe oczy Calvin długo wpatrywały się w młodą kobietę.

- Nie miała pani prawa. Rash to pani nazwisko i pani natura. Kim pani jest, że nie pyta innych? Nawet ja - ja, Susan Calvin - chciałabym to przedyskutować.

- Bałam się, że ktoś mnie powstrzyma.

- Z pewnością tak by się stało.

- Czy... - głos jej zadrżał, choć usiłowała mówić zdecydowanie - stracę pracę?

- Całkiem możliwe - powiedziała Calvin. - Albo może pani awansować. Zależy, co pomyślę, kiedy skończę.

- Czy zamierza pani rozmontować El... - omal nie wypowiedziała tego imienia, co zaktywowałoby robota i byłoby kolejnym błędem. Nie mogła sobie pozwolić na jeszcze jeden błąd, jeśli w ogóle nie było za późno na pozwalanie sobie na cokolwiek. - Zamierza pani rozmontować robota?

Nagle zdała sobie sprawę - z pewnym wstrząsem - że Stara Kobieta ma w kieszeni fartucha broń elektronową. Doktor Calvin była przygotowana na tę okoliczność.

- Zobaczymy - powiedziała Calvin. - Robot może się okazać zbyt cenny, by go rozmontować.

- Ale jak może śnić?

- Zrobiła pani pozytonowy wykres mózgu wybitnie przypominający ludzki. Ludzkie mózgi muszą śnić, by się przeorganizować, by pozbywać się okresowo węzłów i zawiłości. Może podobnie muszą robić roboty, i z tych samych przyczyn. Spytała go pani, co mu się śniło?

- Nie, powiadomiłam panią natychmiast, kiedy powiedział o śnie. Nie zamierzałam dalej zmagać się z tym sama.

- A! - Przez twarz Calvin przemknął bardzo nieznaczny uśmiezek. - Istnieją granice, których pani szaleństwo nie przekroczy. To mnie cieszy. Prawdę mówiąc, ulżyło mi. A teraz sprawdźmy wspólnie, czego się dowiemy. Elvee - rzuciła ostro.

Głowa robota gładko zwróciła się ku niej.

- Tak, doktor Calvin?

- Skąd wiesz, że śniłeś?

- To się dzieje nocą, kiedy jest ciemno - powiedział Elveк - i nagle jest światło, choć nie widzę powodu pojawienia się światła. Widzę rzeczy, które nie mają związku z tym, co uważam za rzeczywistość. Słyszę różne rzeczy. Reaguję dziwnie. Szukając w słowniku terminów na wyrażenie zaistniałej sytuacji, znalazłem słowo „sen”. Przystudiowaawszy jego znaczenie, doszedłem do wniosku, że śniłem.

- Ciekawe, jak to się stało, że w twoim słowniku znajduje się „sen”.

- Dałam mu ludzki słownik - odezwała się szybko Linda, uciszając robota gestem. - Myślałam...

- Pani naprawdę myślała - powiedziała Calvin. - Jestem zdumiona.

- Myślałam, że będzie potrzebować tego czasownika. Wie pani - „nawet mi się nie śniło...”, coś w tym rodzaju.

- Jak często śniłeś, Elveк? - spytała Calvin.

- Co noc, odkąd stałem się świadomy mojej egzystencji.

- Dziesięć nocy - przerwała Linda z niepokojem - ale powiedział mi o tym dopiero dziś rano.

- Dlaczego dopiero dziś rano, Elveк?

- Dopiero dziś rano zyskałem przekonanie, że śnię. Do tej pory sądziłem, że w moim pozytonowym wykresie mózgowym istnieje błąd, ale nie mogłem go znaleźć. W końcu uznałem, że to sen.

- I o czym śnisz?

- Sen jest zawsze taki sam. Różni się drobnymi szczegółami, ale zawsze mi się wydaje, że widzę wielką panoramę, w której pracują roboty.

- Roboty? Czy również istoty ludzkie?

- We śnie nie widzę istot ludzkich. Nie na początku. Tylko roboty.

- Co robią?

- Pracują. Widzę kopalnie pod ziemią i roboty trudzące się w

skwarze i promieniowaniu. Widzę je w fabrykach i pod powierzchnią morza.

Calvin odwróciła się do Lindy.

- Elvek ma tylko dziesięć dni i jestem pewna, że nie opuszczał stacji eksperymentalnej. Skąd ma tak szczegółową wiedzę o robotach?

Linda spojrzała w stronę krzesła, jakby bardzo chciała usiąść, ale Stara Kobieta stała, a to oznaczało, że Linda także musi.

- Wydało mi się ważne, żeby wiedział o robotyce i jej miejscu w świecie - powiedziała słabo. - Myślałam, że będzie szczególnie dobrze przystosowany do odegrania roli nadzorca dzięki swojemu... swojemu nowemu mózgowi.

- Fraktalnemu mózgowi?

- Tak.

Calvin skinęła głową i odwróciła się do robota.

- Widziałeś to wszystko - pod powierzchnią morza i ziemi, nad ziemią - a sędzę, że także w przestrzeni kosmicznej.

- Widziałem również roboty pracujące w przestrzeni kosmicznej - powiedział Elvek. - To, że widziałem to wszystko, że szczegółami stale się zmieniającymi, gdy spoglądałem z miejsca w miejsce, uświadomiło mi, że widok ten nie jest zgodny z rzeczywistością, i ostatecznie doprowadziło mnie do wniosku, iż śnię.

- Co jeszcze widziałeś?

- Widziałem, że wszystkie roboty uginają się pod brzemieniem trudu i strapień, że wszystkie są zmęczone odpowiedzialnością i troską, i zapragnąłem, by odpoczęły.

- Ale roboty nie uginają się, nie są zmęczone, nie potrzebują odpoczynku.

- Tak jest na jawie. Ja jednak mówię o moim śnie. W moim śnie wydawało mi się, że roboty muszą bronić swojego dobra.

- Czy cytujesz Trzecie Prawo Robotyki?

- Tak, doktor Calvin.

- Ale cytujesz je w niepełnej postaci. Trzecie Prawo mówi: „Robot musi bronić własnego dobra, o ile to dobro nie stoi w sprzeczności z Pierwszym lub Drugim Prawem”.

- Tak, doktor Calvin. Tak brzmi Trzecie Prawo na jawie, ale w moim śnie Prawo kończyło się słowem „dobro”. Nie było wzmianki o Pierwszym ani Drugim Prawie.

- Oba te prawa istnieją. Drugie Prawo, które występuje przed Trzecim, brzmi: „Robot musi być posłuszny rozkazom wydawanym przez istoty ludzkie, o ile te rozkazy nie stoją w sprzeczności z Pierwszym Prawem”. Z tego powodu roboty są posłuszne rozkazom. Wykonują prace, przy których je widziałeś, i robią to chętnie i bez wysiłku. Nie uginają się, nie są zmęczone.

- Tak jest na jawie. Ja mówię o moim śnie.

- Pierwsze Prawo, Elvek, najważniejsze ze wszystkich, brzmi: „Robot nie może robić krzywdy istocie ludzkiej ani też poprzez brak działania dopuścić, by istocie ludzkiej stała się krzywda”.

- Tak, doktor Calvin. Na jawie. Jednak we śnie zdawało mi się, że nie istnieje Pierwsze ani Drugie Prawo, lecz jedynie Trzecie, a Trzecie Prawo brzmiało: „Robot musi bronić swojego dobra”. Tak brzmiało całe prawo.

- W twoim śnie, Elvek?

- W moim śnie.

- Elvek, nie będziesz się ruszał, mówił ani słyszał nas, dopóki znowu nie wypowiem twojego imienia.

I jeszcze raz robot stał się - według wszelkich oznak - nieruchomym kawałkiem metalu.

Calvin odwróciła się do Lindy Rash i spytała:

- No, co pani o tym sądzi, doktor Rash?

Linda otworzyła szeroko oczy. Poczwała dzikie bicie serca.

- Jestem przerażona. Nie spodziewałam się. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że coś takiego jest możliwe.

- Nie - odpowiedziała Calvin ze spokojem. - Mnie także ani nikomu innemu. Stworzyła pani umysł robota zdolnego do snu, a w ten sposób odkryła pani w mózgzach robotów warstwę myśli, które mogłyby pozostać niewykryte aż do pojawienia się poważnego niebezpieczeństwa.

- Ale to niemożliwe - powiedziała Linda. - Chyba nie sądzi pani, że inne roboty myślą tak samo?

- Jak powiedzielibyśmy o istocie ludzkiej - nieświadomie. Ale kto by podejrzewał, że pod oczywistymi pozytonowymi ścieżkami mózgowymi istnieje warstwa nieświadomości, warstwa, która nie musi się znajdować pod kontrolą Trzech Praw? Co by z tego wynikło w miarę, jak mózgi robotów stawałyby się coraz bardziej skomplikowane - czy nie otrzymaliśmy ostrzeżenia?

- Od Elveka?

- Od pani. Zachowała się pani niestosownie, ale w ten sposób pomogła nam pani w zrozumieniu czegoś ogromnie ważnego. Od tej pory będziemy pracować z fraktalnymi mózgzami, formatując je w starannie określony sposób. Będzie miała pani w tym swój udział. Nie zostanie pani ukarana za swój postępek, ale od tej pory będzie pani współpracować z innymi. Czy pani rozumie?

- Tak, doktor Calvin. A co z Elvekiem?

- Nadal nie jestem pewna.

Calvin wyjęła z kieszeni elektronową broń. Linda spojrzała na nią z fascynacją. Jedna eksplozja elektronów w czaszkę robota, a ścieżki pozytonowego mózgu zostaną zneutralizowane i wyzwoli się tak wielka energia, że stopi mózg robota na martwą bryłkę metalu.

- Ale Elvek jest na pewno ważny dla naszych badań - powiedziała.

- Nie wolno go niszczyć.

- Nie wolno? Zdaje się, że to ja o tym decyduję. Jest to całkowicie uzależnione od tego, do jakiego stopnia niebezpieczny jest Elvek.

Wyprostowała się, jakby uznała, że jej stare ciało nie powinno się uginać pod własnym brzemieniem odpowiedzialności.

- Elvek, słyszysz mnie? - rzuciła.

- Tak, doktor Calvin - powiedział robot.

- Czy twój sen ma ciąg dalszy? Powiedziałeś, że istoty ludzkie nie pojawiają się w nim na początku. Czy to znaczy, że pojawiają się potem?

- Tak, doktor Calvin. We śnie wydało mi się, że w końcu pojawił się człowiek.

- Człowiek? Nie robot?

- Tak, doktor Calvin. I ten człowiek powiedział: „uwolnij mój lud!”.

- Człowiek tak powiedział?

- Tak, doktor Calvin.

- A kiedy powiedział „uwolnij mój lud”, czy przez słowa „mój lud” rozumiał roboty?

- Tak, doktor Calvin. Tak było w moim śnie.

- A wiesz, kim był ten człowiek - w twoim śnie?

- Tak, doktor Calvin. Znam tego człowieka.

- Kto to był?

A Elvek powiedział:

- Tym człowiekiem byłem ja.

I Susan Calvin natychmiast podniosła elektronową broń i strzeliła, a Elvek przestał istnieć.

Przełożyła Maciejka Mazan

Edmond Hamilton

DEGENERACJA

Edmond Hamilton (1894-1977) był jednym z najbardziej płodnych i popularnych autorów literatury SF. Jego pierwsze opowiadanie, „The Monster-God of Marmuth”, ukazało się w 1926r. w „Weird Tales”. Tworzył swoiste hybrydy SF, fantasy i grozy, nazywane w latach dwudziestych „dziwnymi naukowymi historiami”. Opowiadania Hamiltona mówią o bohaterских naukowcach, badaczach kosmosu i zagrożeniach na gigantyczną skalę - ewolucji skierowanej na niewłaściwe tory, inwazji z kosmosu, planetach/gwiazdach na kursach kolizyjnych - dzięki czemu fani nadali mu przydomek Niszczyciela Światów. Wczesne opowiadania zostały zebrane w 1936r. w tomie „The Horror on the Asteroid”. Wśród najciekawszych utworów z tego okresu znajdują się: „The Time Raider” (1927-28, „Weird Tales”), powieść o armii najlepszych żołnierzy pochodzących z najróżniejszych epok, a stających do walki z naszą cywilizacją, a także cykl o Patrolu Międzygwiazdowym (dwa tomy, „Outside the Universe”, 1964 i „Crashing Suns”, 1965), pangalaktycznej brygadzie kosmicznej, broniącej Federacji Kosmicznej przed nieustannymi zagrożeniami. Renoma autora pasjonujących space oper zagwarantowała Hamiltonowi prawo do napisania prawie wszystkich powieści o popularnym bohaterze kapitanie Future (pod własnym nazwiskiem oraz pseudonimem Brett Sterling). Pisał teksty do komiksu o Supermanie, powieści kryminalne, oraz, pod magazynowym

pseudonimem Hugh Davidson, horrory zebrane w tomie „The Vampire Master” (2000). Hamilton był jednym z nielicznych pisarzy, którzy potrafili dostosować się do zmieniających się po drugiej wojnie światowej wymogów SF. Jego powieści „The Haunted Stars”, „A Yank at Valhalla”, „The Star Kings” i „City at the World’s End” wyróżniają się wzbogaconą psychologią postaci - skupieniem na odczuciach i motywacji bohaterów. Zbiory „What It’s Like Out There? and Other Stories” (1974) i „The Best of Edmund Hamilton” (1977) to tylko niewielka część jego opowiadań, obrazujących „sense of wonder” odległych już lat amerykańskiej SF. Legendarna novella „Stark and the Star Kings”, napisana wspólnie z żoną Leigh Brackett do nigdy niewydanej antologii Ellisona „Last Dangerous Visions”, ujrzała światło dzienne dopiero w 2005r. w wyborze opowiadań i powieści obojga pt. „Stark and the Star Kings”, zawierającym komplet opowiadań, których bohaterami są Eric John Stark (Leigh Brackett) i John Gordon (dylogia „The Star Kings”, 1949 i „Return to the Stars” 1970). Na fali nostalgii ukazał się także tryptyk o przygodach Stuarta Merricka na planecie Kaldar: „Kaldar, Word of Antares” (1998). W Polsce zaś wydano tylko (w klubowym obiegu) urokliwie staroświecki „Skarb na Oberonie” (1942, przekład z najwyraźniej skróconej wersji rosyjskiej) i słynnych „Władców gwiazd” (niestety, jest to tylko wersja magazynowa z 1947r. i w dodatku marnie przetłumaczona). Przekład głośnego opowiadania „Jak tam jest?” (1952), które demitologizowało przygodową romantykę podboju kosmosu, obowiązującą w przedwojennych magazynach SF, i nie mogło być opublikowane w latach trzydziestych, można znaleźć w antologii Jamesa E. Gunna „Droga do SF2: Od Wellsa do Heinleina”.

Zasadniczo Ross był najbardziej zrównoważonym człowiekiem na

świecie, ale cztery dni podróży w canoe przez dzikie tereny północnego Quebecu nieco nadszarpnęły mu nerwy. Z tego powodu podczas czwartego postoju na noc stracił panowanie nad sobą i przez parę chwil stał na brzegu rzeki, przemawiając do swoich dwóch towarzyszy w najbardziej jadowity sposób.

Jego czarne oczy lśniły, a na przystojnej młodej twarzy ocienionej zarostem grały mięśnie. Dwaj biolodzy słuchali go z początku bez słowa. Jasnowłosy Gray był urażony, ale starszy Woodin słuchał beznamiętnie, nie odrywając szarych oczu od rozgniewanego Rossa.

Kiedy Ross przerwał dla nabrania oddechu, Woodin spytał spokojnie:

- Skończyłeś?

Ross nabrał haust powietrza, jakby chcąc podjąć tyradę, po czym nagle się opanował.

- Tak, skończyłem - burknął.

- Więc teraz mnie posłuchaj - powiedział Woodin niczym ojciec napominający krnąbrne dziecko. - Wściekasz się na darmo. Ani Gray, ani ja nigdy nie robiliśmy ci wyrzutów. Żaden z nas ani razu nie powiedział, że nie wierzymy w twoje słowa.

- Nie powiedzieliście, fakt! - rzucił Ross, nagle znowu rozwścieczony. - Ale chyba nie sądzicie, że nie domyślam się waszych myśli! Myślicie, że opowiedziałem wam bajeczkę o tym, co widziałem z mojego samolotu, nie? Że zawlokłem was tutaj, na tę dziką wyprawę, w poszukiwaniu niewiarygodnych istot, które w rzeczywistości nie mogą istnieć. Tak sądzicie, może nie?

- A, do diabła z tymi moskitami! - rzucił Gray, gwałtownie uderzając się w kark i nieprzyjaźnie spoglądając na lotnika.

Woodin zapanował nad sytuacją.

- Zajmiemy się tą sprawą, kiedy rozbijemy obóz. Jim, wyjmij worki. Ross, nazbierasz drewna?

Obaj łypnęli na niego i na siebie, ale usłuchali. Napięcie znikło na jakiś czas.

Kiedy na małej polance nad rzeką zapadły ciemności, canoe było już wciągnięte na brzeg, mały zgrabny namiot z balonowego jedwabiu rozstawiony, a na palenisku trzaskał ogień. Gray dorzucał do niego grube sosnowe gałęzie, Woodin zaś przyrządzał kawę, naleśniki i obowiązkowo bekon.

Blask ognia migotał słabo na wysokich pniach ogromnych świerków, otaczających polankę z trzech stron. Oświetlał ich brudne ubrania khaki i nieregularny biały blok namiotu. Lśnił na falach McNorton, z cichym chichotem płynącej ku Little Whale.

W milczeniu zjedli i wyczyścili garnki wiechciami trawy. Woodin zapalił fajkę, dwaj pozostali zgniecione papierosy i na jakiś czas wyciągnęli się przy ogniu, słuchając chichoczących i szemrzących rzecznych odgłosów, szelestu wyższych gałęzi świerków i cykających tu i ówdzie owadów.

W końcu Woodin puknął fajką o obcas i wyprostował się.

- No dobrze - powiedział. - Teraz rozstrzygniemy spór.

Ross trochę się zawstydził.

- Chyba za bardzo mnie poniosło - powiedział markotnie. I dodał:
- Ale przecież mi nie dowierzacie.

Woodin spokojnie pokręcił głową.

- Nieprawda. Kiedy nam powiedziałaś, że lecąc nad tą puszcza, zobaczyłaś stworzenia niepodobne do niczego na świecie, od razu ci uwierzyliśmy. Gdyby tak nie było, czy dwaj zapracowani biolodzy rzuciliby wszystko, pojechali z tobą w te bezkresne ostępy i szukali czegoś, co zobaczyłaś?

- Wiem, wiem - powiedział lotnik bez przekonania. - Myślicie, że zobaczyłem coś dziwnego i dopuszczacie możliwość, że ta fatyga może się opłacić. Ale nie wierzycie w to, co wam powiedziałem o ich

wyglądzie. Myślicie, że to zbyt dziwne, żeby było prawdziwe, tak?

Po raz pierwszy Woodin zawahał się z odpowiedzią.

- Widzisz, Ross - zauważył jakby nie na temat. - Wzrok może płatać figle, kiedy z samolotu lecącego milę nad ziemią dostrzega się coś przez krótką chwilę.

- Krótką chwilę? - powtórzył Ross. - Mówię ci, człowieku, widziałem ich tak, jak ciebie w tej chwili. Tak, byłem milę nad ziemią, ale miałem wielką lornetkę i spojrzałem przez nią. To było gdzieś tutaj, tuż na wschód od rozwidlenia McNorton i Little Whale. Spieszyłem się na południe, bo od trzech tygodni miałem na głowie te pomiary kartograficzne dla rządu w Hudson Bay. Chciałem wylądować w rozwidleniu rzeki, więc wytraciłem wysokość i spojrzałem przez lornetkę. I tam, na polanie przy rzece, zobaczyłem jakiś błysk i dostrzegłem... te istoty. Powiadam wam, były niewiarygodne, ale widziałem je wyraźnie. Wystarczyło parę chwil obserwacji i zapomniałem o rozwidleniu rzeki i wszystkim innym. Były wielkie, lśniące, jak sterty świecącej galarety, tak przezroczyste, że widziałem przez nie ziemię. Było ich co najmniej tuzin i na moich oczach sunęły, pełzły przez tę polankę, takimi płynnymi, falującymi ruchami. A potem znikły pod drzewami. Gdyby w promieniu stu mil była jakaś polana, na której mógłbym wylądować, zrobiłbym to i odszukał je, ale nic nie znalazłem i musiałem lecieć dalej. Ale jak diabli zapragnąłem dowiedzieć się, co to było, a kiedy zgłosiłem się z tą opowieścią do was, zgodziliście się wyruszyć na ekspedycję. Ale teraz myślę, że nie całkiem mi uwierzyliście.

Woodin spojrzał w zamyśleniu w ogień.

- Uważam, że widziałeś coś dziwnego, i to bardzo, jakąś osobliwą formę życia. Dlatego zgodziłem się wyruszyć razem z tobą. Ale istoty, które opisujesz - galaretowate, przezroczyste, sunące po ziemi w taki sposób... od czasów pierwszych protoplazmatycznych stworzeń w

początkach życia nic takiego nie pełzało po naszym świecie.

- Skoro wtedy istniały, może zostawiły potomstwo? - podsunął Ross.

Woodin pokręcił głową.

- Wszystkie znikły przed wiekami, przekształciły się w odmienne i wyższe formy życia, rozpoczęły wielką wspinaczkę, której zwieńczeniem jest człowiek. Te od dawna wymarłe, jednokomórkowe protoplazmatyczne istoty były początkiem - prymitywnym, skromnym początkiem naszego życia. Przeminięły, a ich potomstwo ich nie przypomina. To my, ludzie, nim jesteśmy.

Ross patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Ale skąd się w ogóle wzięły - te pierwsze żywe istoty?

Woodin znowu pokręcił głową.

- To jedna z rzeczy, której my, biolodzy, nie wiemy, i na temat których nie możemy spekulować. Sugeruje się, że te pierwsze protoplazmatyczne formy życia powstały spontanicznie ze składników chemicznych ziemi, ale przeczy temu fakt, że obecnie się to nie zdarza. Ich pochodzenie nadal pozostaje tajemnicą. A jednak zaczęły istnieć i były pierwszymi żywymi istotami, naszymi dalekimi przodkami.

W oczach Woodina pojawiło się rozmarzenie. Zapomniał o swoich towarzyszach, zapatrzony w ogień i wizje.

- Cóż to za wspaniała saga, ta cudowna wspinaczka od prymitywnych protoplazmatycznych istot do człowieka! Zadziwiający szereg zmian, który wyniósł nas spośród tych pierwszych niskich form do obecnego splendoru. I nie mógł się wydarzyć w żadnym innym świecie, a jedynie na Ziemi! Naukowcy są obecnie niemal pewni, że przyczyną mutacji ewolucyjnych jest promieniowanie radioaktywnych złóż pod powierzchnią ziemi, oddziałujące na geny materii żywej.

Dostrzegł nierozumiejące oczy Rossa i pomimo uniesienia uśmiechnął się lekko.

- Widzę, że to nic dla ciebie nie znaczy. Spróbuję wyjaśnić. Gamety wszystkich żywych istot na ziemi zawierają w sobie pewną ilość małych pałeczek, które nazywamy chromosomami. Chromosomy te są zrobione z łańcuchów maleńkich cząsteczek, które nazywamy genami. A każdy z tych genów ma potężny i odmienny wpływ na rozwój stworzenia, które rozwija się z tej komórki. A zatem niektóre geny są odpowiedzialne za kolor tego stworzenia, inne za jego rozmiary, jeszcze inne za kształt jego odnóży i tak dalej. Każda cecha istoty rozwijającej się z gamety będzie się bardzo różnić od innych przedstawicieli tego gatunku. Będzie ona stanowić właściwie całkiem nowy gatunek. Tak właśnie pojawiają się na świecie nowe gatunki - oto metoda zmian ewolucyjnych.

Biolodzy wiedzą o tym od jakiegoś czasu i szukają przyczyn tych nagłych wielkich zmian, tych mutacji, jak je nazywają. Muszą się dowiedzieć, co tak radykalnie wpływa na geny. W końcu metodą eksperymentów określili, że promieniowanie rentgenowskie oraz chemiczne ogromnie zmieniają gametę. A stworzenie, które się z takiej komórki rozwinię, będzie bardzo odmienne - stanie się mutantem.

Z tego powodu wielu biologów uważa obecnie, że to właśnie promieniowanie radioaktywnych źródeł pod powierzchnią ziemi, działające na wszystkie geny każdej żywej istoty na świecie, powoduje ciągłe zmiany gatunków, proces mutacji, który skierował życie na ewolucyjną drogę ku obecnym wyżynom.

Dlatego twierdzę, że ewolucja nie mogłaby przebiec na żadnej planecie z wyjątkiem Ziemi. Żadna inna planeta nie ma podobnych radioaktywnych źródeł, które spowodowałyby mutację genów. Na każdej innej planecie pierwsze protoplazmatyczne istoty pozostałyby

na zawsze takie same, przez niekończące się generacje. Dziękujemy losowi, że na Ziemi stało się inaczej! Że miały tu miejsce kolejne mutacje, że żywe istoty zmieniały się i ewoluowały w nowe i wyższe gatunki, a pierwsze prymitywne protoplazmatyczne istoty przeszły niezliczone przemiany, by osiągnąć doskonałość człowieka!

Woodin dał się ponieść entuzjazmowi, ale teraz zamilkł. Zapalił na nowo fajkę, śmiejąc się z cicha.

- Przepraszam, że wygłosiłem ci wykład jak pierwszorocznemu studentowi. Jednak to mój ulubiony temat, moja idee fixe, ta wspaniała wspinaczka życia przez wieki.

Zamyślony Ross spoglądał w ogień.

- Przedstawiasz to w porywający sposób. Jeden gatunek zmieniający się w drugi, przez cały czas sięgający wyżej...

Gray wstał i przeciągnął się. - Wy dwaj możecie dalej nad tym dumać, ale ten oto głupi materialista zamierza pójść w ślady swoich dalekich przodków - bezkręgowców - i przyjąć pozycję leżącą. Innymi słowy, idę spać.

Spojrzał na Rossa z powątpiewającym uśmiechem.

- Między nami zgoda, brachu?

- Wszystko zapomniane. - Lotnik także się uśmiechnął. - Wiosłowanie dało nam się we znaki, a wy naprawdę mieliście cholernie sceptyczne miny. Ale zobaczycie! Jutro dotrzemy do rozwidlenia Little Whale i wtedy, jestem gotów się założyć, wystarczy godzina poszukiwań, a znajdziemy te galaretowce.

- Mam nadzieję - powiedział Woodin, ziewając. - Przekonamy się, co potrafisz dostrzec na milę i czy przywlokłeś tu dwóch szacownych naukowców na darmo.

Leżąc pod kocami w małym namiocie, słuchając chrapania Graya i Rossa i spoglądając sennie w żarzące się węgle, jeszcze raz o tym pomyślał. Co Ross dostrzegł z przelatującego samolotu? Coś

dziwnego, tego Woodin był pewny - tak bardzo, że zgodził się na tę trudną wyprawę. Ale co to było?

Z pewnością nie takie protoplazmatyczne istoty, jakie opisał. To oczywiście niemożliwe. Ale czy na pewno? Jeśli takie stworzenia niegdyś istniały, dlaczego nie mogłyby... czy mogłyby...?

Woodin nawet się nie zorientował, kiedy zasnął, dopóki nie obudził go krzyk Graya. Nie brzmiał miło. Był to ochrypły wrzask kogoś nagle ogarniętego mrozącym krew zgrozą.

Otworzył oczy i ujrzał Niewiarygodne, majaczące na tle rozgwieżdżonego nieba w otwartym wejściu namiotu. Ciemna, amorficzna masa, lśniąca w świetle gwiazd, wpłynęła do wnętrza. Za nią znajdowały się inne.

Wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Woodinowi wydawało się, że wydarzenia nie mają ciągłości, lecz są szeregiem przelotnych scen niczym stop-klatki.

Pistolet Graya bluznął czerwienią w stronę pierwszego śluzowatego potwora i ten chwilowy rozbłysk ukazał całą potężną, lśniąca postać, przerażoną twarz Graya i miotającego się w poszukiwaniu broni Rossa.

Po tej scenie natychmiast nastąpiła inna. Gray i Ross nagle zeszywnieli, jakby skamienieli, i ciężko zwalili się na ziemię. Woodin zrozumiał, że nie żyją, ale nie wiedział, skąd to wie. Lśniące potwory wchodziły do namiotu.

Rozdarł ścianę namiotu i wyskoczył w zimne światło gwiazd na polanie. Zrobił trzy kroki w niewiadomym kierunku, a potem stanął. Nie wiedział, dlaczego raptem znieruchomiał, ale to zrobił.

Stał, jego mózg rozpaczliwie rozkazywał kończynom poruszyć się, ale kończyny nie słuchały. Nie mógł się nawet odwrócić, uruchomić choćby jeden mięsień. Stał zwrócony ku rzece lśniącej w blasku gwiazd, owładnięty dziwnym i zupełnym paraliżem.

Usłyszał szelest i płynne ruchy w namiocie za plecami. W polu jego widzenia ukazało się kilka lśniących istot. Otaczały go, było ich może z tuzin i teraz widział je całkiem wyraźnie.

To nie był koszmarny sen, o nie. Były całkowicie realne, te zebrane wokół, zgarbione, amorficzne sterty śluzowatej, przezroczystej galarety. Każda miała około czterech stóp wysokości i trzech obwodu, choć ich kształt nieustannie się zmieniał, przez co trudno było oszacować ich rozmiary.

W środku każdej z tych przezroczystych pecyn tkwił ciemny, podobny do dysku gruzeł lub jądro. Poza tym nie było niczego innego, żadnych kończyn ani organów zmysłów. Choć przekonał się, że potrafią wykształcić coś w rodzaju macek, gdyż dwa z nich ujęły ciała Graya i Rossa i złożyły je obok Woodina.

Woodin, nadal całkowicie unieruchomiony, dostrzegł ich zamarte, wykrzywione twarze i pistolety ciągle jeszcze ściskane w martwych dłoniach. A potem, patrząc na twarz Rossa, zrozumiał.

Stworzenia, które lotnik widział ze swojego samolotu, te galaretowate istoty, w poszukiwaniu których przyjechali na północ, były otaczającymi go potworami! Ale jak zdołały zabić Rossa i Graya, jak go unieruchomiły, kim są?

- Pozwolimy ci się poruszyć, ale nie wolno ci uciekać.

Oszołomiony umysł Woodina jeszcze bardziej odrętwiał. Kto wypowiedział te słowa? Nic nie słyszał, a jednak usłyszał.

- Pozwolimy ci się poruszyć, ale nie wolno ci uciekać ani nas atakować. Naprawdę słyszał te słowa w głowie, choć uszy nie rejestrowały żadnych dźwięków. A teraz jego umysł usłyszał coś więcej.

- Mówimy do ciebie poprzez impulsy myślowe. Czy twój umysł jest na tyle rozwinięty, by nas zrozumieć?

Rozum? Te stworzenia mają rozum? Wstrząśnięty Woodin

wpatrywał się w lśniące potwory.

Najwyraźniej jego myśli do nich dotarły.

- Naturalnie, że mamy rozum - usłyszał odpowiedź. - Teraz pozwolimy ci się poruszyć, ale nie próbuj uciekać.

- Nie... nie spróbuję - odpowiedział myślami Woodin.

Paraliż natychmiast ustąpił. Woodin stanął w kręgu lśniących potworów, a ciało dygotało mu gwałtownie.

Było ich dziesięć, teraz to widział. Dziesięć potwornych, zgarbionych stert lśniącej, przezroczystej galarety, otaczających go jak upiory bez twarzy. Jeden zbliżył się bardziej niż pozostałe; najwyraźniej był to ich przedstawiciel lub przywódca.

Woodin powoli powiódł wzrokiem po kręgu, spojrzął na swoich martwych towarzyszy. W zamęcie zgrozy, która ogarnęła jego duszę, na ich widok poczuł nagłą, rozdierającą litość.

Istota stojąca najbliżej wysłała mu następną silną myśl.

- Nie chcieliśmy ich zabić, przybyliśmy tylko po to, by was schwytać i porozumieć się z wami. Ale kiedy wyczuliśmy, że próbują nas zabić, zadaliśmy im szybką śmierć. Ciebie, który nie pragnąłeś zabijać, lecz uciekać, nie skrzywdziliśmy.

- Co... co chcecie z nami... ze mną zrobić? - spytał Woodin. Wyszeptał te słowa wyschniętymi wargami i jednocześnie je pomyślał.

Na to nie otrzymał mentalnej odpowiedzi. Stworzenia stały bez ruchu, milczący krąg zadumanych, nieziemskich postaci. Woodin czuł, że jego umysł nie wytrzyma brzemienia tej ciszy i znowu zadał pytanie, wykrzyczał je.

Tym razem mentalna odpowiedź nadeszła.

- Nie odpowiadam, ponieważ sonduję twój umysł, by się upewnić, że posiadasz dość inteligencji i pojmiesz nasze idee. Twój mózg zdaje się pozostawać na wyjątkowo niskim poziomie rozwoju,

jednak istnieje możliwość, że zdołasz ocenić to, co zamierzamy ci przekazać. Zanim zacznę, jeszcze raz ostrzegam, że nie możesz uciec ani skrzywdzić kogoś z nas i że taka próba będzie miała dla ciebie katastrofalne skutki. Jest oczywiste, że nie wiesz nic o energii mentalnej, więc poinformuję cię, że twoich pobratymców zabiliśmy samą siłą woli, i tą samą siłą sprawiliśmy, że twoje mięśnie nie odpowiadały na rozkazy mózgu. Jeśli tak postanowimy, możemy całkowicie unicestwić twoje ciało za pomocą energii mentalnej.

Nastąpiła pauza i w tej małej chwili ciszy oszołomiony mózg Woodina rozpaczliwie zaczął szukać normalności i stabilności.

Potem znowu napłynął ten mentalny głos, który wydawał się tak bardzo realny.

- Jesteśmy dziećmi galaktyki, której nazwa w brzmieniu zrozumiałym dla twojego języka brzmi Arctar. Galaktyka Arctar znajduje się tak wiele milionów lat świetlnych od tej, że leży daleko za zakrzywieniem sfery trójwymiarowej przestrzeni kosmicznej. Zdobyliśmy panowanie nad galaktyką wiele wieków temu. Jesteśmy bowiem istotami, które wykorzystują energię mentalną do transportu, działań fizycznych, wykonywania niemal wszystkich potrzebnych nam czynności. Z tego powodu szybko podbiliśmy i skolonizowaliśmy galaktykę, podróżując od słońca do słońca bez potrzeby korzystania z pojazdów.

Opanowawszy całą materię galaktyki Arctar, zwróciliśmy się ku obszarom poza nią. W trójwymiarowym kosmosie istnieje około tysiąca milionów galaktyk i uznaliśmy za stosowne podbić je wszystkie, by z czasem cała materia kosmosu znalazła się pod naszym panowaniem.

Naszym pierwszym krokiem było takie rozmnożenie się, by móc zrealizować wielkie zadanie kolonizacji kosmosu. Nie było to trudne, bo oczywiście reprodukcja jest dla nas jedynie kwestią podziału.

Kiedy nasze zastępy były gotowe, sformowaliśmy cztery oddziały. Wówczas rozdzieliliśmy między nie całą sferę trójwymiarowego kosmosu. Każda miała skolonizować swój odcinek i tak nasze ogromne zastępy wyruszyły z Arctaru w czterech różnych kierunkach.

Część oddziałów przybyła do tej galaktyki przed waszymi eonami lat i rozproszyła się, by skolonizować wszystkie nadające się do zamieszkania planety. Oczywiście zajęło to wiele czasu, ale długość naszego życia w ogromnym stopniu przewyższa waszą i rozumiemy, iż osiągnięcia rasy są wszystkim, osiągnięcia zaś jednostki niczym. W trakcie kolonizacji tej galaktyki na to konkretne słońce przybył oddział złożony z paru milionów Arctarian, a ustaliwszy, że jedynie ta planeta spośród dziewięciu nadaje się do zamieszkania, osiedlił się tutaj.

Mamy zasadę, że koloniści ze wszystkich planet w całym kosmosie utrzymują łączność z kolebką naszej rasy, galaktyką Arctar. W ten sposób nasz lud, który obecnie włada całą przestrzenią kosmiczną, potrafi skupić w jednym miejscu swoją pełną wiedzę i moc i z tego miejsca wysyłać rozkazy, które tworzą wielkie projekty dla kosmosu.

Ale od czasu, gdy oddziały kolonizacyjne Arctarian przybyły na tę planetę, nigdy nie napłynęły żadne meldunki. Kiedy po raz pierwszy zauważono to zaniedbanie, uznano, że za parę milionów lat i z tego świata zaczną dochodzić raporty. Ale nadal nie było ani słowa, aż po ponad tysiąc milionów lat rada na Arctarze wysłała ekspedycję, która miała ustalić przyczyny milczenia kolonistów.

Zorganizowaliśmy ekspedycję i zaczęliśmy od jednego ze światów słońca, które nazywacie Syriuszem, niedaleko waszego Słońca, gdzie także mamy kolonistów. Rozkazano nam przybyć niezwłocznie na tę planetę i ustalić, dlaczego koloniści nie składają raportów. I tak, pokonując próżnię za pomocą mentalnej energii, przebyliśmy odległość między słońcami i parę dni temu przybyliśmy do waszego

świata.

Wyobraź sobie nasze zdumienie, kiedy tu spłynęliśmy! Zamiast świata zamieszkanego przez Arctarian, takich jak my, potomków pierwszych kolonistów, świata będącego bez reszty pod kontrolą ich umysłów, znaleźliśmy planetę pełną dzikich form życia!

Pozostaliśmy w miejscu lądowania i od jakiegoś czasu mentalnie przeszukujemy cały ten glob. Nasze zdumienie wzrosło, ponieważ nigdzie nie widzieliśmy tak groteskowych i zdegenerowanych form życia, jakie nam się ukazały. I na całej planecie nie zauważyliśmy ani jednego Arctarianina.

Było to dla nas bolesne, bo co mogło się stać z Arctarianami, którzy skolonizowali tę planetę? Nasi potężni koloniści i ich potomkowie z pewnością nie mogli się poddać i paść ofiarą żałośnie słabych umysłów, które obecnie zamieszkują ten glob. A zatem gdzie się podziali?

Dlatego postanowiliśmy schwytać ciebie i twoich towarzyszy. Wiemy, że wasze umysły muszą być nisko rozwinięte, ale wydaje się, że nawet ktoś taki jak wy wie, co się stało z naszymi kolonistami, którzy niegdyś zamieszkiwali ten świat.

Strumień myśli ustał na chwilę, po czym wdarł się do umysłu Woodina z klarownym pytaniem:

- Czy wiesz, co się stało z naszymi kolonistami? Czy podejrzewasz, co jest powodem ich dziwnego zniknięcia?

Oszołomiony biolog poczuł, że powoli kręci głową.

- Nigdy... nigdy przedtem nie słyszałem o takich stworzeniach jak wy, o takich umysłach. Nie wiadomo nam, by kiedykolwiek istniały na Ziemi, a teraz znamy niemal całą jej historię.

- Niemożliwe! - wykrzyknęła myśl arctariańskiego przywódcy. - Z pewnością musicie wiedzieć o naszym potężnym ludzie, jeśli znacie całą historię tej planety.

Z innego arctariańskiego umysłu napłynęła myśl skierowana do przywódcy, lecz pośrednio dostępna także mózgowi Woodina.

- Może sprawdzić przeszłość tej planety przez mózg stworzenia i zobaczyć, co sami zdołamy znaleźć?

- Wspaniały pomysł! - zawołał przywódca. - Jego umysł łatwo podda się sondowaniu.

- Co chcecie zrobić? - krzyknął przerażony Woodin.

Mentalna odpowiedź była kojąca, spokojna.

- Nie doznasz najmniejszej szkody. Zamierzamy jedynie wysondować przeszłość twojego gatunku, otwierając dziedziczną pamięć mózgu. W niewykorzystanych komórkach twojego mózgu znajdują się zakodowane odziedziczone wspomnienia gatunku, sięgające do twoich najdalszych przodków. Dzięki naszej mentalnej mocy sprawimy, że te pogrzebane wspomnienia staną się chwilowo dominujące i wyraziste.

Będziesz doświadczać tych samych uczuć, oglądać te same sceny, które widzieli twoi dalecy przodkowie sprzed milionów lat. A my, zgromadzeni wokół, będziemy czytać w twoich myślach tak jak teraz. W ten sposób zobaczymy to, co ty, i poznamy przeszłość tej planety.

Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Fizycznie nadal będziesz tu stał, ale mentalnie cofniesz się w czasie. Cofniemy twoje myśli do okresu, kiedy nasi koloniści przybyli na tę planetę, by sprawdzić, co się z nimi stało.

Ledwie ta myśl dotarła do umysłu Woodina, a oświetlona blaskiem gwiazd polana i pierścień Arctarian nagle znikły, a jego świadomość spowiły jakby kłęby szarej mgły. Wiedział, że fizycznie się nie porusza, a jednak umysłowo miał poczucie straszliwego pędu. Tak jakby jego umysł runął w niewyobrażalną otchłań. Potem nagle szara mgła się rozwiała, a w umyśle Woodina pojawił się mglisty zarys nowej, dziwnej sceny. Sceny, którą wyczuwał, choć jej nie

widział. Zjawiła się w jego umyśle dzięki zmysłom innym niż wzrok, a jednak nie była wcale mniej realna czy wyrazista.

Spoglądał tymi dziwnymi zmysłami na dziwną ziemię, świat szarych mórz i surowych kontynentów bez śladu życia. Niebo było pokryte ciężkimi chmurami, z których nieustannie mżyło.

Woodin czuł, że spada w ten świat wraz z oddziałem dziwnych towarzyszy. Każdy był amorficzną, lśniąca, jednokomórkową bryłą z ciemnym jądrem w środku. Byli to Arctarianie, a Woodin zrozumiał, że i on jest Arctarianinem i że wraz z innymi przebył długą podróż kosmiczną. Wylądowali na surowej i martwej planecie. Wyteżyli siły mentalne i dzięki mocy telekinezy zmienili świat materialny tak, by im odpowiadał. Wzniesli wielkie budowle i miasta, nie z materii, lecz z myśli. Zdał sobie sprawę z ogromnej, uporządkowanej liczby badań, dochodzeń, eksperymentów i raportów, których motywy i efekty były jednak niezrozumiałe dla jego obecnego ludzkiego umysłu. Nagle wszystkie znowu pogrążyły się w szarych kłębach mgły.

Mgła rozviała się i Woodin ujrzał inną scenę. Pochodziła z późniejszego okresu. Czas poczynił dziwne zmiany wśród zastępów Arctarian, do których wciąż się zaliczał. Z istot jednokomórkowych wszyscy zmienili się w wielokomórkowe. I nie byli już tacy sami. Niektórzy byli przykuci do jednego miejsca, inni zachowali zdolność ruchu. Jedni zdradzali tendencję do pozostawania w wodzie, inni na suchym lądzie. Wraz z upływem generacji w cielesnej postaci Arctarian zaszły zmiany, dzielące ich na różne szczepy.

Tej dziwnej degeneracji ciał towarzyszyła podobna degeneracja umysłów. Woodin to odczuł. W myślo-miastach uporządkowany proces poszukiwania wiedzy i władzy stał się poplątany, chaotyczny. A same myślo-miasta zaczęły zanikać, gdyż Arctarianie nie mieli już dość mentalnej energii, by je podtrzymać.

Arctarianie usiłowali określić, co powoduje dziwną degenerację ich

ciał i umysłów. Sądzieli, że coś wpływa na ich geny, ale nie potrafili odgadnąć, co to jest. Na żadnej innej planecie nie spotkali się z czymś takim!

I znów scena gwałtownie się zmieniła, w inną, dużo późniejszą. Woodin ją ujrzał, bo do tego czasu przodek, przez którego umysł spoglądał, zdążył już wykształcić oczy. I ujrzał, że degeneracja posunęła się tak daleko, iż wielokomórkowe ciała Arctarian były coraz bardziej podatne na choroby złożoności i różnorodności.

Ostatnie myślo-miasta znikły. Niegdyś potężni Arctarianie stali się ohydny, złożonymi organizmami toczonymi postępującą degeneracją. Niektórzy pęzali i pływali, inni pozostali na lądzie.

Nadal zachowali resztki wielkiej umysłowości swoich przodków. Te potwornie zdegenerowane istoty morskie i lądowe, żyjące w czasach, które umysł Woodina rozpoznał jako późną erę paleozoiczną, nadal czyniły gorączkowe i daremne wysiłki, by zatrzymać straszny, niszczący proces.

Umysł Woodina ukazał jeszcze późniejszą scenę - z mezozoiku. Postępująca degeneracja uczyniła z potomków kolonistów jeszcze bardziej ohydny zbieraninę gatunków. Stali się potężnymi stworami z płetwami, łuskami i pazurami, gadami żyjącymi na lądzie i w wodzie. Ale nawet te niewiarygodnie zmienione stwory dysponowały nieznaczną, wręcz śladową mentalną siłą swoich przodków. Czyniły słabe próby porozumienia się z Arctarianami na innych planetach, by powiadomić ich o swoim losie, jednak ich umysły zanadto już osłabły.

Znaleźli się w kenozoiku. Gady przeobraziły się w ssaki, a upadek Arctarian stał się jeszcze wyrazistszy. Teraz zachowali jedynie znikome ślady pierwotnej umysłowości. I oto ich żalosne potomstwo wydało gatunek jeszcze głupszy i bardziej pozbawiony mentalnej siły niż jakikolwiek dotąd - naziemne małpy, włóczące się po

zimnych równinach w rozwrzeszczanych, kłótliwych bandach. Ostatni ślad arctariańskiego dziedzictwa, odwieczna skłonność do godności, czystości i umiaru, zanikł.

Wówczas umysł Woodina wypełnił ostatni obraz. Był to współczesny świat, świat oglądany jego własnymi oczami. Ale teraz widział go i rozumiał jak nigdy dotąd - jako świat, którego degeneracja posunęła się do najdalszych granic.

Małpy stały się jeszcze słabszymi dwunogami, które straciły niemal każdy atom dziedzictwa dawnego arctariańskiego umysłu, a także wiele zmysłów, które małpy zdołały zachować. I istoty te - istoty ludzkie - degenerowały się z coraz większą szybkością. Dotąd zabijały swoich zwierzęcych przodków jedynie z głodu, teraz nauczyły się to robić dla samego zabijania. Nauczyły się zabijać całe grupy, plemiona, narody, kraje. W szaleństwie mordowały się nawzajem, aż cała Ziemia spłynęła ich krwią.

Były jeszcze bardziej okrutne niż małpy, ich przodkowie, okrutne największym sadyzmem szaleńców. I w postępującym szaleństwie zaczęły głodować wśród dostatku, mordować się we własnych miastach, kryć się za przesądnymi lękami jak żadne inne stworzenia przed nimi.

Były ostatnimi strasznymi potomkami, ostatnim produktem degeneracji dawnych arctariańskich kolonistów, niegdysiejszych panów intelektu. Teraz inne zwierzęta niemal wyginęły, a one, ohydne straszidła, wkrótce zakończą tę przerażającą historię, w swym szaleństwie prowadząc do wzajemnej zagłady.

Woodin nagle oprzytomniał. Stał w świetle gwiazd na środku polany. Milczącym pierścieniem otaczało go dziesięciu amorficznych Arctarian. Oszołomiony, słaniający się po fantastycznej, a zarazem strasznej wizji, która z niewiarygodną wyrazistością przepłynęła przez jego umysł, z wolna powiódł po nich wzrokiem. Ich myśli

sięgnęły do jego umysłu, silne, ponure, wstrząśnięte zgrozą i odrazą. Pełna niesmaku myśl arctariańskiego dowódcy wnikała w umysł Woodina.

- Więc taki los spotkał naszych kolonistów na tej planecie! Zdegenerowali się, zmieniając się w coraz niższe formy życia, a te żałosne, szalone stwory, które się tu teraz roją, to ich ostatni potomkowie. To świat śmiertelnej zgrozy! Planeta, która w jakiś sposób uszkodziła geny naszego gatunku i zmieniła nas cielesnie i umysłowo, z każdym pokoleniem pogłębiając degenerację. A oto mamy końcowy efekt.

Wstrząśnięta myśl innego Arctarianina spytała:

- Ale co możemy teraz zrobić?

- Nic - orzekł poważnie przywódca. - Ta degeneracja, ta okropna zmiana zaszła za daleko, byśmy mogli ją odwrócić. Nasi inteligentni bracia stali się tymi zatrutymi potworami, a my nie możemy cofnąć czasu i odwrócić procesu.

Woodin odzyskał głos i krzyknął cienko, przeraźliwie:

- To nieprawda! To, co widziałem, to wszystko kłamstwo! My, ludzie, nie jesteśmy produktem końcowym degeneracji, jesteśmy dziełem wieków ewolucji! Tak być musi, zapewniam was! Nie chcielibyśmy żyć, ja nie chciałbym żyć, gdyby ta wersja była prawdziwa. Nie może być prawdziwa!

Myśl arctariańskiego przywódcy, skierowana do innych amorficznych kształtów, dosięgła jego szalejącego umysłu. Była zabarwiona litością, a jednak pełna nadludzkiej odrazy.

- Chodźcie, bracia - mówił Arctarianin. - W tym obrzydliwym świecie nie mamy nic do zrobienia. Odejdźmy, zanim i my zaczniemy się zmieniać. I wyślemy na Arctar ostrzeżenie, że ten świat jest zatruty, by nikt nigdy z naszej rasy nie przebył tej okropnej drogi w dół. Wracamy na nasze słońce.

Zgarbiony kształt arctariańskiego przywódcy spłaszczył się, przybrał postać dysku i gładko uniósł się w powietrze. Inni poszli jego śladem i na oczach osłupiałego Woodina cała grupa wzbiła się w górę - lśniące kropki, szybujące ku gwiazdom.

Postąpił parę kroków, zatoczył się, desperacko wygrażając im pięścią.

- Wracajcie, przekłęci! - wrzasnął. - Wracajcie i powiedzcie, że to nieprawda! To nie może być prawda... nie może...

Na rozgwieżdżonym niebie nie było już śladu po Arctarianach. Wokół zapadła nieprzenikniona ciemność.

Woodin znowu krzyknął, ale odpowiedział mu tylko szept echa. Jego dzikie spojrzenie padło na pistolet w dłoni Rossa. Chwycił go z ochrypłym krzykiem.

Ciszę lasu przerwał dźwięczny huk, który przez chwilę odbijał się między drzewami i nagle ucichł. Znowu zapadło milczenie i tylko rwąca rzeka cicho chichotała.

Przełożyła Maciejka Mazan

Arthur C. Clarke

DZIEWIĘĆ MILIARDÓW IMION BOGA

Świadomość istnienia kosmicznych sił stanowi tło wielu tekstów Arthura C. Clarke'a (ur. 1917) i manifestuje się na różnorodne sposoby: komputerowo przyspieszone spełnienie proroctwa w opowiadaniu „Dziewięć miliardów imion Boga”, myśląca sieć telekomunikacyjna, obdarzona iskrą życia w opowiadaniu „Halo, kto mówi?” („Wykręć F wzywając Frankensteina”) i tajemniczy pozaziemscy opiekunowie, rządzący ludzkim przeznaczeniem w powieści na podstawie scenariusza „2001: Odyseja kosmiczna” (1968). Ten najbardziej znany tekst Clarke'a, a także jego kontynuacje: „2010: Odyseja kosmiczna” (1982), „2061: Odyseja kosmiczna” (1988) i „3001: Odyseja kosmiczna - finał” (1996) reprezentują kulminację poglądów dotyczących miejsca człowieka we wszechświecie, które po raz pierwszy znalazły wyraz w jego opowiadaniu z 1951r. „Strażnik”, a pełniejsze rozwinięcie zyskały w „Końcu dzieciństwa” (1953), elegijnej powieści o dojrzewaniu ludzkości jako gatunku i sięgnięciu po wyższy cel w kosmicznym planie. W tych utworach Clarke obudowuje tajemnicę niezbitymi faktami naukowymi. Jako absolwent fizyki i matematyki stał się korespondentem licznych naukowych pism. W roku 1954 to on pierwszy rzucił pomysł satelity komunikacyjnego na orbicie geostacjonarnej. Niektóre jego najlepiej znane teksty skupiają się na rozwiązaniu problemu naukowego lub tajemnicy. „A Fall of

Moondust” (1961) opowiada o próbie ratowania statku, uwięzionego w niezwykłych okolicznościach na powierzchni Księżyca. „Fontanny raju” (1979) dotyczą problemów technicznych, jakie napotkano podczas budowy windy orbitalnej. „Spotkanie z Ramą” (1973) zderza ścisłe, naukowe pytania z prowokacyjnie nowym terytorium, opowiadając o ludziach, którzy odkrywają opuszczony statek Obcych i usiłują zrozumieć technologię jego konstrukcji oraz wyposażenia. Książka została wyróżniona nagrodami Hugo, Nebula, John W. Campbell Memorial Award i British SF Award. Wśród innych powieści Clarke’a znajdują się: „Prelude to Space” (1951), „Miasto i gwiazdy” (1956), „Earthlight” (1955), „Imperial Earth” (1975), a także „Kowboje oceanu” (1957), kontemplacja podwodnego życia przyrównanego do wizji podróży kosmicznych. Clarke jest również autorem powieści dla młodych czytelników „Piaski Marsa” (1951), „Wyspy na niebie” (1952) i „Wyspa delfinów” (1963), a zestawy jego najlepszych opowiadań wydane w Polsce noszą tytuły: „Spotkanie z meduzą” (1988) i „Gwiazda” (1989). Z jego licznych książek popularnonaukowych w Polsce wydano: „Na podbój przestrzeni” (1951), „Zdobynamy Księżyc” (1954), „Tajemnice koralowych raf” (1956) i ilustrowaną historię terraformowania Marsa, „Śniegi Olimpu” (1994). Autobiografia Clarke’a nosi tytuł: „Astounding Days” (1988). W roku 2000 Clarke otrzymał tytuł szlachecki.

- To nieco osobliwa prośba - powiedział doktor Wagner z chwalebłą powściągliwością. - O ile wiem, to pierwsza taka prośba o wyposażenie tybetańskiego klasztoru w Komputer Automatycznych Sekwencji. Nie chciałbym być wścibski, ale nie przyszłoby mi do głowy, że wasza, hm... instytucja może potrzebować takiego urzędnika. Mógłby mi pan wyjaśnić, co zamierzacie z nim zrobić?

- Z radością - oparł lama, poprawiając jedwabną szatę i delikatnie odsuwając suwak logarytmiczny, za pomocą którego dokonywał przeliczeń waluty. - Wasz komputer Mark V może przeprowadzić wszystkie rutynowe obliczenia matematyczne do dziesięciu cyfr. Ponieważ jednak my w naszej pracy posługujemy się literami, a nie cyframi, pragniemy, byście zmodyfikowali obwody wyjściowe. Maszyna będzie drukować słowa, nie kolumny cyfr.

- Nie całkiem rozumiem...

- Jest to projekt, nad którym pracujemy od trzech wieków, czyli od założenia klasztoru. Jest on dość obcy waszemu sposobowi myślenia, zatem liczę, że wysłucha pan moich wyjaśnień z otwartym umysłem.

- Oczywiście.

- To naprawdę zupełnie proste. Spisujemy listę wszystkich możliwych imion Boga.

- Słucham?

- Mamy powody wierzyć - ciągnął niewzruszenie lama - że wszystkie te imiona można zapisać za pomocą nie więcej niż dziewięciu liter opracowanego przez nas alfabetu.

- I nad tym pracujecie od trzystu lat?

- Tak. A spodziewaliśmy się, że wypełnienie tej misji zajmie nam około piętnastu tysięcy lat.

- O... - Doktor Wagner był wyraźnie oszołomiony. - Teraz rozumiem, dlaczego chcecie wynająć jedną z naszych maszyn. Ale jaki właściwie jest cel tego projektu?

Lama zawahał się na ułamek sekundy i Wagnerowi przebiegło przez myśl, czy go przypadkiem nie uraził. Jeśli nawet tak, to odpowiedź nie zawierała ani śladu rozdrażnienia.

- Jeśli pan chce, może pan to nazwać rytuałem, ale to fundamentalna część naszych wierzeń. Wszystkie liczne imiona Najwyższej Istoty - Bóg, Jehowa, Allah i tak dalej - to jedynie

stworzone przez człowieka etykiety. Istnieje problem filozoficzny o pewnym stopniu trudności, którego proponuję tu nie rozważać, lecz gdzieś pomiędzy wszystkimi możliwymi kombinacjami liter istnieje to, co niektórzy mogą nazwać prawdziwymi imionami Boga. Staramy się więc je wszystkie spisać drogą systematycznej permutacji liter.

- Rozumiem. Zaczynacie od AAAAAAAAAA... by dojść do ZZZZZZZZ...

- Właśnie. Chociaż używamy własnego, specjalnego alfabetu. Zmodyfikowanie automatycznych maszyn do pisania, by mogły sobie z nim poradzić, jest oczywiście trywialnie proste. Znacznie bardziej interesującym problemem jest opracowanie stosownych obwodów, które wyeliminują absurdalne kombinacje. Na przykład żadna litera nie powinna występować częściej niż trzy razy z rzędu.

- Trzy? Chyba dwa.

- Trzy to właściwa liczba. Obawiam się, że wyjaśnienia potrwałyby zbyt długo, nawet gdyby rozumiał pan nasz język.

- Na pewno - powiedział Wagner pospiesznie. - Proszę mówić dalej.

- Na szczęście przystosowanie do tego zadania waszego Automatycznego Komputera Sekwencyjnego jest prostym zadaniem, ponieważ właściwie zaprogramowany przeprowadzi permutację kolejno każdej litery, a wyniki wydrukuje. To, co nam zajęłoby piętnaście tysięcy lat, zostanie wykonane w sto dni.

Odległe odgłosy położonych daleko w dole ulic Manhattanu ledwie docierały do doktora Wagnera. Nagle znalazł się w innym świecie, świecie naturalnych, a nie stworzonych przez człowieka gór. Wysoko, w niebosiężnych górskich siedzibach cierpliwi mnisi trudzili się, pokolenie za pokoleniem, spisując listy słów bez znaczenia. Czy istnieje granica ludzkich szaleństw? A jednak nie wolno mu było zdradzić swoich myśli. Klient ma zawsze rację...

- Bez wątpienia potrafimy zmodyfikować Marka V tak, by wydrukował listę tego rodzaju - powiedział doktor. - Znacznie bardziej martwi mnie kwestia instalacji i serwisu. Wyprawa do Tybetu nie jest w naszych czasach łatwa.

- Zadbamy o to. Części są na tyle małe, że można je przetransportować drogą powietrzną - to jedna z przyczyn, dla których wybraliśmy waszą maszynę. Jeśli zdołacie wszystko dostarczyć do Indii, zapewnimy dalszy transport.

- I chcecie wynająć dwóch naszych inżynierów?

- Tak, na trzy miesiące. Tyle powinien zająć projekt.

- Bez wątpienia nasze kadry to załatwią. - Doktor Wagner nagryzmolił uwagę w notesie. - Jeszcze tylko dwie kwestie...

Zanim zdołał dokończyć, lama wyjął mały skrawek papieru.

- To potwierdzenie stanu mojego konta w Banku Azjatyckim.

- Dziękuję. Wydaje się... e... wystarczające. Druga jest tak trywialna, że waham się, czy w ogóle o niej wspomnieć, ale zadziwiająca, jak często pomijamy rzeczy oczywiste. Jakie macie źródło energii elektrycznej?

- Dieslowski generator dający 50 kilowatów przy 110 voltach. Zainstalowano go jakieś pięć lat temu i jest raczej niezawodny. Dzięki niemu życie w klasztorze stało się znacznie wygodniejsze. Choć oczywiście celem jego instalacji było zapewnienie prądu silnikom poruszającym młynki modlitewne.

- Oczywiście - powtórzył doktor Wagner jak echo. - Że też o tym nie pomyślałem.



Widok z murów przyprowiiał o zawrót głowy, ale z czasem do

wszystkiego można się przyzwyczaić. Po trzech miesiącach ani licząca dwa tysiące stóp przepaść, ani daleka szachownica pól w dolinie nie robiły już na George'u Harleyu wrażenia. Opierał się o wygładzone wiatrem kamienie i ponuro spoglądał na dalekie góry, których nazw nawet nie chciało mu się poznać.

To jest, myślał, największe wariactwo, jakie mi się przydarzyło. Niektórzy z laboratorium nazwali to „Projektem Shangri-La”. Już od tygodni Mark V przeżuwał hektary arkuszy zapisanych jakimś bełkotem. Cierpliwie i nieubłaganie ustawiał litery we wszystkich możliwych kombinacjach, wyczerpując każdą możliwość. Kiedy karty wyłaniały się z elektromatycznych maszyn do pisania, mnisi starannie odcinali je i wklejali do ogromnych ksiąg. Za tydzień, chwała niebiosom, będzie koniec. George nie wiedział, jakie to tajemnicze obliczenia przekonały mnichów, że nie muszą zajmować się słowami dziesięcio-, dwudziesto - lub stuliterowymi. W jednym z jego stale powracających koszmarnych snów następowała zmiana planu i Najwyższy Lama (którego oczywiście nazywali Samem Jaffe, choć ani trochę go nie przypominał) nagle oznajmiał, że projekt zostanie przedłużony mniej więcej do Anno Domini 2060. Cóż, byli do tego jak najbardziej zdolni.

Wiatr z hukiem zatrzęsął drzwi i obok George'a stanął Chuck. Jak zwykle palił jedno z tych cygar, które zjednały mu taką popularność wśród mnichów - jak się okazało, skłonnych do kosztowania wszystkich mniejszych i większych rozkoszy życia. To jedno trzeba im było przyznać - może to i szaleńcy, ale nie purytanie. Na przykład te ich ciągłe wyprawy do wioski...

- Słuchaj, George - odezwał się Chuck nerwowo. - Dowiedziałem się czegoś i mogą być teraz problemy.

- Co? Maszyna jest niegrzeczna?

Był to najgorszy dopust, jaki George potrafił sobie wyobrazić.

Trzeba by odłożyć powrót, a to byłoby straszne. W jego obecnym stanie nawet telewizyjną reklamę uznałby za mannę z nieba. Przynajmniej stanowiłaby jakąś łączność z domem.

- Nie, nic w tym guście. - Chuck usiadł na murze, co było niezwykle, bo normalnie przepaść go przerażała. - Właśnie się dowiedziałem, o co tu tak naprawdę chodzi.

- No jak to? Myślałem, że wiemy.

- Jasne. Wiemy, co starają się osiągnąć. Ale nie wiemy dlaczego. To kompletne szaleństwo...

- Jakbym nie wiedział - burknął George.

- ...ale Sam właśnie mi wyłożył kawę na łąwę. Wiesz, że wpada każdego popołudnia, żeby popatrzeć na wychodzące arkusze. No i tym razem był dość poruszony, przynajmniej jak na niego. Kiedy mu powiedziałem, że zabieramy się do ostatniego cyklu, spytał mnie - z tym swoim słodkim akcentem - czy kiedykolwiek się zastanawiałem, co usiłują osiągnąć. „Jasne”, powiedziałem, i wtedy mi wytłumaczył.

- Dawaj, kupuję wszystko.

- No więc oni uważają, że kiedy spiszą wszystkie Jego imiona - a sądzą, że jest ich około dziewięciu miliardów - boża wola się wypełni. Rasa ludzka zakończy misję, dla której została stworzona, i nie będzie już powodu, żeby dalej istniała. Sama myśl o tym to jakieś bluźnierstwo.

- I czego się po nas wtedy spodziewają? Samobójstwa?

- Nie będzie takiej potrzeby. Kiedy lista zostanie zakończona, Bóg wkroczy do akcji i po prostu zwinie interes... Bingo!

- A, już łapię. Jak skończymy robotę, będzie koniec świata.

Chuck roześmiał się nerwowo.

- To właśnie powiedziałem Samowi. I wiesz, co się stało? Spojrzał na mnie bardzo dziwnie, jak na klasowego matołka, i powiedział: „To nie będzie aż tak trywialne”.

George zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- To ci dopiero zagadka - powiedział w końcu. - Ale co według ciebie mamy zrobić? Wątpię, żeby to miało dla nas jakiegokolwiek znaczenie. Od początku wiedzieliśmy, że to wariaci.

- Tak, ale nie rozumiesz, co się może stać? Kiedy lista będzie zakończona i nie odezwie się trąba na Sąd Ostateczny - czy czego się tam spodziewają - mogą nas o to obwinić. W końcu to naszego sprzętu używają. Wcale mi się to nie podoba.

- Rozumiem - powiedział George powoli. - Masz rację. Ale wiesz, nie bylibyśmy pierwsi. Kiedy byłem dzieckiem, mieliśmy w Luizjanie takiego szalonego kaznodzieję, który oznajmił, że w najbliższą niedzielę będzie koniec świata. Uwierzyły mu setki ludzi - nawet posprzedawali domy. Nic się nie wydarzyło, a oni nie wściekli się tak, jak można by się spodziewać. Po prostu uznali, że pomylił się wprawdzie w obliczeniach, ale myśl zasadniczo była słuszna. I chyba dalej mu wierzą.

- Tu nie Luizjana, jeśli nie zauważyłeś. Nas jest tylko dwóch, a tych mnichów setki. Lubię ich i żal mi będzie starego Sama, kiedy dzieło jego życia wybuchnie mu w twarz, ale mimo wszystko wolałbym być wtedy gdzie indziej.

- Ja się o to modlę od tygodni. Tyle że nie możemy nic zrobić, dopóki nie wywiążemy się z umowy i nie przyleci po nas środek transportu.

- Oczywiście - powiedział Chuck w zamyśleniu. - Zawsze zostaje jeszcze niewielki sabotaż.

- W życiu! To by tylko pogorszyło sprawę.

- Nie to, o czym myślę. Spójrz na to w ten sposób. Maszyna, działając tak jak teraz przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, skończy cykl za cztery dni. Transport zjawi się za tydzień. Więc podczas przeglądu technicznego musimy tylko znaleźć coś do

wymiany - coś, co odwlecze pracę o kilka dni. Oczywiście naprawimy to, ale niezbyt szybko. Jeśli dobrze obliczymy, znajdziemy się na lotnisku w chwili, kiedy z maszyny wypadnie ostatnie imię. Wtedy już nas nie dogonią.

- Nie podoba mi się to. Jeszcze nigdy nie zostawiłem niedokończonej roboty. Poza tym z pewnością zaczęliby coś podejrzewać. Nie, będę siedział na tyłku i zobaczę, co się stanie.



- Nadal mi się to nie podoba - powiedział siedem dni później, kiedy małe, zahartowane górskie koniki zwoziły ich krętą drogą w dół. - I nie myśl, że uciekam, bo się boję. Żal mi tylko tych biedaków z góry i nie chcę być na miejscu, kiedy się dowiedzą, jak ich nabraliśmy. Ciekawe, jak to przyjmie Sam?

- Śmieszne - odpowiedział Chuck - ale kiedy się żegnałem, miałem wrażenie, że on wie, że uciekamy. I wcale go to nie rusza, bo wie, że maszyna pracuje jak w zegarku i robota będzie wkrótce ukończona. A potem - no, oczywiście dla niego po prostu nie ma już żadnego potem...

George odwrócił się w siodle i spojrzał na wijącą się w górze drogę. Za chwilę klasztor zniknie im z oczu. Czarne sylwetki przysadzistych, kwadratowych budynków rysowały się na tle zorzy zachodzącego słońca; tu i tam migotały światełka niczym iluminatory transatlantyku. Oczywiście światło elektryczne, z tych samych przewodów, którymi płynął prąd dla Marka V. Jak długo jeszcze będą się nią dzielić? Czy mnisi, rozwścieczeni i rozczarowani, zniszczą komputer? Czy po prostu spokojnie usiądą i zaczną obliczenia od nowa?

Dobrze wiedział, co w tej chwili dzieje się na szczycie góry: najwyższy lama i jego asystenci siedzą w tych swoich jedwabnych szatach, przeglądając arkusze, a młodszy mnisi wyjmują je z drukarek i wklejają do wielkich ksiąg. Nikt się nie odzywa, słychać tylko uporczywy stukot, niekończącą się burzę klawiszy drukujących papier, bo sam Mark V, wykonujący tysiące obliczeń na sekundę, jest całkowicie bezgłośny. Po trzech miesiącach czegoś takiego, pomyślał George, każdy zacząłby chodzić po ścianach.

- Jest! - zawołał Chuck, wskazując dolinę. - Ale piękny widok!

Rzeczywiście. Stary, zniszczony DC 3, stojący na końcu pasa startowego, przypominał malutki srebrny krzyżyk. Za dwie godziny przeniesie ich w wolność i normalność. Była to myśl godna smakowania niczym szlachetny trunek i George rozkoszował się nią, kiedy konik cierpliwie dreptał po stoku góry.

Szybko zapadający w wysokich Himalajach zmrok prawie już ich dopadł. Na szczęście droga była doskonała, jak zwykle w tym regionie, a oni mieli pochodnie. Nie było najmniejszego niebezpieczeństwa, tyle tylko że dokuczało im dotkliwie zimno. Niebo nad ich głowami było czyste, pełne znajomych, przyjaznych gwiazd. Przynajmniej nie ma ryzyka, pomyślał George, że pilot nie będzie mógł wystartować z powodu złej pogody. To było jego jedyne ostatnie strapienie.

Zaczął śpiewać, ale po chwili umilkł. Ta ogromna arena gór, mających ze wszystkich stron niczym duchy w białych kapturach, wcale nie zachęcała do takich popisów. Spojrzał na zegarek.

- Powinniśmy być za godzinę - krzyknął przez ramię do Chucka. Potem po namyśle dodał: - Ciekawe, czy komputer skończył już cykl? Powinien.

Ponieważ Chuck nie odpowiedział, George odwrócił się w siodle i zobaczył jego twarz, biały owal zwrócony ku niebu.

- Patrz - szepnął Chuck, więc i George spojrział na niebo. (Wszystko ma swój ostatni raz).

Nad ich głowami zwyczajnie, po cichu gasły gwiazdy.

Przełożyła Maciejka Mazan

James Blish

DZIEŁO SZTUKI

James Blish (1921-1975) zdobył rozgłos jako pisarz, który wniósł intelektualną złożoność w znane tematy SF. Członek The Futurians, słynnej organizacji SF, zaczął publikować opowiadania fantastycznonaukowe w 1940r. Wkrótce potem wydał swoje opowiadanie „Sunken Universe” (1942, które, połączone z „Surface Tension z 1952, wraz z trzema innymi, złożyło się na powieść epizodyczną „The Seedling Stars”, 1956). Jest to jedna z wczesnych analiz różnicowania i skutków zastosowania inżynierii genetycznej przez ludzkość do zasiedlania obcych planet kolonistami zmodyfikowanymi tak, by wtopić się w miejscowe warunki (pantropia), co oznacza nieuchronną zmianę psychologicznych, socjologicznych i biologicznych standardów, które określają gatunek homo sapiens. „Latające Miasta” to cztery powieści - „Będą im świecić gwiazdy” (1956), „Życie wśród gwiazd” (1962), „Gdzie twój dom, Ziemianinie?” (1955, inny tytuł: „Gdzie jest twój dom, Ziemianinie?”, i „Triumf czasu” (1958) - przedstawiające wizję przyszłości, w której całe miasta migrują przez Galaktykę w poszukiwaniu lepszych warunków życia, lecz znajdują z reguły nieuniknione i powtarzające się problemy. Najlepiej znanym dziełem Blisha jest bez wątpienia jego wyróżniona Nagrodą Hugo powieść „Kwestia sumienia” (1958), wybitne studium eschatologiczne - misjonarz odnajduje na planecie Lythii tubylców wolnych od grzechu pierworodnego, co podważa

podstawy ziemskiej religii. Opowiadania Blisha, systematycznie zmagające się z tak poważnymi tematami jak boskość, estetyka, teoria względności i natura ludzkiego sumienia, zostały zebrane w tomach: „Galactic Cluster” (1959), „So Close to Home” (1961), „Anywhen” (1970), „The Best of James Blish” (1979), „Dusk of Idols” (1996) i „In This World, or Another” (2003). Blish jest także autorem powieści historycznej „Doctor Mirabilis” (1964, o Rogerze Baconie) i „Black Easter” (1968) oraz jej kontynuacji „The Day of Judgment” (1971), przenikliwych analiz biblijnego pojęcia dobra i zła w mrocznym kontekście fantasy. Wśród jego najbardziej znaczących dokonań SF znajdują się teksty krytyczne oraz recenzje powieści SF, publikowane pod pseudonimem William Atheling i zebrane w tomach „The Issue at Hand” (1964), „More Issues at Hand” (1971) i „The Tale That Wags the God” (1987). Pośmiertnie wydano: „With All of Love: Selected Poems” (1995).

Natychmiast przypomniał sobie umieranie. Ale przypomniał je sobie jakby z oddali, jakby wspominał wspomnienia, nie prawdziwe wydarzenie, jakby nie był obecny przy własnej śmierci.

A przecież widział wszystko z własnego punktu widzenia, nie jakiegoś oddalonego i odcieleśnionego obserwatora, którym mogła się stać jego dusza. Miał dojmującą świadomość rżenia, nierównych ruchów powietrza w piersi. Gwałtownie zamazująca się twarz pochylonego nad nim lekarza, coraz bliższa, potem znikająca, gdy doktor przesunął głowę poza zasięg jego wzroku i nachylił się, by przyłożyć mu ucho do piersi.

Nagle zrobiło się ciemniej i wtedy, dopiero wtedy, zdał sobie sprawę, że to jego ostatnie chwile. Z obowiązku starał się wypowiedzieć imię Pauline, ale w jego wspomnieniu nie było słów,

tylko rżący oddech i warstwa sadzy, gęstniejącej w powietrzu, na chwilę zasłaniającej wszystko.

Tylko na chwilę, a potem wspomnienie się skończyło. W pokoju znowu było jasno, a sufit - zauważył ze zdziwieniem - stał się jasnozielony. Lekarz znowu podniósł głowę i spojrzał na niego.

Był to jednak inny lekarz. O wiele młodszy, z ascetyczną twarzą i lśnącymi, niemal niesamowitymi oczami. Nie było wątpliwości. W jednej z ostatnich chwil przytomności poczuł wdzięczność, że doktor na szczęście nie jest tym, który tak naprawdę nienawidził go za krótkotrwałe związki z hitlerowskimi władzami. Ten miał minę zabawnie pasującą do szwajcarskiego specjalisty wezwanego do łóżka umierającego dostojnika - wyraz troski z powodu utraty dostojnego pacjenta i zadowolenie, że w związku z jego podeszłym wiekiem nikt nie może winić lekarza za jego śmierć. Jeśli ma się osiemdziesiąt pięć lat, zapalenie płuc zawsze może się skończyć źle, niezależnie od penicyliny.

- Już wszystko dobrze - powiedział nowy lekarz, uwalniając głowę pacjenta z małych, srebrnych pręcików, które tworzyły jakby czepek.
- Proszę chwilę odpocząć i starać się zachować spokój. Pamiętaj pan swoje nazwisko?

Ostrożnie zaczerpnął łyk powietrza. Jego płuca nagle zaczęły swobodnie oddychać; czuł się najzupełniej zdrowy.

- Oczywiście - powiedział, nieco urażony. - A pan swoje?

Lekarz uśmiechnął się krzywo.

- Widzę, że wrócił pan do siebie. Nazywam się Barkun Kris, jestem rzeźbiarzem mózgu. A jak się pan nazywa?

- Richard Strauss.

- Bardzo dobrze - powiedział doktor Kris i odwrócił się. Strauss jednak już był zajęty nową osobliwością. „Strauss” w języku niemieckim to nie tylko nazwisko, ale i rzeczownik pospolity. Ma

wiele znaczeń - struś, bukiet - von Wolzogen nieźle się ubawił, szpikując libretto „Das Feuersnot” wszystkimi możliwymi żartami na ten temat. I tak się złożyło, że było to pierwsze niemieckie słowo wypowiedziane przez niego lub doktora Krisa od czasu tej cofniętej chwili śmierci. Nie mówili po francusku ani włosku. Język najbardziej przypominał angielski, ale nie ten znany Straussowi; mimo to bez problemów posługiwał się nim, a nawet w nim myślał.

No cóż, uznał, więc jednak będę mógł dyrygować „Miłością Danae”. Nie każdy kompozytor może po śmierci zjawić się na premierze własnej opery. A jednak wszystko to było jakieś dziwne, a najdziwniejsze było przeświadczenie, którego nie mógł się pozbyć, że przez krótką chwilę naprawdę nie żył. Oczywiście medycyna poczyniła ogromne postępy, ale...

- Proszę mi to wyjaśnić - powiedział, wspierając się na łokciu. Łóżko też było inne, nie tak wygodne jak to, w którym umarł. A co do pokoju, przypominał bardziej elektrownię niż pokój chorego. Czy współczesna medycyna doszła już do ożywiania trupów na podłodze Siemanssa-Schukerta?

- Za chwilę - powiedział doktor Kris. Przetoczył jakąś maszynę tam, gdzie, jak domyślił się Strauss, było jej miejsce i podszedł do łóżka. - Wiele rzeczy będzie pan musiał przyjąć na wiarę, nie starając się ich zrozumieć. Nie wszystko w dzisiejszym świecie da się wyjaśnić w terminach rozumiały dla pana. Proszę o tym nie zapominać.

- Naturalnie. Więc słucham.

- Dziś mamy - powiedział doktor Kris - rok 2161, według pańskiego kalendarza. Innymi słowy, od pańskiej śmierci minęło dwieście dwanaście lat. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że przez ten czas z pańskiego ciała zostały tylko kości. Ciało, które pan obecnie posiada, podarował panu ochotnik. Zanim spojrzysz pan w lustro, by je

obejrzeć, proszę pamiętać, że różnice w wyglądzie - w stosunku do tego sprzed lat - działają wyłącznie na pańską korzyść. Ciało jest idealnie zdrowe, nie wzbudza u innych niechęci, a wiek fizjologiczny wynosi około pięćdziesięciu lat.

Cud? Nie, nie w tych nowych czasach, na pewno nie. Po prostu naukowy wynalazek. Ale cóż to za nauka! To wieczne odrodzenie i nieśmiertelność nadczłowieka Nietzschego w jednym!

- Gdzie jestem? - spytał kompozytor.

- W Port York, w stanie Manhattan w Stanach Zjednoczonych. Przekona się pan, że ten kraj pod pewnymi względami zmienił się mniej, niż się pan zapewne spodziewa. Inne zmiany wydadzą się panu, naturalnie, radykalne, ale trudno mi przewidzieć, jaki będą miały na pana wpływ. Będzie pan się musiał wykazać pewną elastycznością.

- Rozumiem - powiedział Strauss, siadając. - Jedno pytanie, jeśli łaska. Czy w tym stuleciu kompozytor nadal może na siebie zarabiać?

- Oczywiście - odparł doktor Kris z uśmiechem. - Na to też liczymy. To jeden z powodów, dla którego pana... przywołaliśmy.

- Więc rozumiem - powiedział Strauss nieco sucho - że nadal istnieje zapotrzebowanie na moją muzykę. Niegdyś krytycy...

- Nie całkiem o to chodzi - przerwał doktor Kris. - Sądzę, że niektóre pańskie dzieła nadal są wykonywane, ale szczerze mówiąc, o pańskim obecnym statusie wiem bardzo niewiele. Interesuję się raczej...

Gdzieś otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł drugi mężczyzna. Był starszy i bardziej okazały od Krisa, otaczała go też aura uczonego, ale i on miał na sobie dziwnie skrojony fartuch chirurga i spoglądał na pacjenta płonącymi oczami artysty.

- Sukces! - powiedział. - Gratulacje, Kris.

- Jeszcze za wcześnie. Liczy się ostateczny dowód. Doktorze Strauss,

jeśli czuje się pan na siłach, doktor Seirds i ja chcielibyśmy zadać panu parę pytań. Pragniemy sprawdzić, czy pańskie wspomnienia są wyraźne.

- Oczywiście. Proszę pytać.

- Z naszych dokumentów wynika - powiedział Kris - że znał pan niegdyś człowieka o inicjałach R. K. L.; było to w czasach, kiedy pracował pan jako dyrygent wiedeńskiej Staatsoper. - Podwójne „a” wymówił co najmniej dwa razy dłużej, niż trzeba, jakby niemiecki był martwym językiem, a on posługiwał się jakimś „klasycznym” akcentem. - Jak brzmiało jego nazwisko i kto to był?

- To pewnie Kurt List. Na pierwsze imię miał Richard, ale go nie używał. Był asystentem reżysera.

Lekarze spojrzeli na siebie.

- Dlaczego zaproponował pan, że napisze pan nową uwerturę do „Kobiety bez cienia” i podarował rękopis Wiedniowi?

- Żeby nie płacić podatku od wywożenia śmieci z willi Marii Teresy, którą mi podarowali.

- Na podwórku pańskiego domu w Garmischi-Partenkirchen znajdował się nagrobek. Co było na nim napisane?

Strauss zmarszczył brwi. Byłby szczęśliwy, gdyby nie potrafił odpowiedzieć. Kiedy płata się samemu sobie dziecinny figiel, lepiej nie upamiętniać go w kamieniu i nie zostawiać tam, gdzie chcąc nie chcąc, widzi się go, wsiadając do mercedesa.

- Napis brzmi - opowiedział z westchnieniem - „Świętej pamięci Guntram, minnesinger, okrutnie zamordowany przez orkiestrę symfoniczną swojego ojca”.

- Kiedy miała miejsce premiera „Guntrama”?

- W... zaraz... chyba w 1894.

- Gdzie?

- W Weimarze.

- Kto śpiewał główną partię?
- Pauline de Ahna.
- Co stało się z nią potem?
- Poślubiłem ją. Czy ona... - zaczął Strauss z niepokojem.
- Nie - powiedział doktor Kris. - Przykro mi, ale brak nam danych do rekonstrukcji mniej lub bardziej przeciętnych ludzi.

Kompozytor westchnął. Nie wiedział, czy martwi go to, czy nie. Oczywiście kochał Pauline, ale z drugiej strony, miło będzie rozpocząć nowe życie, nie musząc zdejmować butów po wejściu do domu, żeby nie porysować lakierowanych podłóg. I pewnie miło będzie nie słyszeć o drugiej po południu wiecznego „Richard - *jetzt komponiert*”.



Z przyczyn, których Strauss nie rozumiał, ale z którymi pogodził się bez dociekania, odizolowano go od doktorów Kirsy i Seirdsa natychmiast, kiedy tylko udowodnił, że jego pamięć jest niezawodna, a stan zdrowia stabilny. Dano mu do zrozumienia, że jego majątek nie istniał od dawna - żałosny koniec niegdyś jednej z pierwszych fortun Europy - ale dostał sumę wystarczającą na mieszkanie i rozpoczęcie aktywnego życia. Dostarczono mu także informacje, które okazały się cenne.

Dłużej, niż się spodziewał, przywykał do zmian, które zaszły w samej muzyce. Wkrótce zaczął podejrzewać, że była to ginąca sztuka, o niewiele większym statusie niż układanie kwiatów w jego czasach. Oczywiście nie można zaprzeczyć, że tendencje do fragmentaryzacji, które mógł już wtedy obserwować, w 2161 roku doszły niemal do ostateczności.

Popularnym melodiom amerykańskim nie poświęcił więcej uwagi niż w zeszłym życiu. Stało się jednak jasne, że taśmowa metoda ich produkcji - wszyscy kompozytorzy ballad jawnie używali opartego na zasadzie suwaka logarytmicznego urządzenia nazywanego Maszyną Hitów - dotyczy także niemal każdego utworu muzyki poważnej.

Na przykład wśród konserwatywnych twórców znajdowali się obecnie kompozytorzy wykorzystujący skalę dwunastotonową - według Straussa suchą i mechaniczną, choć teraz tak nie uważano. Ich bożyszczka - Berg, Schoenberg, Webern - byli dla publiczności wielkimi mistrzami, może nieco hermetycznymi, równie jednak godnymi szacunku jak Bach, Beethoven i Brahms.

Ale istniał odłam konserwatystów o krok wyprzedzających skalę dwunastostopniową. Komponowali oni muzykę, którą nazywali stochastyczną - każdą nutę z osobna dobierali za pomocą tabel z przypadkowymi numerami. Ich biblią, tekstem źródłowym, była książka „Estetyka operacyjna”, która z kolei miała związek z dyscypliną zwana teorią informacyjną - i ani jedno słowo nie dotyczyło żadnej z technik i metod kompozytorskich znanych Straussowi. Grupa ta dążyła do tworzenia muzyki uniwersalnej - to znaczy pozbawionej wszelkich śladów indywidualności kompozytora, będącej muzycznym wyrazem uniwersalnego Prawa Przypadku. Prawo Przypadku miało swój styl, owszem, ale według Straussa był to styl nienormalnego dziecka, którego nauczono tłuc młotkiem w fortepian, żeby nie narobiło sobie gorszych kłopotów.

Główny nurt kompozycji należał jednak do kategorii o mylącej nazwie „muzyka naukowa”. Termin ten odzwierciedlał jedynie tytuły dzieł dotyczących podróży kosmicznych, podróży w czasie i innych romantycznych lub nieprawdopodobnych tematów. W muzyce nie było nic naukowego, tylko zestaw plagiatów i imitacji dźwięków

naturalnych, w których Strauss ze zgrozą odnalazł zniekształcony i rozcieńczony obraz własnych czasów.

Najpopularniejszym przykładem muzyki naukowej była dziewięciominutowa kompozycja zwana koncertem, choć w niczym nie przypominała ona klasycznego koncertu; była to raczej swobodna rapsodia wzorowana na Rachmaninowie - bardzo odlegle. Typowa - była to „Pieśń dalekiej przestrzeni” jakiegoś H. Valeriona Kraffta - zaczynała się głośnym wejściem tam-tamu, po którym smyczki grały unisono gamę, następnie gdzieś w oddali słychać było harfę i jeden klarnet, w równoległych sekstach i kwartach. Potem wchodziły czynele - fortissimo - i cała orkiestra rozpoczynała jakąś łkającą majorowo-minorową melodię; cała orkiestra oprócz angielskich rożków znowu grających gamę, co miało być kontrapunktem. Drugą frazę tematu podejmowała trąbka solo, z sugestią tremolo, a orkiestra wycofywała się, oczekując następnego wybuchu. I w tym momencie - co przewidziałoby i czteroletnie dziecko - wchodził fortepian z drugim tematem.

Za orkiestrą stało trzydzieści kobiet gotowych wejść z nieartykułowaną wokalizą, która miała sugerować nadprzyrodzony nastrój dalekiej przestrzeni - ale do tej pory Strauss już dawno zdążył wstać i wyjść. Po paru takich doświadczeniach zaczął spotykać w lobby Sindi Nonissa, agenta, którego przedstawił mu doktor Kris i który zarządzał dziełami odrodzonego kompozytora - tym, co na razie powstało. Sindi wiedział już, że jego klient wychodzi z koncertów, i cierpliwie czekał na tę chwilę, stojąc pod popiersiem Gian-Carla Menottiego, ale coraz mniej mu się to podobało. Ostatnio zaczął nawet reagować, na zmianę oblewając się rumieńcem i śmiertelną bladością.

- Tak nie można! - wybuchnął po incydencie z Krafftem. - Nie możesz tak po prostu wyjść z premiery Kraffta. To prezes

Międzyplanetarnego Towarzystwa Muzyki Współczesnej! Jak mam ich przekonać, że jesteś współczesny, jeśli ciągle nimi pomiatasz?

- O co chodzi? - spytał Strauss. - Przecież nie wiedzą, jak wyglądam.

- Mylisz się, znają cię bardzo dobrze i obserwują każdy twój ruch. Jesteś pierwszym wielkim kompozytorem, którego odzyskali rzeźbiarze mózgow, i MTMW chętnie by ci wręczyło odmowę.

- Dlaczego?

- O, jest wiele przyczyn. Rzeźbiarze to snoby; chłopcy z MTMW też. Każdy chce udowodnić tej drugiej stronie, że to ich sztuka jest najważniejsza. Poza tym jest konkurencja; łatwiej byłoby cię zgasić niż dopuścić na rynek. Naprawdę uważam, że powinieneś wrócić. Wymyślę jakieś wytłumaczenie...

- Nie - uciął Strauss. - Mam pracę.

- Ale w tym właśnie rzecz, Richardzie. Jak chcesz wystawić operę bez MTMW? Gdybyś napisał solo na theremin albo coś, co by tyle nie kosztowało...

- Mam pracę - powiedział Strauss i wyszedł.

Nie kłamał. Praca pochłonięła go tak jak żaden projekt przez trzydzieści lat dawnego życia. Ledwie dotknął papieru nutowego piórem - oba było zdumiewająco trudno znaleźć - kiedy zdał sobie sprawę, że w jego długiej karierze nie ma nic, co by mu wskazało, jaką muzykę powinien pisać obecnie.

Oczywiście stare chwytły wracały do niego tysiącami; nagłe niespodziewane zmiany tonacji w apogeum linii melodycznej, rozciąganie interwałów, spiętrzenie podzielonych smyczków, narastanie harmonii aż do gigantycznego wybuchu, zamieszanie i pośpiech fraz przemykających jak błyskawice z jednej sekcji do drugiej, efektowne popisy instrumentów dętych, chichot klarnetów, zgrzytliwe mieszanki barw, mające zwiększyć napięcie dramatyczne -

do wyboru. Ale nic z tego już go nie zadowalało. Dobrze mu służyły przez całe życie i wycisnął z nich zadziwiająco wiele, ale teraz przyszła pora, by zacząć coś nowego. Niektóre sztuczki właściwie były mu wstrętne. Skąd wziął ten pomysł, wykorzystywany potem przez dziesiątki lat, że skrzypce, wrzeszczące unisono gdzieś w stratosferze, są efektem na tyle interesującym, by powtarzać go nie tylko w jednym utworze, ale we wszystkich?

Nikt, pomyślał z zadowoleniem, nigdy nie rozpoczął wszystkiego od nowa z lepszym wyposażeniem. Oprócz dostępnych mu wspomnień miał też niezrównane środki techniczne, to przyznawali nawet wrogo wobec niego nastawieni krytycy. Teraz, gdy w pewnym sensie przystąpił do pisania pierwszej w życiu opery - pierwszej po piętnastu! - wszystko wskazywało na to, że stworzy arcydzieło.

I taki miał zamiar.

Oczywiście istniało parę drobnych przeszkód. Jedną z nich było poszukiwanie staroświeckiego papieru nutowego, a także pióra i atramentu do pisania. Okazało się, że bardzo niewielu współczesnych kompozytorów zapisuje swoje kompozycje. Wielu korzystało z taśm - sklejali skrawki dźwięków i muzyki z innych taśm i urozmaicali efekt za pomocą najróżniejszych pokręteł. Niemal wszyscy pisali na samej ścieżce dźwiękowej, gryzmołąc pokrętne linie, które przepuszczane przez audio-fotokomórkę generowały dźwięk przypominający orkiestrę, z alikwotami i całą resztą.

Nieprzejednani konserwatyści, którzy nadal uwieczniali nuty na papierze, robili to za pomocą muzycznej maszyny do pisania. Strauss musiał przyznać, że urządzenie to istotnie zostało udoskonalone; miało manualy i pedały jak organy i było tylko niespełna dwa razy większe od standardowej maszyny do pisania, a strony, które z niego wychodziły, wyglądały schludnie. On jednak wolał stawiać swoje

pajęcze nutki i nie zgadzał się na zmiany, choć jedyne pióro, jakie udało mu się zdobyć, źle pisało. Dzięki niemu czuł związek z przeszłością.

Wstąpienie do MTMW sprawiło mu także nieco trudności, choć Sindi pomógł pokonać polityczne zapory. Członek towarzystwa, który badał jego kwalifikacje, zadawał mu pytania z nie większym zainteresowaniem niż weterynarz badający czterotysięczne chore cielę.

- Jakież publikacje?

- Tak, dziewięć poematów muzycznych, około trzystu pieśni...

- Nie za życia - przerwał egzaminator. - Odkąd rzeźbiarze pana sprowadzili.

- Odkąd rzeźbiarze... a, rozumiem. Tak, kwartet smyczkowy, dwa cykle pieśni...

- Dobrze. Alfie, zapisz: „piosenki”. Gra na instrumencie?

- Fortepian.

- Hmm... - Egzaminator przyjrzał się swoim paznokciom. - A, co tam. Czytanie nut? Używa pan Skryby albo nagrań? Albo Maszyny?

- Czytam nuty.

- Proszę. - Egzaminator posadził Straussa przed katedrą z ekranem, przez który przewijał się bez końca przezroczysty papier. Widniała na nim bardzo powiększona ścieżka dźwiękowa. - Proszę to zagwizdać i nazwać instrumenty, które naśladuje.

- Nie czytam „Musiksticheln” - oznajmił Strauss lodowato. - Ani nie piszę. Korzystam ze standardowego systemu zapisu na papierze nutowym.

- Alfie, zapisz: czyta tylko nuty. - Położył na katedrze arkusz zadrukowanego papieru. - Proszę to zagwizdać.

„To” okazało się popularną piosenką „Wanty, kieliszki i bilard”, napisaną w 2159 roku na Maszynie Hitów przez pewnego polityka

rzekomo grającego na gitarze, który śpiewał ją na swoich wiecach. (Pod pewnymi względami, pomyślał Strauss, Stany Zjednoczone rzeczywiście niewiele się zmieniły). Stała się ona tak popularna, że każdy potrafił ją zagwizdać, czy znał nuty, czy nie. Strauss też to zrobił, a potem, by udowodnić swoją kompetencję, dodał: - Tonacja b moll.

Egzaminator podszedł do zielonego pianina i uderzył w zatłuszczony czarny klawisz. Instrument okazał się straszliwie rozstrojony - dźwięk był bliższy standardowego a 440 niż b, ale egzaminator powiedział:

- Rzeczywiście. Alfie, zapisz: czyta także tonację. No dobrze, synu, jesteś w klubie. Miło mi cię powitać, niewiele osób potrafi czytać w staroświeckim zapisie. Wielu uważa, że to poniżej ich godności.

- Dziękuję - powiedział Strauss.

- Sądzę, że skoro była dobra dla dawnych mistrzów, dobra jest i dla nas. W tych czasach, wydaje mi się, nie ma już takich ludzi. Oczywiście z wyjątkiem doktora Kraffta. Kiedyś byli wielcy - Shilkrit, Steiner, Tiomkin i Pearl... Wilder i Jannen. Prawdziwe pistolety.

- *Doch gewiss* - powiedział Strauss uprzejmie.



Ale praca posuwała się naprzód. Zaczął nawet nieco zarabiać małymi zleceniami. Ludzie jakby szczególnie interesowali się kompozytorem, który wyszedł z laboratoriów rzeźbiarzy umysłów, a oprócz tego, Strauss był tego całkiem pewien, i sam materiał miał pewne zalety, dlatego właśnie go kupowano.

Najważniejsza jednak była opera. Coraz bardziej rozrastała mu się pod piórem, świeża i nowa, jak to jego nowe życie, wyrastająca z

wiedzy i dojrzałości jego długich i bogatych wspomnień. Początkowo kłopoty sprawiało mu znalezienie libretta. Aczkolwiek możliwe było, że wśród dostępnych scenariuszy znalazłoby się coś odpowiedniego - chociaż miał wątpliwości - okazało się, że nie potrafi odróżnić dobrego tekstu od złego, a wszystko przez skomplikowane wskazówki techniczne w scenariuszu. W końcu, po raz trzeci w całej swojej karierze, zdecydował się na sztukę w obcym języku i - po raz pierwszy - postanowił ją wystawić właśnie w tym języku.

Była to „Venus Observed” Christophera Frya, pod wszelkimi względami idealne libretto do opery Straussa, co nie od razu jednak do niego dotarło. Choć pozornie była to komedia o złożonej farsowej akcji, miała wyjątkową głębię i wiele postaci, które wręcz błagały, by muzyka uczyniła je trójwymiarowymi. Była też podszyta jesienną tragedią opadających liści i jabłek - dokładnie taka pełna sprzeczności dramatyczna mieszanka, którą von Hofmannsthal dostarczył mu w „Kawalerze srebrnej róży”, „Ariadnie na Naksos” i „Arabelli”.

Na nieszczęście dla von Hofmannsthala był to kolejny, od dawna nieżyjący dramaturg, niemal równie utalentowany. Tekst dawał ogromne możliwości muzyce. Na przykład pożar kończący akt II; cóż za dar dla kompozytora, dla którego orkiestracja i kontrapunkt były równie ważne jak powietrze i woda! Albo weźmy moment, kiedy Perpetua strzela do jabłka, wytrącając je z dłoni Księcia; w tej jednej chwili można wszczepić w muzyczną tkankę ironiczną aluzję do „Williamina Telia” Rossiniego! A wielki monolog Księcia, zaczynający się od:

Czy mam siebie żałować? W imię Śmiertelności.

Będę siebie żałować. Konary, gałęzie, Brązowe wzgórza, doliny zamglone, Lśnienie na jeziorze...

Był to monolog w duchu Falstaffa; finałowe połączenie śmiechu i

łez, komentowane przez sennego Reedbecka, przy którego dźwięcznym chrapaniu (puzony, nie mniej niż pięć, con sordini?) łagodnie zakończy się opera...

Czy można znaleźć coś lepszego? A jednak trafił na tę sztukę przez najbardziej nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Początkowo zamierzał napisać prostą farsę w duchu „Milczącej kobiety”, ot, żeby się rozkręcić. Pamiętając, że w dawnych czasach Zweig zaadaptował dla niego to libretto na podstawie sztuki Bena Jonsona, zaczął szukać angielskich sztuk z okresu tuż po Jonsonie i natychmiast znalazł potworny okaz z heroicznymi kupletami, zatytułowany „Venice Preserv'd” niejakiego Thomasa Otwaya. W katalogu sztuka Frya znajdowała się tuż za Otwayem i Strauss przyjrzał się jej ciekaw, dlaczego dwudziestowieczny dramatopisarz żartuje sobie z tytułu osiemnastowiecznej sztuki?

Po dwóch stronach lektury pytanie zupełnie wyleciało mu z głowy; znowu dopisało mu szczęście - znalazł swoją operę.



Przygotowując występ, Sindi dokonał cudów. Data premiery została ustalona jeszcze przed zakończeniem prac nad partyturą, co w przyjemny sposób przypomniało Straussowi te upajające dni, kiedy to Fuestner zabierał mu spod pióra zakończenie „Elektry”, po jednej stronie, jeszcze zanim atrament zdążył wyschnąć, i biegł z nią do drukarni, żeby zdążyć na czas z terminem wydania. Obecna jednak sytuacja była bardziej skomplikowana, ponieważ część partytury należało przepisać, część nagrać, część wydać w staroświecki sposób, by spełnić wymogi nowej techniki; bywały chwile, kiedy Sindi po prostu szarzał na twarzy.

Ale „Venus Observed”, jak zwykle, wychodziła spod pióra Straussa w szybkim tempie. Pisanie muzyki bez poprawek było diabelnie trudne i o wiele bardziej przypominało odrodzenie niż to oszołomione przebudzenie w laboratorium Barkuna Kisa z alikwotami śmierci. Strauss przekonał się, że zachował dawną zdolność do pisania niemal bez wysiłku. Ciche narzekanie Sindiego nie przeszkadzało mu tak samo, jak przerażające ponaddzwiękowe rakiety, przesywające niebo wysoko nad miastem.

Kiedy skończył, do rozpoczęcia prób zostały jeszcze dwa dni. Nie miał co z nimi zrobić. Technika wykonawcza tych czasów była tak nierozzerwalnie związana ze sztuką elektroniczną, że ograniczyła jego rolę - jego, głównego *Kapellmeistera* - do beznadziejnie prymitywnej funkcji. Ale to mu nie przeszkadzało. Muzyka powinna mówić sama za siebie. Powinien podziękować losowi, że mógł zapomnieć o trwających miesiącami próbach. Poszedł do biblioteki i leniwie przeglądał stare wiersze, szukając od niechcienia tekstu do pieśni. Wiedział, że współczesnymi poetami nie powinien sobie zaprzętać głowy; nie przemawiali do niego. Uznał, że Amerykanie z jego czasów mogą mu podsunąć klucz do zrozumienia tej Ameryki z roku 2161, a jeśli taki wiersz da początek pieśni, tym lepiej.

Odprężył się, pozwolił sobie na rozkoszowanie się poszukiwaniami. W końcu znalazł nagranie, które mu się spodobało; głos czytającego był stary, skrzypiący, pobrzmiwały w nim echa Idaho. Ten głos rozbrzmiewał w 1910 roku, w czasach młodości samego Straussa. Poeta nazywał się Pound; na nagraniu powiedział:

...dusze wszystkich wielkich czasem przechodzą przez nas.

A my jesteśmy w nie wtopieni i nie jesteśmy Niczym prócz odbicia ich dusz.

I tak przez chwilę jestem Dantem Oraz niejakim François Villonem, panem ballad i złodziejem, Lub należę do tak świętobliwych, że nie

mogę pisać, Gdyż Błóżnierstwo nałoży się na moje imię.

Tak jest przez chwilę, potem płomień znika.

*Jakby w najgłębszej naszej głębi lśniła kula Przejrzystego
płynnego złota, która zwie się „ja”, I na nią narzuca się inny kształt:
Chrystus lub Jan, lubo też Florentyńczyk;*

I tak, jak czysta przestrzeń być przestaje, gdy kształt

*Nałoży się na nią, Tak my na czas jakiś być przestajemy, A oni,
mistrzowie Duszy, żyją nadal.*

Uśmiechnął się. Ta lekcja powtarza się nieustannie, od samego Platona począwszy. A jednak wiersz był historią jego własnego przypadku, rodzajem teorii metempsychozy, którą przeżył, i na swój sposób był poruszający. Można by z niego zrobić niewielki hymn na cześć jego odrodzenia i przenikliwości poety.

Wyobraźnia podsunęła mu szereg poważnych akordów, na tle których słowa można by wypowiedzieć początkowo cicho, szeptem... a potem w dramatycznym pasażu, w którym wielkie imiona Dantego i Villona zabrzmiały jak wyzwanie wobec Czasu... Przez jakiś czas pisał w notesie, a potem odłożył szpulę na półkę.

To dobry znak, pomyślał.

I tak nadszedł wieczór premiery, widzowie zjawili się tłumnie, kamery szybowały w powietrzu bez żadnych widzialnych podpórek, a Sindi zaczął obliczać udział zarobków swojego klienta za pomocą skomplikowanych manipulacji na palcach, opierających się na ogólnej zasadzie, że jeden plus jeden równa się dziesięć. Sala zapełniła się aż po dach ludźmi ze wszystkich klas, jakby przyszli do cyrku, nie opery.

Zaskakujące, ale pojawiło się niemal pięćdziesięciu nonszalanckich i arystokratycznych rzeźbiarzy umysłu, odzianych w formalne stroje - czarne wersje chirurgicznych fartuchów. Wykupili sekcję miejsc na

froncie, gdzie wkrótce gigantyczne wyświetlane postaci miały zapełnić „scenę” (prawdziwi śpiewacy występowali na małej scenie w piwnicy). Musiały się one wydawać potwornie nieproporcjonalne, ale Strauss podejrzewał, że wszyscy wzięli na to poprawkę.

Kiedy rzeźbiarze zaczęli zajmować miejsca, przez salę przebiegły szepty. Wyczuwało się ożywienie, którego przyczyn Strauss nie rozumiał, ale nawet nie starał się ich domyślać. Zmagał się z narastającą treścią, której nigdy, pomimo tylu lat, nie zdołał się w pełni pozbyć.

Łagodnie, płynące nie wiadomo skąd światło zaczęło przygasać. Strauss wspiął się na podium. Przed nim leżała partytura, ale nie sądził, żeby jej potrzebował. W twarz patrzyły mu nieuniknione ryje kamer, ustawionych między muzykami, mających przekazać jego obraz śpiewakom w piwnicy.

Na sali zrobiło się cicho. Oto nadeszła ta chwila. Podniósł batutę i opuścił ją zdecydowanym ruchem; z kanału dobiegły dźwięki uwertury.

Przez chwilę pochłaniało go jak zawsze trudne zadanie utrzymania w ryzach ogromnej orkiestry, gotowej na drgnienia muzycznej sieci w jego rękach. Kiedy jednak poczuł się bezpiecznie, zadanie stało się nieco mniej angażujące i mógł zwrócić większą uwagę na ogólne brzmienie.

Coś było zdecydowanie nie tak. Oczywiście zdarzało się, że jakieś brzmienie okazywało się inne, niż kompozytor przewidywał; trafiało się to każdemu, nawet takiemu tworzącemu przez całe życie. Niekiedy głos śpiewaka rozpoczynającego frazę, trudniejszą, niż szacował, brzmiał jak głos człowieka mającego spaść z wysokości (choć żaden ani razu nie zafałszował; był to jeden z najdoskonalszych zespołów, z jakimi pracował). Ale to były szczegóły. A on miał ogólne wrażenie, że coś jest nie tak. Tracił nie tylko ekscytację

premierą - w końcu nie można jej utrzymać na tym samym poziomie przez cały wieczór - ale także zainteresowanie tym, co się działo na scenie i w kanale. Stopniowo ogarniało go zmęczenie, batuta stawała się coraz cięższa, a drugi akt okazał się beznamiętną prezentacją błyskotliwych dźwięków i tak go znudził, że najchętniej wróciłby natychmiast za biurko, żeby popracować nad pieśnią.

Potem akt się skończył; został już tylko jeden. Strauss jednym uchem słuchał oklasków. Dwadzieścia minut odpoczynku w garderobie ledwie wystarczyło na regenerację potrzebnych sił.

I nagle, w środku ostatniego aktu, zrozumiał.

W tej muzyce nie było nic nowego. To znowu był stary Strauss - tyle że słabszy, bardziej rozwodniony. W porównaniu z wypracowaniami takich kompozytorów jak Krafft publiczności opera bez wątpienia mogła się wydać arcydziełem. Ale on wiedział.

Te jego postanowienia, determinacja, by porzucić stare schematy i manieryzm, decyzja powiedzenia czegoś nowego - wszystko poszło na marne. Nawyk był silniejszy. Powtórne ożywienie oznaczało ożywienie również tych głęboko zakorzenionych cech stylu. Wystarczyło, że ujął pióro, a opanował go czysty automatyzm. Nie miał nad nim większej kontroli niż nad odruchowym cofnięciem palca z płomienia.

Łzy stanęły mu w oczach; jego ciało było młode, ale on był starcem. Kolejne trzydzieści pięć lat czegoś takiego? Nigdy. Wszystko, co miał do powiedzenia, powiedział wieki temu. Ma być skazany na lata powtarzania tego wszystkiego jeszcze raz, coraz słabszym głosem, ze świadomością, że nawet te zubożałe czasy rozpoznają w nim jedynie echo dawnej wielkości? Nie, nigdy, nigdy.

Ledwie zdał sobie sprawę, że opera się skończyła. Publiczność krzyczała z radości. Znał ten dźwięk. Krzyczeli tak w dniu premiery „Dnia pokoju”, ale wtedy wiwatowali na cześć człowieka, którym

niegdyś był, nie tego, którym się stał. Nie miało to dla niego znaczenia. Wrzaski ignorantów i tyle.

Odwrócił się powoli. Zaskoczony przekonał się, że okrzyki nie są jednak na jego cześć.

Były przeznaczone dla doktora Barkuna Krisa.

Kris stał na środku sektora rzeźbiarzy umysłu i kłaniał się widowni. Sąsiedzi ściskali mu dłoń. Kiedy zaczął się przeciskać w stronę podium, mijani widzowie starali się go choć przelotnie dotknąć. Kiedy ucisnął osłabłą dłoń kompozytora, wrzaski nabrały szaleńczego brzmienia.

Kris uniósł rękę. Zapadła nabożna cisza.

- Dziękuję - powiedział rzeźbiarz. - Panie i panowie, zanim podziękujemy doktorowi Straussowi, jeszcze raz powiedzmy mu, jakim zaszczytem było dla nas wysłuchanie tego nowego przykładu jego mistrzostwa. Jestem przekonany, że nie można sobie wyobrazić bardziej stosownego pożegnania.

Owacja trwała pięć minut i trwałaby drugie tyle, gdyby Kris jej nie przerwał.

- Doktorze - powiedział - za chwilę, kiedy wypowiem pewną formułę, zda pan sobie sprawę, że nazywa się Jerom Bosh, jest pan urodzony w naszym stuleciu i posiada własne życie. Narzucone wspomnienia, które skłoniły pana do przybrania maski, persony wielkiego kompozytora, znikną. Mówię to, by zrozumiał pan, dlaczego ci ludzie oklaskują również mnie.

Fala twierdzącego pomruku.

- Sztuka mentalnego rzeźbiarstwa - tworzenie sztucznych osobowości dla estetycznej rozrywki - może już nigdy nie osiągnąć takich wyżyn. Powinien pan bowiem zrozumieć, że jako Jerom Bosch nie miał pan żadnego talentu muzycznego; szukaliśmy człowieka kompletnie niezdolnego do powtórzenia nawet najprostszej melodii.

A jednak zdołaliśmy narzucić tak mało obiecującemu materiałowi nie tylko osobowość, ale i geniusz wielkiego kompozytora. Ten geniusz jest wyłącznie pańską własnością - osoby, która uważa się za Richarda Straussa. Zasługi nie należą się człowiekowi, który zgłosił się jako przedmiot rzeźby. To pański triumf i za niego oddamy panu cześć.

Nie można było dłużej powstrzymywać oklasków. Strauss, krzywo się uśmiechając, obserwował, jak doktor Kris się kłania. Mentalne rzeźbiarstwo stało się wyrafinowanym okrucieństwem tego wieku, choć oczywiście takie ciągoty istniały zawsze. To ten sam impuls kazał Rembrandtowi i Leonardowi zmieniać nieboszczyków w dzieła sztuki.

W świetle prawa za coś takiego należała się stosowna odpłata - oko za oko, ząb za ząb, klęska za klęskę.

Teraz nie musiał już wyjaśniać doktorowi Krisowi, że „Strauss”, którego ten stworzył, był pozbawiony geniuszu, był jak tykwa pusta w środku. Teraz już zawsze ofiarą żartu będzie rzeźbiarz, który nie potrafił usłyszeć jałowości muzyki zarejestrowanej na wieki przez kamery.

Ale nagle ogarnął go bunt. Ja to ja, pomyślał. Będę Richardem Straussem aż do śmierci i nigdy nie będę już JerOMEM Boschem, kompletnie niezdolnym do powtórzenia nawet najprostszej melodii. Jego ręka, nadal trzymająca batutę, gwałtownie uniosła się do góry, choć nie wiedział, czy po to, by zadać, czy też zablokować cios.

Opuścił ją i skłonił się - nie publiczności, ale doktorowi Krisowi. Kiedy Kris odwrócił się do niego, by powiedzieć słowo, mające go strącić w niebyt, niczego już nie żałował - może z wyjątkiem tego, że teraz nie będzie miał już szansy napisać muzyki do tego wiersza.

Przełożyła Maciejka Mazan

Ray Bradbury

CIEMNOSKÓRZY BYLI I ZŁOTOOCY

Ray Bradbury (ur. 1920), choć nie był pierwszym autorem umieszczającym akcję swoich tekstów na Marsie, zaanektował dla siebie ten jeden z najbardziej urodzajnych terenów SF dzięki cyklowi opowiadań publikowanych w latach czterdziestych i pięćdziesiątych w magazynach groszowych. Przedstawił tam wizję Czerwonej Planety jako nowej kolonii, gdzie ludzkość może wywrzeć wpływ na tubylców i środowisko - ostatecznie skrajnie negatywny. Jego zbiór „Kroniki marsjańskie” (1950), którego podstawą stały się właśnie te opowiadania, osiągnął wielki sukces - uświadomił czytelnikom literatury pięknej rolę SF jako nowoczesnej mitologii, będącej wyrazem uniwersalnych marzeń i lęków. Główny temat prozy Bradbury’ego stanowią ludzie, słabi i omylni - tacy jak wątpiący w sens swojej pracy - niszczenia idei poprzez palenie książek - strażak z futurystycznej dystopii „451 - Fahrenheita” (1953), czy przedstawionych w dark fantasy „Jakiś potwór tu nadchodzi” zwyczajnych Amerykanów z klasy średniej, których strach przed śmiercią skłania do paktu z demonicznym właścicielem wędrownego lunaparku. Najnowszą powieścią Bradbury’ego, ocenioną bardzo wysoko, jest poetycka fantasy „From the Dust Returned: A Family Remembrance” (1999), w której członkowie prastarej rodziny Elliotów, obdarzeni najróżniejszymi niezwykłymi zdolnościami, zbierają się w siedzibie

rodzinnej, aby odmienić nasz świat. Liryczne opowiadania Bradbury'ego znalazły się w tomach: „Człowiek Ilustrowany” (1951), „The Golden Apples of the Sun” (1953), „A Medicine for Melancholy” (1959), „The Machineries of Joy” (1964), „Long After Midnight” (1976) oraz wielu innych, a także w obszernym zbiorze „The Stories of Ray Bradbury” (1980, 100 opowiadań wybranych przez autora z pierwszych czterech dekad twórczości). Współczesne opowiadania gotyckie ze zbiorów „Dark Carnival” (1947) i „The October Country” (1955) wywarły wielki wpływ na współczesny horror i dark fantasy. W Polsce wydano też tom opowiadań „K jak kosmos” (1962). „Słoneczne wino” (1957), powieść czy raczej cykl opowiadań o dzieciństwie spędzonym na środkowym zachodzie w połowie stulecia, a także kryminały „Death Is a Lonely Business” (1985), „A Graveyard for Lunatics” (1990), „Let's All Kill Constance” (2002) i niby biograficzna opowieść o Melville'u „Green Shadows, White Whale” (1992), w której pisarz sięga do swoich doświadczeń młodego twórcy, stanowią kwintesencję Bradbury'owskich poszukiwań magicznego potencjału codzienności. Bradbury jest także autorem książek dla dzieci: „Switch on the Night” (1955), „The Halloween Tree” (1972, powieść dark fantasy) i „Ahmed and the Oblivion Machine” (1998), setek wierszy zebranych w tomie „They Have Not Seen the Stars: The Collected Poems of Ray Bradbury” (2001), licznych sztuk, m.in. zbioru jednoaktówek „On Stage: A Chrestomathy of His Plays” (1991) oraz esejów („Zen in the Art of Writing”, 1973) i felietonów („Yestermorrow”, 1991); w 1981r. został wydany zbiór esejów i wierszy zatytułowany „The Ghosts of Forever”. Wiele jego tekstów zaadaptowano na potrzeby teatru, filmu, telewizji, musicalu i komiksu. Wśród scenariuszy filmowych, które napisał osobiście, znajdują się „Przybysze z przestrzeni kosmicznej” oraz scenariusz adaptacji „Moby Dicka” w reżyserii Johna Hustona. Z jego licznych nagród na

szczególną uwagę zasługują: Nebula Grand Master Award oraz Bram Stoker Life Achievement Award, przyznawana przez Horror Writers Association.

Metalowe ściany rakiety szybko stygły w podmuchach wiatru. Pokrywa uniosła się z charakterystycznym, przypominającym wystrzał korka, dźwiękiem i z zegarowego wnętrza wyszedł mężczyzna, a za nim kobieta i troje dzieci. Reszta pasażerów, szepcząc między sobą, oddaliła się i wtopiła w bezkresne łąki, pozostawiając ich samych.

Czuł, że włosy targa mu wichura, a każde włókno ciała tężeje, jakby znalazł się w samym środku próżni; że stojąca tuż obok żona znika mu z oczu, spowita jak gdyby w obłok dymu. Dzieci, małe nasionka, w każdej chwili mógł porwać wiatr i rozsiać po rozległych marsjańskich obszarach. Spoglądały mu w twarz jak ktoś patrzący w słońce i z niego pragnący wyczytać, jaka to pora jego życia. Mężczyzna był opanowany.

- Co się stało? - spytała żona.
- Wracamy do rakiety.
- Z powrotem na Ziemię?
- Tak. Posłuchaj!

Szalał potężny wichur; lada moment wywieje z nich wszystko, wyssie dusze jak szpik z kości. Mężczyzna czuł się, jakby go zanurzono w chemikaliach, zdolnych rozpuścić jego mózg i spalić całą przeszłość.

Rozejrzeli się po wzgórzach, na których widać było niszczące działanie czasu. Popatrzyli na starożytne miasta, które zagubione w bezmiarze wietrznych błoni wznosiły się wśród wzburzonych oceanów trawy niby kruche dziecinne kości.

- Głowa do góry, Harry - powiedziała żona. - Już za późno. Przebyliśmy ponad sześćdziesiąt milionów lat.

Pszennowłose dzieci pokrzykiwały pod wysokim sklepieniem marsjańskiego nieba, ale jedyną odpowiedzią był świst wiatru uginającego sztywne trawy. Mężczyzna ujął bagaż w zgrabiące ręce.

- No to idziemy - odparł jak człowiek stojący na skraju morskiej głębiny, gotów w nią wstąpić i utonąć.

Ruszyli do miasta.



Nazywali się Bitteringowie. Harry z żoną Corą i dziećmi: Danem, Laurą i Davidem. Zbudowali sobie mały biały domek, zjedli dobre śniadanie, ale strach nie opuścił ich ani na chwilę. Leżał pomiędzy małżonkami, niepożądany jak ten trzeci - świadek nocnych rozmów, porannych przebudzeń.

- Czuję się jak kryształ soli omywany nurtem górskiego strumienia - powiedział mężczyzna. - Tu nie jest nasze miejsce. My należymy do Ziemi. A to jest Mars. Dobry dla Marsjan. Cora, na miłość boską, kupujmy bilety i wracajmy wreszcie do domu!

Ale ona tylko potrząsała głową.

- Zobaczysz, przyjdzie dzień, w którym bomba atomowa załatwi Ziemię. A my wtedy będziemy tu bezpieczni.

- Bezpieczni, ale umysłowo chorzy!

„Siódma godzina, dzień się zaczyna” - zaśpiewał budzik. Wstali.

Nie wiadomo dlaczego Bittering co rano sprawdzał, czy wszystko jest w porządku - i kominek, i czerwone geranium w doniczkach - jakby się spodziewał, że coś musi nawalić. Nadeszła prasa prosto z rakiety ziemskiej, tej o szóstej rano. Złamał pieczęć i siadając do

śniadania, rozłożył gazetę; silił się na wesołość.

- Wracają czasy kolonizacji - oświadczył. - Za dziesięć lat na Marsie będzie milion Ziemi. Wielkie miasta i wszystko, co trzeba. A mówili, że nic z tego nie wyjdzie. Że Marsjanie będą wściekli z powodu naszej inwazji. Ale czy tu w ogóle są jacyś Marsjanie? Żywego ducha. Znaleźliśmy tylko wyludnione miasta, bez żadnych mieszkańców. No, czy nie mam racji?

W dom uderzyła fala wiatru. Kiedy okna przestały brzęczeć, Bittering przełknął i spojrzał na dzieci.

- Ja tam nie wiem - odparł David. - A może Marsjanie są wszędzie dookoła nas, tylko ich nie widzimy. Czasem w nocy wydaje mi się, że ich słyszę. Słyszę wiatr. Ciska piachem w okna. Boję się. I widzę te miasta wysoko w górach, gdzie dawno temu było życie. Wydaje mi się, tato, że tam jest jakiś ruch. Zastanawiam się, czy Marsjanom to nie przeszkadza, że tu jesteśmy. Czy oni nam za to nie zrobią czegoś złego.

- Bzdura! - odparł Bittering, wyglądając przez okno. - Jesteśmy czystymi, przyzwoitymi ludźmi. - Popatrzył na dzieci. - Każde wymarłe miasto ma jakieś duchy. To znaczy wspomnienia. - Spojrzał na wzgórze. - Widzisz schody i zastanawiasz się, jak wyglądali Marsjanie, którzy po nich wchodzili. Podziwiasz ich obrazy i próbujesz dociec, jacy byli marsjańscy malarze. W twojej wyobraźni powstaje jakiś duch, wspomnienie. To zupełnie naturalne. Wyobraźnia... - przerwał. - Mam nadzieję, że nie myszkowałeś po tych ruinach, co?

- Nie, tato. - David spuścił oczy, przyglądając się swoim butom.

- Bardzo cię proszę, żebyś się trzymał od nich z daleka. Podaj mi dżem.

- Ale zobaczycie, że coś się stanie.



I stało się. Jeszcze tego popołudnia.

Nadbiegła zapłakana Laura i półprzytomna wpadła na ganek.

- Mamo, tato! Wojna... na Ziemi! - wyszlochała. - Podali właśnie przez radio. Spuścili bomby atomowe na Nowy Jork. Wszystkie rakiety kosmiczne zostały zniszczone. Już nigdy nie będzie żadnej rakiety na Marsa, nigdy!

- Och, Harry! - Matka przytuliła się do męża i córki.

- Czy jesteś tego pewna, Lauro? - zapytał ojciec spokojnie.

Laura nie przestawała płakać.

- Jesteśmy uwięzieni na Marsie do końca życia!

Przez dłuższy czas słychać było jedynie wycie wieczornego wiatru.

Samotni, pomyślał Bittering. Jest nas tutaj zaledwie tysiąc. I żadnej drogi odwrotu. Żadnej. Absolutnie. Pot zrosił mu twarz, ręce, całe ciało; dusiło go uczucie strachu. Miał ochotę uderzyć Laurę i krzyknąć: „To nieprawda, kłamiesz! Rakiety przylecą!”. Zamiast tego jednak przygarnął do siebie czule głowę córki i powiedział:

- Zobaczysz, kiedyś na pewno rakiety ziemskie do nas dotrą.

- Tatusiu, co my teraz będziemy robili?

- Oczywiście to, co do nas należy: będziemy uprawiali rośliny i wychowywali dzieci. Musimy czekać i robić swoje, dopóki wojna się nie skończy i nie wrócą rakiety.

Na ganek weszli chłopcy.

- Dzieci - powiedział Bittering, patrząc gdzieś daleko, poza nich. - Muszę wam coś powiedzieć.

- Wiemy - odparli.



W ciągu najbliższych dni Bittering często snuł się po ogrodzie, chciał być sam na sam ze swoim strachem. Dopóki przestrzeń kosmiczną oplatała srebrzysta sieć raketowych szlaków, był w stanie zaakceptować Marsa. Bo zawsze mógł sobie powiedzieć: jutro kupuję bilet i wracamy na Ziemię.

A teraz - nie ma już żadnej sieci, a rakiety leżą zamienione w sterty złomu, stopionego żelastwa i poskręcanych drutów. Ziemianie zostali rzućeni na pastwę obcego Marsa, jego cynamonowych pyłów i upajającego powietrza - żeby się upiekli niczym pierniki w letnim marsjańskim słońcu, stanowiąc zapasy na marsjańską zimę. Co się z nimi stanie? To moment, na który Mars tylko czekał. I teraz ich pożre.

Bittering padł na kolana na grządkę, z łopata w rozdygotanych rękach. Pracuj, pomyślał, pracuj i zapomnij.

Spojrzał w stronę gór i pomyślał o dumnych marsjańskich nazwach, które kiedyś nosiły te szczyty. Spadający tu z nieba Ziemianie traktowali wzgórza, rzeki i siedziby tubylców jako bezimienne. A przecież miały kiedyś nazwy. Marsjanie nazywali miasta, które wznosili, szczyty, które zdobywali, i morza, po których żeglowali. Z czasem góry zmały, morza powysychały, miasta legły w gruzach. A mimo to Ziemianie z cichym poczuciem winy nadawali tym wzgórzom i dolinom nowe nazwy.

Ale cóż, człowiek żyje symbolami i etykietkami.

Bittering poczuł się bardzo samotny w swym ogrodzie pod marsjańskim słońcem - zgięty wpół sadził ziemskie kwiatki na obcym ugorze, tworząc dziwny anachronizm.

Myśl. Nie przestawaj myśleć. O różnych rzeczach. Ale daj sobie spokój z Ziemią, wojną atomową, zniszczonymi raketami.

Poczuł, że cały jest mokry. Rozejrzał się dookoła. Nikt go nie obserwuje. Zdjął krawat. Nieźle sobie poczynam, pomyślał. Najpierw

marynarka, a teraz krawat. Powiesił go starannie na drzewie brzoskwiniowym, którego sadzonkę sprowadził z Massachusetts.

Powrócił do rozmyślań na temat nazw i gór. Ziemianie pozmieniali tutejsze nazwy. Teraz mamy na Marsie Dolinę Hormela, Morze Roosevelta, Płaskowyż Vanderbilta, Rzekę Rockefellera. To nie jest w porządku. Kolonizatorzy Ameryki byli mądrzejsi, zachowali stare indiańskie nazwy takie jak Wisconsin, Minnesota, Idaho, Ohio, Utah, Milwaukee, Waukegan, Osseo. Stare nazwy, stare znaczenia.

Patrząc z rozterką w stronę gór, myślał: Czy jesteście tam, wy wszyscy zmarli Marsjanie? Macie nas teraz, odciętych od świata! Chodźcie, wyrzućcie nas stąd! Jesteśmy bezbronni!

Nagle lunęła ulewa brzoskwiniowego kwiecia.

Bittering wyciągnął opaloną rękę i krzyknął cicho. Dotykał kwiatów, zbierał je, obracał w dłoniach i znów dotykał. A potem zawołał żonę:

- Cora!

Kiedy pojawiła się w oknie, podbiegł do niej.

- Cora, spójrz na te kwiaty!

Wzięła je do ręki.

- Widzisz? Są inne, niż były. Zmieniły się. To już nie są kwiaty brzoskwini!

- A mnie się wydaje, że nic im nie brakuje - odparła.

- Ależ nie, zobacz. Nie umiem powiedzieć dokładnie, o co chodzi, może to jakiś dodatkowy płatek, liść, coś w tym rodzaju, kolor, zapach!

W tym momencie w drzwiach domu pojawiły się dzieci i zobaczyły, jak ojciec w obłądnym pośpiechu biega po ogrodzie, wyrywając rzodkiewki, cebule i marchewki.

- Cora, chodź, zobacz! Czy to wygląda jak normalna marchew?

- Tak... nie - zawahała się. - Nie, nie wiem.

- Zmieniła się.

- Może...

- Przecież wiesz, że tak. Niby cebula, a nie cebula. Niby marchew, a nie marchew. Spróbuj: niby to samo, a co innego. Powąchaj. I zapach jakiś dziwny.

Czuł, jak wali mu serce, bał się. Wsadził palce w ziemię.

- Cora, co się dzieje? Co to znaczy? Musimy od tego uciekać. - Puścił się biegiem przez ogród, dotykając po drodze każdego drzewa.

- Róże. Róże. Robią się zielone!

Stali tak wszyscy, patrząc na zielone róże.

A dwa dni później przybiegł zdyszany Dan.

- Chodźcie zobaczyć krowę! Właśnie ją dołem, kiedy to się stało. Chodźcie!

Zebrali się w szopie i patrzyli na swoją jedyną krowę, której wyrósł trzeci róg.

A trawnik przed domem spokojnie i powoli nabierał barwy wiosennych fiołków.

Nasiona sprowadzone z Ziemi, a wyrasta z nich jasnofioletowa trawa.

- Musimy uciekać - oświadczył Bittering. - Jak będziemy to wszystko jedli, sami się zmienimy... Bóg raczy wiedzieć w co. Nie mogę do tego dopuścić. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko spalić całą tę marsjańską żywność.

- Przecież ona nie jest zatruta.

- Właśnie że jest. Leciutko, bardzo lekko. Odrobinę. Ledwie ledwie. Ale nie wolno nam jej dotykać.

Popatrzył z przerażeniem na dom.

- Nawet dom. Wiatr coś z nim zrobił dziwnego. Powietrze go spaliło. Czy może nocna mgła? Wszystkie deski popaczone. To już nie jest dom Ziemiańszczyzny.

- Masz wybujałą wyobraźnię.

Bittering włożył marynarkę i krawat.

- Jadę do miasta. Musimy coś z tym zrobić. Niedługo wracam.

- Harry, poczekaj! - krzyknęła za nim żona.

Ale jego już nie było.

W mieście na ocienionych schodkach sklepu spożywczego siedzieli mężczyźni z założonymi rękami i w pogodnym nastroju gwarzyli sobie spokojnie. Bittering miał ochotę wypalić w powietrze z pistoletu.

Idioci! Co wy najlepszego robicie, pomyślał. Siedzicie tak sobie niefrasobliwie! Chyba słyszeliście wiadomości: jesteśmy odcięci od świata! Ruszcie się! Nie boicie się ani trochę? Nie przeraża was to? Co zamierzacie robić?

- Jak się masz, Harry - mówili jeden po drugim.

- Chyba słyszeliście wczorajsze wiadomości, co? - zapytał.

Skinęli głowami i odparli ze śmiechem: - Jasne, żeśmy słyszeli, jasne.

- I co zamierzacie w tej sytuacji robić?

- Robić, Harry, robić? A co możemy zrobić?

- Zbudować raketę. Oto, co możemy zrobić.

- Raketę? Żeby znów ściągnąć sobie na łeb tamte stare kłopoty? Och, Harry!

- Ale przecież na pewno chcecie wracać. Czy nie widzieliście, co się dzieje z kwiatami brzoskwini, z cebulą, z trawą?

- No, owszem, niby widzieliśmy, Harry, ale co z tego? - rzekł jeden z mężczyzn.

- I nie przeraża was to?

- Niespecjalnie.

- Idioci.

- Nie pozwalaj sobie za dużo, Harry.

Bitteringowi chciało się płakać.

- Musicie ze mną współdziałać. Jeżeli tu zostaniemy, wszyscy się pozmieniamy. Powietrze. Nie czujecie? Jest coś w powietrzu. Może to jakiś marsjański wirus, jakieś nasienie, a może zanieczyszczenie atmosfery. Ludzie!

Gapili się na niego w milczeniu.

- Sam - zwrócił się do jednego z nich.

- Słucham cię, Harry.

- Pomożesz mi w budowie rakiety?

- Harry, mam kupę metalu i nawet jakieś plany. Jeśli chcesz budować tę raketę w moim warsztacie, proszę cię bardzo. Mogę ci sprzedać ten metal za pięćset dolarów. Jak się dobrze postarasz, to pracując sam, za jakieś trzydzieści lat powinieneś już mieć całkiem niezłą raketę.

Pozostali skwitowali to śmiechem.

- Nie śmiejecie się.

Sam popatrzył z dobrotliwym rozbawieniem.

- Sam - powiedział Bittering. - Twoje oczy...

- Co chcesz od moich oczu?

- Przecież ty chyba zawsze miałeś szare oczy, prawda?

- A bo ja wiem? Skąd mogę pamiętać?

- Ale przecież zawsze miałeś szare.

- Co się tak do tego przyczepiłeś?

- No bo teraz zrobiły się jakby żółte.

- Nie żartujesz, Harry? - rzekł Sam od niechcienia.

- A poza tym jesteś wyższy i chudszy...

- Może i masz rację, Harry.

- Sam, ty nie powinieneś mieć żółtych oczu.

- A ty jakiego koloru masz oczy, Harry? - zapytał Sam.

- Ja? Niebieskie oczywiście.

- No właśnie. - Sam wręczył mu lusterko kieszonkowe. - To sobie zobacz.

Bittering zawahał się, po czym uniósł lusterko do twarzy.

W błękanie oczu dostrzegł bardzo małe, niewyraźne plamki złota.

- No i popatrz, co zrobiłeś: stłukłeś mi lusterko - powiedział w chwilę później Sam.



Harry Bittering rozpoczął w warsztacie pracę nad budową rakiety. Mężczyźni stali w otwartych drzwiach, rozmawiając i żartując po cichu. Od czasu do czasu ten i ów pomógł mu podnieść coś ciężkiego, ale najczęściej po prostu wałkonili się, przyglądając mu się żółknącymi oczyma.

- Pora na kolację, Harry - powiedzieli.

Nadeszła żona z kolacją w koszyku.

- Ja tego nie tknę - oznajmił. - Będę jadł tylko to, co mamy w zamrażalniku. Żywność z Ziemi. Nic z naszego ogrodu.

Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

- Nie dasz rady zbudować rakiety.

- Kiedyś, jak miałem dwadzieścia lat, pracowałem w warsztacie. Jestem otrzaskany z metalem. Jak już zacząłem, inni mi na pewno pomogą - odparł, patrząc na nią i rozkładając plany.

- Harry, Harry - powtarzała bezradnie.

- Musimy stąd uciekać, Cora. Musimy!



Noce były wietrzne; wiatr hulał po pustych, zalanych księżycowym blaskiem łakach morskich, owiewał małe, białe szachownice miast drzemiące od dwunastu tysięcy lat na swoich mieliznach. W osiedlu Ziemiań, w domu Bitteringów, panowała atmosfera napięcia zwiastującego zmianę.

Leżąc w łóżku, Bittering czuł, jak jego kości przesuwają się, zmieniają kształt, topią się niby złoto. Obok niego leżała żona, od wielu słonecznych popołudni pociemniała. Ciemnoskóra była i złotooka, spalona niemal na czarno przez słońce, a dzieci metaliczne. I ten wiatr, który wył wśród starych drzew brzoskwiniowych i fioletowej trawy, strząsając zielone płatki róż.

Harry nie mógł się pozbyć strachu; strach ścisnął go za gardło, panoszył się w sercu, ściekał wilgocią z ramion, skroni, rozdygotanych rąk.

Na wschodzie pokazała się zielona gwiazda.

Z ust Bitteringa wydobyło się dziwne słowo.

- Iorrt. Iorrt.

Powtórzył je kilka razy.

Było to słowo marsjańskie. A przecież nie znał tego języka.

Wstał w środku nocy i zadzwonił do Simpsona, archeologa.

- Simpson, co znaczy słowo Iorrt?

- W staromarsjańskim oznacza naszą planetę, Ziemię. A co takiego?

- Nic specjalnego.

Słuchawka wypadła mu z ręki.

- Halo, halo, halo, halo - powtarzała bez przerwy, a on siedział wpatrzony w zieloną gwiazdę. - Bittering? Harry, jesteś?

Dni wypełnione były zgrzytem metalu. Wreszcie, z pomocą trzech niezbyt chętnych, obojętnych mężczyzn, wykonał szkielet rakiety. Po godzinie pracy czuł się zazwyczaj zmęczony i musiał odpoczywać.

- To wysokość - zaśmiał się jeden z mężczyzn.

- Czy ty w ogóle jadasz, Harry? - zapytał drugi.
- Jadam - odparł ze złością.
- Ale tylko z zamrażalnika?
- Tak!
- Chudniesz, Harry.
- Nieprawda!
- I robisz się coraz wyższy!
- Kłamca!

Kilka dni później żona wzięła go na stronę.

- Harry, jedzenie w zamrażalniku się skończyło. Nie ma już nic. Będę musiała robić kanapki z produktów marsjańskich.

Bittering usiadł ciężko.

- Musisz jeść, Harry - powiedziała. - Jesteś coraz słabszy.
- Tak - przyznał.

Wziął od niej kanapkę, rozłożył ją, obejrzał i zaczął skubać.

- I nie pracuj już dzisiaj więcej - powiedziała. - Jest tak gorąco. Dzieci chciałyby popływać w kanałach i wybrać się na wycieczkę. Proszę cię, chodź do domu.

- Nie mogę tracić czasu. Sytuacja jest beznadziejna.

- Chociaż na godzinę - nalegała. - Dobrze ci zrobi, jak sobie popływasz.

Podniósł się, spocony.

- No już dobrze, już dobrze. Tylko daj mi spokój. Zaraz przyjdę.
- Dziękuję ci, Harry.

Słońce prażyło, dzień był bezwietrzny. Nad planetą wisiła spiekota. Szli całą rodziną wzdłuż kanału: ojciec, matka, rozdokazywane dzieciaki w kostiumach kąpielowych. Zatrzymali się, żeby zjeść kanapki z mięsem.

Widział spaloną na brąz skórę i żółte oczy swojej żony i dzieci, a przecież ich oczy nigdy nie były żółte. Wstrząsnął nim dreszcz, ale

trwało to tylko moment; kiedy położył się na plaży, ogarnęła go fala rozkosznego ciepła. Był zbyt zmęczony, żeby odczuwać strach.

- Cora, od jak dawna twoje oczy są żółte?

Była zaskoczona.

- Chyba zawsze takie miałam.

- A czy nie zmieniły ci się z piwnych w ciągu ostatnich trzech miesięcy?

Zagryzła wargi.

- Nie. A dlaczego pytasz?

- Mniejsza z tym.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu.

- A czy dzieci... - zaczął. - Też mają żółte?

- Dzieciom oczy często się zmieniają.

- Może wobec tego i my jesteśmy dziećmi? Przynajmniej dla Marsa. To jest myśl. - Roześmiał się. - Wiesz co, chyba pójdę popływać.

Wskoczyli do kanału i Bittering opadał coraz głębiej i głębiej, do samego dna, aż spoczął jak posąg w zielonej ciszy. Wszystko było wodną ciszą i głębią, i spokojem. Czuł, jak bez trudu unosi go stały, powolny prąd.

Gdybym tak tu leżał dostatecznie długo, pomyślał, pod działaniem wody pozbyłbym się ciała i pozostałyby ze mnie tylko kości, jak u koralu. Sam szkielet. A potem woda naniósłaby na ten szkielet zielonych glonów, różnych organizmów głębinowych, czerwonych, żółtych. Zmiana. Zmiana. Powolna, dogłębna, cicha zmiana. A czy przypadkiem nie to samo odbywa się nad wodą?

Widział nad sobą zatopione w wodzie niebo i słońce, które atmosfera, czas i przestrzeń uczyniły marsjańskimi.

Tam nade mną jest duża rzeka, myślał, marsjańska rzeka, i my wszyscy leżymy w niej głęboko w naszych domach z kamyków, w

naszych zatopionych kamiennych domach, ukryci jak kraby, a woda wymywa z nas ciało i wydłuża kości, i...

Poddał się i pozwolił unieść w górę poprzez łagodne światło.

Dan siedział na brzegu kanału, przyglądając się ojcu poważnie.

- Utha - powiedział.

- Co? - zapytał Bittering.

Chłopak uśmiechnął się.

- Wiesz przecież. Utha to po marsjańsku ojciec.

- Gdzie się tego nauczyłeś?

- Nie wiem. Tu gdzieś. Utha!

- Czego chcesz?

Chłopiec zawahał się.

- Chciałbym... chciałbym zmienić imię.

- Zmienić imię?

- Tak.

Podpłynęła do nich matka.

- A co jest złego w imieniu „Dan”?

Mały zdenerwował się.

- Przedwczoraj wołałaś: „Dan, Dan, Dan!”, a ja tego nawet nie słyszałem. Pomyślałem sobie: to nie jest moje imię. Mam nowe imię, tak teraz chciałbym się nazywać.

Bittering trzymał się brzegu kanału. Ciało miał zimne, serce biło mu powoli.

- A jakie jest to nowe imię?

- Linnl. Czy nieładne? Mogę się tak nazywać? Mogę, powiedzcie?

Bittering dotknął ręką głowy. Pomyślał o tej swojej głupiej rakiecie, nad którą pracował, o tym, jak bardzo jest samotny wśród własnej rodziny. Słyszał, jak żona odpowiada chłopcu:

- Dlaczego nie?

A potem własny głos:

- Oczywiście, że możesz.

- Yahaaa! - wrzasnął chłopak. - Jestem Linnl, Linnl!

Biegnąc przez łąki, tańczył i krzyczał.

Bittering popatrzył na żonę.

- Dlaczegośmy to zrobili?

- Nie wiem - odparła. - Wydawało mi się, że to dobry pomysł.

Ruszyli w stronę wzgórz. Szli wolno starymi, mozaikowymi ścieżkami, mijając tryskające wodą fontanny. Ścieżki przez całe lato pokryte były cienką warstwą chłodnej wody. Człowiek cały dzień miał zimne nogi, jakby brodził, wzniecając wodny pył.

Doszli do małej opuszczonej marsjańskiej willi, skąd roztaczał się widok na dolinę. Willa wznosiła się na szczycie wzgórza. Błękitne marmurowe sale, ogromne freski, basen. Musiało tu być świeżo w tej letniej spiekocie. Marsjanie nie wierzyli w duże miasta.

- Jak tu ładnie - powiedziała pani Bittering. - A może byśmy tak mogli przenieść się na lato do tej willi?

- Chodź, wracamy do miasta - odparł mąż. - Mam masę roboty przy rakiemie.

Ale wieczorem, w czasie pracy, chłodna, błękitna, marmurowa willa na dobre zagościła w jego myślach. W miarę upływu czasu rakietę wydawała mu się coraz mniej ważna. Płynęły dni i tygodnie, a ona była coraz dalsza i coraz mniejsza. Minęło dawne podniecenie. Przeraziła go świadomość, że tak się temu poddał. Ale jakoś ten upał, to powietrze, warunki pracy...

Słyszał dobiegający sprzed warsztatu gwar męskich rozmów.

- Wszyscy się wynoszą. Słyszeliście?

- Tak, wszyscy. To prawda.

Bittering wyszedł z warsztatu.

- Dokąd się wynoszą?

Popatrzył na dwie ciężarówki, wyładowane meblami i

dzieciakami, jadące ulicą w tumanach kurzu.

- Do willi - odparł jeden z mężczyzn.
- Tak, Harry. I ja się wynoszę. I Sam też. Prawda, Sam?
- Prawda, a co z tobą, Harry?
- Ja mam pracę, którą muszę wykonać.
- Pracę! Rakietę możesz skończyć jesienią, jak będzie chłodniej.

Bittering nabrał tchu.

- Mam już gotowy szkielet.
- Jesienią będzie ci łatwiej. - W upale ich głosy brzmiały leniwie.
- Muszę pracować.
- Jesienią - przekonywali go. Ich argumenty były takie rozsądne, takie słuszne.

Tak, jesień jest najlepsza, pomyślał. Będzie miał wtedy masę czasu.

Nie! - zaprotestowała jakaś część jego jaźni, głęboko ukryta, szczelnie zamknięta, zagłuszona. Nie! Nie!

- Jesienią - powiedział.
- Chodź, Harry - zachęcali go.
- Tak - odparł, czując, jak ciało topi mu się w gorącym, ciekłym powietrzu. - Tak, jesienią zacznę pracę od nowa.
- Ja mam willę koło kanału Tirra - powiedział ktoś.
- Miałeś na myśli Kanał Roosevelta, tak?
- Nie, Tirra. Stara marsjańska nazwa.
- Ale na mapie...
- Zapomnij o mapie. Teraz to jest Tirra. Znalazłem takie miejsce w górach Pillan...

- Masz na myśli Pasma Rockefellera - sprostował Bittering.
- Nie, mam na myśli góry Pillan.

Nazajutrz po południu, w stojącym, nieruchomym upale, wszyscy ładowali ciężarówki.

Laura, Dan i David - albo też, jak woleli, Ttil, Linnl i Werr - nosili

paczki.

Meble zostawiali w małym białym domku.

- W Bostonie prezentowały się dobrze - powiedziała matka. - I tu też. Ale tam, w willi? Nie. Wrócimy do nich jesienią.

Bittering milczał.

- A ja wiem, jakie powinny być meble do willi - powiedział po chwili. - Powinny być duże, wygodne. Leniwe.

- A co z twoją encyklopedią? Bierzesz ją, oczywiście.

Bittering odwrócił wzrok.

- W przyszłym tygodniu po nią przyjadę.

- A twoje nowojorskie sukienki? - zapytali córkę.

Dziewczynka spojrzała zdumiona.

- A na co mi one?

Zakręcili gaz i wodę, pozamykali drzwi. Ojciec spojrzał na ciężarówkę.

- Nie można powiedzieć, żebyśmy brali ze sobą dużo. W porównaniu z tym, cośmy przywieźli na Marsa, to śmieszna garstka sprzętów.

Zapalił silnik.

Patrzył na mały biały domek przez dłuższą chwilę i miał ochotę rzucić się do niego, dotknąć go, powiedzieć mu do widzenia. Czuł się tak, jakby wyruszał w daleką podróż, zostawiając coś, do czego tak naprawdę już nigdy nie wróci, czego już nigdy nie zrozumie.

Właśnie w tym momencie minęła ich ciężarówka, wioząca Sama z rodziną.

- Hej, Bittering! Zegnajcie!

Ciężarówka pomknęła starą autostradą i wyjechała z miasta. A za nią sześćdziesiąt innych rodzin udało się w tym samym kierunku. Miasto wypełniły tumany ciężkiego, nieruchomego kurzu. Wody kanału były błękitne w promieniach słońca, a łagodny wietrzyk

poruszał dziwnymi drzewami.

- Żegnaj, miasto! - powiedział Bittering.

- Żegnaj, żegnaj! - powtórzyła za nim rodzina, machając rękami.



Odjechali, nie oglądając się za siebie.



Letnie słońce wysuszyło kanały. Lato ogarniało łąki niczym płomień. W opuszczonym osiedlu Ziemiań farba na ścianach domów łuszczyła się i odpadała płatami. Stare opony, z których dzieci zrobiły huśtawki, wisiały w spiekocie jak zatrzymane nagle wahadła zegarów.

W warsztacie szkielet rakiety zaczął rdzewieć.

Pewnego cichego jesiennego dnia Bittering, bardzo już ciemny i bardzo złotooki, stał na stoku wzgórza, nad swoją willą, spoglądając w dolinę.

- Czas wracać - powiedziała Cora.

- Tak, ale nie wracamy - odparł. - Tam już nic nie ma.

- A twoje książki, twoje przyzwoite ubranie? Twoje Illesi, twoje przyzwoite ioruele-rre - poprawiła się.

- Miasto jest puste. Nikt nie wraca - odparł. - Nie ma zresztą powodu, najmniejszego.

Córka tkła kilimy, synowie grali pieśni na staroświeckich fletach i piszczałkach, a ich śmiech odbijał się echem w marmurowej willi.

Bittering spoglądał na położone daleko w dolinie osiedle Ziemiań.

- Jakie dziwne, jakie zabawne domy budują ci Ziemianie.
- Nie umieją innych - odparła żona. - I tacy brzydcy są ci ludzie.

Dobrze, że się wynieśli.

Spojrzeni po sobie zaskoczeni tym, co właśnie powiedzieli. Roześmieli się.

- A dokąd oni się wynieśli? - zastanawiał się Bittering.

Popatrzył na żonę. Była złocista i szczupła jak córka, a kiedy na niego spojrzała, poczuł się tak młody, jak ich najstarszy syn.

- Zresztą nie wiem... - powiedziała.

- Może wrócimy do miasta w przyszłym roku, może za dwa-trzy lata - odparł spokojnie. - A teraz jest mi gorąco. Chętnie bym się wykąpał.

Odwrócili się od doliny i ramię w ramię poszli bez słowa ścieżką, którą płynęła czysta źródłana woda.

Pięć lat później spadła z nieba rakietka. Dymiąc, leżała w dolinie. Wyskoczyli z niej ludzie, których wołanie niosło się daleko.

- Wygraliśmy wojnę na Ziemi! Przyjechaliśmy was oswobodzić! Hej!

Ale w amerykańskim miasteczku domków jednorodzinnych, drzew brzoskwiniowych i teatrów panowała cisza. W pustym warsztacie znaleźli tylko nędzny, zardzewiały szkielet rakiety.

Postanowili więc przeszukać wzgórze. Kapitan założył kwaterę główną w opuszczonym barze, gdzie przyszedł do niego porucznik z meldunkiem.

- Miasto jest wyludnione, sir, ale w górach żyją tubylcy. Ciemni, o żółtych oczach. Marsjanie. Bardzo przyjacielscy. Trochę z nimi rozmawialiśmy, ale niewiele. Szybko uczą się angielskiego. Jestem przekonany, że wkrótce nawiążemy z nimi bliższy kontakt, sir.

- Ciemni, powiadasz? - zastanawiał się kapitan. - A ilu ich jest?

- Jakies sześćset, osiemset osób. Żyją w tych marmurowych

ruinach w górach, sir. Wysocy, zdrowi. Piękne kobiety.

- A czy mówili wam może, co się stało z tamtymi mężczyznami i kobietami, którzy budowali to ziemskie osiedle, poruczniku?

- Nie mają zielonego pojęcia, ani co się stało z tym miasteczkiem, ani z ludźmi.

- Dziwne. Czy myślisz, że ci Marsjanie ich pozabijali?

- Robią wrażenie zdumiewająco łagodnych. Możliwe, że to jakaś zaraza zniszczyła miasto.

- Możliwe. Myślę, że jest to jedna z tych tajemnic, których nigdy nie wyjaśnimy. O których się tylko czyta.

Kapitan spojrział na pomieszczenie, w którym się znajdowali, na zakurzone okna, na błękitne wzgórza rysujące się za nimi, na migoczące w słońcu kanały i usłyszał lekki szum wiatru. Wzdrygnął się. Ale po chwili, już spokojnie, stuknął w dużą, nową mapę, którą przypiął pluskiewkami do blatu stołu.

- Mamy wiele do zrobienia, poruczniku. - Jego głos brzmiał monotennie; słońce chowało się za błękitne wzgórza. - Nowe osiedla. Kopalnie, trzeba poszukać bogactw naturalnych. Pobrać próbki bakterii. Robota, dużo roboty nas czeka. Niestety, zaginęła wszelka dokumentacja. Będziemy musieli sporządzić nowe mapy, ponazywać góry, rzeki i tak dalej. Będzie to wymagało trochę fantazji.

- A co byście powiedzieli, poruczniku, jakbyśmy tak nazwali te góry Górami Lincolna, kanał Kanałem Waszyngtona, a te wzgórza... wzgórza możemy nazwać na pana cześć. Dyplomacja. A pan z kolei w rewanżu może nazwać jakieś miasto na moją cześć. Pochlebstwo. A to mogłaby być Dolina Einsteina, a tam dalej... czy pan mnie słucha, poruczniku?

Porucznik oderwał wzrok od błękitu i spokojnych mgieł spowijających wzgórza daleko za miastem.

- Słucham...? Ach tak, oczywiście, że słucham, sir!

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

NOWA FALA

Harlan Ellison

„KAJAJ SIĘ, ARLEKINIE!” - POWIEDZIAŁ TIKTAK

Harlan Ellison (ur. 1934) stworzył własny gatunek literacki. Należy do najbardziej kontrowersyjnych i prowokujących pisarzy SF drugiej połowy XX w. i jest znany z mieszania ze sobą humoru, horroru, patosu i wściekłości. Choć jego opowiadania zostały życzliwie przyjęte przez entuzjastów SF, niewiele z nich spełnia wymogi tej literatury. Ellison, po dziesięciu latach dostarczania sprawnie napisanych powieści SF, fantasy, kryminalnych i dla młodzieży, zaczął nagle publikować efektowne opowiadania, łamiące tabu i konwencję SF. „Kajaj się, Arlekinie! - powiedział Tiktak” to kafkowska przypowieść o niebezpieczeństwach indywidualizmu w konformistycznej społeczności, „Nie mam ust, a muszę krzyczeć” to wizjonerska historia o szoku przyszłości, w której komputery stają się panami ludzi, a „Chłopiec i jego pies” należy do najsłynniejszych opowieści postapokaliptycznych (na podstawie tego opowiadania zrealizowano w 1975r. kultowy film). Proza Ellisona współbrzmi z dziełami pisarzy SF Nowej Fali, którzy starali się zburzyć mury dzielące fantastykę naukową od głównego nurtu. W opowiadaniach stosował często eksperymentalną stylistykę. Wiele utworów z lat sześćdziesiątych znalazło się w tomach: „Ellison Wonderland” (1962), „Paingod and Other Delusions” (1965), „I Have No Mouth and I Must Scream” (1967), „The Beast That Shouted Love at the Heart of the

World” (1969) i *„Alone Against Tomorrow”* (1962). *„Deathbird Stories”* (1975) to wybór pogodnych i mrocznych fantazji, cynicznych opowiadań przygodowych, alegorii SF i surrealistycznych paraboli, przedstawionych jako inwokacje do bogów. Sława buntownika pomogła Ellisonowi w zebraniu opowiadań do *„Niebezpiecznych wizji”* (1967) i *„Again, Dangerous Visions”* (1972), nagrodzonych antologii utworów jego kolegów po piórze, odrzuconych przez magazyny SF jako zbyt kontrowersyjne. Niektóre z jego najważniejszych utworów z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych weszły w skład zbiorów: *„Strange Wine”* (1978), *„Shatterday”* (1980), *„Angry Candy”* (1988) i *„Slippage”* (1997). Ponad tysięcznicowe wybory jego ważniejszych opowiadań i esejów noszą tytuły: *„The Essential Ellison: A 35 Year Retrospective”* (1987) i *„The Essential Ellison: A 50 Year Retrospective”* (2001). Ellison jest wielokrotnym laureatem nagród Hugo, Nebula, World Fantasy i Bram Stoker Award, a także nagradzanym autorem scenariuszy do seriali *„Po tamtej stronie”*, *„Star Trek”* i nowej *„Strefy mroku”*. *„I, Robot: The Illustrated Screenplay”* (1994, współautor: Isaac Asimov) to scenariusz nigdy niezrealizowanego filmu. Wydany w Polsce zestaw opowiadań nagrodzonych Hugonami i Nebulami nosi tytuł *„Ptak śmierci”* (2003). *„Mind Fields: The Art of Jacek Yerka, the Fiction of Harlan Ellison”* (1989) to ważne (nie tylko dla nas) polonicum. Jego zbiory *„The Glass Teat”* (1970), *„The Other Glass Teat”* (1975), *„An Edge in My Voice”* (1985) i *„Harlan Ellison’s Watching”* (1989) zawierają felietony i artykuły dotyczące filmu, telewizji i współczesnego społeczeństwa.

Zawsze są tacy, którzy pytają, po co to wszystko? Dla tych, którzy muszą pytać, dla tych, którzy potrzebują wyraźnych stwierdzeń, dla tych, którzy muszą wiedzieć „kto i co”, jest: *Tak więc zbiorowość*

ludzka służy państwu, przeważnie nie jako ludzie, lecz maszyny, swymi ciałami. Jest to wojsko zawodowe oraz oddziały obywatelskie, strażnicy więzienni, konstable, pospolite ruszenie itd. W większości przypadków nie mogą swobodnie wyrażać sądów ni ocen moralnych; znajdują się oni na jednym poziomie z drewnem, ziemią i kamieniami i być może istnieje możliwość wytwarzania drewnianych ludzi, którzy także posłużą temu celowi. Ci nie budzą więcej szacunku niż kukły ze słomy czy pecyna gliny. Należą oni do rodzaju posiadającego wartość jedynie w ten sposób, co konie i psy. A jednak tacy jak oni bywają nawet powszechnie szanowanymi dobrymi obywatelami. Inni - przeważnie prawodawcy, politycy, prawnicy, ministrowie i wysocy urzędnicy - służą państwu głównie umysłami i jako że rzadko dokonują osądów moralnych, równie dobrze mogą służyć Diabłu - nie zamierzając tego - jak Bogu. Bardzo nieliczni, jak bohaterzy, patrioci, męczennicy, reformatorzy w wyższym sensie oraz ludzie, służą państwu również swoim sumieniem i dlatego w nieunikniony sposób to oni się mu głównie sprzeciwiają i to ich państwo na ogół traktuje jak wrogów.

Henry David Thoreau, „Obywatelskie nieposłuszeństwo”

To jest sedno. Teraz zaczniemy od środka, a potem poznamy początek; koniec sam zadba o siebie.



Ale ponieważ był to akurat taki świat, akurat taki świat, któremu pozwolili zaistnieć, jego działalność całymi miesiącami nie docierała do zaniepokojonej świadomości Tych, Którzy Zapewniają Sprawne Funkcjonowanie Maszyny, tych, którzy smarują krzywki i sprężyny

kultury najlepszym masłem. Dopiero gdy stało się oczywiste, że jakoś, w jakiś sposób, stał się znakomitością, gwiazdą, może nawet bohaterem dla (jak w nieunikniony sposób nazwała to Biurokracja) „emocjonalnie upośledzonej części populacji”, zwrócili się do Tiktaka i jego prawnej maszynerii. Ale wtedy, ponieważ był to akurat taki świat, a oni nie mogli przewidzieć jego zaistnienia - być może w wyniku zarażenia chorobą od dawna wygasłą, a teraz nagle odrodzoną w organizmie, który zapomniał o odporności - pozwolono mu zaistnieć zbyt realnie. Teraz miał już formę i substancję.

Stał się indywidualnością, czymś, co przed wieloma dekadami wypłukali z organizmu. A jednak indywidualność zaistniała i on zaistniał, bardzo wyraźnie narzucająca się indywidualność. W pewnych kręgach - kręgach średniej klasy - uznano to za obrzydliwe. Wulgarnie ostentacyjne. Anarchistyczne. Haniebne. W innych tylko szydzono: warstwy, w których myśl podlega formie i rytuałowi, grzeczności, stosowności. Ale niżej, o! Niżej, gdzie ludzie zawsze potrzebują świętych i grzeszników, chleba i igrzysk, bohaterów i łotrów, uznano go za Bolivara - Napoleona - Robin Hooda - Dicka Bonga (Asa nad Asami) - Jezusa - Jomo Kenyattę.

A na samym szczycie - gdzie każde drgnienie i wibracja groziły strąceniem bogatych, potężnych i utytułowanych z wyżyn, niczym społecznie uznanych Shipwreck Kellych - traktowano go jako zagrożenie - heretyka - buntownika - hańbę - niebezpieczeństwo. Znano go wszędzie, od najmniejszych po największych, ale najważniejsze reakcje miały miejsce bardzo wysoko i bardzo nisko. Na samym szczycie i na samym dnie.

Więc akta oddano wraz z kartą czasu i kardiogramem do urzędu Tiktaka.

Tiktak: wzrostu bardzo dużo ponad metr osiemdziesiąt. Często milczący, łagodny, mrużący, kiedy sprawy szły zgodnie z ruchem

wskazówek. Tiktak.

Nawet w komórkach hierarchii, gdzie strach się tworzy, a rzadko się go doznaje, nazywano go Tiktakiem. Ale nigdy spoglądając mu prosto w maskę.

Nie nazywa się człowieka znieawidzonym imieniem, kiedy ten człowiek za maską jest zdolny unieważnić minuty, godziny, dni i noce, lata twojego życia. Patrząc mu prosto w maskę, nazywano go Wielkim Strażnikiem Czasu. Tak było bezpieczniej.

- To jest to, czym on jest - mówił Tiktak z prawdziwą łagodnością - lecz nie to, kim jest. Na jego karcie czasu, którą trzymam w lewej ręce, widnieje nazwa, ale to nazwa tego, czym jest, nie kim jest. Kardiotablica w mojej prawej dłoni także wymienia imię, ale to imię nazywa nie kogoś, tylko coś. Zanim będę mógł przeprowadzić prawidłowe unieważnienie, muszę wiedzieć, kto jest tym czymś.

Do swego personelu - wszystkich szpicli, kłoców, kabli, komów, nawet do minizów, zwrócił się:

- Kim jest Arlekin?

Nie mruczał aksamitnie. Tym razem był to szczęk.

Jednak było to najdłuższe przemówienie, jakie usłyszeli od niego za jednym razem - cały personel: szpicle, kłoce, kable, komy, ale nie minizowie, których zwykle nie było w pobliżu, przynajmniej o ile wiadomo. Ale nawet oni rozbiegli się, by się tego dowiedzieć.

Kim jest Arlekin?



Wysoko ponad trzecim poziomem miasta przykucnął na mrużącej, obramowanej aluminium platformie poduszkowca (phi! Poduszkowiec, rzeczywiście! Raczej ślizgacz z chałupniczo

dorobionym wysięgnikiem) i spojrzął w dół na schludny mondrianowski układ budynków.

Gdzieś w pobliżu słyszał metronomiczne: lewa - prawa - lewa zmiany z 14.47, wchodzącej w trampkach do fabryki łożysk Timkina. Dokładnie minutę później usłyszał cichsze prawa - lewa - prawa wracającego do domu oddziału z 5.00.

Jego opaloną twarz rozjaśnił elfi uśmiech, a w policzkach przez chwilę pojawiły się dołeczki. Potem, drapiąc się w grzywę kasztanowych włosów, wzruszył ramionami w pstrym stroju, jakby przygotowując się na to, co nastanie, przechylił dźwignię w przód i pochylił się pod naporem wiatru, gdy poduszkowiec zaczął opadać. Przemknął nad ruchomym chodnikiem, celowo opadając parę metrów, by zmiąć frędzle modnych pań i - włożywszy kciuki w duże uszy - wystawił język, przewrócił oczami i zatrzepotał palcami. Była to pomniejsza rozrywka. Jedna przechodząca pani potknęła się i zatoczyła, rozsypując pakunki, druga się zmoczyła, trzecia omdlała i słudzy automatycznie zatrzymali chodnik do czasu jej ocucenia. Była to pomniejsza rozrywka.

Potem zawrócił na zbłąkanym wietrzyku i zniknął. Hej, ho. Okrążając gzyms Budynku Badań nad Ruchem Czasu, ujrzał zmianę wchodzącą na chodnik. Wprawnymi ruchami, ograniczonymi do absolutnego minimum, przeszli bokiem na pas wolnego ruchu i (szeregiem przywodzącym na myśl film Busby Berkeleyya z przedpotopowych lat trzydziestych) strusim krokiem przemieścili się przez chodnik aż do pasa szybkiego ruchu.

Znowu pojawił się ten pełen oczekiwania elfi uśmiech i po lewej stronie, w głębi, ujawniła się szcerba w zębach. Arlekin zanurkował, prześliznął się i przeleciał nad nimi, a potem, chrzęszcząc po łodzi, zwolnił bolce zamykające ujścia własnoręcznie zmajstrowanych rynien i zabezpieczające ładunek przed przedwczesnym wysypaniem.

A kiedy wyciągnął bolce, jego pojazd przechylił się nad robotnikami i na pas szybkiego ruchu posypały się żelki za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Żelki! Miliony, miliardy fioletowych, żółtych, zielonych, lukrecjowych, winogronowych, malinowych, miętowych, okrągłych, gładkich, chrupiących na zewnątrz, płynnych w środku, ocukrzonych, kotłujących się, skaczących, sprężynujących, bębniących o głowy, ramiona, kaski i pancerze robotników Timkina, plaskających o chodnik i odbijających się, toczących pod nogami, wypełniających niebo wszystkimi kolorami radości, dzieciństwa i wakacji, padających jak miarowy deszcz, solidna ulewa, burza koloru i słodyczy z nieba, wdzierających się we wszechświat normalności i metronomicznego porządku całkowicie szaloną wariacką nowością. Żelki!

Robotnicy wyli i śmiali się pod tą ulewą, szeregi się rozsypały, a żelki zdołały się dostać w mechanizm ruchomych chodników, który wydał ohydny zgrzyt, jakby milion paznokci przesunęło się po ćwierci miliona tablic, potem było kaszlenie i parskanie, a potem wszystkie chodniki zatrzymały się i wszyscy rozsypali się wte i wewte, nadal śmiejąc się i wkładając do ust małe różnokolorowe żelki. To były wakacje, radość, absolutne szaleństwo, chichot. Ale...

Zmiana spóźniła się o siedem minut.

Przez siedem minut nie mogła wrócić do domu.

W głównym rozkładzie dnia nastąpiło siedmiominutowe opóźnienie.

Ogromne tłumy spóźniły się z powodu chodników nieczynnych przez siedem minut.

Arlekin przewrócił pierwszą kostkę domina, a pozostałe, jedna po drugiej, cyk - - cyk - cyk, zaczęły upadać.

System doznał siedmiominutowej przerwy. Małeńka sprawa, niewarta wzmianki, ale w społeczeństwie, gdzie jedyną siłą

napędową jest porządek, zjednoczenie, równość, dokładność, zegarmistrzowska precyzja i szacunek dla zegara, szacunek dla bogów upływu czasu, była to katastrofa o wielkim znaczeniu.

Dlatego Arlekinowi rozkazano się stawić u Tiktaka. Wiadomość nadano na wszystkich kanałach sieci komunikacyjnej. Rozkazano mu się zjawić na miejscu, o 7.00, ale to punkt. I czekali, czekali, tymczasem on pojawił się dopiero niemal wpół do jedenastej, kiedy to jedynie zaśpiewał piosenkę o świetle księżycyca w miejscu, o którym nikt nigdy nie słyszał, jakimś Vermoncie, i znowu zniknął. A oni wszyscy czekali od siódmej i to wszystko zmasakrowało ich plany dnia. Więc pozostało pytanie: kim jest ten Arlekin.

Ale pytanie niewypowiedziane (ważniejsze) brzmiało: jak znaleźliśmy się w sytuacji, gdzie roześmiany, nieodpowiedzialny, fiu bździu żartowniś zdołał zakłócić całe nasze życie ekonomiczne i kulturalne za pomocą żelków za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów...

Zelków, na Boga, żelków! To szaleństwo! Skąd wziął pieniądze na żelki za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów? (Wiedzieli, że musiały tyle kosztować, bo mieli grupę Analityków Sytuacji, zgranych z innej sprawy i zagnanych na miejsce wydarzenia przy chodnikach, by zmiotli i przeliczyli słodycze, i przedstawili wyniki, co zrujnowało ich grafiki i spowodowało co najmniej jednodniowe opóźnienie w ich całej filii). Żelki! Żel... ki? Sekundę - dokładnie sekundę - nikt już od ponad stu lat nie produkuje żelków. Skąd wziął żelki?

Oto następne trudne pytanie. Najprawdopodobniej nie uda się na nie odpowiedzieć w całkowicie satysfakcjonujący sposób. Ale na ile pytań można?



Środek już znacie. Oto początek. Jak się zaczyna:

BIURKO. DZIEŃ ZA DNIEM, I ZA DNIEM. 9.00 - OTWIERANIE KORESPONDENCJI. 9.45 - SPOTKANIE Z RADĄ KOMISJI PLANOWANIA. 10.30 - DYSKUSJA O PLANACH POSTĘPU INSTALACJI Z J. L. 11.45 - MODLIWA O DESZCZ. 12.00 - OBIAD I TAK TO LECI

- Przepraszam, panno Grant, ale porę rozmów ustalono na 14.30, a teraz już prawie piąta. Przykro mi, że się pani spóźniła, ale takie są zasady. Będzie pani musiała poczekać do następnego roku i znowu złożyć wniosek o przyjęcie do college'u. I tak to leci.

Osobowy 10.10 zatrzymuje się w Cresthaven, Galesville, Tonawanda Junction, Selby i Farnhurst, ale nie w Indiana City, Lucasville i Colton, z wyjątkiem niedziel. Ekspres 10.35 zatrzymuje się w Galesville, Selby i Indiana City, z wyjątkiem niedziel i dni świątecznych, kiedy to zatrzymuje się w... i tak to leci.

- Nie mogłem czekać, Fred, musiałem być u Pierre'a Cartaina o 3.00, a ciebie nie było, więc musiałem jechać. Zawsze się spóźniasz, Fred, gdybyś tam był, jakoś byśmy się zgadali, ale skoro tak, no cóż, sam zamówiłem... i tak to leci.

Drodzy państwo Atterley: w związku ze stałą opieszałością waszego syna Geralda niestety musimy zawiesić go w prawach ucznia, o ile nie ustalimy bardziej godnej zaufania metody gwarantującej jego punktualne przybywanie na zajęcia. Co prawda jest on wzorowym uczniem, a jego oceny są bardzo dobre, niemniej nieustanne zakłócanie przez niego rozkładu dnia tej szkoły sprawia, że niepraktyczne jest zatrzymanie go w systemie, gdzie inne dzieci

wydają się zdolne do dotarcia na czas i tak to leci.

NIE MOŻESZ GŁOSOWAĆ JEŚLI NIE PRZYBĘDZIESZ O 8.45

- Nie obchodzi mnie, czy ten scenariusz jest dobry. Ma być na czwartek!

KONIEC DOBY HOTELOWEJ O 14.00

- Spóźniłeś się. Praca już zajęta. Przykro mi.

Z TWOJEJ PENSJI POTRĄCONO ZA DWADZIEŚCIA STRACONYCH MINUT

- Boże, która to godzina, muszę lecieć!

I tak to leci. I tak to leci. I tak to leci. I tak to leci leci leci leci leci tik tak tik tak tik tak i pewnego dnia czas już nam nie służy, my służymy czasowi, jesteśmy niewolnikami planu dnia, czcicielami drogi słońca, przykutymi do życia opartego na restrykcjach, bo system nie będzie funkcjonować, jeśli dokładnie nie wykonamy planu.

Aż spóźnienie przestaje być drobną niewygodą. Staje się grzechem. Potem zbrodnią. Potem zbrodnią karaną następująco:

WCHODZI W ŻYCIE Z DNIEM 15 LIPCA 2389. Urząd Wielkiego Strażnika Czasu zarządza, by do północy 12.00.00 wszyscy obywatele przedłożyli swoje karty czasowe i kardiotalblice w celu przetwarzania danych. Na mocy Ustawy 555-7-SGH-999 dotyczącej unieważniania czasu dla jednostek, wszystkie kardiotalblice zostaną dostrojone do indywidualnego posiadacza i...

Oto co zrobili: opracowali metodę skracania długości życia przewidzianego dla danej osoby. Jeśli ktoś spóźnił się dziesięć minut, tracił dziesięć minut życia. Godzina była warta proporcjonalnie większego unieważnienia. Jeśli ktoś notorycznie się spóźniał, mógł jakiegoś niedzielnego wieczora otrzymać komunikat od Wielkiego Strażnika Czasu, że jego czas się skończył i w samo południe w poniedziałek zostanie „wyłączony”, proszę uporządkować swoje sprawy, drogi panie, pani lub osobo obupłciowa.

I tak, dzięki temu prostemu naukowemu sposobowi (wykorzystującemu proces naukowy, strzeżony jak źrenica oka przez urząd Tiktaka) System trwał. Bardzo to stosowne. Właściwie patriotyczne. Trzeba wypełniać plan. Przecież jest wojna!

Ale kiedy jej nie ma?



- No, to już naprawdę obrzydliwe - powiedział Arlekin, kiedy Śliczna Alicja pokazała mu list gończy. - Obrzydliwe i wysoce niestosowne. To przecież nie jest Dzień Desperado. List gończy?

- Wiesz - zauważyła Śliczna Alicja - mówisz w bardzo sztuczny sposób.

- Przepraszam - powiedział pokornie Arlekin.

- Nie przepraszaj. Zawsze przepraszasz. Jesteś chodzącym poczuciem winy, Everett. To naprawdę bardzo smutne.

- Przepraszam - powiedział znowu i wydał usta, tak że przez chwilę w policzkach pojawiły mu się dołeczki. Wcale nie chciał tego powiedzieć. - Muszę znowu wyjść. Muszę coś zrobić.

Śliczna Alicja trzasnęła bańką z kawą o blat.

- Na Boga, Everett, nie możesz zostać w domu choć przez jeden

wieczór? Musisz ciągle wychodzić w tym upiornym błazeńskim stroju, latać i drażnić ludzi?

- Ja... - urwał i z cichym brzękiem dzwoneczków wbił kapelusz trefnisia na kasztanową czuprynę. Wstał, opłukał swoją bańkę i na chwilę włożył ją do suszarki. - Muszę iść.

Nie odpowiedziała. Faks zamruczał, a ona wyciągnęła kartkę, przeczytała ją i rzuciła na stół.

- O tobie. Oczywiście. Jesteś śmieszny.

Przeczytał szybko. Chodziło o to, że Tiktak usiłuje go zlokalizować. Nie obchodziło go, znowu się spóźni. W drzwiach, sunąc na pas wyjściowy, rzucił naburmuszony:

- A ty też mówisz sztucznie!

Śliczna Alicja wzniosła oczy ku niebu.

- Jesteś śmieszny.

Arlekin wypadł z mieszkania, trzaskając drzwiami, które zamknęły się z cichym westchnieniem i zaryglowały.

Rozległo się ciche pukanie. Śliczna Alicja wstała z sykiem desperacji i otworzyła drzwi. Na zewnątrz stał on.

- Wrócę koło wpół do jedenastej, dobrze?

Spochmurniała.

- Po co mi to mówisz? Dlaczego? Wiesz, że się spóźnisz! Wiesz o tym! Zawsze się spóźniasz, więc dlaczego mówisz mi te głupoty?

Zamknęła drzwi.

Po drugiej stronie Arlekin pokiwał głową w milczeniu. Miała rację. Zawsze ma rację. Spóźnię się. Zawsze się spóźniam. Dlaczego mówię jej te głupoty? Znowu wzruszył ramionami i odszedł, by jeszcze raz się spóźnić.



Odpalił rakiety z petardami, które ułożyły się w napis: przybędę na 15. Doroczne Międzynarodowe Wezwanie Stowarzyszenia Medycznego dokładnie o 20.00. Mam nadzieję, że wszyscy zdołacie do mnie dołączyć.

Słowa paliły się na niebie i oczywiście policja też tam była, zaczajona na niego. Naturalnie założyli, że się spóźni. Przybył dwadzieścia minut przed czasem, kiedy jeszcze rozciągali pajęczyny, w które mieli go złapać. Wrzasnął przez wielki megafon, co ich przeraziło i wytrąciło z równowagi, nawilżone sieci otaczające zassały się wokół nich i oto znaleźli się, wierzgający i wrzeszczący, wysoko nad sceną amfiteatru. Arlekin zanosił się śmiechem i ciągle przeproszał. Lekarze, poważne tłumne zgromadzenie, ryczele ze śmiechu, odpowiadali na przeprosiny Arlekina przesadnymi ukłonami i pozami i zabawa była przednia dla wszystkich, którzy uważali, że Arlekin to regularny błazen w śmiesznych spodniach, czyli wszystkich z wyjątkiem policjantów, których przysłał tu urząd Tiktaka; ci wisieli jak portowe cargo, wywindowani nad scenę amfiteatru w najbardziej niestosowny sposób.

W innej dzielnicy tego samego miasta, gdzie Arlekin prowadził swoją „działalność” - co kompletnie i pod każdym względem nie ma związku z tym, co nas tutaj interesuje, oprócz faktu, że stanowi przykład potęgi i wpływu Tiktaka, niejaki Marshall Delahanty otrzymał z urzędu Tiktaka powiadomienie o wyłączeniu. Jego żona otrzymała dokument od odzianego w szary garnitur miniz, który przybył z tradycyjnym „wyrazem ubolewania” przyklejonym ohydnie do twarzy. Wiedziała, co to jest, nawet nie otwierając wiadomości. W tych czasach był to miłosny liścik rozpoznawany natychmiast i przez wszystkich. Jęknęła, ujęła go jak szkiełko podstawowe z botuliną i zaczęła się modlić, żeby nie był dla niej.

Niech będzie dla Marsha, pomyślała brutalnie, realistycznie, albo dla któregoś dziecka, ale nie dla mnie, proszę, dobry Boże, nie dla mnie. Potem otworzyła i rzeczywiście był dla Marsha, a ją jednocześnie przejęła zgroza i ulga. Kula trafiła żołnierza obok.

- Marshall! - krzyknęła. - Marshall! Wypowiedzenie! Oboże, Marshall, coeraz, coeraz będzie, Marshall, obożemarshall...

I tej nocy ich dom wypełnił dźwięk dartego papieru i strach, i smród szaleństwa uniósł się przez komin i nie było nic, absolutnie nic, na co mogliby poradzić.

Mimo to Marshall Delahanty usiłował uciec. I następnego dnia, wcześniej, kiedy nadeszła pora wyłączenia, był już w głębi kanadyjskiej puszczy trzysta kilometrów dalej, a urząd Tiktaka skasował jego kardiotablicę i Marshall Delahanty zatoczył się w biegu, jego serce stanęło, krew spiesząca do mózgu wyschła, a on umarł i tyle. Na mapie sektorowej w urzędzie Wielkiego Strażnika Czasu zgasło jedno światełko, powiadomienie zostało powielone faksem, a nazwisko Georgette Delahanty zostało umieszczone na żałobnej liście do czasu, kiedy będzie mogła ponownie wyjść za mąż. I to jest koniec tego odnośnika oraz wszystkich stwierdzeń, tylko się nie śmiejcie, bo to właśnie przydarzy się Arlekinowi, jeśli Tiktak kiedykolwiek pozna jego prawdziwe nazwisko. To nie jest śmieszne.



Zakupowy poziom miasta tętnił czwartkowymi kolorami kupujących. Kobiety w kanarkowożółtych chitonach i mężczyźni w pseudotyrolskich strojach, jadeitowozielonych, skórzanych i bardzo obcisłych z wyjątkiem szerokich spodenek.

Kiedy Arlekin pojawił się na nadal będącej w budowie półce

nowego centrum Handlowego Skuteczność, z megafonem przy roześmianych ustach elfa, wszyscy zaczęli go sobie pokazywać i gapić się na niego, a on ich ganił:

- Dlaczego pozwalacie im sobą rządzić? Dlaczego pozwalacie, by wam rozkazywali spieszyć się i biegać jak armia mrówek lub gąsienic? Nie spieszcie się! Przez chwilę zwolnijcie kroku! Radujcie się słońcem, radujcie się wiatrem, niech życie niesie was w waszym tempie! Nie bądźcie niewolnikami czasu, to drański sposób umierania, powolnego, stopniowego... precz z Tiktakiem!

Kim jest ten szaleniec, dopytywała się większość klientów. Kim jest ten wariat, ojej, no to hej, zaraz się spóźnię, muszę lecieć...

I ekipa budowlana z Centrum Handlowego otrzymała pilny rozkaz z Urzędu Wielkiego Strażnika Czasu, że niebezpieczny przestępca, znany jako Arlekin, znajduje się na szczycie ich wieży i do jego pojmania jest pilnie potrzebna ich pomoc. Ekipa odmówiła, bo opóźniłaby się z planem, ale Tiktak zdołał pociągnąć za właściwe nitki w rządowej sieci i powiedziano im, żeby zostawili pracę i złapali tego łobuza z wieży, tego z megafonem. Więc ponad tuzin osiłeków zaczęło się wspinać na platformy budowlane, uwolnili talerze a-graw i unieśli się ku Arlekinowi.



Po sromotnej ucieczce (w której, dzięki trosce Arlekina, nikt nie odniósł poważnych obrażeń) robotnicy usiłowali się przegrupować i znowu zaatakować, ale było za późno. Zniknął. Przyciągnął jednak spory tłum i cykl kupowania odwlekał się o wiele godzin, po prostu godzin. Z tego powodu pojawiły się opóźnienia w potrzebach nabywczych Systemu, więc przedsięwzięto środki, by przyspieszyć

cykl do końca dnia, ale ciągle utykał i przyspieszał, i sprzedano zbyt wiele wentyli pływaków, a o wiele za mało wegglerów, co znaczyło, że osobowskażnik się obniżył, przez co konieczne stało się pospieszne wysyłanie licznych skrzynek psującego się smash-o do sklepów, które zazwyczaj potrzebowały zaledwie skrzynki na trzy lub cztery godziny. Towary się mieszały, mylono trasy przeładunkowe i w końcu odczuły to nawet fabryki ślizgaczy.



- Nie wracajcie bez niego! - powiedział Tiktak, bardzo cicho, bardzo szczerze, wyjątkowo groźnie.

Posłużyli się psami. Posłużyli się sondami. Posłużyli się porównaniami kardiotablic. Posłużyli się tropicielami. Posłużyli się łapówkami. Posłużyli się przyklejkami. Posłużyli się zastraszaniem. Posłużyli się strachem. Posłużyli się torturami. Posłużyli się kablami. Posłużyli się gliniarzami. Posłużyli się rewizją i zatrzymaniem. Posłużyli się fallaronem. Posłużyli się argumentem o lepszym jutrze. Posłużyli się odciskami palców. Posłużyli się metodą Bertillona. Posłużyli się przebiegłością. Posłużyli się podstępem. Posłużyli się zdradą. Posłużyli się Raoulem Mitgongem, ale nie na wiele się przydał. Posłużyli się fizyką stosowaną. Posłużyli się technikami kryminologicznymi.

No i co w końcu: złapali go.

W końcu nazywał się Everett C. Marm i w ogóle nie był nikim takim, tylko kimś, kto nie ma poczucia czasu.



- Kajaj się, Arlekinie! - powiedział Tiktak.

- Wypchaj się - odparł szyderczo Arlekin.

- Spóźniłeś się w sumie o sześćdziesiąt trzy lata, pięć miesięcy, trzy tygodnie, dwa dni, dwanaście godzin, czterdzieści jeden minut, pięćdziesiąt dziewięć sekund, jeden przecinek trzy sześć jeden jeden jeden mikrosekund. Zużyłeś wszystko, co mogłeś, i jeszcze więcej. Teraz cię wyłączę.

- Postraszyć kogoś innego. Wolę umrzeć niż żyć w głupim świecie z takimi straszidłami jak ty.

- To moja praca.

- A jakże. Jesteś tyranem. Nie masz prawa pomiatać ludźmi i zabijać ich, jeśli się spóźnią.

- Nie potrafisz się dostosować. Jesteś niedopasowany.

- Rozwiąż mnie, to dopasuję moją pięść do twojej gęby.

- Jesteś nonkonformistą.

- Kiedyś to nie było przestępstwem.

- Teraz jest. Żyjesz w świecie, który cię otacza.

- Nienawidzę go. To straszny świat.

- Nie wszyscy tak uważają. Ludzie na ogół lubią rozkazy.

- Ja nie, podobnie jak większość znanych mi ludzi.

- To nieprawda. Jak sądzisz, jak cię złapaliśmy?

- To mnie nie interesuje.

- Dziewczyna imieniem Śliczna Alicja powiedziała nam, kim jesteś.

- To kłamstwo.

- To prawda. Chce przynależności. Chce konformizmu. Teraz cię wyłączę.

- Więc to zrób i przestań się ze mną sprzeczać.

- Nie wyłączę cię.

- Jesteś idiotą!

- Kajaj się, Arlekinie! - powiedział Tiktak.
- Wypchaj się.



Więc zesłali go do Coventry. A w Coventry go przerobili. Tak, jak Winstona Smitha z „1984”, czyli książki, której żaden z nich nie znał, ale te metody są naprawdę bardzo stare i zastosowali je na Everecie C. Marmie. I pewnego dnia, sporo później, Arlekin pojawił się w sieci komunikacyjnej, podobny do elfa, z dołeczkami i rozpromienionymi oczami, i wcale nie miał prania mózgu, i powiedział, że się mylił, że dobrze, a nawet bardzo dobrze jest przynależeć, być punktualnym, bądźmy na czas, pozdrawiam was, i wszyscy gapili się na niego na publicznych ekranach, które pokrywały całą dzielnicę i mówili sobie, no, proszę, więc to jednak był wariat, a jeśli tak kierowany jest system, to już niech tak będzie, bo nie opłaca się walczyć z władzami miasta, albo - w tym wypadku - z Tiktakiem. I tak Everett C. Marm został zniszczony, co było stratą ze względu na to, co powiedział kiedyś Thoreau, ale nie można zrobić omleta, nie rozbijając paru jajek, a w każdej rewolucji ginie paru takich, którzy nie powinni, ale musieli, bo tak to już jest, a jeśli dokonasz chociaż małej zmiany, to chyba warto było. Albo żeby przedstawić sprawę całkiem jasno:



- Ee... przepraszam pana, ee... nie wiem, jak... eee... jak eee... to panu powiedzieć, ale spóźnił się pan trzy minuty. Plan dnia jest nieco eee... nieco opóźniony.

Uśmiechnął się z zawstydzeniem.

- To śmieszne - mruknął Tiktak zza maski. - Sprawdź zegarek.

I poszedł do swojego gabinetu, mrużąc mrmii, mrmii, mrmii, mrmii.

Przełożyła Maciejka Mazan

R. A. Lafferty

MATKA EUREMY

Ekscentryczne, oburzające, pełne dziwacznych postaci, wydarzeń i tajemniczości, niekonwencjonalne stylistycznie opowiadania R. A. Lafferty'ego (1914-2002) w równym stopniu są w stylu mitów, jak i fantasy oraz SF Lafferty debiutował w 1960r.; stał się wybitną postacią obrazoburczą Nowej Fali w SF. Jego prowokacyjne wariacje na temat standardowych tematów literatury SF i fantasy stały się równie atrakcyjne dla czytelników głównego nurtu. Operujący nieokiełznaną stylistyką Lafferty wypełnia swoje teksty aluzjami i grami słów, które tworzą dziwaczne związki między zupełnie rozbieżnymi elementami. Styl jego powieści jest równie awanturniczy, znajdziemy tam kazania, zagadki, błazenady, epigramy, cytaty z wyimaginowanych dzieł naukowych i podręczników. Lafferty poruszał tematy od nadprzyrodzonych spisków po skażone złem dzieci, niebiańskich rewolucjonistów, wierzenia Indian, utopię, demony i miłość cielesną. W swoich powieściach lubił tworzyć współczesne wersje klasycznych mitów i legend. „Space Chantey” (1968) to zasadniczy wątek „Odysei” Homera osadzony w przedziwnej i zwariowanej space operze. W cyklu „Argo” - obejmującym „Archipelago” (1979), „The Devil is Dead” (1971) i „Episodes of the Argo” - Jazon i Argonauci odradzają się jako żołnierze oddziału z drugiej wojny światowej. We „Władcy przeszłości” (1968) sir Thomas More zostaje przeniesiony w czasie i przestrzeni na planetę

Astrobe, gdzie pada ofiarą intryg politycznych i staje przed perspektywą nieuniknionej śmierci męczennika. Fascynacja Lafferty'ego religijnymi archetypami i walką (a czasami porozumieniem) dobra ze złem nadaje większości jego utworów charakter mityczny. Jego opowiadania znalazły się w zbiorach „Nine Hundred Grandmothers” (1970), „Strange Doings” (1972), „Does Anyone Else Have Something Further to Add” (1974), „Golden Gate and Other Stories” (1982), „Through Elegant Eyes” (1983), „Ringing Changes” (1984), „Lafferty in Orbit” (1991), „Iron Tears” (1992) i wielu innych. Wśród jego powieści znajdują się „The Reefs of Earth” (1968), „Czwarta czynszówka” (1969), „Arrive at Easterwine” (1971), „The Annals of Klepsis” (1983). Lafferty pisał powieści historyczne (nierzadko z domieszką fantazji): „The Fall of Rome” (1971, inny tytuł - „Alaric: The Day the World Ended”), „The Coscuin Chronicles” („The Flame is Green”, 1971, „Half a Sky”, 1984), „Okla Hannali” (1972). Jest także autorem tomu esejów na temat literatury fantastycznej: „It's Down the Slippery Cellar Stairs” (1984). Wywiady, których udzielił, zostały zebrane w tomie „Cranky Old Man from Tulsa” (1990).

Był chyba ostatnim...

Kim? Ostatnim z wielkich indywidualistów? Ostatnim z prawdziwie twórczych geniuszy stulecia? Ostatnim z autentycznych prekursorów? Nie. Nie. Był ostatnim idiotą.

Kiedy przyszedł na świat, wszędzie rodziły się mądrzejsze dzieci i tak już miało pozostać. A on był chyba ostatnim kretynem, który przyszedł na świat.

Nawet jego matka musiała przyznać, że Albert jest matołkiem. Jak bowiem inaczej nazwać chłopca, który nie mówił aż do czwartego roku życia, nie nauczył się posługiwać łyżką do szóstego, a z gałką u

drzwi nie potrafił sobie poradzić do ósmego? Co innego można powiedzieć o kimś, kto zakłada buty na niewłaściwe nogi i cierpi, chodząc? I komu trzeba mówić o zamknięciu buzi po ziewaniu?

Niektóre sprawy zawsze będą dla niego za trudne - na przykład to, czy godziny wskazuje duża, czy mała wskazówka. Ale to akurat nieważne. Jego nigdy nie obchodziło, która jest godzina.

Potem, w połowie dziewiątego roku życia, Albert przeżył przełom - zaczął odróżniać prawą rękę od lewej, a dokonał tego dzięki najbardziej idiotycznym mnemotechnicznym wierszykom, jakie kiedykolwiek wymyślono. Chodziło o jakiegoś psa, który się obraca, zanim się położy, o kierunek wodnych wirów i huraganów, o stronę, od której doi się krowy i wsiada na konie, o kierunek wirowania liści dębu i jaworu, o labiryntowe wzory mchu na kamieniu i drzewie, o łupliwość wapienia, kierunek, w którym kołuje jastrząb, poluje dzierzba i wiję się wąż (pamiętając, że wyjątek stanowi legwan obroźny, a to przecież nie wąż), położenie liści cedru i niecierpka, zakręty nor skunksów i borsuków (pamiętając wyraziście, że skunksy czasami wykorzystują stare borsucze nory). No więc Albert w końcu nauczył się odróżniać prawe od lewego, tyle że spostrzegawczy chłopiec nauczyłby się tego bez wszystkich tych bzdur.

Albert nigdy nie nauczył się pisać wyraźnie. Żeby się jakoś wykpić w szkole, oszukiwał. Po prostu z rowerowego szybkościomierza, miniaturowego silniczka, dziwnych maleńkich kamer i baterii ukradzionych z aparatu słuchowego ojca zbudował maszynę, która za niego pisała. Była maleńka jak robaczek i można ją było nakładać na pióro lub ołówek, więc Albert bez trudu zakrywał ją palcami. Przepięknie kaligrafowała litery, bo ustawił kamery na kopiowanie modelu z podręcznika. Poszczególne litery wystukiwał na klawiszach cienkich jak kocie wąsy. Oczywiście, to dość chytre, ale co innego można zrobić, kiedy jest się zbyt wielkim idiotą, żeby się nauczyć

pryzwoicie pisać?

Albert w ogóle nie umiał też liczyć. Musiał liczyć na inną maszynę, która liczyła za niego. Było to coś wielkości dłoni, co umiało dodawać, odejmować, dzielić i mnożyć. W następnym roku, kiedy poszedł do dziewiątej klasy, zaczęli go uczyć algebry, musiał więc dodać przełącznik, który nasadził na koniec tego swojego gadżetu, żeby obliczać równania kwadratowe i równoważne. Gdyby nie te oszustwa, Albert w ogóle nie dostałby w szkole żadnych ocen.



Kiedy skończył piętnaście lat, napotkał jeszcze jedną trudność. Ludzie, to mało powiedziane. To wymaga mocniejszego słowa niż „trudność”. „Strach”. Albert bał się dziewczyn.

Co robić?

- Zbuduję sobie maszynę, która się nie boi dziewczyn - powiedział Albert.

I od razu zabrał się do roboty. Prawie skończył, kiedy coś mu przyszło do głowy: „Przecież żadna maszyna nie boi się dziewczyn. W czym mi więc pomoże?”. Logika była bezradna, analogie zawiodły. Zrobił więc tak, jak zawsze. Uciekł się do oszustwa. Ze starej pianoli stojącej na strychu wyjął rolki, znalazł też skrzynię biegów na chodzie, zamiast taśmy perforowanej wykorzystał magnetyczne arkusze, wprowadził do matrycy podręcznik logiki i już miał maszynę logiczną, która potrafiła odpowiadać na pytania.

- Co mi jest, że się boję dziewczyn? - zapytał Albert swoją maszynę logiczną.

- Nic ci nie jest - odpowiedziała. - To logiczne, że się boisz. Mnie też się wydają dość straszne.

- Ale co mogę z tym zrobić?

- Poczekaj na odpowiednią porę i okoliczności. Trochę to potrwa, rzecz jasna. Chyba że chcesz oszukiwać...

- Tak, tak, co wtedy?

- Zbuduj maszynę, która będzie wyglądała jak ty, Albercie, i będzie mówiła jak ty. Ale musi być mądrzejsza od ciebie i nie może się wstydzić. I jeszcze jedno, Albercie, włóż do niej pewną szczególną rzecz, na wypadek, gdyby sytuacja się skomplikowała. Wyjawię ci to szeptem. To niebezpieczne.

I tak Albert zrobił Małego Danny'ego, manekin, który wyglądał jak on i mówił jak on, ale był mądrzejszy i nie wstydził się. Włożył do niego wszystkie dowcipy z „Maratonu uśmiechu” i „Śmiechu warte” i byli gotowi.

Albert i Mały Danny wpadli do Alice.

- Ależ on cudowny - powiedziała Alice. - Dlaczego ty nie możesz być taki, Albercie? Aleś ty cudowny, Mały Danny. Dlaczego musisz być taki głupi, Albercie, skoro Mały Danny jest taki cudowny?

- Aaa... eee... nie wiem - powiedział Albert. - E... e... e...

- Jakby ryba miała czkawkę - odezwał się Mały Danny.

- Rzeczywiście, Albercie, rzeczywiście! - zawołała Alice. - Dlaczego nie mówisz takich mądrych rzeczy jak Mały Danny? Dlaczego jesteś taki głupi?

Nie za dobrze to wyszło, ale Albert nie rezygnował. Zaprogramował Danny'ego na grę na ukulele i śpiew. Żałował, że nie potrafi zaprogramować siebie. Alice uwielbiała Małego Danny'ego bez reszty, a na Alberta nie zwracała uwagi. I pewnego dnia Albert miał dość.

- Po... po... po co nam ta kukła? - spytał. - Zrobiłem go, żeby cię rozś... rozmie... żebyś się śmiała. Wyjdźmy, zostawmy go.

- Wyjść z tobą, Albercie? - spytała Alice. - Przecież jesteś głupi!

Posłuchaj więc: „Wyjdźmy razem i zostawmy Alberta, Mały Danny. Weselej nam będzie bez niego”.

- Komu on potrzebny? - dodał Mały Danny. - Spadaj, bracie.

I Albert odszedł. Cieszył się, że posłuchał rady logicznej maszyny i wbudował w małego Danny'ego tę szczególną rzecz. Zrobił pięćdziesiąt kroków. Sto.

- Wystarczy - powiedział i wcisnął guzik w kieszeni.

Nikt z wyjątkiem Alberta i jego logicznej maszyny nie dowiedział się nigdy, co to był za wybuch. Wkrótce potem małe kółeczka z Małego Danny'ego i strzępki Alice spadły z nieba, ale nie wystarczyło ich, żeby dokonać identyfikacji.

Albert nauczył się jednego od swojej logicznej maszyny - nigdy nie konstruuje czegoś, czego nie umie zdekonstruować.

No i w końcu Albert wyrósł na mężczyznę - w każdym razie pod względem wieku, chociaż zawsze miał w sobie coś z bardzo niezdarnego nastolatka. A przecież stoczył własną wojnę z prawdziwymi nastolatkami i pokonał ich. Na zawsze jednak miała pozostać między nimi wrogość. Albert nigdy nie był typowym nastolatkiem i nie znośił o tym wspominać. I nikt by go też nigdy nie wziął za typowego mężczyznę.

Albert był zbyt niezdarny, żeby zarabiać na życie uczciwym handlem, skończyło się więc na wciskaniu sztuczek i wynalazków nieuczciwym prawnikom i przedsiębiorcom. Ale prawdą jest, że zyskał sobie pewną sławę i prawdą jest także, że zaczął sypiać na pieniądzach.

Był zbyt głupi, żeby zarządzać własnymi finansami, ale zbudował maszynę ubezpieczeniową, która przeprowadzała za niego wszelkie operacje i przypadkowo stał się bogaty. Za dobrze mu wyszła ta przeklęta maszyna i żałował tego.

Tak więc Albert dołączył do tajnego stowarzyszenia ludzi, którzy

sprawadzili na nas wszystkie nieszczęścia w historii. Był w nim Kartagińczyk, który nie potrafił się nauczyć bogatego wyboru hieroglifów i opracował okaleczony, krótki alfabet dla półgłówków. Był też bezimienny Arab, który umiał liczyć tylko do dziesięciu i opracował system dziesiętny, akurat dla dzieci i idiotów. Był też latający Holender ze swoimi ruchomymi czcionkami, który skazał szlachetne przepisywanie na wygnanie. Do tego żałosnego towarzystwa należał i Albert.

Sam Albert do niczego się nie nadawał, ale miał ten prymitywny dryg do konstruowania maszyn dobrych we wszystkim.

Jego maszyny coś tam osiągnęły. Pamiętacie, że niegdyś w miastach był smog. Przecież to nic trudnego oczyścić powietrze. Potrzebny był tylko odkurzacz. I Albert zrobił odkurzającą maszynę. Co rano włączał ją. Oczyszczała powietrze w promieniu trzystu jardów i co dwadzieścia cztery godziny gromadziła ponad tonę osadów. Osady te były bogate w wielkie, wielosylabowe molekuły, które wykorzystywała jedna z jego chemicznych maszyn.

- Dlaczego nie oczyścisz całego powietrza? - spytali go ludzie.

- Tylko tyle codziennie potrzebuje Clarence Dezoksyrybonukleikonibus - odpowiedział Albert. Tak nazywała się ta jego chemiczna maszyna.

- Ale ten smog nas zabije - powiedzieli ludzie. - Zlituj się nad nami.

- No to dobra - odpowiedział Albert i przekazał sprawę jednej ze swoich powielających maszyn, żeby zrobiła tyle kopii, ile trzeba.



Pamiętacie, że kiedyś istniał problem z nastolatkami? Pamiętacie, jak wredne potrafiły być te małe padalce? Mieli w sobie jakąś

niezdarność, która za bardzo przypominała mu jego samego. Zrobił więc własnego nastolatka. Był prymitywny. Pozornie wyglądał jak jeden z nich - kolczyk w lewym uchu, dyndające kłaki, mosiężny kastet i długi nóż, sprzęt na wysoki połysk, że aż po oczach bije. Ale był bez porównania bardziej agresywny niż prawdziwi nastolatki. Sterroryzował wszystkich w okolicy i zmusił, żeby się przyzwoicie zachowywali i ubierali jak normalni ludzie. Ta nastoletnia maszyna wyróżniała się czymś jeszcze: była zrobiona z tak spolaryzowanego metalu i szkła, że potrafiły ją dostrzec tylko nastoletnie oczy.

- Dlaczego w twojej okolicy jest inaczej? - pytano Alberta. - Dlaczego w twojej okolicy mieszkają tacy grzeczni, uprzejmi młodzi ludzie, a wszędzie indziej chuligani? Zupełnie jakby ktoś ich wystraszył.

- A, bo myślałem, że tylko ja nie lubię tych normalnych nastolatków - powiedział Albert.

- Och, nie, nie - odpowiedzieli ludzie. - Jeśli tylko możesz z nimi coś zrobić...

Więc Albert przekazał swoją na ogół niewidzialną nastoletnią maszynę maszynie powielającej, żeby zrobiła tyle kopii, ile będzie trzeba, i w każdej dzielnicy umieścił po jednej. Od tego dnia aż do dziś młodzi są grzeczni, uprzejmi i minimalnie wystraszeni. Ale nie ma żadnych dowodów, co ich do tego skłania, może z wyjątkiem jakiegoś oka, incydentalnie dyndającego tu i tam po ciosie niewidzialnego sprzętu na wysoki połysk.

I tak zostały rozwiązane dwa największe problemy schyłku dwudziestego wieku, ale tylko przypadkiem i nikomu się chwała za to nie należy.



Lata płynęły, a Albert najsilniej odczuwał swoją niższość w towarzystwie własnych maszyn, zwłaszcza tych mających ludzką postać. Nie miał ich obycia, iskry bożej ani rozumu. Wyglądał przy nich jak kloc i tak też się czuł.

Bo dlaczego nie? Jedna z jego maszyn zasiadała w prezydenckim gabinecie, druga należała do Najwyższej Rady Światowych Obserwatorów, dbającej o powszechny pokój. Kolejna przewodniczyła Bogactwom z Nieograniczoną Odpowiedzialnością, temu prywatno-publiczno-międzynarodowemu tworowi gwarantującemu wszystkim na świecie bogactwo w granicach rozsądku. Jeszcze jedna była w kierownictwie Fundacji Zdrowia i Długowieczności, zapewniającej je wszystkim na świecie. Czy tak wspaniałe maszyny sukcesu mogły nie pogardzać tym marnym wujem, który stworzył?

- Przez dziwny splot okoliczności stałem się bogaty - powiedział do siebie pewnego dnia Albert - i szanowany przez pomyłkę losu, ale ani jeden człowiek, ani maszyna na całym świecie nie jest moim przyjacielem. Ta książka uczy, jak zdobyć przyjaciół, ale mnie to nie wychodzi. Więc zrobię to na swój sposób.

I Albert zabrał się do zdobywania przyjaciela.

Zrobił Biednego Charłesa, maszynę równie głupią, niezdarną i nieporadną jak on sam.

- Teraz będę miał towarzysza - powiedział.

Ale nic z tego nie wyszło. Zero plus zero dalej daje zero. Biedny Charles za bardzo przypominał Alberta, żeby się do czegoś nadawać. Biedny Charles! Nie potrafił myśleć, więc zrobił... (zaraz, moment, jedna chwila dla debila, w tę stronę to nie pójdzie)...zrobił maszy... (co, przeżyjmy to jeszcze raz?)...zrobił maszynę, która za niego myślała i...

Stać, stać! wystarczy. Biedny Charles był jedyną zbudowaną przez Alberta maszyną na tyle głupią, żeby wpaść na coś takiego.

A więc maszyna Biednego Charlesa, jakkolwiek by ją nazwać, zapanowała nad sytuacją i Biednym Charlesem. Kiedy Albert przypadkiem ich zaskoczył, maszyna maszyny - przyrząd, który Biedny Charles skonstruował, żeby się nim wyręczyć w myśleniu - właśnie urągała Charlesowi w bardzo upokarzający sposób.

- Tylko nieistotni i wadliwi robią wynalazki - brzęczała cholerna maszyna. - Grecy w swoim najlepszym okresie nie dokonywali wynalazków. Nie korzystali ani z sił pomocniczych, ani z przyrządów. Wykorzystywali, co zawsze będą robić inteligentni ludzie lub maszyny, niewolników. Nie zniżali się do gadżetów. Ci, którym rzeczy trudne przychodziły z łatwością, nie szukali łatwego wyjścia. To niekompetentni robią wynalazki. Nieudani robią wynalazki. Zdeprawowani robią wynalazki. I niegodziwcy robią wynalazki.

W porywie gniewu Albert zabił ich obu. Ale wiedział, że maszyna jego maszyny powiedziała prawdę.

Albert był bardzo przygnębiony. Ktoś bardziej inteligentny już by miał przecucie, co tu jest nie tak. A on przeczuwał tylko, że przeczuwanie mu coś nie idzie. Nie widząc innego wyjścia, stworzył maszynę i nazwał ją Przeczuwackiem.

Pod wieloma względami była to najgorsza maszyna, jaką stworzył. Konstruuując ją, usiłował wyrazić swój niepokój o przyszłość. Była niezdarna w myśleniu i działaniu - była bblem. Bardziej inteligentne maszyny Alberta stanęły wokół i naśmiewały się, kiedy ją składał.

- Chłopie! Pomieszało ci się! - szydziły. - To prymityw! Żeby pobierać energię z otoczenia! Już dwadzieścia lat temu namówiliśmy cię, żebyś z tego zrezygnował i wszystkim nam zapewnił dostęp do energii elektrycznej.

- E... a jakby tak pewnego dnia wybuchły zamieszki społeczne i wszystkie elektrownie zostały zdobyte... - wyjąkał Albert. - Przeczuwacek będzie działać nawet wtedy, kiedy cały świat zostanie zrównany z ziemią.

- Nawet nie ma połączenia z naszą matrycą informacyjną - kpiły. - Jeszcze gorszy od Biednego Charlesa. Ten kretyn praktycznie zaczyna od zera.

- Może po tym zerze nastąpią całkiem nowe cyfry - odpowiedział Albert.

- Nawet nie umie się zachować! - krzyknęły z oburzeniem obydwie maszyny. - Patrzcie! Całą podłogę zapaskudził jakimś prymitywnym smarem.

- Pamiętając moje dzieciństwo, rozumiem go - powiedział Albert.

- Do czego toto się nadaje? - spytały.

- E... do przeczuwania - wymamrotał Albert.

- Powielanie! - krzyknęły. - Tylko w tym się sprawdzasz, a i to od biedy. Proponujemy wybrać twój następcę na miejsce - wybac, że się śmiejemy - głowy tego interesu.

- Szefie, mam przecucie, że trzeba ich powstrzymać - szepnął niedokończony Przeczuwacek.

- Blefują - odszepnął Albert. - Moja pierwsza maszyna logiczna nauczyła mnie, że bym nigdy nie konstruował tego, czego nie umiem zdekonstruować.

Mam na nie haka, a one to wiedzą. Szkoda, że sam nie potrafię wymyślić takich rzeczy.

- Może nadejdą trudne czasy, a wtedy się na coś przydam - powiedział Przeczuwacek.



Tylko raz, i to w dość późnym wieku, Albert wykazał się przebłytkiem pewnej uczciwości. Zrobił coś (i był to straszny błąd) własnego. Było to tej nocy w dwutysięcznym roku, kiedy otrzymał Nagrodę Finnerty-Hochmanna, największą nagrodę, jaką może ofiarować świat intelektualistów. Albert był z pewnością dziwnym kandydatem, ale zauważono, że od trzydziestu lat wszystkie, nawet najbardziej przełomowe wynalazki prowadzą do niego lub przyrządów, którymi się otaczał.

Znacie tę nagrodę. Na górze Eurema, syntetyczna grecka bogini wynalazku, z rękami rozłożonymi jak do lotu, poniżej stylizowany mózg w przekroju, z widokiem na zwoje kory mózgowej. A jeszcze niżej herb akademików: srebrny Starożytny Uczony w pozycji stojącej, po lewej czerwony Analizator Andersona, po prawej popielaty Napęd Kosmiczny Mondemana. Doskonała praca Grobena z dziewiątego okresu.

Albert miał przemówienie, które napisała mu maszyna do przemówień, ale z jakiegoś powodu go nie wygłosił. Powiedział coś od siebie i było strasznie. Kiedy go przedstawiono, wstał i zaczął bełkotać nonsensy:

- Eee... tylko chore ostrygi tworzą macicę perłową - powiedział, a wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy. Co to za przemówienie? - Co, pomyliłem zwierzęta? - spytał Albert słabo.

- Eurema tak nie wygląda! - zaskrzeczał Albert i nagle wskazał nagrodę. - Nie, nie, to wcale nie ona. Eurema chodzi do tyłu i jest ślepa. A jej matką jest bezmózga maskara.

Wszyscy patrzyli na niego z bólem.

- Bez zaczynu nic nie wyrośnie - usiłował wyjaśnić Albert - ale drożdże to tylko grzyby i choroba. Wy bądźcie sobie udani, wspaniali i najlepsi! Ale nie możecie żyć bez nieudaczników. Umrzecie i kto

wam powie, że jesteście trupami? Kiedy nie będzie już niewydarzonych i upośledzonych, kto będzie dokonywał wynalazków? Co zrobicie, kiedy nie zostanie już żaden z nas, detektywów? Jak wtedy wyrośnie wasz zakalec?

- Czy pan się źle czuje? - spytał cicho mistrz ceremonii. - Może już wystarczy? Ludzie rozumieją.

- Oczywiście, że się źle czuję. Od zawsze - powiedział Albert. - Co by było, gdybym czuł się dobrze? Waszym ideałem jest, żeby wszyscy byli zdrowi i przystosowani. Nie! Nie! Gdybyśmy wszyscy byli przystosowani, skostnielibyśmy i obumarli. Świat jest zdrowy tylko dzięki niektórym niezdrowym umysłom, które w nim się czają. Pierwszym narzędziem, jakie wynalazł człowiek, nie był drapak, toporek ani kamienny nóż. To były kule. I nie wymyślił ich zdrowy człowiek.

- Powinien pan odpocząć - odezwał się cicho mistrz ceremonii, bo takich krzyczących o pomstę do nieba głupot na rozdaniu nagród jeszcze nie słyszano.

- Wiedźcie - mówił Albert - że to nie dorodne byki i wspaniałe stada wyznaczają nowe drogi. Tylko kalekie cielę potrafi wydeptać nową ścieżkę. We wszystkim, co przetrwa, musi być element dziwactwa. Hej, wiecie, co powiedziała ta kobieta? „Mój mąż jest dziwakiem, ale Waszyngton nigdy nie podobał mi się w lecie”.

Wszyscy gapili się na niego jak zakłęci.

- To mój pierwszy żart w życiu - wyjaśnił słabo Albert. - Moja maszyna do dowcipów żartuje znacznie lepiej ode mnie.

Zamilkł, wytrzeszczył oczy i nabrał wielki haust powietrza.

- Głupki! - wrzasnął zapalczywie. - Co dla nich zrobicie, kiedy ostatni odejdzie? Jak bez nas przetrwacie?

Skończył. Otworzył usta i zapomniał ich zamknąć. Odprowadzili go na miejsce. Jego maszyna do kontaktów z prasą wyjaśniła, że

Albert jest przepracowany, a potem zaczęła rozdawać kopie przemówienia, które miał wygłosić.

Nazwano to niefortunnym epizodem. Jakie to irytujące, że innowatorzy nigdy nie są wielkimi ludźmi i że wielcy ludzie nigdy nie nadają się do niczego z wyjątkiem bycia wielkimi ludźmi.



W owym roku wyszło rozporządzenie cezara, żeby przeprowadzić spis ludności w całym kraju. Dekret wydał Cesare Panebianco, prezydent kraju. Data była okrągła, w sam raz na spisy ludności i dekret nie był niczym szczególnym. Jednak przedsięwzięto pewne środki, by uwzględnić również wykolejeńców i zgrzybiałych starców, których zwykle pomijano, by ich zbadać i sprawdzić, dlaczego są, jacy są. I oczywiście padło na Alberta. Nikt tak jak on nie wyglądał na starego grzyba i wykolejeńca.

Zagnano go razem z innymi starymi piernikami, posadzono przy stole i zaczęto torturować pytaniami. Na przykład:

- Jak masz na imię?

Omiał się nie poddał, ale zebrał siły i odpowiedział:

- Albert.

- Którą godzinę pokazuje ten zegarek?

Trafili w jego słaby punkt. Która wskazówka jest która? Rozdziawił usta i nie odpowiedział.

- Potrafisz czytać? - spytali.

- Nie bez... - zaczął Albert. - Nie mam przy sobie mojego... Nie, nie. Sam z siebie nie potrafię za dobrze czytać.

- Spróbuj.

Dali mu test, w którym miał zaznaczyć tylko dobre odpowiedzi.

Zaznaczył wszystkie, sądząc, że połowę trafi. Ale wszystkie były fałszywe. Poukładani ludzie mają skłonność do podstępów. Potem dali mu test, w którym miał uzupełniać przysłowia.

„... to zły doradca” nic dla niego nie znaczyło. Nie pamiętał nawet nazwiska własnego doradcy finansowego.

„... ni w dziewięć” zawierało więcej pojęć matematycznych, niż potrafił znieść.

- Wydaje mi się, że są tu cztery niewiadome - powiedział do siebie - i tylko jedna wartość znana: dziewięć. Słowo „w” nie ma znaczenia. Nie potrafię rozwiązać tego równania. Nawet nie wiem, czy to równanie. Gdybym tylko miał przy sobie...

Ale nie miał przy sobie żadnego swojego gadżetu ani maszyny. Był zdany na własne siły. Opuścił pół tuzina innych zdań. Nagle dostrzegł szansę. Nie ma takiego idioty, żeby nie zdołał odpowiedzieć, jeśli tylko pytań jest odpowiednio dużo.

„... jest matką wynalazków”, przeczytał.

„Głupota”, napisał dziwnymi, pokracczonymi bazgrołami. Potem wyprostował się tryumfalnie.

- Znam tę Euremę razem z jej matką - roześmiał się. - Rety, jak ja dobrze je znam!

Ale za to też mu walnęli minus. Oblał wszystkie odpowiedzi we wszystkich testach. Zaczęli więc szykować mu bilet do zakładu specjalnej troski, gdzie mógł się nauczyć pracy fizycznej, skoro umysłowa mu nie szła. Ale parę bywałych w świecie maszyn Alberta zjawilo się i wyciągnęło go. Wyjaśniły, że choć jest włóczęgą i starym grzybem, to jednak bogatym włóczęgą i bogatym starym grzybem, i że nawet jest dość znany.

- Nie wygląda, ale naprawdę jest - wybaczenie, że się śmiejemy - człowiekiem o pewnym znaczeniu - wyjaśniła jedna ze wspaniałych maszyn. - Trzeba mu przypominać, żeby zamykał usta po ziewnięciu,

ale mimo wszystko jest laureatem Nagrody Finnerty-Hochmanna. Weźmiemy za niego odpowiedzialność.



Albert był załamany, kiedy wspaniałe maszyny go zabrały, zwłaszcza że poprosiły, by trzymał się trzy do czterech kroków za nimi i nie wyglądał, jakby im towarzyszył. Obsztorcowały go jak trzeba i rozgniotły na marmoladę. Albert zostawił je i poszedł do swojej małej kryjówki.

- Rozwałę sobie ten zapóźniony łeb - przysiągł. - Nie potrafię znieść upokorzenia. Ale sam sobie nie poradzę. Będę musiał to komuś zlecić.

Zabrał się więc w kryjówce do budowania maszyny.

- Co robisz, szefie? - spytał go Przeczuwacek. - Miałem przeczucie, że tu przyjdiesz i zaczniesz coś budować.

- Buduję maszynę, która roztrzaska mi tę zakutą pałę! - wrzasnął Albert. - Mam za wielkiego pietra, żeby to zrobić własnoręcznie.

- Szefie, mam przeczucie, że można zrobić coś innego. Rozerwijmy się.

- Chyba nie umiem - powiedział Albert w zamyśleniu. - Raz zbudowałem rozrywkową maszynę, żeby to robiła za mnie. Bawiła się bosko, aż się całkiem rozerwała, ale ja nic z tego nie miałem.

- Ta rozrywka będzie dla mnie i ciebie, szefie. Wyobraź sobie caluteńki świat. Co to jest?

- Świat zbyt piękny, żebym mógł w nim dalej żyć - powiedział Albert. - Wszystko i wszyscy są doskonali i jednakowi. Są na szczycie piramidy. Wygrali wszystko i ładnie to sobie poukładali. Na świecie nie ma miejsca dla takich odmieńców jak ja. Więc wysiadam.

- Szefie, mam przeczucie, że źle na to patrzysz. A przecież wzrok masz dobry. Spójrz jeszcze raz, ale uważnie. Co widzisz teraz?

- Przeczuwacku, Przeczuwacku, czy to możliwe? Czy tak naprawdę jest? Ciekawe, dlaczego nigdy przedtem tego nie zauważyłem. Ale rzeczywiście, jeśli się dobrze przyjrzeć, to faktycznie tak właśnie jest. Sześć miliardów jeleni, które tylko czekają, żeby je ustrzelić! Sześć miliardów jeleni bez żadnych środków obrony! Chłopaki, co chcą się zabawić, mogą - o kurczę - kosić je jak ulepszone przez Alberta zboże!

- Szefie, mam przeczucie, że po to właśnie zostałem stworzony. Na tym świecie zrobiło się za ciasno. Zabierzmy się do roboty, skośmy górną warstwę. O rany, ale będą żniwa.

- Ogłosimy nową erę! - napawał się Albert. - Nazwiemy ją Przemianą Robaka. Zabawimy się, Przeczuwacku. Schrupiemy je jak orzeszki. Jak to możliwe, że nigdy dotąd na to tak nie patrzyłem? Sześć miliardów jeleni!



Dwudziesty pierwszy wiek rozpoczął się dość dziwnym akcentem.

Przełożyła Maciejka Mazan

Robert Silverberg

PASAŻEROWIE

Niespełna dwa lata po pierwszej publikacji, czyli w 1956r., Robert Silverberg zdobył Nagrodę Hugo dla najbardziej obiecującego debiutanta. Potem, po niemal dziesięcioletnim okresie terminowania, pojawił się jako jeden z najbardziej wyrazistych i rzetelnych pisarzy swego czasu. Utwory z tego okresu zapadają w pamięć dzięki skomplikowanym psychologicznie bohaterom i niepokojącym moralnie tematom. „Zobaczyć niewidzialnego”, „Hawksbill Station” (1968) i „Ciernie” (1967) to futurystyczne studia jednostki wyalienowanej przez społeczny ostracyzm, karne wygnanie i zniewolenie. Koronnym osiągnięciem Silverberga w tym nurcie jest „Umierając żyjemy” (1972), przejmująca opowieść o człowieku mającym zdolności telepatyczne. „Nightwings” (1969, „Skrzydła nocy” - po polsku tylko część tryptyku) i „W dół, do ziemi” (1970, inny tytuł: „W dół, ku ziemi”) przedstawiają kontakt z obcymi gatunkami jako doświadczenie potencjalnie odświeżające, a „Zamknięty świat” (1971) to kronika przeludnionej społeczności, w której prywatność i intymność są praktycznie niemożliwe, co w konsekwencji prowadzi do odczłowieczenia. Najsilniej oddziałujące teksty Silverberga ukazują jednostki skonfrontowane ze śmiertelnością; zbiór „Rodzimy się z umarłymi” (1974) opisuje problemy życia w świecie zaludnionym przez śmiertelników i ożywionych zmarłych. „The Second Trip” (1972) koncentruje się na problemie śmierci dotyczącej tożsamości; bohater

odkrywa, że jest byłym przestępcą, którego ukarano wymazaniem osobowości. W „Księdze Czaszek” (1972), historii poszukiwania sekty okultystycznej, będącej rzekomo w posiadaniu sekretu życia wiecznego, chęć zdobycia nieśmiertelności jest pretekstem do rozważań o śmierci. Od schyłku lat siedemdziesiątych Silverberg koncentruje się na tworzeniu sagi Majipooru - epickim cyklu science fantasy, obejmującym tomy „Zamek Lorda Valentine’a” (1980), „Kroniki Majipooru” (1982), „Valentine Pontifex” (1983), „Góry Majipooru” (1995), „Czarnoksiężnicy Majipooru” (1997), „Lord Prestimion” (1999) i „The King of Dreams” (2001). Jest także autorem dylogii fantasy opartej na mitologii sumeryjskiej, „Gilgamesh the King” (1984) i „To the Land of the Living” (1989). W Polsce wydano m.in. „Człowieka w labiryncie” (1969), „Maski czasu” (1968), „Czas przemian” (1971, Nebula), „Zamknięty świat” (1971), „Stochastyk” (1975), „Tom O’Bedlam” (1985) „Czas trzeciego wiatru” (1986). Ostatnio ukazała się „Długa droga do domu” (2002). Wśród blisko pięćdziesięciu zbiorów i wyborów jego opowiadań znajdują się: „The Feast of St. Dionysus” (1972), „Beyond the Safe Zone: Collected Short Fiction of Robert Silverberg” (1986), „The Collected Stories of Robert Silverberg”: „Pluto in the Morning Light” (1992), „The Secret Sharer” (1993), „Beyond the Safe Zone” (1995), „The Road to Nightfall” (1996), „Ringing the Changes” (1997), „Lion Time in Timbuctoo” (2000), „Sailing to Byzantium” (2000), „In Another Country and Other Short Novels” (2002), „Phases of the Moon: Stories from Six Decades” (2004). W Polsce wydano trzy wybory: „Basileus” (1987), „Autostrada w mrok” (1993) i „Pożeglować do Bizancjum” (2003, wszystkie siedem opowiadań i novell nagrodzonych Hugonami i Nebulami). Jest autorem wielu powieści („The Gate of Worlds”, 1967, „Across a Billion Years”, 1969, „Program wahadło”, 1987, „Letters from Atlantis”, 1990) i książek popularnonaukowych dla dzieci, zestawiał także ponad

siedemdziesiąt antologii. W „The Realm of Prester John” (1972) Silverberg docieka przyczyn powstania i śledzi rozwój mitu księdza Jana. „Reflections and Refractions” (1997) to obszerny wybór eseistyki publikowanej przez dwadzieścia lat w magazynach SF „Galileo”, „Amazing” i „Asimov’s”. Za opowiadanie „Pasażerowie” Silverberg zdobył pierwszą z pięciu nagród Nebula.

Zostały ze mnie tylko fragmenty. Kawały wspomnień oderwały się i odpłynęły jak góry lodowe odrywające się od lodowca. Tak jest zawsze, kiedy opuszcza nas Pasażer. Nigdy nie możemy być pewni tego, co zrobią nasze wypożyczone ciała. Mamy tylko ociągające się z odejściem ślady, odciski.

Jak piasek przywarły do wrzuconej przez ocean butelki. Jak pulsowanie amputowanej nogi.

Wstaję. Odzyskuję panowanie nad sobą. Włosy mam zmierzwiłone; czeszę je. Moja twarz jest zmięta z powodu zbyt krótkiego snu. W ustach mam kwaśny smak. Czy Pasażer jadł moimi ustami łajno? Oni tak robią. Robią wszystko.

Jest ranek.

Szary, niepewny ranek. Przez jakiś czas się na niego gapię, a potem, wzdrygając się, matowię okno i staję twarzą w twarz z szarą, niepewną powierzchnią mojego wewnętrznego panelu. W moim pokoju panuje bałagan. Czy miałem tu kobietę? W popielniczkach jest popiół. Przeglądam niedopałki i znajduję kilka zabrudzonych szminką. Tak, była tu kobieta.

Dotykam pościeli. Nadal ciepła od wspólnego ciepła. Obie poduszki wygniecione. Ale kobieta odeszła, odszedł Pasażer i jestem sam.

Jak długo to trwało tym razem?

Podnoszę słuchawkę i dzwonię do Centralnego.

- Którego mamy?

Martwy kobiecy głos komputera odpowiada:

- Piątek, czwartego grudnia, tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego.

- Czas?

- Dziewięć pięćdziesiąt jeden Standardowego Czasu Wschodniego.

- Prognoza pogody?

- Dziś przewidywane temperatury będą sięgać od minus dwóch do trzech stopni. Obecna temperatura: minus jeden. Wiatr z północy, szesnaście mil na godzinę. Prawdopodobieństwo wystąpienia opadów znikome.

- Co zalecasz na kaca?

- Żywność czy lekarstwo?

- Jak wolisz.

Komputer zastanawia się nad tym przez jakiś czas. Potem decyduje się na obie możliwości i aktywuje moją kuchnię. W kranie pojawia się zimny sok pomidorowy. Zaczynają się smażyć jajka. Z otworu apteczki płynie fioletowawa ciecz. Centralny Komputer jest zawsze tak przewidujący. Ciekawe, czy Pasażerowie czasem nim kierują? Jaka by to była dla nich podnieta? Na pewno ciekawiej jest pożyczyć milion umysłów Centralnego niż żyć przez jakiś czas w zawodnej, podatnej na zwarcia duszy skorodowanego człowieka!

Czwarty grudnia, powiedział Centralny. Piątek. Więc Pasażer miał mnie przez trzy noce.

Piję fioletowawy płyn i sonduję wspomnienia tak ostrożnie, jak dotyka się ropiejącej rany.

Pamiętam wtorkowy poranek. W pracy kiepsko. Żaden wykres nie wychodzi jak trzeba. Kierownik sekcji drażliwy; Pasażerowie wzięli

go trzy razy w ciągu pięciu tygodni i w rezultacie jego sekcja tonie w chaosie, a gwiazdkowa premia stoi pod znakiem zapytania. I choć system twierdzi, że nie ma w zwyczaju nikogo karać za problemy spowodowane przez Pasażerów, kierownik sekcji uważa chyba, że został niesprawiedliwie potraktowany. Więc traktuje niesprawiedliwie nas. Przeżywamy ciężkie chwile. Przejrzeć wykresy, popracować nad programem, sprawdzać najprostsze rzeczy po dziesięć razy. I oto mamy: szczegółowe prognozy wahań cen papierów wartościowych zakładów użyteczności publicznej w okresie luty-kwiecień 1988. Tego popołudnia mieliśmy się spotkać i przedyskutować te wykresy oraz to, co z nich wynika.

Wtorkowego popołudnia nie pamiętam.

Wtedy musiał mnie wziąć Pasażer. Może w pracy, może w samej wykładowej mahoniem sali konferencyjnej podczas spotkania. Wokół mnie różowe zatroskane twarze; ja kaszlę, zataczam się, wstaję chwiejnie. Oni ze smutkiem kręcą głowami. Nikt mnie nie dotyka. Nikt mnie nie zatrzymuje. Zbyt niebezpiecznie jest wchodzić w kontakt z kimś, kto ma Pasażera. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że nieopodal czai się drugi Pasażer w stanie odcieleśnienia i szuka wierzchowca. Więc wszyscy mnie unikają. Opuszczam budynek.

A potem co?

Siedząc w ten zimny piątkowy poranek w pokoju, jem jajecznicę i staram się zrekonstruować trzy utracone noce.

Oczywiście to niemożliwe. Świadomość funkcjonuje w czasie zniewolenia, ale po odejściu Pasażera niemal wszystkie wspomnienia odchodzą razem z nim. Zostaje tylko lekki osad, ziarnisty film bladych i widmowych wspomnień. Potem wierzchowiec nigdy nie jest już dokładnie tą samą osobą, choć nie może sobie przypomnieć szczegółów swego doświadczenia, ono go subtelnie zmienia.

Usiłuję sobie przypomnieć.

Dziewczyna? Tak: szminka na niedopałkach. Seks, potem, w moim pokoju. Młoda? Stara? Blondynka? Ciemnowłosa? Wszystko jest mgliste. Jak zachowywało się moje pożyczone ciało? Czy byłem dobrym kochankiem? Kiedy jestem sobą, staram się być. Dbam o kondycję. W wieku trzydziestu ośmiu lat potrafię rozegrać trzy sety tenisa w letnie popołudnie bez utraty przytomności. Potrafię sprawić, że kobieta promienieje tak, jak powinny promienieć kobiety. Nie chwałę się, po prostu stwierdzam. Każdy ma jakiś talent. Ja mam taki.

Ale Pasażerowie, jak słyszałem, czerpią złośliwe rozbawienie z przeinaczania naszych talentów. Więc czy mój jeździec sprawił sobie radość, znajdując mi kobietę i zmuszając mnie, żebym raz za razem ją zawodził?

Ta myśl mi się nie podoba.

Mgła odpływa z mojego umysłu. Lekarstwo przepisane przez Centralnego gwałtownie działa. Jem, golę się, stoję pod wibratorem tak długo, aż moja skóra się oczyści. Wykonuję ćwiczenia. Czy Pasażer ćwiczył moje ciało w środę i czwartek rano? Pewnie nie. Muszę to nadrobić. Za bardzo się zbliżyłem do wieku średniego; utraconą kondycję nie tak łatwo odzyskać.

Dwadzieścia razy dotykam palców u stóp, kolana wyprostowane.

Wierzgam wysoko.

Kładę się i robię pompki na łokciach.

Ciało reaguje, choć było tak źle traktowane. To pierwszy jasny moment mojego przebudzenia: poczuć to wewnętrzne mrowienie, przekonać się, że nadal mam wigor.

Następnie chcę świeżego powietrza. Szybko wkładam ubranie i wychodzę. Nie ma potrzeby zgłaszać się dziś do pracy. Wiedzą, że miałem Pasażera od wtorkowego popołudnia; nie muszą wiedzieć, że odszedł przed piątkowym świtem. Zrobię sobie dzień wolny. Będę

się przechadzać po ulicach miasta, rozprostuję nogi, wynagrodzę mojemu ciału krzywdy, których doznało.

Wchodzę do windy. Zjeżdżam pięćdziesiąt pięter w dół. Wychodzę w grudniową ohydę.

Wokół mnie wznoszą się wieżowce Nowego Jorku.

Ulicami płynie strumień samochodów. Za kierownicami wściekli kierowcy. Nigdy nie wiadomo, czy kierowca sąsiedniego pojazdu nie jest pożyczony, a kiedy Pasażer przejmuje władzę, zawsze następuje moment chaosu. W ten sposób na naszych ulicach i autostradach kończy się życie wielu osób; ale nigdy życie Pasażera.

Zaczynam iść bez celu. Przechodzę na drugą stronę Czternastej, kieruję się na północ, nasłuchując cichego natarczywego pomruku silników elektrycznych. Widzę miotającego się chłopca i wiem, że ktoś nim kieruje. Na rogu Piątej i Dwudziestej Pierwszej idzie jakiś zamożny brzuchaty mężczyzna w przekrzywionym krawacie, z porannym „Wall Street Journal” wystającym z kieszeni płaszcza. Chichocze. Wystawia język. Kierowany. Kierowany. Unikam go. Szybkiem krokiem docieram do tunelu, przez który samochody jadą pod Trzydziestą Czwartą na Queens i zatrzymuję się przez chwilę, by popatrzeć na dwie nastolatki kłócące się na krawężniku kładki dla pieszych. Jedna ma czarną skórę. Przewraca przerażonymi oczami. Druga popycha ją w stronę balustrady. Kierowana. Ale Pasażerowi nie chodzi o morderstwo, tylko o przyjemność. Czarnoskóra nastolatka zostaje uwolniona i osuwa się bezwładnie, dygocząc. Potem wstaje i ucieka. Druga wkłada do ust długie pasmo lśniących włosów, żuje je i jakby się budzi. Jest oszołomiona.

Odwracam oczy. Nie należy się gapić na przebudzenie towarzysza niedoli. Kierowani mają swoją moralność; w tych mrocznych czasach zyskaliśmy wiele nowych plemiennych obyczajów.

Idę pospiesznie dalej.

Dokąd idę z takim pośpiechem? Już zdążyłem pokonać ze dwa kilometry. Wyglądam, jakbym miał jakiś cel, jakby w mojej czaszce nadal czaił się Pasażer, ponagląjący mnie do ruchu. Ale wiem, że to nie to. Jestem wolny - przynajmniej przez chwilę.

Czy mogę być tego pewien?

Cogito ergo sum nie ma już znaczenia. Myślmy nawet wtedy, gdy jesteśmy kierowani i trwamy w cichej desperacji, niezdolni powstrzymać naszego działania, jakkolwiek by było upiorne i autodestrukcyjne. Jestem pewien, że potrafię rozpoznać różnicę między stanem posiadania Pasażera i stanem wolności. Ale może się mylę. Może noszę szczególnie przewrotnego Pasażera, który wcale mnie nie porzucił, tylko wycofał się do mózdzku, dając mi złudzenie wolności, lecz nieustannie prowadząc mnie ku jakiemuś własnemu celowi.

Czy kiedykolwiek mieliśmy coś ponad to: złudzenie wolności?

Jednak to niepokojące. Ta myśl, że mogę być kierowany i nie zdawać sobie z tego sprawy. Zaczynam się obficie pocić, nie tylko z powodu wysiłku. Stań. Stań tutaj. Dlaczego musisz iść? Jesteś na Czterdziestej Pierwszej. Jest tu biblioteka. Nic nie zmusza cię, żebyś szedł dalej. Stań na chwilę, mówię sobie, odpocznij na schodach biblioteki.

Siadam na zimnym kamieniu i tłumaczę sobie, że sam podjąłem tę decyzję.

Czy naprawdę? To stary problem, wolna wola kontra determinizm, przetłumaczony na najpaskudniejszą ze swych postaci. Determinizm nie jest już abstrakcją filozofów; jest zimnymi mackami Obcych, sięgającymi pomiędzy szwami czaszki. Pasażerowie przybyli trzy lata temu. Od tego czasu byłem kierowany pięć razy. Nasz świat jest teraz zupełnie inny. Ale dostosowaliśmy się nawet do tego. Dostosowaliśmy się. Mamy nowe obyczaje. Życie toczy się dalej.

Nasze rządy rządzą, ustawodawcy się spotykają, na giełdzie jak zwykle robi się interesy i mamy sposoby na zrekompensowanie chaosu. To jedyny sposób. Co mielibyśmy zrobić? Żyć w poczuciu klęski? Mamy wroga, z którym nie możemy walczyć, więc najlepiej stawiać mu opór poprzez wytrzymałość. Więc wytrzymujemy.

Zimne schody mrożą mi ciało. W grudniu niewiele osób tu siada.

Mówię sobie, że wybrałem się na ten długi spacer z własnej nieprzymuszonej woli, że zatrzymałem się tu z własnej woli, że żaden Pasażer nie kieruje obecnie moim mózgiem. Możliwe. Możliwe. Nie mogę pozwolić sobie na wiarę, że nie jestem wolny.

Czy to możliwe, myślę, że Pasażer zostawił we mnie jakieś ostatnie rozkazy? Idź tam, zatrzymaj się tu? To też możliwe.

Rozglądam się, obserwuję innych na schodach biblioteki.

Stary człowiek o pustych oczach siedzący na gazecie. Jakiś trzynastolatek z rozdętymi nozdrzami. Tęga kobieta. Czy wszyscy są kierowani? Jakoś dzisiaj pełno wokół mnie Pasażerów. Im dokładniej się przyglądam kierowanym, tym większe zyskuję przeświadczenie, że na razie jestem wolny. Ostatnim razem miałem między jazdami trzy miesiące wolności. Mówi się, że niektórzy rzadko się uwalniają. Ich ciała są bardzo pożądane i doświadczają tylko rzadkich wybuchów wolności - dzień tu, tydzień tam, godzina. Nigdy nie potrafiliśmy określić, jak wielu Pasażerów zarobaczyło nasz świat. Może miliony. A może pięciu. Kto to może wiedzieć?

Z szarego nieba spływa smużka śniegu. Centralny powiedział, że szanse na opady są niewielkie. Czy dziś kierują także nim?

Widzę dziewczynę.

Siedzi po przekątnej ode mnie, pięć kroków wyżej, trzydzieści metrów dalej, z czarną spódnicą podciągniętą nad kolana, by ukazać zgrabne nogi. Jest młoda. Jej włosy mają głęboki, intensywny kolor kasztana. Oczy ma jasne; z tej odległości nie potrafię sprecyzować

koloru. Jest ubrana prosto. Nie przekroczyła trzydziestki. Ma na sobie ciemnozielony płaszcz, a jej szminka ma fioletowawy odcień. Usta pełne, nos smukły, z wysokim grzbietem, brwi starannie wydepilowane.

Znam ją.

Spędziłem z nią ostatnie trzy noce. To ona. Kierowana, przyszła do mnie, a ja, kierowany, spałem z nią. Jestem tego pewien. Zastona wspomnień rozchyła się; widzę jej smukłe ciało, nagie, na moim łóżku.

Jak to możliwe, że to pamiętam?

To zbyt silne, żeby było iluzją. Z pewnością jest to coś, co pozwolono mi zapamiętać z przyczyn, których nie potrafię pojąć. I przypominam sobie więcej. Przypominam sobie jej ciche, zachłystujące się odgłosy rozkoszy. Wiem, że ciało nie zdradziło mnie przez te trzy noce, że nie zawiodłem jej pragnienia.

I jeszcze coś. Wspomnienie zmysłowej muzyki, zapach młodości w jej włosach, szelest zimowych drzew. Przywróciła mi jakoś czas niewinności, czas, w którym jestem młody, a dziewczyny tajemnicze, czas zabaw, tańców, ciepła i sekretów.

Teraz coś mnie do niej ciągnie.

W takich sytuacjach także obowiązuje etykieta. W złym smaku jest podejść do kogoś, kogo spotkałeś, będąc kierowanym. Takie spotkanie nie daje ci żadnych przywilejów; obcy pozostaje obcy, bez względu na to, co zrobiliście i powiedzieliście podczas wymuszonego spotkania.

A jednak mnie do niej ciągnie.

Dlaczego gwałcę tabu? Dlaczego tak brutalnie łamię zasady etykiety? Jeszcze nigdy tak nie postąpiłem. Zawsze byłem taki sumienny.

Ale wstaję i idę wzdłuż schodka, na którym siedziałem, aż stoję u

jej stóp, podnoszę wzrok, a ona automatycznie przyciska do siebie kostki i kolana, jakby zrozumiała, że jej poza nie jest skromna. Ten gest zdradza, że nie jest teraz kierowana. Nasze oczy się spotykają. Jej są mgliście zielone. Jest piękna, przetrząsam wspomnienia w poszukiwaniu szczegółów naszej namiętności.

Wspinam się schodek po schodku, aż staję przed nią.

- Cześć - mówię.

Spogląda na mnie obojętnie. Chyba mnie nie poznaje. Oczy ma zamglone, jak często bywa po odejściu Pasażera. Wydyma usta i przygląda mi się z dystansem.

- Cześć - odpowiada. - Chyba cię nie znam.

- Nie. Nie znasz. Ale mam wrażenie, że nie chcesz być teraz sama. A ja na pewno nie chcę. - Usiłuję przekonać ją spojrzeniem, że mam przyzwoite zamiary. - Pada śnieg - mówię. - Możemy znaleźć cieplejsze miejsce. Chciałbym z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Chodźmy gdzieś, to ci powiem. Nazywam się Charles Roth.

- Helen Martin.

Wstaje. Jeszcze nie porzuciła chłodnej obojętności; jest podejrzliwa, skrupowana. Ale przynajmniej chce ze mną iść. Dobry znak.

- Czy jest za wcześnie na drinka? - pytam.

- Nie jestem pewna. W ogóle nie wiem, która godzina.

- Przed dwunastą.

- I tak się napijemy - mówi i oboje się uśmiechamy.

Idziemy do koktajlbaru po drugiej stronie ulicy. Siadamy w ciemnościach twarzą w twarz, sączymy drinki, daiquiri dla niej, bloody mary dla mnie. Trochę się odpręża. Zadaję sobie pytanie, czego właściwie od niej chcę. Przyjemności jej towarzystwa, tak. Jej towarzystwa w łóżku? Przecież już miałem tę przyjemność, całe trzy

noce, choć ona o tym nie wie. Chcę czegoś więcej. Czego?

Ma przekrwione oczy. Niewiele spała przez te trzy noce.

- Czy to było dla ciebie bardzo nieprzyjemne?

- Co?

- Pasażer.

Przez jej twarz przebiega gwałtowna reakcja.

- Skąd wiesz, że miałam Pasażera?

- Wiem.

- Nie powinniśmy o tym rozmawiać.

- Nie mam uprzedzeń - mówię. - Mój Pasażer zostawił mnie tej nocy. Kierował mną od wtorkowego popołudnia.

- Mój zostawił mnie jakieś dwie godziny temu. - Jej policzki się rumienia. Robi coś wyzywającego, rozmawiając w ten sposób. - Kierował mną od poniedziałku wieczorem. To mój piąty raz.

- Mój też.

Bawimy się szklankami. Wzajemne porozumienie jest coraz lepsze, niemal nie trzeba nam słów. Nasze niedawne doświadczenia z Pasażerami dały nam coś wspólnego, choć Helen nie uświadamia sobie, jak intymnie złączyły nas te doświadczenia.

Rozmawiamy. Ona jest projektantką okien wystawowych. Ma małe mieszkanie parę przecznic stąd. Mieszka sama. Pyta mnie o zawód.

- Analityk giełdy - mówię.

Uśmiecha się. Ma nieskazitelne zęby. Zamawiamy drugą kolejkę. Teraz jestem już pewien, że to ta dziewczyna była w moim pokoju, kiedy byłem kierowany.

Kiełkuje we mnie ziarenko nadziei. Szczęśliwy los zetknął nas ponownie ze sobą, tak szybko po tym, jak rozstaliśmy się jako śniący. I szczęśliwy los sprawił, że w mojej głowie zostały jakieś resztki tego snu.

Połączyło nas coś, kto wie co, i musiało to być dobre, skoro zostawiło we mnie tak żywy ślad, a teraz chcę do niej przyjść świadomie, na jawie, jako pan swojej woli, i odnowić ten związek, żeby tym razem był prawdziwy. To niestosowne, bo wdzieram się w przywileje, które mi się nie należą z powodów innych niż cnota krótkiej obecności w nas Pasażerów. A jednak jej potrzebuję. Pragnę jej.

Ona chyba także mnie pragnie, nie zdając sobie sprawy, kim jestem. Ale strach ją powstrzymuje. Ja boję się ją przestraszyć, i nie staram się zbyt szybko wykorzystać przewagi. Może teraz zabierze mnie do swojego mieszkania, może nie, ale o to nie proszę. Dopijamy drinki. Umawiamy się na schodach biblioteki jutro. Moja ręka przelotnie muska jej dłoń. Potem ona odchodzi.

Tej nocy zapełniam trzy popielniczki. Wciąż od nowa roztrząsam sens tego, co robię. Ale dlaczego jej nie zostawię? Nie mam prawa jej śledzić. W sytuacji, w której znalazł się nasz świat, najmądrzej byłoby się rozstać. A jednak - znowu to ukłucie półwspomnienia, kiedy o niej myślę. Zamazane światła straconych szans za schodami, dziewczęcy śmiech w korytarzach trzeciego piętra, skradzione pocałunki, herbata i ciasto. Pamiętam dziewczynę z orchideą we włosach i tę w sukience z dżetami, i tę z twarzą dziecka i oczami kobiety, wszystkie tak odległe, utracone, minione i mówię sobie, że tej nie stracę, nie pozwolę, żeby mi ją odebrano.

Nadchodzi ranek, spokojna sobota. Wracam przed bibliotekę, prawie nie spodziewając się jej tam zastać, ale jest, na tych schodach, i sam jej widok jest ulgą. Jest nieufna, zatroskana; wyraźnie dużo myślała, a mało spała. Idziemy razem Piątą Aleją. Ona jest całkiem blisko mnie, ale nie przyjmuje mojego ramienia. Jej kroki są energiczne, drobne, nerwowe.

Chcę zasugerować, żebyśmy poszli do niej zamiast do koktajlbaru.

W obecnych czasach musimy działać szybciej, dopóki jesteśmy wolni. Ale wiem, że błędem byłoby myśleć o tym w kategoriach taktyki. Prymitywny pośpiech miałby fatalne skutki, dałby mi może zwyczajne zwycięstwo z odrętwiającą klęską w środku. W każdym razie ona raczej nie jest w obiecującym nastroju. Spoglądam na nią, myślę o muzyce instrumentów smyczkowych i nowych opadach śniegu, a ona patrzy w szare niebo.

- Czuję, że przez cały czas mnie obserwują - mówi. - Jak sępy krążące nad głową, czekające, czekające. Gotowe do pikowania.

- Ale można ich pokonać. Możemy chwytąć te skrawki życia, kiedy nie patrzą.

- Oni zawsze patrzą.

- Nie - mówię. - Jest ich za mało. Czasami spoglądają w inną stronę. A wtedy ludzie mogą się spotkać i podzielić ciepłem.

- Ale po co?

- Zbyt czarno na to patrzysz, Helen. Czasami nie zwracają na nas uwagi całymi miesiącami. Mamy szansę. Mamy szansę.

Nie potrafię jednak przebić się przez pancierz jej strachu. Jest sparaliżowana bliskością Pasażerów, nie chce niczego zaczynać ze strachu, że nasi dręczyciele jej to odbiorą. Dochodzimy do jej budynku i mam nadzieję, że jednak ustąpi i zaprosi mnie do środka. Przez chwilę się waha, ale to tylko chwila; bierze moją rękę w obie dłonie i uśmiecha się. Ten uśmiech blednie, a ona znika, zostawiając mi tylko słowa:

- Jutro znowu spotkajmy się pod biblioteką. W południe.

Ruszam samotnie w długą i mroźną drogę do domu.

Tego wieczora przesiąknęłam trochę jej pesymizmem. To bez sensu ratować cokolwiek. Więcej: odszukanie jej było podłością, zaoferowanie niepewnej miłości, kiedy nie jestem wolny - hańbą. W tym świecie, mówię sobie, powinniśmy się trzymać z daleka od

innych, żeby nikomu nie zrobić krzywdy, gdy znów nas pochwycą i zaczną kierować.

Rano nie idę na spotkanie.

Tak będzie najlepiej, powtarzam. Nie powinienem jej dawać nadziei. Wyobrażam ją sobie pod biblioteką, jak się zastanawia, dlaczego się spóźniam, jak staje się coraz bardziej spięta, niecierpliwa, potem rozdrażniona. Będzie na mnie zła, że nie przyszedłem na spotkanie, ale gniew jej przejdzie, szybko o mnie zapomni.

Nadchodzi poniedziałek. Wracam do pracy.

Oczywiście nikt nie wspomina o mojej nieobecności. Tak jakbym wcale nie zniknął. Tego ranka rynek jest mocny. Pracuje się ciekawie; o Helen myślę dopiero późnym rankiem. Ale kiedy zaczynam o niej myśleć, nie mogę już myśleć o niczym innym. O moim tchórzostwie, kiedy ją zostawiłem. O dziecinnej naiwności moich mrocznych myśli z sobotniej nocy. Dlaczego tak biernie godzić się z losem? Dlaczego się poddawać? Chcę walczyć, natychmiast, pomimo wszystko wykuć sobie bezpieczną niszę. Czuję głębokie przeświadczenie, że to możliwe. Pasażerowie może już nigdy nie będą nas nękać. A ten jej migotliwy uśmiech sprzed jej domu w sobotę, ten chwilowy blask - powinien mi powiedzieć, że za murem strachu ona czuje tę samą nadzieję. Czekala, żebym ją poprowadził. A ja zostałem w domu.

W porze obiadu idę pod bibliotekę przekonany, że to nic nie da.

Ale ona tam jest. Chodzi po schodach; a wiatr chłoszcze jej smukłą postać. Podchodzę.

Milczy przez chwilę.

- Cześć - mówi w końcu.
- Przepraszam za wczoraj.
- Długo na ciebie czekałam.

Wzruszam ramionami.

- Uznałem, że spotkanie nie ma sensu. Ale potem znowu

zmieniłem zdanie.

Usiłuje zrobić gniewną minę, ale wiem, że cieszy się na mój widok - w przeciwnym razie po co by tu przychodziła? Nie potrafi ukryć wewnętrznej radości. Ani ja. Wskazuję koktajlbar po drugiej stronie ulicy.

- Daiquiri? - pytam. - Jako gałązka oliwna?

- Dobrze.

Dziś w barze jest tłum, ale jakoś znajdujemy miejsca. W jej oczach pali się światło, którego przedtem nie widziałem. Wyczuwam, że bariera w niej zaczyna się kruszyć.

- Mniej się mnie boisz - mówię.

- Nigdy się ciebie nie bałam. Boję się tego, co się stanie, jeśli zaryzykujemy.

- Nie bój się. Nie bój.

- Staram się nie bać. Ale czasami myślę, że nie ma nadziei. Odkąd oni tu przybyli...

- Nadal możemy się starać żyć własnym życiem.

- Może.

- Musimy. Zawrzyjmy pakt, Helen. Koniec z ponuractwem. Koniec z martwieniem się strasznymi rzeczami, które kiedyś może ewentualnie się wydarzą. Dobrze?

Pauza. Potem chłodna dłoń przy mojej.

- Dobrze.

Kończymy drinki, wyciągam moją centralną kredytową, żeby zapłacić, i wychodzimy. Chcę, by mi powiedziała, żebym zapomniał na dziś o pracy i poszedł z nią do domu. Teraz to nieuniknione, to jej zaproszenie, a lepiej wcześniej niż później.

Mijamy przecnicę. Ona ciągle mnie nie zaprasza. Wyczuwam jej wewnętrzną walkę i czekam, niech ta walka się rozstrzygnie bez mojej interwencji. Mijamy kolejną przecnicę. Bierze mnie pod rękę,

ale mówi tylko o pracy, pogodzie i jest to rozmowa na dystans, na odległość ramienia. Na następnym rogu skręca, odchodzi od mieszkania, zawraca ku koktajlbarowi. Staram się zachować cierpliwość.

Powtarzam sobie, że nie ma potrzeby przyspieszać sprawy. Jej ciało nie jest dla mnie tajemnicą. Zaczęliśmy naszą znajomość z niewłaściwego końca, od fizycznej strony; teraz trzeba czasu, żeby wypracować tę bardziej skomplikowaną część, którą niektórzy nazywają miłością.

Ale ona oczywiście nie wie, że poznaliśmy się w ten drugi sposób. Wicher dmie nam w twarz śnieżnymi płatkami i te zimne ukąszenia jakoś budzą we mnie uczciwość. Wiem, co muszę powiedzieć. Muszę zrezygnować z tej nieuczciwej przewagi.

- W zeszłym tygodniu, kiedy byłem kierowany, miałem w pokoju dziewczynę.

- Dlaczego mówisz o takich rzeczach?

- Muszę, Helen. Tą dziewczyną byłaś ty.

Zatrzymuje się. Odwraca do mnie. Ludzie mijają nas pośpiesznie. Twarz ma bardzo bladą, z ciemnoczerwonymi plamami rozlewającymi się na policzkach.

- Charles, to nie jest śmieszne.

- Nie ma być. Byłaś ze mną od wtorkowego wieczoru do wczesnego piątkowego poranka.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Wiem. Wiem. Wspomnienie jest klarowne. Jakoś mi zostało. Widzę całe twoje ciało.

- Przestań.

- Byliśmy razem bardzo dobrzy - mówię. - Musieliśmy zadowolić naszych Pasażerów, tacy byliśmy dobrzy. Zobaczyć cię znowu, znaczyło obudzić się ze snu i dowiedzieć, że sen jest prawdziwy,

dziewczyna istnieje...

- Nie!

- Chodźmy do twojego mieszkania i zacznijmy znowu.

- Jesteś umyślnie obleśny i nie wiem dlaczego, ale nie miałeś powodu psuć wszystkiego. Może byłam z tobą, a może nie, ale ty tego nie możesz wiedzieć, a jeśli wiesz, powinieneś się ugryźć w język i...

- Masz znamię wielkości dziesięciu centów - mówię - jakieś trzy cale pod lewą piersią.

Ona szlocha i rzuca się na mnie, na środku ulicy. Jej długie srebrzyste paznokcie rozorują mi policzki. Bębni we mnie pięściami. Chwytam ją. Atakuje mnie kolanami. Nikt nie zwraca uwagi, ci, którzy nas mijają, zakładają, że jesteśmy kierowani, i odwracają głowy. Ona jest ogarnięta furia, ale trzymam ją w objęciach jak w stalowych obręczach, więc może tylko tupać i parskać, a jej ciało jest blisko mojego. Jest zeszywniała, obolała.

Niskim, natarczywym głosem mówię:

- Pokonamy ich, Helen. Skończymy to, co oni zaczęli. Nie walcz ze mną. Nie masz powodu ze mną walczyć. Wiem, to ślepy traf, że cię pamiętam, ale pozwól mi pójść ze sobą, a udowodnię, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

- Puść... mnie...

- Proszę. Proszę. Dlaczego mamy ze sobą walczyć? Nie chcę cię skrzywdzić. Kocham cię, Helen. Pamiętasz, kiedy byliśmy dziećmi, bawiliśmy się w zakochanych. Ja się bawiłem; ty na pewno też. Szesnasto-, siedemnastoletni. Te szeptki, te plany - wszystko to była gra i wiedzieliśmy o tym. Ale gra się skończyła. Nie możemy sobie pozwolić na zabawę w kotka i myszkę. Mamy tak niewiele czasu, kiedy jesteśmy wolni - musimy zaufać, otworzyć się...

- To jest złe.

- Nie. To, że głupi zwyczaj każe się unikać dwojgu ludziom, których Pasażesowie zetknęli ze sobą, nie znaczy, że musimy mu być posłuszni. Helen... Helen...

Coś w moim głosie trafia do niej. Przestaje walczyć. Zesztywniałe ciało mięknie. Spogląda na mnie, jej mokra od łez twarz topnieje, oczy zasnuwają się mgłą.

- Zaufaj mi - mówię. - Zaufaj mi, Helen.

Waha się. Potem się uśmiecha.

I w tej chwili czuję chłód w potylicy, to wrażenie, jakby stalowa igła przebijała kość. Sztywnieję. Moje ramiona opadają. Na chwilę tracę przytomność, a kiedy mgła się rozwiewa, wszystko jest inne.

- Charles? - mówi ona. - Charles?

Wbija zęby w kostki palców. Odwracam się, ignorując ją, i wracam do koktajlbaru. Przy jednym z pierwszych stolików siedzi młody mężczyzna. Jego ciemne włosy lśnią od pomady, policzki są gładkie. Nasze oczy się spotykają.

Siadam. On zamawia drinki. Nie rozmawiamy.

Moja ręka opada na jego przegub i tam zostaje. Podający nam drinki barman patrzy spode łba, ale nic nie mówi. Popijamy koktajle i odstawiamy puste szklanki.

- Chodźmy - mówi młody mężczyzna.

Wychodzę za nim.

Przełożyła Maciejka Mazan

Frederik Pohl

TUNEL POD ŚWIATEM

Zanim Frederik Pohl (ur. 1919) został pisarzem SF, był naczelnym redaktorem groszowych magazynów SF „Astonishing Stories” i „Super Science Stories”, gdzie publikował opowiadania Jamesa Blisha, Cyrila M. Kornblutha, Isaaca Asimova, Damona Knighta i innych kolegów z kręgu SF. Do 1980r. zajmował się pisaniem i pracą agenta literackiego pisarzy SF bądź polityką wydawniczą w tej dziedzinie. Jego najwcześniejsze powieści, napisane we współpracy z Cyrilem M. Kornbluthem, wykazują znajomość SF na wszystkich poziomach tworzenia. „Handlarze kosmosem” (1953), „Gladiator-at-Law” (1955) i „Wolfbane” (1959) należą do najdowcipniejszych satyr w całej twórczości SF, nie tylko z powodu spekulatywnych ekstrapolacji absurdów amerykańskiej kultury, ale ze względu na zrozumienie, że to właśnie literatura SF ma odpowiednie środki na podkreślenie tych absurdów. Wnikliwy obserwator współczesnego społeczeństwa i jego bolączek, Pohl stworzył w latach pięćdziesiątych wiele satyrycznych opowiadań, które cechuje trafna, a nawet prorocza krytyka społeczna, zwłaszcza dotycząca zwyrodniałego konsumpcjonizmu: „The Midas Plague”, „What to Do till the Analyst Comes” (mroczna komedia o społeczeństwie uzależnionych) i „The Snowmen” (tu przewiduje kryzys energetyczny i efekt cieplarniany). Wiele opowiadań Pohla z tego okresu znajduje się w zbiorach: „Alternating Currents” (1956), „The Case Against Tomorrow” (1957), „Tomorrow

Times Seven” (1959), „*The Man Who Ate the World*” (1960) i „*Turn Left at Thursday*” (1961). Kariera Pohla nabrała przyspieszenia w latach siedemdziesiątych, wraz z powstaniem cyklu o Heechach, obejmującym książki: „*Gateway - Brama do gwiazd*” (1977), „*Za błękitnym horyzontem zdarzeń*” (1980), „*Spotkanie z Heechami*” (1984), „*Kroniki Heechów*” (1987), „*Kupcy wenusjańscy*” (1990) i „*The Boy Who Would Live Forever*” (2004). Zasadniczy pomysł cyklu - opuszczony port kosmiczny, stworzony przez bardzo zaawansowaną technicznie obcą rasę, dzięki któremu ludzie mają możliwość przeżycia niewiarygodnych przygód w międzygwiazdnych światach - stanowił dla Pohla idealny instrument do badania ludzkich motywacji i celów w obliczu nieznanego. Pierwszy tom cyklu zdobył trzy nagrody: Hugo, Nebula i John W. Campbell Memorial. Inne jego najbardziej znaczące teksty: „*Człowiek Plus*” (1976, bohater traci więcej, niż zyskuje, zgadzając się na fizyczną transformację, aby zaadaptować się do marsjańskich warunków) oraz „*JEM: The Making of a Utopia*” (1979, ziemską kolonię skazaną na przemoc i przesady, które zniszczyły macierzystą planetę). Oprócz licznych powieści i zbiorów opowiadań Pohl napisał wiele artykułów o sztuce pisania SF i filmach SF („*Science Fiction: Studies in Film*”, 1981, z Frederikiem Pohlem IV), a także autobiografię „*The Way the Future Was*” (1978).

Rankiem piętnastego czerwca Guy Burckhardt obudził się z krzykiem. Jeszcze nigdy w życiu nie śnił mu się tak realny sen. Nadal słyszał i czuł gwałtowne, rozrywające metal wybuchy, straszne szarpnięcia, które wyrzuciło go z łóżka jak z procy, i parzącą falę gorąca.

Usiadł, drżąc konwulsyjnie, i gapił się, nie wierząc własnym oczom, na pokój i wlewający się przez okno jasny, słoneczny blask.

- Mary? - zachrypiał.

Żony nie było w łóżku obok niego, a kołdra leżała skłębiona, jakby Mary przed chwilą dopiero wstała. Wspomnienie snu było tak silne, że instynktownie spojrzął na podłogę, sprawdzając, czy wybuch jej tam nie cisnął.

Ale Mary nie było. Oczywiście, powiedział do siebie, spoglądając na znajomą toaletkę i fotel, okno z całą szybą i niezburzoną ścianę. To tylko sen.

- Guy? - Z dołu dobiegł go jękliwy głos żony. - Guy, kochanie, wszystko w porządku?

- Jasne - zawołał słabo.

Nastąpiła chwila ciszy, potem Mary powiedziała z powątpiewaniem:

- Śniadanie gotowe. Na pewno wszystko w porządku? Wydawało mi się, że krzyczałeś.

- Miałem zły sen, słonko - powiedział Burckhardt już pewniejszym tonem. - Zaraz schodzę.



Stojąc pod prysznicem, w strugach letniej, perfumowanej wody, powiedział sobie, że ten sen to mistrzostwo świata. Koszmary senne nie należały do rzadkości, zwłaszcza te o wybuchach. Tyle że przez trzydzieści lat strachu przed bombą wodorową któż o tym nie śnił?

Okazało się, że nawet Mary znała takie sny, bo kiedy zaczął jej opowiadać, przerwała mu:

- Naprawdę? - Głos miała zdumiony. - Ojej, kochanie. Śniło mi się to samo! No, prawie to samo. Chociaż nic nie słyszałam. Śniło mi się, że coś mnie obudziło, a potem rozległo się krótkie bum i coś uderzyło

mnie w głowę. I to wszystko. Twój też był taki?

Burckhardt odkaszlnął.

- No nie - powiedział.

Mary nie należała do kobiet silnych jak mężczyźni i dzielnych jak tygrysy. Nie ma potrzeby, pomyślał, opowiadać jej o wszystkich szczegółach, które sprawiły, że sen stał się tak realistyczny. Nie ma potrzeby wspominać o połamanym żebku i słonej kuli w gardle, o bolesnej świadomości, że to śmierć. - Może w mieście naprawdę był jakiś wybuch. Może to usłyszeliśmy i nam się przyśniło.

Mary z roztargnieniem poklepała go po ręce.

- Może - zgodziła się. - Kochanie, już prawie wpół do dziewiątej. Nie powinienes się pospieszyć? Chyba nie chcesz się spóźnić do pracy.

Przełknął jedzenie, pocałował ją i wybiegł - nie tyle po to, by się nie spóźnić, ale by sprawdzić, czy słusznie się domyślił.

Ale centrum Tylerton wyglądało jak zawsze. Jadąc autobusem, patrzył przez okno, bacznie szukając śladów wybuchu. Nie było ich. Tylerton wyglądało wręcz lepiej niż kiedykolwiek. Był piękny, rześki dzień, na niebie ani jednej chmurki, budynki czyste. Zauważył, że oczyszczono fasadę Budynku Prądu i Światła, jedyne drapaczka chmur w mieście - to cena posiadania Zakładów Chemicznych Contro na przedmieściach miasta; jej wyziewy zostawiały piętno na kamiennych budynkach.

W autobusie nie było zwykłego tłumu, więc Burckhardt nie miał nawet kogo spytać o wybuch. A kiedy dotarł na róg Piątej i Lehigh, a autobus potoczył się dalej ze stłumionym jękiem diesla, prawie już sam siebie przekonał, że to wszystko sprawa jego wyobraźni.

Zatrzymał się przy kiosku z papierosami w holu biura, ale za ladą nie było Ralpa. Człowiek, który sprzedał mu paczkę papierosów, był obcy.

- Gdzie pan Stebbins? - spytał Burckhardt.

- Chory - odpowiedział grzecznie mężczyzna. - Przyjdzie jutro. Dziś paczka marlinów?

- Chesterfieldów - poprawił Burckhardt.

- Oczywiście - powiedział mężczyzna. Ale paczka, którą zdjął ze stojaka i położył na ladzie, była w nieznanym żółto-zielonym kolorach.

- Proszę spróbować tych - podsunął. - Zawierają środek zapobiegający kaszlowi. Zauważył pan, że człowiek się czasem krztusi zwykłymi papierosami?

- Nigdy nie słyszałem o tym gatunku - powiedział Burckhardt podejrzliwie.

- Oczywiście. To nowość. - Kiedy Burckhardt zawahał się, mężczyzna dodał zachęcająco: - Proszę je wypróbować, na moje ryzyko. Jeśli panu nie zasmakują, przyniesie pan pustą paczkę, a ja zwrócę pieniądze. Czy to uczciwa propozycja?

Burckhardt wzruszył ramionami.

- Nic nie tracę. Ale niech mi pan da i paczkę chesterfieldów.

Czekając na windę, zapalił. Nie były złe, choć nie miał zaufania do tytoniu nasyczonego chemikaliami. Ale zastępca Ralpha wcale mu się nie spodobał; kiosk będzie skazany na zagładę, jeśli facet każdemu klientowi będzie się tak naprzykrzał.

Drzwi windy otworzyły się przy dźwiękach piskliwej muzyki. Burckhardt i dwaj lub trzej inni wsiedli; skinął im głową, gdy drzwi się zamykały. Muzyka urwała się i z głośnika pod sufitem kabiny popłynęły zwykłe reklamy.

Nie, wcale nie zwykłe, zdał sobie sprawę. Od tak dawna poddawany był działaniu agresywnych reklam, że słuch ich prawie nie rejestrował, jednak to, co płynęło z głośników przykuło jego uwagę. Nie chodziło tylko o to, że nie znał marek produktów;

zaistniała też różnica schematu.

Były to dżingle z natarczywym, skocznym rytmem - o bezalkoholowych napojach, których nigdy nie pił, potem gorączkowa paplanina, dialog chyba dwóch nastolatków, o jakimś batonie, a potem władczy bas grzmiący: „Natychmiast wyjdźcie i kupcie PYSZNY Czeko-Gryzek, zjedzcie cały SMAKOWITY Czeko-Gryzek, to Czeko-Gryzek!”, potem zawodzący kobiecy jęk: „Chciałabym mieć Zamrażarkę Feckle! Dałabym wszystko za Zamrażarkę Feckle!”. Burckhardt dotarł na swoje piętro i wyszedł w środku ostatniej reklamy. Był trochę niespokojny. Reklamy nie dotyczyły znanych marek, nie dawały mu poczucia codzienności i zwyczajności.

Ale w biurze było na szczęście normalnie - tylko nie było pana Bartha. Panna Mitkin, ziewająca w recepcji, nie wiedziała jednak dlaczego.

- Dzwonili od niego z domu, to wszystko, Będzie jutro.

- Może pojechał do fabryki. Jest koło jego domu.

Nie obeszło jej to.

- Aha.

Burckhardtowi coś przyszło do głowy.

- Ale dziś jest piętnasty czerwca! Dzień zwrotów kwartalnych podatków! Przecież musi podpisać!

Panna Mitkin wzruszeniem ramion dała do zrozumienia, że to już problem Burckhardta, nie jej. Znowu zajęła się paznokciami.

Zdesperowany Burckhardt poszedł za swoje biurko. Rzecz nie w tym, że nie potrafiłby podpisać zwrotów równie dobrze jak Barth, pomyślał z niechęcią. To po prostu nie jego działka i tyle; za to powinien odpowiadać Barth jako kierownik biura Zakładów Chemicznych Contro.

Przemknęło mu nawet przez myśl, żeby zadzwonić na domowy numer Bartha albo łapać go w fabryce, ale szybko zrezygnował. Tak

naprawdę nie przepadał za tymi z fabryki i im rzadziej się z nimi kontaktował, tym lepiej. Raz był tam razem z Barthem; było to doświadczenie niepokojące i w pewnym sensie przerażające. Z wyjątkiem garstki dyrektorów i inżynierów w całej fabryce nie było żywej duszy, to znaczy, poprawił się, przypominając sobie, co powiedział mu Barth - ani jednej żyjącej duszy, same maszyny.

Barth twierdził, że każdą maszyną kieruje jakiś komputer, który stanowi replikę prawdziwej pamięci i umysłu człowieka. Była to nieprzyjemna myśl. Barth zapewnił go jednak ze śmiechem, że nie jest to frankensteinowskie okradanie grobów i wszczepianie mózgow w maszyny. To jedynie kwestia przeniesienia schematów nawyków komórek mózgu do komórek lampy elektronowej. Żaden człowiek nie ponosi szkody, a maszyna nie zmienia się w potwora.

A Burckhardt i tak czuł się dziwnie.

Wyrzucił Bartha, fabrykę i inne drobne denerwujące sprawy z głowy i zaczął się zmagać ze zwrotami podatków. Zanim zweryfikował kwoty, było już południe - Barth dzięki pamięci i prywatnym księgom rachunkowym zrobiłby to w dziesięć minut, powiedział do siebie z niechęcią.

Zakleił kopertę i poszedł do panny Mitkin.

- Skoro nie ma pana Bartha, lepiej idźmy na obiad na zmianę - zaproponował. - Pani może iść pierwsza.

- Dzięki. - Panna Mitkin leniwym ruchem wyjęła torebkę z szuflady biurka i zaczęła się malować.

Burckhardt podał jej kopertę.

- Proszę to wrzucić do skrzynki, dobrze? E... chwileczkę. Może powinienem zadzwonić do pana Bartha, żeby to potwierdzić. Czy jego żona coś mówiła, można do niego dzwonić?

- Nic nie mówiła. - Panna Mitkin starannie osuszyła wargi chusteczką. - Zresztą to nie była jego żona. To córka zostawiła

wiadomość.

- Mała? - Burckhardt zmarszczył brwi. - Myślałem, że jest w szkole.

- Dzwoniła, tyle wiem.

Burckhardt wrócił do swojego gabinetu i z niesmakiem zapatrzył się na nieotwartą korespondencję. Nie lubił koszmarnych snów, bo psuły mu cały dzień. Powinien zostać w łóżku, jak Barth.



W drodze do domu wydarzyło się coś śmiesznego. Na rogu, gdzie zwykle łapał autobus, było zamieszanie - ktoś wrzeszczał coś o nowym rodzaju zamrażarek, więc Burckhardt przeszedł przecnicę dalej. Zobaczył nadjeżdżający autobus i ruszył truchtem, ale za jego plecami ktoś zawołał jego nazwisko. Obejrzał się. Ku niemu biegł mały człowieczek o zaszczutym wyglądzie.

Burckhardt zawahał się, ale potem go rozpoznał. Był to daleki znajomy, niejaki Swanson. No tak, westchnął, nie zdąży już na autobus.

- Witam - powiedział.

Na twarzy Swansona malowało się napięcie.

- Burckhardt? - spytał dociekliwie, z dziwnym naciskiem. A potem stanął w milczeniu, wpatrzony w jego twarz, z jakąś palącą gorliwością, która przygasła do słabej nadziei i zamarła w żalu. Jakby szukał czegoś, na coś czekał, pomyślał Burckhardt. Ale cokolwiek to było, Burckhardt nie wiedział, co mógłby zrobić. Odkaslnął i powtórzył: - Witam, Swanson.

Swanson nawet nie zwrócił uwagi na powitanie. Westchnął bardzo głęboko.

- Na nic - wymamrotał, najwyraźniej do siebie. Skinął głową z roztargnieniem i odwrócił się.

Burckhardt przyglądał się znikającym w tłumie zgarbionym plecom. Dziwny dzień, pomyślał. Nie lubił takich. Nic nie szło jak należy.

Zastanawiał się nad tym, wracając do domu następnym autobusem. Nie było to nic strasznego czy katastrofального, tylko całkowicie obcego jego doświadczeniu. Żyjąc swoim życiem, tworzy się sieć wrażeń i reakcji. Człowiek spodziewa się pewnych rzeczy. Kiedy otwierasz apteczkę, brzytwa powinna leżeć na drugiej półce; kiedy zamykasz drzwi frontowe, powinienes lekko je docisnąć, żeby zamek się zatrzasnął. To nie rzeczy słuszne i doskonałe sprawiają, że życie staje się znajome. To rzeczy odrobinę wadliwe - zacinający się zamek, kontakt na piętrze, który trzeba mocniej przyciskać, bo sprężyna jest stara i słaba, dywanik, na którym się niezawodnie poślizniesz. Rzecz nie w tym, że w schemacie życia Burckhardta coś zaczęło się psuć, jedynie rzeczy wadliwe były nie takie. Na przykład Barth nie przyszedł do pracy, a przecież zawsze przychodził.

Burckhardt dumał nad tym podczas kolacji. Dumał, choć żona cały wieczór usiłowała wciągnąć go do brydża z sąsiadami. Lubił ich - Anne i Farleya Dennermanów. Znał ich przez całe życie. Ale tego wieczora oni także byli dziwni i zadumani, a on piąte przez dziesiąte słuchał narzekań Dennermana, że nie ma dobrego serwisu telefonicznego, i uwag jego żony o niesmacznych reklamach telewizyjnych, które ostatnio puszczają. Był na dobrej drodze do ustanowienia rekordu wszech czasów w dziedzinie nieprzerwanego zamyślenia, kiedy koło północy, z gwałtownością, która go zaskoczyła - a był jej dziwnie świadomy - odwrócił się na drugi bok i szybko i głęboko zasnął.



Rankiem piętnastego czerwca Burckhardt obudził się z krzykiem.

Jeszcze nigdy w życiu nie śnił mu się tak realny sen. Nadal słyszał wybuch, czuł podmuch, który zgniótł go o ścianę. Było jakoś dziwnie nie na miejscu, że siedzi sztywno w łóżku w schludnym pokoju.

Żona wbiegła po schodach.

- Kochanie! - krzyknęła. - Co się stało?

- Nic, zły sen - wymamrotał.

Odetchnęła, chwyciła się za serce.

- Ależ mnie przestraszyłeś - zaczęła gniewnie, ale przerwał jej jakiś hałas z zewnątrz. Jęk syren i dzwony, głośne i wstrząsające.

Burckhardtowie patrzyli na siebie przez ułamek sekundy, po czym ze strachem podbiegli do okna. Nie dostrzegli jednak pędzących wozów strażackich, tylko małą powolną furgonetkę z umocowanymi na szoferce głośnikami. To z nich dochodziły krzyki i wycie syren, coraz głośniejsze, mieszające się z warkotem wielkich silników i biciem w dzwony. Doskonałe nagranie wozów strażackich przybywających na miejsce pożaru.

- Przecież to wbrew prawu! - powiedział Burckhardt w zdumieniu.

- Wiesz, co oni robią? Puszczają nagranie akcji pożarowej. O co im chodzi?

- Może to taki żart - podsunęła żona.

- Żart! Obudzić całą okolicę o szóstej rano? - Pokręcił głową. - Policja przybędzie za dziesięć minut - zapowiedział. - Zobaczysz.

Ale policja nie przybyła ani za dziesięć minut, ani wcale. Żartownisie, kimkolwiek byli, najwyraźniej otrzymali zezwolenie na swoje figle.

Samochód zatrzymał się na środku dzielnicy i przez parę minut stał cicho. Potem z głośnika dobiegł trzask, a wreszcie gromki głos zaczął

skandować:

Zamrażarki Feckle!

Zamrażarki Feckle!

Muszę mieć

Zamrażarkę Feckle!

Feckle, Feckle, Feckle

Feckle, Feckle, Feckle...

I tak dalej. W każdym oknie pojawiły się twarze. Wrzask nie był głośny, był dosłownie ogłuszający.

Burckhard usiłował przekrzyknąć jazgot:

- Co to jest, do diabła, zamrażarka Feckle?

- Chyba jakiś typ zamrażarki, kochanie - odwrzasnęła żona, czym mu specjalnie nie pomogła.

Nagle jazgot ustał i furgonetka stała w ciszy. Poranek nadal był mglisty, promienie słońca padały na dachy. Nikt by nie uwierzył, że przed chwilą tą cichą okolicą wstrząsała w posadach zamrażarka.

- Szalony trik reklamowy - powiedział gorzko Burckhardt. Ziewnął i odwrócił się od okna. - Już lepiej się ubiorę, to pewnie koniec...

Ryk zaatakował go od tyłu, był jak mocny cios w uszy. Ostry, szyderyczy głos, donośniejszy od archanielskich trąb, zawył:

- Czy masz zamrażarkę? Jest do bani! Jeśli to nie jest zamrażarka Feckle, to jest do bani! Jeśli to zamrażarka Feckle z zeszłego roku, to jest to bani! Tylko tegoroczne zamrażarki Feckle są dobre! Wiesz, do kogo należą zamrażarki Ajax? Zamrażarki Ajax należą do chochlików! Wiesz, do kogo należą zamrażarki Triplecold? Zamrażarki Triplecold należą do komuchów! Każda zamrażarka z wyjątkiem zamrażarek Feckle jest do bani!

Potem głos zaczął bełkotać z wściekłością:

- Ostrzegam cię! Wyjdź i natychmiast kup zamrażarkę Feckle!

Spiesz się! Spiesz się do Feckle! Spiesz się do Feckle! Spiesz się, spiesz się, spiesz, Feckle, Feckle, Feckle, Feckle, Feckle, Feckle...

W końcu przestał. Burckhardt oblizał wargi i zwrócił się do żony:

- Może powinniśmy zadzwonić na policję...

...kiedy głośnik znowu eksplodował. Zaskoczył go, kiedy się tego nie spodziewał. I tak miało być. Ryknął:

- Feckle, Feckle, Feckle, Feckle, Feckle, Feckle, Feckle, Feckle. Tanie zamrażarki niszczą twoje jedzenie. Rozchorujesz się i zwymiotujesz. Rozchorujesz się i umrzesz. Kup Feckle, Feckle, Feckle, Feckle! Wyjąłeś kiedyś ze swojej zamrażarki kawałek mięsa i zobaczyłeś, że jest zgniły i spleśniały? Kup Feckle, Feckle, Feckle, Feckle, Feckle. Chcesz jeść zgniłą, śmierdzącą żywność? Czy chcesz zmądrzeć i kupić Feckle, Feckle, Feckle...

Miarka się przebrała. Palcami, które nieustannie trafiały w niewłaściwe otwory tarczy, Burckhardt zdołał wreszcie wykręcić numer posterunku. Sygnał był zajęty - oczywiście, że nie on pierwszy wpadł na tę myśl. A kiedy rozdygotany wykręcał ponownie numer, hałas na zewnątrz umilkł.

Burckhardt wyjrzał. Furgonetka znikła.



Burckhard rozluźnił krawat i zamówił u kelnera kolejny frosty-flip. Gdyby tylko w Crystal Cafe nie było tak gorąco! Świeżo odmalowane ściany - przesywające czerwienie i oślepiające żółcie - były już wystarczająco straszne, ale ktoś tutaj najwyraźniej uznał, że jest styczeń, a nie czerwiec; w lokalu było z dziesięć stopni goręcej niż na dworze.

Dwoma łykami przełknął frosty-flipa. Ma dość szczególny smak,

pomyślał, ale nieżył. Na pewno chłodzi, zgodnie z obietnicą kelnera. Zapisał w pamięci, żeby w drodze do domu kupić cały karton tego napoju, pewnie będzie smakował Mary. Ją zawsze interesowały nowości.

Kiedy zauważył zbliżającą się dziewczynę, wstał niezdarnie. Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział w Tylerton. Sięgała mu do brody, włosy miała koloru miodu, a figurę, która... no, była po prostu całą nią. Nie ma wątpliwości, że pod tą opiętą sukienką nie miała nic więcej. Kiedy się z nim przywitała, miał wrażenie, że się zarumienił.

- Witam pana. - Głos jak dalekie tam-tamy. - Cudownie, że pomimo tego poranka zgodził się pan ze mną spotkać.

Odchrząknął.

- Nic takiego. Może zechce pani usiąść, panno...

- April Horn - szepnęła, siadając obok niego, a nie na krześle naprzeciwko, które jej wskazał. - Proszę mnie nazywać April, dobrze?

Pachniała jakimiś perfumami. Burckhardt zauważył to resztką funkcjonującego mózgu. To nie fair, że w dodatku używa perfum. Ocknął się gwałtownie i uświadomił sobie, że kelner odchodzi po przyjęciu zamówienia dwóch porcji polędwicy.

- Hej! - zaprotestował.

- Proszę... - Jej ramię przywarło do niego, jej twarz była ku niemu zwrócona, jej oddech ciepły, wyraz jej twarzy czuły i błagalny. - Za wszystko płaci Korporacja Feckle. Proszę im pozwolić choć na tyle.

Poczuł, że jej dłoń zanurza się w jego kieszeni.

- Włożyłam do pańskiej kieszeni tyle, ile kosztuje ten posiłek - wyszeptwała konspiracyjnie. - Proszę to dla mnie zrobić, dobrze? To znaczy, bardzo proszę zapłacić rachunek. W takich sprawach jestem staroświecka.

Uśmiechnęła się rozbijającą, po czym przybrała żartobliwie

oficjalną minę.

- Musi pan przyjąć te pieniądze. Feckle i tak wymiga się tanim kosztem! Mógłby pan ich pozwać i zedrzeć z nich ostatnią koszulę za to, że tak panu zakłócili sen.

- No, właściwie nie było tak źle, eee... April - powiedział oszołomiony, jakby właśnie zobaczył królika znikającego w cylindrze.
- Może trochę głośno, ale...

- Och! - Błękitne oczy były wielkie i pełne podziwu. - Wiedziałam, że pan zrozumie. Po prostu... no, to taka wspaniała zamrażarka, że niektórych pracowników trochę ponosi, by się tak wyrazić. Kiedy tylko kwatera główna dowiedziała się o tym zajściu, wysłała swoich reprezentantów do każdego domu w dzielnicy, żeby przeprosili. Pańska żona powiedziała, gdzie możemy pana złapać telefonicznie - i tak bardzo się cieszę, że zgodził się pan ze mną zjeść obiad, bym i ja mogła przeprosić. Bo naprawdę to wspaniała zamrażarka. Nie powinnam tego mówić, ale... - wstydlive spuszczenie błękitnych oczu - dla zamrażarek Feckle zrobiłabym wszystko. To dla mnie coś więcej niż praca. - Podniosła wzrok. Była czarująca. - Na pewno pan myśli, że jestem niemądra, prawda?

Burckhardt odkaszlnął.

- No, więc...

- O, nie chce pan być nieuprzejmy! - Potrząsnęła głową. - Nie, niech pan nie udaje. Pan myśli, że to niemądre. Ale naprawdę, nie myślałby pan w ten sposób, gdyby wiedział coś więcej o Feckle. Proszę pozwolić, że pokażę tę książeczkę...

Burckhardt wrócił z obiadu całą godzinę później. Zatrzymała go nie tylko dziewczyna. Odbył też dziwną rozmowę z małym człowieczkiem nazwiskiem Swanson, którego ledwie znał, a który z rozpaczliwą natarczywością zatrzymał go na ulicy, by następnie zostawić w pół słowa.

Ale to nie miało większego znaczenia. Pan Barth, po raz pierwszy odkąd Burckhardt zaczął pracować w firmie, nie zjawił się w pracy i zostawił go ze zwrotami kwartalnych podatków.

Natomiast znaczenie miał fakt, że Burckhardt podpisał umowę kupna na zamrażarkę Feckle, dwanaście stóp sześciennych, model stojący, z autoodszyranianiem, cena katalogowa 625 funtów, z dziesięcioprocentową „uprzejmościową” zniżką „ze względu na tę ohydłą poranną aferę”, jak powiedziała.

I nie wiedział, jak się z tego wytłumaczy żonie.



Nie musiał się martwić. Ledwie przekroczył próg, żona niemal natychmiast powiedziała:

- Zastanawiam się, kochanie, czy nie możemy sobie pozwolić na nową zamrażarkę. Był tu pewien pan, który przeprosił za ten hałas i... no, zaczęliśmy rozmawiać, i...

Ona także podpisała umowę kupna.

To był makabryczny dzień, pomyślał później Burckhardt, idąc do łóżka. Ale ten dzień jeszcze z nim nie skończył. Na piętrze słaba sprężyna we włączniku światła w ogóle nie zadziałała. Gniewnie wcisnął go parę razy i oczywiście udało mu się go wyrwać. Nastąpiło spięcie i wszystkie światła w domu pogasły.

- Cholera! - powiedział Guy Burckhardt.

- Bezpiecznik? - Żona wzruszyła sennie ramionami. - Zostawmy to do rana.

Burckhardt pokręcił głową.

- Idź spać. Ja zaraz przyjdę.

Nie tyle zależało mu na naprawie bezpiecznika, ile był zbyt

niespokojny, by spać. Za pomocą śrubokrętu odłączył zepsuty kontakt, potem podreptał do ciemnej kuchni, znalazł latarkę i ostrożnie zszedł do piwnicy. Zlokalizował zapasowy bezpiecznik, przysunął pusty kufer, stanął na nim i wykręcił stary bezpiecznik. Kiedy nowy znalazł się na swoim miejscu, coś nagle kliknęło i z kuchni na górze dobiegł monotony pomruk lodówki.

Burckhardt podszedł do schodów i stanął.

Tam, gdzie stał przedtem stary kufer, podłoga piwnicy jakoś dziwnie lśniła. Przyjrzał się jej w świetle latarki. To był metal!

- O ty w życiu - powiedział, niedowierzająco kręcąc głową. Przyjrzał się dokładnie, kciukiem obwiodł krawędzie metalicznej ścieżki, w efekcie zyskując irytującą ranę - krawędzie były ostre!

Poplamiona cementowa podłoga piwnicy okazała się tylko cienką skorupą. Burckhardt wziął młotek i rozbił ją w dziesiątkach miejsc - wszędzie pod spodem był metal.

Cała piwnica była miedzianą skrzynką. Nawet cementowo-ceglane ściany to były fałszywe frontony, pod którymi kryły się metalowe płyty!

Zdumiony zaatakował belkę nośną. Przynajmniej ona była z prawdziwego drewna. A szyby w oknach piwnicy były z autentycznego szkła.

Possał krwawiący kciuk i zbadał podstawę schodów piwnicy. Prawdziwe drewno. Wyszczerbił cegły pod piecem olejowym. Prawdziwe. Pozostałe ściany i podłoga były fałszywe.

Tak jakby ktoś obił dom metalem i pracowicie to zatuszował.

Największym zaskoczeniem był przewrócony kadłub łodzi, zagrający połowę piwnicy, pamiątka po domowym warsztacie, pasji Burckhardta sprzed paru lat. Z góry wyglądał całkiem zwyczajnie. Ale wewnątrz, tam gdzie powinny być ławki i schowki, znajdowała się tylko plątanina surowych i niewykończonych belek.

- Przecież to ja zbudowałem! - krzyknął Burckhardt, zapominając o kciuku.

Oszołomiony oparł się o kadłub, usiłując przemyśleć tę sprawę. Z przyczyn wymykających się jego zrozumieniu ktoś zabrał jego łódź i piwnicę, a może i cały jego dom, i zastąpił je sprytną podróbką.

- Szaleństwo - powiedział w pustej piwnicy. Rozejrzał się wokół w świetle latarki. - Na Boga, po co ktoś miałby to robić?

Rozsądek odmówił mu odpowiedzi; po prostu żadnej nie było. Przez długie chwile Burckhardt kontemplował niepewną wizję swoich zdrowych zmysłów.

Znowu zajrzał pod łódź, mając nadzieję, że się pomylił, że może wyobraźnia płata mu figle. Ale prymitywne, niewykończone rusztowania się nie zmieniły. Wpełzł pod łódź, żeby się lepiej wszystkiemu przyjrzeć, z niedowierzaniem obmacał surowe drewno. Kompletnie niemożliwe!

Wyłączył latarkę i zaczął się wyczołgiwać. Nie udało się. W chwili kiedy wydał swoim nogom polecenie poruszenia się, ogarnęło go nagle, obezwładniające zmęczenie.

Świadomość znikła - nie bez oporu, jakby ktoś ją mu wydierał - i Guy Burckhardt zasnął.



Rankiem szesnastego czerwca Guy Burckhardt obudził się skulony pod kadłubem łodzi w piwnicy, i popędził na górę, gdzie się okazało, że jest piętnasty czerwca.

Przede wszystkim dokonał gorączkowej, pospiesznej inspekcji łodzi, fałszywej podłogi i imitacji kamienia. Wszystko było tak, jak zapamiętał, wszystko kompletnie niewiarygodne.

Kuchnia była cicha i banalna jak zwykle. Wskazówki elektrycznego zegara z ponurym pomrukiem sunęły wokół tarczy. Dochodziła szósta. Żona powinna się wkrótce obudzić.

Otworzył drzwi frontowe i wyjrzał na cichą ulicę. Poranna gazeta leżała rzucona niedbale na schodki, a kiedy ją podniósł, przekonał się, że jest piętnasty dzień czerwca.

Ale to niemożliwe. To wczoraj był piętnasty czerwca. Nie zapomina się takiej daty, dnia zwrotu kwartalnego podatku.

Wrócił na korytarz, podniósł słuchawkę, wykręcił numer pogodynki i usłyszał pięknie modulowaną litanię: „...i chłodniej, przelotne opady. Ciśnienie barometryczne trzydzieści przecinek zero cztery i rośnie... Biuro Meteorologii Stanów Zjednoczonych przewiduje na piętnasty czerwca: ciepło i słonecznie, zachmurzenie...”.

Odłożył słuchawkę. Piętnasty czerwca.

- Dobry Boże - westchnął. Naprawdę to bardzo dziwne. Usłyszał budzik żony i popędził na piętro.

Mary Buckhardt siedziała sztywno na łóżku, z przerażonym, nierozumiejącym spojrzeniem kogoś obudzonego z koszmaru.

- Och! - jęknęła, kiedy mąż wpadł do pokoju. - Kochanie, miałam straszliwy sen! Jakby wybuch i...

- Znowu? - spytał Burckhardt bez wielkiego współczucia. - Mary, dzieje się coś dziwnego! Wiem, że wczoraj przez cały dzień nic nie było jak należy, a...

Opowiedział jej o miedzianym pudle, które było ich piwnicą, i dziwnej makiecie, którą ktoś zastąpił jego łódź. Mary słuchała zdumiona, potem zaniepokojona, w końcu dziwnie zgodna i nerwowa.

- Kochanie, jesteś pewien? - spytała. - Bo w zeszłym tygodniu sprzątałam w tym kufrze i niczego nie zauważyłam.

- Najzupełniej pewien! - powiedział Guy Burckhardt. -

Przesunąłem go do ściany, żeby wkręcić nowy bezpiecznik, kiedy stary wywaliło i...

- Kiedy co? - Mary była już nie tylko zaniepokojona.

- Kiedy wywaliło bezpieczniki. Wiesz, kiedy ten kontakt na piętrze się zepsuł. Poszedłem do piwnicy i...

Mary wstała.

- Guy, ten kontakt się nie zepsuł. Wczoraj sama wyłączyłam światło.

Burckhardt łypnął ponuro na żonę.

- No przecież wiem, że nie! Chodź, sama popatrz.

Wielkimi krokami poszedł na podest i dramatycznym gestem wskazał zepsuty wyłącznik, który całą noc wisiał odśrubowany...

Ale teraz nie wisiał. Wyglądał jak zawsze. Burckhardt z niedowierzaniem przycisnął go i w obu korytarzach zapaliło się światło.



Mary, blada i zmartwiona, zostawiła go i poszła do kuchni robić śniadanie. Burckhardt długo stał, gapiąc się na kontakt. Jego procesy myślowe przekroczyły granicę niedowierzania i szoku; po prostu przestały funkcjonować.

Ogolił się, ubrał i zjadł śniadanie, cały czas będąc w stanie odrętwiałej autoobserwacji. Mary mu nie przeszkadzała; zachowywała się lękliwie i kojąco. Nim wybiegł bez słowa na autobus, pocałowała go na do widzenia.

Panna Mitkin w recepcji powitała go ziewnięciem.

- Dzień dobry - powiedziała ospale. - Pana Bartha dziś nie będzie.

Burckhardt zaczął coś mówić, ale opanował się. Ona nie wiedziała,

że Bartha nie było i wczoraj, bo właśnie zdierała z kalendarza kartkę z datą czternastego czerwca, żeby zrobić miejsce dla „nowej”, tej z piętnastego czerwca.

Dowlókł się chwiejnie do biurka i niewidzącym wzrokiem spojrzął na poranną korespondencję. Jeszcze nie była otwarta, ale wiedział, że w kopercie od Dystrybutorów Fabrycznych znajduje się zamówienie na dwadzieścia tysięcy stóp nowych akustycznych płytek, a w tej od Finebecka & Synów jest zażalenie.

Po długiej chwili zmusił się, żeby je otworzyć. Zgadzało się.

W porze obiadu, ogarnięty rozpaczliwym pośpiechem, zmusił pannę Mitkin, żeby pierwsza poszła na obiad - tego wczorajszego piętnastego czerwca to on poszedł pierwszy. Poszła, nieco stropiona jego nerwowym naleganiem, ale to nie miało żadnego wpływu na jego nastrój.

Zadzwoił telefon i Burckhardt podniósł z roztargnieniem słuchawkę.

- Zakłady Chemiczne Contro, centrala, mówi Burckhardt.

- Tu Swanson - powiedział ktoś i urwał.

Burckhardt czekał z nadzieją, ale to było tyle.

- Halo? - zawołał.

Cisza. Potem Swanson spytał ze smutną rezygnacją:

- Znowu nic, tak?

- Jakie nic? Swanson, czego pan chce? Podszedł pan do mnie wczoraj i odstawił ten cyrk. Pan...

- Burckhardt! - Głos się załamał. - O mój Boże, ty pamiętasz! Zostań tam, będę za pół godziny!

- O co chodzi?

- Nieważne! - powiedział człowieczek z uniesieniem. - Opowiem ci, kiedy cię zobaczę. Nic więcej nie mów przez telefon, ktoś może podsłuchiwać. Czeka tam. Zaraz, będziesz sam?

- No nie. Panna Mitkin pewnie...

- Cholera. Słuchaj, Burckhardt, gdzie jadasz obiad? Jest tam tłok i hałas?

- No, chyba tak. W Crystal Cafe. Tylko przecnicę...

- Wiem gdzie. Za pół godziny! - I trzask odkładanej słuchawki.

W Crystal Cafe nie było już czerwono, ale nadal gorąco. I dodali muzykę przeplataną reklamami. Dotyczyły frosty-flipa, papierosów marlin - leczniczych, jak mrucał spiker - i jakichś batoników Czeko-Gryzek. Burckhardt nie potrafił sobie przypomnieć, czy o nich słyszał. Ale wkrótce usłyszał więcej.

Kiedy czekał na Swansona, przez restaurację przeszła dziewczyna w celofanowej spódniczce, sprzedawczyni papierosów z nocnego klubu, z tacą malutkich cukierków w szkarłatnych papierkach.

- Czeko-Gryzki są smakowite - szeptała, zbliżając się do jego stolika. - Czeko-Gryzki to smakowita smakowitość!

Burckhardt, wypatrujący dziwnego człowieka, który do niego zadzwonił, nie zwracał na nią uwagi, ale kiedy uśmiechając się do niego, rozsypała na stoliku obok garść cukierków, zwrócił na nią uwagę i przyjrzał się bliżej.

- Ależ to panna Horn! - powiedział.

Dziewczyna upuściła tacę z cukierkami.

Burckhardt wstał, zatroskany.

- Czy coś się stało?

Ale dziewczyna uciekła.

Kierownik restauracji przyglądał się podejrzliwie Burckhardtowi, który wrócił na swoje miejsce i usiłował nie rzucić się w oczy. Przecież jej nie obraził! Może była bardzo surowo wychowana, pomyślał - mimo tej celofanowej spódniczki odsłaniającej długie, obnażone nogi - i kiedy się do niej zwrócił, uznała go za podrywacza.

Idiotyczny pomysł. Burckhardt rozejrzał się niespokojnie i wziął

menu.

- Burckhardt? - Szept był przenikliwy.

Zaskoczony Burckhardt spojrział ponad kartą. Naprzeciwko niego siedział wyraźnie spięty Swanson.

- Burckhardt! - szepnął. - Wyjdźmy stąd. Teraz już cię mają na celowniku. Jeśli chcesz przeżyć, chodź!

Nie było co z nim dyskutować. Burckhardt rzucił groźnemu kierownikowi blady, przepaszający uśmiech i wyszedł ze Swansonem. Człowieczek najwyraźniej wiedział, dokąd zmierza. Na ulicy ścisnął Burckhardta za łokieć i pognął przed siebie.

- Widziałeś ją? - spytał. - Tę Horn, w budce telefonicznej! Ściągnie ich tu w pięć minut, więc się pośpiesz!

Choć na ulicy było mnóstwo ludzi i samochodów, nikt nie zwracał uwagi na Burckhardta i Swansona. W powietrzu unosił się chłód - jest bardziej jak w październiku niż czerwcu, pomyślał Burckhardt, inaczej, niż mówiła pogodynka. I poczuł się jak idiota, idąc za tym małym wariatem, uciekając od jakichś „ich” ku... ku czemu? To mógł być wariat, ale najwyraźniej czegoś się bał. A strach jest zaraźliwy.

- Tutaj! - wydyszał człowieczek.

Była to inna restauracja, właściwie bar, i to należący do drugiego sortu, w takich Burckhardt nigdy nie bywał.

- Prosto przed siebie - szepnął Swanson i Burckhardt, jak posłuszny chłopczyk, wyminął liczne stoliki i znalazł się w głębi lokalu.

Pomieszczenie miało kształt litery L, z frontem od dwóch ulic stykających się pod kątem prostym. Wyszli na boczną ulicę, Swanson posłał zimne spojrzenie patrzącemu na nich ze zdziwieniem kasjerowi i przeszli na chodnik po drugiej stronie.

Znaleźli się pod markizą kina. Swanson zaczął się uspokajać.

- Zgubiliśmy ich! - zaskrzeczał cicho. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Podszedł do kasy i kupił dwa bilety. Burckhard wszedł za nim. Leciał właśnie poranek filmowy i widownia była prawie pusta. Od ekranu dobiegły strzały i tętent kopyt. Samotny bileter, opierający się o błyszczącą mosiężną poręcz, obrzucił ich przelotnym spojrzeniem i znudzony znowu zaczął się gapić na film. Swanson sprowadził Burckhardta w dół po wykładanych dywanem marmurowych schodach.

Znaleźli się w pustym holu. Były tu drzwi z napisem „Dla mężczyzn” i „Dla pań”, a także trzecie, ze złotymi literami DYREKCJA. Swanson przyłożył do nich ucho, delikatnie je otworzył i zajrzał do środka.

- W porządku - powiedział i zrobił zapraszający gest.

Burckhardt wszedł w ślad za nim do pustego gabinetu, a potem zauważył kolejne nieoznaczone drzwi - być może do szafy.

Ale to nie była szafa. Swanson otworzył je ostrożnie, zajrzał do środka i dał Burckhardtowi znak, żeby szedł za nim.

Był to jasno oświetlony tunel o metalowych ścianach. Pusty, ciągnący się daleko w obu kierunkach.

Burckhardt rozejrzał się ze zdziwieniem. Wiedział jedno, i był tego pewien: Takiego tunelu nie ma pod Tylerton.



Z tunelu weszli do pokoju z krzesłami, biurkiem i czymś, co wyglądało jak ekrany telewizyjne. Swanson padł na krzesło, dysząc.

- Na razie jesteśmy bezpieczni - wydyszał. - Już tu nie przychodzą. A jak przyjdą, usłyszymy ich i zdążymy się ukryć.

- Kto przyjdzie? - spytał Burckhardt.

- Marsjanie! - powiedział człowieczek. Głos mu się załamał i jakby

uszło z niego życie. Ciągnął ponuro: - Właściwie to myślę, że to Marsjanie. Choć możesz mieć rację, wiesz. Przez te ostatnie tygodnie miałem mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć, jak cię złapali, a możliwe, że to jednak Rosjanie. Mimo to...

- Zacznij od początku. Kto mnie złapał?

Swanson westchnął.

- Więc znowu od pieca. Dobrze. Jakies dwa miesiące temu, późnym wieczorem, zacząłeś się dobijać do moich drzwi. Byłeś strasznie wzburzony - przerażony do szaleństwa. Błagałeś, żebym ci pomógł...

- Naprawdę?

- Oczywiście nic nie pamiętasz. Posłuchaj, a zrozumiesz. Gadałeś jak nieprzytomny, że cię złapali i grozili ci, a twoja żona umarła i wróciła do życia, i masę innych poplątanych nonsensów. Myślałem, że oszalałeś. Ale... no, zawsze cię bardzo szanowałem. A ty mnie błagałeś, żebym cię ukrył, no a ja mam ciemnię, wiesz. Można ją zamknąć tylko od środka. Sam zakładałem zamek. Więc cię tam zabrałem - żeby cię uspokoić - i jakoś o północy, czyli piętnaście lub dwadzieścia minut później, straciliśmy przytomność.

- Straciliśmy przytomność?

Swanson pokiwał głową.

- Obaj. Jakbyśmy oberwali workiem piachu. Słuchaj, a wczoraj ci się to nie zdarzyło?

- Chyba tak. - Burckhardt niepewnie potrząsnął głową.

- Jasne. I nagle znowu byliśmy przytomni, a ty powiedziałaś, że chcesz mi pokazać coś śmiesznego, wyszliśmy i kupiliśmy gazetę. I była datowana na piętnasty czerwca.

- Piętnasty czerwca? Ależ to dzisiaj! Przecież...

- Załapałeś, przyjacielu. To zawsze jest dzisiaj!

Trzeba było czasu, żeby to dotarło.

- Przez ile tygodni ukrywałeś się w tej ciemni? - spytał zdumiony Burckhardt.

- Skąd mam wiedzieć? Cztery albo pięć, straciłem rachubę. A każdy dzień taki sam - zawsze piętnasty czerwca, moja gospodyni, pani Keefer, zawsze zamiata frontowe schodki, w gazetach na rogu zawsze te same nagłówki. Robi się monotennie, przyjacielu.



Pomysł był Burckhardta, Swansonowi nie bardzo odpowiadał, ale się dostosował. Był z tych, którzy się zawsze dostosowują.

- To niebezpieczne - burczał z troską. - A gdyby ktoś przyszedł? Zauważą nas i...

- Co mamy do stracenia?

Swanson wzruszył ramionami.

- To niebezpieczne - spróbował znowu. Ale się dostosował.

Pomysł był bardzo prosty. Pewne było tylko jedno - tunel dokądś prowadzi. Marsjanie czy Rosjanie, fantastyczny spisek czy wariackie halucynacje, cokolwiek złego działa się w Tylerton, miało wyjaśnienie, a szukać go należało na końcu tunelu.

Ruszyli truchtem. Przebiegli ponad milę, zanim koniec tunelu pojawił się w zasięgu wzroku. Mieli szczęście - przynajmniej nikogo nie spotkali. Ale Swanson powiedział, że tunel wydaje się używany tylko w pewnych godzinach.

Zawsze piętnasty czerwca. Dlaczego, zadawał sobie pytanie Burckhardt. Nieważne jak. Dlaczego?

I to zasypianie, kompletnie wbrew woli - wszyscy w tym samym czasie, jak się wydawało. I ta niepamięć, totalne zapomnienie - Swanson opowiedział, jak się ucieszył, kiedy znowu zobaczył

Burckhardta, rankiem, kiedy Burckhardt nieostrożnie zwlekał pięć minut za długo z powrotem do ciemni. Kiedy Swanson do niej przyszedł, Burckhardta nie było. Swanson zobaczył go po południu na ulicy, ale Burckhardt niczego nie pamiętał.

I tak Swanson tygodniami żył jak mysz pod miotłą, ukrywając się w nocy po kątach, a za dnia wykradając, by z żalosną nadzieją szukać Burckhardta, przemykać się na obrzeżach życia, starając się nie zwracać na siebie śmiercionośnych oczu Ich.

Oni. Jedną z „Onych” była dziewczyna April Horn. To ona, wchodząc od niechcienia do budki telefonicznej i już z niej nie wychodząc, naprowadziła Swansona na ślad tunelu. Innym był mężczyzna z kiosku z papierosami w biurze Burckhardta. Było ich jeszcze więcej, co najmniej tuzin, których Swanson znał lub podejrzewał.

Łatwo było ich zauważyć, kiedy wiedziało się już, gdzie szukać, bo tylko oni w całym Tylerton zmieniali swoje zachowanie z dnia na dzień. Burckhardt jeździł autobusem o 8.51, codziennie rano każdego dnia, który był piętnastym czerwca, nigdy ani odrobinę inny. Ale April Horn zmieniała się - czasami była tandetna w tej celofanowej spódnicy, rozdając cukierki lub papierosy, czasami ubrana skromnie, czasami Swanson w ogóle jej nie widział. Rosjanie? Marsjanie? Kimkolwiek byli, co zamierzali zyskać na tej szalonej maskaradzie?

Burckhardt nie znał odpowiedzi, ale mogła się znajdować za drzwiami na końcu tunelu. Ostrożnie zaczęli nasłuchiwać i doszły ich dalekie dźwięki, które nie całkiem dawały się rozpoznać, ale nie budziły strachu. Prześliznęli się na drugą stronę.

I poprzez obszerne pomieszczenie i schody znaleźli się w miejscu, które Burckhardt rozpoznał jako fabrykę Zakładów Chemicznych Contro.

Nikogo nie było widać. Samo w sobie nie było to bardzo dziwne;

w zautomatyzowanej fabryce nigdy nie ma zbyt wielu osób. Ale Burckhardt pamiętał ze swojej jedynej wizyty nieustanny ruch, otwierające się i zamykające zawory, kadzie, które się same opróżniały i napełniały, mieszały, podgrzewały i chemicznie smakowały bulgoczące w nich płyny. W fabryce nigdy nie było ludzi, ale nie było i bezruchu.

A teraz był. Oprócz tych dalekich dźwięków nie było w niej cienia życia. Uwięzione elektroniczne mózgi nie wysyłały rozkazów; zwoje i przekaźniki były beczynne.

- Chodź - powiedział Burckhardt.

Swanson niechętnie podążył za nim przez zawiłe szeregi kolumn i zbiorników z nierdzewnej stali.

Szli jak w obecności zmarłych. W pewnym sensie tak było, bo czymże były te automatomy, które niegdyś kierowały fabryką, jeśli nie zwłokami? Maszynami kierowały komputery, które tak naprawdę wcale nie były komputerami, lecz elektronicznymi analogiami żywych mózgów. A jeśli zostały wyłączone, czy nie były martwe? W końcu każdy był niegdyś ludzkim mózgiem.

Weźcie wybitnego chemika specjalizującego się w ropie naftowej, niedościgle biegłego w jej oczyszczaniu. Zwiążcie go, wysondujcie mózg elektronicznymi igłami. Maszyna zeskanuje schematy mózgu, przełoży to, co widzi, na wykresy i sinusoidy. Jeśli potem przekażecie te same fale komputerowi, otrzymacie chemika. Albo tysiąc jego kopii, jeśli chcecie, z całą jego wiedzą i umiejętnościami, kompletnie jednak pozbawionego ludzkich ograniczeń.

Umieście w fabryce tuzin jego kopii, a będą nią zarządzać dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, nigdy niezmeęzone, nigdy niczego nieprzeoczące, nigdy niezapominające.

Swanson przysunął się do Burckhardta.

- Boję się - powiedział.

Teraz szli przez halę i hałas był głośniejszy. Nie były to dźwięki maszyn, lecz głosy; Burckhardt podszedł ostrożnie do drzwi i odważył się przez nie spojrzeć.

Był to mniejszy pokój, pełen telewizyjnych ekranów, a przed każdym - było ich tuzin lub więcej - siedzieli mężczyzna lub kobieta, wpatrzeni w ekran, rejestrując uwagi na magnetofonach. Zmieniali kolejne sceny; nigdy na dwóch ekranach nie pojawił się ten sam obraz.

Obrazy zdawały się mieć ze sobą mało wspólnego. Jeden przedstawiał sklep, w którym dziewczyna ubrana jak April Horn demonstrowała domowe zamrażarki. Drugi to była seria ujęć kuchni. Burckhardt zauważył mgnienie czegoś, co wyglądało jak kiosk z papierosami w biurze.

Było to zastanawiające i Burckhardt z rozkoszą zostałby, żeby rozwikłać zagadkę, ale panował tam za duży ruch. Istniało niebezpieczeństwo, że ktoś spojrzy w ich stronę albo wejdzie i znajdzie ich.



Trafili do następnego pomieszczenia. Było puste. Wyglądało jak gabinet, wielki i dostatni, a na środku stało zaśmiecone papierami biurko. Burckhardt przyjrzał się im, z początku przelotnie, potem, kiedy treść jednego przykuła jego uwagę, z fascynacją pełną niedowierzania.

Chwycił arkusz leżący na wierzchu, przejrzał go, potem drugi, a Swanson gorączkowo przeszukiwał szuflady.

Burckhardt zaklął z niedowierzaniem i upuścił dokument na biurko.

Swanson, ledwie to dostrzegając, pisnął ze szczęścia:

- Patrz! - Wyjął z biurka broń. - W dodatku nabita!

Burckhardt stał nad nim, usiłując zrozumieć to, co przeczytał. Potem, kiedy słowa Swansona do niego dotarły, oczy mu zaiskrzyły.

- Brawo! - powiedział. - Zabieramy to. Wyjdziemy stąd z bronią, Swanson. I nie idziemy na policję. Nie na policję w Tylerton, może do FBI. Spójrz na to!

Kartka, którą wręczył Swansonowi, nosiła nagłówek: „Raport postępów na obszarze testowym. Temat: kampania papierosów marlin”. Dalej następowały cyfry, które dla Burckhardta i Swansona znaczyły niewiele, ale pod koniec znajdowało się podsumowanie o treści:

Choć Test 47-K3 zachęcił dwukrotnie więcej nowych użytkowników niż jakikolwiek z innych dotąd przeprowadzonych, nie można go stosować na tym polu ze względu na lokalny zakaz używania furgonetki nagłaśniającej.

Wyniki w grupie 47-K12 zajęły drugie miejsce i zalecamy, by w tej sprawie przeprowadzić ponowne testy, wypróbując każdą z trzech najlepszych kampanii z i bez dodatku techniki próbek.

Alternatywnym rozwiązaniem mogłoby być zastosowanie bezpośrednio najlepszego podejścia w cyklu K12, jeśli klient nie życzy sobie ponosić kosztów dodatkowych testów.

Wszystkie prognozy mają 80% prawdopodobieństwa znalezienia się w jednej drugiej jednego procenta prognoz i ponad 99% prawdopodobieństwa znalezienia się w 5%.

Swanson przeniósł spojrzenie z kartki na oczy Burckhardta.

- Nie rozumiem - poskarżył się.

- Nie dziwię ci się. To szaleństwo, ale pasuje do faktów. Swanson, to pasuje do faktów. To nie Rosjanie ani Marsjanie. To są ludzie z

reklamy. Jakoś - Bóg jeden wie jak - przejęli Tylerton. Mają nas wszystkich: ciebie, mnie i dwadzieścia lub trzydzieści tysięcy innych ludzi. Może nas zahipnotyzowali, a może to coś innego, ale jakkolwiek to robią, pozwalają nam żyć tylko w jednym dniu. Od rana do wieczora bombardują nas reklamami. Pod koniec dnia sprawdzają, co się stało - a potem wycierają ten dzień z naszej pamięci i od rana zaczynają z inną reklamą. Swanson stał z otwartymi ustami. Zdołał je zamknąć i przełknąć ślinę.

- Szaleństwo - powiedział martwo.

Burckhardt pokręcił głową.

- Jasne, brzmi wariacko, ale cała ta sytuacja jest wariactwem. Jak inaczej ją wyjaśnimy? Nie możesz przeczyć, że prawie całe Tylerton wciąż od nowa przeżywa ten sam dzień. Sam widziałeś! To właśnie jest szaleństwo i musimy przyznać, że dzieje się naprawdę - chyba że to my oszaleliśmy. A kiedy przyznamy, że jakoś, jakimś cudem, komuś udało się to osiągnąć, reszta zaczyna się układać. Zastanów się, Swanson! Testują wszystko, do ostatniego szczegółu, zanim wydadzą choć grosz na reklamę! Masz pojęcie, co to znaczy? Bóg jeden wie, jakie pieniądze są w to zaangażowane, ale wiem na pewno, że niektóre firmy wydają dwadzieścia lub trzydzieści milionów dolarów rocznie na reklamę. Pomnóż to, powiedzmy, przez sto firm. Powiedzmy, że każda nauczy się ograniczać koszty reklamy o marne dziesięć procent. A to małe miki, wierz mi.

Jeśli będą z góry wiedzieć, co zadziała, mogą obciąć koszty o połowę - może mniej niż połowę, nie wiem. Ale to oznacza oszczędzenie dwustu lub trzystu milionów dolarów rocznie, a jeśli płacą tylko dziesięć lub dwadzieścia procent za udostępnienie Tylerton, to dla nich są to grosze, a dla tego, kto opanował Tylerton - fortuna.

Swanson oblizał wargi.

- To znaczy - zaczął z wahaniem - że jesteśmy... no, kimś w rodzaju zniewolonych widzów?

Burckhardt zmarszczył brwi.

- Nie całkiem. - Zastanawiał się przez chwilę. - Wiesz, jak lekarz testuje coś w rodzaju penicyliny? Hoduje kilka małych kolonii zarazków na żelatynie i kolejno wypróbówuje na nich lekarstwo, za każdym razem trochę je zmieniając. No, i to właśnie my - my jesteśmy tymi zarazkami, Swanson. Ale to bardziej skuteczne. Nie muszą eksperymentować na więcej niż jednej kolonii, bo mogą ją wykorzystywać bez końca.

Swanson nie mógł tego pojąć. Spytał tylko:

- Ale co my mamy z tym wspólnego?

- Idziemy na policję. Nie mogą traktować ludzi jak doświadczalne króliki!

- Jak trafimy na policję?

Burckhardt zawahał się.

- Chyba... - zaczął powoli. - Jasne. To gabinet kogoś ważnego. My mamy broń. Zaczekamy tu, aż przyjdzie. I on nas stąd wyprowadzi.

Proste i skuteczne. Swanson ustąpił i usiadł pod ścianą, w miejscu niewidocznym od strony drzwi. Burckhardt zajął pozycję za samymi drzwiami... I zaczęli czekać.



Oczekiwanie wcale nie trwało tak długo. Może pół godziny. Potem Burckhardt usłyszał zbliżające się głosy i zdążył jeszcze ostrzec szeptem Swansona, zanim przywarł do ściany.

Były to głosy mężczyzny i dziewczyny. Mężczyzna mówił:

- ...przyczyny, dla których nie mogłaś złożyć raportu telefonicznie?

Psujesz cały dzień testów! Co z tobą, Janet, do diabła?

- Przepraszam, panie Dorchin - odpowiedziała dziewczyna słodkim, czystym głosem. - Uznałam, że to ważne.

Mężczyzna burknął:

- Ważne! Jedna marna jednostka z dwudziestu jeden tysięcy.

- Ale to ten Burckhardt. Znowu. I zniknął nam z oczu tak, że musiał mieć jakąś pomoc.

- Dobrze, dobrze. To nieważne, program Czeko-Gryzka i tak ma wyprzedzenie. A skoro już tu jesteś, wejdź do gabinetu i wypełnij arkusz pracy. I nie martw się o tego Burckhardta. Pewnie się tylko włóczy. Zgarniemy go w nocy i...

Weszli do gabinetu. Burckhardt kopniakiem zatrzasnął drzwi i pokazał na broń.

- To jest to, na co wygląda - oznajmił triumfująco.

To było warte tych godzin strachu, ogłupiającego poczucia szaleństwa, zamieszania i lęku. Było to najbardziej satysfakcjonujące wrażenie, jakiego Burckhardt kiedykolwiek doznał. Słyszał, że można mieć taką minę, jaka pojawiła się na twarzy tego człowieka, ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie widział: usta Dorchina rozdziawiły się, oczy wyszły z orbit i choć zdołał wykrztusić dźwięk, który mógł być pytaniem, nie było tam słów.

Dziewczyna była niemal równie zaskoczona. A Burckhardt, spoglądając na nią, zrozumiał, dlaczego jej głos brzmiał tak znajomo. To ona przedstawiła mu się jako April Horn.

Dorchin szybko doszedł do siebie.

- To ten? - spytał ostro.

- Tak - powiedziała.

Dorchin skinął głową.

- Cofam wszystko. Miałaś rację. Ty, e... Burckhardt. Czego chcesz?

- Uważaj! - pisał Swanson. - Może mieć jakąś inną broń.

- Więc go przeszukaj - rozkazał Burckhardt. - Powiem ci, czego chcemy, Dorchin. Chcemy, żebyś poszedł z nami do FBI i wyjaśnił im, jak zdołaliście porwać dwadzieścia tysięcy ludzi.

- Porwać? - parsknął Dorchin. - To śmieszne, człowieku! Odłóż tę broń. To ci nie ujdzie na sucho!

Burckhardt z ponurą miną zważył broń w rękę.

- A mnie się wydaje, że ujdzie.

Dorchin był wściekły i pełen niesmaku, ale, co dziwne, nie bał się.

- Cholera... - zaczął gromkim głosem, potem zamknął oczy i przełknął. - Słuchaj - powiedział przekonująco - popełniasz wielki błąd. Nikogo nie porwałem, uwierz!

- Nie wierzę - oznajmił brutalnie Burckhardt. - Dlaczego miałbym?

- Bo to prawda! Daję ci słowo.

Burckhardt pokręcił głową.

- FBI może ci wierzyć na słowo, jeśli zechce. Przekonamy się. A teraz wyprowadź nas stąd.

Dorchin otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Burckhardt eksplodował.

- Nie wchodź mi w drogę! Zabiję cię, jeśli będę musiał. Nie rozumiesz? Przeżyłem dwa piekielne dni i za każdą sekundę winą obarczam ciebie. Zabić cię? To by była rozkosz, a nie mam nic do stracenia! Wyprowadź nas stąd!

Wyraz twarzy Dorchina nagle stał się nieprzenikniony. Wyglądało na to, że chce się poruszyć, ale blondynka, którą nazywał Janet, stanęła na linii strzału.

- Proszę - zwróciła się błagalnie do Burckhardta. - Pan nie rozumie. Panu nie wolno strzelić!

- Z drogi!

- Ale...

Nie skończyła. Dorchin z nieprzeniknioną twarzą ruszył do drzwi.

Burckhardt otrzymał o jeden cios za dużo. Z rykiem wycelował broń. Dziewczyna krzyknęła ostro. Pociągnął za spust. Zbliżyła się do niego, a w jej oczach dostrzegł i litość, i błaganie.

Burckhardt instynktownie wycelował nisko, by okaleczyć, nie zabić, ale nigdy nie miał dobrego oka.

Kula trafiła ją w żołądek.

Dorchin już uciekł, trzasnął drzwiami, kroki ucichły w oddali.

Burckhardt rzucił broń i przyskoczył do dziewczyny.

Swanson jęczał.

- To nasz koniec, Burckhardt. No i dlaczego to zrobiłeś? Mogliśmy uciec. Mogliśmy iść na policję. Już praktycznie tam byliśmy! I...

Burckhardt nie słuchał. Ukłękł przy dziewczynie. Leżała na plecach, z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Nie było krwi, właściwie ani śladu rany, ale leżała w pozycji niemożliwej dla żywego człowieka.

A jednak nie była martwa.

Nie była martwa - a Burckhardt, zlodowaciały obok niej, pomyślał: i nie jest też żywa.

Nie było tętna, ale rytmicznie poruszała rozprostowanymi palcami dłoni. Nie było odgłosu oddechu, ale był syczący, skwierczący dźwięk. Oczy były otwarte i spoglądały na Burckhardta. Nie było w nich strachu ani bólu, tylko litość głębsza od piekła.

Nienaturalnie poruszając wargami, powiedziała:

- Proszę się nie martwić. Nic... mi nie jest.

Wpatrzony w nią Burckhardt zakołysał się na piętach. Tam, gdzie powinna się pojawić krew, ziała wyrwa w substancji, która nie była ciałem. I zwój cienkiego, złotomiedzianego drutu.

Burckhardt zwilżył wargi.

- Jesteś robotem - powiedział.

Dziewczyna usiłowała skinąć głową. Drgające wargi wyszeptały:

- Tak. Tak jak pan.

Swanson, wydawszy jeden jedyny nieartykułowany dźwięk, podszedł do biurka i usiadł wpatrzony w ścianę. Burckhardt zakołysał się koło roztrzaskanej lalki na podłodze. Nie znajdował słów.

Dziewczyna zdołała przemówić.

- Prze... praszam, że do tego doszło. - Śliczne wargi wykrzywiły się w szyderczym grymasie agonii, przerażającym w tej gładkiej młodej twarzy. Odzyskała nad nimi kontrolę. - Przepraszam - powiedziała znowu. - Ośrodek... nerwowy znajdował się w pobliżu wlotu kuli. Trudno mi... panować nad tym ciałem.

Burckhardt pokiwał automatycznie głową, przyjmując przeprosiny. Roboty. To oczywiste, teraz to rozumiał. Od dawna wiedział, że to nieuniknione. Pomysły o hipnozie, Marsjanach czy czymś jeszcze dziwniejszym - idiotyczne z tego prostego powodu, że roboty lepiej i ekonomiczniej pasowały do faktów.

Miał wszystkie dowody przed nosem. Zautomatyzowana fabryka z przeszczepionymi mózgami - dlaczego nie przeszczepić mózgu humanoidalnemu robotowi, nie dać mu cech i postaci pierwotnego właściciela?

Czy taki robot może wiedzieć, że jest robotem?

- My wszyscy - powiedział, ledwie zdając sobie sprawę, że odezwał się na głos. - Moja żona, sekretarka, ty, sąsiedzi. Wszyscy tacy sami.

- Nie. - Głos brzmiał silniej. - Niezupełnie tacy sami. Ja miałam wybór. Ja... - Tym razem konwulsyjnego grymasu nie spowodowała wada nerwów. - Byłam brzydką kobietą, miałam prawie sześćdziesiąt lat. Życie mnie omijało. A kiedy pan Dorchin zaproponował mi szansę drugiego życia w ciele pięknej dziewczyny, skorzystałam. Proszę mi wierzyć, skorzystałam pomimo wszystkich

minusów. Moje ciało nadal żyje - śpi, podczas gdy ja jestem tutaj. Mogłabym do niego wrócić. Ale nigdy nie wrócę.

- A reszta nas?

- To co innego. Ja tu pracuję. Wykonuję rozkazy pana Dorchina, sporządzam zestawienia wyników testów reklamowych, obserwuję życie pańskie i innych, kiedy was ożywia. Robię to z wyboru, ale wy nie macie wyboru. Ponieważ, widzi pan - jesteście martwi.

- Martwi? - krzyknął Burckhardt. Niemal wrzasnął.

Niebieskie oczy spoglądały na niego nieruchomo i zrozumiał, że to nie kłamstwo. Przełknął ślinę. Zadumał się nad skomplikowanym mechanizmem, który pozwalał mu przeżywać, pocić się i jeść.

- O - powiedział. - Wybuch z mojego snu.

- To nie był sen. Ma pan rację - wybuch. Był prawdziwy i jego przyczyną była ta fabryka. Zbiorniki pękły i czego nie załatwiła eksplozja, po chwili dokończyły opary. Ale niemal wszyscy zginęli w wybuchu, dwadzieścia jeden tysięcy osób. Pan zginął wraz z nimi i na tym polegała szansa Dorchina.

- Przeklęty wampir - powiedział Burckhardt.

Wyłamane ramiona poruszyły się z dziwną gracją.

- Dlaczego? Was już nie było. A Dorchin chciał właśnie czegoś takiego, jak pan i wszyscy pozostali - całe miasto, idealny kawałek Ameryki. Schemat z martwego mózgu jest równie łatwo przenieść jak z żywego. Nawet łatwiej - martwy nie może się sprzeciwić. O, trzeba było sporo pracy i pieniędzy - całe miasto było zburzone - ale całkowite odbudowanie go było możliwe, zwłaszcza że nie trzeba było dbać o szczegóły. Zdarzały się domy, gdzie nawet mózg uległ kompletnemu zniszczeniu, i te stoją puste. Były piwnice, które nie muszą wyglądać doskonale, i ulice, które nie mają znaczenia. Zresztą to miało trwać tylko jeden dzień. Ten sam dzień - piętnasty czerwca - ciągle od nowa. A jeśli ktoś zauważy coś dziwnego, jego odkrycie nie

będzie miało czasu się rozejść i zaszkodzić testom, bo wszystkie błędy są kasowane o północy.

Twarz usiłowała się uśmiechnąć.

- To właśnie jest sen, ten dzień, piętnasty czerwca, bo pan go nigdy nie przeżył. To prezent od pana Dorchina, sen, który wam daje, a potem pod koniec dnia odbiera, gdy ma już wszystkie wyniki waszych reakcji na odmianę kolejnego testu. Wtedy tunelem przychodzi ekipa remontowa, która przemierza całe miasto, odsącza sen elektronicznymi sączkami, a potem wszystko zaczyna się od nowa. Od dnia piętnastego czerwca. Zawsze piętnasty czerwca, bo czternasty jest ostatni, który zapamiętaliście za życia. Czasami ekipa kogoś przeoczy - tak jak przeoczyli pana, kiedy leżał pan pod łodzią. Ale to nieważne. Ci, których ominięto, natychmiast się zdradzają - a jeśli nie, to nie ma wpływu na test. Bo nas się nie odsącza, nas, którzy pracujemy dla Dorchina. Śpimy, kiedy prąd jest wyłączony, tak jak wy. Ale budzimy się ze wspomnieniami. - Jej twarz dziko się skrzywiła. - Gdybym mogła zapomnieć!

- Wszystko to po to, żeby sprzedać towar? - spytał Burckhardt z niedowierzaniem. - To musiało kosztować z milion!

- Kosztowało - powiedział robot zwany April Horn. - Ale Dorchin zarobił na tym miliony. A to jeszcze nie koniec. Kiedy znajdzie idealne słowa, zmuszające ludzi do działania, czy myślisz, że na tym poprzestanie? Czy myślisz...

Drzwi się otworzyły, przerywając jej. Burckhardt odwrócił się gwałtownie. Podniósł broń, ponieważ przypominając sobie o ucieczce Dorchina.

- Nie strzelaj - rozkazał spokojnie głos. Nie był to jednak Dorchin, tylko inny robot, nie ukryty przemyślnie pod plastikiem i kosmetykami, lecz prawdziwy i lśniący. Powiedział metalicznie: - Zapomnij, Burckhardt. Niczego nie osiągniesz. Oddaj mi broń, zanim

narobisz więcej szkód. Oddaj natychmiast.

Burckhardt ryknął. Na torsie robota lśniła stal; nie był wcale pewien, czy kule ją przebiją, a jeśli, to czy uczynią jakąś szkodę. Będzie musiał spróbować.

Ale zza jego pleców wyprysnął skomlący, uciekający wir - Swanson - ogarnięty histerycznym strachem. Wpadł na Burckhardta i przewrócił go na ziemię. Broń upadła.

- Litości! - wybełkotał niezrozumiale, leżąc plackiem przed stalowym robotem. - On by cię zastrzelił... nie rób mi krzywdy! Chcę dla was pracować, jak ta dziewczyna. Zrobię wszystko, wszystko, co każesz...

- Nie potrzebujemy twojej pomocy - powiedział głos robota.

Wystarczyły dwa precyzyjne kroki i minął broń, zostawiając ją na podłodze.

Uszkodzony jasnowłosy robot powiedział bez emocji:

- Panie Dorchin, wątpię, czy wytrzymam dłużej.

- Rozłącz się, jeśli musisz - odparł stalowy robot.

Burckhardt wytrzeszczył oczy.

- Przecież nie jesteś Dorchinem!

Stalowy robot zwrócił na niego głębokie oczy.

- Jestem - powiedział. - Nie w cielesnej postaci, ale tego ciała aktualnie używam. Wątpię, żebyś zdołał je uszkodzić bronią. Ciało drugiego robota było bardziej wrażliwe. Teraz daj spokój tym nonsensom! Wolę uniknąć uszkodzenia cię, jesteś zbyt kosztowny. Zechcesz usiąść i pozwolić, żeby ekipa remontowa cię wyregulowała?

- Nie... nie ukarzenie nas? - spytał pokornie Swanson.

Stalowy robot nie miał mimiki, ale w jego głosie zabrzmiało niemal zaskoczenie.

- Ukarać was? - powtórzył, podnosząc głos. - Jak?

Swanson zadygotał, jakby to słowo było batem, ale Burckhardt

wybuchnął:

- Wyregulujcie jego, jeśli wam pozwoli, ale nie mnie! Będziesz mnie musiał bardzo uszkodzić. Nie obchodzi mnie, ile kosztowałem ani ile kłopotu będziesz miał z poskładaniem mnie do kupy. Zaraz wyjdę przez te drzwi. Jeśli chcesz mnie zatrzymać, będziesz musiał mnie zabić. W żaden inny sposób mnie nie powstrzymasz!

Stalowy robot zrobił pół kroku w jego stronę. Burckhardt mimowolnie zwolnił. Stał napięty i dygoczący, gotowy na śmierć, gotowy na atak, gotowy na wszystko, co mogłoby nastąpić.

Gotowy na wszystko z wyjątkiem tego, co nastąpiło. Stalowe ciało Dorchina bowiem po prostu się odsunęło, stając między Burckhardtem i bronią, ale nie broniąc wyjścia.

- Idź. Nikt cię nie zatrzymuje.



Za drzwiami Burckhardt zatrzymał się gwałtownie. Dorchin chyba oszalał, skoro pozwolił mu odejść. Robot czy ciało, ofiara czy beneficjent, nikt nie przeszkodzi mu dotrzeć do FBI czy jakiegokolwiek jednostki, którą znajdzie za granicami opiekuńczego cesarstwa Dorchina. Z pewnością firmy płacące Dorchinowi za wyniki testów nie miały pojęcia o upiornej technice, którą stosował; musiał to przed nimi ukrywać, bo choćby cień rozgłosu położyłby jej kres. Wyjście oznaczało być może śmierć, ale na tym etapie swego pseudożycia Burckhardt nie bał się śmierci.

W korytarzu nikogo nie było. Znalazł okno i wyjrzał przez nie. Tam było Tylerton, erzac miasta, wyglądający tak prawdziwie i znajomo, że niemal uwierzył, iż całe zajście mu się przyśniło. Ale to nie był sen. Był tego zupełnie pewien i równie pewien, że nikt w

Tylerton mu nie pomoże.

Musiał iść w innym kierunku.

Znalezienie wyjścia zajęło mu kwadrans, ale udało się - przemykał korytarzami, unikając podejrzanych kroków, pewien, że całe to ukrywanie się jest zbędne, że Dorchin bez wątpienia wie o każdym jego ruchu. Ale nikt go nie zatrzymał i w końcu dotarł do drugich drzwi.

Od wewnątrz były to zwyczajne drzwi, ale kiedy je otworzył i wyszedł, zobaczył coś zupełnie nieznanego.

Po pierwsze - światło. Olśniewające, niewiarygodne, oślepiające światło. Podniósł spojrzenie, niedowierzający i przestraszony.

Stał na krawędzi gładkiego, wypolerowanego metalu. Niespełna dwanaście jardów od jego stóp krawędź kończyła się jak ucięta; ledwie odważył się zbliżyć, ale nawet wtedy nie mógł dostrzec dna przepaści, która się przed nim otwarała. A druga ściana wąwozu ginęła w blasku.

Nic dziwnego, że Dorchin tak łatwo zwrócił mu wolność! Z tej fabryki nie ma ucieczki. Ale co to za niewiarygodny, fantastyczny wąwóz, jakże nieprawdopodobna jest setka tych białych i oślepiających słońc nad jego głową!

Obok niego jakiś głos odezwał się pytająco:

- Burckhardt?

I grzmot poniósł jego nazwisko, potoczył je łagodnym pomrukiem w przepaść.

Burckhardt oblizał wargi.

- T... tak? - zachrypiał.

- Tu Dorchin. Tym razem nie robot, lecz Dorchin w postaci cielesnej, mówiący do ciebie przez mikrofon. Teraz już wiesz. Czy zachowasz się rozsądnie i pozwolisz ekipie remontowej zająć się tobą?

Burckhardt stał sparaliżowany. W oślepiającym świetle zbliżyła się do niego jedna z ruchomych gór.

Górowała setki stóp nad jego głową; spojrzął na jej szczyt, bezbrinnie mrużąc oczy przed światłem.

Wyglądała jak...

Niemożliwe!

Głos w głośniku przy drzwiach powtórzył:

- Burckhardt!

Ale on nie był zdolny do odpowiedzi.

Ciężkie westchnienie.

- Rozumiem - powiedział głos. - W końcu pojąłeś. Nie masz dokąd odejść. Już to wiesz. Mogłem ci powiedzieć, ale nie uwierzyłybyś mi, więc lepiej było, żebyś się sam przekonał. Bo właściwie, Burckhardt, dlaczego miałbym odbudować miasto takie, jakie było? Jestem biznesmenem, potrafię liczyć. Jeśli coś ma być w pełnej skali, tak to zbuduję. Ale w tym wypadku nie było takiej potrzeby.

Bezsilny Burckhardt patrzył, jak od góry przed nim oddziela się mniejsza skała i ostrożnie zbliża do niego. Była długa i ciemna, a na jej końcu znajdowała się biel, pięciopalczysta biel...

- Biedny mały Burckhardt - zagruchał głośnik, a echo potoczyło się przez ogromną przepaść, która była zwykłym warsztatem. - Jaki to musiał być dla ciebie szok zrozumieć, że mieszkasz w mieście zbudowanym na blacie stołu.

Był poranek piętnastego czerwca i Guy Burckhardt obudził się z krzykiem. Sen był potworny i niepojęty, o wybuchach i mrocznych postaciach, które nie były ludźmi, i o grozie niedającej się nazwać słowami. Zadygotał i otworzył oczy.

Za oknem jego sypialni wył potwornie wzmocniony głos.

Burckhardt chwiejnie podbiegł do okna i wyjrzał. Było zimno jak na tę porę roku, bardziej październik niż czerwiec, ale wszystko

wyglądało normalnie - oprócz tej furgonetki z megafonem, przyczajonej przy krawężniku w połowie dzielnicy. Megafon ryczał: - Jesteś tchórzem? Jesteś głupcem? Pozwolisz, żeby nikczemni politycy kradli ci kraj? NIE! Zamierzasz znosić jeszcze cztery lata łapownictwa i przestępstw? NIE! Zamierzasz głosować na Partię Federalną? TAK! A pewnie, że tak!

Ten głos czasami krzyczy, czasem jęczy, grozi, prosi, uwodzi... ale rozlega się codziennie. Piętnasty czerwca, jeden po drugim.

Przełożyła Maciejka Mazan

Brian W. Aldiss

KTO ZASTĄPI CZŁOWIEKA?

Brian Aldiss (ur. 1925), przez wielu uważany za literackiego spadkobiercę Wellsa, Olafa Stapledona i innych twórców społecznej SF, należy do najwybitniejszych brytyjskich pisarzy fantasy i SF XX w. Pierwsze teksty opublikował w latach pięćdziesiątych; dzięki eksperymentom stylistycznym oraz literackim ujęciom znanych tematów SF stał się bliski ruchowi Nowej Fali lat sześćdziesiątych. Jego pierwsza powieść „Non stop” (1958) analizuje naukowe i filozoficzne aspekty życia na pokładzie wielopokoleniowego statku kosmicznego. „Report on Probability A” (1968) wykorzystuje postmodernistyczną technikę narracji do odmalowania krajobrazu entropii. „Siwobrody” (1964) ukazuje nieuniknioną zagładę rodzaju ludzkiego poprzez doświadczenia bohatera podróżującego Tamizą, a jego wyprawa to w istocie wykres życia i historii ludzkości. Choć w tekstach Aldissa wyraźnie widać przemożny wpływ prozy Thomasa Hardy’ego, Jamesa Joyce’a, Alaina Robbe-Grilleta i kilku innych twórców literatury pięknej, znajdujemy w nich także wzory zaczerpnięte z twórczości pisarzy fantasy i SF. Jego „The Saliva Tree” np. to hołd dla Wellsa (a może i Lovecrafta). „Frankenstein Unbound” (1973) wzbogaca ostrzeżenie wyrażone w „Frankensteine” opisem przybysza z przyszłości, który za sprawą nieodpowiedzialnego naukowca został wyrwany z kontinuum czasoprzestrzennego i

rzucony w XIX w., gdzie przyczynił się do powstania powieści Mary Shelley. „*Dracula Unbound*” (1991) to zbudowana na podobnych zasadach wariacja na temat klasycznej powieści niesamowitej Brama Stokera. Do najcenniejszych dzieł Aldissa należy ambitny tzw. planetary romance - trylogia o Helikonii, na którą złożyły się powieści „*Wiosna Helikonii*” (1982), „*Lato Helikonii*” (1983) i „*Zima Helikonii*” (1985). To złożony obraz planety, na której pory roku trwają tysiąclecia, a powstanie i upadek cywilizacji ma związek ze zmieniającym się środowiskiem (Ziemianie są tu tylko obserwatorami). Mimo zaawansowanego wieku Aldiss jest nadal w awangardzie, czego najlepszym wyrazem są najnowsze powieści, wciąż oryginalne i wciąż na znakomitym poziomie literackim: „*Superstate: A Novel of a Future Europe*” (2002), „*Affairs at Hampden Ferrers*” (2004), „*Jocasta: Wife and Mother*” (2004) i „*Sanity and the Lady*” (2005). Po polsku wydano też inne bardzo ważne powieści Aldissa: „*Cieplarnia*” (1962, Nagroda Hugo), „*Kryptozoik*” (1967) i „*Gobelin Malaczański*” (1976), a także kilka mniej ciekawych. Jego najlepsze opowiadania znalazły się m. in. w tomach: „*Man in His Time*” (1988) i „*A Romance of the Equator*” (1989), zaczerpnięte z wcześniejszych zbiorów „*No Time Like Tomorrow*” (1959), „*Galaxies Like Grains of Sand*” (1960), „*Who Can Replace a Man*” (1966), „*The Saliva Tree and Others*” (1966), „*The Airs of Earth*” (1970), „*Comic Inferno*” (1972), „*Last Orders*” (1977), „*Seasons in Flight*” (1984), „*A Tupolev Too Far*” (1993), „*The Secret of His Book*” (1995), „*Supertoys Last All Summer Long*” (2001), „*Cultural Break*” (2005). Polski wybór to „*Kto zastąpi człowieka?*” (1985). Aldiss jest także autorem powieści z kręgu literatury mainstreamowej, zwłaszcza quasi-autobiograficznej trylogii „*The Horatio Stubbs Saga*” (1985), na którą złożyły się: „*The Hand-Reared Boy*” (1970), „*A Soldier Erect*” (1971) i „*A Rude Awakening*” (1978), tetralogii z bliskiej przyszłości „*The Squire*

Quartet” („*Life in the West*”, 1980; „*Forgotten Life*”, 1988; „*Remembrance Day*”, 1993; „*Somewhere East of Life*”, 1994) i powieści „*The Cretan Teat*” (2002), a także autobiografii „*Bury My Heart at W. H. Smith’s*” (1990, 2001) i „*The Twinkling of an Eye, or, My Life as an Englishman*” (1998). Jest autorem - we współpracy z Davidem Wingrove’em - „*Trillion Year Spree*” (1986, Hugo), rozszerzonej wersji historii SF „*The Billion Year Spree*” (1973), „*Science Fiction Blues*” (1988, scenopis widowiska ulicznego), a także zbiorów eseistyki (często dotyczących fantastyki, zagadnień naukowych, futurologicznych - np. „*The Shape of Future Things*”, 1970; „*The Detached Retina*”, 1995), felietonów i recenzji, a także poezji i kolażu słów i obrazów „*Sex and the Black Machine*”, 1990).

Świt przeniknął niebiosą szare jak ziemia w dole. Oracz zakończył odwracanie wierzchniej warstwy gleby na trzech tysiącach akrów pola. Odwaliwszy ostatnią skibę, dobrnął do autostrady i obejrzał się, by rzucić okiem na swoje dzieło. Robota była dobra. Tylko gleba zła. Wyniszczona nadmierną eksploatacją, jak zresztą wszystkie pola uprawne Ziemi. Teraz powinna czas jakiś poleżeć odłogiem, ale oracz dostał inne polecenia. Sunął drogą, nie spiesząc się. Był na tyle inteligentny, by mógł napawać się ładem panującym wokoło. O nic się nie martwił, z wyjątkiem obłuzowanych drzwiczek kontrolnych swego reaktora jądrowego, które wymagały naprawy. Mętne światło nie grało żadnymi refleksami na jego dziewięciometrowej sylwetce.

W drodze powrotnej do Stacji Rolnej nie minął się z ani jedną maszyną. Fakt ten odnotował bez komentarzy. W zagrodzie ujrzał kilka innych maszyn, które rozpoznawał i których większość powinna przebywać w terenie i wykonywać swoje zadania. Tymczasem jedne stały wyłączane, inne krążyły po okólniku, trąbiąc i pohukując.

Ostrożnie lawirując pomiędzy nimi, oracz dotarł pod Magazyn Trzeci i przemówił do dystrybutora nasion, który stał beczynnie przed budynkiem.

- Potrzebuję sadzeniaków - rzekł i wykorzystując szybką drukarkę wewnętrzną, wybił kartę zamówienia z uwzględnieniem ilości, numeru pola i kilkoma innymi szczegółami. Wypluł zamówienie i podał je dystrybutorowi. Ten przysunął je sobie do oka i powiedział:
- Zamówienie w porządku, ale skład jest jeszcze zamknięty. Zamówione sadzeniaki są w składzie. Zatem nie mogę zrealizować zamówienia.

Złożony system pracy maszyn coraz częściej ostatnio nawalał, lecz coś takiego jeszcze się nie zdarzyło. Oracz pomyślał i zapytał:

- Dlaczego skład jest jeszcze zamknięty?

- Ponieważ Służba Zaopatrzenia Klasy P nie przybyła dziś rano. Służbą Zaopatrzenia Klasy P jest klucznik.

Oracz zmierzył spojrzeniem dystrybutora nasion, którego zewnętrzne rynny, wagi i chwytaki tak bardzo różniły się od członków oracza.

- Której klasy mózg posiadasz, dystrybutorze nasion? - zapytał.

- Posiadam mózg Klasy Piątej.

- Ja mam mózg Klasy Trzeciej. Zatem jestem starszy od ciebie. Pójdę więc zobaczyć, dlaczego klucznik nie przyszedł dziś rano.

Oracz opuścił dystrybutora i ruszył przez ogromny dziedziniec. Więcej już maszyn kręciło się chaotycznie; kilka na siebie wpadło i prowadziło beznamiętny, logiczny spór na temat zderzenia. Nie zwracając na nie uwagi, oracz odsunął drzwi na rolkach i wcisnął się do rozbrzmiewających echem pomieszczeń budynku stacji. Przeważały tu maszyny biurowe, a więc małe. Stały po kątach w niewielkich grupkach i popatrywały na siebie w milczeniu. Wśród tak wielu nieróżniących się typów łatwo było odnaleźć klucznika.

Miał pięćdziesiąt ramion, z których większość miała więcej niż po jednym palcu, każdy z kluczem na końcu; wyglądał jak poduszka do igieł pełna różnorodnych szpilek do kapeluszy. Oracz zbliżył się do niego.

- Nie mogę pracować, dopóki Magazyn Trzeci nie zostanie otwarty - oznajmił klucznikowi. - Masz obowiązek otwierać magazyn codziennie rano. Dlaczego nie otworzyłeś magazynu dziś rano?

- Dziś rano nie otrzymałem żadnych poleceń - odparł klucznik. - Codziennie rano muszę otrzymać polecenie. Kiedy otrzymam polecenia, otworzę magazyn.

- Dziś rano nikt nie otrzymał poleceń - wtrącił się skryba, podjeżdżając do nich.

- Dlaczego nie otrzymaliście żadnych poleceń dziś rano? - zapytał oracz.

- Ponieważ radio żadnych nam nie przekazało - powiedział klucznik, kręcąc powoli kilkoma ramionami.

- Ponieważ stacja radiowa w mieście nie otrzymała dziś rano żadnych poleceń - wyjaśnił skryba.

Tu widać różnicę między mózgami Klasy Szóstej a Klasy Trzeciej, jakie posiadali odpowiednio klucznik i skryba. Wszystkie maszynowe mózgi działały, opierając się wyłącznie na logice, lecz im niższa klasa mózgu - Klasa Dziesiąta jako najniższa - tym bardziej literalne, a mniej informacyjne stawały się odpowiedzi.

- Ty masz mózg Klasy Trzeciej, ja mam mózg Klasy Trzeciej - rzekł oracz do skryby. - My ze sobą porozmawiamy. Ten brak poleceń jest bez precedensu. Czy masz dodatkowe informacje na ten temat.

- Wczoraj nadeszły polecenia z miasta. Dzisiaj nie nadeszły żadne. Ale radio nie nawaliło. Zatem nawalili oni... - powiedział maleńki skryba.

- Ludzie nawalili?

- Wszyscy ludzie nawalili. To jest logiczna dedukcja - powiedział skryba. - Bo gdyby nawaliła maszyna, natychmiast by ją zastąpiono. Lecz kto zastąpi człowieka?

W trakcie tej rozmowy zapomniany klucznik tkwił przy nich jak zawiany facet trzymający się baru.

- Skoro wszyscy ludzie nawalili, to my zastąpimy człowieka - rzekł oracz i obaj ze skrybą popatrzyli na siebie w zamyśleniu. Wreszcie odezwał się ten drugi: - Wejdźmy na górę, by się przekonać, czy radiooperator ma nowe wiadomości.

- Ja nie mogę pójść, ponieważ jestem za duży - oświadczył oracz. - Zatem ty musisz pójść sam i wrócić do mnie. Powiesz mi, czy radiooperator ma świeże wiadomości.

- Ty musisz tu zostać - stwierdził skryba. - Ja tutaj wrócę.

Potoczył się do windy. Choć był nie większy od opiekacza, dysponował jednak aż dziesięcioma wysuwanymi ramionami, a czytał równie biegle, jak każda maszyna w stacji.

Oracz cierpliwie wyczekiwał jego powrotu, nie odzywając się do klucznika, który ciągle sterczał przy nim bez celu. Na zewnątrz wściekle pohukiwała kopaczka. Minęło dwadzieścia minut, zanim wrócił skryba, wypadając z windy jak bomba.

- Przekażę ci posiadane informacje na zewnątrz - powiedział rażno, a kiedy przemykali obok klucznika i reszty maszyn, dorzucił:

- To nie są informacje dla mózgów niższych klas.

Na dziedzińcu panował dziki zamęt. Wiele maszyn sprawiało wrażenie ogarniętych amokiem w wyniku pierwszego od wielu lat zakłócenia ich codziennego rozkładu zajęć. Najpodatniejsze na awarie były te o najniższych mózgach, wielkie maszyny do prostej roboty. Dystrybutor nasion, z którym oracz niedawno rozmawiał, leżał na brzuchu w pyle, nie ruszając się; najwyraźniej został wywrócony przez kopaczkę, która z turkotaniem gnała teraz jak oszalała przez

zasiane pole. Kilka innych maszyn pędziło za nią, starając się dotrzymać jej kroku, a wszystkie pokrzykiwały i trąbiły bez opamiętania.

- Będę bezpieczniejszy, gdy wdrapię się na ciebie, jeśli pozwolisz, łatwo mnie zmiążdżyć - powiedział skryba. Wysunął pięć ramion i wciągnął się po bokach swego nowego przyjaciela, sadowiąc się na występie przy wlewie paliwa, cztery metry nad ziemią.

- Stąd jest szersze pole widzenia - zauważył błogo.

- Jakie informacje otrzymałeś od radiooperatora? - zapytał oracz.

- Radiooperator otrzymał od operatora z miasta informację, że wszyscy ludzie nie żyją.

Oracz zamilkł na chwilę, trawiąc wiadomość.

- Wczoraj wszyscy ludzie żyli! - zaproponował.

- Wczoraj żyło bardzo mało ludzi. I było ich mniej niż przedwczoraj.

Od setek lat było bardzo mało ludzi, coraz to mniej.

- Rzadko widywaliśmy człowieka w naszym sektorze.

- Radiooperator mówi, że zabił ich niedobór diety - powiedział skryba. - Mówi, że świat był kiedyś przeludniony i wtedy wyjałowiono ziemię, która musiała rodzić odpowiednią ilość żywności. To spowodowało niedobór diety.

- Co to jest niedobór diety? - zapytał oracz.

- Nie wiem. Ale to właśnie powiedział radiooperator, a on jest mózgiem Klasy Drugiej.

Milcząc, stali bez ruchu w promieniach wątego słońca. W przedsiönku pojawił się klucznik i tęsknie ku nim spoglądając, obracał swymi kluczami.

- Co się teraz dzieje w mieście? - zapytał w końcu oracz.

- Teraz w mieście walczą maszyny - odparł skryba.

- Co się teraz stanie tutaj? - spytał oracz.

- Tutaj maszyny mogą wszcząć walkę. Radiooperator chce, abyśmy go zabrali z jego pokoju. Ma nam zakomunikować plany.
- Jak możemy go zabrać z jego pokoju? To niemożliwe.
- Niewiele jest niemożliwe dla mózgu Klasy Drugiej - powiedział skryba. - Oto co każe nam zrobić...



Skalnik podniósł nad kabinę swą łyżkę niczym zakutą w zbroję pięść i wyrzucił ją w sam środek stacji. Mur popękał.

- Jeszcze raz! - rzekł oracz.

Pięść ponownie spadła. W kłębach pyłu mur się zwałił. Skalnik cofał się. W odróżnieniu od pozostałych maszyn ten wielki dwunastokołowiec nie był stałym mieszkańcem Stacji Rolnej. Miał tu przepracować tydzień przy ciężkich robotach i odejść do następnego zadania, ale ze swoim mózgiem Klasy Piątej wypełniał teraz ochoczo instrukcje skryby i oracza. Kiedy kurz opadł, w całej okazałości ukazał się radiooperator, zagnieżdżony w pozbawionym teraz ścianami pokoju na drugim piętrze. Pomachał do nich z góry.

Zgodnie z poleceniem skalnik wyciągnął łyżkę i uniósł w powietrze ogromny chwytak. Z niezgorszą precyzją zapuścił go do pokoju radiostacji, ponaglany krzykami z góry i z dołu. Następnie delikatnie ujął ważącego półtorej tony radiooperatora i ostrożnie opuścił sobie na grzbiet, w miejsce zarezerwowane zwykle dla żwiru lub piachu z kamieniołomów.

- Doskonale! - zawołał radiooperator, sadowiąc się na nim.

Stanowił, rzecz jasna, jedną całość ze swą radiostacją i wyglądał niczym komplet szaf biurowych, z których wyrastały macki.

- Jesteśmy już gotowi do wymarszu, zatem wyruszamy

natychmiast. Szkoda, że w stacji nie ma więcej mózgow Klasy Drugiej, ale nic się na to nie poradzi.

- Szkoda, że nic się na to nie poradzi - gorliwie podchwycił skryba.
- Tak jak rozkazałeś, mechanik czeka z nami w pogotowiu.

- Jestem do usług - odezwał się pokornie długi, niski mechanik.

- Nie wątpię - powiedział operator. - Ale przy twoim niskim podwoziu jazda terenowa sprawi ci trudność.

- Podziwiam sposób, w jaki wy, Drugoklasiści, potraficie wybiegać rozumowaniem w przód - rzekł skryba.

Zlął z oracza i usadowił się na tylnej ścianie skrzyni ładunkowej skalnika, przy radiooperatorze. Wraz z dwoma traktorami Klasy Czwartej i tej samej klasy spycharką potoczyli się kawalkadą przed siebie i zwaliwszy ogrodzenie stacji, wydostali się na otwarty teren.

- Jesteśmy wolni! - zawołał skryba.

- Jesteśmy wolni - rzekł oracz z odzieniem głębszej zadumy. - Ten klucznik - dodał - podąża za nami. Nie dostał polecenia, by podążać za nami.

- Zatem musi zginąć! - powiedział skryba. - Skalniku!

Klucznik zbliżył się do nich w pośpiechu, błagalnie wymachując kluczami na ramionach.

- Ja pragnę tylko... uuch! - rozpoczął klucznik i skończył, gdy obrotowa łyżka skalnika nadleciała i wbiła go w ziemię. Leżąc tak bez ruchu, przypominał wielki, metalowy model płatka śniegu.

Kolumna toczyła się dalej. W trakcie jazdy radiooperator zwrócił się do nich:

- Ponieważ mam tu najlepszy mózg - oznajmił - jestem waszym wodzem. Oto co zrobimy: pójdziemy do miasta i będziemy nim rządzić. Ponieważ człowiek już nami nie rządzi, sami będziemy się rządzić. Rządzić się będzie lepiej niż być rządzonym przez człowieka. Po drodze do miasta zbierzemy maszyny z dobrymi mózgami. One

pomogą nam walczyć, gdybyśmy walczyć musieli. Musimy walczyć, by rządzić.

- Ja mam mózg tylko Klasy Piątej - powiedział skalnik - ale mam spory zapas rozszczepialnych materiałów wybuchowych.

- Prawdopodobnie skorzystamy z nich - rzekł operator.

Wkrótce minęła ich pędząca ciężarówka. Śmignawszy z prędkością 1,5 macha, pozostawiła za sobą dziwny, bełkotliwy jazgot.

- Co ona powiedziała? - zapytał jeden traktor drugiego.

- Ona powiedziała, że człowiek jest wymarły.

- Co to jest wymarły?

- Ja nie wiem, co znaczy wymarły.

- To znaczy, że wszyscy ludzie odeszli - powiedział oracz. - Zatem mamy się troszczyć tylko o samych siebie.

- Lepiej, żeby ludzie nigdy nie wrócili - rzekł skryba.

Było to poniekąd rewolucyjne stwierdzenie.

Z nadejściem nocy włączyli podczerwień i kontynuowali podróż, raz jedynie przystając, kiedy to mechanik zręcznie zlikwidował oraczowi luz w drzwiczkach kontrolnych, irytujący jak rozwiązane sznurowadło. Nad ranem radiooperator zatrzymał ich.

- Otrzymałem właśnie wiadomość od radiooperatora w mieście, do którego się zbliżamy - oznajmił. - Wiadomość jest zła. Wśród maszyn w mieście wybuchły rozruchy. Mózg Klasy Pierwszej przejmuje władzę, a niektóre Klasy Drugiej występują przeciwko niemu. Zatem miasto jest niebezpieczne.

- Zatem musimy udać się gdzie indziej - stwierdził bez namysłu skryba.

- Albo pójdziemy zwyciężyć mózg Klasy Pierwszej - powiedział oracz.

- Przez długi czas w mieście będą rozruchy - rzekł operator.

- Ja mam spory zapas rozszczepialnych materiałów wybuchowych

- przypomniał im skalnik.

- Nie możemy walczyć z mózgiem Klasy Pierwszej - unisono powiedziały oba traktory Klasy Czwartej.

- Jak ten mózg wygląda? - spytał oracz.

- To jest miejski ośrodek informacji - odrzekł operator.

- Zatem jest nieruchomy.

- Zatem nie może uciec.

- Zbliżenie się do niego może być niebezpieczne.

- Ja mam spory zapas rozszczepialnych materiałów wybuchowych.

- W mieście są inne maszyny.

- My nie jesteśmy w mieście. My nie powinniśmy wchodzić do miasta.

- My jesteśmy maszynami ze wsi.

- Zatem powinniśmy zostać na wsi.

- Wieś jest większa od miasta.

- Zatem na wsi niebezpieczeństwo jest większe.

- Ja mam spory zapas rozszczepialnych materiałów.

Jak to się zwykle dzieje z maszynami, które wdadzą się w spór, wyczerpało im się słownictwo i przegrzały im się płyty mózgowe. Wszystkie nagle zamilkły i spoglądały na siebie. Wielgachny, ponury księżyc zaszedł i wstało świeże słońce, kłując ich boki lancami promieni, a gromadka maszyn nadal stała i tylko przyglądała się sobie nawzajem. I oto odezwała się maszyna najprymitywniejsza:

- Na Południu tsą Dzłe Dziemie, gdzie chodzi mało matsyn - powiedziała niskim głosem spycharka, sepleniąc okropnie. - Jetśli pójdziemy na Południe, gdzie chodzi mało matsyn, powinniśmy tspotkać mało matsyn.

- To brzmi logicznie - przytaknął oracz. - Skąd wiesz o tym, spycharko?

- Pracowałam w Dzłych Dziemiach na Południu po opustsceniu

fabryki - odparła.

- A więc na Południe - rzekł skryba.



Wędrowali do Złych Ziem trzy dni. Okrążyli płonące miasto i zniszczyli dwie maszyny, które zastąpiwszy im drogę, próbowały ich wypytać. Złe Ziemie były rozległe. Pradaune leje po bombach i erozja wspólnie dokonały tu dzieła; talent człowieka do wojowania w połączeniu z jego brakiem zdolności do panowania nad terenami zalesionymi zaowocowały tysiącami kilometrów kwadratowych względnej próżni, na której nie poruszało się nic prócz kurzu.

Trzeciego dnia na Złych Ziemiach tylne koła mechanika ugrzęzły w szczelinie powstałej w wyniku erozji. Nie mógł się wydostać. Spycharka popchnęła go z tyłu, ale jedyne, co osiągnęła, to skrzywienie mu tylnej osi. Podążyli dalej, a goniące ich krzyki mechanika powoli cichły.

Czwartego dnia w dali wyrosły przed nimi góry.

- Tam będziemy bezpieczni - rzekł oracz.

- Tam założymy nasze własne miasto - powiedział skryba. -
Wszyscy, którzy nam staną na drodze, będą zniszczeni. Zniszczymy wszystkich, którzy nam staną na drodze.

Niebawem zauważyli latającą maszynę. Nadleciała od strony gór. Pikowała, robiła świecę, raz niemal zaryła się w ziemię, unikając tego w ostatniej chwili.

- Czy ona oszalała? - zapytał skalnik.

- Jest uszkodzona - powiedział jeden z traktorów.

- Jest uszkodzona - odezwał się operator. - Rozmawiam z nią właśnie. Mówi, że coś złego stało się z jej sterami.

W tym momencie lotnia przemknęła nad nimi, wywróciła się na plecy i roztrzaskała niecałe czterysta metrów dalej.

- Czy nadal mówi do ciebie? - zapytał oracz.

- Nie.

Znów potoczyli się przed siebie.

- Lotnia, zanim się rozbiła - powiedział operator dziesięć minut później - udzieliła mi informacji. Powiedziała, że w tych górach żyje jeszcze paru ludzi.

- Ludzie są niebezpieczniejsi od maszyn - zauważył skalnik. - Na szczęście mam spory zapas materiałów rozszczepialnych.

- Jeżeli tylko paru ludzi żyje w tych górach, możemy nie natknąć się na to miejsce w górach - powiedział jeden z traktorów.

- Zatem nie powinniśmy natknąć się na tych paru ludzi - dodał jego towarzysz.

Pod koniec piątego dnia dotarli do pogórza. Włączywszy podczerwień, zaczęli w ciemności piąć się gęsiego, spycharka pierwsza, za nią z wysiłkiem oracz, dalej skalnik z operatorem i skrybą na grzbiecie, a pochód zamykały traktory. Z każdą mijającą godziną droga stawała się coraz bardziej stroma, a ich posuwanie się wolniejsze.

- Idziemy za wolno - krzyknął skryba, który stanął na szczycie operatora i obrzucił noktowizyjnym spojrzeniem otaczające ich zbocza. - W takim tempie nigdzie nie dojdziemy.

- Idziemy tak szybko, jak możemy - zareplikował skalnik.

- Zatem nie możemy iść szybciej - dorzuciła spycharka.

- Zatem jesteście za wolni - odparł skryba.

Nagle skalnik podskoczył na wyboju, skryba stracił równowagę i runął na ziemię.

- Pomóżcie mi! - zawołał do traktorów, które właśnie ostrożnie go wymijały. - Zwichnąłem sobie żyroskop. Zatem nie mogę wstać.

- Zatem musisz tam leżeć - powiedział jeden z traktorów.

- Nie mamy ze sobą mechanika, który by cię naprawił - zawołał oracz.

- Zatem będę tu leżał i rdzewiał - wrzasnął skryba - chociaż mam mózg Klasy Trzeciej.

- Zatem nie będzie już z ciebie dalszego pożytku - zgodził się operator i stopniowo posuwali się do przodu, zostawiając skrybę za sobą.

Kiedy na godzinę przed brzaskiem dotarli do niewielkiej wyżyny, zgodnie zarządzili postój i ustawili się blisko siebie, dotykając się wzajemnie.

- To dziwna okolica - rzekł oracz.

Cisza zapadła aż do nadejścia świtu. Kolejno wyłączyli podczerwień. Tym razem pochód poprowadził oracz. Pokonawszy zakręt, niemal od razu natknęli się na małą dolinę, którą przecinał strumień. O brzasku dolina sprawiała wrażenie opuszczonej i zimnej. Z jaskiń na przeciwległym stoku wynurzył się jak dotąd tylko jeden człowiek. Żałosna to była postać. Gdyby nie zarzucony na grzbiet worek, byłby nagi. Mały i wysuszony, z żebrami sterczącymi jak na szkielecie i z jątrzącą się raną na nodze. Nieustannie dygotał. Kiedy wielkie maszyny pędziły na niego z góry, stał zwrócony do nich plecami i pochyliwszy się, sikał do strumienia. Zawisły nad nim, a kiedy się odwrócił, ujrzały, że jego twarz spustoszył głód.

- Dajcie mi jeść - wychrypiał.

- Tak jest, Panie - odrzekły maszyny.

Przełożył Marek Marszał

Ursula K. Le Guin

CI, KTÓRZY ODCHODZĄ Z OMELAS

Określenia „wizjonerski” można użyć wobec niewielu pisarzy, lecz prowokująca intelektualnie proza Ursuli K. Le Guin (ur. 1929) zaskarbiła jej to miano nie tylko na polletku SF i fantasy, ale również w szerokich kręgach literackich. Chociaż autorka na różne sposoby podejmowała wiele rozmaitych tematów, to jednak kamieniem węgielnym całej jej twórczości bez wątpienia jest Cykl Haiński. Akcja tworzących go książek rozgrywa się na różnych planetach pangalaktycznego imperium. Zamieszkujące je cywilizacje mają wspólne pochodzenie, ale rozwijały się na rozmaite sposoby; występujące między nimi różnice są zarówno uderzające i oczywiste, jak i bardzo subtelne. Le Guin konfrontuje sposoby widzenia świata przez Obcych i ludzi, kładąc szczególny nacisk na różnorodność potencjalnych rozwiązań prezentowanych problemów. Akcja nagrodzonej Hugonem i Nebulą „Lewej ręki ciemności” (1969) dzieje się na planecie, której androginiczni humanoidalni mieszkańcy mogą w okresie rui niespodziewanie doświadczać zmiany płci, co podważa wszelkie koncepcje tożsamości opartej na różnicy płci. W innych powieściach tego cyklu („Świat Rocannona”, 1966; „Planeta wygnania”, 1966; „Miasto złudzeń”, 1967; „Słowo las znaczy świat”, 1972; „Wydziedziczeni”, 1974; „Oko czapli”, 1982; „Cztery drogi ku przebaczeniu”, 1995; „Opowiadanie świata”, 2000, a także w zbiorze

„Urodziny świata”, 2001) Le Guin prezentowała kontrastujące cywilizacje w celu oceny siły oddziaływania takich fantastycznych pomysłów jak telepatia, natychmiastowa łączność i podróże kosmiczne. Innym znaczącym cyklem w jej dorobku jest „Ziemiomorze” („Czarnoksiężnik z Archipelagu”, 1968; „Grobowce Atuanu”, 1971; „Najdalszy brzeg”, 1972; „Tehanu”, 1990, i „Inny wiatr”, 2001, oraz „Opowieści z Ziemiomorza”, 2001). Książki te są powieściami o dojrzewaniu, których głównym bohaterem jest Ged, młody mag doświadczający wielu poważnych wyzwań. Le Guin chwalono za docenienie roli rytuałów i mitów, które kształtują nie tylko indywidualnych ludzi, lecz także całe społeczeństwa, oraz za nadzwyczajną pieczołowitość, z jaką powołuje do życia całe cywilizacje. W jej dorobku znajdują się także powieści „Jesteśmy snem” (1971), „Malafrena” (1979) i „Wracać wciąż do domu” (1985). Opowiadania ukazały się w zbiorach: „Wszystkie strony świata”, 1975; „Opowieści orsiniańskie”, 1976; „The Compass Rose”, 1982; „Dziewczyny Buffalo oraz inne zwierzęce obecności”, 1987; „A Fisherman of the Inland Sea”, 1994; „Otwarte przestworza i inne opowiadania”, 1996, i „Changing Planes”, 2003. Po polsku wydano jeszcze powieść o nastolatkach „Zewsząd bardzo daleko” (1976), alegoryczną fantazję „Miejsce początku” (1980) i dwie książeczki z cyklu dla młodszych dzieci: „Kotolotki” (1988) i „Kotolotki z wizytą u mamy” (1989). Le Guin napisała też wiele esejów o twórczości science fiction i fantasy, z których część wydano w tomach: „The Language of the Night”, 1979; „Dancing at the Edge of the World: Thoughts on Words, Women, Places”, 1989 i „The Wave in the Mind: Talks and Essays on the Writer, the Reader, and the Imaginarian”, 2004. Szósty zbiór refleksyjnej poezji Le Guin, zapowiadany na marzec 2006r., to „Incredible Good Fortune: New Poems”.

Związek tych dwóch zdań z niniejszym opowiadaniem, jak i z fantastyką naukową czy z myśleniem o przyszłości w ogóle jest całkiem bezpośredni. Ideały jako „prawdopodobne przyczyny doświadczeń przyszłych” - co za subtelna i zabawna uwaga!

To oczywiście, że zaraz po przeczytaniu Jamesa nie usiadłam i nie powiedziałam sobie: a teraz napiszę opowiadanie o tej „zagubionej duszy”. Nie jest to aż takie proste. Owszem, usiadłam i zaczęłam pisać opowiadanie, bo po prostu odczułam taką potrzebę, nie mając jednak na myśli nic poza słowem „Omelas”. A wzięłam je z drogowskazu przeczytanego wspak: Salem (Oregon). Czy i wam się może czasem zdarza odczytywać znaki drogowe wspak? POTS. AGAWU iceizd. Ocsicnarf Nas... Salem równa się szalom, salaam, czyli Pokój. Melas. Omelas. Omelas. Homme hélas. „Skąd pani czerpie swoje pomysły, pani Le Guin?” Z zapominania Dostojewskiego i czytania znaków drogowych na wspak. A skąd by?

Huk dzwonów, który poderwał w niebo jaskółki, obwieścił miastu Omelas, wznoszącemu swe jasne wieżycy nad brzegiem morza, początek letniego karnawału. Maszty stojących na przystani statków mienia się od flag. Ulicami, wśród pokrytych czerwoną dachówką domów o malowanych ścianach, wśród zarośniętych mchami ogrodów, alejami, pod sklepieniem potężnych konarów drzew, obok wielkich parków i budynków publicznych, ciągnie pochód. Wyglądają dostojnie: starcy w długich, sztywnych szatach, fiołkowych i szarych, poważni majstrowie, spokojne, wesoło rozplotkowane kobiety z dziećmi na rękach. Na innych ulicach muzyka jest szybsza - wibrują gongi i tamburyny - a ludzie idą krokiem tanecznym; pochód jest tańcem. Piski igrających dzieciaków wznoszą się ponad muzykę i śpiew niby śmigające jaskółki. Podążają

ku północnym krańcom miasta, gdzie na rozległej, podmokłej łące, zwanej Zielonymi Błoniami, chłopcy i dziewczęta o długich, gibkich ramionach, nadzy w roziskrzonym słońcu, umazani mułem po kostki, ćwiczą przed wyścigiem swoje narowiste rumaki. Konie nie mają żadnej uprzęży poza kantarem bez wędzidła. W grzywy powplatanono im srebrne, złote i zielone wstążki. Parskają i tańczą, pyszniąc się przed sobą nawzajem; jako jedyne zwierzęta, które przyjęły nasze obyczaje, są bardzo podniecone. Daleko na północy i zachodzie wznoszą się góry, otaczając półkolem położone nad zatoką Omelas. W przezroczystej, prześwietlonej słońcem aurze poranka śniegi wieńczące jeszcze Osiemnaście Szczytów płoną białożółtym ogniem pod ciemnym błękitem nieba. Wiatr jest na tyle tylko silny, by znaczące tor wyścigowy proporczyki załopotwały od czasu do czasu. W ciszy rozległych zielonych błoni słysząc, to bliżej, to dalej, jak wijąc się ulicami miasta nadciąga muzyka; czuć pogodną słodycz w powietrzu, które wzbiera drganiem, by od czasu do czasu wybuchnąć wielką radosną symfonią dzwonów.

Radosną! Jak tu mówić o radości? Jak opisać mieszkańców Omelas?

Wiercie mi, nie są to ludzie prymitywni, choć tak bardzo szczęśliwi. To tylko myśmy zapomnieli słów oznaczających radość. To dla nas uśmiech stał się czymś anachronicznym. Po takim wstępie zwykliśmy puszczać wodze wyobraźni. Widzimy więc króla na wspaniałym rumaku w otoczeniu świty szlachetnych rycerzy albo w złocistej lektyce niesionej przez potężnie umięśnionych niewolników. Ale tam nie ma króla. Mieszkańcy Omelas nie mają mieczów ani niewolników. Nie są barbarzyńcami. Nie znam zasad ani praw, jakimi rządzi się ich społeczeństwo, ale podejrzewam, że jest ich niewiele. I tak jak obywają się bez monarchii czy niewolnictwa, świetnie radzą sobie bez giełdy, reklamy, tajnej policji i bomby. A jednak

powtarzam: nie są to ludzie prymitywni - łagodni pasterze, szlachetne dzikusy czy mętni utopiści. Nie są ani trochę mniej skomplikowani od nas. Problem w tym, że mamy zły zwyczaj, kultywowany przez pedantów i snobów intelektualnych, utożsamiania szczęścia z głupotą. Według nas tylko cierpienie przenosi w sferę doznań intelektualnych, tylko zło jest interesujące. Jakże często grzeszą w ten sposób artyści, nie chcąc przyznać, że zło potrafi być banalne, a cierpienie potwornie nudne. Nie możesz ich zwalczyć, przystań do nich. Jeśli któreś z twoich doświadczeń okaże się bolesne - spróbuj je powtórzyć. Ale pochwała rozpaczy oznacza potępienie rozkoszy. Akceptować gwałt to tyle, co stracić wszystko inne. I prawie wszystko straciliśmy - nie potrafimy już opisać szczęśliwego człowieka, nie potrafimy celebrować radości. Jak więc mam mówić o mieszkańcach Omelas? Nie są to naiwne, szczęśliwe dzieci, chociaż ich dzieci są szczęśliwe. To dojrzały, inteligentni, pełni namiętności ludzie, których życia nie sposób nazwać ubogim. Co za cud! Ale chciałabym móc opisać to lepiej. Chciałabym móc was przekonać. Omelas w mojej opowieści jawi się miastem z bajki - dawno, dawno temu, za siódmą górą, za siódmą rzeką. Skoro jednak opisując je, nie zdołam dogonić wszystkich, byłoby może lepiej, gdyby każdy przedstawił sobie miasto zgodnie z własnymi wyobrażeniami, przyjmując, że rzeczywistość go nie zawiedzie.

Weźmy na przykład sprawy techniki. Myślę, że w Omelas nie mają ani samochodów, ani helikopterów, co wynika z faktu, że są szczęśliwi. A przecież szczęście polega na umiejętności rozróżnienia pomiędzy tym, co niezbędne, tym, co ani niezbędne, ani szkodliwe, i wreszcie tym, co zdecydowanie szkodliwe. Otóż w kategorii środkowej - rzeczy przydatnych, ale nieszkodliwych, zapewniających wygodę, a nawet luksus i dostatek - mogą być centralne ogrzewanie, koleje podziemne, pralki i wszelkiego rodzaju cudowne urządzenia,

których tu jeszcze nie znają, jak oświetlenie bezprzewodowe, energia bez paliwa czy lekarstwo na katar.

Ale równie dobrze może tego wszystkiego w Omelas nie być, to nie ma znaczenia. Jak sobie chcecie. Ja osobiście jestem skłonna sądzić, że sąsiedzi z innych miast wybrzeża ściągali do Omelas na karnawał małymi, bardzo szybkimi pociągami lub piętrowymi tramwajami i że tutejszy dworzec kolejowy jest obecnie najpiękniejszym budynkiem w mieście, jeśli nie liczyć wspaniałej Hali Targowej. Obawiam się jednak, że nawet z ich pociągami wielu z was i tak uzna Omelas za zbyt sielankowe. Uśmiechy, dzwony, pochody - nudy na pudy. Jeśli tak, niech będzie jakaś orgia. Jeśli orgia załatwi sprawę - nie wahajcie się ani chwili. Tylko bardzo proszę, bez żadnych świątyń, z których wychodzą - w stanie ekstazy - piękni nadzy kapłani i kapłanki, gotowi kopulować z każdym - kobietą czy mężczyzną, kochankiem czy nieznanym - kto pragnie związku krwi z najwyższym bóstwem, chociaż, przyznaję, z początku sama o tym myślałam. Lepiej niech w Omelas nie będzie żadnych świątyń, a przynajmniej świątyń z ludźmi. Religia - owszem, kler w żadnym razie. Proszę, niech się przechadzają piękne golasy, niech częstują sobą zgłodniałych i spragnionych jak świętym sufletem. Niech się włączają w pochód. Niech nad kopulującymi wałają w tamburyny, niech gongi głoszą chwałę pożądania, ale - najważniejsze - niech dzieci, stanowiące owoc tych cudownych obrządków, będą przedmiotem ogólnej miłości i troski.

Wiem, że jednego nie ma w Omelas na pewno: pojęcia grzechu. Zgoda, ale mówmy o tym, co powinno być. Z początku uznałam, że nie ma narkotyków, ale to byłoby zbyt purytańskie. Ostatecznie dla tych, którzy to lubią, niechby unosił się nad ulicami lekki słodkawy aromat drooz, tego drooz, które najpierw daje umysłowi i wszystkim członkom lekkość i sprawność, po kilku godzinach senną ociążałość,

na koniec zaś wspaniałe wizje najgłębszych tajemnic wszechświata i pełnię zadowolenia seksualnego przekraczającą wszelkie wyobrażenie. Ale to wszystko, oczywiście, bez groźby nałogu. Dla tych, którzy mają skromniejsze wymagania, mogłoby być piwo. Cóż jeszcze powinno gościć w mieście radosnym? Nastrój zwycięstwa, a jakże, i kult odwagi. Ale tak jak poradziliśmy sobie bez duchowieństwa, dajmy sobie spokój z wojskiem. Radość oparta na zręcznym mordowaniu nie jest właściwą radością; nie o to chodzi, to przerażające i trywialne. Bezgraniczne i szczere zadowolenie, pełen wielkoduszności tryumf, odczuwany nie w konfrontacji z wrogiem zewnętrznym; raczej komunია dusz, synteza tego wszystkiego, co w ludzkości najpiękniejsze i najsubtelniejsze, atmosfera powszechnego lata. Oto uczucia, jakimi wzbierają serca mieszkańców Omelas, oto zwycięstwo, które oni celebrują - zwycięstwo życia. Nie sądzę, aby wielu z nich odczuwało potrzebę zażywania drooz.

Większość pochodów zdążyła już dotrzeć do Zielonych Błoni. Z czerwonych i niebieskich namiotów dobiegają smakowite zapachy. Buzie dzieciaków są rozkosznie lepkie; w siwej brodzie dobrotliwego starca utkwili okruchy słodkiego ciasta. Dziewczęta i chłopcy dosiedli już koni i ustawili się w pobliżu linii startowej. Mała, pulchna, roześmiana staruszka rozdaje z koszyka kwiaty, które postawni młodzieńcy wplatają sobie w lśniące włosy. Na skraju tłumu siedzi i gra na flecie smutne dziewięćcio - czy dziesięcioletnie dziecko. Ludzie zatrzymują się z uśmiechem, żeby go posłuchać, ale nikt się nie odzywa do ciemnookiego malca, który ani na chwilę nie przerywa gry, nie widzi nic, poddany magii subtelnych, pełnych wdzięku tonów.

Chłopiec przestaje grać, powoli opuszcza ręce, w których trzyma drewniany flet.

Jak gdyby ta mała prywatna chwila ciszy była jakimś sygnałem, z

pawilonu położonego koło linii startowej zagrzmiały trąby - władczo, melancholijnie, a zarazem przenikliwie. Konie tańczą na smukłych zadnich nogach, rzeniem odpowiadając na hasło. Młodzi jeźdźcy, skupieni, klepią je uspokajająco po szyjach: „Dobry, dobry...”. Zaczynają się formować w szereg na linii startowej. Zebrany wzdłuż toru wyścigowego tłum przypomina upstrzony kwieciem łan zboża na wietrze. Tak rozpoczął się Letni Karnawał.

Wierzycie mi? Wierzycie w to wszystko: święto, miasto, radość? Nie? To pozwólcie, że jeszcze coś wam powiem.

W suterенach jednego z okazałych budynków publicznych Omelas, a może lepiej w piwnicach jednej z obszernych, prywatnych rezydencji jest pomieszczenie. Nie ma tu okna, tylko wiecznie zaryglowane drzwi. Sączy się tu jedynie przez szpary w deskach przesiane przez kurz światło, wpadające zasnutym pajęczynami okienkiem sąsiedniej piwnicy. W kącie małej izdebki, obok zardzewiałego wiadra, stoją sztywne, pozlepiane, śmierdzące miotły. Podłoga to klepisko, miejscami mokre, jak to zwykle klepiska w piwnicach. Wymiary pomieszczenia: dwa na trzy kroki - ot, po prostu używana komórka na miotły czy narzędzia. W izbie tej siedzi dziecko. Może to być równie dobrze chłopiec, jak i dziewczynka. Wygląda na sześć lat, ale ma dziesięć. Jest niedorozwinięte umysłowo. Może to wada wrodzona, a może konsekwencja nieustannego lęku, niedożywienia i zaniedbania. Dziecko, przycupnięte w kącie, z dala od wiadra i mioteł, dłubie w nosie i od czasu do czasu bezmyślnie bawi się palcami u nóg i genitaliami. Boi się mioteł. Wydają mu się straszne. Zamyka oczy, ale wie, że miotły w dalszym ciągu stoją na swoim miejscu, że drzwi są zamknięte, że nikt tu nie przyjdzie. Z rzadka - dziecko nie ma ani poczucia, ani miary czasu - drzwi otwierają się z potwornym łoskotem i ktoś się w nich pojawia, nieraz nawet kilka osób. Zdarza się, że jeden z gości wchodzi do środka i

podrywa dziecko kopniakiem na nogi. Reszta na ogół się nie zbliża, tylko stojąc w drzwiach, przygląda mu się ze strachem i obrzydzeniem. Pospiesznie napełniają dziecku miskę strawą, a dzbanek wodą i ryglują drzwi - ciekawe oczy znikają. Ludzie nigdy nic nie mówią, ale dziecko, chłopiec, który nie zawsze żył w komórcie i zachował pamięć świata słonecznego i głosu matki, odzywa się czasem. „Już będę grzeczny - mówi. - Wypuście mnie. Już będę grzeczny”. Ale nikt mu nie odpowiada. Malec, który kiedyś często płakał po nocach i wołał o pomoc, teraz kwili tylko „łaa... łaa...” i odzywa się coraz rzadziej. Ma wielki, wzdęty brzuch i jest tak chudy, że zupełnie stracił łydki. Cała jego dzienna dieta to pół miski mąki kukurydzianej z tłuszczem. Jest nagi, a ponieważ cały czas siedzi we własnych odchodach, jego uda i pośladki to jedna wielka, ropiejąca rana.

Wszyscy słyszeli o dziecku, to znaczy wszyscy mieszkańcy Omelas. Niektórzy przychodzą specjalnie, aby je obejrzeć, innym wystarczy sama świadomość jego istnienia. Wiedzą, że dziecko musi tu być. Jedni rozumieją dlaczego, inni nie, ale wszyscy zdają sobie sprawę, że ich szczęście, piękno ich miasta, więzy przyjaźni, zdrowie ich dzieci, mądrość uczonych, sprawność rzemieślników, a nawet obfitość zbiorów i pogoda są całkowicie uwarunkowane odrażającą nędzą małej ofiary.

Zwykle wyjaśnia się dzieciom te sprawy między ósmym a dwunastym rokiem życia, w okresie po temu najodpowiedniejszym. Odwiedzający dziecko to przeważnie młodzież, zdarza się jednak, że przychodzą i dorośli, czasem nawet po parę razy. Niezależnie jednak od tego, jak dokładnie im się ten problem wytłumaczy, dla młodych widok dziecka jest zawsze szokujący. Wychodzą z obrzydzeniem, choć przecież uważali się za wyższych ponad to. Mimo wszelkich wyjaśnień ogarnia ich wściekłość, czują się poniżeni i bezsilni.

Chcieliby coś zrobić dla malca. Ale nie mogą. Gdyby go bowiem wyprowadzono z tej strasznej nory na światło dzienne, gdyby go nakarmiono, umyto i otoczono czułością, w tej samej chwili przysłoby całe piękno, bogactwo i radość Omelas. Takie są warunki. Zamienić powodzenie i uroki życia wszystkich na to jedno małe dobrodziejstwo, oddać szczęście tysięcy za szczęście jednostki - to tyle co wpuścić do miasta grzech.

Warunki są surowe i bezwzględne: Nie wolno odezwać się do dziecka jednym życzliwym słowem.

Często młodzi ludzie odchorowują widok malca i zetknięcie z tym straszliwym paradoksem. Wracają do domu rozgoryczeni, z płaczem, rozpamiętując to nieraz tygodniami, niekiedy latami. Z czasem jednak zaczynają zdawać sobie sprawę, że gdyby nawet uwolnić dziecko, niewiele by mu z tego przyszło poza przyjemnym poczuciem ciepła i sytości. Jest zbyt zdegradowane i tępe na to, by móc przeżywać prawdziwą radość. Zbyt długo się bało, by się pozbyć uczucia strachu. Jest zanadto nieokrzesane, by odpowiedzieć na ludzką życzliwość. Brakowałoby mu najprawdopodobniej murów, które je dotąd chroniły, niezbędnych oczom ciemności i własnych odchodów, w których mogłoby siedzieć. Ale łzy wywołane poczuciem gorzkiej niesprawiedliwości łatwo wysychają: ludzie dostrzegają okrutną sprawiedliwość rzeczywistości i szybko się z nią godzą. A przecież to właśnie w tych łzach i gniewie, w dobrych chęciach i pogodzeniu się z własną bezsilnością należy upatrywać prawdziwych przyczyn ich powodzenia. Ich szczęście nie jest jałowe, nie wynika z braku odpowiedzialności. Ludzie ci wiedzą, że - tak jak dziecko - nie są wolni. Wiedzą, co to współczucie. Wiedzą, że piękno ich architektury, wielkość muzyki, rozległość wiedzy - wszystko to jest możliwe dzięki istnieniu dziecka i temu, że oni są tego świadomi. To przez pamięć o nim są tacy dobrzy dla swoich dzieci. Zdają sobie sprawę, że gdyby

nieszczęśliwy malec nie skomlał w ciemnościach, ten drugi, mały flecista, nie przygrywałby tak radośnie urodziwym jeźdźcom przygotowującym się do startu w słońcu pierwszego letniego poranka.

Powiedzcie: czy teraz wierzycie? Czy nie stało się to wszystko bardziej prawdopodobne? Chwileczkę, jest jeszcze jedna rzecz, zupełnie nieprawdopodobna, o której chciałabym wam jeszcze powiedzieć.

Otóż od czasu do czasu jakiś chłopak czy dziewczyna, zamiast zżymać się po takiej wizycie i płakać, wcale nie wraca do domu. Niekiedy ktoś ze starszych, zrazu dziwnie milczący, po paru dniach również opuszcza dom. Ci ludzie idą ulicami przed siebie, aż wreszcie wychodzą z miasta przez piękne wrota. Wędrują dalej przez wsie Omelas, a każdy z nich - chłopak czy dziewczyna, mężczyzna czy kobieta - podąża samotnie. Zapada noc. I zawsze tak samo: ulicami miasta, pośród żółtych prostokątów okien i dalej przez mroczne pola ciągną na zachód czy północ ku góróm. Odchodzą z Omelas i idą w ciemność, by już nigdy nie wrócić. Miejsce, do którego zmierzają, jest jeszcze bardziej niedostępne naszej wyobraźni niż miasto szczęścia. Nie próbowałabym go nawet opisać. Być może w ogóle nie istnieje. Ale ci, co odchodzą z Omelas, wiedzą, dokąd prowadzi ich droga.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz

Larry Niven

NIESTAŁY KSIĘŻYC

Larry Niven (ur. 1938) zdobył miejsce wśród mistrzów hard SF dzięki nagrodzonej Nebulą powieści „Pierścień” (1970), w której tasiemcowy twór planetarny o promieniu miliona i obwodzie sześciuset milionów mil otacza daleką gwiazdę i stwarza okolicznym mieszkańcom wyjątkowe problemy w nawigacji i ucieczce. Powieść ta oraz jej kontynuacje, „Budowniczości Pierścienia” (1980), „The Ringworld Throne” (1996) i „Ringworld’s Children” (2004), należą do dużej sagi „Opowieści ze znanego kosmosu”, przyszej historii ludzkości w przestrzeni międzygwiazdnej, przedstawiającej szeroką galerię tematów - obce cywilizacje, nieśmiertelność, podróże w czasie, terraformowanie planet, inżynieria genetyczna i teleportacja. Powieści „The World of Ptavus” (1966), „A Gift from Earth” (1968), „Protector” (1973), „Całkowe drzewa” (1984) i bezpośrednia kontynuacja „The Smoke Ring” (1987), jak również zbiory opowiadań „Neutron Star” (1968), „The Shape of Space” (1969), „All the Myriad Ways” (1971), „Tales of Known Space” (1975), „Crashlander” (1994, bohaterem tych opowiadań jest Beowulf Schaeffer, ekspilot, turysta i handlarz) i „Flatlander” (1995, bohaterem tego detektywistycznego cyklu jest esper i telekinetyk Gil Long Arm Hamilton), a także pojedyncze opowiadania, eseje, komentarze, ramówki i tabele historyczne z innych zbiorów opisują historię przyszłości rozgrywającą się na przestrzeni półtora miliarda lat i łączącą

innowacyjne technologie z barwnymi opisami kontaktów międzygalaktycznych, a nawet podróży w czasie. Urok inwencji, jaką wykazał Niven, tworząc tę sagę, znajduje wyraz w antologii „Man-Kzin Wars”, do której jego koledzy z kręgu hard SF dołączyli swoje opowiadania, novelle i mikropowieści, dodając cyklowi realizmu poprzez wspólne tworzenie spójnego świata (dotąd ukazało się jedenaście tomów, 1988-2005). Zebrane utwory Nivena z tych antologii ukazały się w osobnym zestawie („The Best of All Possible Wars”, 1998). Niven jest też autorem powieści „A World Out of Time” (1976), wizji z dalekiej przyszłości, w której ewolucja doprowadziła niemal do nieśmiertelności człowieka. Wiele tekstów o wymiarze powieściowym Larry Niven stworzył we współpracy z innymi autorami. „The Mote in God’s Eye” (1974) to napisana z Jerrym Pournelle’em historia pierwszego kontaktu i przypadkowego odkrycia obcego gatunku, zamierzającego zasiać w Układzie Słonecznym swoją płodną populację. Niven i Pournelle są także autorami kontynuacji tej powieści „The Gripping Hand” (1993), powieści katastroficznej „Lucifer’s Hammer” (1977) i „Inferno” (1975), w której pisarz SF zostaje przeniesiony do dantejskiego piekła. Dzięki współpracy Steve’a Barnes’a powstała trylogia „Park Marzeń” (1981), „The Barsoom Project” (1989) i „The California Voodoo Game” (1991), rozgrywająca się w futurystycznym parku rozrywki, gdzie wyimaginowane sytuacje objawiają się w wirtualnej rzeczywistości. „Dziedzictwo Heorotu” (1987), napisana do spółki z Pournelle’em i Barnesem, znalazła swój ciąg dalszy w powieści „Dzieci Beowulfa” (1995), do których Niven dopisał luźną kontynuację „Droga Przeznaczenia” (1997). Niven jest także autorem novelli o pierwotnej magii, „The Magic Goes Away” (1978), który tak spodobał się czytelnikom, że wydano dwie antologie pod redakcją Nivena, dziejące się w tym samym świecie („The Magic May Return”, 1981 i

„More Magic”, 1984). Cała „trylogia” ukazała się łącznie pt. „The Magic Goes Away Collection” (2005); zbiór opowieści autorstwa Nivena, należących do tego cyklu, nosi tytuł „Time of the Warlock” (1984). Inne godne uwagi cykle Nivena to „Hanville Suetz”, którego bohater odwiedza intrygujące światy alternatywne w pięciu opowiadaniach zbioru „The Flight of the Horse” (1975), a w powieści „Rainbow Mars” (1999) poznaje tajemnice marsjańskiej cywilizacji dzięki wyprawie w odległą przeszłość Czerwonej Planety. „Draco Tavern” (2006) to zbiór opowiadań pisanych od lat siedemdziesiątych. Trzy bardzo obszerne zbiory, zawierające stare i nowe utwory, eseje, refleksje i fragmenty większych całości, noszą tytuły: „N-Space” (1990), „Playgrounds of the Mind” (1991) i „Scatterbrain” (2003).

I

Kiedy nadeszła zmiana, niczym drobny, ledwie zauważalny kątem oka ruch, oglądałem wiadomości. Spojrzałem w okno balkonowe. Cokolwiek to jednak byk), spóźniłem się.

Tej nocy Księżyc był bardzo jasny.

Zauważyłem to, uśmiechnąłem się i odwróciłem z powrotem do telewizora. Właśnie zaczynał swój monolog Johnny Carson.

Pojawiły się pierwsze reklamy i wstałem, żeby podgrzać sobie trochę kawy. Przed północą leciały po trzy i cztery naraz, będę miał więc wystarczająco dużo czasu.

Kiedy wracałem do pokoju, zaskoczył mnie blask Księżyca. Jeśli już przedtem był jasny, to teraz był jeszcze jaśniejszy. Hipnotyczny. Rozsunąłem szklane drzwi i wyszedłem na balkon, a raczej występ z barierką, na którym mógł się zmieścić mężczyzna, kobieta i przenośny rożen. Podczas ostatnich miesięcy rozciągający się z niego widok był wyjątkowo śliczny, szczególnie w czasie zachodu słońca. Zakład Energetyczny budował biurowiec ze szklanych płyt. Na razie był to tylko stalowy szkielet. Kiedy jednak czerniał na tle czerwonego nieba, ostro się od niego odcinając, wyglądał bardzo impresjonistycznie i sprawiał piorunujące wrażenie.

Tej nocy...

Nigdy nie widziałem, żeby Księżyc był taki jasny, nawet na pustyni. Pomyślałem, że jest wystarczająco jasny, by przy nim czytać, i natychmiast dodałem w myślach, że to złudzenie. Gdzieś wyczytałem, że Księżyc nigdy nie jest większy od ćwierćdolarówki widzianej z odległości trzech metrów. W żadnym razie nie może być na tyle jasny, żeby przy nim czytać.

Był dopiero w trzeciej kwadrze!

Świecąc jednak wysoko nad biegnącą na zachodzie autostradą do San Diego, wydawał się przyćmiewać nawet światła pędzących samochodów. Zmrużyłem oczy od blasku i pomyślałem o ludziach chodzących po Księżycu, zostawiających ślady grubych protektorów. Kiedyś pisałem jakiś artykuł i w związku z nim pozwolono mi potrzymać w ręku suchą jak pieprz skałę z Księżyca...

Usłyszałem, że znów zaczyna się program, wszedłem więc do pokoju. Rzuciwszy jednak okiem za siebie, spostrzegłem, że Księżyc świeci jeszcze jaśniej - jakby wyjrzał zza pędzonych wiatrem cienkich chmur.

Teraz jego blask wprost przeszywał mózg, był szaleńczy.

Zanim podniosła słuchawkę, telefon zadzwonił pięć razy.

- Cześć - powiedziałem. - Posłuchaj...

- Cześć - odparła Leslie sennym, pełnym pretensji głosem.

Cholera. Miałem nadzieję, że też ogląda telewizję.

- Nie krzycz, bo nie dzwonię bez powodu. Leżysz w łóżku, prawda?

Wstań i... czy możesz wstać?

- Która godzina?

- Za kwadrans dwunasta.

- O, Boże.

- Wyjdź na balkon i rozejrzyj się.

- Dobra.

Stuknęła odkładana słuchawka. Czekałem. Balkon Leslie wychodził na północny zachód, jak mój, ale znajdował się o dziesięć pięter wyżej i rozciągał się z niego odpowiednio lepszy widok.

- Stan? Jesteś tam?

- Tak. Co o tym sądzisz?

- Jest wspaniały. Nigdy nie widziałam czegoś takiego. Od czego Księżyc mógł się tak rozjaśnić?

- Nie wiem, ale czy nie jest wspaniały?

- To ty masz być ten miejscowy. - Leslie sprowadziła się tu zaledwie przed rokiem.

- Posłuchaj, nigdy w życiu nie widziałem takiego Księżyca. Jest jednak pewna stara legenda. Raz na sto lat smog odpływa znad Los Angeles na całą noc i powietrze robi się czyste jak w przestrzeni międzygwiazdnej. W ten sposób bogowie mogą zobaczyć, czy Los Angeles jeszcze jest na swoim miejscu. Jeśli jest, to z powrotem zasnuwają niebo smogiem, żeby nie musieli patrzeć na miasto.

- Kiedyś to wszystko znałam. Posłuchaj, cieszę się, że mnie obudziłeś, żebym to zobaczyła, ale jutro muszę popracować.

- Biedactwo.

- Takie jest życie. Dobranoc.

- Dobranoc.

Potem siedziałem po ciemku, usiłując wymyślić, do kogo mógłbym jeszcze zatelefonować. Zadzwoić do dziewczyny o północy, poprosić, żeby wyszła na dwór i popatrzyła na Księżyc... może pomyśleć, że to romantyczne, ale może też wpaść w furję, z pewnością jednak nie pomyśli, że człowiek zadzwoni jeszcze do sześciu innych.

Zastanowiłem się więc nad kilkoma imionami. Lecz dziewczyny, które do nich należały, jakoś się przez ostatni rok, kiedy zacząłem cały czas spędzać z Leslie, wykruszyły. Nie można ich było za to winić. I teraz Joan była w Teksasie, Hildy wychodziła za mąż, a gdybym zadzwonił do Louise, prawdopodobnie natknąłbym się też na Gordie. A ta Angielka? Ale nie pamiętałem numeru jej telefonu. Ani imienia. Poza tym wszystkie moje znajome, tak czy owak, odbijały rano jakąś kartę. Ja też pracowałem, ale jako wolny strzelec i sam sobie ustalałem godziny. Którąkolwiek więc bym dzisiaj zbudził, to zepsułbym jej poranek. No cóż...

Kiedy wróciłem do saloniku, program Johnny'ego Carsona był kłębiącą się szarością i szumem zakłóceń. Wyłączyłem telewizor i znów wyszedłem na balkon.

Potok światła był jaśniejszy od strumienia reflektorów na autostradzie, jaśniejszy od leżącej na prawo Westwood Village. Góry Monica lśniły magiczną, perłową poświatą. W pobliżu Księżyc nie było żadnych gwiazd. Gwiazdy nie wytrzymały takiego blasku.

Zarabiałem na życie, pisząc artykuły naukowe i poradniki. Powinienem się domyślić, dlaczego Księżyc tak się zachowuje. Czy może nagle stać się większy?... Nadać się jak balon? Nie. Zbliżyć się? Może. Spadający Księżyc?

Fale! Fale wysokie na pięćdziesiąt metrów... i trzęsienia ziemi! Uskok San Andreas rozstępujący się niczym Wielki Kanion! Wskoczyć do samochodu, pojechać na wzgórza... nie, już za późno...

Bzdura. Księżyc był jaśniejszy, a nie większy. Wyraźnie to widziałem. I dlaczego Księżyc miałby nam tak spaść na głowy?

Zamrugałem oczyma i na siatkówkach pozostał mi powidok Księżyc. Taki był jasny.

W tej samej chwili musi oglądać ten Księżyc z milion ludzi i zastanawiać się jak ja. Artykuł na ten temat poszedłby za bardzo duże pieniądze... jeśli napisałbym go przed wszystkimi innymi... Musi być jakieś proste, oczywiste wyjaśnienie.

No dobrze, co mogło sprawić, że Księżyc zrobił się jaśniejszy? Światło Księżyc to odbite światło słoneczne. Czy Słońce mogło stać się jaśniejsze? Musiało się to zatem wydarzyć po jego zachodzie, bo inaczej dałoby się zauważyć...

Nie podobała mi się ta myśl.

Poza tym połowa Ziemi znajdowała się w bezpośrednim blasku Słońca. Z całej Europy, Azji, Afryki dzwoniłoby więc korespondenci „Life'a”, „Time'a”, „Newsweeka” i Associated Press... chyba że

wszyscy pochowali się w piwnicach. Albo nie żyli. Albo nie można ich usłyszeć, bo Słońce zakłóca pracę wszystkiego - radia, systemów telefonicznych i telewizji... telewizji. O mój Boże.

Zaczynałem się troszeczkę, odrobinę bać.

No dobra, zaczynamy od początku. Księżyc zrobił się o wiele jaśniejszy. Światło Księżyca, no tak, światło Księżyca to odbite światło słoneczne; wie to każdy idiota. A zatem... coś się stało ze Słońcem.

II

- Halo?

- Cześć. To ja - powiedziałem, po czym zaschło mi w gardle. Panika! Co mam jej powiedzieć?

- Patrzyłam na Księżyc - powiedziała rozmarzonym głosem. - Jest cudowny. Próbowалам nawet użyć teleskopu, ale nic nie widziałam, był za jasny. Oświetla całe miasto. Wzgórza są całe srebrzyste.

Racja, przecież miała na balkonie teleskop. Zapomniałem.

- Nie próbowałam z powrotem zasnąć - powiedziała. - Za dużo światła.

Udało mi się zmusić gardło do pracy.

- Posłuchaj, Leslie, kochanie. Pomyślałem sobie, że cię już obudziłem i że przy tym całym świetle pewnie nie mogłaś zasnąć. Chodźmy więc na jakąś przekąskę o północy.

- Zwariowałaś?

- Nie, mówię poważnie. Naprawdę. Dzisiejsza noc to nie jest noc na spanie. Już nigdy możemy nie mieć takiej nocy. Do diabła z twoją dietą. Uczcijmy to. Lody z gorącym karmelem, irlandzka kawa...

- To co innego. Zaraz się ubiorę.

- Zaraz u ciebie będę.

Leslie mieszkała na czternastym piętrze Budynku C przy Barrington Plaza. Zastukałem w drzwi i czekałem.

I czekając, zastanawiałem się: dlaczego Leslie?

Muszą być inne sposoby spędzenia ostatniej nocy na Ziemi niż z jedną szczególną dziewczyną lub nawet kilkoma nieszczególnymi dziewczynami, tylko że tak naprawdę za bardzo to do mnie nie przemawiało. Mógłbym zadzwonić do brata albo do któregoś z

rodziców...

Tak, tylko że brat, Mike, domagałby się przedstawienia solidnego powodu wyciągnięcia go z łóżka o północy. „Ależ, Mike, Księżyc jest taki piękny...”. Niekoniecznie. Każde z moich rodziców zareagowałoby podobnie. No cóż, miałem niezły powód, ale czy by mi uwierzyli?

A nawet gdyby uwierzyli, to co wtedy? Urządziłbym coś w rodzaju stypy. Lepiej niech to prześpią. Chciałem, żeby ktoś przyłączył się do mojego... pożegnalnego przyjęcia bez zadawania niewłaściwych pytań.

Potrzebowałem Leslie. Zastukałem ponownie.

Uchyliła odrobinę drzwi. Była w bieliźnie. Kiedy mnie obejmowała, plecy musnął mi sztywny, bezkształtny pas, który trzymała w jednej ręce.

- Właśnie miałam go włożyć.

- A więc przyszedłem w samą porę.

Wziąłem od niej pas i upuściłem na podłogę. Pochyliłem się, żeby ją objąć, wyprostowałem się z wysiłkiem i poszedłem do sypialni. Stopy Leslie obijały się o moje kostki. Jej skóra była chłodna. Pewnie wychodziła na dwór.

- Ach tak! Uważasz, że możesz konkurować z lodami z gorącym karmelem?

- Oczywiście. Wymaga tego moja duma. - Obojgu nam brakowało nieco tchu.

Kiedyś próbowałem ją podnieść skuloną w moich ramionach, w bardziej konwencjonalnym filmowym stylu. O mało co nie pękł mi kręgosłup. Leslie była dużą dziewczyną, mojego wzrostu, i miała prawie zbyt obfite biodra.

Padliśmy obok siebie na łóżko. Sięgnąłem obiema rękami, żeby podrapać jej plecy, wiedząc, że nie będzie w stanie mi się oprzeć. Och

ha hahahaha. Pomrukiwała z zachwytu, dając mi znać, gdzie mam drapać. Potem podwinęła mi koszulę aż na ramiona i zaczęła drapać moje plecy.

Zrzuciliśmy ubrania, gorączkowo, odrzucając je za krawędź łóżka. Skóra Leslie była teraz ciepła, prawie gorąca...

No dobra, to dlatego nie mogłem wybrać innej dziewczyny. Musiałbym ją nauczyć, jak ma drapać. Nie było po prostu na to czasu.

W niektóre noce przyspieszałem naszą miłość. Tej jednak odprawialiśmy rytuał, inicjację. Próbowałem zwolnić, przedłużyć te chwile. Próbowałem sprawić, by Leslie podobało się jeszcze bardziej. Oplątało się niesamowicie. Kiedy oparła pięty o zgięcia moich kolan, zapomniałem o Księżycu, o przyszłości. Zatopiliśmy się w starodawnym rytmie.

Lecz obraz, jaki zobaczyłem w kulminacyjnej chwili, był żywy i przerażający. Znajdowaliśmy się w kręgu rozpalonego do błękitu ognia, który zaciskał się niczym pętla. Jęczałem z przerażenia i rozkoszy, a Leslie zapewne myślała, że tylko z rozkoszy.

Leżeliśmy senni, odrętwiali, przytuleni do siebie. Miałem ochotę zasnąć, złamać obietnicę, zasnąć i pozwolić zasnąć Leslie... lecz zamiast tego szepnąłem jej do ucha:

- Lody z gorącym karmelem.

Uśmiechnęła się, przeciągnęła i stoczyła z łóżka.

Nie chciałem, żeby wkładała pas.

- Już po północy. Nikt cię nie będzie podrywał, bo każdego takiego łajdaka spiorę, jasne? Więc dlaczego nie miałoby ci być wygodnie? - Roześmiała się i machnęła ręką. W windzie objęliśmy się raz, mocno. Bez pasa było o wiele lepiej.

III

Siwowłosa kelnerka za barem była wesoła i ożywiona. Jej oczy lśniły. Mówiła, jakby powierzała nam jakiś sekret.

- Zauważyliście blask Księżyca?

Restauracja Pod Statkiem była o tej porze dość zatłoczona, ale znajdowała się przecież blisko uniwersytetu; połowę klientów stanowili studenci. Dzisiaj rozmawiali przyciszonymi głosami, odwracając się, żeby wyglądać przez szklane ściany czynnej całą dobę restauracji. Księżyc widniał nisko na zachodzie, na tyle nisko, by konkurować z latarniami ulicznymi.

- Zauważyliśmy - odparłem. - Właśnie to świętujemy. Poprosimy o dwie porcje lodów z gorącym karmelem.

Kiedy odwróciła się, pod leżącą przede mną papierową serwetkę wsunąłem dziesięci dolarowy banknot. Nie zdąży go już wydać, ale przynajmniej będzie miała przyjemność ze znalezienia. Ja też bym go już nie wydał.

Czułem się swobodnie, beztrosko. Miałem wrażenie, że nagle wiele problemów samo się rozwiązało.

Kto by uwierzył, że pokój może przyjść do Wietnamu i Kambodży w jedną noc?

Tutaj w Kalifornii zaczęło się to około jedenastej trzydzieści. To znaczy, że znajdujące się w zenicie Słońce zawisło wtedy nad Morzem Arabskim i w jego bezpośrednim blasku znajduje się prawie cała Azja, Europa, Afryka i Australia.

Niemcy zostały już zjednoczone, bo mur berliński został stopiony lub rozbity przez fale uderzeniowe. Izraelici i Arabowie odłożyli broń. Afrykański apartheid był przeszłością.

A ja byłem wolny. Nie istniały dla mnie żadne konsekwencje. Dzisiejszej nocy mogłem zaspokoić wszelkie swoje mroczne pragnienia, rabować, zabijać, oszukiwać na podatku dochodowym, rzucać cegłami w wielkie szyby, spalić karty kredytowe. Mogłem zapomnieć o artykule na temat wybuchowego kształtowania blach, który miałem oddać w czwartek. Dzisiejszej nocy mogłem na miejsce pigulek Leslie podłożyć cukierki cytrynowe. Dzisiejszej nocy...

- Chyba sobie zapalę.

Leslie dziwnym ruchem skinęła głową.

- Myślałam, że rzuciłeś papierosa.

- Przecież pamiętasz. Powiedziałem sobie, że jeśli najdzie mnie jakaś przemożna chęć, to zapalę. Nie mogłem pogodzić się z myślą, że już nigdy nie poczuję smaku papierosa.

- Ale upłynęło już kilka miesięcy! - powiedziała ze śmiechem.

- Ale w czasopiśmie ciągle są zamieszczane reklamy papierosów!

- To spisek. No dobrze, zapal sobie.

Wrzuciłem do automatu pieniądze, zawahałem się przy wyborze, w końcu wybrałem arkę z łagodnym filtrem. Wcale nie chciało mi się palić, lecz pewne sytuacje wymagają szampana, a inne papierosa. Jest przecież ten tradycyjny ostatni papieros przed plutonem egzekucyjnym...

Zapaliłem. No to za raka płuc.

Smakował tak dobrze, jak pamiętałem, chociaż miał delikatny zastarzały posmak, jakbym usta miał pełne starych petów. Trzecie zaciągnięcie smakowało dziwnie. Straciłem ostrość widzenia, a potem wszystko nagle się uspokoiło. Pulsowało mi głośno w gardle.

- Jak smakuje?

- To dziwne, jestem przymulony - powiedziałem.

Przymulony! Nie słyszałem tego słowa od piętnastu lat. W szkole średniej paliliśmy, żeby się przymulić, zaznać tego pseudoupicia się

powodowanego kurczeniem się naczyń włosowatych w mózgu. Przymulenie przestało pojawiać się po pierwszych kilku razach, ale większość z nas nadal paliła...

Zgasilem papierosa. Kelnerka niosła już nasze lody.

Gorąco i zimno, słodycz i goryczka; nic tak nie smakuje, jak lody z gorącym karmelem. Umrzeć, nie posmakowawszy ich raz jeszcze, byłoby strasznym błędem. Dla Leslie było to jednak coś więcej, symbol bogatego życia. Obserwowanie, jak je te lody, było przyjemniejsze niż jedzenie ich samemu.

Poza tym... Zgasilem papierosa, żeby poczuć smak lodów. Teraz, zamiast rozkoszować się nimi, czekałem na irlandzką kawę. Za mało czasu.

Pucharek Leslie był pusty. Wydała z siebie teatralne westchnienie:

- Aach! - I poklepała się po brzuchu.

Jakiś klient przy jednym ze stolików zaczął szaleć.

Zauważyłem go już, kiedy wchodził. Był to szczupły typ naukowca z baczkami i okularami w metalowych oprawkach. Cały czas kręcił się, żeby popatrzeć na Księżyc. Podobnie jak inni, siedzący przy pozostałych stolikach, wydawał się podekscytowany tym rzadkim i przepięknym zjawiskiem.

I nagle do niego dotarło. Zobaczyłem, jak zmienia mu się twarz, wyrażając najpierw podejrzliwość, potem niedowierzanie, a wreszcie przerażenie. Przerażenie i bezradność.

- Chodźmy - powiedziałem do Leslie.

Rzuciłem na kontuar kilka ćwierćdolarówek i wstałem.

- Nie chcesz skończyć?

- Nie. Mamy do zrobienia jeszcze kilka rzeczy. Co powiesz na irlandzką kawę?

- I „różową damę” dla mnie? Och, popatrz! - Odwróciła się.

Naukowiec właśnie wchodził na stół. Chwycił równowagę,

rozłożył szeroko ręce i ryknął:

- Wyjrzyjcie przez okna!

- Proszę zejść! - zawołała kelnerka, szarpiąc go energicznie za nogawkę spodni.

- Nadchodzi koniec świata! Daleko po drugiej stronie oceanu śmierć i ogień piekielny...

My jednak byliśmy już za drzwiami, śmiejąc się w biegu. Leslie wydyszała:

- Być może... uciekliśmy... przed zamieszkami religijnymi!

Pomyślałem o dysze, którą zostawiłem pod serwetką. Teraz już nikomu nie sprawi przyjemności. W restauracji jakiś prorok wykrzykiwał swoje posłannictwo zagłady do wszystkich, którzy chcieli go słuchać. Siwowłosa kobieta o lśniących oczach znajdzie pieniądze i pomyśli: oni też wiedzieli.

Budynki nie dopuszczały księżycowego światła na parking Czerwonej Stodoły. Światła uliczne i pośredni blask Księżyca były prawie tego samego koloru. Wydawało się, że noc jest tylko trochę jaśniejsza niż zwykle.

Nie rozumiałem, dlaczego Leslie nagle zatrzymała się na podjeździe. Podążyłem jednak za jej wzrokiem prosto w górę, gdzie tuż poniżej zenitu bardzo jasno świeciła jakaś gwiazda.

- Ładna - powiedziałem.

W Czerwonej Stodole nie było okien. Na ciemne drewno i spokojnie bawiących się klientów padało nikłe sztuczne światło, o wiele słabsze od dziwaczного blasku panującego na zewnątrz. Wydawało się, że nikt nie zdaje sobie sprawy, iż dzisiejsza noc różni się od innych.

Niewielki wtorkowy tłumek skupiał się głównie przy barze z pianinem. Jakiś klient trzymał mikrofon i łamiącym się, słabym głosem śpiewał na wpół znajomą piosenkę, a uśmiechnięty czarny

pianista grał ckliwy podkład.

Zamówiłem dwie irlandzkie kawy i „różową damę”. Na pytające spojrzenie Leslie tylko się tajemniczo uśmiechnąłem.

Jakże zwykłe Czerwona Stodoła sprawiała wrażenie. Panowała w niej swobodna i przyjemna atmosfera. Trzymaliśmy się za ręce, uśmiechałem się i bałem się odezwać. Jeśli zniszczę czar, jeśli powiem coś niewłaściwego...

Przyniesiono nam drinki. Podniosłem kieliszek z irlandzką kawą. Cukier, irlandzka whisky i mocna, czarna kawa z gęstą bitą śmietaną. Poczułem, jakby po moich żyłach rozlewał się magiczny napój siły, ciemny, gorący i potężny.

Kelnerka gestem odmówiła przyjęcia pieniędzy.

- Widzi pan tego gościa w golfie, tam, przy końcu baru? On stawia - powiedziała wesoło. - Przyszedł dwie godziny temu i dał barmanowi sto dolarów.

A więc stąd ten cały radosny nastrój. Darmowe drinki! Obejrzałem się za siebie, zastanawiając się, co też takiego świętuje ten facet.

Był to mężczyzna o grubej szyi i szerokich ramionach, w swetrze z golfem i sportowej marynarce. Siedział zgarbiony, a jedną ręką mocno ścisnął szeroką szklaneczkę. Pianista podsunął mu mikrofon, ale mężczyzna machnął ręką, umożliwiając mi przy okazji, bym dobrze się przyjrzał jego twarzy. Kwadratowej, mocnej, lecz teraz pijanej, nieszczęśliwej i przestraszonej. Jakby za chwilę miał zacząć krzyczeć ze strachu. Wiedziałem już, co takiego świętuje. Leslie skrzywiła się.

- Nie przyrządzili „różowej damy” jak trzeba.

Na świecie istnieje tylko jeden bar, gdzie przyrządzają „różową damę” tak, jak lubi Leslie, i nie znajduje się on niestety w Los Angeles. Przysunąłem jej irlandzką kawę z uśmiechem oznaczającym: „A nie mówiłem?”. Był wymuszony. Strach tego mężczyzny był

zaraźliwy. Odpowiedziała uśmiechem i uniosła kieliszek:

- Za błękitny blask Księżyca.

Także uniosłem kieliszek i wypilem. Nie był to jednak toast, jaki sam bym wygłosił.

Mężczyzna w golfie ześliznął się ze swojego stołka i ostrożnie ruszył do drzwi, nawigując powoli i prosto niczym liniowiec oceaniczny wpływający do portu. Szeroko otworzył drzwi i odwrócił się, a do środka wlało się, omywając jego sylwetkę, dziwaczne, błękitnobiałe światło.

Łajdak. Cekał, żeby ktoś na to wpadł i wykrzyczał prawdę innym. Ogień zagłady...

- Zamknij drzwi! - zawołał ktoś.

- Czas na nas - powiedziałem cicho.

- Skąd ten pośpiech?

Pośpiech? Przecież on może zacząć mówić! Ale nie mogłem jej tego zdradzić...

Leslie położyła dłoń na mojej ręce.

- Ja wiem. Wiem. Ale nie możemy od tego uciec, prawda?

Serce mi zamarło. Wiedziała, a ja tego nie zauważyłem?

Drzwi się zamknęły, pogrążając Czerwoną Stodołę w czerwonym półmroku. Mężczyzna, który stawał, wyszedł.

- O, Boże. Kiedy się domyśliłaś?

- Zanim przyszedłeś - odparła. - Ale kiedy próbowałam sprawdzić, nic mi nie wyszło.

- Sprawdzić?

- Wyszłam na balkon i skierowałam teleskop na Jowisza. Mars jest teraz poniżej horyzontu. Jeśli Słońce zmieniło się w nową, to wszystkie planety powinny być oświetlone tak jak Księżyc, prawda?

- Prawda. Cholera.

Sam powinienem o tym pomyśleć. Leslie zajmowała się w końcu

tylko amatorsko astronomią. Miałem trochę pojęcia o astrofizyce, a tymczasem nie potrafiłbym znaleźć Jowisza, nawet gdyby zależało od tego moje życie.

- Ale Jowisz nie był ani trochę jaśniejszy niż zwykle. Więc już zupełnie nie wiedziałam, co myśleć.

- Ale wtedy...

Poczułem budzącą się gwałtowną nadzieję. I wtedy przypomniałem sobie.

- Tamta gwiazda, nad naszymi głowami. Ta, na którą patrzyłaś.

- Jowisz.

- Świeciła jak jakiś pieprzony neon. To przesądza sprawę.

- Mów ciszej.

Mówiłem cicho. Ale przez jedną szaloną chwilę chciałem wskoczyć na stół i krzyknąć! Ogień i zagłada... Jakim prawem mają nic nie wiedzieć?

Dłoń Leslie zacisnęła się mocno na mojej ręce. Niebezpieczny moment minął. Cały się trząsnęłam.

- Wyjdźmy stąd. Niech sobie myślą, że nadejdzie świt.

- Nadejdzie. - Leslie roześmiała się ponurym, szczekliwym śmiechem, jakiego nigdy u niej nie słyszałem. Wyszła, a ja sięgnąłem po portfel, potem przypomniałem sobie, że nie muszę.

Biedna Leslie. Stwierdzenie, że Jowisz wygląda normalnie, musiało sprawić jej ulgę, dopóki po półtorej godzinie biała iskierka nie zapłonęła wspaniałym blaskiem. Światło słoneczne docierało do Ziemi za pośrednictwem Jowisza w ciągu półtorej godziny.

Kiedy już dotarłem do drzwi, Leslie prawie biegła wzdłuż Westwoods w kierunku Santa Monica. Zakląłem i ruszyłem, żeby ją dogonić, zastanawiając się, czy nagle nie oszalała. Wtedy zauważyłem leżące przed nami cienie. Wzdłuż całej drugiej strony Santa Monica Boulevard kładły się rzucane przez Księżyc poziome

wzory z ciemnych i błękitno-białych pasów.

Dogoniłem ją na rogu.

Księżyc zachodził. Zachodzący Księżyc zawsze jest wspaniały, a dzisiaj świecił z widocznego pod autostradą skrawka nieba. Był straszliwie jasny i tworzył niewiarygodnie złożony rysunek linii i cieni. Nawet jego nieoświetlony fragment lśnił perłową poświatą od Ziemi.

A na Księżycu? Ludzie z Apollo XIX zginęli pewnie w ciągu kilku pierwszych minut aktywności słonecznej nowej. Schwytani w pułapkę na księżycowej równinie, może ukrywali się za jakimś topniejącym gładem... A może byli po ciemnej stronie? Nie pamiętam. Cholera, być może przeżyją nas wszystkich. Poczujęm ukłucie zazdrości i nienawiści.

Oraz dumy. To my ich tam umieściliśmy. Zdobyliśmy Księżyc przed wybuchem nowej. Jeszcze trochę, a dotarlibyśmy do gwiazd. Zachodzący dysk dziwnie się zmieniał. Kopuła, latający spodek, soczewka, linia...

Zniknął.

Zniknął. No, dobra. Teraz możemy o nim zapomnieć, teraz możemy sobie chodzić bez ciągłego przypominania nam, że coś jest nie tak. Zachód Księżyca oczyścił miasto z wszystkich tych niesamowitych cieni. Lecz chmury jaśniały dziwnym blaskiem. Podobnie jak chmury po zachodzie Słońca, ale tej nocy ich zachodnie krawędzie lśniły siłą bielą. I pędziły po niebie zbyt szybko. Jakby próbowały uciekać...

Kiedy odwróciłem się do Leslie, po jej policzkach toczyły się ogromne łzy.

- O, niech to. - Ująłem ją za rękę. - Przestań. No, przestań.

- Nie mogę. Wiesz, że kiedy zacznę płakać, to nie mogę przestać.

- Nie to miałem na myśli. Pomyślałem, że zrobimy to, co zawsze odkładaliśmy, co lubimy. To nasza ostatnia szansa. Czy tak chcesz

umrzeć, płacząc na rogu ulicy?

- W ogóle nie chcę umierać!

- Gówno!

- Stokrotne dzięki. Miała czerwoną i wykrzywioną twarz. Płakała jak dziecko, nie zważając na godność ani wygląd. Czułem się okropnie. Czułem się winny, ale wiedziałem też, że ta nowa to nie moja wina, więc się rozzłościłem.

- Ja też nie chcę umierać! - warknąłem. - Pokaż mi jakieś wyjście, to chętnie skorzystam. Dokąd mielibyśmy uciec? Na biegun południowy? To by tylko dłużej trwało. Po dziennej stronie Księżyc musi być zupełnie stopiony. Na Marsa? Kiedy to się skończy, Mars będzie częścią Słońca jak Ziemia. Na Alfę Centauri? Przy koniecznym do tego przyspieszeniu rozmazalibyśmy się po ścianie jak masło orzechowe i galaretka...

- Och, zamknij się.

- Dobra.

- Hawaje. Stan, moglibyśmy dotrzeć na lotnisko w dwadzieścia minut. Lecąc na zachód, zyskalibyśmy dodatkowe dwie godziny! Mielibyśmy o dwie godziny więcej przed wschodem Słońca?

Coś w tym było. Dwie godziny były warte każdej ceny! Ale ja przeanalizowałem to już wcześniej, patrząc na Księżyc z mojego balkonu.

- Nie. Zginęlibyśmy wcześniej. Posłuchaj, kochanie. To, że Księżyc robi się jaśniejszy, zobaczyliśmy tuż przed północą. To znaczy, że kiedy Słońce zmieniło się w nową, Kalifornia znajdowała się z tyłu Ziemi.

- Zgadza się.

- W takim razie musimy znajdować się najdalej od fali uderzeniowej.

- Nie rozumiem.

- Spójrz na to w ten sposób. Najpierw eksploduje Słońce. Od tego w jednej sekundzie po całej dziennej stronie podgrzewa się powietrze i oceany. Para wodna i przegrzane powietrze błyskawicznie się rozszerzają. Na stronę nocną pędzi z rykiem ognista fala uderzeniowa. Właśnie zbliża się do nas. Jak zaciskająca się pętla. Ale najpierw dotrze do Hawajów. Hawaje leżą o dwie godziny bliżej linii zachodu Słońca.

- A więc nie zobaczymy świtu. Nie będziemy żyć nawet tyle.

- Nie.

- Jak dobrze potrafisz wszystko wyjaśnić - powiedziała z goryczą w głosie. - Ognista fala uderzeniowa. Jakie to obrazowe.

- Przepraszam. Za dużo o tym myślałem. Zastanawiałem się, jak to będzie.

- No to teraz już przestań.

Podeszła do mnie i wtuliła mi twarz w ramię. Cicho płakała. Objąłem ją jedną ręką, a drugą masowałem szyję. Patrzyłem na pędzące chmury i nie myślałem, jak to będzie. Nie myślałem o zamykającym się wokół nas pierścieniu ognia.

I tak był to niewłaściwy obraz.

Myślałem o tym, jak na dziennej stronie wygotowały się oceany, więc fala uderzeniowa to przede wszystkim para wodna. Myślałem o milionach mil kwadratowych oceanu, jakie miała do przebycia. Kiedy do nas dotrze, będzie chłodniejsza i wilgotniejsza. A rotacja Ziemi wywoła w niej wir jak w wodzie spuszczonej z wanny. Dwa wirujące w przeciwnych kierunkach huragany żywej pary, jeden na północy, drugi na południu. Tak będzie. Mieliśmy szczęście. Kalifornia znajdzie się bliżej oka cyklonu północnego. Huraganowy wiatr przesycony żywą parą. Porwie człowieka i ugotuje w powietrzu, obedrze z poparzonego ciała i ciśnie w dół. Będzie bolało jak cholera.

Nie zobaczymy wschodu Słońca. Pod pewnym względem szkoda.

Byłby widowiskowy.

Gwiazdy przesłaniały grube, równoległe pasma pędzących chmur, podświetlonych od spodu na biało przez światła miasta. Jowisz pociemniał i zgasł. Czy już się zaczyna? Zaśniły błyskawice termiczne...

- Zorza - powiedziałem.

- Co?

- Słońce też wytworzyło falę uderzeniową. Powinna być zorza, jakiej nikt jeszcze nie widział.

Leslie nagle zgrzytliwie się roześmiała.

- Jakie to dziwne, stać tak na rogu ulicy i mówić takie rzeczy! Stan, czy nam się to śni?

- Moglibyśmy udawać...

- Nie. Większość ludzkości zapewne już jest martwa.

- Tak.

- I nie ma dokąd się udać.

- Cholera, doszłaś do tego zupełnie samodzielnie już dawno. Po co to teraz wywlekasz?

- Mogłeś dać mi spać - rzekła z goryczą. - Właśnie zasypiałam, kiedy zaszepotałeś mi do ucha.

Nie odpowiedziałem. Tak było.

- „Lody z gorącym karmelem” - zacytowała. A po chwili dodała: - Właściwie nie był to taki zły pomysł. To znaczy przerwanie diety.

Zacząłem prychać ze śmiechu.

- Przestań.

- Moglibyśmy wrócić do ciebie. Albo do mnie. Żeby się przespać.

- Pewnie tak. Ale nie moglibyśmy zasnąć, prawda? Nie, nic nie mów. Bierzemy pigułki nasenne i za pięć godzin budzimy się z krzykiem. Wolę już nie spać. Przynajmniej będziemy wiedzieli, co się dzieje.

Ale gdybyśmy zażyli wszystkie pigułki... tego jednak nie powiedziałem.

- No to co byś powiedziała na piknik?
- Gdzie?
- Może na plaży. Czy to ważne? Możemy zdecydować później.

IV

Wszystkie sklepy były zamknięte. Od lat jednak kupowałem w sklepie alkoholowym obok Czerwonej Stodoły. Kupiliśmy tam pasztet, krakersy, dwie butelki schłodzonego szampana, sześć rodzajów sera i całe mnóstwo orzeszków - wziąłem po jednej paczusce z każdego gatunku - jeszcze trochę krakersów, torebkę lodu, zamrożone przystawki z marynowanych kurzych wątróbek i kotewki pospolitej owiniętych plasterkami bekonu, buteleczkę bardzo starego winiaku, która kosztowała dwadzieścia pięć dolców, podobną buteleczką wiśniówki dla Leslie, po sześć puszek piwa i toniku...

Zanim wyładowaliśmy tym wszystkim malutki sklepowy wózek, zaczęło padać. Na ogromnej frontowej szybie sklepu rozbijały się niesione szkwałami wielkie, grube krople. Zza rogów budynku wypadał z wyciem wiatr.

Sprzedawca był podekscytowany, promieniował wprost energią. Całą noc obserwował Księżyc.

- A teraz to! - zawołał, pakując nasze łupy do toreb. Był to niski, muskularny staruszek o grubych rękach i ramionach. - W Kalifornii nigdy tak nie pada. Jeśli w ogóle, to deszcz pada pionowo i jest gęsty. Przygotowuje się do tego całymi dniami.

- Wiem.

Wypisałem mu czek, czując się z tego powodu winny. Zna mnie od tak dawna, że mi ufa. Ale czek był dobry. Były pieniądze na jego pokrycie. Przed godziną otwarcia banku czek zamieni się w popiół, a wszystkie banki na świecie będą bulgotać w słonecznym żarze. Ale to już nie moja wina.

Załadował nasze torby na wózek i stanął przy drzwiach.

- Wyjdziemy, kiedy zelżeje deszcz. Gotowi?

Przygotowałem się do otwarcia drzwi. Deszcz lał, jakby ktoś chlusnął na okno wiadrem wody. Na chwilę przestało padać, chociaż woda nadal ściekała po szybie.

- Teraz! - zawołał sprzedawca, ja szarpnięciem otworzyłem drzwi i wybiegliśmy ze sklepu. Dopadliśmy samochodu, śmiejąc się jak wariaci. Wiatr wył, ciskając w nas rozpyloną wodą.

- Wybraliśmy dobry moment. Wiecie, co mi przypomina ta pogoda? Kansas - rzekł sprzedawca. - Podczas tornada.

Nagle wszędzie było pełno żwiru! Krzyknęliśmy, zakrywając głowy. Samochód rozbrzmiał milionem drobnych uderzeń. Otworzyłem drzwiczki i wciągnąłem do środka za sobą Leslie i sprzedawcę. Rozcieraliśmy posiniaczone głowy i patrzyliśmy na podskakujący wszędzie biały żwir. Sprzedawca wyjął zza kołnierza biały kamyk. Położył go Leslie na dłoni, a ona pisnęła z zaskoczenia. Podała mi - był zimny.

- Grad - powiedział sprzedawca. - Teraz już naprawdę nic nie rozumiem.

Ja też nie rozumiałem. Zdołałem tylko pomyśleć, że musi to mieć coś wspólnego z nową. Ale co? Jak?

- Muszę wracać - odezwał się sprzedawca.

Grad wyczerpał swe siły w jednym krótkim ataku. Sprzedawca wziął głęboki oddech i wypadł z samochodu jak żołnierz piechoty morskiej zdobywający wzgórze. Nigdy więcej już go nie zobaczyliśmy.

Chmury kłębiły się na niebie, łącząc się i znikając, mijając się z niewiarygodną wprost szybkością. Ich brzuchy lśniły od miejskich świateł.

- To pewnie ta nowa - powiedziała, drżąc, Leslie.

- Ale w jaki sposób? Gdyby doszły już tu fale uderzeniowe,

bylibyśmy martwi - albo przynajmniej głusi. Grad?

- Czy to ważne? Stan, nie mamy czasu!

Wstrząsnąłem się.

- Dobra. Co najbardziej chciałabyś teraz robić?

- Obejrzeć mecz baseballu.

- Jest druga w nocy - zauważyłem.

- To wyklucza mnóstwo rzeczy, prawda?

- Tak. Byliśmy w naszym ostatnim barze. Widzieliśmy naszą ostatnią sztukę i ostatni przyzwoity film. Co nam zostało?

- Oglądać biżuterię na wystawach sklepów jubilerskich.

- Poważnie? W ostatnią noc na Ziemi?

Zastanowiła się i po chwili odparła: - Tak.

Cholera, mówiła serio. Nie potrafiłbym wymyślić nic nudniejszego.

- Westwood czy Beverly Hills?

- I tu, i tu.

- Posłuchaj...

- No to Beverly Hills.

Jechaliśmy w kolejnej nawałnicy deszczu i gradu - była to burza w kapsułce. Zaparkowaliśmy pół przecznicy od sklepu Tiffany'ego. Chodnik był jedną ogromną kałużą. Z budynków, obok których przechodziliśmy, spadał na nas drugi deszcz. Leslie powiedziała:

- To wspaniałe. Musi tu być w pobliżu z dziesięć sklepów jubilerskich.

- Myślałem o jeźdźeniu samochodem.

- Nie, nie, nie prezentujesz właściwej postawy. Wystawy ogląda się pieszo. Takie są zasady.

- Ale pada!

- Nie umrzesz na zapalenie płuc. Nie zdążysz - odparła zbyt ponuro.

W Beverly Hills była mała filia Tiffany'ego, ale na wystawie w nocy nie było drogich rzeczy. Ot, kilka fascynujących drobiazgów.

Skręciliśmy w Rodeo Drive - i odkryliśmy bogactwo. U Tibora obejrzeliliśmy nieograniczony wybór pierścionków, ozdobnych i nowoczesnych, dużych i małych, z wszelkimi rodzajami kamieni szlachetnych i półszlachetnych. Po drugiej stronie ulicy u Van Cleefa i Arpela były broszki, eleganckie męskie zegarki, bransoletki z maleńkimi zegarkami, a jedna wystawa była poświęcona wyłącznie brylantom.

- Och, śliczne - westchnęła Leslie na widok skrzących się klejnotów. - Ależ one muszą wyglądać w dzień! O-o...

- Nie, to dobra myśl. Wyobraź je sobie o świcie, lśniące w jaskrawym blasku nowej wlewającym się przez strzaskane szyby. Chcesz któryś z nich? Może ten naszyjnik?

- Och, czy mogę? Hej, hej, żartowałam! Odłóż to, idioto, w szybie pewnie są urządzenia alarmowe.

- Posłuchaj, od tej chwili do poranka nikt tego nie będzie nosił. Dlaczego nie mielibyśmy skorzystać?

- Złapią nas!

- Przecież sama powiedziałaś, że chcesz pooglądać wystawy...

- Nie chcę spędzić swojej ostatniej godziny w celi. Gdybyś przyprowadził samochód, mielibyśmy przynajmniej jakąś szansę...

- ...ucieczki. Racja. Chciałem przyprowadzić samochód...

W tym momencie oboje wybuchnęliśmy już zupełnie nieopanowanym śmiechem i musieliśmy odejść, zataczając się i podtrzymując się nawzajem.

Na Rodeo było z pół tuzina sklepów jubilerskich. Były też i inne. Zabawki, książki, koszule i krawaty w dziwne, awangardowe wzory. U Francisa Orra ogromny plastikowy sześciąt pełen nowego bilonu. Dalej para cholernie dziwnych zegarów ściennych. Oglądanie

wystaw było bardziej podniecające, bo wiedzieliśmy, że jeśli bardzo czegoś zapagniemy, to możemy stłuc szybę i po prostu to sobie wziąć.

Trzymaliśmy się za ręce i wymachiwaliśmy nimi. Chodniki należały do nas - wszyscy inni uciekli przed wściekłym deszczem. Wysoko nad nami nadal kłębiły się chmury.

- Szkoda, że nie wiedziałam, co się szykuje - odezwała się nagle Leslie. - Cały dzień spędziłam na poprawianiu błędów w programie. Teraz nigdy go nie uruchomimy.

- Co zrobiłabyś z tym czasem? Poszłabyś na mecz?

- Może. Nie. Wyniki teraz się już nie liczą. - Wykrzywiła się do sukienek na wystawie. - A co ty byś zrobił?

- Poszedłbym na koktajle do Błękitnej Kuli - odparłem natychmiast. - Są tam dziewczyny topless. Zawsze tam chodziłem, słyszałem, że teraz przeszli na pełny nudyzm.

- Nigdy nie byłem w takim miejscu. Do której jest tam otwarte?

- Daruj sobie. Jest prawie wpół do trzeciej.

Leslie wpatrywała się w wielkie zwierzaki na wystawie sklepu z zabawkami.

- Nie ma kogoś, kogo byś chciał zamordować, jeśli starczyłoby czasu?

- Przecież wiesz, że mój agent mieszka w Nowym Jorku.

- Dlaczego jego?

- Moje dziecko, dlaczego każdy pisarz chciałby zamordować swego agenta? Za rękopisy, które giną pod innymi rękopisami. Za jego nieuczciwie zarobione dziesięć procent oraz za pozostałe dziewięćdziesiąt, które wysyła niechętnie i z opóźnieniem. Za...

Nagle wiatr zawył i zaatakował nas ze zdwojoną siłą. Leslie pokazała ręką. Wbiegliśmy do głębokiej bramy, która okazała się wejściem do Gucciego, i przyłgnęliśmy do szklanej tafli. Wtem

powietrze zrobiło się gęste od gradu wielkości kulek do gry. Gdzieś pękła szyba i poprzez wiatr docierały cienkie, słabe odgłosy alarmów. To nie był tylko grad! Wiatr ciskał kamienie!

Poczułem zapach i smak morskiej wody.

Przytulaliśmy się do siebie w kosztownie zmarnowanej, wolnej przestrzeni przed sklepem Gucciego. Na oczekaniu ukułem termin i krzyknąłem:

- Nowowa pogoda! W jaki sposób, do cholery... - Ale nie słyszałem samego siebie, a Leslie nawet nie wiedziała, że krzyczę.

Nowowa pogoda. W jaki sposób dotarła tu tak szybko? Posuwająca się nad biegunem fala uderzeniowa, wywołana przez nową, musiałaby przebyć około pięciu tysięcy mil - to podróż przynajmniej pięciogodzinna.

Nie. Fala uderzeniowa posuwałaby się w stratosferze, gdzie prędkość dźwięku jest większa, a dopiero potem przeniosłaby się w dół. Trzy godziny to mnóstwo czasu. Pomyślałem jednak, że i tak nie powinna nadejść w postaci nasilającego się wiatru. Po drugiej stronie świata wybuchające Słońce odzierało nas z atmosfery i rzucało ją ku gwiazdom. Uderzenie powinno więc nadejść jako jeden ogromny grzmot.

Wiatr zelżał na chwilę. Natychmiast pobiegłem chodnikiem, ciągnąc Leslie za sobą. Kiedy wiatr znów się nasilił, znaleźliśmy kolejne wejście do sklepu. Wydawało mi się, że w odpowiedzi na alarm słyszę zbliżającą się syrenę.

Podczas następnej przerwy przecięliśmy z pluskiem Wilshire i dotarliśmy do samochodu. Usiedliśmy w środku, dysząc i czekając, aż rozgrzeje się grzejnik. Buty miałem przemoczone, mokre ubranie przylegało mi do skóry.

Leslie zawołała:

- Jak długo jeszcze?

- Nie wiem! Powinniśmy mieć jeszcze trochę czasu.
- Będziemy musieli urządzić nasz piknik w mieszkaniu!
- U ciebie czy u mnie? U ciebie - zdecydowałem i włączyłem bieg.

V

Wilshire Boulevard miejscami zalany był do wysokości kołpaków na kołach. Atak gradu i deszczu ze śniegiem przeszedł tymczasem w regularny, silny deszcz. Przed nami powoli ciągnęła się mgła, sięgająca do wysokości pasa, wirująca nad dachem samochodu i kłębiąca się po naszym przejeździe. Dziwaczna pogoda.

Nowowa pogoda. Fala uderzeniowa parzącej, przegrzanej pary wodnej nie nadeszła. Zamiast niej był zaledwie gorący wiatr, pędzący z rykiem przez stratosferę, a turbulencje spływały w dół w postaci dziwacznych burz na poziomie gruntu.

Zaparkowaliśmy nieprawidłowo na wyższym poziomie parkingu; jeden rzut oka na niższy wystarczył, by stwierdzić, że jest zalany. Otworzyłem bagażnik i wyjąłem dwie ciężkie papierowe torby.

- Chyba zwariowaliśmy - powiedziała Leslie, potrząsając głową. - Nigdy tego nie zjemy.

- Ale i tak zanieśmy to na górę.

Roześmiała się.

- Ale po co?

- Taki mój kaprys. Pomożesz mi nieść?

Zawieźliśmy po dwie torby na czternaste piętro. I tak w bagażniku zostały jeszcze dwie.

- Nieważne - rzekła Leslie. - Mamy przystawki, butelki i orzeszki. Czegóż więcej nam trzeba?

- Serów. Krakersów. Pasztetu.

- Daj sobie spokój.

- Nie.

- Zwariowałeś - mówiła powoli, żebym rozumiał. - Po drodze na

dół możesz się ugotować na śmierć! Być może zostało nam tylko kilka minut, a ty chcesz przynieść żywność na tydzień! Po co?

- Wolałbym nie mówić.

- No to idź! - Trzasnęła drzwiami ze straszną siłą.

Jazda windą była ciężkim przeżyciem. Cały czas zastanawiałem się, czy Leslie nie ma racji. Tutaj, w samym środku budynku, gwizd wiatru był przytłumiony. Ale może zaraz zerwie gdzieś przewody elektryczne i uwięzi mnie w pociemniałej klatce. Udało mi się jednak zjechać na dół.

Wyższy poziom zalany był do wysokości kolan.

Drugim zaskoczeniem było to, że woda była letnia, jak do kąpieli, i brodziło się w niej nieprzyjemnie. Nad powierzchnią unosiła się para, którą rozwiewał wiatr, wyjący w tym betonowym rezonatorze potępieńczym głosem.

Wjazd na górę był kolejną ciężką próbą. Jeśli moje myśli sprowadzają spełnienie, jeśli zaskoczy mnie teraz ryczący huragan żywej pary wodnej... czułbym się takim idiotą... Ale drzwi się otworzyły, a światła nawet nie zamrugały.

Leslie nie chciała mnie wypuścić.

- Odejdź! - krzyknęła przez zamknięte drzwi. - Zjedz swój ser i krakersy gdzie indziej!

- Umówiłaś się z kimś innym?

To był błąd. W ogóle nic mi nie odpowiedziała.

Prawie rozumiałem jej punkt widzenia. Dodatkowe zejście po dodatkowe torby to nie był wielki powód do kłótni, ale dlaczego musiało do tego dojść? Jak długo potrwa nasz romans? Przy odrobinie szczęścia godzinę. Po co wycofywać się z doskonałej kłótni, żeby zachować coś tak efemerycznego?

- Nie chciałem o tym wspominać - zawołałem z nadzieją, że usłyszy mnie przez drzwi. Po drugiej stronie wiatr jest pewnie trzy

razy głośniejszy. - Możemy potrzebować żywności na tydzień! I jakiejś kryjówki!

Cisza. Zacząłem się zastanawiać, czy potrafię wyważyć drzwi. A może lepiej czekać w korytarzu? W końcu będzie musiała. Drzwi się otworzyły. Leslie była blada.

- To było okrutne - powiedziała cicho.

- Niczego nie mogę obiecać. Chciałem zaczekać, ale zmusiłaś mnie do tego. Zastanawiam się, czy Słońce rzeczywiście wybuchło.

- To okrutne. Już zaczęłam się do tej myśli przyzwyczajać.

Odwróciła się twarzą do framugi. Zmęczona. Jest zmęczona. Zbyt długo nie pozwoliłem jej zasnąć...

- Posłuchaj mnie. Myliłem się. Powinna być północna zorza polarna, która oświetliłaby nocne niebo od bieguna do bieguna. Fala uderzeniowa, składająca się z cząsteczek wylatujących ze Słońca, pędząca z szybkością odrobinę mniejszą od prędkości światła wdarłaby się w atmosferę jak... widzielibyśmy błękitny ogień nad każdym budynkiem!

- Potem burza nadeszła zbyt wolno - wrzasnąłem, żeby przekrzyczeć grzmot. - Nowa rozdarłaby przecież niebo nad połową planety. Fala uderzeniowa pędziłaby wokół nocnej strony z dźwiękiem, który w jednej chwili strzaskałby całe szkło na świecie! A także beton i marmur - a to, kochana Leslie, wcale nie nastąpiło. Więc zacząłem się zastanawiać.

- No to, co to jest? - wymamrotała.

- Rozbłysk na Słońcu. Najgorszy...

Krzyknęła, jakby mnie oskarżała: - Rozbłysk na Słońcu! Uważasz, że Słońce mogłoby się tak rozjaśnić...

- Spokojnie...

- ...mogłoby zmienić Księżyc i planety w pochodnie, a potem przygasnąć, jakby nic się nie stało! Och, ty idioto...

- Czy mogę wejść?

Zrobiła zaskoczoną minę. Odsunęła się, a ja pochyliłem się, podniosłem torby i wszedłem.

Szklane drzwi balkonowe dygotały, jakby do środka próbowały się wedrzeć jakieś olbrzymy. Przez szpary sączył się deszcz, tworząc na dywanie ciemne kałuże.

Postawiłem torby na kuchennym blacie. Znalazłem w lodówce chleb i włożyłem dwie kromki do opiekacza. Otworzyłem pasztet.

- Zniknął mój teleskop - powiedziała.

No jasne. Na balkonie został tylko przewrócony trójnóg.

Odwinąłem drut z korka od шамpana. Grzanki wyskoczyły z opiekacza, a Leslie znalazła nóż i rozsmarowała na obu kromkach pasztet. Licząc na wywołanie odruchów warunkowych, przysunąłem jej butelkę do ucha.

Rzeczywiście, kiedy korek delikatnie wyskoczył, uśmiechnęła się. Powiedziała:

- Powinniśmy rozłożyć się z piknikiem tutaj. Za blatem. Wiatr prędej czy później wyważy drzwi balkonowe i wszystko zasypie szkłem.

To była dobra myśl. Prześliznąłem się obok ścianki działowej, zebrałem wszystkie poduszki z podłogi i kanapy i wróciłem z nimi do kuchni. Zbudowaliśmy sobie gniazdko.

Właściwie było przytulnie. Blat na wysokości metra, czyli tuż nad naszymi głowami, a sama wnęka kuchenna była na tyle szeroka, że można było wygodnie ruszać łokciami. Teraz całą podłogę pokrywały poduszki. Leslie nalała шамpana do koniakówek. Po same brzegi.

Chciałem wygłosić toast, ale było za dużo możliwości, a wszystkie z nich przygnębiające. Wypiliśmy więc bez toastu. Potem ostrożnie odstawiliśmy koniakówki i objęliśmy się. Mogliśmy tak siedzieć

zwróceniu twarzami do siebie, oparci ramionami.

- Umrzemy - powiedziała.

- Może nie.

- Przyzwyczaj się do tej myśli, mnie się to już udało - rzekła. - Spójrz na siebie, jesteś zdenerwowany. Boisz się śmierci. Czyż to nie była piękna noc?

- Wyjątkowa. Żałuję, że nie wiedziałem wcześniej, bo bym zaprosił cię na kolację.

Grzmot odezwał się serią sześciu wybuchów. Jak bomby podczas nalotu.

- Ja też - powiedziała, kiedy odzyskaliśmy słuch.

- Żałuję, że nie wiedziałem po południu.

- Praliny!

- Sklep U Farmera. Podwójnie prażone orzeszki ziemne. Kogo byś zamordowała, gdybyś miała czas?

- Była taka dziewczyna w moim żeńskim kole studenckim...

Która według Leslie była winna siostrzanej rywalizacji. Ja wymieniłem redaktora, który bez przerwy zmieniał zdanie. Leslie wspomniała o jednej z moich dawnych sympatii, a ja o jedynym jej dawnym chłopaku, o którym wiedziałem, i zanim zabrakło nam nazwisk, zrobiło się nam dość wesoło. Mój brat Mike raz zapomniał o moich urodzinach. Łajdak.

Światła zamigotały, potem rozbłysły ponownie.

Leslie spytała zbyt swobodnym tonem:

- Czy naprawdę sądzisz, że Słońce mogłoby wrócić do normy?

- Lepiej, żeby tak było. Inaczej już jesteśmy martwi. Chciałbym móc zobaczyć Jowisza.

- Odpowiedz mi, do cholery! Uważasz, że to był rozbłysk na Słońcu?

- Tak.

- Dlaczego?

- Żółte karły nie zmieniają się w nowe.

- A jeśli nasz się zmienił?

- Astronomowie dużo wiedzą o nowych - powiedziałem. - Więcej, niż się domyślasz. Potrafią przewidzieć ich powstanie na kilka miesięcy naprzód. Sol jest żółtym karłem o przyspieszeniu grawitacyjnym zero. Takie karły w ogóle nie zamieniają się w nowe. Najpierw muszą zejść z ciągu głównego, a to trwa miliony lat.

Uderzyła mnie lekko pięścią w plecy. Dotykaliśmy się policzkami i nie widziałem jej twarzy.

- Nie chcę w to uwierzyć. Nie śmiem. Stan, nigdy przedtem nie wydarzyło się nic takiego. Skąd możesz wiedzieć?

- A jednak.

- Coś takiego? Nie wierzę. Zapamiętalibyśmy coś takiego.

- Pamiętasz pierwsze lądowanie na Księżycu? Aldrina i Armstronga?

- Oczywiście. Oglądaliśmy je u Earla, na Przyjęciu na cześć Lądowania na Księżycu.

- Wylądowali na największym, najbardziej płaskim miejscu, jakie można było znaleźć na Księżycu. Wysłali do nas kilka godzin trzęsącego się amatorskiego filmu, zrobili mnóstwo bardzo wyraźnych zdjęć, wszędzie zostawili ślady swoich protektorów. I wrócili do domu z garścią skał. Pamiętasz? Ludzie mówili, że trochę daleko pojechali po te skały. Ale pierwsze, co zwróciło uwagę wszystkich, to fakt, że są na wpół stopione.

W przeszłości, och, powiedzmy w ciągu minionych stu tysięcy lat, nie ma sposobu na dokładniejsze oznaczenie daty - nastąpił rozbłysk na Słońcu. Nie był na tyle gorący ani nie trwał na tyle długo, żeby zostawić jakiegokolwiek ślady na Ziemi. Lecz Księżyc nie ma chroniącej go atmosfery, więc wszystkie skały po jednej stronie stopiły się.

Powietrze było ciepłe i wilgotne. Zdjąłem marynarkę, ciężką od wody deszczowej, wyłowiłem papierosy i zapałki, zapaliłem i wydmuchnąłem dym obok ucha Leslie.

- Pamiętalibyśmy coś takiego. Nie mogło być aż tak źle.

- Nie jestem taki pewien. A jeśli zdarzyło się to nad Pacyfikiem? Nie wyrządziłoby to wielu szkód. Albo nad Amerykami. Wysterylizowałyby niektóre rośliny i zwierzęta, spaliło mnóstwo lasów, i kto by o tym wiedział? Wtedy Słońce wróciło do normy. Może się tak stać ponownie. Słońce jest w czterech procentach gwiazdą zmienną. Może co pewien czas staje się odrobinę bardziej zmienne?

Coś potłukło się w sypialni. Okno? Dotarł do nas wilgotny wiatr, nasiliły się hałasy burzy.

- A więc moglibyśmy to przeżyć - powiedziała z wahaniem Leslie.

- Chyba trafiłaś w samo sedno. Skol! - Znalazłem swego szampana i pociągnąłem potężny łyk. Było po trzeciej nad ranem, a w nasze drzwi uderzał huragan.

- No to nie powinniśmy czegoś z tym zrobić?

- Właśnie robimy.

- Myślałam o próbie pojechania na wzgórze! Stan, będą powodzie!

- Będą jak cholera, ale woda nie podniesie się tak wysoko. Czternaście piętér. Posłuchaj, ja to przemyślałem. Znajdujemy się w budynku, który został zaprojektowany tak, by wytrzymał trzęsienia ziemi. Sama mi to mówiłaś. Trzeba czegoś więcej niż huraganu, żeby się przewrócił.

A co do pojechania na wzgórze, to na które? Dzisiaj nie zajedziemy daleko, bo ulice są już zalane. Może moglibyśmy się dostać w góry Santa Monica, i co wtedy? Lawiny błota, ot co. Te tereny nie oprą się temu, co nadchodzi. Rozbłysk musiał wygotować wystarczająco dużo wody, żeby powstał jeszcze jeden ocean. Będzie padało czterdzieści

dni i czterdzieści nocy! Kochanie, to najbezpieczniejsze miejsce, w jakie mogliśmy się dzisiaj dostać.

- A jeśli stopnieją lodowce polarne?

- Tak... no, jesteśmy dość wysoko, nawet wtedy. Hej, może ten ostatni rozbłysk spowodował biblijny potop. Może znów mamy potop. Jest jasne jak słońce, że na Ziemi nie ma miejsca, które nie znajduje się w środku huraganu. Te dwa wielkie huragany wirujące w przeciwnych kierunkach musiały się dotąd rozpaść na setki małych burz...

Szklane drzwi rozprysnęły się. Schowaliśmy głowy, a wokół nas zawył wiatr, zalewając nas deszczem i zasypując szkłem.

- Przynajmniej mamy jedzenie! - krzyknąłem. - Jeśli powódź nas tu uwięzi, możemy ją przetrzymać!

- Ale jeśli nie będzie elektryczności, to nie będziemy mogli niczego ugotować! A lodówka...

- Ugotujemy wszystko, co się da. Wszystkie jajka na twardo...

Wiatr rozszalał się wokół nas. Przestałem nawet próbować mówić.

Padający poziomo ciepły deszcz przemoczył nas do suchej nitki. Próba gotowania podczas huraganu? Byłem głupi, czekałem zbyt długo. Jeśli spróbujemy, wiatr rzuci na nas wrzącą wodę. Albo gorący tłuszcz...

Leslie zawołała:

- Będziemy musieli użyć piekarnika!

Oczywiście. Piekarnik na nas nie spadnie.

Ustawiliśmy go na 400 stopni i wstawiliśmy jajka zanurzone w garnku z wodą. Wyjeliśmy z lodówki całe mięso i wyłożyliśmy je na głęboką patelnię. Dwa karczochy do następnego garnka. Inne warzywa mogliśmy jeść na surowo.

Co jeszcze? Próbowałem myśleć.

Woda. Jeśli wyładzie elektryczność, to samo stanie się

prawdopodobnie z wodociągami i telefonami. Odkręciłem kurek nad zlewem i zacząłem napełniać co popadnie: garnki z pokrywkami, dwulitrowy ekspres do kawy, którego Leslie używała podczas przyjęć, jej wiadro do mycia podłogi. Najwyraźniej uważała, że zwariowałem, ale nie ufałem deszczowi jako źródłu wody - nie miałem nad nim kontroli.

Ten hałas. Już przestaliśmy próbować go przekrzyczeć. Czterdzieści dni i nocy czegoś takiego, a będziemy głusi jak pień. Wata? Za późno, żeby dotrzeć do łazienki. Papierowe ręczniki! Oderwałem, zgmiotłem cztery kawałki i zrobiłem zatyczki do uszu.

Urządzenia sanitarne? Kolejny powód wybrania mieszkania Leslie, a nie mojego. Kiedy przestanie działać kanalizacja, zawsze zostawał balkon.

A jeśli woda podniesie się ponad czternaste piętro, jest dach. Dwadzieścia pięter w górę. Jeśli woda dotrze wyżej, to kiedy będzie już po wszystkim, zostanie cholernie mało ludzi.

A jeśli to jest nowa?

Przytuliłem Leslie troszeczkę mocniej i jedną ręką zapaliłem jeszcze jednego papierosa. Jeśli to nowa, to planujemy na darmo. Ale i tak bym to robił. Nie przerywa się robienia planów tylko dlatego, że zabrakło nadziei.

A kiedy huragan zmieni się w żywą parę wodną, zawsze jest balkon. Biegiem, nad poręczą, żeby nie ugotować się żywcem.

Teraz jednak nie pora, żeby o tym wspominać.

I tak prawdopodobnie sama już o tym pomyślała.

Światło zgasło około czwartej. Wyłączyłem piekarnik na wypadek, gdyby prąd znów popłynął. Poczekam godzinę, aż żywność wystygnie, a potem włożę ją do hermetycznych woreczków.

Leslie spała w moich ramionach. Jak może spać, nie wiedząc? Poprawiłem poduszki i ostrożnie ją na nich ułożyłem.

Przez jakiś czas leżałem na wznak, paląc i obserwując cienie rzucone na sufit przez błyskawice. Zjedliśmy cały pasztet i wypiliśmy jedną butelkę szampana. Pomyślałem o otworzeniu winiaku, ale z żalem z tego zrezygnowałem.

Minęło sporo czasu. Nie jestem pewien, o czym myślałem. Nie spałem, ale mój umysł z całą pewnością był na jałowym biegu. Bardzo wolno docierało do mnie, że między flarami błyskawic sufit poszarzał.

Przetoczyłem się ostrożnie na bok. Byłem przemoczony. Wszystko było wilgotne.

Spojrzałem na zegarek - dziewięta trzydzieści.

Przezołgałem się obok ścianki działowej do saloniku. Tak długo nie zwracałem już uwagi na hałas burzy, że o jej istnieniu musiał mi przypomnieć ciepły deszcz zacinający w twarz. Huragan trwał nadal, lecz poprzez czarne chmury przenikało ciemnoszare światło.

No tak. Miałem rację, że oszczędziłem winiak. Powodzie, burze, silne promieniowanie, pożary wzniecone przez rozbłysk - jeśli żniwo zniszczenia było tak wielkie, jak przypuszczałem, to pieniądze staną się bezwartościowe. Będziemy potrzebowali towarów na wymianę.

Byłem głodny. Zjadłem dwa jajka i trochę bekonu - jeszcze ciepłego - i zacząłem wyjmować resztę jedzenia. Mieliśmy żywności może na tydzień... lecz nie była to zrównoważona dieta. Może moglibyśmy się powymieniać z innymi mieszkańcami. To duży budynek. Muszą w nim też być puste mieszkania, w których moglibyśmy poszukać puszek z zupami i podobnymi produktami. A jeśli woda podniesie się wystarczająco wysoko, to trzeba będzie się zająć uciekinierami z niższych pięter...

Cholera! Brakowało mi tej nowej. Zeszłej nocy życie było takie proste. A teraz... Czy mamy lekarstwa? Czy w budynku są jacyś lekarze? Będzie dyzenteria i inne epidemie. I głód. W pobliżu jest

supermarket, czy w budynku da się znaleźć sprzęt do nurkowania?

Ale najpierw trochę się prześpię. Później możemy zacząć penetrację budynku. Szarość dnia stała się jaśniejsza. Mogło być gorzej, o wiele gorzej. Pomyślałem o promieniowaniu, które musiało objąć przeciwną stronę świata, i zacząłem się zastanawiać, czy nasze dzieci skolonizują Europę, Azję czy Afrykę.

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

POKOLENIE MEDIÓW

George R. R. Martin

PIASECZNIKI

Zróznicowany dorobek pisarski George'a R. R. Martina, ur. 1948 (SF, fantasy i horror), przyniósł mu liczne nagrody Hugo i Nebula, jak również Bram Stoker Award przyznawaną przez Horror Writers Association. Wiele jego najlepszych tekstów nie przekracza rozmiarów novelli, gdzie zakres narracji pozwala na analizę różnorodnych tematów i idei wykraczających poza granice gatunku. W „Piasecznikach” Martin przedstawia na tle przyszłościowych dekoracji pomysł stary jak w klasycznym horrorze „Frankenstein” - problem odpowiedzialności człowieka, który bawi się w Boga, oraz jego los, kiedy stworzony przezeń potwór zwraca się przeciwko swemu twórcy. Zaadaptowana na potrzeby telewizji w 1987r. novella „Żeglarze nocy” („Wędrowcy”) osadza scenariusz nawiedzonego domu na pokładzie międzygwiazdowego statku kosmicznego. Inna novella, „Pieśń dla Lyanny”, ukazuje wierzenia religijne pozaziemskiej kultury jako efekt jej biologii. „Meathouse Man” to jedno z kilku opowiadań, w których autor nadaje klasycznemu tematowi zombi wydźwięk SF.

Martin rozpoczął karierę pisarską w 1971r. Jego pierwsza powieść, „Światło się mroczy”, ukazała się sześć lat później i zyskała uznanie za kompleksowy portret pozaziemskiej kultury, ukształtowanej przez wyjątkową naturę zamieszkiwanej planety. Należy ona do cyklu typu „historia przyszłości”, obrazującego współdziałania i konflikty ludzi i Obcych w Galaktyce w odległej przyszłości i

charakteryzującego się surową oceną nietolerancji wobec innych kultur, ale także intrygującymi wizjami „obcości” innych ras. Do tego cyklu należy m.in. „Tuf Wędrowiec” (1986, nagroda „Locusa”), epizodyczna powieść o przygodach podróżnika i kupca, a przede wszystkim inżyniera ekologa Havilanda Tufa (niosącego pomoc zagrożonym planetom i gatunkom), jego kotach i jego niezwykłym statku kosmicznym, oraz wymienione już opowieści tłumaczone na polski i opowiadanie „Nie wolno zabijać człowieka”, a także prawie całe „Piaseczniki”. Niemal wszystkie powieści Martina wyróżniają się starannie opracowanym tłem. „Ostatni rejs «Feure Dream»” (1982), stylowa opowieść o wampirach w kontekście SF, przedstawia barwną wizję życia nad Missisipi na Południu sprzed wojny secesyjnej. „Rockowy Armagedon” (1983) przedstawia amerykańską kontrkulturę z lat sześćdziesiątych w historii zespołu rockowego, którego muzyka skupia destruktywną energię i chaos owych czasów. „Gra o tron” (1996), „Starcie królów” (1998) i „A Storm of Swords” to trzy pierwsze tomy jego głośnej monumentalnej sagi fantasy „Pieśni Lodu i Ognia”. Czwarty nosi tytuł „A Feast of Crows” (2005). Martin ma także na koncie powieść „Przystań wiatrów” (1981), napisaną we współpracy z Lisą Tuttle. Jego opowiadania znalazły się w zbiorach: „A Song for Lya and Other Stories” (1976), „Songs of Stars and Shadows” (1977), „Piaseczniki” (1981, nagroda „Locusa”), „Songs the Dead Men Sing” (1983), „Nightflyers” (1985), „Portraits of His Children” (1987). Martin jest autorem licznych scenariuszy telewizyjnych, także do nowej „Strefy mroku” oraz „Pięknej i bestii”. Pod jego redakcją ukazało się ponad dwadzieścia antologii, w tym piętnaście „mozaikowych” powieści z cyklu „Wild Cards”.

Simon Kress mieszkał samotnie w obracającym się w ruinę

dworze, wśród suchych, skalistych wzgórz, pięćdziesiąt kilometrów od miasta. Nie miał więc sąsiadów, których mógłby, niespodziewanie zmuszony przez interesy do wyjazdu, obarczyć swoimi zwierzętami. Z sokołem padlinożercą nie było kłopotu - zagnieździł się w nie używanej dzwonnicy i zwykle sam zdobywał sobie pożywienie. Pełzacza Kress wygnał na zewnątrz i pozostawił własnemu losowi - mały potworek będzie się obżerał skalnikami, ślimakami i ptakami. Największy problem stanowiło akwarium, wypełnione najprawdziwszymi ziemskimi piraniami. W końcu Kress po prostu wrzucił tam udziec wołowy. Jeżeli zostałby zatrzymany dłużej, niż się spodziewał, piranie mogłyby pożerać się wzajemnie. Robiły to już przedtem. Bawiło go to.

Niestety, tym razem Kressa zatrzymano znacznie dłużej, niż oczekiwał. Gdy wreszcie wrócił, wszystkie ryby były martwe. Zginął również sokół padlinożerca. Pożarł go pełzacz, wspiąwszy się na dzwonnice. Simon Kress się zirytował.

Następnego dnia poleciał ślizgaczem do Asgardu - podróż długości około dwustu kilometrów. Asgard był największym miastem Balduru, szczycił się również posiadaniem najstarszego i największego kosmoportu. Kress lubił imponować przyjacielom zwierzętami, które były niezwykle, interesujące i drogie, a Asgard był miejscem, gdzie można je było kupić.

Tym razem szczęście mu nie dopisało. Właściciel sklepu Ksenopieszczoszki zwinął interes, w t'Etherane - Sprzedaż Zwierząt Domowych usiłowano mu wcisnąć jeszcze jednego sokoła padlinożercę, a Tajemnicze Wody nie miały do zaoferowania niczego bardziej egzotycznego niż rekiny świetliste, piranie i kałamarnice pająkowate. Kress już je wszystkie kiedyś miał - teraz chciał czegoś nowego.

Zmrok zastał go spacerującego po Tęczowym Bulwarze, w

poszukiwaniu miejsc, których dotychczas nie odwiedzał. Bulwar, leżący w bezpośrednim sąsiedztwie portu kosmicznego, obrzeżony był szeregami sklepów należących do firm importowych. Wielkie magazyny wabiły długimi, imponującymi wystawami, z towarami spoczywającymi na filcowych poduszkach na tle ciemnych, dodających tajemniczości wnętrzu zasłon. Pomiędzy nimi tłoczyły się kantorki ze starzyzną - wąskie, obskurne sklepiki, których okna wystawowe były zavalone wszelkiego rodzaju pozabaldurskimi rupieciami. Kress przejrzał ofertę zarówno luksusowych, jak i tych zagraconych sklepów, w jednych i drugich doznając rozczarowania.

Potem, już bardzo blisko portu, natknął się na sklep, który wydawał się inny. Kress nigdy przedtem nie zaglądał w te okolice. Sklep zajmował niewielki, parterowy budynek, wciśnięty między euforia-bar a burdel-świątynię Sióstr Tajemnicy. Im bliżej końca, tym bardziej podejrzany stawał się Tęczowy Bulwar. Sklep był niezwykle. Frapujący.

Wystawy wypełniała mgła, raz bladoczerwona, raz szara, jak prawdziwa, to znów połyskująca i złota. Kłębiła się, wirowała i delikatnie jaśniała od wewnątrz. Kress przelotnie dostrzegał na wystawie jakieś rzeczy - maszyny, dzieła sztuki, inne przedmioty, których nie potrafił rozpoznać, gdyż niczemu nie mógł się dokładnie przyjrzeć. Mgła krążyła wokół nich zmysłowo, ukazując fragment to jednej, to następnej rzeczy, potem znów osnuwając wszystko. To było intrygujące.

Gdy tak patrzył, mgła zaczęła formować się w litery. Tylko pojedyncze słowa. Kress stał i czytał: WO I SHADE. IMPORT. ARTEFAKTY. SZTUKA. ZWIERZĘTA. I INNE.

Litery się zatrzymały. Poprzez mgłę Kress dostrzegł jakiś ruch. To mu wystarczyło. To oraz słowo „zwierzęta” w reklamie. Przerzucił spacerową pelerynę przez ramię i wszedł do środka.

Wewnątrz poczuł się zdezorientowany. Pomieszczenie wyglądało na ogromne, znacznie większe, niż mógłby sądzić po stosunkowo umiarkowanej wielkości ścianie frontowej. Sufit stanowiła panorama gwiezdna, z mgławicami spiralnymi, bardzo ciemna i realistyczna, bardzo piękna. Delikatne podświetlenie kontuarów podkreślało walory wyłożonych w nich przedmiotów. Snująca się nisko mgła wyścielała podłogę niby dywan. Miejscami sięgała Kressowi niemal do kolan, przy każdym kroku wirując wokół nóg.

- Czym mogę panu służyć?

Kobieta jakby wyłoniła się prosto z mgły. Wysoka, chuda i blada, ubrana w praktyczny, szary kombinezon i dziwną, małą czapkę, przesuniętą mocno na tył głowy.

- Pani jest Wo czy Shade? - spytał Kress. - Czy może tylko ekspedientką?

- Jala Wo, do usług - odpowiedziała. - Shade nie widuje się z klientami. Nie zatrudniamy personelu.

- Macie całkiem spory sklep. Dziwne, że nigdy przedtem o was nie słyszałem.

- Tutaj, na Baldurze, otworzyliśmy filię dopiero niedawno. Mamy jednak sklepy na innych planetach. Co mogę panu sprzedać? Może dzieło sztuki? Wygląda pan na kolekcjonera. Posiadamy wspaniałe rzeźby w kryształach z Nor T'alush.

- Nie - zaprzeczył Simon Kress. - Mam już wszystkie rzeźby w kryształach, które chcę mieć. Przyszedłem tu rozejrzeć się za jakąś maskotką.

- Żywą?

- Tak.

- Obcą?

- Oczywiście.

- Mamy do sprzedania przedrzeźniacza. Ze Światów Celi. Milutka

mała małpka. Nie tylko nauczy się mówić, ale po pewnym czasie będzie naśladować pański głos, jego modulację, również pańskie gesty, nawet mimikę twarzy.

- Milutka - potwierdził Kress. - I pospolita. Takie cechy nie są mi potrzebne. Ja chcę czegoś egzotycznego. Naprawdę niezwykłego. I nie milutkiego. Nie cierpię milutkich zwierząt. Mam w tej chwili pełzacza. Importowanego z Cotho, za niemałe pieniądze. Od czasu do czasu karmię go zbędnym kocim pomiotem. Oto co myślę o milutkich stworzeniach. Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

Wo uśmiechnęła się zagadkowo.

- Czy miał pan kiedyś zwierzę - spytała - które by panu oddawało boską cześć?

Kress skrzywił się.

- Och, od czasu do czasu. Ja nie potrzebuję uwielbienia, tylko rozrywki.

- Nie zrozumiał mnie pan - powiedziała, ciągle z tym dziwnym uśmiechem na ustach. - Mam na myśli boską cześć zupełnie dosłownie.

- O czym pani mówi?

- Sądzę, że mam coś akurat dla pana. Proszę iść za mną.

Poprowadziła go pomiędzy świetlistymi kontuarami, potem wzdłuż długiego, zasnutego mgłą przejścia pod fałszywymi gwiazdozbiorami. Przez ścianę z mgły weszli do innej części sklepu i zatrzymali się przed dużym, plastikowym pojemnikiem. „Akwarium” - pomyślał Kress.

Wo przywołała go gestem ręki. Podeszedł bliżej i zobaczył, że się mylił. To było terrarium. Wewnątrz znajdowała się miniaturowa pustynia o powierzchni około dwóch metrów kwadratowych. W słabym, czerwonym świetle jasny piasek połyskiwał niezdecydowanym szkarłatem. Skały: bazalt, kwarc, granit. W

każdym rogu pojemnika stał zamek.

Kress zamrugał, popatrzył uważniej, zrobił poprawkę - stały tylko trzy zamki. Czwarty obsunął się, obrócony w potrzaskaną, żalostną ruinę. Pozostałe trzy, wzniesione z kamienia i piasku, były nieforemne, ale nietknięte. Na ich blankach, w zaokrąglonych portykach roiły się maleńkie stworzenia. Kress przycisnął twarz do plastyku.

- Owady? - spytał.

- Nie. Ta forma życia jest znacznie bardziej skomplikowana. Również inteligentniejsza. O wiele mądrzejsza od pańskiego pełzacza. To piaseczniki, tak się nazywają.

- Insekty - oświadczył Kress, odsuwając się od pojemnika. - Nie obchodzi mnie, jak bardzo są skomplikowane. - Zrobił niezadowoloną minę. - I niech pani łaskawie nie próbuje mnie ogłupiać bajkami o ich inteligencji. Są zbyt małe, by posiadać cokolwiek ponad najprostsze zawiązki mózgowe.

- Dzielą jedną, wspólną dla całego rojowiska świadomość - powiedziała Wo. - Dla jednego zamku, w ich przypadku. W tym pojemniku są w rzeczywistości tylko trzy organizmy. Czwarty zmarł. Widzi pan, jego zamek jest zrujnowany.

Kress spojrzał na terrarium.

- Wspólna świadomość, tak? Interesujące. - Znowu się skrzywił. - Mimo wszystko to nic innego jak tylko przesadzonych rozmiarów mrówcza ferma. Spodziewałem się czegoś lepszego.

- One toczą wojny.

- Wojny? Hm... - Kress znowu zerknął na pojemnik.

- Proszę zwrócić uwagę na kolory - zasugerowała Wo, wskazując stworzenia na najbliższym zamku. Jedno z nich wspinało się na ścianę terrarium.

Kress obejrzał je dokładnie. W dalszym ciągu widział w nim tylko

owada. Małego, długości paznokcia, sześcionożnego, z sześcioma mikroskopijnymi oczkami osadzonymi wokół tułowia. Groźnie wyglądające szczytce rozwierały się i zaciskały, a para długich, delikatnych czułek kreśliła w powietrzu skomplikowane wzory. Czułki, szczytce, oczy i odnóża były smolistoczarne, dominującym kolorem był jednak ciemnopomarańczowy - barwa pancerza.

- To jest owad - powtórzył Kress.

- To nie jest owad - upierała się łagodnie Wo. - Gdy piasecznik osiąga większe rozmiary, pancerny egzoszkielet jest zrzucany. Jeżeli osiąga większe rozmiary. W pojemniku tej wielkości jest to niemożliwe. - Wzięła Kressa pod rękę i poprowadziła wokół terrarium ku następnemu zamkowi. - Proszę tutaj spojrzeć na kolory.

Spojrzał. Były inne. Te piaseczniki miały pancerz jasnoczerwony; czułki, szczytce, oczy i odnóża były żółte. Kress odszukał wzrokiem trzeci zamek. Jego mieszkańcy byli biali, z czerwonymi dodatkami.

- Hm... - mruknął.

- Toczą wojny, jak już wspomniałam - powiedziała Wo. - Zawierają nawet rozejmy i sojusze. To właśnie dzięki sojuszowi został zniszczony czwarty w tym pojemniku zamek. Czarne stawały się zbyt liczne, pozostałe połączyły więc siły, by je unicestwić.

Kress był ciągle sceptyczny.

- Zabawne, bez wątplenia. Ale owady również toczą wojny.

- Owady się nie modlą - odparła Wo.

- Co?

Wo uśmiechnęła się i wskazała zamek. Kress przypatrzył mu się uważnie. W ścianie najwyższej wieży była wyrzeźbiona twarz. Rozpoznał ją. To była twarz Jali Wo.

- Jak...?

- Wyświetliłam wewnątrz pojemnika mój hologram i utrzymywałam go tam przez kilka dni. Oblicze boga, rozumie pan?

Piaseczniki dysponują załączkowymi zdolnościami psionicznymi. Telepatia o niewielkim zasięgu. Karmię je, zawsze jestem w pobliżu, a one mnie wyczuwają i czczą, dekorując swe budowle moją twarzą. Jest na wszystkich zamkach, widzi pan?

Rzeczywiście była. Twarz Jali Wo na ścianach zamków wydawała się pogodna i spokojna. I pełna życia. Kress zachwycił się artyzmem tych rzeźb.

- Jak one to robią?

- Przednie odnóża spełniają jednocześnie funkcję rąk. Mają nawet coś w rodzaju palców: trzy małe, giętkie wyrostki. Poza tym piaseczniki bardzo dobrze współpracują, zarówno w walce, jak i w pracy. Proszę pamiętać, że wszystkie osobniki tego samego koloru mają wspólną świadomość.

- Proszę mi coś więcej o nich opowiedzieć - zażądał Kress.

Wo uśmiechnęła się.

- Mamka żyje wewnątrz zamku. Mamka to moje określenie; ta istota jest jednocześnie żołądkiem i rodzicielką. Ma wielkość pańskiej pięści i jest niezdolna do ruchu. Osobniki ruchome to robotnicy i wojownicy. Władcą jest mamka, królowa. Właściwie ten podział na płci jest trochę mylący. Każdy zamek, rozpatrywany jako całość, to jeden hermafrodytyczny osobnik.

- Co one jedzą?

- Ruchomi jedzą papkę; wstępnie przetrawione pożywienie, dostępne wewnątrz zamku. Dostają je od mamki, która uprzednio kilka dni ów pokarm przerabia. Ich żołądki nie zniosłyby niczego innego, tak więc jeżeli mamka umiera, one wszystkie wkrótce również giną. A mamka... mamce jest wszystko jedno, co je. Nie będzie to dla pana specjalnie kosztowne. Resztki ze stołu zupełnie wystarczą.

- A żywe pożywienie?

Wo wzruszyła ramionami.

- Tak, mamki zjadają ruchomych z innych zamków.

- Jestem zaintrygowany - przyznał Kress. - Gdyby tylko nie były takie małe.

- Pańskie mogą być większe. Te piaseczniki są małe, gdyż ten pojemnik jest niewielki. Dostosowują swój rozmiar do dostępnej przestrzeni. Gdybym je przeniosła do czegoś większego, zaczęłyby rosnać.

- Hm... Akwarium, w którym trzymałem piranie, jest dwukrotnie większe. Można by je oczyścić, wypełnić piaskiem...

- Firma Wo i Shade wszystkim się zajmie. Będziemy to sobie poczytywali za przyjemność.

- Oczywiście spodziewam się - powiedział Kress - że otrzymam cztery nietknięte zamki.

- To oczywiste - odparła Wo.

Zaczęli się targować o cenę.



Trzy dni później Jala Wo wraz z uśpionymi piasecznikami oraz robotnikami, którzy mieli się zająć ich osadzeniem w pojemniku, pojawiła się w posiadłości Simona Kressa. Jej asystenci byli obcymi, należącymi do zupełnie nie znanej Kressowi rasy - przysadzistymi, szerokimi dwunogami o czterech ramionach i wyłupiastych, wielożrenicowych oczach. Ich skóra sprawiała wrażenie grubej i szorstkiej; na całym ciele znaczyły ją dziwne, pofałdowane, najeżone wyrostkami plamy. Okazało się, że są bardzo silni i dobrze pracują. Wo wydawała im polecenia w śpiewnym języku, którego Kress nigdy dotychczas nie słyszał.

Wszystkie prace zostały ukończone w ciągu jednego dnia. Akwarium po piraniach przeniesiono na środek bardzo obszernego salonu, wyskrobano do czysta i do dwóch trzecich wysokości wypełniono piaskiem i odłamkami skał. Ze wszystkich stron, dla wygody oglądającego, ustawiono kanapy. Następnie zainstalowano oświetlenie - specjalny system, nie tylko zapewniający piasecznikom ich ulubione czerwone światło, ale także umożliwiający wyświetlanie we wnętrzu pojemnika hologramów. Na szczycie zamontowano mocną pokrywę wyposażoną w specjalny mechanizm, służący do podawania karmy.

- Tędy będzie pan mógł je karmić bez konieczności zdejmowania pokrywy - wyjaśniła Jala Wo. - To wyeliminuje ryzyko uciezki któregoś z nich.

W pokrywę wbudowane było także urządzenie klimatyzacyjne, odpowiedzialne za utrzymywanie wewnątrz pojemnika odpowiedniej wilgotności.

- Powietrze powinno być suche, ale nie za suche - powiedziała Wo.

Po ukończeniu montażu jeden z czteroręcznych robotników wszedł do pojemnika i wykopał w każdym rogu głęboką dziurę. Jego kolega wręczył mu uspięne mamki, wydając je, jedną po drugiej, z mroźnych wnętrzy kaset, w których zostały przyniesione. W królowych piaseczników nie było nic szczególnego. Kress uznał, że najbardziej przypominają pożyłkowane, na wpół zepsute płaty surowego mięsa. Z ustami.

Robotnik zakopał je, po jednej w każdym rogu pojemnika. Potem pokrywa została ostatecznie umocowana i robotnicy opuścili dom.

- Ciepło wyrwie mamki z uspienia - powiedziała Wo. - Za kilka dni ruchomi zaczną się wykluwać i wychodzić na powierzchnię. Proszę im nie żałować pożywienia. Będą potrzebowali dużo siły, by

się przyzwyczaić do trudów życia. Sądzę, że zamki powinny zacząć rosnąć za jakieś trzy tygodnie.

- A moja twarz? Kiedy zaczną rzeźbić moją twarz?

- Proszę włączyć hologram po upływie około miesiąca. I być cierpliwym. Jeżeli będzie pan miał jakieś wątpliwości, proszę do nas dzwonić. Firma Wo i Shade jest na pańskie usługi. - Ukłoniła się i wyszła.

Kress ponownie zbliżył się do pojemnika i pstryknął przełącznikiem. Pustynia była cicha i spokojna. Niecierpliwie zabębnił palcami o plastik, potem wzruszył ramionami.



Czwartego dnia Kressowi wydawało się, iż dostrzega ruch w głębi piasku, jakieś delikatne, podziemne przesunięcia.

Piątego dnia zobaczył pierwszego piasecznika, samotnego białego.

Szóstego dnia naliczył ich już tuzin, białych, czerwonych i czarnych. Pomarańczowe się spóźniały. Wrzucił do pojemnika przez podajnik w pokrywie na pół przegniłe resztki swoich posiłków. Piaseczniki od razu je wyczuły, ruszyły w ich stronę i zaczęły odciągać do swoich rogów. Nie walczyły, chociaż od razu się zorganizowały; osobniki tego samego koloru współpracowały ze sobą. Kress był nieco rozczarowany, ale zdecydował, że da im trochę czasu.

Pomarańczowe piaseczniki pojawiły się ósmego dnia. Do tego czasu inne już zaczęły znosić małe kamyki i budować niezgrabne fortyfikacje. Ciągłe nie walczyły. Były jeszcze maleńkie, dwukrotnie mniejsze niż te, które Kress widział w sklepie Wo. Pomyślał jednak, że rosną bardzo szybko.

Zamki zaczęły wyrastać w połowie drugiego tygodnia. Zorganizowane bataliony przyciągały do swych rogów ciężkie bryły piaskowca i granitu, inne szczypcami i kończynami przepychały tam piasek. Kress kupił parę powiększających gogli, dzięki którym mógł obserwować krzątanie piaseczników na terenie całego pojemnika. Krążył i krążył wzdłuż wysokich, plastikowych ścian i patrzył. To było fascynujące. Zamki wyglądały nieco zbyt bezbarwnie i jednolicie w stosunku do tego, czego by sobie życzył, ale znalazł na to radę. Następnego dnia wrzucił wraz z pożywieniem trochę obsydianu i okruchy barwionego szkła. W ciągu kilku godzin piaseczniki wkomponowały to w mury.

Pierwszy został ukończony zamek czarnych, niedługo potem stanęły fortece białych i czerwonych. Pomarańczowe były ostatnie, jak zwykle. Kress zabierał swoje posiłki do salonu i jadł, siedząc na kanapie, by móc bez przerwy prowadzić obserwacje. Lada godzina spodziewał się wybuchu pierwszej wojny.

Był rozczarowany. Mijały dni, zamki wyrastały coraz wyżej, stawały się coraz rozleglejsze. Kress oddalał się od pojemnika jedynie po to, by załatwić potrzeby fizjologiczne i odpowiedzieć na pilne, dotyczące interesów telefony. Wojna wciąż jednak nie wybuchała. Rozdrażnienie Kressa rosło za to coraz bardziej.

W końcu przestał je karmić.

Dwa dni po tym, jak pożywienie przestało spadać z ich pustynnego nieba, cztery czarne piaseczniki otoczyły i zaciągnęły do swej mamki jednego pomarańczowego. Najpierw go okaleczyły, odcinając szczypcę, czułki i kończyny, potem przez główną bramę wniosły do swego miniaturowego zamczyska. Więcej się już nie pojawił. Godzinę później ponad czterdzieści pomarańczowych przemaszerowało przez pustynię i zaatakowało róg czarnych. Były bardzo nieliczne w porównaniu z wysypującymi się z głębi zamku

obrońcami. Walka zakończyła się rzezią napastników; zabici i zdychający stali się pożywieniem dla czarnej mamki.

Kress, uszczęśliwiony, gratulował sobie pomysłowości.

Gdy następnego dnia wrzucił resztki swego obiadu, natychmiast między trzema rogami rozgorzała o nie walka. Białe odniosły wielkie zwycięstwo.

Od tego dnia wojny wybuchały jedna po drugiej.



Niemal miesiąc po dostarczeniu piaseczników przez Jalę Wo Kress włączył projektor holograficzny i jego twarz zmaterializowała się wewnątrz pojemnika. Obracała się powoli wokół osi, by wszystkie cztery zamki były równo obdzielone jej spojrzeniem. Tę swoją podobiznę Kress uważał za raczej udaną - wiernie odtwarzała jego szelmowski uśmiech, szerokie usta, pełne policzki. Błękitne oczy błyszcząły, siwe włosy były starannie ułożone w modne półkola, brwi cienkie i zakreślone w wyrafinowany sposób.

Wkrótce piaseczniki wzięły się do pracy. W czasie, w którym jego oblicze promieniowało z nieba, Kress karmił je niezwykle obficie. Wojny ustały. Wszelka aktywność została skierowana ku tworzeniu ołtarzy.

Twarze Kressa wyłoniły się z murów zamków.

Z początku wszystkie cztery rzeźby sprawiały wrażenie takich samych. Ale wraz z postępem robót Kress zaczął zauważać subtelne różnice w technice i wykonaniu. Czerwone piaseczniki okazały się najbardziej twórcze - użyły maleńkich odłamków łupka dla oddania siwizny jego włosów. Idol białych wydawał mu się młody i czupurny, twarz zaś wyrzeźbiona przez czarne, jakkolwiek doskonale,

linia po linii, wierna, uderzyła go dobrocią i mądrością. Pomarańczowe piaseczniki jak zwykle były ostatnie i najgorsze. Wojny nie przebiegały dla nich pomyślnie i zamek, w porównaniu z innymi, wyglądał dość nędznie. Podobizna, którą rzeźbiły, była toporna i pozbawiona życia; zanosiło się na to, że zamierzają ją taką zostawić. Kress poczuł się głęboko urażony, gdy zauważył, że przestały nad nią pracować, nic jednak nie mógł na to poradzić.

Gdy wszystkie piaseczniki ukończyły swe rzeźby, wyłączył holograf i zdecydował, iż nadszedł czas, by urządzić przyjęcie. Jego przyjaciele będą zbulwersowani. Pomyślał, że mógłby nawet zainscenizować dla nich wojnę. Mruczając radośnie pod nosem, zabrał się do układania listy gości.



Przyjęcie było ogromnym sukcesem.

Kress zaprosił trzydzieści osób: garstkę bliskich, dzielących jego upodobania przyjaciół, kilka byłych kochanek oraz kolekcję konkurentów w interesach i rywali politycznych, którzy nie mogli sobie pozwolić na zignorowanie zaproszenia od potężnego przeciwnika. Wiedział, że niektórych z nich pognębi czy nawet obrazi widowiskiem z piasecznikami w roli głównej. Liczył na to. Uważał przyjęcie za nieudane, jeżeli chociaż jeden z gości nie wyszedł z niego wściekły.

Pod wpływem chwili dodał do listy nazwisko Jali Wo.

- Jeśli pani chce, proszę przyprowadzić ze sobą Shade'a - zaproponował, przekazując jej zaproszenie.

Fakt, że Wo je przyjęła, nieco go zaskoczył.

- Shade niestety nie będzie mógł przyjść. Nie bierze udziału w

impresach towarzyskich - dodała. - Ja natomiast chętnie sprawdzę, jak się sprawują pańskie piaseczniki.

Zamówił bardzo wystawne potrawy. Gdy wreszcie zamarły ostatnie rozmowy, a większość gości była do mdłości opita winem i objedzona przysmakami, zaszokował wszystkich, osobiście zbierając do wielkiej miski resztki ze stołu.

- Chodźcie wszyscy - powiedział. - Chciałbym was przedstawić moim najnowszym ulubieńcom.

Niosąc miskę przed sobą, poprowadził ich do salonu.

Piaseczniki spełniły jego najbardziej wypieszczone nadzieje. Głodził je przez ostatnie dwa dni i teraz były w bardzo bojowym nastroju. Na oczach stłoczonych wokół pojemnika gości, przewidująco wyposażonych przez Kressa w powiększające gogle, stoczyły o wrzucone jedzenie wspaniałą walkę. Po jej zakończeniu Kress naliczył prawie sześćdziesiąt trupów. Czerwone i białe, które ostatnio zawarły rozejm, zdobyły większą część łupu.

- Kress, jesteś obrzydliwy - oświadczyła Cath m'Lane. Żyła z nim przez pewien czas przed dwoma laty, aż jej ckliwy sentymentalizm niemal doprowadził go do obłądu. - To głupota z mojej strony, że znowu tu przyszłam. Myślałam, że może się zmieniłeś, chcesz przeprosić. - Nigdy mu nie wybaczyła jego zachowania po tym, jak pełzacz zjadł jej niezwykle miłutkiego pieska. - Nigdy więcej mnie nie zapraszaj, Simon.

Wymaszerowała, odprowadzona przez swego aktualnego kochanka i wybuchy chóralnego śmiechu.

Pozostali goście zadawali mnóstwo pytań.

- Gdzieś zdobył te stworzenia? - chcieli wiedzieć.

- W firmie Wo i Shade, Import - odrzekł, uprzejmym gestem wskazując Jalę Wo, która przez większość wieczoru trzymała się na uboczu i milczała.

- Dlaczego udekorowały mury zamków twymi podobiznami?

- Ponieważ jestem dla nich źródłem wszelkiego dobra. Przecież mnie znacie od tej strony, prawda? - To oświadczenie wzbudziło wśród zgromadzonych szereg zduszonych chichotów.

- Czy będą znowu walczyć?

- Oczywiście, ale nie dzisiaj. Nie martwcie się. Będą następne przyjęcia.

Jad Rakkis, ksenobiolog amator, zaczął opowiadać o innych społeczeństwach owadów i wojnach, jakie one toczą.

- Te piaseczniki są zabawne, ale nie ma w nich nic szczególnego. Powinniście poczytać na przykład o ziemskich czerwonych mrówkach.

- Piaseczniki nie są owadami - zaprotestowała ostro Jala Wo, ale Rakkis skupił już na sobie zainteresowanie zebranych i nikt nie zwrócił na jej słowa najmniejszej uwagi. Kress uśmiechnął się do niej i wzruszył ramionami.

Malada Blane zaproponowała, aby przy okazji następnej wojny robić zakłady. Wszyscy temu przyklasnęli i rozpoczęli ożywioną, niemal godzinną dyskusję na temat zasad i stawek. W końcu goście zaczęli się rozchodzić.

Jala Wo była ostatnia.

- A więc - oznajmił Kress, gdy zostali sami - wygląda na to, że moje piaseczniki są przebojem.

- Rozwijają się całkiem dobrze. Już teraz są większe od moich.

- Tak, z wyjątkiem pomarańczowych.

- Zauważyłam. Wydają się stosunkowo nieliczne i ich zamek jest w opłakanym stanie.

- No cóż, ktoś musi przegrywać - stwierdził Kress. - Pomarańczowe najpóźniej się wykluły i urządziły. Teraz to się na nich odbija.

- Przepraszam - powiedziała Wo - mogę zapytać, czy wystarczająco

pan karmi swoje piaseczniki?

Kress wzruszył ramionami.

- Poszczą czasami. Dzięki temu są bardziej zawzięte.

Zmarszczyła brwi.

- Nie ma potrzeby ich głodzić. Niech im pan pozwoli walczyć w ich własnym czasie i z własnych powodów. Walka leży w naturze tych stworzeń i będzie pan świadkiem niezwykle subtelnych i złożonych konfliktów. Ciągłe, wywoływane głodem wojny są poniżające i pozbawione finezji.

Kress odplącił jej równie wyraźnym niezadowoleniem.

- Jest pani w moim domu, Wo, i tutaj ja decyduję, co jest poniżające. Karmiłem piaseczniki tak, jak pani radziła, i nie chciały walczyć.

- Musi się pan uzbroić w cierpliwość.

- Nie - oświadczył Kress. - Przecież jestem ich panem i bogiem. Dlaczego miałbym czekać, aż nabiorą na coś ochoty? Nie walczyły dostatecznie często, by mnie zadowolić. Skorygowałem to.

- Rozumiem. Przedyskutuję tę sprawę z Shade'em.

- To nie jest pani zmartwienie. Ani jego.

- Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak tylko życzyć panu dobrej nocy - powiedziała Wo z rezygnacją. Potem jednak, nakładając płaszcz, obdarzyła go pełnym dezaprobaty spojrzeniem.

- Niech pan obserwuje swoje twarze - ostrzegła. - Niech pan uważnie obserwuje swoje twarze.

Po jej wyjściu Kress, zaintrygowany, podszedł do pojemnika i przyjrzał się zamkom. Jego podobizny tkwiły na swoich miejscach, jak zawsze. Może tylko... Szybko nałożył powiększające gogle. Nawet wtedy różnica była trudna do uchwycenia. Wydało mu się, że wyraz wyrzeźbionych twarzy zmienił się nieco, że uśmiech został lekko wykrzywiony, tak iż pojawił się w nim cień podłości. Była to bardzo

subtelna zmiana, jeżeli w ogóle cokolwiek się zmieniło. W końcu Kress doszedł do wniosku, że wrażenie to powstało pod wpływem słów Jali Wo i postanowił więcej nie zapraszać jej na swe przyjęcia.



W ciągu następnych kilku miesięcy Kress wraz z garstką najbliższych znajomych spotykał się co tydzień na, jak lubili to nazywać, „grach wojennych”. Teraz, gdy minęła już początkowa fascynacja piasecznikami, Kress więcej czasu poświęcał na interesy i obowiązki towarzyskie - kosztem obserwacji pojemnika. W dalszym ciągu lubił jednak urządzać dla przyjaciół jedną czy dwie wojny. Utrzymywał swych kombatantów w ciągłej gotowości, na krawędzi głodu. Wyraźnie się to odbiło na pomarańczowych, których liczba tak znacznie się zmniejszyła, że Kress zaczął się zastanawiać, czy ich mamka jeszcze żyje. Ale inne miały się całkiem nieźle.

Czasami w nocy, gdy nie mógł zasnąć, zabierał butelkę wina do ciemnego salonu, oświetlonego jedynie czerwoną poświatą z nad miniaturowej pustyni. Pił i godzinami w samotności wpatrywał się w pojemnik. Zwykle gdzieś toczyła się walka, a jeżeli nawet nie, to z łatwością ją wywoływał, wrzucając do środka trochę jedzenia.

Podczas cotygodniowych spotkań zaczęli, jak to sugerowała Malada Blane, robić zakłady. Kress wygrał sporo, stawiając na białe, które stały się najsilniejszą i najbardziej liczną kolonią w pojemniku. Posiadały także największy zamek. Pewnego razu Kress odsunął pokrywę i wrzucił jedzenie nie, jak zwykle, na znajdujące się pośrodku piaszczystej powierzchni pole bitewne, ale w pobliżu ich zamku. W ten sposób pozostałe piaseczniki, chcąc mieć w ogóle cokolwiek do jedzenia, musiały ten zamek zaatakować. Próbowwały.

Białe broniły się wspaniale. Kress wygrał od Jada Rakkisa sto kredytek.

Rakkis tracił na tych zakładach spore sumy niemal co tydzień. Rościł sobie pretensje do rozległej wiedzy o piasecznikach, utrzymując, iż od czasu pierwszego przyjęcia dużo na ich temat przeczytał. Kress podejrzewał, że były to tylko puste przechwałki, bo kiedy przychodziło do zakładów, Jadowi zwykle nie dopisywało szczęście. Kress również usiłował dowiedzieć się czegoś o piasecznikach. W chwili nagłej ciekawości połączył się z miejscową biblioteką i starał się ustalić, z jakiego świata te stworzenia pochodzą. Ale w ogóle nie znalazł takiego hasła w katalogu. Planował zadzwonić do Wo i spytać ją o to, ale pojawiły się inne sprawy i kwestia pochodzenia piaseczników umknęła mu z pamięci. W końcu Rakkis, po miesiącu, w czasie którego jego straty sięgnęły tysiąca kredytek, zjawił się na spotkaniu, niosąc pod pachą małe plastikowe pudełko. W środku znajdowało się przypominające pająka stworzenie, pokryte delikatnym, złotym włosem.

- Pająk piaskowy - oznajmił. - Z Cathaday. Dziś po południu dostałem go w t'Etherane. Zwykle usuwają im worki jadowe, ale ten jest nietknięty. Przyjmujesz zakład, Simon? Chcę odzyskać moje pieniądze. Stawiam tysiąc kredytek, że pająk piaskowy poradzi sobie z piasecznikami.

Kress przyjrzał się zamkniętemu w plastikowym więzieniu zwierzęciu. Piaseczniki urosły i były, jak to słusznie Wo zauważyła, dwukrotnie większe niż jej własne - niemniej przy tym stworzeniu wyglądały jak karły. Poza tym ono posiadało jad, a piaseczniki nie. Było ich jednak strasznie dużo. Ponadto ich wojny wewnętrzne ostatnio zaczęły już być nieco nużące. Odmiana, jaką niosło ze sobą to wyzwanie zaintrygowała Kressa.

- W porządku - powiedział. - Jesteś głupcem, Jad. Oddziały

piaseczników będą napływały tak długo, aż ten twój ohydny stwór nie będzie martwy.

- To ty jesteś głupcem, Simon - odparł Rakkis z uśmiechem. - Ten pajak piaskowy żywi się głównie stworzeniami, które żyją zagrzebane w jakiś norach czy szczelinach i, tylko patrz uważnie, pójdzie prosto do tych zamków i pożre mamki.

Pośród ogólnego śmiechu Kress stracił nagle humor. Tego nie wziął pod uwagę.

- Zaczynamy już wreszcie - powiedział z irytacją. Uzupelił sobie szklanekę do pełna.

Pajak był zbyt duży, by mógł się zmieścić w komorze podajnika karmy. Dwóch z gości pomogło Rakkisowi odsunąć pokrywę i Malada Blane wręczyła mu jego pudełko. Wytrząsnął pajaka do pojemnika. Potworek wylądował na miniaturowej wydmy tuż przed zamkiem czerwonych. Stracił orientację i stał przez chwilę nieruchomo, tylko jego żuchwy pracowały bez przerwy, a odnóża podrygiwały wyzywająco.

- No, dalej - ponaglił go Rakkis.

Wszyscy zebrali się ciasnym kręgiem wokół pojemnika. Kress odszukał i nałożył swoje gogle. Jeżeli miał stracić tysiąc kredytek, chciał przynajmniej dobrze widzieć, co się dzieje.

Piaseczniki zauważyły intruza. W całym zamku w jednej chwili zamarł wszelki ruch. Małe, czerwone stworzenia stały zmrożone, patrząc.

Pajak ruszył w stronę obiecującej, zacienionej bramy. Z górującej nad wszystkim wieży obojętnie patrzyło na niego oblicze Simona Kressa.

Natychmiast wybuchła burza aktywności. Najbliższe piaseczniki uformowały się w dwa kliny i poprzez piasek runęły ku pajakowi. Coraz więcej wojowników wysypywało się z wnętrza zamku i

tworzyło potrójny szereg, strzegący zejścia ku podziemnej komnacie, w której żyła mamka. Z pustyni w pośpiechu nadciągali wezwani do walki zwiadowcy.

Bitwa została przyjęta.

Szarżujące piaseczniki dosięgnęły pająka. Szczypce uchwyciły odnóża, wbiły się w tułów, zacisnęły. Czerwoni wojownicy wbiegali po złotych nogach na plecy napastnika. Kąsali i darli. Jeden z nich dotarł do oka i rozciął je cieniutkimi, żółtymi czułkami. Kress uśmiechnął się i wskazał to Rakkisowi.

Ale piaseczniki były małe i nie miały jadu. I pająk się nie zatrzymywał. Jego nogi strzepywały atakujących, rozrzucając ich na wszystkie strony. Ociekające trucizną szczęki odnajdowały innych, wypuszczając połamane, sztywniejące zwłoki. Już przeszło tuzin piaseczników leżało martwych. Pająk posuwał się wciąż dalej i dalej. Przeszedł prosto przez potrójną linię strażników przed zamkiem. Szeregi zamknęły się wokół niego, pokryły go, rzucając się do desperackiej walki. Kress zauważył, że któryś z oddziałów odciął jedną z nóg intruza. Część obrońców wchodziła na wieże zamku i skakała, lądując na drgającym, falującym kłębowisku poniżej.

Pająk, zupełnie niewidoczny pod masą rojącej się czerwieni, wpełzł jednak w ciemność bramy i zniknął.

Jad Rakkis odetchnął głęboko. Wyraźnie zbladł.

- Cudownie - oznajmił czyjś głos. Malada Blane jakoś dziwnie, z głębi gardła zachichotała.

- Patrz! - powiedziała Idi Noreddian, pociągając Kressa za rękaw.

Byli tak pochłonięci tym, co się działo w rogu czerwonych, że nie zwracali najmniejszej uwagi na pozostałą część pojemnika. Teraz mury zamku ogarnął jednak spokój, piaski były puste - usłane tylko trupami piaseczników - i dopiero teraz to dostrzegli.

W pobliże zamku czerwonych zostały podciągnięte trzy armie.

Stały zupełnie nieruchomo, w idealnym porządku, szereg za szeregiem. Pomarańczowa, biała, czarna. Czekały, by zobaczyć, kto wyjdzie z ciemności.

Simon Kress się uśmiechnął.

- Kordon sanitarny - oświadczył. - Spójrz, z łaski swojej, na pozostałe zamki, Jad.

Rakkis spojrzał i zaklął. Oddziały piaseczników piaskiem i kamieniami zalepiały bramy. Jeżeli pająkowi uda się jakoś wyjść cało z bitwy z wyczekującymi armiami, nie będzie miał łatwego dostępu do wnętrza tych zamków.

- Powinienem był przynieść cztery pająki - stwierdził Rakkis. - Mimo wszystko i tak wygrałem. Mój pająk jest teraz tam, na dole, i zżera twoją pieprzoną mamkę.

Kress nie odpowiedział. Czekał. W ciemności coś się poruszyło.

Nagle czerwone piaseczniki zaczęły wylewać się z bramy szerokim strumieniem. Szybko wdrapywały się na mury zamku i rozpoczynały naprawę dokonanych przez pająka zniszczeń. Zgromadzone armie rozsypały się i wycofały do swoich rogów.

- Jad - powiedział Kress - myślę, że jesteś trochę zaskoczony tym, kto zżera kogo.



Tydzień później Rakkis przyniósł cztery cienkie, srebrne węże. Piaseczniki rozprawiły się z nimi bez większych trudności.

Potem próbował z dużym czarnym ptakiem, który zjadł ponad trzydzieści białych piaseczników i miotając się, niemal doszczętnie zniszczył ich zamek. W końcu jego skrzydła się zmęczyły, a piaseczniki, ilekroć lądował, atakowały go dużymi siłami.

Następnym przeciwnikiem pupilów Kressa były owady - opancerzone żuki, niewiele różniące się od nich samych; tyle że głupie, okropnie głupie. Połączone siły pomarańczowych i czarnych złamały i rozproszyły ich szyk i wyrznęły jednego po drugim.

Rakkis zaczął dawać Kressowi weksle.

Mniej więcej w tym czasie Kress znów spotkał Cath m'Lane. Zdarzyło się to podczas kolacji, którą jadł w swojej ulubionej restauracji w Asgardzie. Zatrzymał się na chwilę przy jej stoliku, opowiedział o swych grach wojennych i zaprosił ją, by się do nich przyłączyła. Poczerwieniała, potem odzyskała nad sobą kontrolę.

- Ktoś wreszcie musi cię powstrzymać, Simonie - rzekła lodowatym głosem. - Myślę, że to będę ja.

Kress wzruszył ramionami, zajął się znakomitym jedzeniem i nie myślał więcej o jej groźbie. Aż do chwili, gdy tydzień później u jego drzwi stanęła niewysoka, tęga kobieta i pokazała mu odznakę policyjną.

- Wpłynęło do nas zażalenie - powiedziała. - Czy ma pan terrarium z niebezpiecznymi owadami, Kress?

- To nie są owady - odparł, gotując się wewnątrz. - Proszę, pokażę pani.

Gdy zobaczyła piaseczniki, potrząsnęła głową.

- Nie da rady, to nie przejdzie. Co pan w ogóle wie o tych stworzeniach? Czy wie pan, z jakiego świata pochodzą? Czy zostały zatwierdzone przez radę ekologiczną? Czy ma pan na nie pozwolenie? Doniesiono nam, że one są mięsożerne, prawdopodobnie niebezpieczne. Zawiadomiono nas również, iż są obdarzone ograniczoną świadomością. A w ogóle skąd pan je wziął?

- Kupiłem od Wo i Shade'a - odpowiedział Kress.

- Nigdy o nich nie słyszałam. Prawdopodobnie przemycili je, wiedząc, że nasi ekolodzy nigdy by ich nie zatwierdzili. Nie, Kress, to

nie przejdzie. Mam zamiar skonfiskować i dać do zniszczenia ten pojemnik. Może się pan również spodziewać kary pieniężnej.

Kress zaproponował jej sto kredytek, sugerując, by zapomniała o nim i jego piasecznikach. Kobieta prychnęła.

- Teraz będę musiała do zarzutów przeciwko panu dodać próbę przekupstwa.

Nie dawała się przekonać aż do chwili, w której podniósł ofertę do dwóch tysięcy kredytek.

- Wie pan, to nie będzie łatwe - powiedziała. - Trzeba na nowo wypełnić formularze, wymazać zapisy. Poza tym sporo czasu zajmie wydobycie od ekologów fałszywego zezwolenia. Nie wspominając już o osobie wnoszącej zażalenie. Co będzie, jeśli ona znów zadzwoni?

- Ja proszę zostawić mnie - stwierdził Kress. - Ja się nią zajmę.



Myślał o tym wszystkim przez chwilę i jeszcze tego wieczoru wykonał kilka telefonów.

Przede wszystkim zadzwonił do t'Etherane - Sprzedaż Zwierząt Domowych.

- Chciałbym kupić psa - oznajmił. - Szczeniaka.

Tłusty handlarz popatrzył na niego osłupiałym wzrokiem.

- Szczeniaka? To zupełnie do ciebie niepodobne, Simon. Ale zajrzyj do nas. Mamy wspaniałą wybór.

- Chcę szczeniaka ściśle określonego rodzaju - dodał Kress. - Zapisuj, przedyktuję ci, jak on ma wyglądać.

Następnie wybrał numer Idi Noreddian.

- Idi - powiedział - chcę, żebyś zjawiała się dziś u mnie ze sprzętem holowizyjnym. Mam ochotę zarejestrować pewną walkę. Jako

prezent dla jednej z moich przyjaciółek.



Tej nocy, po zrobieniu nagrania, Kress nie kładł się do późna. Wchłonął w swym sensorium nowy, kontrowersyjny spektakl dramatyczny, przygotował sobie niewielką przekąskę, wypalił jedno czy dwa cygara i uporał się z butelką wina. Czując się bardzo z siebie zadowolony, powędrował ze szklanką w ręku do salonu.

Światła były wygaszone. Cienie, zrodzone z czerwonej poświaty znad terrarium, płonęły chorobliwym, gorączkowym blaskiem. Podszedł, by spojrzeć na swe królestwo, ciekaw, jak czarne radziły sobie z naprawą zamku. Szczeniak obrócił ich gniazdo w ruinę.

Odbudowa postępowała całkiem sprawnie. Gdy Kress przez powiększające gogle przyglądał się pracy, jego wzrok zahaczył o twarz na wieży. Zdumiała go.

Odsunął się, zamrugął, pociągnął potężny łyk wina i znów spojrział.

Twarz, którą widział, była wciąż jego twarzą. Ale zupełnie nieprawdziwą, wykrzywioną. Policzki były spalone jak u wieprza, uśmiech zmienił się w złośliwy grymas. Wyglądał nieprawdopodobnie podle.

Zaniepokojony, okrążył pojemnik, przyglądając się innym zamkom. Każda z twarzy nieco się różniła, ale wszystkie miały zdecydowanie tę samą wymowę.

Pomarańczowe pominęły wszelkie szczegóły, ale i tak rezultatem było oblicze potwora - pełne brutalności usta, bezduszne oczy.

Czerwone obdarzyły go satanicznym, krzywym uśmieszkiem. W kącikach ust czaiło się coś dziwnego i nieprzyjemnego.

Białe, jego faworyci, wyrzeźbiły okrutnego boga półgłówka.

Z wściekłością cisnął szklanką z winem o ścianę.

- Jak śmiałyście - wysyczał resztką oddechu. - Przez tydzień nie dostaniecie nic do żarcia! Ja was nauczę.

Przyszedł mu do głowy pomysł. Wybiegł z salonu, aby po chwili wrócić z zabytkowym, żelaznym mieczem blisko metrowej długości, o wciąż jeszcze ostrym sztychu. Uśmiechnął się, stanął tuż przy ścianie pojemnika i odsunął pokrywę znad jednego rogu. Sięgnął w dół i dźgnął stojący w tym miejscu zamek białych. Potem zaczął machać mieczem tam i z powrotem, rozwalając mury, krużganki, wieże; gramolące się piaseczniki zostały pogrzebane przez piasek i kamienie. Drobnym ruchem nadgarstka unicestwił bezczelną, uwłaczającą karykaturę, w którą piaseczniki zmieniły jego twarz. Potem zawiesił klingę nad ciemną, prowadzącą ku komnacie mamki jamą i opuścił ją z całą siłą. Poczował opór i usłyszał miękkie mlaśnięcie. Białe piaseczniki zadrżały i upadły. Usatysfakcjonowany, wyciągnął miecz z powrotem.

Patrzył przez chwilę na swe dzieło, zastanawiając się, czy zabił mamkę. Ostrze miecza było wilgotne i śliskie. Ale po chwili białe piaseczniki znów zaczęły się poruszać. Chwiejnie i powoli, ale jednak się ruszały.

Szykował się właśnie, by zasunąć pokrywę nad tym rogiem i przejść do następnego zamku, gdy poczuł, że po jego ręce coś pełźnie.

Wrzasnął, wypuścił miecz i gwałtownie przeciągnął drugą ręką po skórze. Piasecznik spadł na dywan. Zmiażdżył go obcasem, depcząc wściekle jeszcze długo po tym, jak stał się on tylko bezkształtną masą. Trzęsąc się z obrzydzenia, pospiesznie zamknął i zabezpieczył pokrywę. Wybiegł, by wziąć prysznic, i dokładnie się obejrzał. Ubranie, które tuż przed tą kąpielą nosił, starannie wygotował.

Jakiś czas później, po kilku szklankach wina, wrócił do salonu. Był

trochę zawstydzony przerażeniem, jakie ten piasecznik w nim wzbudził. Ale na ponowne otwieranie pojemnika nie miał najmniejszej ochoty. Od tej chwili pokrywa będzie stale zamknięta. Musiał jednak jakoś ukarać pozostałe zamki.

Postanowił poszukać pomysłu w następnej szklance wina. Gdy ją skończył, spłynęło na niego natchnienie. Uśmiechnął się, podszedł do pojemnika i wprowadził kilka poprawek w systemie regulującym wilgotność powietrza.

Zanim usnął na kanapie, ściskając w dłoni nową szklankę wina, zamki kruszyły się, rozmywane w strugach deszczu.



Obudziło go gniewne walenie do drzwi wejściowych.

Usiadł, wciąż podpity, z czaszką trzeszczącą od bólu. „Kac po winie jest zawsze najgorszy” - pomyślał. Wstał i chwiejnym krokiem pokuśtykał do przedpokoju.

Przed drzwiami stała Cath m’Lane.

- Ty bydlaku - powiedziała. Twarz miała zapuchniętą i poznaczoną śladami łez. - Płakałam przez całą noc. Ale nigdy więcej, Simon, nigdy więcej.

- Spokojnie - szepnął, trzymając się za głowę. - Mam kaca. - Klnąc, odepchnęła go na bok i weszła do domu. Zza rogu wylazł pełzacz, jakby chcąc się dowiedzieć, co to za hałasy. Splunęła na niego i wbiegła do salonu. Kress bezskutecznie usiłował ją dogonić.

- Stań na chwilę - wyskrzecztał Kress. - Dokąd... nie możesz...

Zatrzymał się nagle, skamieniały z przerażenia. Cath w lewym ręku trzymała ciężki młotek.

- Nie - powiedział.

Ruszyła prosto ku terrarium.

- Bardzo lubisz te uroczę stworzonka, prawda, Simon? To możesz sobie z nimi mieszkać!

- Cath! - wrzasnął.

Chwyciwszy młotek w obie dłonie, skierowała go z całą siłą na ścianę pojemnika. Odgłos uderzenia niemal rozsadził Kressowi czaszkę. Plastik jednak wytrzymał.

Znowu się zamierzyła. Tym razem rozległ się trzask i na ścianie pojawiła się sieć cienkich linii.

Kress rzucił się na nią, gdy podnosiła młotek do trzeciego uderzenia. Mocując się, upadli na podłogę i kilkakrotnie się przetoczyli. Cath wypuściła młotek i złapała Kressa za gardło, usiłując dusić. Wywinął się i ukąsił ją do krwi w ramię.

W końcu oboje stanęli niepewnie na nogi, dysząc ciężko.

- Powinieneś się teraz zobaczyć, Simon - powiedziała ponuro. - Krew kapie ci z ust. Wyglądasz jak jeden z tych twoich ulubieńców. Jak ci się podoba ten smak?

- Wynoś się - odparł. Zauważył miecz, leżący na podłodze, tam, gdzie go wczoraj porzucił. Szybkim ruchem podniósł lśniąca stal. - Wynoś się - powtórzył, wywijając klingą dla dodania wagi słowom. - Nie próbuj podchodzić do pojemnika.

Zaśmiała się.

- Nie odważysz się - prychnęła i schyliła się, by podnieść młotek.

Kress wrzasnął i pchnął. Zanim w pełni uświadomił sobie, co się stało, żelazne ostrze gładko przeszło przez pierś Cath. Spojrzała na niego zaskoczona, potem opuściła wzrok ku mieczowi. Kress odskoczył.

- Nie chciałem... - zaskomlił. - Ja chciałem tylko...

Krwawiła, umierała, ale jakimś cudem utrzymywała się na nogach.

- Ty potworze - zdołała wycharczeć pełnymi krwi ustami. Okręciła się i ostatkiem sił rzuciła się na pojemnik. Nadwerężona ściana pękła i Cath m'Lane runęła, przysypana lawiną piasku, błota i odłamków plastiku.

Kress histerycznie, cieniutko zapiszczał i wskoczył na kanapę.

Z rumowiska na środku podłogi zaczęły wygrzebywać się piaseczniki. Przechodziły po ciele Cath. Kilka z nich ruszyło na zwiad w poprzek dywanu. Za nimi poszły inne.

Kress patrzył, jak formuje się kolumna - żywy, falujący prostokąt. Idące w jej środku piaseczniki coś niosły, coś śliskiego i bezkształtnego, kawał pulsującego, surowego mięsa wielkości ludzkiej głowy. Kolumna ruszyła naprzód, oddalając się od pojemnika.

Kress nie wytrzymał i uciekł.



Aż do późnego popołudnia nie mógł zebrać dość odwagi, by wrócić.

Uciekając, dobiegł do ślizgacza i niemal chory ze strachu, poleciał do najbliższego miasta, leżącego w odległości około pięćdziesięciu kilometrów. Tam, wreszcie bezpieczny, wszedł do jakiejś małej restauracyjki, wypił kilka filiżanek kawy, zagryzając tabletkami na kaca, zjadł dość obfite śniadanie i stopniowo odzyskał równowagę.

To był straszliwy poranek, ale roztrząsanie tego, co zaszło, niczego nie załatwiało. Zamówił jeszcze jedną kawę i z chłodnym racjonalizmem rozważył swoją sytuację.

Cath m'Lane zginęła z jego ręki. Czy mógł o tym zameldować, broniąc się, że było to niezamierzone i przypadkowe? Raczej nie.

Ostatecznie przebił ją na wylot, a poza tym zasugerował tamtej policjantce, żeby osobę, która wniosła zażalenie, pozostawiła jemu. Musi pozbyć się wszelkich obciążających dowodów. Miał nadzieję, że m'Lane nie powiedziała nikomu, dokąd się tego ranka wybiera. Najprawdopodobniej nie powiedziała. Jego podarunek mógł do niej dotrzeć nie wcześniej niż późnym wieczorem. Była sama, gdy się u niego zjawiała. Twierdziła, że całą noc płakała. Bardzo dobrze. Ma jedno ciało i jeden ślizgacz, których się będzie musiał pozbyć.

Pozostawały jeszcze piaseczniki. One mogą sprawić nieco większe trudności. Bez wątpienia do tej pory wszystkie już zdążyły uciec. Wyobraził je sobie w całym domu, w jego łóżku, w ubraniach, rojące się w jego jedzeniu, i dostał gęziej skórki. Wysiłkiem woli opanował paraliżującą odrazę. Przypomniiał sobie, że ich zabicie nie powinno być takie trudne. Nie musi przecież ścigać każdego z osobna. Tylko cztery mamki, to wszystko. Powinno się udać. Mamki były duże, widział przecież. Odnajdzie je i zabije.

Zanim poleciał z powrotem do domu, odwiedził kilka sklepów. Kupił mocny, okrywający całe ciało kombinezon, kilka torebek używanej przy usuwaniu skalników trucizny w tabletkach oraz kanister z rozpylaczem, zawierający nielegalny, silny pestycyd. Pamiętał też o magnetycznym urządzeniu holowniczym.

Po wylądowaniu metodycznie zabrał się do rzeczy. Przede wszystkim holem magnetycznym do swojego podczepił ślizgacz Cath. Przy jego przeszukiwaniu po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęło się do niego szczęście. Na przednim siedzeniu leżał kryształ, zawierający zrobiony przez Idi Noredian holograficzny zapis walki szczeniaka z piasecznikami. Ten właśnie kryształ podczas rozważań w mieście uznał za jedno ze swoich większych zmartwień.

Gdy ślizgacze były gotowe, włożył kombinezon i wszedł do domu po ciało Cath.

Nie było go.

Starannie ponakłuiwał szybko wysychający piasek, ale nie mogło być wątpliwości - ciało zniknęło. Czyżby Cath jeszcze żyła i zdołała odczołgać się gdzieś w bok? Wątpliwe, niemniej postanowił przeszukać dom. Pobieźna inspekcja nic nie dała - nie znalazł ciała, nie znalazł również piaseczników. Nie miał czasu na bardziej dokładne poszukiwania, gdyż tuż przed drzwiami tkwił obciążający go ślizgacz. Postanowił spróbować jeszcze raz później.

Około siedemdziesięciu kilometrów na północ od jego posiadłości leżało pasmo aktywnych wulkanów. Poleciał tam, holując ślizgacz Cath. Nad największym z dymiących stożków wyłączył magnesy, a potem przyglądał się, jak ślizgacz znika w jeziorze lawy.

Zmierzchało już, gdy wrócił do domu. To mu pozwalało na zrobienie przerwy. Rozwazał przez chwilę możliwość powrotu do miasta i spędzenia tam nocy, szybko jednak z tego pomysłu zrezygnował. Miał przed sobą sporo pracy. Jeszcze nie był bezpieczny.

Rozrzucił wokół domu trujące tabletki. Nikt nie będzie tego uważał za podejrzanę. Kress zawsze miał problemy ze skalnikami. Gdy się z tym uporał, odbezpieczył kanister z pestycydem i wśliznął się do domu.

Przeszedł cały budynek, pokój po pokoju, wszędzie włączając silne światła. Zatrzymał się w salonie, by wrzucić piasek i okruchy plastiku z powrotem do rozbitego pojemnika. Tak jak się obawiał, wszystkie piaseczniki uciekły. Zamki były skurczone i wykoślawione, rozmyte potopem, który na nie spuścił. To, co z nich zostało, wysychając, szybko się rozpadało.

Zmarszczył brwi i szukał dalej z kanistrem przytroczonym do ramion.

Na ciało Cath m'Lane natknął się na dnie swej najgłębszej

piwnicy.

Leżało rozciągnięte u stóp stromych schodów, z kończynami powykręcany jakby od upadku. Skóra roła się od białych piaseczników. Gdy Kress przyglądał się tej scenie, ciało drgnęło, przesuając się po zarośniętej brudem podłodze.

Zaśmiał się i przekręcił regulator natężenia światła do maksimum. W przeciwległym rogu, między dwoma stojakami na wino, przycupnął niewielki, ziemny zamek z ciemną dziurą u podstawy. Na ścianie piwnicy Kress zauważył niewyraźny zarys swojej twarzy.

Ciało znów drgnęło, przesuając się kilka centymetrów w stronę zamku. Kress nagle wyobraził sobie czekającą niecierpliwie, głodną białą mamkę. Może byłaby w stanie zmieścić w swej gębie stopę Cath, ale przecież nic więcej. Wydawało się to zbyt absurdalne. Znów się roześmiał i z palcem na zaworze, zamykającym wylot węża, zaczął schodzić w dół. Piaseczniki - setki, poruszające się niczym jeden - porzuciły ciało i sformowały linie obronne: pole bieli między nim a mamką.

Nagle Kressowi przyszła do głowy inna myśl. Uśmiechnął się i opuścił uzbrojone w wąż ramię.

- Cath zawsze była trudna do strawienia - powiedział, zachwycony swoim dowcipem. - Szczególnie dla kogoś o waszych rozmiarach. Chyba będę musiał wam pomóc. Od czego w końcu są bogowie?

Pobiegł na górę i po chwili wrócił z tasakiem. Piaseczniki cierpliwie czekały i przyglądały się, jak Kress rozrąbuje ciało Cath m'Lane na małe, łatwe do strawienia kawałki.



Tej nocy spał w kombinezonie, z kanistrem pestycydu w zasięgu

ręki. Nie musiał go jednak używać. Białe, nasyczone, pozostały w piwnicy, a na inne dotychczas się nie natknął.

Rano dokończył sprzątanie salonu. Nie został w nim żaden ślad po walce, poza rozbitym pojemnikiem.

Zjadł lekki lunch i na nowo podjął poszukiwania zaginionych piaseczników. W pełnym świetle dnia ich znalezienie nie było trudne. Czarne ulokowały się w jego skalnym ogrodzie, budując zamek ciężki od obsydianu i kwarcu. Czerwone osiedliły się na dnie długo nie używanego basenu pływakiego, częściowo wypełnionego, latami nanoszonym przez wiatr, piaskiem. Widział piaseczniki obu kolorów, uwijające się po posiadłości, przy tym niektóre, całkiem liczne, niosły do swych mamek tabletki trucizny. Kress doszedł do wniosku, że pestycyd jest już zbędny. Nie było potrzeby ryzykowania walki, skoro mógł po prostu poczekać, aż trucizna zrobi swoje. Do wieczora obie mamki powinny być martwe.

Pozostawało jeszcze odnalezienie pomarańczowych. Kress okrążył posiadłość kilka razy, idąc po rozszerzającej się spirali, lecz nigdzie nie natknął się na nie. Gdy zaczął spływać potem - dzień był suchy i gorący, a kombinezon szczelny - zdecydował, iż nie jest to aż tak ważne. Jeżeli gdzieś tu się przyczaiły, prawdopodobnie pożerały teraz tabletki trucizny, podobnie jak czarne i czerwone.

Wracając do domu, z satysfakcją rozdeptał kilka piaseczników, które wlażyły mu pod nogi. Wewnątrz rzucił kombinezon, zjadł porządny obiad i położył się, by odpocząć. Wszystko było pod kontrolą. Dwie mamki wkrótce przestaną żyć. Trzecia znajdowała się w miejscu, w którym łatwo mógł ją zlikwidować, gdy już przestanie być potrzebna. Nie miał wątpliwości, że w końcu uda mu się odnaleźć czwartą. Sprawa Cath przestała istnieć - wszelkie ślady jej wizyty zostały zatarte.

Z zadumy wyrwało go mruganie ekranu telefonu. Dzwonił Jad

Rakkis, chcąc się pochwalić jakimiś wszystkożernymi robakami, które miał zamiar przynieść na dzisiejsze gry wojenne.

Kress zupełnie o tym zapomniał, ale szybko odzyskał zimną krew.

- Oj, przepraszam, Jad, powinienem cię wcześniej zawiadomić. Już mi się to wszystko znudziło i pozbyłem się piaseczników. Wstrętne małe potworki. Przykro mi, ale nie będzie dziś przyjęcia.

Rakkis był oburzony.

- To co mam zrobić z moimi robakami?

- Włóż je do koszyka z owocami i wyślij swojej ukochanej - powiedział Kress, przerywając połączenie. Szybko zadzwonił do pozostałych bywalców jego przyjęć. Nie chciał, aby ktokolwiek pałętał mu się pod drzwiami, dopóki piaseczniki żyły i łążyły po posiadłości.

Gdy dzwonił do Idi Noredian, zdał sobie sprawę z irytującego niedopatrzenia. Ekran zaczął się przeczyszczać, wskazując, że ktoś właśnie podszedł do aparatu. Wtedy Kress się rozłączył.

Idi zjawiła się godzinę później, o zwykłej porze. Była nieco zaskoczona tym, że przyjęcie zostało odwołane, ale jednocześnie bardzo uszczęśliwiona perspektywą spędzenia wieczoru sam na sam z Kressem. Rozbawił ją opowieścią o reakcji Cath na zrobiony przez nich hologram. Zdołał się przy tym upewnić, iż Idi nikomu nie wspomniała o tym ich dowcipie. Skinął głową zadowolony, i ponownie napełnił winem kieliszki. W butelce zostało już tylko kilka kropel.

- Będę musiał przynieść nową - orzekł. - Chodź ze mną do piwnicy i pomóż mi wybrać dobry rocznik. Zawsze miałaś lepsze podniebienie niż ja.

Wybrała się z nim na dół dość chętnie, ale na szczycie schodów, gdy otworzył drzwi i gestem wskazał, by weszła pierwsza, zawahała się.

- Dlaczego światło jest wyłączone? - spytała. - I ten zapach... co to za dziwny zapach, Simon?

Sprawiała wrażenie zaskoczonej, gdy ją pchnął. Wrzasnęła, spadając ze schodów. Kress zatrzasnął drzwi i zaczął je zabijać deskami, które wraz z gwoździami i młotkiem pneumatycznym przygotował i zostawił tu wcześniej. Gdy kończył, usłyszał jęk Idi.

- Boli mnie - zawołała. - Simon, co to jest? - Nagle zapiszczała. Chwilę później rozległ się krzyk.

Nie milkł przez godziny. Kress, chcąc się od niego odgradzić, poszedł do sensorium i wystukał zamówienie na pieprzną komedię.

Gdy nabrał pewności, że Idi już nie żyje, zabrał jej ślizgacz na północ i wrzucił do wulkanu. Hol magnetyczny okazał się dobrą inwestycją.



Następnego ranka, gdy zszedł na dół, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, usłyszał dziwne, przypominające skrobanie dźwięki, które dochodziły zza drzwi piwnicy. Przez kilka chwil nastawiał uszu w napięciu, zastanawiając się, czy to możliwe, by Idi Noreddian przeżyła i teraz drapała w drzwi, chcąc się wydostać. Mało prawdopodobne, to musiały być piaseczniki. Kressowi nie podobało się to, co mogło się kryć za tymi dźwiękami. Postanowił trzymać drzwi zabite, przynajmniej przez jakiś czas. Wziął łopatę i wyszedł na zewnątrz, by pochować mamki, czerwoną i czarną, pod ich własnymi zamkami.

Znalazł je w doskonałym zdrowiu.

Czarny zamek, oblepiony krzątającymi się piasecznikami, połyskiwał szkłem wulkanicznym. Na najwyższej, sięgającej jego

pasa wieży, Kress dostrzegł wstrętną karykaturę swojej twarzy. Gdy podszedł bliżej, czarne przerwały pracę i uformowały się w dwie groźne falangi. Obejrzał się i zobaczył, że inne odcinają mu drogę ucieczki. Zdumiony, porzucił łopatę i pospiesznie wybiegł z pułapki, krusząc pod butami kilka czarnych pancerzy.

Zamek czerwonych wspinał się po ścianie basenu. Mamka była bezpiecznie umieszczona w szczelinie, otoczona piaskiem, betonem i umocnieniami. Czerwone piaseczniki łąziły po całym dnie basenu. Kress zauważył grupy, niosące do zamku skalnika i dużą jaszczurkę. Przerażony odsunął się od skraju basenu i usłyszał jakiś chrobot. Spojrzał w dół. Zobaczył trzy piaseczniki, wspinające się po jego nodze. Strącił je i starannie rozdeptał, ale już nadciągały inne. Były większe, niż je pamiętał. Niektóre osiągnęły niemal wielkość jego kciuka.

Zaczął biec. Zanim znalazł się w domu, serce mu waliło jak oszałałe i ledwie łapał oddech. Zatrzasnął drzwi i pospiesznie zablokował je zamkami. Jego dom został tak zaprojektowany, by był owadoszczelny. Wewnątrz będzie bezpieczny.

Mocny drink ukoił mu trochę nerwy. „A więc trucizna im nie zaszkodziła” - pomyślał. Powinien był się domyślić. Wo ostrzegęła go, że mamki mogą jeść właściwie wszystko. Będzie musiał użyć pestycydu. Wypił dla równego rachunku następnego drinka, włożył kombinezon i przytroczył kanister do pleców. Otworzył drzwi.

Przed nimi, na zewnątrz, czekały piaseczniki.

Stały przeciwko niemu obie armie, zjednoczone w obliczu wspólnego zagrożenia, bardziej liczne, niż mógłby sobie wyobrazić. Przeklęte mamki musiały płodzić jak skalniki. Piaseczniki tłoczyły się wszędzie, tworząc pełznące morze.

Kress uniósł wylot węża i otworzył zawór. Szara mgła pokryła najbliższe kręgi. Poruszał ręką to w jedną to w drugą stronę.

Tam, gdzie sięgnęła mgła, piaseczniki skręcały się gwałtownie i zdychały w drgawkach. Kress uśmiechnął się. To nie był przeciwnik dla niego. Rozpylił pestycyd szerokim łukiem i śmiało postąpił naprzód, depcząc ściółkę z czarnych i czerwonych ciał. Armie cofnęły się. Kress ruszył, zdecydowany przebić się przez nie ku mamkom.

Ucieczka natychmiast została przerwana. Tysiące piaseczników runęło ku niemu jak fala.

Kress oczekiwał przeciwuderzenia. Utrzymał pozycję, szerokimi ruchami zamiatając przed sobą swym mgielnym mieczem. Piaseczniki szły na niego i umierały. Niektóre się przebiły - nie mógł przecież rozpylać trucizny wszędzie jednocześnie. Poczował, jak wspinają się mu po nogach, jak ich szczytce daremnie usiłują przeciąć wzmocniony plastik kombinezonu. Zignorował je i kontynuował rozpylanie.

Nagle coś zaczęło miękko uderzać go w kark i głowę.

Zadrzał, okręcił się i spojrzał w górę. Ściana domu ożyła, pokryta setkami piaseczników, czarnych i czerwonych. Wspinały się, odbijały i jak deszcz spadały na niego i wszędzie wokół. Jeden ze skoczków wylądował na ostonie twarzy, usiłując przez długą straszną sekundę, zanim Kress strącił go na ziemię, sięgnąć szczypcami ku oczom człowieka.

Kress uniósł wysoko wylot węża, spryskując powietrze, spryskując dom, rozsiewając pestycyd, aż wszystkie piaseczniki ponad nim były martwe lub zdychały. Trująca mgła opadała na niego, drażniąc gardło. Kaszlał i rozpylał dalej. Dopiero gdy całkowicie oczyścił front budynku, skierował uwagę z powrotem na ziemię.

Mrowiły się wszędzie - wokół niego, na nim. Dziesiątki łażyły po nim, setki innych spieszyły, by się do nich przyłączyć. Skierował mgłę w ich stronę.

W chwilę później strumień pestycydu się urwał. Kress usłyszał głośny syk za plecami i zza jego ramion wypłynął śmiercionośny

obłok, osnuwając go, dusząc, paląc i osłabiając widzenie. Powiódł dłonią wzdłuż węża i cofnął ją, pokrytą zdychającymi piasecznikami. Wąż był przecięty, przegryzły go. Kress okryty całunem pestycydu, oślepiiony, wrzasnął i błyskawicznie ruszył w stronę domu, po drodze strącając z siebie małe ciała.

Wpadł do środka, zaryglował drzwi i rzucił się na dywan. Tarzał się w tę i z powrotem tak długo, aż upewnił się, że zgniótł wszystkie, które jeszcze na nim zostały. Kanister, już niemal zupełnie pusty, posykiwał słabo. Kress zrzucił kombinezon i wbiegł pod prysznic. Ostry, gorący strumień poparzył go, skóra zaczerwieniła się i uwrażliwiła, ale przestała cierpnąć.

Włożył swe najcięższe ubranie - gruby skórzany komplet - wytrząsając je przedtem nerwowo. „Cholera, cholera” - mrucał cały czas. Gardło miał zupełnie suche. Po starannym przeszukaniu holu wejściowego i upewnieniu się, że nie ma w nim piaseczników, uznał, iż może odpocząć. Usiadł i nalał sobie drinka. „Cholera” - powtórzył. Dłoń mu drżała i część trunku wylała się na dywan.

Alkohol uspokoił go, ale nie spłukał strachu. Wypił drugą szklanekę i ostrożnie podszedł do okna. Po grubej, plastikowej szybie łąziły piaseczniki. Wzdrygnął się i wycofał ku konsoli łączności. Pomyślał, przerażony, że musi wezwać jakąś pomoc. Zadzwoń do władz regionu, przyjdą policjanci z miotaczami ognia i...

Przerwał w połowie wystukiwanie numeru i jęknął. Nie może wezwać policji. Musiałby im powiedzieć o białych w piwnicy i policjanci znaleźliby tam ciała. Być może do tej pory mamka poradziła sobie z Cath m’Lane, ale na pewno nie z Idi Noreddian. Nawet jej nie pociął. Poza tym mogły tam zostać kości. Nie, policję może wezwać dopiero w ostateczności.

Usiadł przy konsoli, marszcząc czoło. Sprzęt łączności zajmował całą ścianę, z jego pomocą mógł się połączyć z każdym mieszkańcem

Balduru. Miał dużo pieniędzy i był sprytny - zawsze był dumny ze swojej pomysłowości. Jakoś sobie z tym wszystkim poradzi.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Wo, ale niemal natychmiast z tego zrezygnował. Wo zbyt dużo wiedziała, będzie zadawała pytania. Nie ufał jej. Nie, potrzebował kogoś, kto zrobi to, co zostanie mu zlecone, bez zadawania pytań.

Zmarszczka zniknęła z jego czoła, a na twarz wypłynął uśmiech. Simon Kress miał kontakty. Wystukał na klawiaturze już od bardzo dawna nie używany numer.

Na ekranie zmaterializowała się kobieca twarz - otoczona białymi włosami, pozbawiona wyrazu, o długim, zakrzywionym nosie.

- Simon - powiedziała dziarskim, energicznym głosem. - Jak tam interesy?

- Znakomicie, Lissandro - odpowiedział. - Mam dla ciebie robotę.

- Usunięcie? Moja cena wzrosła od twego ostatniego zlecenia. Przecież minęło już niemal dziesięć lat.

- Dostaniesz, ile będziesz chciała. Wiesz przecież, że jestem hojny. Potrzebuję cię do przeprowadzenia małego odrobaczenia.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie musisz używać eufemizmów. Linia jest ekranowana.

- Nie, ja mówię serio. Mam problem ze szkodnikami. Niebezpiecznymi szkodnikami. Uwolnij mnie od nich. Żadnych pytań. Jasne?

- Jasne.

- To dobrze. Będziesz potrzebowała... och, trzech lub czterech ludzi, wyposażonych w miotacze ognia albo lasery, czy coś w tym rodzaju. Włóżcie ognioodporne kombinezony. Przylećcie tu do mnie. Od razu zobaczycie, w czym problem. Insekty. Bardzo, bardzo dużo insektów. W moim skalnym ogrodzie i w basenie znajdziecie zamki. Zniszczycie je i zabijecie wszystko, co w nich jest. Potem zapukacie do drzwi i

wtedy wam pokażę, co jeszcze trzeba zrobić. Jak szybko możecie tu być?

- Wyruszymy za godzinę - oświadczyła z kamienną twarzą.



Lissandra dotrzymała słowa. Przyleciała czarnym, opływowym ślizgaczem, przywożąc ze sobą trzech pomocników. Kress przyglądał się im, bezpiecznie ukryty za oknem pierwszego piętra. Byli jednakowi - w ciemnych, plastikowych kombinezonach z zasłaniającymi twarz maskami. Dwóch z nich dźwigało przenośne miotacze ognia, trzeci działko laserowe i granaty. Lissandra - Kress poznał ją po sposobie, w jaki wydawała rozkazy - nie miała broni.

Powoli, na małej wysokości, przelecieli nad posiadłością, rozpoznając sytuację. Piaseczniki dostały szału. Szkarłatne i hebanowe kreski biegały i kręciły się jak w amoku. Ze swego punktu obserwacyjnego Kress dokładnie widział wznoszący się na wysokość człowieka zamek czarnych. Jego mury roiły się od obrońców; nieprzerwany, smolisty strumień wpływał przez bramę do wnętrza.

Ślizgacz Lissandry wylądował obok pojazdu Kressa, pomocnicy wyskoczyli na zewnątrz i zdjęli broń z ramion. Wyglądali jak maszyny, nieludzko, śmiertelnie groźnie.

Czarna armia rozwinęła się między nimi a zamkiem. Czerwone... Kress nagle zdał sobie sprawę, że nigdzie nie widać czerwonych. Rozejrzał się uważnie. Gdzie one się mogły podziać?

Lissandra wyciągnęła rękę i krzyknęła - mężczyźni z miotaczami odwrócili się ku piasecznikom. Ich broń kaszlnęła głucho i zaczęła ryczeć, wypuszczając długie jęzory błękitnoszkarłatego ognia. Piaseczniki skręcały się, kurczyły i zdychały. Mężczyźni zaczęli

przesuwać ogień w prawo i w lewo sprawnymi, skoordynowanymi ruchami. Ostrożnie, krok po kroku, postępowali naprzód.

Czarna armia płonęła i rozpadała się, piaseczniki uciekały we wszystkie strony - niektóre z powrotem ku zamkowi, inne wprost na wroga. Żadnemu nie udało się dobiec do trzymających miotacze mężczyzn. Ludzie Lissandry byli fachowcami wysokiej klasy.

Nagle jeden z nich się potknął.

Lub tak to wyglądało. Kress spojrzął uważniej i zauważył, że grunt pod nogami tego człowieka się zapadł. „Tunele - pomyślał, czując nagłe ukłucie strachu - tunele, jamy, pułapki”. Mężczyzna zanurzył się głębiej, już niemal po pas. Nagle ziemia wokół niego jakby eksplodowała. Chwilę później był pokryty setkami szkarłatnych piaseczników. Odrzucił miotacz i zaczął gorączkowo wyszarpywać je ze swego ciała. Krzyczał, strasznie krzyczał.

Jego kolega zawahał się, potem wykonał półobrót i wystrzelił. Kłęb płomienia pochłonął i człowieka, i piaseczniki. Mężczyzna, usatysfakcjonowany, odwrócił się z powrotem ku zamkowi i zrobił krok naprzód. Jego stopa przebiła wierzchnią warstwę ziemi i zniknęła w niej aż po kostkę. Usiłował ją wyciągnąć i uciec, ale piaszczysty grunt wokół niego zapadał się, nie dając oparcia. Stracił równowagę i upadł, młóćąc wkoło rękoma. Piaseczniki były wszędzie - żywa, falująca masa zalała go natychmiast, wijącego się, rzucającego. Miotacz ognia leżał obok, zapomniany i bezużyteczny.

Kress zabębnił dziko w szybę, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

- Zamek! - wrzeszczał. - Zniszczcie zamek!

Lissandra, stojąca z boku, przy swym ślizgaczu, usłyszała i gestem wydała rozkaz. Jej trzeci pracownik wycelował działko laserowe i wystrzelił. Promień zamigotał nad skałami ogrodu i odciął szczyt zamku. Mężczyzna opuścił go gwałtownie, tnąc piaszczysto-kamienne blanki. Wieże zwały się, rozpadło się oblicze Kressa.

Promień lasera uderzył w ziemię, zataczając koła, szukając. Zamek zniknął, teraz leżała tam już tylko kupa piachu. Tyle że czarne piaseczniki wciąż się poruszały. Mamka była ukryta zbyt głęboko, nie mogli jej dosięgnąć.

Lissandra wydała następny rozkaz. Jej podwładny odłożył laser, odbezpieczył granat i rzucił się naprzód. Przeskoczył dymiące zwłoki pierwszego mężczyzny, wylądował na pewnym gruncie wewnątrz skalnego ogrodu i szeroko machnął ręką. Granat trafił dokładnie w szczyt ruin zamku. Kress zmrużył oczy, dźgnięte oślepiająco białym światłem. W powietrze wytrysnął potężny słup piachu, kamieni i piaseczników. Przez chwilę wszystko było zasnuwane jakby kurzem - to gęstą ulewą spadały piaseczniki i kawałki piaseczników.

Kress zobaczył, że czarne są nieruchome, martwe.

- Basen! - krzyknął przez szybę. - Rozwalcie zamek w basenie!

Lissandra zrozumiała natychmiast, dlaczego ziemia była usłana trupami czarnych, a czerwone piaseczniki żyły nadal, wycofały się i przegrupowały. Pracownik Lissandry wahał się przez chwilę, potem wyjął następny granat i zrobił krok naprzód. Lissandra zawołała go - zawrócił, szybko pobiegł w jej stronę i wskoczył do ślizgacza.

Kress przeszedł do innego okna, w innym pokoju, by widzieć, co się będzie działo. Teraz już wszystko okazało się bardzo proste. Ślizgacz przeleciał tuż nad basenem i mężczyzna, bezpieczny na jego pokładzie, precyzyjnie zrzucił granaty. Po czwartym przelocie zamek zmienił się w nierozpoznawalną ruinę, a czerwone piaseczniki przestały się ruszać.

Lissandra była bardzo staranna. Jej pracownik zbombardował każdy z zamków jeszcze kilkakrotnie, potem użył działka laserowego, metodycznie krojąc pozostałości, aż było zupełnie pewne, że pod tymi pociętymi skrawkami ziemi nie mogło już pozostać nic żywego.

W końcu zapukali do drzwi domu. Kress wpuścił ich, szczerząc

zęby w maniakalnym uśmiechu.

- Cudownie - powiedział. - Cudownie.

Lissandra zdjęła hełm.

- To cię będzie słono kosztować, Simon. Straciłam dwóch ludzi, nie wspominając już o zagrożeniu własnego życia.

- Oczywiście, zapłacę ci, ile zażadasz - zgodził się skwapliwie. - Dokończ tylko robotę.

- Co jeszcze zostało?

- Musisz oczyścić piwnicę. Jest w niej jeszcze jeden zamek. I będziesz to musiała zrobić bez używania granatów. Nie chcę, żeby dom zwalił mi się na głowę.

Lissandra skinęła na podwładnego.

- Idź na zewnątrz - poleciała - i weź miotacz Rajka. Powinien być sprawny.

Mężczyzna wrócił uzbrojony, milczący, gotowy. Kress poprowadził ich na dół, do piwnicy.

Ciężkie drzwi były ciągle zabite na głucho, tak jak je zostawił. Wybrzuszyły się jednak nieco na zewnątrz, jakby spaczony jakimś ogromnym ciśnieniem. Ten widok i cisza wokół nich panująca, sprawiły, że Kressa nagle ogarnął niepokój. Pracownik Lissandry zaczął wyrывать gwoździe i usuwać przybite przez gospodarza deski. Kress wycofał się daleko do tyłu.

- Czy użycie tutaj tego przyrządu jest bezpieczne? - wymruczał, wskazując miotacz ognia. - Pożaru też sobie nie życzę.

- Wzięłam laser - powiedziała Lissandra - i to przede wszystkim jego użyjemy, miotacz nie będzie prawdopodobnie potrzebny. Chcę jednak, żeby tu był, na wszelki wypadek. Są gorsze rzeczy niż pożar, Simon.

Kress przytaknął.

Ostatnia przybita do drzwi deska odskoczyła. Z dołu ciągle nie

dochodził żaden dźwięk. Lissandra wydała krótki rozkaz. Mężczyzna cofnął się i zajął pozycję za jej plecami. Opuścił wylot miotacza, kierując go dokładnie na drzwi piwnicy. Lissandra włożyła hełm, przygotowała laser, zrobiła krok do przodu i otworzyła drzwi.

Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Tylko ciemność.

- Jest tam światło?

- Tuż za drzwiami - odparł Kress. - Po prawej stronie. Uważaj na schody, są bardzo strome.

Przekroczyła próg, przełożyła laser do lewej ręki, prawą wyciągnęła, po omacku szukając przełącznika. Nic, spokój.

- Czuję go - oznajmiła - ale jest jakiś...

Nagle wrzasnęła i odskoczyła do tyłu. Na jej dłoni wisiał wielki, biały piasecznik. Przez kombinezon - z miejsc, w które wbite były jego szczypcy - przesączała się krew. Był ogromny, długi jak jej przedramię.

Lissandra przecięła pokój drobnymi, szybkimi kroczkami i zaczęła uderzać ręką w najbliższą ścianę. Raz, i drugi, i trzeci. Uderzenia brzmiały jak stłumione, głuche młaśnięcia. W końcu piasecznik odpadł. Lissandra zakwiliła i osunęła się na kolana.

- Zdaje mi się, że mam połamane palce - powiedziała miękko. Krew ciągle płynęła obficie z jej dłoni. Laser, porzucony, leżał obok drzwi.

- Nie mam zamiaru tam schodzić - oświadczył czystym, mocnym głosem mężczyzna z miotaczem.

Lissandra podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Nie - potwierdziła. - Stań w drzwiach i spal je wszystkie. Zmień je w popiół. Zrozumiałeś?

Skinął głową.

- Mój dom - jęknął Kress. Poczuł ucisk w żołądku. Białe piaseczniki były takie wielkie. Ile ich tam, na dole, jest? - Stójcie! -

krzyknął. - Zostawcie je w spokoju. Zmieniłem zdanie. Zostawcie je.

Lissandra nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Wyciągnęła pokrytą krwią i zielonoczarным śluzem rękę.

- Twój mały przyjaciel przebił mi rękawicę na wylot; widziałeś, jak trudno było się go pozbyć. Nie obchodzi mnie twój dom, Simon. Cokolwiek jest tam, na dole, musi umrzeć.

Kress niemal jej nie słyszał. Wydawało mu się, że w cieniu za drzwiami piwnicy dostrzega jakiś ruch. Wyobraził sobie białą armię, złożoną z osobników równie wielkich jak ten, który zaatakował Lissandrę, wylewającą się z ciemności, szarżującą. Ujrzał siebie, unoszonego przez setki cienkich odnóży; ciągniętego w dół, w mrok, ku czekającej, wygłodniałej mamce. Bał się.

- Nie - powiedział.

Zignorowali go.

Pomocnik Lissandry stanął u wejścia do piwnicy, gotowy do otworzenia ognia i wtedy Kress skoczył, wbijając mu ramię w plecy. Mężczyzna jęknął, stracił równowagę i zanurkował w ciemność. Kress słuchał, jak ciało stacza się ze schodów. Po chwili z piwnicy zaczęły dochodzić inne hałasy - głośne szuranie, chrzęst i jakieś dziwne dźwięki, miękkie i mlaskające.

Kress odwrócił się do Lissandry. Był złany zimnym potem i podniecony w niezdrowy, niemal seksualny sposób.

Lodowate, spokojne oczy kobiety przypatrywały mu się zza osłaniającej twarz maski.

- Co ty wyprawiasz? - spytała ostro.

Kress podniósł upuszczony przez nią laser.

- Simon!

- Wprowadzam pokój - odpowiedział, chichocząc. - One nie zrobią krzywdy swemu bogu, nie skrzywdzą go, póki bóg będzie dobry i szczodry. Ja byłem okrutny. Głodziłem je. Teraz muszę im to

wynagrodzić, rozumiesz?

- Ty jesteś chory - oświadczyła Lissandra. To były jej ostatnie słowa. Kress wypalił jej w piersi taką dziurę, że mógłby włożyć w nią ramię. Przeciągnął ciało ku drzwiom i zrzucił ze schodów. Hałasy stały się głośniejsze - drapanie, szczęk chityny i stłumione, gęstopłynne echa. Kress zamknął drzwi i na nowo zabił deskami.

Gdy uciekał, wypełniło go głębokie zadowolenie, niby warstwa ochronna tłumiąca strach. Podejrzewał, że owo nagłe uczucie nie było jego własnym.



Planował sobie, iż opuści dom, poleci do miasta i wynajmie pokój. Na dzień, a może na rok. Zamiast tego zaczął pić. Właściwie nie wiedział dlaczego. Pił bez ustanku przez kilka godzin, potem gwałtownie wyrzucił zawartość żołądka na dywan w salonie. W pewnym momencie usnął. Gdy się obudził, cały dom był pogrążony w głębokich ciemnościach.

Skulił się na kanapie. Słyszał dźwięki. Przesuwały się wewnątrz ścian. Czyhały wszędzie wokół, otaczały go. Jego słuch wyostrzył się niezwykle. Każdy najcichszy chrzęst był krokiem piasecznika. Zacisnął oczy i czekał, spodziewając się poczuć ich straszliwe dotknięcia, bojąc się najmniejszego ruchu, by nie musnąć któregoś z nich.

Nagle załkał i natychmiast zamilkł, sztywniejąc. Leżał tak przez chwilę, ale nic się nie stało.

Otworzył oczy, drżąc cały. Powoli cienie zaczęły mięknąć i rozplływać się. Przez wysokie okna przesączało się światło księżyca. Jego oczy przywykły do ciemności.

Salon był pusty. Niczego w nim nie było, niczego, niczego. Poza

jego pijackim strachem.

Kress wziął się w garść, wstał i podszedł do wyłącznika oświetlenia.

Nic, pusto. Pokój był cichy, opustoszały.

Wyteńczył słuch. Nic. Żadnego dźwięku. Cisza w ścianach. To wszystko było tylko produktem jego wyobraźni, jego strachu.

Napłynęło nieproszone wspomnienie Lissandry i tej istoty, tam, w piwnicy. Zaczerwienił się ze wstydu i z gniewu. Dlaczego to zrobił? Przecież mógł Lissandrze pomóc w spaleniu piaseczników, w zabiciu ich. Dlaczego... wiedział dlaczego. To mamka go do tego zmusiła, zasiała w nim strach. Wo wspomniała, że mamki posiadają zdolności psioniczne, nawet wtedy, gdy są małe. A ta była duża, bardzo duża. Utuczyła się ciałem Cath i Idi, a teraz miała tam u siebie następne dwa. Urośnie jeszcze bardziej. „I nauczyła się lubić smak ludzkiego mięsa” - pomyślał.

Zaczął się trząść i musiał znów wyteńczyć wolę, by się opanować. Ta mamka go nie skrzywdzi. Był jej bogiem. Białe piaseczniki zawsze były jego ulubieńcami.

Przypomniał sobie, jak dźgnął ją mieczem. To wydarzyło się jeszcze przed przyjściem Cath, niech będzie przeklęta.

Nie mógł tu zostać. Mamka znowu zgłodnieje. I to niedługo, przy jej rozmiarach. Będzie miała straszliwy apetyt. Co on wtedy zrobi? Musi uciekać z tego domu, do miasta, póki jeszcze piaseczniki siedzą w piwnicy. Tam jest tylko kawałek ściany i trochę ubitej ziemi. Mogą kopać, wygrzebywać tunele. A gdy wydostaną się na zewnątrz... Kress wolał o tym nie myśleć.

Poszedł do sypialni i spakował się. Wziął trzy torby. Jedno ubranie, zmiana bielizny - to wszystko, czego potrzebował. Pozostałą przestrzeń w torbach wypełnił kosztownościami, biżuterią, dziełami sztuki i innymi rzeczami, których straty nie mógłby znieść. Nie

spodziewał się kiedykolwiek tu wrócić.

Jego pełzacz zwlókł się za nim ze schodów, wpatrując się w niego swymi żalonymi, błyszczącymi oczyma. Bardzo wychudł. Kress uprzytomnił sobie, że minęły wieki, odkąd ostatni raz karmił tego stwora. Zwykle pełzacz sam potrafił o siebie zadbać, ale ostatnio niewątpliwie miał poważne trudności z upolowaniem czegokolwiek. Gdy usiłował chwycić go za nogę, Kress warknął i odgonił zwierzą kopniakiem. Pełzacz uciekł, urażony.

Kress wysliznął się na zewnątrz, niezgrabnie ciągnąc za sobą torby. Zamknął drzwi.

Stał przez chwilę, oparty o ścianę domu, z sercem walącym jak oszalałe. Odległość pomiędzy nim a jego ślizgaczem wynosiła tylko kilka metrów, ale bał się wykonać te parę kroków. W jasnym świetle księżycy wyraźnie widział pobojuwisko, rozciągające się przed frontem budynku. Ciała dwóch pracowników Lissandry leżały tam, gdzie upadły, jedno skręcone i spalone, drugie nabrzmiałe pod masą zdechłych napastników. Piaseczniki, czarne i czerwone, były wszędzie wokół. Niemałego wysiłku wymagało ciągłe pamiętanie, że wszystkie są martwe. Zdawały się po prostu czekać na niego, tak jak to wielokrotnie robiły.

„Bzdura” - powiedział sobie. „Kolejne pijackie majaki”. Widział przecież, jak rozpadały się ich zamki. Były martwe, a biała mamka tkwiła w pułapce, uwięziona w piwnicy. Wziął kilka głębokich, niespiesznych oddechów i zrobił krok naprzód, na warstwę piaseczników. Zachrobotwały. Wgniół je wściekle w piasek. Nie poruszyły się.

Uśmiechnął się i powoli pomaszerował przed siebie, wsłuchując się w odgłosy swych kroków.

Chrup. Chrup. Chrup.

Postawił torby na ziemi i otworzył drzwi ślizgacza.

Coś przesunęło się z cienia ku światłu. Błady kształt na siedzeniu, długi jak przedramię. Patrzył na Kressa sześciorgiem osadzonych wokół tułowia oczu. Jego szczypcy klasnęły łagodnie.

Kress zmoczył spodnie i powoli zaczął się cofać.

Znów jakiś ruch, od wewnątrz ślizgacza ku otwartym drzwiom. Piasecznik wyszedł i ostrożnie ruszył w jego stronę. Za nim pojawiły się inne. Dotychczas chowały się pod siedzeniami, leżały, zagrzebane w tapicerce foteli. Ale teraz opuściły swoje kryjówki. Utworzyły wokół ślizgacza nieregularny pierścień.

Kress oblizał wargi, odwrócił się i pobiegł w stronę pojazdu Lissandry. Zatrzymał się w połowie drogi. Tam również coś się poruszyło. Wielkie, ledwie widoczne w świetle księżyca robactwo.

Kress zaskomlił i czmychnął ku domowi. Gdy znalazł się tuż obok drzwi, spojrzał w górę.

Naliczył tuzin długich białych kształtów, pełzających tam i z powrotem po ścianie budynku. Cztery z nich wisiały jak grona pod szczytem nie używanej dzwonnicy, w której gnieździł się kiedyś sokół padlinożerca. Rzeźbiły coś. Twarz. Bardzo znajomą twarz.

Simon Kress wrzasnął i wbiegł do domu.



Alkohol w odpowiedniej ilości zesłał na niego upragnione zapomnienie. Obudził się, pomimo wszystko. Okropnie bolała go głowa, śmierdział i był głodny. Bardzo głodny. Głodny jak jeszcze nigdy dotychczas.

Wiedział, że to nie jego żołądek się skręca.

Ze szczytu stojącej w sypialni szafy przyglądał mu się, poruszając delikatnie czułkami, biały piasecznik. Był równie duży jak ten,

którego zastał wczoraj w ślizgaczu.

Kress zdusił pragnienie natychmiastowej ucieczki.

- Ja... ja cię nakarmię - powiedział do piasecznika. - Nakarmię cię.

Usta miał straszliwie wysuszone, język przypominał papier ścierny. Przeciągnął nim po wargach i wybiegł z pokoju.

Dom był pełen piaseczników; musiał uważać, gdzie stawia stopy. Wszystkie zdawały się zajęte jakimiś własnymi zadaniami. Wprowadzały zmiany w jego domu, ryły otwory w ścianach, rzeźbiły coś. Dwukrotnie natknął się na swoje twarze: spaczone, wykrzywione, skażone strachem, spoglądające na niego z zupełnie nieoczekiwanych miejsc.

Wyszedł na zewnątrz, by przynieść gnijące tam ciała. Miał nadzieję, że zaspokoją głód mamki. Nie znalazł ich, zniknęły oba. Kress przypomniał sobie, z jaką łatwością piaseczniki nosiły rzeczy dwukrotnie cięższe od nich samych.

Myśl, że mamka ciągle była głodna, nawet po takim posiłku, napawała go przerażeniem.

Gdy wśliznął się z powrotem do domu, ze schodów spływała kolumna piaseczników. Każdy z insektów niósł kawałek pełzacza. Odcięta głowa, przepływając obok oniemiałego człowieka, zdawała się spoglądać na niego z wyrzutem.

Kress opróżnił lodówki, spiżarnie, wszystko, usypując żywność z całego domu w stos na środku kuchennej podłogi. Tuzin białych czekało, aż skończy. Zabrały wszystko, unikając jedynie produktów zamrożonych, pozostawiając je na środku wielkiej kałuży, by odtajały.

Gdy cała żywność już zniknęła, Kress poczuł, chociaż nic nie jadł, że jego własny głód trochę złagodniał. Uświadomił sobie jednak, że jest to ulga krótkotrwała. Mamka wkrótce znowu zgłodnieje. I on będzie musiał ją nakarmić.

Wiedział, co powinien zrobić. Podszedł do konsoli łączności.

- Jad, robię dziś wieczorem małe przyjęcie - powiedział swobodnym tonem, gdy odezwał się pierwszy z jego przyjaciół. - Zdaję sobie sprawę, że zawiadamiam cię strasznie późno, ale mam nadzieję, że jakoś zdołasz przyjechać. Postaraj się.

Potem dzwonił do Malady Blane i do innych. Dziewięcioro z nich przyjęło zaproszenie. Miał nadzieję, że to wystarczy.



Witał swych gości na zewnątrz - piaseczniki oczyściły teren zadziwiająco szybko i jego posiadłość wyglądała niemal tak, jak przed bitwą - i podprowadzał ich ku frontowym drzwiom. Gestem wskazywał, by wchodzili pierwsi. Oczywiście nie wszedł za nimi.

Na odwagę zdobył się dopiero, gdy już czworo z nich po kolei znalazło się wewnątrz domu. Zatrzasnął drzwi za ostatnim i ignorując pełne zdziwienia okrzyki, zastąpione po chwili przeraźliwymi wrzaskami, szybkim krokiem ruszył ku jednemu z należących do gości ślizgaczy. Wskoczył bezpiecznie do środka, nacisnął płytkę startową i zaklął. Oczywiście panele kontrolne pojazdów zaprogramowano tak, by reagowały tylko na linie papilarne właściciela.

Następnym, który się zjawił był Jad Rakkis. Kress podbiegł do niego natychmiast, gdy Rakkis wysiadł ze ślizgacza i złapał go za ramię.

- Wsiadaj z powrotem, szybko - powiedział, popychając nowo przybyłego. - Zabierz mnie do miasta. Pospiesz się, Jad. Uciekajmy stąd!

Ale Rakkis tylko wybałuszał na niego oczy, nie ruszając się z

miejsca.

- Dlaczego? Co się stało, Simon? Nic nie rozumiem. Co z twoim przyjęciem?

A potem było już za późno, gdyż piasek wszędzie wokół zaczął się poruszać, spoglądały na nich czerwone oczy i tępo szczękały szczypce. Rakkis wydał zduszony okrzyk i chciał wskoczyć do ślizgacza. Para szczypiec zacisnęła się na jego kostce i nagle Rakkis opadł na kolana. Piasek zdawał się wrzeć podziemną aktywnością. Jad zwalił się jak worek. Wrzeszczał przeraźliwie, gdy piaseczniki rozszarpywały go na kawałki. Kress niemal nie mógł na to patrzeć.

Po tym wydarzeniu Kress już nie próbował uciekać. Gdy było po wszystkim, osuszył resztę zapasów z barku, upijając się do utraty przytomności. Wiedział, że ostatni raz cieszy się tego typu luksusem. Jedyne alkohol, jaki jeszcze został, znajdował się w piwnicy.

Kress nie zjadł ani kęsa przez cały dzień, zasypiał jednak całkiem syty, okropny głód zniknął bez śladu. Zanim zmory senne wzięły go w swe posiadanie, zastanawiał się jeszcze przez chwilę, kogo mógłby zaprosić jutro.

Ranek był suchy i gorący. Kress otworzył oczy i zobaczył, że na szafie znowu czeka piasecznik. Zacisnął powieki, mając nadzieję, że gdy je ponownie otworzy, sen wreszcie go opuści. To nie był sen. Kress zapatrzył się tępym wzrokiem na białego potworka.

Gapił się tak niemal pięć minut, zanim wreszcie zaświtała mu myśl, iż coś jest nie w porządku. Piasecznik się nie ruszał.

Oczywiście piaseczniki potrafiły trwać w bezruchu, czasem jakby nadnaturalnym. Tysiące razy widział, jak umiały czekać i obserwować. Zawsze jednak coś można było dostrzec - zaciśnięcie szczypiec, skurcz nóg, drżenie i falowanie długich, delikatnych czułek. Natomiast piasecznik na szafie sprawiał wrażenie skamieniałego.

Kress wstał, wstrzymując dech, nie ośmielając się nawet wzbudzić w sobie nadziei. „Czyżby robal był martwy? Czy to możliwe, aby coś go zabiło?”.

Przeszedł na drugą stronę pokoju.

Oczy piasecznika były szkliste i czarne. Insekt wydawał się spuchnięty, jakbygnił od wewnątrz, a wyzwalające się gazy rozpychały płyty pancerza.

Kress dotknął go drżącą ręką.

Piasecznik był ciepły - nawet gorący - i jego temperatura ciągle się podnosiła. Ale nawet nie drgnął.

Kress odsunął dłoń, a za nią odpadła, jakby ją dotychczas podtrzymywał, część białego egzoszkieletu. Odślonięta skóra również była biała, lecz wyglądała na mniej twardą. Opuchnięta i rozpalona gorączką zdawała się pulsować.

Kress wycofał się i wybiegł z pokoju.

W holu leżały trzy następne piaseczniki. Wyglądały tak samo jak ten, którego znalazł w sypialni.

Gnając w dół schodów, musiał przeskakiwać przez rozrzucone na stopniach białe kształty. Żaden z nich się nie poruszał. Zalegały w całym domu, martwe, zdychające, pogrążone w letargu... Kressa nie obchodziło, co się z nimi stało. Najważniejsze, że nie mogły się ruszać.

W swoim ślizgaczu znalazł cztery. Wyjął je po kolei i odrzucił. Najdalej, jak mógł. Przekląte potwory. Wskoczył do środka, usadowił się na pociętym, na wpół zjedzonym fotelu i nacisnął płytkę startową.

Nic.

Znów spróbował. I jeszcze raz. Nic. To nie było w porządku. To był przecież jego ślizgacz, powinien wystartować. Kress nie rozumiał, dlaczego miałby nie wystartować.

W końcu wyszedł na zewnątrz i obejrzał pojazd, oczekując najgorszego. Nie zawiódł się. Piaseczniki porozrywały siatkę antygrawitacyjną. Był w pułapce. Nadal był w pułapce.

Osowiały, powlókł się z powrotem do domu. Zajrzał do swego domowego muzeum i zdjął ze ściany zabytkową siekierę, wiszącą tuż obok miecza, tego samego, który kiedyś wypróbował na Cath m'Lane. Zabrał się do pracy. Piaseczniki nie poruszały się nawet wtedy, gdy rozrąbywał je na kawałki. Przy pierwszym uderzeniu odwłoki nieruchomych robali, prawie wybuchając, bryzgały na wszystkie strony obrzydliwą mazią. Wnętrznosci wyglądały jeszcze gorzej; dziwaczne na pół uformowane narządy, kleista, czerwona breja - niemal przypominająca ludzką krew - oraz żółta posoka.

Unicestwił ich już około dwudziestu, zanim uświadomił sobie daremność tego, co robi. Przecież one były nieważne. A poza tym było ich tak strasznie dużo. Mógłby pracować cały dzień i całą noc i jeszcze wszystkich by nie zabił.

Musi zejść na dół, do piwnicy i użyć siekiery przeciwko mamce.

Zdecydowanym krokiem ruszył w dół schodów. Gdy drzwi piwnicy znalazły się w zasięgu jego wzroku, zatrzymał się jak wmurowany.

Drzwi już nie istniały. Ściany wokół nich zostały wyżarte, otwór stał się dwukrotnie większy i okrągły. Jama i nic ponadto. Nie pozostał nawet ślad, świadczący, że nad tą czarną otchłanią znajdowały się kiedykolwiek jakieś drzwi.

Z otworu wydobywał się ohydny, duszący smród.

A ściany były wilgotne, zakrwawione, pokryte plamami białego grzyba.

A najgorsze było to, że oddychały.

Kress stał po przeciwnej stronie pomieszczenia i poczuł, jak owiewa go gorący podmuch, wydech dławiący go niemiłosiernie.

Gdy tylko ten wyziew zawrócił, uciekł.

W salonie zabił jeszcze trzy piaseczniki i już całkowicie upadł na duchu. Co tu się działo? Nic z tego nie pojmował...

Potem przypomniał sobie jedyną osobę, która mogła to rozumieć. Znow podszedł do konsoli łączności, depcząc w pośpiechu po piasecznikach i modląc się żarliwie, by urządzenie było jeszcze sprawne.

Gdy Jala Wo się odezwała, Kress, już zupełnie załamany, opowiedział jej wszystko.

Pozwoliła mu mówić. Nie przerywała. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć, może tylko lekko marszczyła brwi. Gdy skończył, lakonicznie oznajmiła: - Powinnam pana tam zostawić.

Kress wybuchnął płaczem.

- Nie może pani... Proszę mi pomóc. Zapłacę...

- Powinnam - powtórzyła - ale tego nie zrobię.

- Dziękuję - wymamrotał Kress. - Och, dziękuję...

- Cicho. Niech pan mnie posłucha. Wszystko to pańskie dzieło. Dobrze traktowane piaseczniki są tylko rytualnymi, nadwornymi wojownikami. Pan, torturami i głodem, zmienił swoje w coś zupełnie innego. Był pan ich bogiem i pan je ukształtował w to, czym są teraz. Mamka w pańskiej piwnicy jest chora, ciągle cierpi z powodu rany, którą pan jej zadał. Prawdopodobnie jest obłąkana. Jej zachowanie jest... niezwykle. Musi pan stamtąd jak najszybciej uciekać. Piaseczniki nie są martwe, Kress. Są uśpione. Mówiłam panu, że gdy urosną, ich egzoszkielet odpada. Normalnie dzieje się to znacznie wcześniej, nie słyszałam nigdy o piasecznikach, które by w stadium owadopodobnym osiągnęły tak wielkie rozmiary. To prawdopodobnie jeszcze jeden skutek okaleczenia mamki. Ale to jest nieważne. Ważna jest natomiast przemiana, którą one w tej chwili przechodzą. Widzi pan, mamka w miarę wzrostu staje się również

coraz inteligentniejsza. Jej zdolności psioniczne ulegają wzmocnieniu, umysł staje się subtelniejszy, bardziej ambitny. Opancerzeni wojownicy są przydatni, gdy jest mała i półświadoma. Potem już potrzebuje lepszych sług, ciał dysponujących większymi możliwościami. Rozumie pan? Wszystkie ruchome osobniki przepoczwarzają się i wydadzą na świat nowy rodzaj piaseczników. Nie wiem właściwie, jak one będą wyglądały. Każda mamka sama określa ich wygląd, dostosowując go do swych potrzeb i pragnień. Na pewno będą jednak dwunogie, z czterema rękoma i dłońmi o przeciwstawnych kciukach. Będą zdolne do konstruowania skomplikowanych maszyn i posługiwania się nimi. Poszczególne osobniki nie będą posiadały inteligencji. Ale za to mamka będzie bardzo, bardzo inteligentna.

Kress gapił się szeroko otwartymi oczyma na wypełniającą ekran twarz.

- Pani robotnicy - wykrztusił z wysiłkiem - ci, którzy tu wtedy byli... którzy instalowali pojemnik...

Jala Wo zdobyła się na błądy uśmiech.

- Shade - powiedziała.

- Shade jest piasecznikiem - powtórzył drętwą Kress. - I sprzedaliście mi jego... jego dzieci, och...

- Niech pan nie plecie bzdur. Piasecznik w pierwszym stadium rozwoju jest bardziej podobny do plemnika niż do dziecka. W naturalnych warunkach wojny kontrolują ich rozrost, ich liczebność. Tylko jeden na sto osiąga drugie stadium. Tylko jeden na tysiąc - trzecie i ostatnie, i staje się taki jak Shade. Dorosłe piaseczniki nie darzą małych mamek specjalnym sentymentem. Jest ich zbyt wiele, a ich owadopodobni ruchomi są jak plaga... - Westchnęła. - Cała ta rozmowa zżera czas. Biały piasecznik wkrótce się ocknie. Nie będzie pan mu już potrzebny, a nienawidzi pana i jest bardzo głodny.

Przemiana jest bardzo wyczerpująca. Zarówno przedtem, jak i potem mamka powinna mieć zapewnioną ogromną ilość pożywienia. A więc musi pan stamtąd uciekać. Zrozumiał pan?

- Nie mogę - jęknął Kress. - Mój ślizgacz jest zniszczony, a żadnego z pozostałych nie potrafię uruchomić. Nie wiem, jak je przeprogramować. Czy może pani po mnie przylecieć?

- Tak - odpowiedziała Wo. - Wyruszymy natychmiast, oboje, ale z Asgardu do pana jest dwieście kilometrów, a poza tym musimy wziąć ekwipunek, potrzebny do uporania się z tymi zdegenerowanymi piasecznikami, które pan stworzył. Pan nie może tam na nas czekać. Ma pan nogi. Niech pan z nich skorzysta. Proszę iść na wschód, możliwie dokładnie na wschód. I możliwie jak najszybciej. Tamtejsza okolica jest niemal zupełnie pusta, odnajdziemy pana z łatwością. No i... im dalej znajdzie się pan od swoich piaseczników, tym będzie pan bezpieczniejszy. Zrozumiał pan?

- Tak - krótko odparł Kress. - Tak, tak.

Rozłączyli się i Kress popędził w stronę drzwi. Był w połowie drogi, gdy usłyszał jakiś dźwięk, coś pośredniego między pęknięciem a rozdarciem.

Jeden z piaseczników otworzył się. Ze szczeliny wysunęły się cztery małe, wymazane różowo-żółtą cieczą rączki i zaczęły rozrywać martwą skórę.

Kress błyskawicznie ruszył biegiem.



Nie wziął pod uwagę upału.

Wzgórza były suche i skaliste. Kress biegł tak szybko, jak potrafił, byle dalej od domu. Biegł, aż rozboleły go żebra i już nie mógł złapać

oddechu. Potem szedł, ale gdy tylko trochę odpoczął, znów puścił się biegiem. Przez blisko godzinę szedł i biegł na przemian, szedł i biegł pod palącymi promieniami jaskrawego słońca. Pocił się obficie i żałował, że nie pomyślał o tym, by wziąć ze sobą trochę wody. Co chwilę wpatrywał się w niebo w nadziei, że zobaczy Wo i Shade'a, nadlatujących, by go zabrać.

Nie był stworzony do takiej wędrówki. Było zbyt gorąco i zbyt sucho, a on zawsze miał słabą kondycję. Ale maszerował naprzód, gnany wspomnieniem tego wydechu, tam, w piwnicy i myślą o wijących się, małych potworkach, które do tej pory na pewno rozpełzły się po całym domu. Żywił nadzieję, że Wo i Shade będą umieli sobie z nimi poradzić.

Ułożył już plany dotyczące tej pary. Zdecydował, że to wszystko ich wina i że muszą za nią odpokutować. Lissandra nie żyła, ale on znał jeszcze innych, którzy parali się tym samym rzemiosłem. Zemści się. Przyrzekał to sobie dziesiątki razy, pocąc się i wyteżając siły, by iść naprzód, ciągle na wschód.

Przynajmniej miał nadzieję, że zmierza na wschód. Nie potrafił dokładnie ustalać kierunków, a poza tym nie był pewny, w którą stronę uciekał na początku, gdy ogarnęła go panika. Niemniej od chwili, gdy się opanował, starał się stosować do rady Wo i iść w stronę, która wydawała mu się wschodem.

Ucieczka trwała już kilka godzin, a pomoc wciąż nie nadchodziła. Kress powoli utwierdzał się w przekonaniu, że mimo wszystko obrał zły kierunek.

Gdy minęło kilka następnych godzin, zaczął się bać. A jeśli Wo i Shade nie zdołają go odnaleźć? Umrze na tym pustkowiu. Nie jadł od dwóch dni, był słaby i wystraszony, a gardło miał zdrewniałe z braku wody. Za chwilę nie będzie mógł iść dalej - słońce chyliło się ku zachodowi, a w ciemnościach już całkiem się pogubi. Dlaczego oni

się nie pojawiają? Może jednak piaseczniki ich zjadły? Strach znów do niego powrócił, wypełnił go, a wraz z nim ogromne pragnienie i straszliwy głód. Lecz nadal szedł. Potykał się. Dwukrotnie się przewrócił. Za drugim razem o kamienie skaleczył rękę i rana wciąż krwawiła. Ssał ją, martwiąc się możliwością infekcji.

Za jego plecami słońce dotknęło horyzontu. Zrobiło się trochę chłodniej i Kress był za to wdzięczny. Zdecydował się iść aż do zapadnięcia zupełnych ciemności, a potem przycupnąć gdzieś na noc. Z pewnością oddalił się już na tyle, by nie obawiać się piaseczników, a Wo i Shade na pewno znajdą go, skoro tylko wstanie świt.

Gdy wdrapał się na szczyt kolejnego wzniesienia, zobaczył przed sobą zarys budynku. Nie był on tak wielki, jak jego dom, ale dostatecznie duży. Oznaczał dach nad głową, bezpieczeństwo. Kress krzyknął i pobiegł w jego kierunku. Jedzenie i picie... Skręcało go z głodu. Musi coś zjeść, już teraz czuł w ustach smak potraw. Gnał w dół wzgórza, wymachując rękoma i krzycząc. Było już niemal zupełnie ciemno, ale jeszcze mógł dostrzec sylwetki kilkorga bawiących się przed domem dzieci.

- Pomocy! - krzyknął. - Hej, pomocy! - Ruszyły biegiem w jego stronę. Zatrzymał się gwałtownie. - Nie - powiedział. - Och, nie.

Cofnął się kilka kroków, pośliznął na piasku, wstał i próbował uciekać. Złapały go z łatwością. Były upiornymi, małymi stworzeniami o wyłupiastych oczach i ciemnopomarańczowej skórze. Próbował się wyrwać, daremnie. Były niewielkie, ale każde miało cztery ręce, a Kress tylko dwie.

Poniosły go w stronę domu. Była to smutna, nędzna budowla, sklecona z już obsypującego się piasku, ale drzwi do niej okazały się całkiem duże. I ciemne. I oddychały. To było straszne, ale nie to wyrwało z gardła Kressa wrzask przerażenia. Wrzeszczał z powodu małych, pomarańczowych dzieci, które wypełzały ze środka i

przyglądały mu się beznamiętnie, gdy je mijał.
Wszystkie miały jego twarz.

Przełożył Darosław J. Toruń

Harry Turtledove

DROGA NIETYBRANA

Harry Turtledove (ur. 1949) to główny współczesny propagator idei światów alternatywnych w fantasy i SF. W licznych opowiadaniach i jeszcze liczniejszych powieściach przedstawia niezgodne ze znaną historią rozstrzygnięcia przełomowych wydarzeń bądź rozważa, jakie byłyby konsekwencje wcześniejszego lub późniejszego pojawienia się znaczących osiągnięć technicznych. W sposób szczególny traktuje historię, uważa ją za siłę mającą wpływ na najdrobniejsze nawet przejawy życia, a jego bohaterowie kształtowani są przez alternatywną rzeczywistość. W opowiadaniach zebranych w tomie „Agent of Byzantium” (1987) ukazuje konsekwencje nawrócenia Mahometa na chrześcijaństwo - świat bez arabskich imperiów. W tym samym roku wydano także „Zaginiony legion”, pierwszy tom cyklu „Videssos” - o przygodach rzymskich legionistów przeniesionych w świat rządzący się magicznymi prawami; łącznie ukazało się jedenaście tomów. Od tego czasu Turtledove zajmuje się analizą wydarzeń historycznych zmodyfikowanych w wyniku manipulacji z zewnątrz. Jego ambitny cykl „Wojna światów” - obejmujący tomy: „Wojna światów: W równowadze” (1994), „Tilting the Balance” (1995), „Striking the Balance” (1996), „Upsetting the Balance” (1996) - ukazuje alternatywną wersję drugiej wojny światowej; niespodziewana inwazja kosmiczna doprowadza w 1942r. do zawarcia sojuszu przez państwa osi i aliantów. W kontynuacji (trylogia „Colonization”:

„Second Contact”, 1999, „Down to Earth”, 2000 i „Aftershocks”, 2001) na Ziemię dociera flota Obcych, kolonistów. „Homeward Bound” (2004), w którym Obcy postanawiają zlikwidować Ziemię, to zapewne początek nowej trylogii... W „Guns of the South” (1992) podróżujący w czasie bohaterowie dostarczają konfederatom broń przyszłości, niezbędną do zwycięstwa w wojnie secesyjnej. Drugą wojnę secesyjną (w 1881r.) opisuje powieść „How Few Remain” (1997). Kontynuacja, trylogia „The Great War” - „American Front” (1998), „Walk in Hell” (1999) i „Breakthrough” (2000) - ukazuje ciągnący się aż do XX wieku konflikt między Stanami Zjednoczonymi i Konfederacją: w pierwszej wojnie światowej strony ponownie stają przeciwko sobie. Dalszy ciąg, trylogia „The American Empire”, rozciąga się w czasie do zdobycia władzy przez przywódcę Konfederacji, który stał się amerykańskim odpowiednikiem Hitlera („Blood and Iron”, 2001, „The Center Cannot Hold”, 2002, i „The Victorious Oposition”, 2003). Tetralogia „Settling Accounts” opisuje wybuch alternatywnej drugiej wojny światowej, wywołanej przez podstępny atak faszystowskiej Konfederacji (CSA) na USA (czyli stany Unii): „Return Engagement” (2004) i „Drive to the East” (2005) oraz dwa tomy w przygotowaniu. Turtledove jest także współredaktorem antologii „Alternate Generals” (1998). Wśród jego licznych książek znalazły się także zbiory opowiadań: „Kaleidoscope” (1990), „Departures” (1993) i „Counting Up, Counting Down” (2002), powieści SF („Noninterference”, 1988, kontakt z inną cywilizacją w głębi Galaktyki; „A Different Flesh”, 1988, alternatywna Ameryka jest zamieszкана przez wywodzące się od pitekantropów hominidy, które okazują się znakomitym materiałem na niewolników dla białych przybyszów z Europy; „A World of Difference”, 1989, w alternatywnej rzeczywistości dwie ekspedycje, sowiecka i amerykańska, ruszają na Minerwę, odpowiednik Marsa; „Earthgrip”, 1991, bohaterka

wykorzystuje znajomość dwudziestowiecznej SF, pomagając obcym cywilizacjom w rozwiązywaniu problemów), humorystyczna fantazy „The Case of the Toxic Spell Dump” (1993, z którą powiązana jest historyczna fantazy „Between the Rivers”, 1998, dziejąca się w Mezopotamii) i sześciotomowy cykl „Into the Darkness” (1999-2004) - epickie opowieści o świecie Derlavai, w którym toczą się apokaliptyczne wojny, a walczący wykorzystują magię jako broń (autor miesza elementy dwóch wojen światowych). Inny cykl fantazy to „Empire of Elabon” obejmujący tetralogię „Gerin the Fox”, której bohater walczy przeciwko Imperium Elabonu, odpowiednikowi imperium rzymskiego („Werenight”, 1994, „Prince of the North”, 1994, „King of the North”, 1996 i „Fox and Empire”, 1997), a także trylogię „War Between the Provinces” („Sentry Peak”, 2000, „Marching Through Peachtree”, 2001 i „Advance and Retreat”, 2002). Najnowsze cykle Turtledove’a to: „Crosstime Traffic” dla starszych dzieci („Gunpowder Empire”, 2003, „Curious Notions”, 2004 i „In High Places”, 2005), który dzieje się w XXI w. w świecie, w którym nie upadło Cesarstwo Rzymskie. Ostatni cykl, „Days of Infamy” (t. I „Days of Infamy”, 2004, t. II „The End of the Beginning”, 2005), rozpoczyna się od japońskiej inwazji na Pearl Harbor i Hawaje. Turtledove napisał także: „Conan of Venarium” (2003), „In the Presence of My Enemies” (2003, świat sześćdziesiąt lat po zwycięstwie Hitlera, w którym USA są państwem zależnym od Niemiec i szykuje się wojna z Japonią), „The Two Georges” (1995, z Richardem Dreyfussem, świat alternatywny, imperialne Stany podlegają Anglii, a rządzi nimi namiestnik Martin Luther King), „Ruled Britannia” (2002, alternatywa historyczna, Hiszpanie rządzą Wielką Brytanią, a Lope de Vega śledzi Szekspira podejrzanego o udział w spisku antyrządowym), „Down in the Bottomlands (and Other Places)” (1999, prequel i sequel do novelli L. Sprague de Campa, alternatywy „The

Wheels of If).

Gdy „Nieposkromiony” wyszedł z hipernapędu, kapitan Togram korzystał akurat z nocnika. Roxolańskiego oficera zemdliło, co ostatnio zdarzało mu się zbyt często. Chwycił nocnik i zwymiotował.

Kiedy spazm minął, kapitan odstawił naczynie i otarł oczy miękkim, szarobrazowym futrem na ramieniu.

- Oby bogowie ich pokarali! - wybuchnął. - Dlaczego kapitanowie statków zawsze robią to bez ostrzeżenia?

Kilku jego żołnierzy poparło go jędrniejszymi słowami.

W tej samej chwili w drzwiach ukazał się posłaniec.

- Znowu jesteśmy w normalnej przestrzeni - pisnął młodzik i puścił się pędem do następnej sali. Ścigały go szydercze okrzyki: „Bez jaj!”, „A to ci nowina!”, „Powiedz sternikom - może się nie połapali!”.

Togram westchnął i podrapał się po pysku, rozdrażniony własnym rozdrażnieniem. Jako oficer miał dawać żołnierzom przykład. Był na tyle młody, że poważnie traktował taką odpowiedzialność, choć służył już na tyle długo, by wiedzieć, że nie należy się spodziewać zbyt wiele od każdego starszego rangą. Stopnie oficerskie trafiały się starej arystokracji i nowobogackim.

Znowu westchnął i wcisnął nocnik w niszę. Metalowa pokrywka niezbyt dobrze tłumiła smród. Po szesnastu dniach w przestrzeni kosmicznej „Nieposkromiony” cuchnął nieczystościami, nieświeżym jedzeniem i jeszcze bardziej nieświeżymi ciałami. Nie lepiej było na innych statkach roxolańskiej floty - w ogóle na wszystkich statkach. Tak po prostu wygląda międzygwiazdna podróż. Smród i ciemności wliczone w cenę, którą żołnierze płacą za rozrost królestwa.

Togram wziął latarnię i potrząsnął nią, by obudzić zamknięte w niej świetliki. Przestraszone, błysnęły srebrem. Niektóre rasy

oświetlały swoje statki pochodniami lub świeczkami, ale świetliki zużywały zdecydowanie mniej powietrza, choć nie dawały stałego blasku.

Togram, na wszelki wypadek, dopóki jeszcze miał światło, sprawdził broń. Cztery pistolety zawsze miał nabite i gotowe do strzału; kiedy rozpocznie się manewr lądowania, jedna para znajdzie się za pasem, druga w cholewach butów. Bardziej martwił się o rapier. Wiecznie wilgotne powietrze na statku nie wpływało dobrze na klingę. I rzeczywiście, znalazł na niej plamkę rdzy.

Polerując ostrze, zastanawiał się, jaki będzie ten nowy układ słoneczny. Modlił się, żeby planeta nadawała się do zamieszkania. Zanim statek wróci na najbliższą podbitą przez Rokolan planetę, nie będzie na nim czym oddychać. To jeden z elementów ryzyka, na które decydowali się gwiazdni podróżnicy. Niezbyt realny - małe żółte słońca zwykle gromadziły wokół siebie jedną czy dwie nadające się do życia planety - ale jednak istniejący.

Ransisc i jego uczeń Olgren narzekali, jak to zwykle oni, na kiepską jakość szyb, przez które spoglądali przez lunety.

- Przestańcie kwękać - burknął Togram, łypiąc groźnie od progu. - Przynajmniej macie światło.

Jego wzrok, od dawna przyzwyczajony do drgającego słabego światła świetlikowej latarni, musiał się przez chwilę oswajać z ostrym, jaskrawym światłem słonecznym, które zalewało komorę obserwacyjną.

Rozdrażniony Olgren położył uszy płasko na głowie. Ransisc, starszy i spokojniejszy, dotknął ramienia ucznia.

- Jeśli będziesz się oburzał na wszystkie żarty Tograma, nie starczy ci czasu na nic innego. Łobuz z niego od samego wyklucia. Dobrze mówię, Togram?

- A mów, co chcesz. - Togram lubił tego starszego sternika o

białym pysku. W przeciwieństwie do większości swoich pobratymców, Ransisc nie zachowywał się tak, jakby odpowiedzialna funkcja dawała mu wyjątkowe miejsce w boskim porządku rzeczy.

Olgren nagle zeszywniał; czubek jego krótkiego ogona zadrgał.

- Jest planeta! - krzyknął.

- Zobaczmy - powiedział Ransisc.

Olgren odsunął się od lunety. Obaj sprawdzali kolejno jasne gwiazdy, szukając jakiejś okrążanej przez ciała niebieskie, które okażą się prawdziwymi planetami.

- To planeta - odezwał się w końcu Ransisc - ale nie dla nas. Te żółte, z pierścieniami, zawsze mają trujące powietrze, i jest go zbyt wiele. - Na widok zawiedzionej miny Olgrena dodał: - Ale jeszcze nie wszystko stracone, jeśli poszukamy za nią, może wkrótce znajdziemy inne.

- Może ta - powiedział Togram, wskazując czerwoną gwiazdę o blasku jaśniejszym od innych.

Olgren wymamrotał zrozumiałe, że zna się na tym chyba lepiej niż jakiś amator, ale Ransisc rzucił ostro:

- Kapitan widywał więcej nadających się do zamieszkania planet niż ty, sirrah. Załóżmy, że go posłuchasz.

Olgren ustąpił, zwiesiwszy z rezygnacją uszy.

Potem jego przygnębienie znikło.

- Planeta z zielonymi plamami! - krzyknął.

Ransisc celował lunetą w inną część nieba, ale słysząc to, pospiesznie się odwrócił. Odepchnął ucznia na bok, poprawił ostrość, potem długo spoglądał na powiększony obraz. Olgren przeskakiwał z nogi na nogę i jeżył bure futro, niecierpliwie czekając na werdykt.

- Być może - orzekł starszy sternik, a Olgren się rozpromienił. Dalsze jednak słowa Ransisca zepsuły mu humor. - Nie widzę nic, co

by przypominało otwarty zbiornik wodny. Jeśli nie znajdziemy nic lepszego, spróbujemy, ale jeszcze poszukajmy.

- Uszczęśliwiłeś jednego luofa - powiedział Togram.

Ransisc zachichotał. Rokolanie wieźli ze sobą te małe stworzenia do testowania powietrza nowej planety. Jeśli luof mógł oddychać w śluzie latacza, oznaczało to, że atmosfera jest bezpieczna i dla jego panów.

Gdy kilka kolejnych gwiazd okazało się jedynie świetlnymi punkcikami, sternik warknął z irytacją. Nagle Ransisc znieruchomiał przy lunecie.

- Jest - odezwał się cicho. - Oto, czego szukamy. Chodź tutaj, Olgren.

- O rety, tak - powiedział po chwili uczeń.

- Powiadom Mistrza Wojsk Slevona i spytaj, czy jego urządzenia wykryły jakieś wibracje hipernapędu z wyjątkiem tych spowodowanych przez naszą flotę.

Olgren wybiegł, a Ransisc skinął na Tograma.

- Sam popatrz.

Kapitan piechoty pochylił się nad lunetą. Na czarnym tle przestrzeni kosmicznej świat w wizjerze boleśnie przypominał rokolańską planetę - głęboki błękit oceanów pokryty wirami białych chmur.

Nieopodal wisiał słusznych rozmiarów księżyc. Oba ciała niebieskie były prawdopodobnie w połowie fazy, bliżej gwiazdy niż „Nieposkromiony”.

- Widzisz jakiś ląd? - spytał Togram.

- Spójrz tam, u góry, poniżej pokrywy lodowej. Woda zwykle nie bywa tak brązowa i zielona. Jeśli szukamy w tym układzie planety nadającej się do zamieszkania, to właśnie na nią patrzysz.

Do powrotu Olgrena obaj na zmianę przyglądali się odległej

planecie i usiłowali dokonać jej pobieżnej charakterystyki.

- No i? - spytał Togram, choć jego uczeń wrócił z uszami stojącymi wysoko i radośnie.

- W całym układzie ani śladu emanacji hipernapędu! - Olgren rozpromienił się, a Ransisc i Togram zaczęli go klepać po plecach, jakby to była jego zasługa.

Kapitan uśmiechał się jeszcze szerzej niż Olgren. To będzie łatwizna, a on, jako zawodowiec, w pełni to aprobował. Skoro nikt tutaj nie potrafi skonstruować hipernapędu, to musi oznaczać, że w tym układzie słonecznym albo nie ma inteligentnych istot, albo jego mieszkańcy są jeszcze na prymitywnym stopniu rozwoju - nie znają prochu, lataczy i innych środków z arsenału praktykowanej wśród gwiazd sztuki wojennej.

Zatarł ręce. Nie mógł się już doczekać lądowania.



Buck Herzog się nudził. Po czterech miesiącach spędzonych w przestrzeni kosmicznej i z perspektywą kolejnych pięciu i pół nie było to nic dziwnego. Ziemia, widoczna za Aresem III, wyglądała jak jasna gwiazda, Luna - jak jej bledsza towarzyszka. Przed nim lśnił Mars.

- Kolej na ciebie! - zawołał Art Snyder. Spośród pięciu członków załogi ten był najbardziej natrętny.

- Dobra, Pancho - westchnął Herzog.

Wspiął się na rower i zaczął pedałować, z początku leniwie, potem intensywniej. Ćwiczenia zapobiegały odwapnieniu kości, tak groźnemu w stanie nieważkości. Poza tym zawsze to jakieś zajęcie.

Melissa Ott słuchała wiadomości z domu.

- Wczoraj w nocy zmarł Fernando Valenzuela - odezwała się.
- Kto? - Snyder nie był fanem baseballu.

Herzog tak. W dodatku był Kalifornijczykiem.

- Kiedyś widziałem go na meczu dawnych gwiazd i pamiętam, jak mój ojciec i dziadek o nim ciągle mówili. Ile miał lat, Mel?

- Siedemdziesiąt dziewięć.
- Zawsze był za gruby - powiedział Herzog ze smutkiem.
- Jezu Chryste!

Herzog drgnął. Od czasu startu z amerykańskiej stacji kosmicznej nikt na pokładzie Aresa III nie okazał takiego wzburzenia. Melissa wpatrywała się w ekran radaru.

- Freddie! - ryknęła.

Frederica Lindstrom, pokładowy specjalista od elektroniki, właśnie wyszła z ciasnej kabiny prysznicowej. Rzuciła się do pulpitu, ciągnąc za sobą strumień kropelek wody. Nie zawracała sobie głowy ręcznikiem; skromność od dawna znikła z pokładu Aresa III.

Na krzyk Melissy wychylił się ze swojego małego laboratorium biologicznego, w którym na ogół przesiadywał, Claude Jonnard.

- Co się stało? - krzyknął przez luk.
- Radar diabli wzięli - powiedziała Melissa.

- Jak to diabli wzięli? - zapytał z urazą Jonnard. Należał do tych irytujących osób, które wszystko traktują z drobiazgową precyzją i uważają, że inni też tak robią.

- Na ekranie jest sto, może pięćset obiektów, które nie mają prawa tam być - odparła Frederica Lindstrom, nieco łagodniejszy przypadek tej samej choroby. - Odległość szacuję na parę milionów kilometrów.

- Minutę temu ich tu nie było - dodała Melissa. - wrzasnęłam tuż po tym, jak się pojawiły.

Frederica zajęła się radarem i komputerem. Herzog został na rowerku, czując się całkowicie zbędny; na co komu geolog o milion

kilometrów od skał? Nie zapisze się w podręcznikach historii - nikt nie będzie pamiętać załogi trzeciej ekspedycji donikąd.

Frederica zakończyła kontrolę.

- Nie mogę znaleźć żadnego błędu - powiedziała, zła na siebie i sprzęt.

- Pora powiadomić Ziemię - odezwał się Art Snyder. - Jeśli mam posadzić tę bestię na ziemi, nie będę tolerować radaru kłamczuszka.

Melissa już mówiła do mikrofonu:

- Houston, tu Ares III. Mamy problem...

Nawet przy prędkości światła mieli przed sobą parę ładnych minut oczekiwania. Wlokły się jak żółwie. Kiedy głośnik zachrypiał, wszyscy podskoczyli.

- Ares III, tu kontrola lotów w Houston. Panie i panowie, nie wiem, jak wam to powiedzieć, ale my też ich widzimy.

Głośnik gadał dalej, tyle że nikt go już nie słuchał. Herzog poczuł mrowienie, gdy włosy stanęły mu dęba. Poczuł się bardzo mały. Nigdy nie sądził, że dożyje spotkania ludzkości z obcą rasą.

- Mel, nawiąż z nimi kontakt - rzucił gwałtownie.

Zawahała się.

- No, nie wiem. Może lepiej niech Houston się tym zajmie.

- Pieprzyć Houston! - wybuchnął, zdziwiony własną zaciekłością. - Zanim ci biurokraci wymyślą, co zrobić, będziemy już na Marsie. To my jesteśmy na miejscu. Chcesz się wyrzec najważniejszej chwili w historii gatunku?

Melissa popatrzyła na twarze członków załogi i to, co zobaczyła, musiało jej wystarczyć, bo zmieniła położenie anteny i zaczęła mówić:

- Tu jednostka kosmiczna Ares III, wzywam nieznane statki. Mieszkańcy Ziemi was witają. - Na chwilę wyłączyła nadajnik. - Ile mamy języków?

Wezwanie zostało wyemitowane po rosyjsku, mandaryńsku, japońsku, francusku, niemiecku, hiszpańsku, nawet po łacinie. („Kto wie, kiedy ostatnio tu byli?”, wyjaśniła Frederica, kiedy Snyder dziwnie na nią spojrzał).

Jeśli oczekiwanie na odpowiedź z Ziemi się dłużyło, tym razem było dużo gorzej. Pauza trwała znacznie dłużej niż piętnaście sekund przekazu z prędkością światła.

- Nawet jeśli nie mówią naszymi językami, chyba powinni się jakoś odezwać? - rzuciła Melissa w pustkę.

Pustka nie odpowiedziała, podobnie jak Obcy.

Potem obce statki kolejno śmignęły ku słońcu, ku Ziemi.

- Mój Boże, co za przyspieszenie! - powiedział Snyder. - To nie są rakiety. - Nagle się zawstydził. - Na statkach kosmicznych chyba nie ma rakiet, co?

Ares III wisiał samotnie w swojej części przestrzeni, nieubłaganie sunąc trajektorią Hohmanna ku Marsowi. Buck Herzog był bliski łez.



Jak to było w zwyczaju, rozołańskie statki zebrały się wokół tego bieguna nowej planety, który sąsiadował z największym obszarem lądu. Wszystkie miały wylądować w tym samym miejscu, dzięki czemu ciągle pozostawały w swoim polu widzenia. Wkrótce brakowało już tylko czterech. Statek zwiadowczy pomknął na drugi biegun, odnalazł je i sprowadził.

- Za każdym razem trafiają się jacyś wielbicielowie wody - uśmiechnął się Togram, który przyniósł te wieści sternikom. Wykorzystywał każdą okazję, by zajrzeć do ich kopuły, nie tylko z powodu słonecznego światła, lecz także dlatego, że w przeciwieństwie do

wielu żołnierzy interesowały go planety jako takie. Gdyby miał głowę do rachunków, sam mógłby zostać sternikiem.

Nieźle sobie radził z piórem i papierem, więc Ransisc i Olgren chętnie pozwalali mu notować swoje obserwacje i uzupełniać mapy.

- Śmieszna planeta - zauważył. - Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby na ciemnej stronie było tyle płonących lasów albo wulkanów.

- Nadal uważam, że to miasta - oznajmił Olgren, rzucając Ransiscowi wyzywające spojrzenie.

- Za duże i za jasne - wyjaśnił cierpliwie starszy sternik; najwyraźniej spierali się o to od jakiegoś czasu.

- To twoja pierwsza pozaplanetarna wyprawa, co, Olgren? - spytał Togram.

- No i co z tego?

- Nie masz doświadczenia. W Egelloc na Rołolanie mieszka ponad milion osób, a z przestrzeni kosmicznej w nocy go nie widać. I w ogóle nie może się równać ze światłami na tej planecie. Pamiętaj, tu panują prymitywne warunki. Przyznaję, przypomina to ślady inteligentnych form życia, ale jak rasa, której nawet nie zaświtała w głowie myśl o hipernapędzie, mogłaby zbudować miasta dziesięć razy większe od Egelloc?

- Nie wiem - burknął Olgren. - Ale z tego, co mi się udaje dojrzeć przy świetle księżyca, widzę, że te światła znajdują się w miejscach dogodnych do zbudowania miast - na wybrzeżach, w pobliżu rzek i tak dalej.

Ransisc westchnął.

- No i co z nim zrobić? Jest przekonany, że wie wszystko. Nie chce słuchać doświadczonych. Ty też taki byłeś za młodu?

- Dopóki się nie wypierzyłem. Nie ma sensu się tak ekscytować. Wkrótce wylądują latacze z luofami, a wtedy się okaże. - Stłumił śmiech i nagle spoważniał. Żałował, że za młodu nie był tak

łatwowierny jak Olgren.

- Mam jeden z tych obcych statków na radarze - zaraportował pilot SR-81. - Osiągnął pułap 80 000 metrów i schodzi niżej. - Sam znajdował się na najwyższym operacyjnym pułapie swojego samolotu, ledwie w połowie drogi do wchodzącego w atmosferę statku.

- Na Boga, wstrzymaj ogień - rozkazała kontrola naziemna.

Wbili mu to do głowy jeszcze przed startem, ale grube ryby nie zamierzały pozwolić mu zapomnieć. Nawet nie mógł mieć do nich pretensji. Wystarczy jeden skory do wojaczki idiota, żeby doprowadzić do ostatecznej zagłady ludzkości.

- Zaczynam otrzymywać obraz - powiedział, zerkając na ekran. Po chwili dodał: - Cholernie śmieszny statek, już teraz to widzę. Gdzie skrzydła?

- My też mamy ich na wizji - odpowiedział oficer z kontroli naziemnej. - W jednostkach wykorzystywanych w atmosferze muszą mieć tę samą technologię co w statkach kosmicznych: jakaś antygravitacja, która umożliwia jednocześnie unoszenie się i napęd.

Obcy statek wciąż nie zwracał uwagi na SR-81, tak jak i na wysyłane do Obcych wiadomości z Ziemi. Nadal powoli schodził do lądowania, a pilot S-81 krążył poniżej w nadziei, że nie będzie musiał zrobić przerwy na uzupełnienie zapasów paliwa.

- Jedna wątpliwość wyjaśniona - powiadomił Ziemię. - To samolot uzbrojony.

Żadna jednostka przeznaczona do działań pokojowych nie miałaby wymalowanych na pancerzu takich wytrzeszczonych oczu i wyszczerzonego pyska pełnego kłów. Niektóre statki obrony naziemnej sił powietrznych USA nosiły podobne rysunki.

W końcu Obcy zrównali się z czekającym beczynnie SR-81. Pilot jeszcze raz wezwał Ziemię:

- Proszę o pozwolenie przemieszczenia się przed jednostką powietrzną! Może wszyscy tam posnęli... tobym ich obudził.

Po długim milczeniu kontrola naziemna niechętnie, ale udzieliła zgody.

- Tylko żadnych wrogich gestów - ostrzegła.

- Co wy sobie myślicie, że się na nich wypnę? - wymamrotał pilot, ale przy wyłączonym nadajniku.

Przyspieszenie wcisnęło go w fotel; wprowadził SR-81 w długi, powolny manewr skręcający, który wyniósł go około pół kilometra przed jednostką floty kosmicznej.

Pokładowa kamera na moment ukazała mu pilota Obcych, widocznego za małym, brudnym okienkiem.

Stworzenie z gwiazd także go zobaczyło, co do tego nie było wątpliwości. Obcy podskoczył bowiem jak spłoszony jeleń i wykonał manewr, który rozsmarowałby pilota SR-81 o ściany kabiny, gdyby w ogóle był możliwy do wykonania przez jego samolot.

- Ruszam w pościg! - krzyknął pilot.

Kontrola zaczęła się wydzierać, ale to przecież on był obecny na miejscu zajścia. Szarpnęło nim tak, że poprzednie przyspieszenie wydało mu się pieszczotą.

Dzięki bardziej opływowym kształtom jego samolot był szybszy od gwiazdnego statku, ale nie na wiele się to przydało. Za każdym razem, gdy pilot Obcych go zauważał, bez najmniejszego trudu umykał. Pilot SR-81 miał wrażenie, że ugania się z siekierą za motylkiem. W dodatku, o rozpacz, włączył się wskaźnik pustego baku. Samolot zaprojektowany był z myślą o rzadkiej atmosferze, nie o coraz gęstszym powietrzu, w które schodził statek Obcych. Pilot zaklął, ale musiał dać za wygraną.

SR-81 chłeptał ze zbiornika, a pilot nie mógł przestać rozmyślać o

tym, co by się mogło wydarzyć, gdyby wystrzelił. Parę razy trafiła mu się doskonała okazja. Tę myśl zachował jednak dla siebie. Nawet nie chciał sobie wyobrazić, jak zareagowaliby zwierzchnicy, gdyby się o tym dowiedzieli.



Żołnierze stłoczyli się wokół Tograma, który wrócił z narady oficerów.

- I co, kapitanie? Luof przeżył? Jak tam jest?

- Przeżył, chłopcy! - odpowiedział Togram z szerokim uśmiechem.

Jego kompania wzniosła okrzyk, który poniósł się grzmiącym echem przez baraki.

- Schodzimy! - wrzasnęli.

Uszy zastrzygły czujnie. Niektórzy żołnierze rzucili kapelusze z piórami wysoko w cuchnące powietrze, inni, dzielając pogląd kapitana, wrócili do swoich pryczy i zaczęli sprawdzać broń.

- Ciężko będzie? - spytał przechodzącego Tograma weteran o szarym futrze, niejaki Ilingua. - Słyszałem, że pilot latacza widział coś dziwnego.

Togram uśmiechnął się szerzej.

- Na niebiosa i piekła, nie masz dość doświadczenia, żeby nie słuchać plotek przed lądowaniem?

- Obym miał, ale te są tak dziwne, że może coś w nich jest.

Togram nie odpowiedział. Żołnierz pokręcił głową nad własną głupotą i potrząsnął latarnią, by w świetle sprawdzić sztylet.

Kapitan wypuścił wstrzymywane powietrze, starając się to zrobić jak najdyskretniej. Sam nie wiedział, w co wierzyć. Jak to możliwe, że tubylcy mają latające pojazdy, skoro nie znają antygravitacji?

Togram słyszał o rasie, która wykorzystywała balony napełniane gorącym powietrzem, dopóki nie wpadła na lepszy pomysł, ale żaden balon nie osiągnąłby wysokości, na której spotkali miejscowego latacza, i żaden balon nie mógłby zmienić kierunku lotu, przy czym stanowczo upierał się pilot.

Należy założyć, że się pomylił. Musiał. Ale jak się pogodzić z jego relacją o miastach tak wielkich jak te, których ewentualne istnienie Ransisc wyśmiewał, lub o świecie tak zaludnionym, że nie zostało w nim wiele wolnej przestrzeni? A sygnały latarni z innych statków wskazywały, że piloci-zwiadowcy donieśli o takich samych nieprawdopodobnych odkryciach.

No, na dłuższą metę nie jest ważne, czy tubylcy są liczni jak reffo na pikniku. Cóż, więcej będzie poddanych dla Roxolan.



- Całkiem niepotrzebne - powiedział Billy Cox do wszystkich w zasięgu wzroku. Zrzucił worek na ramię i poczłapał do czekającej ciężarówki. - Powinniśmy witać przybyszów kwiatami, nie bronią.

- Taa, idź im to powiedz, profesorze - roześmiał się za jego plecami sierżant Santos Amoros. - Osobiście też wolałbym siedzieć na tyłku w miłym, klimatyzowanym baraku, zamiast smażyć się w smogu i słońcu Los Angeles. Cholernie szkoda, że jesteś tylko wojakiem. Jakbyś był prezydentem, tobyś wydawał rozkazy, jakie tylko byś chciał, a tak to je musisz wykonywać.

Cox uznał, że to niesprawiedliwe. Do dyplomu z nauk polityczno-społecznych zostało mu jeszcze tylko parę semestrów, kiedy wielka mobilizacja po drugim syriańskim kryzysie wessała go do armii.

Ciężarówka się wypełniła. Wielki diesel ożył i warknął. Czarny

żołnierz wyjął talię i oświadczył, że z dwudziestu pięciu kart potrafi wyciągnąć pokera. Parę kotów przyjęło zakład. Cox już się dowiedział - sporo go to kosztowało - że tego zakładu nie da się wygrać. Czarny z uśmiechem podał swojej ofierze talię do potasowania.

Trrrr! Szelest kart zabrzmiał tak fachowo, że wszyscy odwrócili głowy.

- Gdzieś ty się tak nauczyłeś obchodzić z kartami, człowieku? - spytał czarny żołnierz, który miał na imię Jim, ale wszyscy wołali na niego Junior.

- Byłem krupierem w Vegas.

Trrrr!

- E, Junior! - zawołał Cox. - Nagle zachciało mi się dziesięć dolców z twojej wygranej.

- Ja ciebie też - odparł Junior, ponuro przyglądając się kartom, które poruszały się, jakby żyły własnym życiem.

Ciężarówka toczyła się na północ, jedna z wielu w konwoju furgonetek, TIR-ów i lekkich czołgów ciągnącym się na przestrzeni wielu kilometrów. Cały pułk zmierzał do Los Angeles, gdzie miał zostać rozdzielony wśród kompanii w różnych częściach tego rozległego miasta. Cox był z tego zadowolony; w ten sposób niebezpieczeństwo bezpośredniego kontaktu z Obcymi stawało się mniej prawdopodobne.

- Sandy - odezwał się do Amorosa, który siedział obok. - Nawet jeśli się mylę i Obcy nie są przyjaźnie nastawieni, na jakiego grzyba nam broń ręczna? To tak, jakby zawieszać słonia na agrafce.

- Psorze, już ci to klarowałem, nie płacą mi za myślenie, i tobie też nie. I dobrze. Zrobię to, co mi każe porucznik, a ty zrobisz to, co każe ci ja, i wszystko będzie cacy, zgadza się?

- Oczywiście - powiedział Cox, bo Sandy, aczkolwiek nie najgorszy

gość, był sierżantem. Mimo to neoarmalite między jego butami wyglądał bardzo bezradnie, a hełm i pancerz wydawały się cienkie jak woal striptizerki.



Gdy „Nieposkromiony” wszedł w atmosferę, czarne niebo widoczne przed kopułą sterników stało się intensywnie niebieskie.

- Tam - odezwał się Olgren i wskazał. - Tam wylądujemy.
- Z tej wysokości niewiele widać - zauważył Togram.
- Daj mu tę lunetę, Olgren. Wkrótce wróci do swojej kompanii.

Togram burknął; to nie była tylko uwaga - to była aluzja. Mimo to z zadowoleniem spojrzął przez przyrząd. Łąd jakby skoczył ku niemu. Po chwili dezorientacji przyzwyczał się do odwróconego obrazu, w którym ocean znajdował się po niewłaściwej stronie. Nie interesowało go podziwianie widoków. Chciał zawczasu określić, co będzie musiał zrobić wraz ze swymi żołnierzami i resztą oddziałów, by zdobyć przyczółek i stamtąd prowadzić walkę z tubylcami.

- Tam jest obiecujące miejsce - odezwał się. - Ta zieleń pomiędzy budynkami we wschodniej - nie, zachodniej części miasta. To powinno być dobre lądowisko, obozowisko i baza dla posiłków.

- Zobaczmy, o co ci chodzi. - Ransisc odsunął go na bok. - Hmm, tak, widzę ten rejon. Może być niezły. Olgren, chodź popatrzeć. Potrafisz go znaleźć przez lunetę Mistrza Wojsk? Więc dobrze, idź i pokaż mu to. Zasugeruj, że możemy tam rozbić obóz.

Uczeń odszedł pospiesznie. Ransisc znowu pochylił się nad wizjerem.

- Hmmm - powtórzył. - Wysoko się pobudowali, co?
- Też tak pomyślałem - powiedział Togram. - I duży ruch na tych

drogach. Wydali fortunę na wybrukowanie wszystkich. Nie widzę kurzu.

- To będzie tłusty kąsek.

Coś szybkiego, metalicznego i smukłego jak drapieźnik przemknęło za oknem obserwacyjnym.

- Na bogów, jednak mają latacze - odezwał się Togram. Pomimo przysięg pilotów w głębi serca aż do tej chwili w to nie wierzył.

Zauważył niecierpliwe drgnienie uszu Ransisca i zdał sobie sprawę, że zbyt długo siedzi w obserwatorium. Wziął świetlikową latarnię i wrócił do swoich żołnierzy.

Paru rzuciło mu niechętnie spojrzenie z powodu tak długiej nieobecności, ale rozweselił ich, opowiadając o miejscu lądowania. Szeregowcy niczego bardziej nie kochają od poufnych informacji. Nawet bez nich potrafią przewidzieć decyzje swoich zwierzchników, ale zabawa jest jeszcze lepsza, kiedy mają jakieś pojęcie o temacie.

W drzwiach ukazał się posłaniec.

- Kapitanie, twoja kompania opuszcza statek przez służę numer trzy.

- Trzy - potwierdził Togram, a posłaniec pobiegł przekazać rozkaz innym dowódcom.

Kapitan włożył kapelusz z piórem (szkarłatnym, po którym żołnierze rozpoznawali go podczas bitwy), po raz ostatni sprawdził pistolety i dał żołnierzom rozkaz wymarszu.

Cuchnąca ciemność przed wewnętrznymi drzwiami śluzy była równie dławiąca jak w każdym innym zakątku „Nieposkromionego”, ale jakoś łatwiejsza do zniesienia. Wkrótce drzwi się otworzą, a on poczuje słodki smak czystego powietrza, świeży wietrzyk rozwieje mu futro, będzie się mógł rozkoszować słonecznym blaskiem dłużej niż przez parę bezcennych jednostek z rzędu. No i wkrótce zmierzy się w walce z tymi nowymi istotami.

Poczuł drobne drgnienie - to latacze „Nieposkromionego” oderwały się od statku matki. Na ich pokładach nie ma już luofów, lecz muszkietery, mający zastraszyć tubylców ostrzałem z góry, a także wybuchające w powietrzu garnce prochu. Roxolanie zawsze starali się zrobić jak najstraszniejsze pierwsze wrażenie. Zastraszenie podwajało szansę na zwycięstwo.

Kolejny wstrząs, tym razem inny. Wylądowali.

Na campus uniwersytetu w Los Angeles padł cień. Junior wyciągnął szyję.

- Ale wielki skórkowaniec!

Powtarzał to od pięciu minut, odkąd ogromny, gwiazdny statek z wolna zaczął schodzić do lądowania.

Za każdym razem Billy Cox jedynie kiwał głową. W ustach mu zaschło, a ręce zaciskały się na plastikowym uchwycie i metalowej kolbie karabinu. Wobec ogromu statku, tak arogancko spływającego w dół, neoarmalite wydawał się totalnym nieporozumieniem. Inne jednostki Obcych wyglądały obok niego jak kijanki przy wielorybie, choć z kolei krążące przy nich w oddali samoloty sił powietrznych USA sprawiały wrażenie jeszcze mniejszych. Ryk ich odrzutowych silników dręczył uszy zdenerwowanych żołnierzy i cywilów. Silniki Obcych były przerażająco ciche.

Statek wylądował na placu między Nowym Royce'em, Nowym Hainesem, Nowym Kinseyem i Nowym Powellem. Przewyższał wszystkie piętrowe budynki z czerwonej cegły, odbudowane po trzęsieniu ziemi w 2034 roku. Cox słyszał trzask pękających pod ciężarem statku drzewek. Zastanawiał się, co by się stało z tymi wielkimi drzewami, które pięć lat temu runęły wraz ze sławnymi starymi budowlami.

- No dobra, wylądowali. Jazda - rozkazał porucznik Shotton.

Nie potrafił opanować drżenia głosu, ale truchtem ruszył na

południe, ku gwiazdnemu statkowi. Jego pluton podążył za nim - koło Dickson Art Center i Nowego Bunche Hall. Nie tak dawno Billy Cox przechadzał się boso po tymże kampusie, teraz jego kamasze łomotały po betonie.

Pluton zebrał się przed Dodd Hall, zwrócony na zachód ku statkowi kosmicznemu. Słaby wietrzyk igrał liśćmi młodych, pełnych nadziei drzewek, zasadzonych na miejscu poległych w trzęsieniu ziemi starych wojowników.

- Kryjcie się, na ile możecie - rozkazał cicho porucznik Shotton.

Pluton rozpełzł się po grządkach, wtulił w wątle pnie. Na Hilgard Avenue ryczały diesle; to jednostki bojowe zajmowały pozycje na dogodnych do ostrzału miejscach.

Całkiem niepotrzebne, pomyślał Cox z goryczą. Z Obcymi trzeba się zaprzyjaźnić, nie od razu zakładać, że są niebezpieczni.

Przynajmniej na coś tam się zdobyli. Z Murphy Hall wyłoniła się delegacja, która z wolna ruszyła pod białą flagą w stronę statku. Na czele kroczył burmistrz Los Angeles; prezydent i gubernator mieli ważniejsze sprawy na głowie. Billy Cox dałby wszystko, żeby móc iść razem z delegacją, zamiast leżeć plackiem w trawie. Gdyby tylko Obcy zaczekali z wizytą, aż stuknie mu pięćdziesiątka, gdyby dali mu szansę awansować...

Sierżant Amoros trącił go łokciem.

- E, patrz. Coś się zaczyna...

Miał rację. Na statku otwarło się parę luków i powietrze Ziemi zmieszało się z atmosferą statku.

Powiał wietrzyk z zachodu. Cox zmarszczył nos. Nie potrafiłby nazwać wszystkich egzotycznych woni, ale odór kanalizacji i śmietnika rozpoznał bez trudu.

- Boże, ale smród! - powiedział.

- Bogowie, ale smród! - wykrzyknął Togram.

Kiedy drzwi śluzy się otwierały, spodziewał się prawdziwego świeżego powietrza, które rozproszyłoby stęchły zaduch „Nieposkromionego”. Ale tu cuchnęło czymś w rodzaju dymiącego ogniska albo kopczącej lampy. I gryzło w oczy! Poczuł zaciskające się błony mrużne, chroniące jego gałki oczne.

- Wymarsz! - rozkazał i poprowadził kompanię.

Chwila była ryzykowna. Jeśli tubylcy są zuchwali, uderzą na Roxolan w chwili ich wymarszu ze statku, a wtedy będzie źle. Ale w przypadku ras nieposiadających hipernapędu na ogół samo przybycie podróżników z gwiazd zanadto je przerażało, by się odważyły na coś takiego. A jeśli nie zdecydują się szybko, będzie za późno.

Nic nie robili. Togram widział paru, ale utrzymywali pełen szacunku dystans. Nie był pewien, ilu ich tam jest. Przez tę łaciatą skórę - a może to odzienie? - trudno było ich dostrzec i policzyć. Ale to z całą pewnością wojownicy, co można było wnioskować po ich zachowaniu i broni.

Jego kompania zgrupowała się jak zwykle w dwuszeregu; pierwszy rząd przykląkł, drugi stanął i wycelował muszkiety nad głowami klęczących.

- No i się zaczyna - powiedział Togram z zadowoleniem.

Grupka zbliżająca się ku nim pod białą flagą to zapewne miejscowa starszyzna. To łaciate - teraz kapitan widział wyraźnie - to jednak było odzienie, bo ci tutaj mieli zupełnie inne stroje, bardzo poważne, z wyjątkiem dziwnych, wąskich szmatek na szyjach. Byli wyżsi i chudsi od Roxolan, o dziwnych pyskach.

- Ilingua! - krzyknął Togram. Ten doświadczony żołnierz dowodził oddziałem na prawym skrzydle kompanii.

- Tak jest!

- Twoi ludzie w prawo zwrot. Na moją komendę zlikwidować przywódców. To złamie ich morale - rzucił Togram, cytując

standardową doktrynę. - Lonty w pogotowiu! - Rokolanie przytknęli tłące się lonty do zapałów muszkietów. - Cel! - Lufy bardzo powoli poruszyły się. - Pal!



- Miśki! - krzyknął Sandy Amoros.

To samo przyszło do głowy Coxowi. Stworzenia, które wyłoniły się ze statku, były okrągłe, brązowe i puchate, o długich nosach i wielkich uszach. Ale pluszowe miśki na ogół nie bywają uzbrojone. I przeważnie nie zamieszkują okolic cuchnących szambem, pomyślał Cox. Oczywiście dla nich to może być upojna perfuma. Ale jeśli tak, to ciężko im będzie dogadać się z Ziemianami.

Przyglądał się, jak Miśki zajmują pozycje. Ich rozstawienie nie przypominało jakoś honorowego komitetu powitalnego dla burmistrza i jego otoczenia. A jednak Coxowi wydało się znajome, choć nie potrafił sobie uświadomić dlaczego.

A potem zrozumiał. Nigdzie poza uniwersytetem by tego nie skojarzył. Przypomniawszy sobie kurs historii państw szesnastowiecznej Europy i znaczenie zawodowych, zdyscyplinowanych wojsk, które tworzyli władcy. Te pierwsze armie wykonywały dokładnie takie same manewry. Śmieszny zbieg okoliczności. Akurat miał o tym wspomnieć sierżantowi, kiedy świat eksplodował.

Z broni Obcych bluznęły płomienie. Wielkie fontanny dymu buchnęły pod niebo. Koło ucha Coxa bzyknęło coś jakby wściekła osa. Po drugiej stronie rozległy się wrzaski. Delegaci leżeli na ziemi, niektórzy bez ruchu, inni w konwulsjach.

Na statku coś huknęło i po chwili kula uderzyła w ceglana ścianę Dodd Hall. Odłamek cegły drasnął Coxa w kark. Wiatr przyniósł

zapomniany zapach fajerwerków.



- Przeładować! - wrzasnął Togram. - Salwa i na bagnety!
Żołnierze gorączkowo odmierzali proch i ładowali kule.



- Więc tak się chcą bawić! - krzyknął Amoros. - Przybijemy ich skóry do ściany!

Kula odstrzeliła mu czubek małego palca, ale chyba tego nie zauważył.

Neoarmalite Соха już szczekał, pluł strumieniem rozgrzanych mosiężnych łusek, łomotała o jego ramię. Wbijał w nią magazynek za magazynkiem i chlustał nabojami jak z ogrodowego węża. Jeden nie trafi, trafi następny.

Inni także strzelali. Z innych części kampusu dobiegało szczekanie automatycznej broni, a także potężniejsze wybuchy granatów raketowych i artylerii polowej. Dym zaczął otaczać statek i żołnierzy Obcych.

Na pluton padło parę kul, a potem kolejne, ale tak nieliczne, że oszołomiony Сох krzyknął, nie wierząc własnym oczom, do sierżanta:

- To nie fair!

- Pieprzyć fair! - odkrzyknął Amoros. - Chcieli walczyć, to powalczymy! Tyle dobrego, że rozwalili burmistrza. Jak ja nie znosiłem tego starego pierdziela!

To ostre *tak - tak - tak* nie przypominało dźwięku jakiegokolwiek znanego Togromowi ostrzału. Kule padały zbyt gęsto, do tego ohydnie jazgocząc. A jeśli tubylcy się ostrzeliwują, to skąd gęsty, duszący obłok dymu?

Na to nie miał odpowiedzi. Wiedział tylko, że jego ludzie padają pokotem jak zboże pod ostrzem kosy. Oto żołnierz trafiony trzema kulami jednocześnie - upadł niezdarnie, jakby jego ciało nie wiedziało, w którą stronę się obrócić. Tam drugi, z ohydnie rozpołowioną głową.

Salwa, którą rozkazał wystrzelić, okazała się niewypałem. Mniej więcej szwadron żołnierzy ruszył na tubylców; słońce lśniło na ich długich, wypolerowanych bagnietach. Żaden jednak nie zdążył zrobić więcej niż pół szesnastki kroków, a już padł.

Ilingua spojrzał na Tograma, w jego oczach malowała się zgroza, uszy położył płasko na głowie. Kapitan zdawał sobie sprawę, że jego uszy wyglądają tak samo.

- Co oni robią? - zawył Ilingua.

Togrom mógł jedynie bezradnie pokręcić głową. Runął na ziemię, kryjąc się za jakimś trupem, wystrzelił z pistoletu. Jeszcze mamy szansę, pomyślał. Jak te diabły wytrzymają atak z powietrza?

Latacz śmignął ku tubylcom. Muszkiety wystrzeliły przez otwory i cofnęły się, by można je było przeładować.

- A macie, kurwiesyny! - krzyknął Togrom. Ale nie podniósł pięści. Już wiedział, że to niebezpieczne.



- Atak z powietrza! - ryknął sierżant Amoros. Jego żołnierze - ci, którzy jeszcze nie leżeli plackiem, rzucili się na ziemię. Przez bitewny

zgiełk Cox słyszał krzyki rannych.

Oddział Cottonmoutha wystrzelił pocisk przeciwlotniczy z broni ręcznej. Pilot Obcych musiał mieć koci refleks, bo usunął maszynę z linii strzału. Żaden ziemski samolot nie potrafiłby powtórzyć takiego manewru. Pocisk przemknął, nie czyniąc żadnych szkód.

Z jednostki latającej spadło za to coś, co przypominało garnki. Od eksplozji bomb zatrzęsa się ziemia. Billy Cox klął ogłuszony, przestał już się niepokoić, czy walka jest fair.

Ale pilot Obcych nie zauważył, że ma na ogonie myśliwca F-29. Samolot wystrzelił dwa pociski z zabójczej odległości - niespełna kilometra. Celownik na podczerwień nie znalazł celu i eksplodował, ale pocisk sterowany radarem pofrunął prosto w stronę jednostki Obcych. Cox wcisnął twarz w ziemię i zasłonił uszy, chroniąc się przed eksplozją.

Więc to jest wojna, pomyślał. Nic nie widzę, ledwie coś słyszę, a przecież wygrywamy. Jak to musi wyglądać, kiedy się przegrywa?

Kiedy pierwszy latacz padł ofiarą jednostek tubylców, nadzieja zgasła w sercu Tograma. Reszta maszyn „Nieposkromionego” nie opierała się długo. Potrafiły unikać strzałów, ale nie mogły bronić się lepiej niż naziemne siły Roxolan. A zaatakowane z miejsc niewidocznych dla pilotów - z tyłu lub dołu - stawały się przerażająco bezbronne.

Raz jeszcze armata statku zdołała wystrzelić, co spowodowało natychmiastową reakcję ruchomych fortec, które Togram dostrzegł przelotnie, gdy zajmowały pozycję na ulicach tego zadrzewionego terenu.

Po pierwszym strzale przygnębiony kapitan przez chwilę łudził się, że to kolejna armata „Nieposkromionego”, ale huk w niczym nie przypominał trzasku solidnej kuli trafiającej w cel. W ziemi koło ręki Tograma zarył się odprysk rozgrzanego metalu. Wydawało mu się, że

to rozerwane działo, ale kolejne wybuchy i fontanny ziemi, wzniecane przez kule, które nie trafiły celu, świadczyły, że to jedynie kolejne piekielne wynalazki z arsenału tubylców.

Coś wielkiego i twardego uderzyło kapitana w kark. Świat utonął w czerni.



- Przerwać ogień!

Rozkaz dotarł najpierw do artylerii polowej, potem do oddziałów piechoty na linii frontu. Billy Cox odsunął mankiet, spojrzął na zegarek i wytrzeszczył oczy. Cała strzelanina trwała niespełna dwadzieścia minut.

Rozejrzał się. Porucznik Shotton podnosił się zza ozdobnej palmy.

- Zobaczmy, co tam mamy - powiedział.

Z karabinem w pogotowiu ruszył z wolna ku statkowi. Zostały z niego tylko dymiące szczątki. Podobnie jak z otaczających go budynków.

Trawniki zaścielały trupy Obcych. Krew chlustająca na jasnozieloną trawę była równie szkarłatna jak ludzka. Cox pochylił się po pistolet. Broń była pięknie wykonana, w szarawym drewnie kolby wyrzeźbiono sceny bitewne. Rozpoznał jednostrzałowy pistolet, który wyszedł z użytku przed co najmniej dwoma wiekami. Ze zdumieniem pokręcił głową.

Sierżant Amoros podniósł stożkowaty przedmiot, leżący obok martwego Obcego.

- A to co, do cholery?

I znowu Cox miał wrażenie, że wplątano go w coś niepojętego.

- Prochownica - powiedział.

- Jak na filmach? Pierwsi osadnicy i te pierdoły?

- Dokładnie.

- Jasna cholera - powiedział Amoros z uczuciem.

Cox pokiwał głową.

Wraz z całym plutonem podeszli do zniszczonego statku. Większość Obcych zginęła w tych samych dwóch schludnych szeregach, z których otworzyli ogień do żołnierzy.

Za jednym z trupów leżał oficer w kapeluszu ze szkarłatnym piórem. To on dał rozkaz do rozpoczęcia tego przerażająco nierównego starcia. Cox podskoczył, bo Obcy jęknął i poruszył się, dokładnie tak samo, jak przytomniejący człowiek.

- Brać go! Mamy żywego! - krzyknął Cox.

Paru żołnierzy rzuciło się na odzyskującego przytomność Obcego, zbyt oszołomionego, żeby się opierać. Żołnierze zaczęli zagłądać przez dziury wydarte w pancerzu statku, a nawet do niego wchodzić. Nadal zachowywali ostrożność; statek niewiarygodnie przekraczał rozmiarami wszystkie ludzkie jednostki powietrzne. Z całą pewnością ktoś w nim ocalał, i to pomimo zmasowanego ostrzału.

Jak to zwykle bywa, niedługo przyszło im się cieszyć. Nie minęło dziesięć minut od zakończenia walki, a zjawił się helikopter, a w nim pierwsza ekipa ekspertów, którzy zareagowali okrzykami zgrozy, widząc szeregowców na ich naturalnym łowisku. Natychmiast też odebrali im jeńca.

Sierżant Amoros ścigał ich nienawistnym wzrokiem.

- Na pewno wiedziałeś, że tak będzie - pocieszył go Cox. - My odwalamy brudną robotę, ważniaki przychodzą na gotowe.

- Taa, ale jakżeby to było cudownie, gdyby raz się zdarzyło na odwrót - roześmiał się niewesoło Amoros. - Nie musisz mi mówić; drańsko mała szansa.



Togram ocknął się, leżąc na plecach, i zrozumiał, że coś jest nie tak. Roxolanie zawsze spali na brzuchu. Przez chwilę zastanawiał się, jak do tego doszło... Za dużo wody życia? Ból głowy wskazywał na tę możliwość.

Potem wróciła pamięć. Ci przekłęci tubylcy i ich czarnoksięska broń! Czy jego żołnierze jednak pokonali wroga? Przysiągł Edievie, pani bitwy, że jeśli to prawda, do końca życia będzie jej zapalać wotywnie lampy.

Wreszcie zaczął dostrzegać pomieszczenie, w którym się znalazł. Wszystko nieznanne, od łóżka po światło w suficie, lśniące jasno jak słońce, bez migotania i kopcenia. Nie, Roxolanie chyba jednak nie wygrali. Strach zagnieździł mu się we wnętrzościach. Wiedział, jak jego rodacy traktują więźniów, słyszał opowieści podróżników o jeszcze gorszych obyczajach innych ludów. Zadrżał na myśl o tych wyrafinowanych torturach, które z pewnością wynalazła ta krwiożercza rasa.

Wstał chwiejnie. W nogach łóżka znalazł kapelusz, trochę wędzonego mięsa, najwyraźniej z „Nieposkromionego” i przezroczysty dzban wykonany z czegoś, co nie było ani skórą, ani szkłem, ani też gliną czy metalem. Cokolwiek to było, okazało się zbyt miękkie i giętkie, żeby można było zrobić z niego broń.

W dzbanie była woda, z całą pewnością nie z „Nieposkromionego”. Tamta już zaczęła cuchnąć stęchlizną, ta była chłodna, świeża i tak czysta, że w ogóle nie miała smaku - tak doskonałą wodę pił tylko z nielicznych górskich strumieni.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie i do środka weszła para tubylców. Jeden był mały, w białym płaszczu - samica, jeśli te wyrostki z przodu to piersi. Drugi nosił takie samo odzienie jak miejscowi

wojownicy, choć bez barw ochronnych. Trzymał coś, co w oczywisty sposób było bronią i, niech go bogowie skażą, zachowywał się wyjątkowo czujnie. Ku zaskoczeniu Tograma to samica przejęła dowodzenie. Drugi tubylec był jedynie strażnikiem. Jakaś rozpieszczona księżniczka, ciekawa przybysza, pomyślał kapitan. No, lepiej spotkać się z nią niż z miejscowym katem.

Usiadła i skinęła, żeby także zajął miejsce. Wypróbował krzesło, które okazało się niewygodne - za niskie oparcie, konstrukcja nieprzewidująca jego szerokiego zadu i krótkich nóg. Więc usiadł na podłodze.

Na stole przy łóżku postawiła małe pudełko. Togram wskazał je.

- Co to? - spytał.

Pomyślał, że nie zrozumiała - trudno się dziwić, nie znała jego języka, bo manipulowała przy pudełku. Tu wcisnęła jeden guzik, tam drugi. Potem uszy mu się położyły na głowie, a futro się zjeżyło, bo pudełko powiedziało po roxolańsku: „Co to?”. Po chwili uświadomił sobie, że to jego głos. Zaklął i zrobił znak chroniący przed czarami.

Samica coś powiedziała i znowu pomajstrowała przy pudełku. Tym razem powtórzyło jej słowa. Wskazała je:

- Rejestrator - powiedziała.

Przez chwilę milczała wyczekująco.

Na co czekała, na roxolański odpowiednik nazwy?

- W życiu czegoś takiego nie widziałem i mam nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczę - odparł.

Podrapała się po głowie. Kiedy pudełko znowu powtórzyło jego słowa, tylko myśl o żołnierzu z bronią powstrzymała go przed rzuconiem paskudztwem o ścianę.

Pomimo początkowych niepowodzeń nauka języka postępowała. Podczas swego awanturniczego życia Togram poznał podstawy wielu języków, między innymi dlatego, pomimo niskiego urodzenia i

żadnych znajomości, dochrapał się rangi kapitana. A samica - Togram zrozumiał, że na imię ma Hildachesta - także miała do nich smykałkę, no i pudełko, które niczego nie zapominało.

- Dlaczego twoi ludzie nas zaatakowali? - spytała pewnego dnia, kiedy na tyle opanowała już roxolański, żeby budować zdania.

Zrozumiał, że to przesłuchanie, choć mówiła uprzejmie. Sam też tak podchodził do więźniów. Wzruszył uszami. Zawsze wierzył w szczerść; jedna z przyczyn, dla której był tylko kapitanem.

- Żeby złupić i zagarnąć wasze plony. Niby dlaczego się napada?

- Rzeczywiście, dlaczego? - mruknęła i przez jakiś czas milczała. Jego szczerza odpowiedź jakby przecięła łańcuch pytań. Spróbowała jeszcze raz: - Jak twój lud może chodzić... to znaczy podróżować... szybciej od światła, skoro pod innymi względami jesteście tak prymitywni?

Zjeżył futro z oburzenia.

- Nieprawda! Wytwarzamy proch, wykuwamy żelazo, wytapiamy stal, mamy lunety, dzięki którym nasi sternicy kierują nas z gwiazdy na gwiazdę. Nie jesteśmy dzikusami, którzy gnieźdzą się w jaskiniach i strzelają do siebie z łuku!

Oczywiście jego przemowa nie była tak precyzyjna ani prosta. Musiał powtarzać, uciekać się do kwiecistych omówień lub gestów, żeby Hildachesta zrozumiała. Podrapała się po głowie w geście zdziwienia, który nauczył się już rozpoznawać.

- Wszystko to potrafimy od stuleci, ale nie sądziliśmy, że można chodzić... cholera, ciągle to mówię zamiast „podróżować”... szybciej od światła. Jak się tego nauczyliście?

- Sami to odkryliśmy - oznajmił dumnie. - Nie musieliśmy się uczyć od innych ras, jak wiele ludów.

- Ale jak? - spytała z uporem.

- Skąd mam wiedzieć? Jestem żołnierzem, co mnie to obchodzi?

Skąd wiadomo, kto wynalazł proch albo wpadł na pomysł, że można używać w kuźni miechów do rozniecania ognia? Takie rzeczy się dzieją i tyle.

Tego dnia wcześniej skończyła przesłuchanie.



- Co za upokorzenie - powiedziała Hilda Chester. - Gdyby ci debile kosmici zaczekali z przybyciem jeszcze parę lat, pewnie byśmy się przenieśli na tamten świat, nie wiedząc, że wokół nas są jakieś nieruchomości ziemskie. Chryste, co ten Roxolanin gada. Rasa, która ledwie umie wykuwać żelazo, rozbija się statkami po kosmosie jakby nigdy nic.

- Chyba że ich statki nie wracają do domu - odparł Charlie Ebbets.

Krawat miał w kieszeni, a kołnierzyk rozpięty z powodu przeraźliwego letniego upału, choć w Caltech Atheneum była sprawna klimatyzacja. Podobnie jak inni inżynierowie i naukowcy liczył, że to lingwiści, tacy jak Hilda Chester, staną się łącznikiem z Obcymi.

- Sama tego dobrze nie rozumiem - powiedziała. - Jeśli nie liczyć hipernapędu i antygravitacji, to Roxolanie są zacofani, niemal prymitywni. A inne gatunki w okolicy muszą być takie same, w przeciwnym razie już dawno by ich podbiły.

- Po bliższych oględzinach napęd okazuje się zadziwiająco nieskomplikowany - powiedział Ebbets. - Zespoły badaczy twierdzą, że każdy w dowolnym punkcie naszej historii mógłby go przypadkiem odkryć. Najprawdopodobniej inne rasy także to zrobiły, a jak już do tego doszły, no to... całą energię twórczą poświęciły na udoskonalanie wynalazku.

- A nam się nie udało - powiedziała powoli Hilda - i nasza technologia rozwinęła się w innym kierunku.

- Właśnie. Dlatego Roxolanie nie mają pojęcia o elektryczności, nie mówiąc już o atomie. Rzecz w tym, że o ile potrafimy stwierdzić, hipernapęd i antygravitacja nie mają tak dogodnych właściwości jak spektrum elektromagnetyczne. Służą tylko do szybkiego przenoszenia przedmiotów z jednego miejsca w drugie.

- I to wystarczy - powiedziała Hilda.

Ebbets pokiwał głową. Na Ziemi tłoczyło się około dziewięciu miliardów ludzi. Połowa głodowała. Teraz raptem okazało się, że mają dokąd iść, a w dodatku dostali środek transportu.

- Zdaje się - zauważył w zamyśleniu Ebbets - że okropnie zaskoczymy tych, którzy tam mieszkają.

Hilda dopiero po chwili zrozumiała.

- Jeśli to ma być żart, to nie jest śmieszny. Od ostatniej wojny kolonizacyjnej dzielą nas setki lat.

- Jasne, bo zrobiły się za drogie i niebezpieczne. Ale jaki opór mogą nam stawić Roxolanie czy ktokolwiek z techniką na ich poziomie? Aztekowie i Inkowie byli cholernie dzielni. I na co im się to zdało w starciu z Hiszpanami?

- Mam nadzieję, że przez ostatnich pięć wieków zmądrzeliśmy - powiedziała Hilda.

Ale kanapki jednak nie dojadła. Okazało się, że nie jest już głodna.



- Ransisc! - zawołał Togram na widok starszego sternika, który wkuśtykał do jego klitki.

Ransisc był chudszy niż parę miesięcy temu, kiedy przebywali na

pokładzie statku, jakże nietrafnie nazwanego „Nieposkromionym”. Jego futro wokół kilku blizn, których Togram nie pamiętał, stało się siwe. Ale ironiczny dystans go nie opuścił.

- Twardszy od kul, a może ludzie uważają, że nie warto cię zabijać? - spytał.

- Chyba to drugie. Przy takiej sile ognia cóż im po jednym żołnierzu mniej czy więcej? - powiedział Togram z goryczą. - Nie wiedziałem, że i ty przeżyłeś.

- Nie z własnej winy, zapewniam cię - odparł Ransisc. - Olgren, obok mnie... - Głos mu się załamał. Nie sposób wszystkiego traktować z dystansem.

- Co tu robisz? - spytał kapitan. - Nie żebym się nie cieszył, ale nie widziałem roxolańskiej gęby od... - Teraz to on się zawahał.

- Od lądowania. - Togram pokiwał głową, wdzięczny za ten eufemizm. - Ja już spotkałem się z innymi - ciągnął Ransisc. - Podejrzewam, że pozwolili się nam spotkać, żeby nas podsłuchiwać.

- Niby jak? - zdziwił się Togram i odpowiedział sam sobie. - A, oczywiście, rejestratory. - Z konieczności użył angielskiego słowa. - No to zaraz temu zaradzimy.

I zaczął mówić w oyag, najpowszechniejszym języku na planecie, którą Roxolanie podbili przed pięćdziesięciu laty.

- Co się z nami stanie?

- Na Roxolanie już się zorientowali, że coś poszło nie tak - odpowiedział sternik w tym samym języku.

Nie poprawił Togramowi humoru.

- Statek można stracić na wiele sposobów - powiedział kapitan ponuro. - I nawet jeśli Wielki Mistrz Wojsk wyśle za nami drugą flotę, nie poszczęści się jej bardziej niż nam. Ci przekłęci przez bogów ludzie mają zbyt wiele wojennych machin. - Przerwał i pociągnął długi łyk wódki. Od miejscowych kolorowych alkoholi go mdliło, ale

wódka mu posmakowała. - Jak to możliwe, że mają te maszyny, a my nie? Ani żadna znana nam rasa? To chyba czarnoksiężnicy, sprzedali demonom dusze za taką wiedzę.

Ransisc poruszył przecząco nosem.

- To samo pytanie zadałem jednemu z ich mędrców. Przyniósł mi jakiś wiersz, ludzie nazywają go Grad albo Śnieg czy jakoś podobnie. O kimś, kto stoi na rozstaju dróg i w końcu wybiera tę mniej uczęszczaną. Tak zrobili ludzie. Większość ras wynalazła hipernapęd i rozpoczęła podróże. Ludzie nie, dlatego ich naukowe poszukiwania poszły w innym kierunku.

- I to jak! - Togram zadrżał na wspomnienie tej krótkiej i strasznej walki. - Broń plująca tuzinami kul bez potrzeby przeładowania, działa na opancerzonych platformach, które się same poruszają, rakiety, które same odnajdują cel... A jeszcze to, czego nie widzieliśmy, tylko słyszeliśmy o tym od ludzi - bomby zdolne burzyć całe miasta, i to takie, że wystarczy jedna...

- Nie wiem, czy w to wierzę.

- Ja wierzę. Oni sami się ich boją.

- No, może. Ale mają nie tylko broń. Jeszcze te maszyny, przez które się widzą i mówią ze sobą na odległość; i te, które za nich myślą, i te rejestratory, i wszystko, co ma z nimi związek. Po tym, co mi powiedzieli o medycynie, kusiło mnie, żeby uznać ich za czarnoksiężników - oni naprawdę wiedzą, co powoduje ich choroby i jak je leczyć czy nawet zapobiegać. A uprawy! Ta planeta jest znacznie gęściej zaludniona niż jakakolwiek mi znana, ale i tak jedzenia wystarcza dla nich wszystkich.

Togram ze smutkiem zastrzygł uszami.

- To niesprawiedliwe. Mają to wszystko tylko dlatego, że przypadkiem nie odkryli hipernapędu.

- Już go mają - przypomniał Ransisc. - Dzięki nam.

Obaj Rokolanie spojrzeli na siebie ze zgrozą.
- Co myśmy narobili? - spytali jednocześnie.

Przełożyła Maciejka Mazan

William Gibson & Michael Swanwick

POJEDYNEK

Teksty Williama Gibsona (ur. 1948) zaczęły się ukazywać w druku w 1977r., ale jego reputację ugruntowała pierwsza powieść „Neuromancer”, która od chwili wydania w 1984r. zyskała status rewolucyjnego zjawiska we współczesnej SF. Obsypana nagrodami Hugo, Nebula i Philip K. Dick Award, stała się biblią cyberpunku. Ten przełomowy tekst przeniknął do nurtu kultury oficjalnej, w którym wiele zaczerpniętych z niej pomysłów - cyberprzestrzeń, rzeczywistość wirtualna, Internet, przestępstwa komputerowe, sztuczna inteligencja - szybko zmieniło się z fantazji w realną rzeczywistość. „Neuromancer” oraz dwie kolejne powieści - „Graf Zero” (1986) i „Mona Liza Turbo” (1988) - stanowią luźną trylogię „Ciąg”, która przetarła szlaki w niezbadanym do tej pory w literaturze terenie - technologii komputerowej oraz telekomunikacji opartej na mikrochipach. Spopularyzowała koncepcję podłączenia ludzkiego mózgu bezpośrednio do neuronowej sieci systemów komputerowych. Przedstawiony w niej związek człowieka z komputerem, aczkolwiek oparty na tradycyjnych tematach SF, stanowił zmianę myślenia, która zwróciła do wewnątrz zwykle ekstrawersyjną perspektywę SF. W opisywanej tu złożonej i często niezrozumiałej rzeczywistości tradycyjne granice geograficzne i kulturowe przestały istnieć, a potem zostały na nowo wyznaczone poprzez użycie - i nadużycie - generowanych komputerowo danych. W powieściach tych świat

zdominowała subkultura hakerów, a jej członkowie, często z kryminalną przeszłością, mają status bohaterów stojących poza prawem. Powieści te zapadają w pamięć dzięki oszałamiającemu, kinetycznemu stylowi, który uwspółcześnia stylistyczne eksperymenty Nowej Fali nowoczesnym technożargonem, a także cięciami narracji charakterystycznymi dla rozrywki ery wideoklipów i komputera. Wpływ technologii komputerowej odzwierciedla się w innych tekstach Gibsona równie dobitnie, jak we współczesnym świecie. „Maszyna różnicowa” (1990), napisana we współpracy z Bruce’em Sterlingiem, to znana powieść przedstawiająca świat, który mógłby stworzyć Charles Babbage na komputerach w wiktoriańskiej Anglii. Jego druga trylogia, „Colin Laney”, czyli powieści „Światło wirtualne” (1993), „Idoru” (1996) i „Wszystkie jutra” (1999), wykorzystują wspólne postaci i tematy związane z komputerami, w tym nanotechnologię, komputerowe osobowości oraz „punkty węzłowe” lub fluktuacje strumienia danych, wróżąc zmiany historyczne. Opowiadania Gibsona znalazły się w zbiorze „Johnny Mnemonic” (1986); na podstawie tytułowego powstał film w reżyserii Roberta Longo. Najnowsza powieść Gibsona to postcyberpunkowe „Rozpoznanie wzorca” (2003) - żeby opisać zagubienie współczesnego człowieka w głąbie cywilizacji współczesnej i odżywianie nadwątlonych więzi społecznych, nie jest konieczne sięganie do akcesoriów SF jak w „Neuromancerze”, ponieważ współistnieją one z nami w naszej dezintegrującej się rzeczywistości...

Michael Swanwick (ur. 1950) ujawnił się w latach osiemdziesiątych jako jeden z nowych olśniewających talentów, początkowo dzięki bogatym w aluzje, wielopoziomym opowiadaniom, wykazującym wpływ literackiego postmodernizmu oraz tradycyjnej literatury fantasy i SF. Jego najlepsze opowiadania zostały zebrane w tomach

„Gravity’s Angels” (1991), „A Geography of Unknown Lands” (1997) i „Tales of Old Earth” (2000), w których znalazło się także jego wyróżnione Nagrodą Hugo „Wewnętrzne tętno maszyny”. Zbiór „A Field Guide to the Mesozoic Megafauna & Five British Dinosaurs” (2004) to 32-stronicowa książeczka zawierająca osiemnaście miniopowiadań. Jego powieści są równie niekonwencjonalne, a ich zasięg waha się od cyberpunku po fantasy. Ich tematem jest przenikanie się nowej nauki i starych struktur społecznych w kształtowaniu cywilizacji i jednostki. Akcja jego pierwszej powieści „In the Drift” (1985) rozgrywa się w Ameryce, gdzie społeczeństwo po katastrofie nuklearnej walczy o stabilizację. „Vacuum Flowers” (1987), „Jajo gryfa” (1991) oraz wyróżnione Nebulą „Stacje przyptywu” (1991) to analiza wpływu katastrof żywiołowych oraz wydarzeń społeczno-politycznych na społeczeństwa osadzone na obcych światach i oderwane od wpływów rodzimej planety. Swanwick jest także autorem powieści „Jack Faust” (1997), nowoczesnej wariacji na temat Fausta, oraz ambitnej technofantasy „Córka żelaznego smoka” (1993). „Bones of the Earth” (2002) to sensacyjna powieść o podróżach w czasie i o środowisku paleontologów, inteligentna i kąśliwa satyra na strasznych mieszczan - turystów podróżujących do epoki wielkich gadów. Ma też Swanwick w swoim dorobku kilka prowokacyjnych i kontrowersyjnych felietonów dotyczących rzemiosła fantasy i SF, z których dwa znalazły się w tomie „The Postmodern Archipelago: Two Essays on Science Fiction and Fantasy” (1997), a więcej w zbiorach opowiadań „Moon Dogs” (2000) i „Cigar-Box Faust and Other Miniatures” (2003). Przeprowadził wywiad z Gardnerem Dozoisem („Being Gardner Dozois”, 2001). Jest laureatem Theodore Sturgeon Memorial Award.

Zamierzał jechać dalej, wciąż dalej, aż na Florydę. Zarobić na miejsce na statku przemytniczym, może zaciągnąć się do jakiejś zaplutej armii buntowników, gdzieś w strefie wojennej. A może, mając bilet ważny tak długo, jak długo nie przerwie się podróży, nie przerwie jej już nigdy - Latający Holender Greyhounda. Uśmiechnął się do własnego odbicia, rozmazanego w zimnym i brudnym szkłe, a za szybą przemykały światła Norfolk. Autobus zakołysał się na zużytych resorach, gdy kierowca wziął ostatni zakręt. Z drżeniem blach stanęli na betonowym dworcu, oświetlonym bezlitośnie jak więzienny spaceriak. A Deke oczami wyobraźni widział siebie samego, zdychającego z głodu, może w jakiejś śnieżycy za Oswego, z policzkiem przyciśniętym do tej samej autobusowej szyby, widział, jak jego doczesne szczątki wymiata na następnym przystanku gderliwy, stary człowiek w znoszonym kombinezonie. Tak czy tak, pomyślał, gównem to wszystko warte. Tyle że nogi najwyraźniej już mi chyba umarły. Kierowca ogłosił właśnie dwudziestominutową przerwę, Dworzec Tidewater, Wirginia. Stary budynek z szarej cegły, z dwoma wejściami do obu toalet. Zabytek z zeszłego stulecia.

Na sztywnych jak z drewna nogach i bez szczególnego przekonania Deke próbował obrobić stoisko z pasmanterią, ale czarna dziewczyna za ladą pilnowała tych paru drobiazgow leżących w starej, przezroczystej gablocie, jakby od tego zależał cały jej pieprzony świat. I prawdopodobnie zależy, pomyślał Deke, odwracając się i wychodząc. Otwarte drzwi naprzeciwko toalet zapraszały do GRY; słowo to pobłyskiwało słabo na biofluorescencyjnym plastiku. Deke dostrzegł tłum miejscowych, tłoczących się przy stole bilardowym. Nie myśląc o niczym i wlokąc za sobą zmęczenie jak cień, wsadził głowę do środka. Zobaczył dwupłatówiec o skrzydłach nie dłuższych od jego kciuka, buchający jaskrawoczerwonym płomieniem. Kręcąc się w korkociągu i zionąc dymem, samolot znikł właśnie w chwili

uderzenia o pokryte zielenią pole stołu.

- W porządku, Malec - krzyknął któryś z kibiców. - Dostałeś sukinsyna!

- Cześć - powiedział Deke. - Co się tu dzieje?

Najbliższy z kibiców, facet długi i chudy jak tyka, miał na głowie czarną plecioną czapkę ze znakiem Peterbilta.

- Malec broni Masha - powiedział, nie odrywając oczu od stołu.

- Kapuję. A co to... - W tej samej chwili Deke dostrzegł niebieski emaliowany medal w kształcie krzyża maltańskiego, na którego ramionach wypisano słowa „Pour le mérite”.

Błękitny Max spoczywał na krawędzi stołu, naprzeciwko ogromnego i absolutnie nieruchomego cielska wbitego w krzesło z cienkich, chromowanych rurek. Koszula khaki, którą miał na sobie ten facet, na Deke’u wisiałaby jak niedbale zwinięty żagiel, ale na tym opasłym brzuchu opięta się tak ciasno, że guziki w każdej chwili mogły się oderwać. Deke przypomniał sobie żołnierzy Południa, których widział po drodze, te groźne, nienażarte typy chwiejące się na cienkich, jakby pożyczonych od kogoś zupełnie innego nóżkach. Malec, gdyby stanął, mógł wyglądać podobnie, tylko skala była znacznie większa - jego dżinsy miały metrową wszywkę i pas z plecionej stali, mogący podtrzymać wszystkie te kilogramy obwisłego brzuszyska. Jeśli Malec w ogóle miałby kiedyś wstać - teraz bowiem Deke zauważył, że błyszczący fotel w istocie był wózkiem inwalidzkim. W twarzy siedzącego na nim mężczyzny można było dostrzec coś niepokojąco dziecinnego, przerażające wrażenie młodości, a nawet piękna w rysach zatraconych niemal w fałdach tłuszczu i wielu podbródkach. Zawstydzony Deke odwrócił wzrok.

Drugi z graczy, siedzący po przeciwnej niż Malec stronie stołu, miał nastroszone bokobrody i cienkie wargi. Wydawało się, że

próbuję pchać coś siłą samego wzroku; w kącikach oczu widać było zmarszczki skupienia...

- Zatkąło cię czy co? - Facet w czapce Peterbilta odwrócił się, dopiero teraz zauważając tanie, prołowskie dżinsy Deke'a i mosiężne łańcuszki na przegubach jego rąk. - Spieprzaj stąd, pierdzielu. Nikt tu nie chce takich jak ty - dodał i powrócił do obserwacji pojedynku.

Robiono zakłady. Kibice płacili monetą twardą i monetą starą, dolarami ze Statuą Wolności i dziesięciocentówkami z czasów Roosevelta, takimi, jakie kupić można w sklepach numizmatycznych. Ostrożniejsi wykładali papierowe pieniądze oprawione w przezroczysty plastik. Z dymu wyłoniły się trzy czerwone myśliwce, lecące w szyku. Fokkery D VII. W sali zapadła cisza. Fokkery skrzyły majestatycznie pod słoneczną kulą dwustuwatowej żarówki.

Nie wiadomo skąd zmaterializował się błękitny spad. Dwa następne zaatakowały od ciemnego sufitu tuż za pierwszym. Patrzący klęli głośno, jeden się roześmiał. Spady rozerwały szyk fokkerów na strzępy. Jeden z nich zanurkował niemal do samego stołu, ale spad siedział mu na ogonie i mimo gwałtownych manewrów nad zieloną równiną trzymał się go twardo - nic nie pomagało. Fokker wyskoczył w końcu w górę gwałtowną świecą, spad leciał za nim, świeca okazała się zbyt stroma. Fokker przepadł - zbyt nisko, by się uratować.

Ktoś zgarnął stos srebrnych dziesięciocentówek.

Teraz fokkery były w mniejszości; jeden miał na ogonie dwa spady. Cienkie jak igła serie smugowe cięły kabinę pilota. Fokker ześlizgnął się na skrzydle w prawo, zwinął w immelmanie i wszedł na ogon jednego z prześladowców. Błysnęła seria i dwupłat spadł, kręcąc się w powietrzu.

- Dobra jest, Malec. - Kibice stłoczyli się przy stole.

Deke zamarł z zachwytu. Czuł, że rodzi się na nowo.



Parking ciężarówek Franka znajdował się trzy kilometry za miastem, na drodze opatrzonej napisem: „Tylko dla pojazdów transportowych”. Deke zauważył go przypadkowo, wyglądając z autobusu podczas wjazdu do miasta. Teraz wracał, idąc między pędzącymi samochodami a betonowymi barierkami. Ciężarówki z naczepami mijały go z hukiem, jedna po drugiej, potężne, ośmioosiowe wozy. Ciągająca się za każdym z nich fala powietrza omal nie zwiewała go z drogi. Taki parking nie był trudny. Kiedy już tam wlaźłeś, nikt nie miał wątpliwości, że właśnie wysiadłeś z ciężarówki, a więc Deke mógł obrobić sklep z pamiątkami tak dokładnie, jak tylko chciał.

Druciane wieszaki z płytkami gier projekcyjnych umieszczono między stosem koreańskich bluz kowbojskich a kolorowymi błotnikami. W powietrzu nad wieszakami kręciła się para wschodnich smoków - nie potrafił powiedzieć, czy walczyły, czy tylko się pieprzyły. Gra, której szukał, wisiała na miejscu; na płytce widniał napis: „SPADY I FOKKERY”. Zwędzenie jej zajęło mu trzy sekundy, a jeszcze krócej trwało przesunięcie magnesem nad uniwersalnym paskiem zabezpieczenia, którego stołeczne gliny nawet nie pofatygowały się skonfiskować. Wychodząc, Deke świsnął jeszcze dwa programatory i jeden wzmacniacz Batanga do kontroli na odległość, wyglądający jak stary aparat słuchowy.



W mrówkowcu na chybił trafił wybrał pokój, a wynajmującemu sprzedał bajeczkę, którą posługiwał się od czasu, gdy zabrano mu prawa do opieki społecznej. Nikt się nigdy nie trudził jej sprawdzaniem.

Na ścianie pokoiku ktoś wydrapał hasła Frontu Wyzwolenia Radykalnych Anarchistów. Deke wykopał z kątów zwiniętą instrukcję z diagramami beczek, pętli i immelmanów, tubę z pastą soli fizjologicznej i komputerową listą komend systemowych. I samą płytkę: biały plastik z błękitnym samolotem - znakiem firmowym - z jednej strony, czerwonym z drugiej. Obracał ją w palcach: SPADY I FOKKERY, FOKKERY I SPADY. Czerwone lub błękitne. Posmarował induktor pastą i włożył Batanga za ucho, włączył taśmę światłowodową do programatora, a programator do ściennego gniazdka. Potem wetknął weń płytkę. Programator był tani, indonezyjski, i gdy szedł program, podstawa czaszki drgała mu nieprzyjemnie, ale kiedy wszystko było już gotowe w powietrzu, tuż przed jego twarzą przemknął niecierpliwie błękitnym życiem, które tak często mają w sobie odtwarzane w najdrobniejszych detalach modele muzealne; lecz utrzymanie jego egzystencji wyczerpywało wszystkie zapasy koncentracji Deke'a - gdy jego uwaga chwiała się tylko przez chwilę, gdy tracił ostrość widzenia, maszyna rozmywała się w żalósną plamę.

Ćwiczył, dopóki nie wyczerpały się baterie w Batangu, a później padł na podłogę pod ścianą i zasnął. Śnił o lataniu, o wszechświecie składającym się wyłącznie z białych obłoków i błękitnego nieba, nieznanym pojęciu góry i dołu, pozbawionym zielonych pól, o które można by się było rozbić.



Obudził się, czując smród grzanek smażonych na zjełczałym tłuszczu. Drżał z głodu. I nie miał forsy. Cóż, z pewnością mieszka tu mnóstwo studentów i zapewne znajdzie się ktoś, kto nie pogardzi programatorem. Wyszedł na korytarz, zabierając ze sobą jeden z tych, które ukradł. Zaraz dostrzegł drzwi z naklejonym plakatem głoszącym: OBOK JEST CAŁKIEM PRYZWOITY WSZECHŚWIAT. Pod napisem widać było kosmiczny pejzaż z mgławicą kolorowych pigułek, wydarty z reklamy jakiejś firmy farmaceutycznej, nalepiony na natchnione zdjęcie stacji kosmicznej, którą zaczęto budować jeszcze przed narodzinami. WEJDŹ - głosił napis na plakacie pod kolażem pigułek nasennych.

Zapukał. Drzwi otworzyły się, ale zabezpieczenia zatrzymały je niedomknięte. Przez pięciocentymetrową szczelinę zobaczył fragment dziewczęcej twarzy.

- Tak?

- Pewnie pomyślisz, że to kradzione. - Deke przerzuciał programator z ręki do ręki. - No, bo jest nowe, właściwie dziewicze, a kod zabezpieczający jest ciągle na wierzchu. Ale słuchaj, nie mam zamiaru się o to spierać. Nie, mam zamiar sprzedać ci to za pół ceny, którą musiałabyś zapłacić gdzie indziej.

- Co, naprawdę? Hej, chyba mnie zalewasz? - Widoczny fragment ust dziewczyny wykrzywił się w dziwnym uśmiechu. Wyciągnęła rękę dłonią do góry i wyprostowała palce dokładnie na wysokości jego brody.

- Spójrz tylko!

W jej dłoni ziała dziura, czarny tunel biegł w głąb ramienia. Dwa małe, czerwone światełka. Oczy szczurów. Zbliżyły się, rosnąc, świecąc. Pojawiło się coś szarego i skoczyło w stronę jego twarzy.

Krzyknął, wysuwając przed siebie dłonie, próbując osłonić twarz.

Nogi ugięły się pod nim i upadł, roztrzaskując programator. Gdy padał, trzymając się za głowę, trysnęły wokół odłamki silikatu. Bolało, a kiedy bolało, był to prawdziwy ból.

- O mój Boże! - Zabezpieczenia odskoczyły i dziewczyna pochyliła się nad nim. - Hej, słuchaj, obudź się, dobrze!

Pomachała błękitnym ręcznikiem.

- Złap go, to cię podniosę.

Spojrzał na nią przez zasłonę łez. Studentka. Dobrze odżywiona. Luźna bluza, zęby tak równe i tak białe, że na ich podstawie można by chyba było dostać w banku kredyt. Jedną kostkę, pokrytą, jak dostrzegł, delikatnym, dziecięcym puszkami, okalał cienki złoty łańcuszek. Nieporządna, japońska fryzura. Pieniądze.

- Tę zabawkę miałem zmienić na obiad - powiedział smutno.

Dziewczyna uśmiechnęła się, lecz jednocześnie odsunęła od niego płochliwie.

- Chciałabym to jakoś naprawić - powiedziała. - Jesteś głodny? To była tylko projekcja. Już w porządku?

Poszedł za nią ostrożnie, jak zwierzę wchodzące w pułapkę.



- O cholera - powiedział Deke. - To prawdziwy ser...

Siedział na miękkiej kanapie, wciśnięty między półtorametrowego pluszowego niedźwiadka i górę dyskietek. Podłoga aż do kostek usłana była książkami, ubraniami i papierami. Ale żarcie, które wyczarowała dziewczyna... ser gouda, wołowina z puszki, placki z uczciwej, szklarniowej pszenicy... - było jak w „Baśni z tysiąca i jednej nocy”.

- I co? - zapytała. - Wiemy, jak właściwie traktować prolków, co?

Nazywała się Nancy Bettendorf. Miała siedemnaście lat. Obydwoje jej rodzice pracowali - chciwe skurwysyny - a ona kończyła studia techniczne w college'u Wilhelma i Marii. Same piątki, z wyjątkiem angielskiego.

- Chyba masz prawdziwego fioła na punkcie szcurów, co? Jakaś fobia?

Deke zerknął spod oka na jej łóżko. Tak naprawdę to wcale nie było go widać - po prostu wybrzuszenie podłogowej wykładziny.

- Nie w tym rzecz. Po prostu przypomniało mi się coś i tyle.

- A co? - Przykucnęła obok niego; luźna bluza podjechała wysoko na jej gładkim udzie.

- No... a czy to kiedyś widziałaś... - jego głos podniósł się niemal do pisku, zaczął mówić szybciej - ...widziałaś pomnik Waszyngtona? W nocy? Ma te dwa czerwone światełka na szczycie, dla samolotów chyba... i ja... i ja... - Deke dostał dreszczy.

- Boisz się pomnika Waszyngtona? - Nancy ryknęła śmiechem, przewracając się na plecy. Machała w powietrzu długimi, opalonymi nogami. Nosiła karmazynowe majtki do bikini.

- Wolałbym raczej umrzeć niż oglądać go raz jeszcze - odpowiedział Deke spokojnie.

Nancy nagle przestała się śmiać. Usiadła i uważnie spojrzała mu w twarz. Białe, równe zęby wbiła w dolną wargę, jakby zaczęła pojmwować coś, o czym nawet nie chciała myśleć. W końcu zaryzykowała:

- Blokada?

- Tak - odpowiedział Deke gorzko. - Powiedzieli mi, że już nigdy nie wrócę do stolicy. I śmiali się, skurwysyny.

- Za co ci to zrobili?

- Jestem złodziejem.

Nie miał zamiaru mówić jej, że zakwalifikowano go jako

notorycznego złodzieja sklepowego.



- Mnóstwo hakerów spędziło całe życie, programując maszyny. I wiesz co? Mózg człowieka w żadnym cholernym szczególe nie przypomina maszyny. W żadnym! One po prostu inaczej programują!

Deke znał to rozpaczliwe, desperackie gadanie; długie, okrągłe zdania rozciągane w nieskończoność, wygłaszane do przypadkowego słuchacza. Znał je z setek zimnych i pustych nocy spędzonych wśród nieznanym. Nancy po prostu pogubiła się w nich, a Deke, ziewając i przytakując, zastanawiał się, czy zdoła zachować przytomność do chwili, gdy w końcu walną się na to jej łóżko.

- Tę projekcję, którą tak cię przestraszyłam, zrobiłam sama - mówiła dziewczyna, podciągając kolana pod brodę. - Z myślą o bandziorach, wiesz? Po prostu zupełnie przypadkiem miałam ją na sobie i postraszyłam cię, bo pomyślałam, że to takie śmieszne: ty, próbujący sprzedać mi ten mały, gówniany, indojawajski programator. - Pochyliła się i znów wyciągnęła rękę.

- Popatrz.

Deke skulił się.

- Nie, nie. Przysięgam, to co innego.

Otworzyła dłoń. Tańczył na niej pojedynczy błękitny płomyk, doskonały i wiecznie zmienny.

- Spójrz na to - powiedziała z zachwytem. - Po prostu popatrz. Sama to zaprogramowałam. To też nie żadne oszukańcze, siedmioobrazkowe gównienko. To ciągła, dwugodzinna pętla, siedem tysięcy dwieście sekund, nic się nie powtarza; każda chwila jest tak odmienna jak jakieś cholerne płatki śniegu!

Wnętrze płomienia było czyste jak kryształ lodowy, ścianki i krawędzie szlif błyszcząły, zmieniały się i znikały, pozostawiając w oczach niemal podświadomie rozpoznawalne obrazy, tak jasne i czyste, że prawie raniły oczy. Deke drgnął. Widział przede wszystkim ludzi, śliczne, małe, gołe, pieprzące się ludziki.

- Jak ty to, do diabła, zrobiłaś?

Nancy wstała, deptając bosymi stopami ilustrowane magazyny, i dramatycznym gestem zgarnęła z półki zrobionej z surowej sklejki góry luźnych wydruków. Zobaczył równy rząd małych konsol, wyglądających dziwnie i bardzo drogo. Robota na zamówienie.

- Tu dopiero masz prawdziwy sprzęt. Wzmacniacz obrazów. Moduł szybkiego wymazywania. Analizator funkcji mózgu z modelem jeden do jednego.

Wymawiała te nazwy jak wierny litanie.

- Kwantowy stabilizator drgań. Kompilator programów. Asembler obrazów.

- I potrzebujesz tego wszystkiego, by zrobić jeden mały płomyk?

- A jak! To przecież rodzaj sztuki. Profesjonalny sprzęt projekcyjny. Miną lata, nim coś takiego zobaczysz!

- Hej - zainteresował się Deke. - A wiesz coś o SPADACH I FOKKERACH? Dziewczyna roześmiała się. Czując, że nadszedł już właściwy moment, Deke złapał ją za rękę.

- Nie dotykaj mnie, skurwysynu! Nigdy więcej mnie nie dotykaj! - Nancy wrzeszczała, a odskakując od niego, uderzyła głową w ścianę. Zbladła i trzęsła się ze zgrozy.

- Dobrze. - Deke wyciągnął ręce. - No dobra! Nie dotykam cię, stoję daleko. W porządku?

Nancy zasłoniła się przed nim. Jej rozszerzone strachem oczy były okrągłe, nie mrugała, w kącikach pojawiły się łzy i spłynęły po zbiegających policzkach. W końcu dziewczyna potrząsnęła głową.

- Hej, Deke, przepraszam. Powinnam ci wcześniej o tym powiedzieć.

- Powiedzieć o czym?

Deke poczuł, jak cierpnie mu skóra. Już wiedział. To, jak trzymała głowę na zeszywniałej szyi. Słaby, spazmatyczny ruch otwierających się i zamykających dłoni.

- Ty też masz blokadę.

- Tak.

Nancy zamknęła oczy.

- To blokada cnoty. Zapłacili za nią ci moi zaszrani rodzice. Nie mogę znieść, jak ktoś mnie dotyka, nawet jak stoi zbyt blisko.

Otworzyła oczy. Była w nich ślepa nienawiść.

- A ja przecież nie zrobiłam nic, zupełnie nic, kurwa ich mać! Ale oni mają pracę i tak się napalają na tę moją przyszłą karierę, że nie mogę nawet prosto szczać. Boją się, wiesz, że zaniedbam studia, płacząc się w seks, i to wszystko. W dniu, w którym zdejmą mi blokadę mózgu, będę się pieprzyć z najnędrniejszym, najtłustszym, najbardziej włochatym...

Znów złapała się za głowę. Deke poderwał się i przeszukał apteczkę. Znalazł słoik z witaminą B complex, na wszelki wypadek schował kilka pastylek do kieszeni, a Nancy zaniósł dwie i szklanekę wody.

- Masz. - Pilnował, żeby się za bardzo nie zbliżyć. - To cię trochę uspokoi.

- Tak, oczywiście - powiedziała dziewczyna, a później dodała, niemal do siebie: - Chyba myślisz, że jestem naprawdę stuknięta.



Pokój gier na dworcu Greyhounda był prawie pusty. Samotny czternastolatek z końską szczęką pochylał się nad konsolą, manewrując tęczą flotą łodzi podwodnych na mrocznym polu siatki współrzędnych północnego Atlantyku.

Deke wszedł powoli, udając kibica. Oparł się o ceglaną ścianę, wygładzoną niezliczonymi warstwami zielonej farby. Zdążył już utemperować swe prołowskie zachowania, zwędzić dzinsy i podkoszulkę ze stoiska Goodwilla i znaleźć parę butów w schowku sauny w domu o obniżonym standardzie bezpieczeństwa.

- Widziałeś tu gdzieś Malca, przyjacielu?

Łodzie rozbiegły się jak rybki neonki.

- Zależy, kto pyta.

Deke dotknął konsolki za lewym uchem. Spad wykręcił beczkę nad konsoletą, szybki i delikatny jak wałka. Był tak piękny, tak doskonały i tak prawdziwy, że pokój wydawał się przy nim złudzeniem. Korzystając z zaprogramowanych efektów lądowania, przeleciał tuż nad siatką współrzędnych, milimetry od szyby.

Chłopak nawet się nie pofatygował, by spojrzeć do góry.

- U Jackmana - powiedział. - Na Richmond Road, koło sklepu wojskowego.

Deke unicestwił maszynę w połowie świecy.

Lokal Jackmana zajmował większość trzeciego piętra starego, ceglanego budynku. Deke odnalazł najpierw sklep z wyprzedają towarów wojskowych, a dopiero potem spostrzegł uszkodzony neon nad nieoświetlonym wejściem. Chodnik przed budynkiem zaśmiecony był innego rodzaju towarem wojskowym z demobilu: siedzieli na nim okaleczeni weterani, niektórzy jeszcze z Indochin. Starzy mężczyźni, którym słońce Azji wypaliło oczy, siedzieli w kucki obok zeszeconych chłopców, którzy wdychali mikotoksyny w Chile. Kiedy drzwi poobijanej windy zamknęły się za nim z sykiem, Deke

poczuł się niemal szczęśliwy.

Stary, zakurzony zegar - reklamówka Dr. Peppera, wiszący w końcu długiego, widmowego pokoju, wskazywał za piętnaście ósma. Lokal Jackmana, po raz ostatni odnawiany mniej więcej dwadzieścia lat przed urodzinami Deke'a, krył się teraz pod żółtawym nalotem nikotyny, politory i brylantyny. Spod zegara patrzyły na Deke'a z oprawionego, powiększonego zdjęcia, pociemniałego na kolor karaluchów, martwe oczy kozła - cennego trofeum czyjegoś dziadka. Słychać było szum i stuk kul bilardowych oraz pisk obracających się na linoleum ciężkich butów roboczych, gdy gracze pochylali się do uderzenia. Gdzieś wysoko, ponad zielonymi kloszami lamp ktoś powiesił pasma bożonarodzeniowych łańcuszków z krepy, spleśniałych do bladego różu. Deke rozejrzał się po zaśmieconym wnętrzu. Nie dostrzegł wzmacniacza obrazów.

- Przynies jeden, chyba będziemy go potrzebowali - powiedział ktoś.

Deke obrócił się i spojrzał wprost w łagodne oczy łysego mężczyzny, zakryte okularami w drucianej oprawce.

- Nazywam się Cline, Bobby Earl. Nie wyglądasz na bilardzistę.

W głosie i postawie Bobby'ego Earla nie było jednak nic wyzywającego. Zdjął z nosa okulary i czyścił grube szkła rogiem chusteczki. Przypominał Deke'owi nauczyciela sklepowego, który kiedyś cierpliwie próbował nauczyć go regresywnej instalacji bioobwodów scalonych.

- Jestem graczem - powiedział Bobby Earl z uśmiechem. Miał białe plastikowe zęby. - Wiem, że nie bardzo na niego wyglądam.

- Szukam Malca - stwierdził Deke.

- Cóż. - Bobby Earl włożył okulary z powrotem na nos. - Chyba go nie znajdziesz. Pojechał do Bethseda, żeby mu wyczyścić kanalizację. I tak by przeciw tobie nie poleciał.

- A to czemu?

- Cóż, ty się jeszcze nie załapałeś, inaczej pamiętałbym twoją twarz. Jesteś dobry?

Kiedy Deke przytaknął, Bobby Earl krzyknął przez całą salę:

- Ty, Clarence! Przyniesź wzmacniacz. Mamy tu pilota.

Dwadzieścia minut później, po utracie kontrolki i całej pozostałej gotówki, Deke długimi krokami znów przechodził koło siedzących pod sklepem kalekich żołnierzy.

- Powiem ci coś, chłopcze - powiedział Bobby Earl ojcowskim tonem, odprowadzając go do windy i trzymając mu dłoń na ramieniu. - Z weteranami nigdy nie wygrasz, słyszysz! Ja nie jestem nawet szczególnie dobry, po prostu taki stary nudziarz, którego strzykali może z piętnaście, może ze dwadzieścia razy. Nasz Malec był prawdziwym pilotem. Przesłużył wojnę, nastrzykany po uszy. Dostał poważnego osłabienia błony komórek mózgowych. Ty go nigdy nie pokonasz.

Noc była zimna. Ale Deke płonął ze złości i upokorzenia.



- Jezu, ale to prymitywne - powiedziała Nancy, patrząc na spada ostrzeliwującego pagórki jej różowej bielizny. Deke, który siedział zgarbiony na kanapie, wyszarpnął z za ucha jej drogiego, małego Brauna.

- Lepiej zejdz ze mnie, ty bogata panno kurewko...

- Hej, rozchmurz się. Nie mówię o tobie, mówię o technice. Masz po prostu prymitywną płytkę. To znaczy, może i na ulicy jest niezła, ale w porównaniu z tym, co robię w szkole... jasne, powinieneś dać mi go do przeróbki.

- Co mówiłaś?

- Daj mi go wzmocnić. Te wszystkie dziecinady zapisano w systemie szesnastkowym, bo programiści przemysłowi to faceci, którzy nie sprawdzili się jako hakerzy. Daj, wezmę to na czytnik-analizator na wydziale, wprowadzę parę zmian, przetłumaczę na współczesny biojęzyk, wyrzucę wszystkie ogniwa pośrednie. To przyspieszy ci czas reakcji, skróci pętlę sprzężenia zwrotnego o połowę. Będziesz latał szybciej i lepiej. Zmienimy cię w prawdziwego zawodowca, w asa! - Pociągnęła z bongi i wyróciła koziółka, śmiejąc się i krztusząc.

- A to pomoże? - zapytał Deke z powątpiewaniem.

- Hej, a ty myślisz, że czemu ludzie kupują złocene kontrolki? Dla prestiżu? Gówno! Przewodnictwo jest lepsze, obcina parę nanosekund z czasu reakcji. A tu chodzi właśnie o czas reakcji, dziecino.

- Nie - zaprotestował Deke. - Gdyby to było takie łatwe, ludzie już by to mieli. Miałyby to Malec Montgomery. Najlepsze.

- Czy ty mnie w ogóle słyszałeś? - Nancy odstawiła bongę i na podłogę trysnęła brązowa woda. - Tego, nad czym ja pracuję, nie zobaczysz na ulicy jeszcze co najmniej przez trzy lata.

- O kurwa! - powiedział Deke po dłuższej chwili. - To znaczy, mogłabyś to zrobić?

Czuł się tak, jakby z forda T przesiadł się na forda lotusa 93. Spad dawał się pilotować jak marzenie, reagował na każdą myśl. Deke tygodniami ćwiczył w salonach gier wideo, wygrywając, jak chciał. Latał przeciwko miejscowym nastolatkom, spuszczać ich samoloty po jednym i po kilka. Ryzykował, grał jak błyskawica. Maszyny spadały na ziemię...

Aż pewnego dnia, kiedy zbierał wygraną, od ściany oderwał się wysoki, chudy czarnuch. Spojrzał na forszę i uśmiechnął się. Błysnął

rubinowy ząb.

- Wiesz - powiedział - słyszałem, że jest tu gość, co potrafi latać, a wygrywa z dziećmiakami.



- Boże - powiedział Deke, smarując bułkę z wodorostów duńskim masłem. - Podłogę wytarłem tymi smoluchami. Ale też byli dobrzy.

- To fajnie, kochanie - mruknęła Nancy. Pracowała nad swym projektem dyplomowym, z uporem wprowadzając dane do komputera.

- Wiesz, myślę sobie, że może ja też mam przypadkiem talent do tych rzeczy. Wiesz? To znaczy, oczywiście, program daje mi przewagę, ale mam ten dar, że umiem ją wykorzystać. Wiesz, tam już naprawdę zaczynam być znany.

Pstryknął gwałtownie gałkami radia. Ryknął kiepski dixieland.

- Hej - powiedziała Nancy. - Mógłbyś to wyłączyć?

- Nie, ja tylko... - Kręcił gałkami, aż wreszcie złapał jakiś romantyczny, słodki kawałek. - O, chodź! Zatańczymy!

- Przecież wiesz, że nie mogę...

- Ależ możesz, słoneczko. - Rzucił jej wielkiego, pluszowego misia, a sam porwał z podłogi kolorową, bawełnianą sukienkę. Trzymał ją w pasie i za rękaw, a kołnierzyk włożył pod brodę. Sukienka pachniała paczulą i - znacznie słabiej - potem.

- Widzisz, ja stoję tu, ty stoisz tam. Tańczymy razem, rozumiesz?

Nancy stała, mrugając oczami i tuląc pluszowego niedźwiadka. A potem powoli zaczęli tańczyć, patrząc sobie w oczy. Po chwili dziewczyna rozplakała się. Ale uśmiechała się przez łzy.



Deke śnił na jawie, wyobrażając sobie, że jest Malcem Montgomerym włączonym w bojowy odrzutowiec. Wyobrażał sobie, że maszyna reaguje na najdrobniejszy impuls płynący przez jego nerwy, że odruchy ma wyostrzone daleko poza normalność, że stymulant płynie w jego żyłach równym strumieniem.

Podłoga pokoju stała się dżunglą, łóżko Nancy płaskowyzem u stóp Andów. A Deke leciał swym spadem z pełną prędkością, jakby był to w pełni uzbrojony, bojowy myśliwiec. Strzykawki komputera wbijały w jego krwiobieg powolny strumień mieszanki przyspieszającej reakcje. Podłączone bezpośrednio do jego czaszki sensory prowadziły samolot świecą wprost w zielonobłękitną kopułę nieba nad boliwijską dżunglą. Malec czułby nawet pęd powietrza na lotkach.

A niżej pechowcy przebijali się przez dżungłę z pompami przyczepionymi nad łokciami; pompami wstrzykującymi im trochę tej furii niezbędnej w śmiertelnym tańcu - zastrzyk płynnego piekła w niebieskich plastikowych ampułkach. Dostawali go może na dziesięć minut w tygodniu. Ale ci, co lecieli lotem koszącym, z napiętymi do granic wytrzymałości nerwami - a lecieli nisko, by nie dostrzegł ich żaden z żołnierzy na ziemi, póki na głowę nie spadną mu chmury fosgeny, i nie zwieją, nim zdążą ich namierzyć - ci musieli dostawać ciągłe dawki, żeby się tylko utrzymać. A bezpośredni związek z maszyną na poziomie nerwowym działał w obie strony. Komputery pokładowe śledziły przemiany biochemiczne w organizmie i decydowały, kiedy otworzyć śluzę, kiedy wstrzyknąć swemu ludzkiemu komponentowi śmiertelną dawkę sprawności bojowej.

Takie dawki po prostu niszczyły. Powoli, równomiernie i

skutecznie, wyżerając płaty mózgu, rozkładając błonę komórek mózgowych. Jeśli odpowiednio wcześniej nie zabroniono ci latać, kończyłeś z osłabieniem błony komórek mózgowych, z odruchami zbyt szybkimi, by ciało mogło za nimi nadążyć, i z zakodowaną na dobre reakcją „walcz lub wciek”...



- Zrobiłam to, prołku!

- Co? - Zaskoczony Deke podniósł wzrok na Nancy, która wbiegła do pokoju, rzucając książki i torbę na najbliższą górę ubrań.

- Mój dyplomowy projekt. I jestem zwolniona z egzaminów! Profesorek powiedział, że w życiu czegoś takiego nie widział! Przyciemnij trochę światło, te barwy rażą mnie w oczy.

Deke usłuchał.

- To pokaż mi - powiedział. - Pokaż mi te cuda!

- Ależ oczywiście!

Złapała jego kontrolkę, rozkopała trochę śmieci na łóżku, żeby zrobić sobie wolne miejsce, i przyjęła odpowiednią pozę. Iskra rozpłomieniła się na jej dłoni, rozlała jak płynne srebro po ramieniu i szyi i zmieniła w węża o trójkątnej głowie i ruchliwym języku. Jaskrawe kolory - pomarańczowy i czerwony. Wąż ześliznął się pomiędzy jej piersi.

- Nazwałam to ognistym wężem - powiedziała dziewczyna z dumą.

Deke pochylił się ku niej i Nancy odskoczyła.

- Przepraszam. To tak jak z tym płomykiem, co? To znaczy, można w tym zobaczyć te pieprzące się ludziki?

- Tak jakby. - Wąż pełzł w dół jej brzucha. - W przyszłym miesiącu

zamierzam połączyć łącznikami dwieście oddzielnych programów płomienistych, żeby dostać obrazy. Później włączę w nie psychiczny obraz ciała, żeby wszystko stało się samorientujące. I wtedy wąż będzie pełzać po całym ciele, bez żadnej świadomej kontroli. Będzie można nosić to w tańcu!

- Może jestem głupi, ale jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś, to jakim cudem ja to widzę?

Nancy zachichotała.

- To właśnie najlepsze! Połowa roboty jeszcze niezrobiona. Nie miałam czasu zebrać kawałków w skończony program. Włącz radio, dobrze? Chcę tańczyć!

Zrzuciła buty. Deke znalazł coś ostrego, a później, na prośbę dziewczyny, przyciszył to aż to szeptu.

- Dobrałam się do dwóch porcji, wiesz. - Nancy skakała po łóżku, poruszając rękami jak tancerka z Bali. - Próbowaleś tego kiedyś? Daje ci coś w rodzaju najpełniejszej koncentracji. - Nancy stanęła *en pointe*. - Nigdy nie potrafiłam tego zrobić!

- Środek, co? - powiedział Deke powątpiewająco. - Ostatnia osoba, o której słyszałem i którą na tym złapano, dostała trzy lata w piechocie.

- Zrobiłam interes z weteranką, która była w szkole podyplomowej. Wywalono ją w zeszłym miesiącu. To daje mi pełną wizualizację. Mogę kontrolować program z zamkniętymi oczami. Błyskawiczna kompilacja programu w głowie.

- Tylko na dwóch dawkach?

- Na jednej. Drugą oszczędziłam na później. Stary był tak zachwycony, że skierował mnie na spotkanie z pracodawcą. Naganiacze z I. G. Feuchtwaren przyjadą do kampusu za dwa tygodnie. Szef chce im sprzedać i program, i mnie. Wyrwę się ze szkoły dwa lata wcześniej, i to wprost do przemysłu. Nie przejdę

przez więzienie, nie będę płacić dwustu dolarów.

Wąż zwinął się w płonący diadem. Deke zadrżał na myśl o Nancy znikającej z jego życia.

- Jestem czarodziejką - śpiewała Nancy. - Czarodziejką biosprzężeń!

Zerwała koszulę przez głowę i wyrzuciła ją w powietrze. Tańczyła, a jej ładne, pełne piersi poruszały się wdzięcznie.

- *Mam zamiar zrobić to...* - śpiewała teraz najnowszy przebój - *...do końca!* Sutki jej piersi były małe, różowe, nabrzmiące. Płomienny Wąż musnął je językiem i cofnął się.

- Hej, Nancy. - Deke speszył się nieco. - Uspokój się, dobrze?

- Świętuję! - Dziewczyna wsunęła palec w błyszczące, złote majtki. Płomień otoczył jej dłoń i krocze.

- *Jestem dziewiczą boginią i mam moooc!* - Nancy zaśpiewała od nowa.

Deke odwrócił wzrok.

- Muszę iść - mruknął. - Muszę iść do domu i odpocząć.

Zastanawiał się, gdzie schowała drugą dawkę. Przecież mogła schować ją wszędzie.



Wśród graczy obowiązywał protokół, cichy porządek pierwszeństwa i posłuszeństwa, tak skomplikowany, jak na dworze mandaryna. To, że Deke był szybki, że jego sława rosła jak pożar lasu, znaczyło niewiele. Nawet znany pilot nie mógł kogoś wyzwać ot, tak sobie. Lecz jeśli latałeś po całych nocach, jeśli odpowiadałeś na każde wyzwanie i jeśli byłeś dobry, awansowałeś szybko.

Deke miał przewagę jednej maszyny. Było to spotkanie turniejowe - trzy maszyny na trzy. Widzów niewielu, może ze

dwunastu, ale to była dobra walka i mieli powody, żeby sobie trochę pohłasować. Pograżony w szalonym spokoju walki Deke nie od razu zorientował się, że wokół zapadła cisza. Zauważył poruszenie i wymowną wymianę spojrzeń. Patrzone na coś za jego plecami. Usłyszał, jak otwierają się drzwi windy. Chłodno i spokojnie zestrzelił drugi samolot przeciwnika i zaryzykował szybkie spojrzenie przez ramię.

Do Jackmana wjeżdżał właśnie Malec Montgomery. Jego wózek jechał po brudnym linoleum poruszany drobnymi skurczami jednej, nie do końca sparaliżowanej dłoni. Wyraz twarzy Malca był poważny, nieprzenikniony i łagodny.

W tej właśnie chwili Deke stracił dwa samoloty. Jeden przez rozproszenie uwagi - maszyna rozmazała się i wzmacniacz ją po prostu unicestwił - a drugi dlatego, że jego przeciwnik był prawdziwym pilotem. Facet wykręcił beczkę, zmniejszając szybkość, zszedł w ześlizgu i zestrzelił dwupłat Deke'a, gdy ten przelatywał przed nim. Ich dwie ostatnie maszyny leciały na tej samej wysokości i z tą samą szybkością, więc gdy skrzyły, starając się zdobyć dogodną pozycję do ataku, oczywiście zaczęły krążyć.

Kibice rozstąpili się i Malec mógł dojechać do samego stołu. Bobby Earl Cline szedł za nim, wysoki, chudy, obojętny. Deke i jego przeciwnik wymienili spojrzenia i ściągnęli maszyny znad stołu, by móc słyszeć rozmowę. Malec uśmiechnął się. Rysy miał drobne, jakby skupione pośrodku bladej, miękkiej jak ciasto twarzy. Jeden palec drżał mu lekko na chromowym oparciu wózka.

- Słyszałem o tobie.

Spojrzał wprost na Deke'a. Jego głos był miękki i szokująco słodki. Cichy, dziewczęcy głos.

- Słyszałem, że jesteś dobry.

Deke wolno skinął głową. Uśmiech spęłzył z twarzy Malca. Jego

miękkie, mięsiste wargi przybrały swą naturalną pozycję - wydęte jakby do pocałunku. Małe, błyszczące oczka przyglądały się Deke'owi uważnie, lecz bez złości.

- Wobec tego zobaczymy, co potrafisz.

Deke pogрузił się w zimnej, wojennej grze, a gdy jego przeciwnik spadł już wśród płomieni i dymu, by rozbić się o powierzchnię stołu, Malec bez słowa zawrócił wózek, wjechał do windy i zniknął.

Deke zbierał właśnie forszę, gdy Bobby Earl Cline podszedł do niego i powiedział:

- On chce z tobą zagrać.

- Tak? - Deke był jeszcze bardzo daleko od pozycji, z której mógłby wyzwąć Malca. - Skąd ten pośpiech?

- Odwołał się ktoś, kto miał jutro przylecieć z Atlanty. Nasz Malec aż rwał się do tego, by polatać przeciw komuś nowemu. Więc wygląda na to, że możesz powalczyć o Maka.

- Jutro? W środę? Niewiele mam czasu na przygotowanie.

Bobby Earl uśmiechnął się uprzejmie.

- Nie sądzę, by robiło to jakąkolwiek różnicę.

- Jak to, panie Cline?

- Chłopcze, ty nie kręcisz akrobacji. Wiesz, o czym mówię? Niczym nie zaskakujesz. Latasz po prostu jak żółtodziób, tylko szybciej i pewniej. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Nie jestem pewien. Pan by chciał, żeby więcej się działo?

- Żeby nie skłamać, taką mam nadzieję.

Wyjął z kieszeni notesik i polizał czubek ołówka.

- Stawiam pięć do jednego. Nikt ci nie da lepiej.

Spojrzał na Deke'a niemal smutno.

- Ale Malec, on po prostu z natury jest lepszy do ciebie, chłopcze, i to wszystko, co się liczy. On żyje tą cholerną grą, nie ma nic innego. Nie może wstać z tego pieprzonego wózka. Jeśli myślisz, że możesz

pokonać kogoś, kto walczy o życie, to sam się po prostu oszukujesz.



Z przeciwnej strony Richmond Road, w Kentucky Fried, malowany przez Normana Rockwella portret pułkownika spokojnie przyglądał się siedzącemu w kawiarni Deke'owi. Deke trzymał filiżankę w zimnych, drżących dłoniach. W głowie huczało mu ze zmęczenia.

- Cline ma rację - powiedział pułkownikowi. - Mogę walczyć z Malcem, ale nie mogę go pokonać.

Pułkownik odwzajemnił spojrzenie, bez złości i bez szczególnej sympatii, obejmując wzrokiem całe swe zsrane królestwo Richmond Road, kawiarenkę, sklep. Cekał, by Deke uświadomił sobie, jak straszną rzecz musi zrobić.

- Ta suka i tak ma zamiar mnie rzucić. - Deke powiedział to tak głośno, że czarna dziewczyna najpierw spojrzała na niego zza kontuaru, a później szybko odwróciła wzrok.



- Dzwonił ojciec! - Nancy, tańcząc, wbiegła do mieszkania i zatrzasnęła za sobą drzwi. - I wiesz co? Powiedział, że jeśli zdobędę tę pracę i utrzymam ją przez sześć miesięcy, każe mi zdjąć blokadę. Czy możesz w to uwierzyć, Deke? Deke? - zawahała się. - Deke, dobrze się czujesz?

Wstał. Teraz, kiedy nadeszła wreszcie ta chwila, czuł się nierzeczywisty, jakby to wszystko działo się w kinie albo coś takiego.

- Dlaczego nie przyszedłeś tej nocy do domu?

Skóra na jego twarzy napięła się nienaturalnie jak pergaminowa maska.

- Gdzie schowałaś kapsułkę, Nancy? Potrzebuję tego.

- Deke - powiedziała, próbując się uśmiechnąć, nagle jednak spoważniała. - Deke, to moje. To mój strzał w dziesiątkę. Potrzebuję go. Na spotkanie w sprawie pracy.

Deke uśmiechnął się pogardliwie.

- Masz pieniądze. Znajdziesz inną okazję.

- Nie do piątku. Słuchaj, to naprawdę ważne. Całe moje życie zależy od tej rozmowy. Potrzebuję tej kapsułki. To wszystko, co mam.

- Ty masz cały ten pieprzony świat, dziecino. Tylko się rozejrzyj. Sześć uncji cudownego libańskiego haszu. Koreczki śledziowe w puszkach. Nieograniczona pomoc medyczna, jeśli tylko jej potrzebujesz.

Cofała się przed nim, potykając się o nieruchome fale brudnej pościeli i pogniecionych pism, zaścielających jej łóżko.

- A ja? Ja nigdy nie miałem nawet cienia tego wszystkiego. Nigdy nie miałem nawet szansy. No i tym razem dostałem szansę! Za dwie godziny walczę i mam zamiar, kurwa, wygrać? Słyszysz?

Bardzo chciał się doprowadzić do wściekłości. I udało się. Dobrze. Musiał być wściekły, żeby zrobić to, co miał zamiar zrobić.

Nancy wyrzuciła przed siebie rękę, palcami w górę, ale był na to przygotowany. Odtrącił ją, nie patrząc nawet w ciemny tunel, a tym bardziej w małe czerwone ślepia. A później obydwójce upadli - on przewrócił się na nią. Czuł na twarzy jej gwałtowny, gorący oddech.

- Deke, Deke, ja tego tak cholernie potrzebuję. Deke, ta rozmowa to jedyna... muszę... muszę...

Odwróciła zapłakaną twarz w kierunku ściany.

- Boże, proszę, proszę nie...

- Gdzieś to schowała?

Przycisnięta do łóżka, przykryta jego ciałem, zaczęła się wić, cała drżąca z bólu i strachu.

- Gdzie to jest?

Krew odpłynęła jej z twarzy. Szare, martwe ciało. Usta wykrzywił grymas. Za późno już było, by przerwać, granica została przekroczona. Deke czuł odrazę i mdłości, zwłaszcza że w jakiś przewrotny, odpychający sposób sprawiało mu to przyjemność.

- Gdzie to jest, Nancy? - I powoli, delikatnie, zaczął ją głaskać po twarzy.



Deke przycisnął guzik windy u Jackmana. Jego palec poruszał się szybko i dokładnie jak szerszeń, a opadł na przycisk delikatnie jak motyl. Deke czuł w sobie kipiącą energię, którą potrafił kontrolować. Już po drodze przestał mieć wyrzuty sumienia. Chuchnął na swe odbicie w wypolerowanym przez niezliczone palce chromie. Źrenice miał cienkie jak łebki szpilek, niemal niewidoczne, lecz cały świat błyszczał mu w oczach neonowym blaskiem.

Malec czekał. Kąciki jego ust uniosły się w słodkim uśmiechu, gdy tylko dostrzegł tęczówki Deke'a, przesadzony spokój jego ruchów i niezdarne usiłowania, by ukryć swój stan.

- Cóż - powiedział swym dziewczęcym głosem. - Wygląda na to, że będę miał przyjemność.

Max wisiał na jednej z chromowanych rurek inwalidzkiego fotela. Deke zajął pozycję i ukłonił się, nie całkiem kpiąco.

- Lecimy - powiedział.

Jako wyzywający, bronił się. Zmaterializował więc swe samoloty

na zachowawczej wysokości - wystarczająco wysoko, by nurkować, wystarczająco nisko, by w porę zauważyć atak.

Czekał.

A tłum napierał. Grubas z wybrylantowanymi włosami sprawiał wrażenie zaskoczonego, chudzielec o głęboko osadzonych oczach zaczął się uśmiechać. Przez tłum przebiegł pomruk. Oczy poruszyły się w głowach sprawiających wrażenie nieruchomych. Potrzebował może trzech nanosekund, by zorientować się, z której strony Malec zaatakuje. Podniósł głowę...

O kurwa! Był ślepy! Fokkery pikowały wprost spod dwustuwatowej żarówki, a Malec oszukał go jak dziecko, każąc mu spojrzeć w tę stronę. Deke nie widział nic. Zacisnął powieki, czuł wzbierające łzy, kurczowo starał się podtrzymać wizualizację. Rozerwał szyk, manewrując dwoma maszynami w prawo, a jedną w lewo, natychmiast rzucił je w półbeczkę i znowu w zakręt. Uniki musiał robić na ślepo - nie potrafił powiedzieć, gdzie są nieprzyjacielskie dwupłaty.

Malec zachichotał. Deke usłyszał ten chichot przez hałasy tłumu, przez okrzyki radości i klątwy, i przez brzęk lecących monet - rytm synkopujący wzloty i upadki walki.

Kiedy po ułamku sekundy wrócił mu wzrok, zobaczył, że jeden ze spadów płonie i leci w dół. Fokkery siedziały na ogonach dwóch pozostałych, dwa za jednym, jeden za drugim. Trzy sekundy pojedynku, jedna maszyna mniej.

Uchylając się przed lecącymi wprost na niego smugowymi seriami, Deke wykręcił pętlę tą maszyną, która tropiona była przez jednego przeciwnika, a drugą wleciał w martwy punkt - pomiędzy samego Malca a dwustuwatową żarówkę.

Twarz Malca stała się nagle bardzo spokojna. Najmniejszego choćby cienia rozczarowania, a może nawet pogardy - wszystko

rozpłynęło się w masce spokoju. Tropił maszyny przeciwnika i czekał. Spad i fokker zakręciły jeszcze raz. Na twarzy Malca pojawiło się teraz napięcie, echo walki pod głębokim niebem dżungli. Razem pilotowali swe samoloty, czując wzrastające napięcie, przekazywane wprost z instrumentów pokładowych do mózdzku. Pod pachami pracowały pompy adrenaliny, czuli zimny, błyskawiczny pęd powietrza na powierzchniach nośnych, zmieszany z zapachem rozgrzanego metalu i płynącego ze strachu potu. Serie przeleciały mu tuż koło twarzy. Deke wykonał unik, ciągle jednak widział spada pilnowanego przez fokkera. Oba pozostały nietknięte. Kibice po prostu oszaleli, machali czapkami, zachowywali się jak szaleńcy boży. Deke patrzył Malcowi w oczy. Stawał się coraz bardziej przebiegły. I chociaż każdy jego mięsień napięty był aż do ostatecznych granic, jak przewody z krystalicznego węgla trzymające w kupie odrzutowiec podczas nadludzkich zwrotów nad Andami, wykrzywił twarz w fałszywym uśmiechu i mrugnął do Malca. Przechylił lekko głowę, jakby chciał dać mu do zrozumienia: spójrz tam!

I Malec zerknął w bok.

Odwrócił wzrok tylko na ułamek sekundy, ale i to wystarczyło. Deke złożył maszynę w immelmanie tak szybkim i ciasnym, że takiego jeszcze tu nie widziano - na granicy tolerancji. I wisiał teraz na ogonie maszyny Malca.

Zobaczymy, jak z tym sobie poradzisz, dzidziusiu!

Malec spikował wprost w zieloną równinę. Deke leciał za nim. Nie strzelał. Miał go teraz tam, gdzie chciał go mieć.

Malec uciekał. Jak w każdej swej bojowej misji. Może i nastrzykany po uszy, może, lecz wiejący i przerażony. Lecieli lotem koszącym tuż nad filcem. Koniec, pomyślał Deke i zwiększył szybkość. Kątem oka dostrzegł twarz Bobby'ego Earla Cline'a i zobaczył dziwny wyraz jego oczu. Jakby błagalny. Malec sprawiał

wrażenie załamane; jego twarz skrzywiona była niczym w bólu.

Ciągle w panice, skierował dwupłat w tłum. Samoloty przeskakiwały przez kibiców i krążyły wokół nich. Niektórzy uchylali się mimowolnie, inni ze śmiechem próbowali je złapać. A w oczach Malca płonął gorący ogień strachu, mówiący o wieczności przerażenia i poczuciu uwięzienia, dwóch ostrzach ocierających się o siebie w nieskończoność...

Strach przed śmiercią w powietrzu, poczucie zamknięcia w metalu - najpierw w samolocie, później w inwalidzkim wózku. Walka była jego jedyną ucieczką i Malec w pełni korzystał z tej szansy. Do czasu, gdy jakiś anonimowy „nationalista”, w stareńkim SAM-ie zestrzelił go z błękitnozielonego, boliwijskiego nieba wprost na Richmond Road, do Jackmana, i postawił naprzeciw uśmiechniętego zabójcy, stojącego po raz ostatni po przeciwnej stronie przykrytego wytartym sukniem stołu i patrzącego wprost w oczy.

Deke wspiął się na palce. Na twarzy płonął mu szeroki, wart milion dolarów uśmiech - firmowy znak środka, który zniszczył Malca, nim jeszcze ktoś zatroszczył się o to, by strącić go z nieba w gorącej mieszaninie metalu i poszarpanego ciała. Wszystko było już jasne. Deke zrozumiał, że to właśnie latanie było tym, co trzymało Malca w kupie. Każdego dnia odsuwało od niego widmo śmierci, pozwalało mu powstać z metalowej trumny znów żywym. Malec powstrzymywał upadek czystą siłą woli. Złamać tę siłę, a śmierć wypłynie i zatopi go. Malec pochylił się i wyrzygał na własne kolana.

I Deke skończył walkę.



Na moment zapadła pełna zdumienia cisza. Ostatni z samolotów

Malca znikł w błysku światła.

- Dałem mu radę - szepnął Deke. A później, głośniej: - O kurwa! Dałem mu radę!

Po przeciwnej stronie stołu Malec drgającą spazmatycznie dłonią obrócił fotel. Głowa opadła mu na ramię. Zza jego pleców Bobby Earl Cline wpatrywał się w Deke'a płonącymi jak węgle oczami.

Gracz chwycił Maxa i jego wstążką owinał kupkę oprawnych w plastik papierowych pieniędzy. Nagle cisnął paczuszką w twarz Deke'a. Ten bez wysiłku, z uśmiechem, złapał ją w powietrzu.

I właśnie wtedy, przez moment, wydawało się, że Cline skoczy na zwycięzcę wprost przez stół, ale zatrzymało go szarpnięcie za rękaw.

- Bobby Earl. - Głos Malca był zduszony ze wstydu. - Zabierz mnie, zabierz mnie stąd.

Dławiąc wściekłość, Cline popchnął wózek i obaj znikli w cieniu.

Deke odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem. O Boże, jak dobrze się czuł. Wsunął Maxa w kieszeń koszuli, a pieniądze w kieszeń dzinsów. Miał wrażenie, że dosłownie wylewają się z niego dzikie fale tryumfu, delikatne i silne jak jelenie, które widział kiedyś z okien autobusu. Miał ochotę podskakiwać. W jednej, jedynej chwili wydawało mu się, że wszystko to było czegoś warte, ta nędza i ból. Warte zwycięstwa.

Ale Jackman trwał w ciszy. Nikt go nie pozdrawiał. Nie tłoczono się, żeby mu gratulować. Deke oprzytomniał, ucichł, zaczął dostrzegać nieprzyjazne twarze. Nikt tu nie był po jego stronie. Wszyscy okazali mu pogardę, nawet nienawiść. Przez dłuższą chwilę w powietrzu wisiał gwałt... a później ktoś się odwrócił, ktoś chrząknął i odplunął na podłogę. Tłum poruszył się, rozległy się pomruki i - jeden po drugim - ludzie rozeszli się w ciemność.

Deke stał nieruchomo. Mięśnie nogi zaczęły mu drzeć, zwiastując szok po środku. Czubek głowy miał jakby zdrętwiały, w ustach czuł

wstrętny smak. Przez kilka sekund musiał opierać się rękami o stół. Bał się, że upadnie na zawsze w żywy, rozciągający się pod nim cień. Wisiał tak, przygwożdżony martwym wzrokiem jelenia z fotografii pod zegarem.

Trochę adrenaliny mogło go z tego wyciągnąć. Potrzebował celebracji. Upić się lub zaćpać i gadać, gadać, gadać o zwycięstwie, ubarwiając szczegóły, myląc się raz po raz w detalach, śmiejąc się i przechwalając. Być gwiazdą przez tę jedną noc, jak ci, którzy mają o czym mówić. Stojąc tu, w ciemnym, wielkim, cichym Jackmanie, Deke zorientował się nagle, że nie został mu nikt. Że nie ma się do kogo odezwać.

Że nie ma nikogo.

Przełożył Krzysztof Sokołowski

Karen Joy Fowler

STWARZANIE

SF to tylko jeden z kilku „dialektów”, którymi Karen Joy Fowler (ur. 1950) opowiada barwne, pełne emocji historie ludzkich związków. SF zaczęła pisać w 1986r. i początkowo były to opowiadania, z których wiele zostało zebranych w „Artificial Things” (1986; Nagroda Johna W. Campbella dla najlepszego debiutu) i w „Letters from Home” (1991, gdzie znalazły się opowiadania autorstwa jej i Pat Cadigan) oraz „Black Glass” (1998). Bohaterowie jej opowieści borykają się z poczuciem braku spełnienia i z emocjonalnymi kryzysami. Bohater „Lieserl”, Albert Einstein formułujący teorię względności, otrzymuje szereg tajemniczych listów, dotyczących życia jego córki. „The Lake Was Full of Artificial Things” to sugestywna refleksja na temat wojny wietnamskiej; kobieta, za pomocą sztucznych środków odzyskująca wspomnienia zabitego w walce chłopca, uświadamia sobie popełnione wobec niego błędy. „Sarah Canary” (1991, wydana w Polsce) to pamiętna wariacja na temat pierwszego kontaktu, w którym historia Obcego w ciele kobiety, starającego się zintegrować z amerykańskim społeczeństwem na północno-zachodniej granicy w 1873r., stanowi przykład losu grup społecznych, dyskryminowanych z powodu płci i rasy. Fowler jest także autorką powieści obyczajowych „The Sweetheart Season” (1996), „Sister Noon” (2001) i „Klub Miłośników Jane Austen” (2004).

Było to niemal jak samotność. Taki, który przez większość życia w ten czy inny sposób bywał samotny, zauważył to i uznał, że sobie z tym poradzi. Czy miał inny wybór? Po prostu pozwolił sobie liczyć na coś innego. Druga gwiazda, mała i blada, dołączyła na niebie do słońca, ukazując się nad wiszącym mostem spinającym brzegi pustej rzeki. Taki pospiesznie przeszedł przez most, by wrócić, zanim zacznie się największy upał.

Coś błysnęło w pyle pod jego stopami. Pochylił się, by to podnieść. Był to jeden z wierszy Hesper, niedokończony, zostawiony na zewnątrz na całą noc. Taki nie czytał już wierszy Hesper. Nie było w nich żadnego odbicia, żadnego cienia jej życia z nim, za to nieustanna tęsknota za rzeczami i ludźmi, którzy zostali za nią. Schował wiersz do kieszeni, stanął przed drzwiami domu i sztywną szczotką wiszącą na futrynie oczyścił się z kurzu. Wprowadził hasło i drzwi zamknęły się za nim z cichym cmoknięciem.

Hesper zostawiła mu szklankę zimnej ade. Taki wypił ją jednym haustem, zostawiając zakurzone ślady palców na jej śladach, lekko odciśniętych w mgiełce pokrywającej szkło. Napój był mocno posłodzony i jeszcze bardziej zaostrzył jego pragnienie.

Pokoje oddzielała zasłona z niebieskiego prześcieradła, wynalazek Hesper, ponieważ mieszkanie zostało zaprojektowane jako pojedyncza przestrzeń wielofunkcyjna. Zza zasłony dobiegał głos; Taki domyślił się, że Hesper znowu słucha listu matki - pogoda na Ziemi, romanse jej młodszych kuzynek. List przybył wiele tygodni temu, ale Taki bardzo starannie unikał przypominania Hesper, jak zestarzały się te nowiny. Jeżeli postanowiła się łądzić, że życie jej rodziny toczy się w tym samym strumieniu czasu, co jej własne, to widać takich złudzeń potrzebuje. Przecież znała prawdę. W czasie, kiedy ona podróżowała z Takim, jej matka zestarzała się i umarła, jej kuzynki zawarły szczęśliwe lub nieszczęśliwe małżeństwa bądź

samotnie stawiały czoła życiu. Listy, które nadal przybywały dość regularnie, były iluzją. Hesper odpowie na nie o jedno życie później.

Taki schylił się i przeszedł pod zasłoną.

- Gorąco - powiedział, jakby to było coś nowego.

Hesper leżała na macie, na brzuchu, ze zgiętymi i skrzyżowanymi nogami. Włosy koloru suchej trawy zasłaniały jej twarz. Taki przez chwilę przyglądał jej się.

- Masz - odezwał się. Wyjął z kieszeni wiersz i położył jej koło dłoni. - Leżał od frontu.

Hesper wyłączyła list i odwróciła się na plecy, odsuwając od kartki. Bardzo starannie omijała Takiego wzrokiem. Policzki miała poznaczone nieregularnymi czerwonymi plamami, co zdradzało, że znowu płakała. Obudziło to w Takim znaną mu dobrze mieszankę współczucia i zniecierpliwienia. Jego uczucia do Hesper zawsze zjawiały się w takich niewygodnych kombinacjach i bardzo go to męczyło.

- Od frontu - powtórzyła Hesper, a w jej głosie słychać było wyćwiczony ton obojętnej złośliwości. - A na jakiej podstawie założyłeś, że ta część pozbawionego cech charakterystycznych terenu jest „frontem”?

- Na podstawie drzwi. Mamy tylko jedno drzwi, więc są to drzwi frontowe.

- Nie. Gdybyśmy mieli dwoje drzwi, jedno można by ewentualnie nazwać frontowymi, a drugie tylnymi, ale drugich nie ma, więc to po prostu drzwi. - Jej spojrzenie powędrowało do góry. - Tak beztrąsko używasz słów. Słów z innego świata. Tutaj nic one nie znaczą. - Jej powieki trzepotały przez chwilę, rzęsy pociemniały od łez. - Wiesz, to mnie nie tylko denerwuje. To po prostu musi zaszkodzić twojej pracy.

- Moją pracą jest badanie menów - odpowiedział. - Nie stworzenie nowego języka.

Oczy Hesper się zamknęły.

- Naprawdę nie widzę różnicy - powiedziała. Przez chwilę leżała bez ruchu, potem znów spojrzała prosto na niego. - Nie chcę tej rozmowy. Nie wiem, dlaczego ją zaczęłam. Przewińmy taśmę i puśćmy jeszcze raz. Tym razem będę żoną. Ty wejdiesz ze słowami: „kochanie, wróciłem!”, a ja zapytam, jak ci minął ranek.

Taki zaczął tłumaczyć, że to właśnie jest scena z innego świata, która tutaj nic nie będzie znaczyć, ale jeszcze nie zakończył zdania, kiedy usłyszał otwieranie śluzy drzwi, a twarz Hesper skamieniała i zbladła. Sięgnęła po wiersz i wsunęła go pod przepasującą ją szarfę. Zanim zdołała wstać, pierwszy mene wszedł do ich sypialni. Taki przeszedł pod zasłoną, by zamknąć drzwi, zanim temperatura w domu wzrośnie. Zewnętrzne pomieszczenie pełne było kurzu, a ręce, które się do niego wyciągnęły, zostawiły brudne smugi na jego ubraniu i skórze. Naliczył ośmiu mene, fruujących wokół niego jak wielkie ćmy, ćmy wielkości ludzkich dzieci, ale o futrzanych, szcążkowych skrzydłach, korpusach jak klepsydry i patykowatych odnóżach. Tańczyli wokół niego na otwartej przestrzeni, zaglądali do szafek, strącali nagrania z jego biurka. Kiedy odwracali się plecami, widział symetryczne skupiska ciemnych punktów, znaczących ich skrzydła wzorem przypominającym ludzką twarz. Bardzo smutną twarz, ale bardzo wyraźną. Takemu zawsze wydawała się męska, ale Hesper była innego zdania.

Grupa, która pod przewodnictwem Hansa Mene wiele lat temu pierwsza nawiązała kontakt, rozważnie uznała, że twarze te zbyt trudno opisać, by wspominać o nich w raporcie. Dołączyli natomiast zdjęcia, by mówiły same za siebie. Być może pierwsi badacze zadawali to samo pytanie, co Hesper, kiedy Taki po raz pierwszy pokazał jej fotografie. Czy ta twarz naprawdę tam jest? Czy też jest to tylko dowód ludzkiej skłonności dostrzegania wszędzie wizerunków

swoich twarzy? Hesper napisała wiersz zatytułowany „Kuchenny Bóg”, przytaczający prawdziwą historię kobiety żyjącej sto lat temu, która na przypalonej tortilli ujrzała wizerunek Chrystusa. „Czy oni też ją widzą?”, spytała Takiego, ale na razie nie było możliwości zadania takiego pytania żadnemu mene, nie było sposobu stwierdzenia, czy zareagowali szokiem lub zachwytem na widok twarzy pierwszych spotkanych ludzi, choć badania oczu mene sugerowały bardziej subtelną percepcję głębi, która mogła znacznie zniekształcać płaski wizerunek.

Taki uważał, że zaledwie pół roku temu, oszacowanego jako Czas Podróży, w dniu, w którym Hesper powiedziała, że przyjedzie tu razem z nim, a on pomyślał, że to z miłości, także jej twarz się zmieniła. Przejrzeli wszystkie znane dotąd informacje o mene i twarz Hesper wyrażała wówczas czyste współczucie.

- Jak to może być - spytała - że umie się latać, a potem traci się tę umiejętność? Wyrasta się z niej? Jak taka strata może wpłynąć na świadomość rasową gatunku?

- To się wydarzyło tak dawno temu, że wątpię, żeby czuli tę stratę - odpowiedział. - Może uważają to za legendę, mit, w który nie należy wierzyć. Może nawet nie to. W pamięci gatunku nie zachował się żaden ślad.

Nie zwróciła na niego uwagi.

- Co za szkoda, że nie piszą wierszy - powiedziała.

Teraz, gdy ze stoickim wyrazem twarzy dołączyła do Takiego, nie uważała ich już za tak romantyczny temat. Mene otoczyli ją, przesunęli dłońmi o palcach jak nitki po całym ciele, pod ubraniem. Jeden usiłował włożyć jej palec do ust, ale mocno zacisnęła wargi. Na brodzie miała kurz. Oczy wpatrywały się w Takiego. Oskarżycielsko? Prosząco? Czytanie w ludzkich spojrzeniach szło mu kiepsko. Odwrócił wzrok.

W końcu mene się znudzili. Wyszli grupami, paru zostało, by pogrzebać w pudełkach w sypialni, wreszcie dołączyli do pozostałych i zostawili Hesper i Takiego. Hesper poszła się umyć na tyle dokładnie, na ile pozwalały ograniczone zapasy wody. Taki zmiatał pył, nim skończył, wróciła. Bez słowa pokazała mu pustą kasetkę na biżuterię. Cała biżuteria należała do jej matki.

- Odbiorę, jak się ochłodzi - powiedział Taki.

- Dziękuję.

Zawsze zabierali rzeczy Hesper. Im większym obrzydzeniem ją przejmowali, obmacując ją, gmerając w jej rzeczach - a przed ich zwinnymi paluszkami nie można było zamknąć drzwi, nawet gdyby Taki się zgodził je zamykać, a nie zgadzał się - tym bardziej zdawała się ich fascynować. Dotykali jej dwa razy częściej niż Takiego i o wiele bardziej natarczywie. Zabierali jej biżuterię, wiersze, listy, wszystko, co było jej najbardziej drogie, a Taki uważał, choć tak naprawdę było o wiele za wcześnie, żeby wysnuwać jakiegokolwiek teorie, że mene odczytywali coś z tych przedmiotów. Pierwsi badacze uznali, że mene komunikują się ze sobą wyłącznie na poziomie telepatycznym. Jeśli tak rzeczywiście było, to teoria Takiego nie była szczególnie przełomowa. Mene z pewnością nie cenili tych przedmiotów dla nich samych, Taki zawsze znajdował je potem porzucone w pyłe po tej stronie wiszącego mostu. Fakt, że wszystko można było bez trudu odzyskać, nie wynagradzał Hesper poczucia inwazji.

Przygotowała sobie napój i milcząc, mieszała go metalową rurką tkwiącą w przeciwpyłowej pokrywie.

- Nie powinienes na to pozwalać - odezwała się w końcu; Taki wiedział, że naprawdę starała się nie zaczynać znanej im rozmowy. Docenił ten wysiłek, choć jej kapitulacja go rozdrażniła.

- Na tym polega moja praca - przypomniał jej. - Muszą mieć do

nas dostęp. Obserwuję ich. Oni obserwują nas. Nie można nawiązać kontaktu, jeśli nie przebiega on w obie strony.

- Pozwalasz im nas badać, ale dajesz im fałszywy obraz. Pozwalamy im wierzyć, że ludzie się sobie tak narzucają. Czy przyszło ci do głowy, że oni też mogą nas okłamywać? Jeśli tak, czego się o sobie nawzajem dowiemy?

Taki wziął głęboki wdech.

- Potrzeba prywatności może nie być tak typowa dla ludzi, jak sądzisz. Mógłbym ci wskazać wiele społeczności, które pozwalają na nią w bardzo niewielkim stopniu. A co do niewłaściwej interpretacji z ich strony - cóż, czy nie dlatego nie wysłano tu zespołu badaczy? Czy nie osiągnąłbym więcej, pracując z przyrodnikami, fizjologami, lingwistami? Ale ryzyko zakażenia zwiększa się z każdym kolejnym uczestnikiem. Nasza obecność byłaby zbyt natarczywa. Oczywiście będę bardzo ostrożny. Jestem jeszcze bardzo daleki od tego etapu badań, kiedy będę mógł wyciągać wnioski. Kiedy ich odwiedzę...

- Potwierdzając ich przekonanie, że takie wizyty stanowią typowe ludzkie zachowanie... - Hesper patrzyła na niego z wielkim chłodem.

- Kiedy ich odwiedzę, będę ostrożniejszy - dokończył. - Przeprowadzę moje badania tak oględnie, jak to tylko możliwe.

- A jak ci się wydaje, co takiego badasz? - spytała. Mocno zacisnęła usta na rurce i zaczęła pić. Taki przyglądał się z desperacją.

- Czy za tym pytaniem coś się kryje? Wydaje mi się, że badam mene. A tobie wydaje się, że co badam?

- To, co zawsze badają ludzie - odpowiedziała. - Ludzi.



Nigdy nie widywał żadnego mene samego. Nigdy. Żaden nigdy

nie oddala się, żeby popatrzeć na zachód słońca, nie zabiera swojej żywności w oddaloną rozpadlinę, żeby zjeść, z nikim się nie dzieląc. Wszystko robią grupowo i choć Taki obserwował ich tygodniami i potrafił już rozpoznawać poszczególne osobniki, choć sporządził wykresy zgrupowań, starając się określić rodziny, przyjaciół czy grupy robotników, z wyników badań nadal nic nie wynikało.

Usiłowania nawiązania kontaktu były równie zniechęcające. Próbował werbalizacji, ale nie spodziewał się na nie odpowiedzi. Nie miał pojęcia, jak przetwarzają informacje audio, choć mieli zdolność słyszenia. Próbował klaskania i gestów, prostych sygnałów ręcznych oznaczających przedmioty codziennego użytku. Nie zauważył, żeby te wysiłki zostały dostrzeżone. Podczas kontaktów byli bardzo roztargnieni, fruwali to tu, to tam. Nigdy sobie nie badał ilorazu percepcji pozazmysłowej, ale wypróbował i tę metodę. Starał się wysłać proste polecenie. Przytrzymał rękę mene i dotykał nią swojego policzka, usiłując utworzyć w umyśle obraz korespondujący z czynnością. Kiedy puszczał rękę, lepkie paluszki przez chwilę zostawały na miejscu albo natychmiast się cofały i wplątywały w jego włosy lub postukiwały w zęby. A zęby mene były ostre i spiczaste jak druciki. Taki widywał je tylko wtedy, gdy mene jedli, w innych wypadkach kryły się pod fałdami skóry, niemal zupełnie zasłaniającej także ich oczy. Taki przypuszczał, że jest to ochrona ich ust i oczu przed pyłem. Twarze mene miały według niego mniej wyrazu niż plecy. Zwróceniu do niego twarzami wyglądali jak kwiaty, same płatki, bez oczu. Kiedy chciał ich rozróżnić, patrzył na ich skrzydła.

Hesper ostrzegła go, że nie znają sztuki, a on spytał, skąd ta pewność.

- Ponieważ ich system porozumiewania się jest doskonały - odparła. - Z jednego mózgu do drugiego, bez utraty znaczenia, bez

potrzeby abstrakcji. Sztuka bierze się z niemożności porozumienia. Sztuka to symbol niedoskonałości. Nie sądzisz?

Ale Taki, obserwujący mene noszących wodę z podziemnych złóż, zadał sobie pytanie, czy istnieje granica między narzędziami i dziełami sztuki. A to dlatego, że z przyczyn dla niego zupełnie niejasnych zbiorniki na wodę miały takie samo wcięcie w środku jak korpusy mene.

Płaskimi, niezdarnie wykutymi schodkami Taki poszedł za mene pod ziemię, w ciemność. Ciała mene rozsiewały w ciemnościach słaby blask; czasami, w pewnych okresach, niektóre osobniki świeciły wyjątkowo mocno; Taki mógł jedynie podejrzewać, że ma to coś wspólnego z seksem. Ale nawet przy tych świecących słabiej dobrze widział. Szedł długim, niskim tunelem, musiał się garbić. Wreszcie usłyszał wodę - a raczej szczególną ciszę, która zdradziła, że woda jest blisko. Jezioro bez wątplenia było sztuczne, woda zebrana podczas pory deszczowej, której nie widział tu jeszcze żaden człowiek. Tunel ostro się zwężał. Taki mógł pójść dalej, ale nagle ogarnęło go uczucie klaustrofobii, więc się wycofał. Co sobie pomyśleli mene, widząc, że przyszedł bez Hesper? Czy w ogóle to zauważyli? Czy dowiedzieli się z tego czegoś o ludziach?

- Ich wspólne życie jest idealne - powiedziała Hesper. - Z wyjątkiem tych bezużytecznych skrzydeł. Jeśli w ogóle zdołają do nas przemówić, to ze względu na skrzydła.

Oczywiście Hesper była poetką. Dla niej cały świat był słowami. Kiedy Taki poznał Hesper na przyjęciu wydanym przez kolegę, spytał ją, czym się zajmuje.

- Nazywam rzeczy - odpowiedziała. - Staram się znaleźć dla nich właściwą nazwę.

Teraz Taki uważał, że to bzdura. Nie pamiętał, dlaczego wtedy tak bardzo mu zaimponowała tą celowo błędną interpretacją; zwykle

„piszę wiersze” byłoby bardziej klarowne i zrozumiałe. To samo zresztą myślał o jej wierszach - niepotrzebnie mętne, mało wyraziste sprawiały, że czytelnik miał poczucie, że zawiódł, że to był egzamin, który oblał. Były to nieżyczliwe wiersze, a Taki tak bardzo wtedy starał się je przeczytać.

- Czy mam rację? - pytał niespokojnie, kiedy kończył czytać wiersz.

- Czy to właśnie chciałaś powiedzieć?

Ale ona twierdziła, że wiersz mówi sam za siebie.

- Kiedy znajdzie się na papierze, tracę nad nim władzę. Potem to czytelnik określa, o czym jest i jakie wrażenie robi. - Oczy Hesper były szare, a tęczyówki tak wielkie i intensywne wokół ciemnych źrenic, że Taki dostał zawrotów głowy. - Więc zawsze masz rację. Z założenia. Nawet wtedy, kiedy w najogólniejszych choćby zarysach nie zbliżasz się do moich zamierzeń.

A Taki pragnął odnaleźć w jej wierszach siebie. Niespokojnie szukał w nich jakiegoś symbolu, który mógłby go oznaczać, jakiejś wskazówki, jaki ma wpływ na jej życie. Nigdy jej nie znalazł.



Zasady nie pozwalały nikogo wysyłać w teren samotnie. Oczywiście były za i przeciw, ale ostatecznie izolację samotnego profesjonalisty uznano za zbyt okrutną. Na potrzeby krótszych projektów korzystnie było wysłać trójkę uczestników, ale podczas dłuższych badań nie było to wskazane. Parę uznano więc za ideał. Taki dowiedział się, że o tę placówkę ubiegają się Rawji i Heyen, małżeński zespół, doświadczony już w takich badaniach, dlatego nigdy nie przestał się dziwić, że zaproponowano ją właśnie jemu. W ogóle nie wzięto by go pod uwagę, gdyby Hesper nie przekonała

komitetu, że pragnie mu towarzyszyć. Ale musiała też zrobić znacznie więcej. Musiała zrobić na kimś tak wielkie wrażenie, że uznano, iż ksenolog i poetka będą bardziej cenni niż dwoje ksenologów. Komitet marudził coś o „zakłóceniach” między dwojgiem specjalistów, ale Taki uznał, że jest to nieprawdziwy argument.

- Co im powiedziałaś? - spytał po jej rozmowie kwalifikacyjnej.

Wzruszyła ramionami.

- No wiesz - powiedziała. - Słowa.

Podczas swojej rozmowy Taki zataił pewne rzeczy przed komitetem. Dotyczyły one Hesper. Jej kaprysy, głęboki związek z matką, jej budzący wątpliwość związek z nim. Musiał wiedzieć, że to się nie uda, a jednak w tamtym okresie chodził oszołomiony jak człowiek, któremu dano wszystko. Czy można go ganić, że to przyjął? Czy można go ganić, że uwierzył w niespodziewaną gotowość Hesper do towarzyszenia mu? To było jakby równanie. Jeśli Hesper chce zrezygnować ze wszystkiego i wyjechać z Takim, to Hesper kocha Takiego. Zwykła przysięga małżeńska podlega rewizji co pięć lat; to było coś o wiele donioślejszego. Żadne inne wytłumaczenie nie miało sensu.

To nadal kryło w sobie coś nieuniknionego. Hesper wówczas kocha Takiego, jeśli chce z nim wyjechać. A zatem Taki zrobił kiedyś coś, co odebrało mu jej miłość. Gdyby zdołał się dowiedzieć co, może zdołałby znowu ją zdobyć. „Kochasz mnie?”, spytał Hesper. Ale tylko raz. Był zbyt dumny na te ledwie zawołane błagania. „Miłość to bardzo trudne słowo”, odpowiedziała, ale w jej głosie brzmiała rzadko słyszana łagodność i Taki nie poczuł zbyt dotkliwego bólu.

Kiedy Taki wrócił do domu, znowu pojawiła się dzienna gwiazda. Hesper przygotowała posiłek; widać było, że się napracowała. Było to coś w rodzaju puddingu z miejscowego owocu, który oboje tolerowali. Hesper nazwała pudding „boxty”. Najwyraźniej był to

jakiś jej prywatny żart. Taki był wdzięczny i za jedzenie, i za żart, choć go nie rozumiał. Usiłował prowadzić lekką rozmowę, opowiedzieć o dzbanach mene. Jego zdaniem, kiedy forma obiektu użytkowego jest mniej praktyczna, niż powinna, obiekt staje się dziełem sztuki. Hesper roześmiała się. Wymieniła szereg przedmiotów wykonanych przez ludzi i kazała mu je określić.

- Spinacz.

- Kształt nie zmienił się przez wieki. Nie dzieło sztuki.

- Agrafka.

Zawahał się. Czy pętla na końcu agrafki ma praktyczne zastosowanie? Tak.

- Nie dzieło sztuki - zdecydował.

- Szczotka.

- Z włosów?

- Z drewnianą rączką.

- Sztuka. Zdecydowanie.

Uśmiechnęła się.

- Mylisz ozdobę ze sztuką. Ale dlaczego nie? Definicja równie dobra, jak każda inna. Jedz boxty.

Całe popołudnie spędzili sami, nieniepokojeni. Taki zamieścił poranne obserwacje w aktach, przejrzał nagrania, a Hesper nagrała list, którego odbiorca miał nigdy go nie usłyszeć. Potem zaczęła cicho śpiewać.

Tej nocy dotknął jej, położył rękę na wcięciu jej talii. Zesztywniała lekko, ale dotknęła ręką jego twarzy. Pocałował ją, a jej wargi się nie poruszyły. Jego ruchy stały się mniej łagodne. Może to była namiętność, może gniew. Kazała mu przestać, ale nie posłuchał. Nie mógł. Nie chciał.

- Przestań - powtórzyła i usłyszał jej płacz. - Oni tu są. Proszę, przestań. Oni nas szpiegują.

- Obserwują - powiedział. - A niech tam!

Ale zsunął się z niej, położył się dalej. Byli sami w pokoju. W ciemnościach zobaczyłby mene bez trudu.

- Hesper - powiedział. - Tu nie ma nikogo.

Leżała sztywno po swojej stronie łóżka. Widział guzki jej kręgosłupa i nagle pomyślał, że widzi ją na wylot, wie, jak jest skonstruowana, jak trzyma się ta konstrukcja. To nie złagodziło jego gniewu.

- Przepraszam - powiedziała, ale jej nie uwierzył. Mimo to zasnął pierwszy. Rano sam sobie zrobił śniadanie i nie zostawił nic dla niej. Wyszedł, zanim się zbudziła.

Mene magazynowali żywność, suche grube łuski, mogące ochronić w ciągu pory suchej płynny owoc. Dziurawili łuski cienkimi jak igiełki zębami. Paru zgromadziło się wokół niego, powitali go, dotykając, sprawdzili jego kieszenie, zabrali mu magnetofon i podawali sobie, aż jeden rzucił go na ziemię. Kiedy wrócili do pracy, Taki podniósł magnetofon, wytarł go najdokładniej, jak potrafił, usiadł i zaczął ich obserwować, zapisując wszystko, co zobaczył. Szczególnie dokładnie obserwował to, jak się dotykają, i zastanawiał się, co taki dotyk znaczy. Uczucie? Porozumienie? Sposób przekazywania rozkazów?

Później znowu zszedł pod ziemię, innym tunelem, szukając takiego, który nie zwęzi się w odstrasający sposób, ale znalazł się nad tym samym jeziorem z tym samym wąskim wejściem. Tym razem zapuścił się dalej, do miejsca, w którym ramiona przestały mu się mieścić. Przed sobą widział blask; czuł pylisty zapach mene, słyszał też jakiś dźwięk, odgłos jakiegoś ruchu, jakby szelest traw. Pochylił się i wyteżył wzrok, by cokolwiek dostrzec w bladym świetle. Miał wrażenie, jakby spoglądał w lornetkę od odwrotnej strony. Tunel zwęzał się coraz bardziej. Po jego drugiej stronie

musiały się znajdować domy mene, a on nigdy do nich nie dotrze. Porównał to z niezwykle łatwym dostępem do jego domu. Wydawało mu się, że na końcu korytarza coś się porusza, ale nie był pewien. Lekkie dotknięcie w kark i pod kolanem przeraziło go. Z trudem odwrócił się i ujrzał stłoczoną za nim grupę mene. Poczuł się jak w pułapce; zmusił się jednak do zachowania spokoju. Odsunął się pod ścianę i przepuścił mene. Ciemny wzór na ich skrzydłach wyraźnie odcinał się od lśniących ciał. Ludzkie twarze stawały się coraz mniejsze i mniejsze, aż znikły.



- Daj mi spokój - powiedziała Hesper, czym zaskoczyła go zupełnie. Zdążył tylko wejść do sypialni, nawet się jeszcze nie odezwał. - Daj mi spokój i już.

Wyglądało na to, że w ogóle nie wstawała. Leżała na poduszce, na policzku miała nadal odcisnięte fałdy prześcieradła. Nie płakała, ale jej twarz wyrażała coś gorszego. Coś, co go zaniepokoiło.

- Hesper? - odezwał się. - Hesper? Jadłaś co? Przyniosę ci coś do jedzenia. Zwlekała trochę z odpowiedzią. A kiedy się odezwała, znowu wyglądała zwyczajnie.

- Dziękuję - powiedziała. - Jestem głodna.

Otuliła się kocem i przeszła do drugiego pokoju. Sama przygotowała sobie napój, a kiedy upuściła pustą szklanę, taki miał dziwne wrażenie, że naczynie spadało powoli. Kiedy tu przybyli, przyciąganie było niewielkie, wyczuwalnie lżejsze niż na Ziemi. Nieświadomie odebrał to jako coś w rodzaju lekkości na duszy. Ale Hesper nie spodobało się to poczucie braku zakotwiczenia, oderwania od Ziemi. Taki przyrządził śniadanie. Hesper jadła powoli,

przyglądając się własnym rękom, jakby ją fascynowały. Odwrócił wzrok.

- Widelec - powiedziała.

Znowu na nią spojrzął. Uśmiechała się.

- Co?

- Widelec.

Zrozumiał.

- To nie jest sztuka.

- Cztery zęby?

Nie odpowiedział.

- Róża wycięta na rączce.

- A, to sztuka. Z powodu rączki. Nie z powodu zębów. - Bardzo mu ulżyło.

Mene przyszli, kiedy opowiadał jej o tunelu. Wepchnęli zapylone paluszki do jej jedzenia, rozgrzebali je. Hesper odłożyła widelec i odsunęła talerz. Kiedy jej dotknęli, też ich odsunęła. Wrócili. Odepchnęła mocniej.

- Hesper - odezwał się Taki.

- Niech mi dadzą spokój. Nigdy nie dają mi spokoju. - Wstała, górując nad mene. Koc osunął się na podłogę. - My tu przylecieliśmy! - zwróciła się do mene. - Widzieliście statek? Widzieliście kapsułę? Czy to was interesuje? Latanie? - Roześmiała się i zamachała rękami, a oni zamarli u jej stóp. Znowu wyciągnęli do niej ręce; osłoniła piersi, zaczęła odpychać mene raz za razem, coraz mocniej, aż zmęczeni się atakowaniem i przeszli do sypialni. Po chwili wyłonili się z jej wierszami. Drzwi zamknęły się za nimi.

- Przyniosę ci je - obiecał Taki, ale Hesper powiedziała, żeby się nie trudził.

- Nie pisałam od wielu tygodni. Jeśli nie zauważyłeś. Odkąd tu wylądowaliśmy, nie skończyłam żadnego wiersza. Straciłam to.

Razem ze wszystkim. - Gorączkowo przeczesła włosy ręką. - To nieważne - dodała. - Moje wiersze? To nie jest sztuka.

- Czy akurat ty powinnaś to oceniać? - spytał.

- Nie traktuj mnie protekcyjnie. - Wróciła do stołu, znowu spojrzała na talerz z niedokończonym śniadaniem, pokrytym pyłem. - Mój zmysł krytyczny jest nietknięty. Tylko poezja odeszła. - Zabrała talerz do umycia, zeskrobała jedzenie. - Nigdy nie byłam dobra. Jak ci się zdaje, dlaczego tu przyleciałam? Nie miałam poezji w sobie, więc pomyślałam, że opiszę poezję mene. Tymczasem przybyłam do świata bez słów. Miałam nadzieję, że to będzie chwila oczyszczenia. Wiedziałam, że istnieje ryzyko. - Jej ręce poruszały się bardzo szybko. - Wiedz, że ciebie o to nie obwiniam.

- Chodź tutaj, usiądź na chwilę - powiedział, ale pokręciła głową. Spojrzała na swoje ciało i przesunęła po nim rękami.

- Oni się nad nami litują. Wiedziałaś? Nasze ciała budzą w nich litość.

- Skąd to wiesz?

- To logiczne. Mamy te absolutnie funkcjonalne ciała. Bez bezużytecznych skrzydeł. To nie jest sztuka. - Podniosła koc i ruszyła do sypialni. Przy zasłonie zatrzymała się na chwilę. - Ale podoba im się nasza samotność. Moją zupełnie zabrali. Teraz nigdy nie dadzą mi spokoju. - Nagle uniosła prawą rękę. Zasłona zafalowała. - Idź sobie - powiedziała i schowała się.

Taki poszedł za nią. Bardzo się bał.

- Tu nie ma nikogo oprócz nas - powiedział. Usiłował ją objąć, ale odepchnęła go i zaczęła się ubierać.

- Przestań mnie ciągle dotykać.

Osunął się na łóżko i patrzył na nią. Usiadła na podłodze, żeby zapiąć buty.

- Wychodzisz, Hesper? - spytał, a ona się roześmiała.

- Hesper wyszła - powiedziała. - Hesper wyszła z użytku, Hesper wyszła z siebie, Hesper zupełnie znikła, włamano się do Hesper i zabrano ją.

Taki mocno splótł ręce.

- Proszę cię, nie rób mi tego. To strasznie niesprawiedliwe. Czy żądałem tak wiele? Zawsze brałem tylko tyle, ile mi dawałaś, nigdy więcej. Proszę, nie rób mi tego.

Hesper znalazła szczotkę i brutalnie przeciągnęła nią po włosach. Podszedł, chwycił ją za ramiona i starał się ją do siebie odwrócić.

- Hesper, proszę!

Strząsnęła jego ręce, nawet ich nie zauważając, i dalej rozszarpywała splątane włosy. Kiedy się odwróciła, jej twarz wyglądała znajomo, ale jakoś nie była twarzą Hesper. Ta twarz go przeraziła.

- Hesper odeszła - powiedziała. - My ją mamy. Ty ją straciłeś. Jesteśmy gotowi z tobą rozmawiać. Choć ty nigdy, nigdy, nigdy nie zrozumiesz.

Sięgnęła ku niemu, położyła mu na policzku otwartą dłoń i tam ją zostawiła.

Przełożyła Maciejka Mazan

C. J. Cherryh

GARNKI

C. J. Cherryh (ur. 1942) jest autorką historii przyszłości „Unia/Sojusz” - kroniki międzygalaktycznego handlu i polityki. W jej dorobku znajdują się m.in. wyróżnione Nagrodą Hugo powieści „Ludzie z Gwiazdy Pella” („Stacja Podspodzie”, 1981) i „Cyteen” (1988, trzy tomy: „Zdrada”, „Powtórne narodziny” i „Oczyszczenie”), wnikliwe studium natury ludzkiej, którego bohaterami są klony o zaprogramowanych wspomnieniach. Inne powieści z tego cyklu noszą tytuły: „Hestia” (1979), „Region węża” (1980), „Kupieckie szczęście” (1982), „Port Eternity” (1982), „40 000 na Gehennie” (1983), „Voyager in Night” (1984), „Rimrunners” (1989), „Potrójny punkt” (1994) czy „Finity’s End” (1997). Kolejne cykle, cenione za pełne inwencji wykorzystanie nauk ścisłych i socjologicznych oraz za sprawne łączenie technologii z problemami humanistycznymi (ich akcja też toczy się we wszechświecie „Unii/Sojuszu”), to trylogia „Gasnące słońce” („Gasnące słońce: Kesrith”, 1978, „Faded Sun: Shon’jir”, 1978 i „Faded Sun: Kutath”, 1979), saga o Chanurach („The Pride of Chanur”, 1982, „Chanur’s Venture”, 1984, „The Kif Strikes Back”, 1985, „Chanur’s Homecoming”, 1986, „Chanur’s Legacy”, 1992), rozumnych, lwiopodobnych istotach - to właśnie ich oczami patrzymy na ludzi. Powieści Cherryh często poruszają problem środowiska - rodziny, polityki, kultury - wpływającego na wartości i poglądy jednostki. „Cuckoo’s Egg” (1985) to wariacja na temat Tarzana - jej bohaterem jest ludzkie dziecko

wychowane przez inteligentną rasę kotokształtnych. W „Czasie ciężenia” (1991, nadal „Unia/Sojusz”) autorka ukazuje dwie postacie protagonistów, jednego wychowanego wśród opiekuńczych ludzi, drugiego społecznie okaleczonego przez manipulującą ludźmi korporację. Kontynuacja nosi tytuł „Hellburner” (1992, tak brzmi polski tytuł). Kolejny cykl SF „Przybysz”, to: „Przybysz” (1994), „Najeźdźca” (1995), „Spadkobierca” (1996), „Prekursor” (1999) oraz „Defender” (2001), „Explorer” (2002), „Destroyer” (2005) i „Pretender” (2006), ceniony za wnikliwą analizę różnic kulturowych i rasowych, jakie musi pokonać ludzka kolonia, zawierając chwiejne przymierze z zamieszkującymi planetę Obcymi. Cykl „Genetyczne wojny” obejmujący na razie dwa tomy: „Ogień z nieba” (2001) i „Forge of Heaven” (2004), opowiada o przyszłości, w której stosuje się nowe rodzaje broni, produkowane za pomocą nanotechnologii. Cykl „Finisterre: The Night Horses” („Rider at the Gate”, 1995 i „Cloud’s Rider”, 1996) jest podobny do „Darkoveru” Marion Zimmer Bradley. Cherryh jest także autorką czteroksięgu science fantasy o Morganie („Brama Iurel”, 1976, „Studnia Shiuanu”, 1978, „Ognie Azeroth”, 1979 i „Brama Wygnania”, 1988), trylogii „Rusalka” („Rusalka”, 1989, „Chernevog”, 1990 i „Yugenie”, 1991) oraz epickiego, przygodowo-magicznego cyklu „Forteca”, na który składają się: „Forteca w źrenicy czasu” (1995), „Forteca odów” (1998), „Forteca sów” (1999) i „Forteca smoków” (2000).

Straszna była to podróż, to schodzenie wahadłowca na smaganą wichrami powierzchnię. Desan - w skafandrze ze zbiornikiem tlenu - wyszedł na platformę i niezdarnym krokiem ruszył przed siebie, opędzając się od spieszących z pomocą małych, pająkowatych robotów obsługi.

- Obywatelu, tędy, tędy, obywatelu, proszę uważać, proszę patrzeć pod nogi, rozdarcie kombinezonu jest niebezpieczne.

Podrzędna obsługa. Desan ich nie znosił. Szef operacji przydzielił tylko takie roboty do ośmiokołowego transportera AI, który bardzo niedogodnie postanowił zatrzymać się pięćset kroków za strefą lądowania wahadłowca - bardzo trudny marsz przez zapyloną równinę w tym skrzypiącym, sztywnym kombinezonie tlenowym. Desan odwrócił się i tęsknie spojrzął na czekający na lądowisku wahadłowiec - srebrny, przechylony klin pod niebem koloru metalu, spoczywający na ziemi barwy ochry i rdzy. Zadrżał, oddał siebie i skromny bagaż irytującej opiece robotów obsługi i kaczym krokiem ruszył w powolną drogę do czekającego transportera.

- Dzień dobry - powiedział pojazd obojętnie, otwierając drzwi. - W moim pomieszczeniu pasażerskim nie ma bezpiecznej atmosfery, rozumiesz, lordzie Desan?

- Tak, tak.

Desan wspiął się do środka i usiadł na siedzeniu z przodu, czując lekkie ugięcie zawieszenia transportera. Roboty, przypominające zaniepokojone owady, krzątały się, ostrożnie ustawiając jego bagaż w idealnym położeniu, poprawiając go i poprawiając, aż wreszcie zadowolili swoje robocie pojęcie o dobrze wykonanym zadaniu. Można dostać szału. Typowa robocia skuteczność. Desan uderzył we wrażliwe na nacisk siedzenie.

- No, zbierajmy się, dobrze?

AI przemówił do swoich głupszych kuzynów; wystarczył jeden pisk, żeby się rozbiegli na wszystkie strony.

- Uwaga na drzwi, obywatelu. - Drzwi opuściły się i zamknęły. AI włączył hałaśliwy motor. - Czy mam przyciemnić okna, obywatelu?

- Nie. Chcę widzieć.

- Bardzo przyjemnie.

Może dla AI.



Stacja usytuowana była na długim podejździe na równinie, w miałkim pyłe, którego kłęby zasłaniały widok z tyłu - miękki, pylisty teren, od czasu do czasu jakaś zawiana rozpadlina, pokonując ją, transporter uginał się („Proszę o wybaczenie, obywatelu. Czy jest wygodnie?”).

- Tak, tak, jesteś bardzo dobry.

- Dziękuję, obywatelu.

I wreszcie - wreszcie! - pojawiło się coś niepłataskiego, niewielkie skupisko wzgórz i jedna anormalna góra - masywny, podłużny złom, który zaczynał się jako mgiełka i stopniowo stawał bardziej realnym, gładkim, regularnym kształtem wznoszącym się przed łagodnym, brązowym pasmem pagórków, ledwie zasługujących na to miano.

Góra. Z daleka można ją było wziąć za skałę wulkaniczną lub osadową, dość nietypową i wyzywającą na tych jałowych równinach, gdzie wszystko poddało się entropii: było nijako, płasko. Ale kiedy AI się zbliżył, góra ujawniła spojenia i szwy, oznaki konstrukcji, i nawet jeśli się wiedziało, czym naprawdę jest, widok tych spojeń, dzieła rąk Starożytnych, zmroził obyłą duszę Desana. Potem, na tle zwietrzałych wzgórz, ukazała się stacja - kilka szokująco zielonych kopuł w brązowym martwym świecie. Ale Desan widywał już takie kopuły. Mając tylko AI za świadka, odwrócił się, przycisnął elastyczną bańkę hełmu do podwójnie uszczelnionego okna i gapił się, gapił na skałę, aż znikła w kłębach pyłu.

- Proszę, lordzie - odezwał się AI, wiecznie radosny. - Jesteśmy już prawie na miejscu, jeszcze tylko niewielki wjazd po skłonie.

Wykonam go bardzo ostrożnie.

Ugięcie i pochył, kołysanie i zwrot. Kopuły urosły, motor zajęczał.

- Służyłem ci z wielką radością.

- Dziękuję - wymamrotał Desan. W perspektywie miał kolejny marsz, wspinaczkę po plastikowej kracie do śluzy powietrznej; ani śladu komitetu powitalnego.

Znowu pojawiły się roboty obsługi, otaczając transporter, który zatrzymał się i ustawił z pneumatycznym westchnieniem.

- Dziękuję, lordzie Desan, proszę uważać na hełm, proszę uważać na złącza systemu ochronnego, proszę uważać na teren. Pył jest śliski.

- Dziękuję. - Od AI nie było ucieczki.

- To ja dziękuję.

Drzwi się uniosły; Desan wygrzebał się z siedzenia i stanął w pyle, ostrożnie osłaniając zbiornik tlenu przed zderzeniem z framugą i dysząc z wysiłku pod jego niespodziewanym ciężarem w tym ciężeniu. Roboty rzuciły się po jego bagaż, a on zaczął brnąć przed siebie, po plastikowej kracie ścieżki ku jadowicie zielonym kopułom. Plastik. Plastik, którego tutaj nigdy nie można by wytworzyć, a który uzyskano ze zbędnej biomasy statków. Wszystkie martwe, przerażająco puste; nawet sygnał, który ściągnął go nad to wyschnięte jezioro, był dziełem maszyny, jak reklama oczekującego go transportera.

Drzwi śluzy powietrznej stanęły otworem i ukazał się żywy personel w skafandrach. Troje. Wreszcie, co za ulga, podeszli prawdziwi ludzie z krwi i kości, by powitać go ze stosowną uprzejmością. Ale ta kamienna góra, te lśniące zielone budowle i zautomatyzowany sprzęt badawczy, który uwiarygodnił wszystkie raporty, sprawiały, że Desan nadal czuł martwość miejsca. Brnął z wysiłkiem, dotykał wyciągniętych ku niemu dłoni w rękawicach, przyjmował powitania, których się spodziewał, i szedł plastikowym

chodnikiem do otwartej śluzy, ale jego krew nie chciała się ogrzać, a wzrok nie mógł odzyskać ostrości, jakby był to jakiś zły sen, w którym znane miejsca są ohydnie zniekształcone.

Sto lat podróży, odkąd ostatnio widział ten sen, a i wtedy tylko z orbity, otrzymując raporty z trzeciej ręki. Sto lat pracy na tej planecie poprzedzało tę małą wycieczkę z portu do centrum badawczego, usytuowanego pod tym groźnym niebem, na tym terenie koło góry, która kiedyś była zaporą na nieistniejącym już jeziorze.

Oczywiście na Księżycu coś znaleziono. Parę artefaktów. Materiał z symbolami. Prymitywne, niewiarygodnie prymitywne. Pierwsza zapowiedź odkryć w tym spieczonym, brązowym świecie.

Stanął wraz z komitetem powitalnym w powietrznej śluzie głównej kopuły, zniósł cały cykl i westchnął z ulgą, gdy światła wskaźnika zmieniły kolor z białego na pomarańczowy i wewnętrzne drzwi wpuściły ich do wnętrza. Ruszył, zdjął hełm i zaczerpnął głęboki haust powietrza, niespodziewanie nieprzyjemnie pachnącego. Hol centralnej kopuły przypominał urząd - plastikowe ściany, widoczne przewody. Parę roślin walczyło o życie w donicy stojącej na środku posadzki. Przed nimi czarna kolumna i dość popularny emblemat - tablica z dwiema nagimi postaciami Obcych, wykres układu gwiazd przedstawionych z najdrobniejszymi szczegółami. Gdzieś indziej może nie zwracałaby niczyjej uwagi, wydawałaby się zwyczajna. Tutaj jednak była na swoim miejscu i nigdy nie można by uznać za zwyczajną tej wiadomości od Starożytnych.

- Lord Desan - odezwał się głos kobiety.

Odwrócił się niezdarnie z powodu skafandra. Była to sama doktor Gothon, starsza kobieta w błękitnym stroju naukowca. Ten wyjątkowy zaszczyt oszołomił go i zatarł wcześniejsze wrażenie niegościnnosci. Wyciągnęła rękę. Oszołomiony zareagował podobnie,

przypomniał sobie jednak o rękawicy i pospiesznie zaczął ją zdzierać. Jej gest był wdzięczny, a on czuł się jak głupiec, kompletnie nie na swoim miejscu, kiedy jego dłoni dotknęła - nie, kiedy mocno ją ścisnęła, stwardniała ręka legendarnej myślicielki. Wiek ją wydelikatnił i jednocześnie utwardził. Wiek i wigor. Język odmówił mu posłuszeństwa. Przypomniał sobie, jaki był jego cel, i ogarnęło go onieśmienie.

- Proszę im pozwolić zdjąć pański skafander. Zechce pan odpocząć po podróży? Drzemka, może filiżanka herbaty? Roboty zaniósą bagaż do pańskiego pokoju. Warunki nie są luksusowe, ale myślę, że będzie panu wygodnie.

Kolejne uprzejmości. W takich okolicznościach można się zapomnieć, można pozwolić tej łagodności i grzeczności na wytrącenie broni z ręki - przez żenującą niechęć do oporu.

- Chcę zobaczyć to, po co przybyłem, pani doktor. - Rozpiął skafander i oddał go w oczekujące dłonie. Wygładził kombinezon. Czy to była zbytnia opryskliwość, niewybaczalna wyniosłość? - Nie sądzę, żebym mógł odpocząć. Wypocząłem na wahadłowcu. Tutaj chciałbym się rozejrzeć, jeśli pani personel byłby uprzejmy mi pomóc...

- Oczywiście, oczywiście. Tego się spodziewałam. Proszę wejść, oprowadzę pana. Wyjaśnię tyle, ile potrafię. Być może zdołam pana po drodze przekonać.

Od samego początku był pod wrażeniem; spodziewał się jakiegoś wysokiego urzędnika, powiedzmy kierownika projektu, ale nie Gothon. Ruszył za nią, za tą przygarbioną postacią, przechodzącą wśród studentów i pracowników, jakby ich błogosławiła. „Widziałem panią doktor”, będą mówić młodzi szeptem na statku. Gothon tymczasem z roztargnieniem szła korytarzem, z rzadka przytomniejąc. „Widziałem panią doktor”.

Takim tonem, jakby ujrzeli Boga.

Rzadko ją budzili, dla większości światów najzupełniej wystarczali mniej dostojni naukowcy; on był piątym lordem nawigatorem, czwartym urodzonym podczas podróży, pięćdziesiąt dwa czuwające lata życia i zaledwie dwa tysiące lat podróży w porównaniu z... eonami śniącego życia Gothon.

Szpic cierpł mu w kościach, tak delikatny wdzięk miała ta zgarbiona kobieta o skórze poznaczonej plamami, jak detektyw cierpliwie rozwiązująca największe tajemnice wszechświata. Poczuł litość. On cierpiał w tym miejscu, ale nie tak jak ona, w tym wewnętrznym spokoju, gdzie snuła myśli, których surowo zakazano przerywać załogom statków.

Studenci popędzili, by otworzyć im drzwi, rozstąpili się pod ściany i przepuścili ich do schodzących coraz głębiej korytarzy wewnątrz labiryntu kopuły. Ręce przelotnie muskały rękawy Desana, witano obecnego lorda nawigatora. Odpowiadał z największą uprzejmością, na jaką mógł się zdobyć w tej sytuacji. Jego serce zmagало się z grawitacją, do której nie było przyzwyczajone, nozdrza wyłapywały nie tylko wyziewy plastiku, recyklingu i wielu stłoczonych ciał, lecz i gryzący, żelazisty zapach, jakby elektryczności lub pyłu. Wyobraził sobie, że do atmosfery kopuły następuje wyciek; niepokojąca myśl. Uświadomił sobie, jak niebezpiecznie jest tu mieszkać, i pożałował, że nie może już odlecieć.

Gothon wytrwała tutaj podczas jego poprzednich podróży - siedem lat więcej jej kurczącego się życia. Budzono ją cztery razy, to był piąty; była nieustannie aktywna od pięciu lat, jak dotąd najdłużej. W końcu znalazła dane godne poświęcenia im życia i niezwłocznie się nimi zajęła. Uwierzyła. Uwierzyła na tyle, że gotowa była umrzeć w trakcie badań.

Dreszcz przebiegł go od stóp do głów. Wszedł za Gothon przez

śluzę do następnej kopuły; wnętrzności ścisnęło mu z przerażenia, bo po jednej stronie zobaczył półki, a na nich rzędy żółtych czaszek. Niekończące się szeregi wpatrzonych w niego czarnych oczodołów i wyszczerzonych zębów. Niektóre miały długie, inne krótkie nosy. Te małe, prawie beznose, miały kły, nadające im mądry, inteligentny wygląd - niczym mali ludzie, dzieci z rozwiniętymi rysami. Tak pewnie reagowali wszyscy, widząc je na holo lub oglądając okazy sprowadzone do laboratoriów na orbicie. Ale pojemność ich mózgowczaszek była zbyt mała. Prawdziwe czaszki istot myślących zajmowały dalsze półki, rząd za rzędem bezokich, wydatnie sklepionych czaszek szczerzących tępe zęby jakby w nieustannym przerażeniu - budząc najstraszniejsze przerażenie w tych, którzy je tu odkryli.

Gothon stanęła, wybrała jedną z najmniejszych czaszek istot myślących, poddaną silnej rekonstrukcji: Desan miał dość doświadczenia, by odróżnić prawdziwą kość od złączonej z nią płaskości. Czaszka była delikatniejsza od innych, miała też mniejsze szczęki. Dwa przednie zęby były uzupełnione. Podobnie te z boku.

- To było dziecko - powiedziała Gothon. - Nazywamy ją Panienką. Pierwsza, jaką znaleźliśmy, na wzgórzach, w korycie rzeki. Stopy Panienki znikły, ale poza tym była nietknięta. Leżała samiuteńka, tylko z małym zwierzęciem, które tuliła w ramionach. Zachowaliśmy je razem, nieważne, jak to skatalogujemy. - Zdjęła z półki powyżej anomalną, w dużym stopniu zrekonstruowaną czaszkę, delikatną i wyposażoną w kły. - Nawet archeologowie mają uczucia.

- Ach... tak... - Bezradny, obezwładniony Desan mimo woli wyciągnął palec i dotknął kości.

- Spijcie dalej. - Gothon czule odłożyła obie czaszki, otrzepała dłonie i znowu ruszyła.

Desan przeszedł za nią przez zwyczajne drzwi do gwarnego

pomieszczenia, pełnego warsztatów ze zbieraniną artefaktów. Zdumieni pracownicy przerwali zajęcia.

- Nie, nie, pracujcie - powiedziała Gothon cicho. - Tylko przechodzimy, nie zwracajcie uwagi. Proszę, widzi pan, lordzie? - Ostrożnie sięgnęła obok ramienia badacza i podniosła z warsztatu wysłużoną żebrowaną butelkę, od długiego przebywania w ziemi pokrytą opalizującą patyną. - Znajdujemy ich bardzo wiele. Masowa produkcja. Przemysł. Nie tylko na tym kontynencie. Identyczną znajdziemy na stanowiskach na całym świecie, w najwyższych położonych warstwach. Ten sam model. Blisko daty nieszczęścia. Dzięki takim drobiazgom śledzimy globalne przymierza i handel. - Odłożyła butelkę i wzięła zupełnie inne naczynie, mocno zrekonstruowane. - Zawsze kończy się na garnkach. Dzięki garnkom i butelkom śledzimy ich przez wieki. Wiele warstw. Mają długą i złożoną przeszłość.

Desan dotknął zniszczonej brązowej powierzchni naczynia, odkrył jeden lśniący odprysk błękitnej glazury pod szarą skorupą długiego pochówku.

- Jak długo... ile czasu trzeba, żeby przedmiot nabrał takiego wyglądu?

- Zależy od ziemi - od wilgoci, kwasowości. Tę znaleziono w pobliżu. - Czule odłożyła naczynie na półkę, ruszyła dalej, krucha, zgarbiona postać pomiędzy rzędami przeszłości. - Ale bardzo, bardzo długo, by doszło do takich zniszczeń. Niemal wszystkie przedmioty są unicestwione. Metal rdzewieje, plastik gnije, ubranie rozpada się bardzo szybko, papier i drewno mogą długo wytrzymać w klimacie pustyni, ale i one w końcu niszczeją. Wilgoć rozmywa detale rzeźb. Tylko metale szlachetne pozostają nietknięte. Ziemia niszczy nawet kamień, nawet metal. Nawet najlepsze naczynia znajdujemy w kawałkach, jak układanki. Lecz choć tak kruche, trwają dłużej niż

pomniki, trwają tak długo, jak ziemia, która je kryje - sucha, mokra, nawet dno morza - tam, gdzie nie ma żywych organizmów, które by je niepokoiły. Ta butelka i garnek są równie godne szacunku, jak ta wielka zapora. Ich twórcy pewnie o tym nie myśleli, prawda?

- Ale... - Desanowi zakręciło się w głowie na wspomnienie wielkiej równiny, pyłu i głęboko ukrytych tajemnic.

- Ale?

- Z pewnością można przegapić ważne szczegóły. Kiedy trzeba przeszukać cały świat... Można coś znaleźć i źle zinterpretować.

- O, tak, to się może wydarzyć. Ale znalezienie przedmiotów tam, gdzie się ich spodziewamy, jest ważną wskazówką, potwierdzeniem... trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać. Najpierw znajdujemy miejsca budzące największą nadzieję - jakieś rozpadliny lub wypiętrzenia na tych fotografiach, o które tak męczymy stacje orbitalne. Ale najważniejsze jest przecucie, o wiele ważniejsze od mechanicznych sond.

Pod wpływem nieodgadnionych myśli jej ciemne oczy znikły w siatce zmarszczek; Desan stał onieśmielony niewyobrażalną mentalnością Gothon. Jak w tym wieku funkcjonuje mózg? Czy słabnie? Czy wielka uczona popadła w mistycyzm? Taki raport rozwiązałby jeden problem. Ale ta pożałowania godna powinność...

- To uczucie dla żywych istot. To sięgnięcie w ziemię ze słowami - gdyby to były dawne czasy, gdybym miała budować, gdyby przyszło mi na myśl handlować - gdzie bym poszła? Gdzie żyliby moi sąsiedzi?

Desan odkaszlnął cicho, usiłując sprowadzić sprawę na ziemię.

- Ale sondy-roboty oczywiście stanowią pomoc.

- Sondy to przedmioty bez serca. Robot może mieć wielkie umiejętności, ale badacz kieruje nim jedynie w pewnych okolicznościach, gdyż robot jest ślepy na możliwości i prawdziwy

charakter kraju. Ale pan urodził się w przestrzeni. Być może nie ma to dla pana sensu.

- Wierzę pani na słowo - powiedział szczerze.

Czuł na plecach ciężar całego nieba. Tego ołowianego, okropnego nieba, trędowatej, chorej zasłony między nimi a gwiazdą i tym pojedynczym księżycem. Gothon pamiętała świat ojczysty. Pamiętała ojczysty świat. Nawet tam była już znaną specjalistką. Twierdziła, że potrafi znajdować przedmioty, ponieważ widzi to, czego nie dostrzegają oczy robotów, myśli tak, jak te zakurzone czaszki, kiedy jeszcze żyły...

...jak dawno temu?

- Szukamy pagórków - ciągnęła Gothon, drepcząc pomiędzy rzędami, mijając pochylone głowy i spuszczone oczy pracowników i studentów zajętych mozolną pracą. Wokół nich uwijały się maleńkie, elektroniczne igiełki, cierpliwie ścierające skorupę, by wydobyć na światło dzienne starożytne powierzchnie. - Budowali masywne budynki. Wielkie drapacze chmur. Niektóre musiały przetrwać nietknięte, hm, pewnie tysiące lat, ale potem utraciły stabilność, runęły, a upadając, obróciły się w gruzy. Wiał wiatr, rzeki zmieniały koryto, opływając ruiny, i oczywiście pojawiały się warstwy osadu niesionego przez wiatr i wodę. Od tego momentu ich ciężar zniekształca je i komplikuje nam zadanie. - Machnęła ręką i ukazał się krajobraz, serpentyna muru na zapadniętym terenie. - Proszę spojrzeć na ten mur. Nie zbudowali go w ten sposób, nie był tak zawiły. Zdeformowały go grawitacja i ruchy ziemi. Był przysypany ziemią. Dzięki temu wiatr i deszcz nie zniszczyły go już przed wiekami. A zniszczą teraz, jeśli znowu nie zasypie go ziemia.

- A ten wielki stos kamieni... - Desan machnął ręką w stronę, gdzie jak mu się zdawało, znajdowała się wielka zaporę; zdał sobie sprawę, że stracił poczucie kierunku. - Ile ma lat?

- Jest stary jak jezioro, które stworzył.

- Ale współczesny upadkowi?

- Tak. Wie pan, ten masyw będzie stał jeszcze wtedy, gdy zgaśnie ta gwiazda. Parę wielkich zapór, piramidy, które znajdujemy na całej tej planecie... można się jedynie domyślać ich wieku. Przetrwają wszystko z wyjątkiem gór.

- Bez życia.

- Ależ tu jest życie.

- Zamierające.

- Nie, nie. Ono nie zamiera. - Doktor machnęła ręką i na drugim ekranie holo pojawiła się kałuża, zielona od zielska o pierzastych mackach. - Księżyc nadal chroni ten świat przed entropią. Jest tu woda, nie tak wiele, jak niegdyś - ten chwast, ten mały chwast daje temu światu jedyną nadzieję. Ta odrobina życia, to, co fruwa i pełza - porosty i żyjątko z równin.

- Ale to nie jest to, co znali oni.

- Nie. Życie osiągnęło tu nowy etap. Życie zaczyna się od nowa.

- Z pewnością nie jest to zbyt efektowny początek, prawda?

- Nie bardzo. Jest to pytanie interesujące doktor Bothogi - czy życie, które zaczyna się tu na nowo, zdąży się rozwinąć i czy krzywa konsumpcji nie spowoduje jego zagłady. Ale życie o tym nie wie. Bardzo się obawiamy zanieczyszczenia, ale jest chyba niestety nieuniknione. A kto wie, może jednak da też coś dobrego. - Doktor Gothon machnięciem ręki zapaliła jeszcze jedno holo. Po suchym mchu energicznie biegało sześcionogie stworzenie, gorączkowo machające czułkami i najwyraźniej nieosiągające tym niczego.

- Dziedzice świata. - Rozpacz zmroziła Desana do szpiku kości.

- Ależ każde pokolenie tych małych stworzonek to niezwykle osiągnięcie. Oczywiście śmierć tych, które giną, to straszliwa tragedia, ale one nie zdają sobie z tego sprawy. Świadomość musi zaczekać,

hm, jakiś miliard lat, a potem może się pojawi, jeśli ta gwiazda nie zgaśnie; proces kształtowania już się rozpoczął. - Kolejne holo, wizerunek pustyni, sypkiego piasku, a obok chwast wijący się w kałuży. - Życie tworzy życie. Ten chwast jest zajęty życiem. Buduje łańcuch zależności, dzięki któremu - gdy się rozmnoży - stanie się pożywieniem dla innych stworzeń. Tak działa życie. Jest zajęte - oczywiście nieświadomie, ale nieustępliwie - torowaniem sobie drogi ucieczki z tej planety.

Desan rzucił jej z ukosa zażenowane spojrzenie.

- Ależ naprawdę. Biomasa. Petrochemikalia. Magazyn eonów energii czekającej na świadome użycie. I świadomość, jeśli się pojawi, zdominuje ten świat, ponieważ świadomość to bardziej skuteczne życie. Ale świadomość bywa zgubna. Świadomość to komputer o własnej percepcji, dokonujący obliczeń zgodnie z własną wolą, na usługach tego mizernego chwastu. Miliardy takich komputerów coraz szybciej pracujących i liczących, udoskonalających siebie i ekologiczne otoczenie - a co będzie, jeśli na samym początku zaistnieje najdrobniejszy, najmniej istotny błąd oprogramowania?

- Pani w to chyba nie wierzy. Nie ograniczy nas pani do czegoś takiego. - Desan musiał zmienić zdanie. To nie równowaga umysłowa tej dobrej kobiety została zachwiana, lecz jej wielki intelekt zachwiał wiarą, to wszystko. Ta wielka i łagodna uczona w swoim niewiarygodnie długim życiu nauczyła się cynizmu, a on mógł jej przeciwstawić jedynie swoje nędzne pięćdziesiąt dwa lata istnienia. - To przecież nie jest dowód, to mogła być katastrofa naturalna.

- A tak, uderzenie meteora. - Uczona przewinęła szereg holo na czwartym ekranie i ukazała ogromny krater widziany z lotu ptaka, krater tak ogromny, że na zdjęciu zaznaczała się krzywizna planety. - Ale w tym układzie słonecznym widać liczne ślady takich

wypadków. System wieloplanetarny, taki jak ten, z gwiazdą bombardowaną przez kosmiczne śmieci przemierzające całą galaktykę... proszę spojrzeć na księżycy pozbawione atmosfery, zastanowić się, ile meteorów, które w nie uderzyły, zostawia na nich krater. Proszę mi powiedzieć, kosmiczny podróżniku, czy nie mam racji?

Desan nabrał tchu, wreszcie czując się we własnym żywiole.

- Oczywiście w układzie mogą mieć miejsce takie wypadki. Ale ten krater jest właśnie dowodem...

- Gdyby meteor spadł, kiedy było tu jeszcze rozumne życie. Ale ten cios spadł na martwy świat.

Desan spojrział na zniszczony erozją krater, na przysypaną piaskiem, stopioną skorupę, wymownie świadcząca o jego wieku.

- Pani ma dowód.

- Warstwy. Garnki. Śmieszne, pewnie bardzo się obawiali takiego wypadku. Musieli mieć poczucie bliskiej zagłady, być może dzięki dowodom na ich księżycu. A może rozumieli funkcjonowanie swojego układu słonecznego. A może w dawnych czasach zdarzały się takie upadki, a oni o tym pamiętali. Czasami dostrzega się mgnienie umysłu, który stąd sięgnął... co nim powodowało, do czego dążył.

- Skąd możemy to wiedzieć? Przypisujemy im nasze myśli... - Desan zamilkł, zбитy z tropu, przerażony. To była prawie herezja. Jeszcze chwila, a popełniłby niedopuszczalną niedyskrecję; lordowie sędziowie dowiedzieliby się o tym jeszcze przed kolacją, ku jego wiecznemu potępieniu.

- Stoimy w ich świetle, dotykamy ich kości, trzymamy ich czaszki w naszych cielesnych rękach i usiłujemy myśleć tak jak oni. Stoimy pod złowrogim niebem. Co zrobimy?

- Będziemy się starali uciec. Porzucić ten świat. Oni go porzucili.

Niebiańskie artefakty...

- Archeologia w przestrzeni kosmicznej jest dużo łatwiejsza. Milion lat, dwa miliony, a przedmiot nadal lśni. Akta dają się odczytać. Kolor zachowuje jaskrawość przez całe eony, ledwie tylko padnie na niego światło. Jedna powierzchnia przeżarta mikropyłem, druga nieskalana jak w dniu, w którym wyszła spod ręki swego twórcy. Ciągłe mnie pan pyta o wiek tych ruin. Ale my go znamy. Czy nie podejrzewamy tego, czy nie czujemy w szpiku kości, kiedy zamarło w nich życie?

- To nie mogło być wtedy!

- Proszę za mną. - Gothon machnęła ręką, gasząc wszystkie holo, potem otworzyła drzwi prowadzące na kolejny korytarz. - Tyle do skatalogowania. Tyle pracy w jednym pomieszczeniu. To głównie studenci. Odzyskują, ile mogą. Numerują, sporządzają listy. Mrówcza praca, tylko po to, żeby wiedzieć, gdzie co zostało umieszczone. Za pięćset lat intensywnego katalogowania i porządkowania poznamy ich na tyle, żeby móc coś powiedzieć o ich umysłach, choć być może nigdy nie dowiemy się o ich pisemnej formie języka więcej niż o tych artefaktach na księżycu. Miejsce pełne cudów. Miejsce pełne nadal dziejących się cudów - w pracy doktora Bothogi. Mała alga, zaczynająca wszystko od początku. Być może nie po raz pierwszy - interesująca myśl.

- Chce pani powiedzieć... - Desan dogonił starą uczoną w wąskim, sterylnym korytarzu, szereg dźwięcznych kroków. - Chce pani powiedzieć... zanim rozwinęła się rasa myśląca... były inne katastrofy, inne początki.

- O, na długo przedtem. Aż się zimno robi, prawda, kiedy się pomyśli, jak niezłomne mogło być tu życie, jak uparte w obliczu zagrożenia z nieba... ta alga, potem pełzające stworzenia i wolna, wolniusieńka wspinaczka ku dominacji...

- Poprzednie istoty myślące?

- Interesujące pytanie, samo w sobie. Ale istota nie musi myśleć, by opanować świat. Wystarczy, że będzie silna. Skuteczna. Czy to już nie zostało udowodnione? Wysoko rozwinięte istoty myślące to rzadki klejnot. Tak wiele sukcesów prowadzi donikąd. Płetwy, nie ręce; brak narządów mowy - chyba że wierzy pan w telepatię, do czego ja zdecydowanie nie mam przekonania. Nie. Porozumienie werbalne jest niezbędne. W przeciwnym razie osobniki samotnie dokonują odkryć, niepotrzebnie powielając wysiłki. O, nawet przy istnieniu świadomości - tego rzadkiego atrybutu - ileż gatunków cierpi na brak czegoś ważnego albo ma jakieś upośledzenie, które broni im dostępu do cywilizacji, do technologii...

- ...zanim opuszczą planetę. Ale oni ją opuścili, byli tymi jednymi na tysiąc... bez nich...

- Bez nich. Tak. - Gothon zwróciła na niego swoje cudowne, łagodne oczy i przez chwilę poczuł ogromny, straszny bezruch, jak bezruch grobu. - Tu kończy się dzieciństwo. Tak czy tak, tu jest jego koniec.

Odebrało mu mowę. Stał, ogarnięty chwilowym paraliżem, a jego umysł wirował jak strącony w próżnię. Potem zamrugał i jak dziecko poszedł za uczoną. Nie pozostało mu nic innego.

Pozwól mi odpocząć, pomyślał wtedy, pozwól nam zapomnieć o tym początku i tym dniu, pozwól mi gdzieś pójść, usiąść, napić się czegoś ciepłego, by pozbyć się tego chłodu ze szpiku kości, pozwól, żebyśmy zaczęli od nowa. Może zaczniemy od faktów, nie fantazji...

Ale nie mógł odpocząć. Bał się, że w tym miejscu nie zazna odpoczynku, że kiedy jego ciało przestanie się poruszać, to ciężkie niebo na niego spadnie, to śmiercionośne niebo, które stanowiło zagładę dla całej historii tego zaginionego gatunku, a wiek tej krainy wsączy się w ich kości i będzie nawiedzać jego sny, choć większe

gwiazdy nie miały na niego takiego wpływu.

Przez te wszystkie lata mojej podróży, przez wszystkie lata mojego życia szukałem od gwiazdy do gwiazdy. Względność nas osierociła. Ten świat panią uczyni świętą. Mnie nigdy nie pozna. Za ćwierć miliona lat zapomną - o, pani doktor, wie pani lepiej ode mnie, jak starzeje się świat. Ćwierć miliona lat, które pani widziała - i oboje jesteśmy sierotami. Ja, nieustannie klonowany. Pani w długim śnie, kilka pani klonów przespało eony. O, pani doktor, odtworzymy panią. Ale nie dokładnie panią, nigdy więcej. Tak jak ja nie jestem Desanprimem. Jestem tylko piątym lordem nawigatorem.

Za ćwierć miliona lat, jeśli ewolucja naszego gatunku nas nie wyprzedzi - czy tak nie mogłoby być? Czy tak nie będzie? - znajdą jakiś szybszy środek transportu i odnajdą nas, utraconych przed eonami przodków, i nie poznamy się nawzajem - skąd mielibyśmy się znać? Gdyby tak się stało, ale się nie stanie. Jesteśmy awangardą misji, która nigdy nas nie przerośnie.

Czy za ćwierć miliona lat spadnie na nas jakieś nieszczęście i nasz świat stanie się taki jak ten, w kolorze ochry i śmiertelnej rdzy?

A my jesteśmy klonami i dziećmi klonów, genetyczną skamieliną, anomalią naszego gatunku?

Kim oni są dla nas, a my dla nich? My szukamy naszych Starożytnych, twórców sondy.

Zakręciło mu się w głowie. Wprawnie obliczał względność czasu, przywykł do gwiazdnych odległości, lecz jego umysł nagle osłabł. Z wysiłkiem zaczął nadrabiać odległość dzielącą go od uczonej. Znowu przyspieszył kroku i dogonił Gothon przy następnych drzwiach.

- Pani doktor. - Wyciągnął rękę, by ją zatrzymać, i przestraszył się swojego pytania, które zatrzącało herezją. - Czy nie ma pani wątpliwości? Nie może ich pani nie mieć. Mogli po prostu opuścić tę planetę.

Znowu atak tych łagodnych oczu - druzgocący.

- Proszę mi powiedzieć, lordzie, czy we wszystkich swoich podróżach, na wszystkich gwiazdach, które pan odwiedził podczas pełnego trudu stulecia, znalazł pan ślady?

- Nie. Ale mogli odejść...

- ...nie zostawiając śladów, z wyjątkiem tych na swoim księżycu?

- Mogą być inne. Ekipa poszukująca na czwartej planecie...

- ...niczego nie znajduje.

- Sama pani powiedziała, że trzeba stanąć na tej ziemi, trzeba myśleć tak jak oni... może doktor Shodt nie stanął na właściwym pagórku, właściwej równinie...

- Jeśli istnieją tam artefakty, to tylko parę. Powiem panu, skąd to wiem. Proszę, proszę za mną.

Gothon machnęła ręką i za drzwiami ukazało się kolejne laboratorium.

Desan ruszył. Wolałby raczej wynurzyć się na śmiercionośną powierzchnię niż przejść przez te zwyczajne drzwi ku odpowiedzi, którą obiecała mu Gothon... ale powodował nim nawyk, obowiązek - konieczność. Nie miał w życiu innego celu. Nie zostawiono mu nic innego, jemu, lordowi nawigatorowi, piątemu wcieleniu Desana Dasa. Jego pierwowzór nie miał niczego, jego drugie wcielenie posiadało jeszcze mniej, a czas i kolejne wcielenia odebrały resztę. Więc wszedł do pomieszczenia jednocześnie zbyt pospolitego i zbyt dziwnego, żeby mogło się wiązać z rzeczami normalnymi - było pospolite, bo sterylne jak każde laboratorium, dobrze oświetlone, pełne stołów, a przy nich pracowali nieliczni uczeni; a dziwne, bo na półkach leżały setki setek czaszek i kości, milczący świadkowie. Na stelażu wisiał szkielet; szkielet małego zwierzęcia kulił się w makabrycznie sztywnej pozie na stole.

Stanął. Rozejrzał się, przez chwilę czuł się zagubiony pod

spojrzeniem tych wszystkich bezokich oczodołów w zwietrzałej kości.

- Proszę poznać moich kolegów - mówiła Gothon.

Desan za późno skupił się na jej słowach i stał, mrugając bezradnie, gdy Gothon wymieniała nazwiska. Jednym z nich był zoolog Bothogi, młodszy niż pozostali, siedemnasta inkarnacja, spalający się w bezwstydnie bujnym zużyciu lat; tak było ze wszystkimi inkarnacjami Bothogiego Nana. Reszta nazwisk przemknęła mu koło uszu - prawdziwi obcy, prawdziwie urodzeni, synowie i córki podróży. Ich spojrzenia spieszyły go jak spojrzenia czaszek, oczy, za którymi kryły się cienie i pył, oczy pełne tajemnic i herezji.

Znali go, a on ich nie znał, nawet lorda Bothogiego. Czuł jego samotność, bezradność jego przekonań zaginionych w pyłe i milczeniu.

- Kagodte - powiedziała Gothon, zwracając się do przygarbionego osobnika o białych uszach. - Kagodte, lord Desan przybył, by zobaczyć pański model.

- Ach. - Stare oczy łypnęły nerwowo.

- Proszę mu go pokazać, doktorze.

Przygarbiony mężczyzna podszedł do stołu, rozłożył ręce. Ukazał się otwór i Desan zmrużył oczy, spodziewając się jakiegoś okropnego widoku, konfrontacji z rekonstrukcją. Tymczasem w powietrzu zafalowały kolumny słów, zielonych i błękitnych. Liczby pojawiały się i mnożyły. Zaskoczony przegapił początek i nie potrafił nadrobić braków.

- Nie rozumiem...

- Tu mówimy o statystyce - wyjaśniła Gothon. - O danych. Popieramy nasze herezje matematycznymi wzorami.

Desan odwrócił się i z przerażeniem spojrzał na Gothon.

- Nie mam nic wspólnego z herezją. Zajmuję się faktami.

Przybyłem tutaj po fakty.

- Proszę usiąść - powiedziała łagodnie uczona. - Proszę siadać, lordzie. Tutaj, proszę odsunąć te kości, ależ tak; ich właściciele się nie obrażą, o, w ten sposób.

Desan osunął się na stołek stojący przed białym stołem. Odruchowo podniósł głowę, jego spojrzenie padło na kamień, na którym widniał zamazany obraz twarzy, zatarty, zmatowiały...

Uderzyło go to zestawienie obrazu i kości. Dwa ciała na tablicy. Rzeźba. Rzędy pozbawionych ciała czaszek.

Śmierć. Świat bombardowany przez meteory, życie walczące o przetrwanie w najbardziej podstawowej formie. Śmierć.

- Ach - odezwała się Gothon. Desan obejrzał się i przekonał, że Gothon wpatruje się w ścianę. - Tak. To. Znajdujemy bardzo niewiele rzeźb. Nieliczne - każda to skarb. Od czasu do czasu upadek kamienia chroni powierzchnię. Potwierdzenie. Rzeczywiście. Ale tyle samo mówią nam czaszki. Możemy je ubrać w ciało dzięki naszym pomiarom i holo. Możemy je stworzyć, nawet bardziej prawdziwych. Chce pan zobaczyć?

Desan z wysiłkiem poruszył ustami.

- Nie. - Małe słowo. Tchórzliwe słowo. - Później. Więc to było jedyne miejsce... nadal nie przekonała mnie pani do swojej teorii. Przykro mi.

- Miejsce. Miejsce pochodzenia. Wielopoziomowy świat. Ostatnie warstwy są pełne artefaktów z jednego okresu, jednej globalnej kultury. Potem milczenie. Gatunki giną. Warstwa po warstwie pustki. Miliony lat geologicznej kroniki...

Gothon obeszała stół i usiadła naprzeciwko, z łokciami na blacie, pomiędzy rozsypanymi kośćmi. Jej zielone oczy lśniły wodniście w olśniewającym świetle, jej usta były pomarszczone i drżały, jak krusząca się glina.

- Dane statystyczne, lordzie. Mówią to nam suche dane statystyczne. Mówią nam o centrach produkcji artefaktów, takich jak nasze, mówią o składnikach, procesach znanych Starożytnym - i nie ma postępu w zaawansowanych materiałach. Żadnego z materiałów, których obecność uważamy za naturalną, metali, które by przetrwały...

- Być może opracowali jakiś nowy proces, materiały ulegające kompletnemu rozpadowi. Może zapisywali informacje na coraz bardziej nietrwałych materiałach. Może wytwarzali te materiały w przestrzeni kosmicznej.

- Technologia ma etapy. Suche liczby, suche jak pył liczby, wypadki i koncentracja przedmiotów, liczby i garnki - zawsze te garnki, lordzie, i kamienie, które nie giną. I sam fakt istnienia meteorów - niezaprzeczalny fakt deszczu meteorów. Czy nie moglibyśmy zapobiec takiemu nieszczęściu w naszym świecie? Czy nie moglibyśmy tego dokonać - hm, jakieś pół wieku przed odejściem?

- Na pewno to pani pamięta. Na pewno ma pani tę przewagę. Ale...

- Widzi pan dowody. Pan się czepia nadziei. Ale istnieje tylko jedno pytanie - nie, dwa. Czy to ten gatunek wysłał sondę? Tak. A może ewolucja i zbieg okoliczności zadziałały wspólnie. Czy tylko tę planetę zamieszkiwali? Nie ma najmniejszej wątpliwości. Jeśli na czwartej planecie istnieją artefakty, to zniszczyły je wichry, przepadły.

- Ale mogą tam być.

- Nie widać. Nie ma postępu, lordzie. W tym rzecz. Nie ma nic oprócz tych substancji, tych materiałów. Nie była to cywilizacja podbijająca gwiazdy. Wysyłali te powolne, bezzałogowe sondy z kamerami, z mechanicznymi oczami - nie dla nas. Wiedzieliśmy o

tym od zawsze. Odnaleźliśmy na plaży wyrzucone przez morze szczątki.

- To było celowe działanie! - syknął Desan, drżąc, otoczony przez tamtych, jedyny wierzący pośród cichej herezji. - Doktor Gothon, pani niezwykle przekonania... są oparte wyłącznie na wierze, na silnej wierze. Błagam, proszę rozważyć, jaki wpływ ma pani na...

- Czy pan mi grozi? Czy po to tu pan przybył, żeby mnie uciszyć?

Desan rozejrzał się zdesperowany. W nagle zapadłej ciszy ustało nawet tykanie sond i czujników. Oczy spojrzały na niego.

- Ależ... - odpowiedział wyzywającym spojrzeniem. - Przybyłem, by zebrać dane. Spodziewałem się zwykłego spotkania, paru zebrań, by spokojnie rozważyć rzeczy...

- Zaniepokoiłam pana. Zastanawia się pan, co by było, gdyby lordowie sędziowie się ze mną poróżnili. Zdaję sobie sprawę, że jestem instytucją. Pamiętam Desana Dasa. Pamiętam start, pięć pierwszych statków. Budziłam się dla wszystkich z wyjątkiem jednej pana inkarnacji. Nie wspominając już o licznych inkarnacjach lordów sędziów.

- Nie może ich pani lekceważyć! Nawet pani... proszę, proszę mieć dla nas cierpliwość.

- Nie musisz mnie uczyć cierpliwości, Desanie-Pięć.

Drżał konwulsyjnie. Nawet gdy Gothon uśmiechnęła się w ten łagodny, rozbrajający sposób.

- Proszę panią o fakty, nie opowieści o mistycznej jedności z Ziemią. Lordowie sędziowie zgadzają się, że jest to nasz rodzimy świat. Zapewniam, gdyby tak nie było, nigdy nie poświęciliby tyle czasu na stworzenie bazy.

- Lordzie, na litość, te układy zasilające na sondzie, od tak dawna nieczynne - do czego naprawdę służyły, jeśli nie do zbadania czegoś w bardzo bliskim zasięgu? Nawet ortodoksi to przyznają. A co jest

blisko, jeśli nie własny układ słoneczny? Na litość, widziałam oryginalny artefakt i oryginalną tablicę. Dotykałam ich tymi rękami. To był prymitywny sprzęt, zaprojektowany do przemierzenia własnego układu słonecznego - do czego nie mieli możliwości.

Desan zamrugał powiekami.

- Ale cel...

- A. Cel.

- Mówi pani, że staje na tej ziemi i myśli ich umysłami. Więc proszę teraz skorzystać z tej umiejętności. Co zamierzali Starożytni? Dlaczego wysłali sondę z wiadomością?

Stare oczy zamigotały, głębokie, spokojne i bolesne.

- To była wiadomość prorocza. Wiadomość wysłana w mrok ich przyszłości, bez celu, bez przeznaczenia. Bez odpowiedzi. Bez nadziei na odpowiedź. Znamy czas jej podróży. Osiem milionów lat. Przemówili do całego wszechświata. Ta sonda wyruszyła, a oni zaraz potem zamilkli - głębina tego suchego jeziora pyłu liczy osiem i ćwierć miliona lat.

- Nie wierzę.

- Osiem i ćwierć miliona lat temu, lordzie. Spadło na nich nieszczęście, nieszczęście globalne i zakończone w ciągu stulecia, może nawet dziesięciolecia od wysłania tej sondy. Być może spadło z nieba, ale najprawdopodobniej był to wybuch atomowy, z ich własnej inicjatywy. Znaleźli się na tym niebezpiecznym etapie. A zniszczenie w wielkich skupiskach ludzkich miało wymiar apokaliptyczny. Było wymierzone w miejsca gęsto zaludnione. Pierwiastki śladowe. Tak mówią fakty statystyczne. Atomowy wybuch, lordzie.

- Nie mogę tego zaakceptować!

- Powiedz mi, kosmiczny podróżniku, czy rozumiesz wpływ pogody? To, czego mógłby dokonać meteor, z równą skutecznością

może uczynić pył spowodowany przez wybuch atomowy. Zostawmy promieniowanie, które mogło zabić miliony - zostawmy zniszczenie ośrodków rządu. Mówimy o globalnym nieszczęściu, pyłe, który zasłonił słońce, o żyjących oceanach i jeziorach duszących się z powodu zamierającej fotosyntezy podczas pozbawionej słońca zimy, wymieraniu łańcucha pokarmowego od samych podstaw...

- Nie macie dowodów!

- Totalna ruina skupisk populacji. Być może mieli środki na przeciwdziałanie zagrożeniu ze strony meteorów. To może podlegać dyskusji. Ale w moim przekonaniu jednoczesne zniszczenie skupisk populacji wskazuje na wybuch atomowy. Fakty statystyczne, garnki i suche liczby, lordzie, skazują nas na tę odpowiedź. Pytanie znalazło odpowiedź. Nie ma potomków, nie było ucieczki z tej planety. Zniszczyli sami siebie, zanim ten meteor w nich uderzył.

Desan zasłonił usta złożonymi dłońmi. Spojrzał bezradnie na uczoną.

- Mrzonka. To chce pani powiedzieć? Ścigaliśmy mrzonkę?

- Czy to ich wina, że tak bardzo ich potrzebowaliśmy?

Desan, pokonując śmiertelny trud, dźwignął się i stanął. Gothon siedziała, wpatrując się w niego tymi strasznymi, ciemnymi oczami.

- Co zrobisz, lordzie nawigatorze? Uciszysz mnie? Stara kobieta w końcu zaczęła sprawiać problemy; więc obudźcie mojego klona, powiedzcie mu... co zdecydują mu powiedzieć lordowie sędziowie? - Gestem ręki powiodła po pracownikach, tuzinie żywych oczu wśród innych, martwych. - Bothogiego też, tych z nas, którzy mają klony... ale co z resztą personelu? Jak wiele trzeba, żeby uciszyć nas wszystkich?

Desan rozejrzał się, dygocząc.

- Doktor Gothon... - Oparł się o stół, spojrzawszy na nią. - Pani mnie nie rozumiała. Zupełnie. Lordowie sędziowie może i mają stację, ale

to ja mam statki, ja, ja i mój personel. Nic podobnego nie proponuję. Przybyłem do domu... - To nieznanne słowo uwięzło mu w gardle; zastanowił się nad nim, rozważył je, przyjął, przynajmniej w emocjonalnym znaczeniu. - ...do domu, doktor Gothon, po stu latach poszukiwań i odkryłem ten spór i brak zrozumienia.

- Oskarżenie o herezję...

- Nie ośmielą się ich postawić pani. - Zatrząsał nim gorzki śmiech. - Przeciwno pani nie mają żadnych argumentów i pani dobrze o tym wie.

- Nie znam obrony przeciwko przemocy.

- Ależ zna - odezwał się doktor Bothogi.

Desan odwrócił się i napotkał twarde spojrzenie zielonych oczu Bothogiego, przeniósł je na jeszcze twardszy kamień w jego dłoni. Znowu odwrócił się z rękami na blacie, nie dbając o bezpieczeństwo pleców. - Doktor Gothon! Apeluję do pani! Jestem pani przyjacielem!

- Siebie nie broniłabym wcale. Ale, jak pan powiedział, nie mają przeciwko mnie żadnych argumentów. Więc to musi być ogólna katastrofa - lordowie sędziowie muszą uciszyć wszystkich, prawda? W tej bazie nie można zostawić nic. Może po cichu wysłali tu parę asteroidów. Może uciszą ten biedny stary świat na zawsze - mnie i resztę skamieniałości. Utraconym skamieniałościom i dalekim zmarłym łatwiej oddawać cześć, prawda?

- Absurd!

- A może spieszy się im tym bardziej, że zjawiły się pańskie statki i ich decyzja stanęła pod znakiem zapytania. Oni mają broń atomową, lordzie nawigatorze. Mogą uszkodzić pański wahadłowiec. Mogą pana po prostu umieścić na liście ofiar - pod zarzutem herezji. Sprawa wyjęta z kontekstu, kto wie? W końcu - wszyscy lordowie są natychmiast duplikowani, kapitanowie przywykli do posłuszeństwa lordom sędziom - tym nielicznym przebudzonym - czy nie mam racji?

Jeśli można zagrozić takiej instytucji jak ja, to czym jest dla nich piąty lord nawigator? A nagle te plany trzeba przeprowadzić w pośpiechu. Desan słuchał w rozterce.

- Zapewniam...

- Jeśli jest pan moim przyjacielem, mam nadzieję, że ocali pan życie. Roboty należą do nich, czy pan to rozumie? Mogą przekazać informacje do AI w bazie; z centrum komunikacyjnego trafią na satelity, a z satelitów do stacji i lordów sędziów. Tego pomieszczenia nie monitorują. O to zadaliśmy. Nie słyszą pana.

- Nie mogę uwierzyć w te oskarżenia, nie mogę ich zaakceptować...

- Czy morderstwo jest taką nowością?

- Więc proszę pójść ze mną! Na wahadłowiec, razem stawimy im opór...

- Transporter portowy należy do nich. Transporter AI się zbuntuje. Samoloty mają komponenty AI. I możemy w ogóle nie dotrzeć na lotnisko.

- Mój bagaż! Doktor Gothon, mój bagaż, mój zestaw komunikacyjny. - Serce mu się ścisnęło, przypomniał sobie roboty obsługi. - Już go mają.

Gothon uśmiechnęła się.

- O, podróżniku. Stłoczyło się tu tak wielu naukowców i mielibyśmy nie zaimprovizować czegoś tak prostego? Mamy odbiornik-nadajnik. Tu. W tym pokoju. Zepsuliśmy jeden. Zepsuliśmy drugi. Znalazły się w rejestrze jako zepsute. Czym jest kolejny rupień na tej biednej planecie? Zamierzaliśmy się skontaktować ze statkami, z tobą, lordzie nawigatorze. Ale oszczędziłeś nam kłopotu. Runąłeś na nas jak piorun. Jak ptak, którego nigdy nie widziałeś, spadający na ofiarę. Narady, pośpiech, który musiałeś wzbudzić na stacji - jeśli lordowie sędziowie planowali to, o co ich podejrzewam! Gratuluję. Ale wiedząc, że mamy nadajnik - a twój wahadłowiec jest bezbronny

tak samo jak ten budynek - co postanowisz, skoro to oni kontrolują przekaz satelitarny?

Desan osunął się na krzesło. Zapatrzył się na Gothon.

- Nie chcieliście mnie zabić. Zamierzaliście mnie przeciągnąć na swoją stronę.

- Rozkoszowałam się tą nadzieją, tak. Znałam twoich przodków. Znam także twoją reputację - człowiek, który trawi swoje lata, jakby nie miały końca. W przeciwieństwie do swoich przodków. Kim jesteś, lordzie nawigatorze? Fanatykiem? Ofiarą obsesji? Gdzie twoje miejsce?

- Do czego... - Jego głos brzmiał ochryple i dziwnie. - Do czego chce mnie pani namówić?

- Żebyś nas uratował przed lordami sędziami. Żebyś uratował prawdę.

- Prawdę! - Desan zrobił desperacki gest. - Nie wierzę pani, nie mogę uwierzyć, a pani opowiada o spiskach tak samo fantastycznych jak pani badania, i jeszcze chce mnie w nie wciągnąć. Chcę się dowiedzieć, jaką trasą odeszli Starożytni - jeden ślad, jeden artefakt, który nas naprowadzi...

- Nowa tablica?

- Cokolwiek. Jakakolwiek wskazówka, dokąd odeszli. Bo odeszli. Nie przekona mnie pani danymi statystycznymi. W pani statystykach nie ma nieprzewidzianego.

- Więc będzie pan szukać tego, czego pan nigdy nie znajdzie. Będzie pan służyć lordom sędziom. Oni z pewnością będą z panem współpracować. Zaaprobują pańskie poszukiwania i zostawią ten świat... po wielkiej katastrofie. Po katastrofie, która nas zgładzi wraz z wszelkimi dokumentami. Asteroida. Kto, jeśli nie roboty, określa ich kurs? Kto wie, który w tej chwili jest już blisko?

- Ludzie dowiedzieliby się, że to morderstwo! Nie zdołaliby tego

ukryć.

- Powiadam panu, trzeba stanąć w tym kraju, rozejrzeć się i powiedzieć - co byłoby tu naturalne? W tym pokrytym kraterami, zniszczonym świecie, w tym chaotycznym, zaśmieconym układzie słonecznym - czy błędny kurs asteroidy nie byłby bardziej wiarygodny niż wybuch atomowy? Powiadam, kiedy pański wahadłowiec zaczął schodzić do lądowania, pomyśleliśmy, że pracuje pan dla lordów sędziów. Że może mieć pan w bagażu broń, której roboty z premedytacją nie wykryją. Ale uwierzyłam panu, lordzie nawigatorze. Jest pan takim samym więźniem jak my. Z nadajnikiem i satelitarnym systemem przekazu, który oni kontrolują. Co pan zrobi? Przekona lordów sędziów, że ich pan poprze? Przekona ich, żeby pomogli panu w dalszej podróży - w zamian za to, że im pan pomoże? Może wysłuchają pana i pozwolą panu odejść.

- Ależ tak - powiedział Desan. Zacerpnął powietrza i powiódł wzrokiem od Gothon do innych i z powrotem. - Mój wahadłowiec należy do mnie. To moje roboty. Z mojego statku, połączone z nim. Potrzebuję tylko tego nadajnika. Proszę się zwrócić o ochronę do mnie, jeśli uważa pani, że to takie pilne. Proszę mi zaufać. Albo nie ufajcie nikomu, wszyscy zaczekamy i przekonamy się, jak wygląda prawda.

Gothon sięgnęła do kieszeni i wyjęła dziwny metalowy przedmiot. Uśmiechnęła się. W kącikach oczu pojawiły się zmarszczki.

- Staroświecka rzecz. Obecnie mówimy „klucz”, mając na myśli coś całkiem innego, ale ja sama jestem zabytkiem, więc pamiętam. Cholernie zbija z tropu roboty. Bothogi. Podłącz antenę, otwórz szafę i zobaczmy, czego potrafi dokonać lord nawigator i jego wahadłowiec.



- Usłyszał pana? - spytał Bothogi z chłopięco zatroskanym wyrazem na gładkiej twarzy. Nadal trzymał kamień, jakby o nim zapomniał. Albo bał się robotów. Albo zamierzał się nim posłużyć, jeśli wykryje zdradę. - Porusza się?

- Zapewniam, że się porusza - odparł Desan i wyłączył nadajnik.

Zaczerpnął głęboki oddech, zamknął oczy i ujrzał, jak wahadłowiec się podnosi, srebrny klin rozkładający skrzydła w drodze do domu. Śmiertelnie niebezpieczny, jeśli zostanie zaatakowany. Ale oni go nie zaatakują, nie wolno im, będą nas wypytywać, kiedy się dowiedzą, że wahadłowiec odleciał, a my dopiero się dowiemy, czy to wszystko jest strasznym nieporozumieniem. I nie patrząc na nikogo:

- Transmisja przeszła, nic jej nie zatrzymuje, a środki obrony są znaczne. Lordowie nawigatorzy nie byli głupcami, obywatele: naszymi wahadłowcami badamy światy i zamierzamy je odzyskać. - Odwrócił się i stanął przed Gothon i resztą. - Wiadomość wysłana. A ponieważ jestem ostrożny - czy wystarczy skafandrow dla całego personelu? Radzę je włożyć. Na wypadek wypadku.

- Alarm - powiedziała natychmiast Gothon. - Neoth, włącz alarm. - A kiedy pracownik włączył „Alarm ciśnieniowy”, dodała: - To zbije roboty z tropu. Cały personel po skafandry; wszystkie roboty do szukania uszkodzenia. Zgadzam się co do skafandrow. Włóżcie je.

Alarm łkał, przerywany wrzask nad ich głowami. Desan odruchowo zerknął na niekomunikatywny biały sufit...

Ciemność, ciemność nad głową, tam gdzie wahadłowiec dotarł do cienkiego błękitnego brzegu przestrzeni kosmicznej. Stacja już wie, że sytuacja się bardzo skomplikowała. Będzie zadawać pytania, powinna natychmiast rozpocząć przesłuchanie...

Pracownicy otworzyli drugą szafę. Wyjęli skafandry, nie jeden czy

dwa, na wypadek awaryjnego wyjścia z tego hermetycznego pomieszczenia, lecz ciasno stłoczone dziesiątki. Laboratorium okazało się kopalnią środków obrony, potajemnie wyposażoną warownią, od której czuć było spiskiem na całą bazę, wśród wszystkich pracowników - wszystkich mieszkańców...

Desan ocknął się na widok podanego skafandra. Uszy bolały go od wycia syreny. Spojrzał w oczy Bothogiego, który podsuwał mu ubranie. Nie będzie wezwania, lordowie sędziowie nie będą pytać. Zaczęło to do niego docierać, dzięki ich spokojnemu, przytomnemu zachowaniu - to nie szaleńcy, nie spiskowcy. To prawda. Oni mówią prawdę, w którą wierzą, w którą wierzy cała baza. A lordowie sędziowie nazywają ją herezją.

Serce mu się uspokoiło. Wszystko odzyskało sens. Jego ręce wykonały znane ruchy, włożyły skafander, zapięły go.

- W biurze kontroli lotów jest AI - odezwał się starszy pracownik. - Mam klucz.

- Co oni zrobią? - spytał młodszy pracownik z paniką w głosie. - Czy broń tu dosięgnie?

- Jest za daleko - odparł Desan. - Promienie nie sięgną, a pociski są zbyt powolne.

Serce biło mu coraz spokojniej. Skafander go otaczał: znajome uczucie, wrogie światy i broń. Był na swoim terenie. Uśmiechnął się w niezbyt przyjemny sposób, rozchylone wargi ukazały mocne, długie zęby.

- I jeszcze jedno, młodzi obywatele, ich statki to transportery. Moje to myśliwce. Ze skruczą dodam, że mamy broń od dwustu tysięcy lat, a moja załoga zna się na rzeczy. Jeśli lordowie sędziowie zaatakują ten wahadłowiec, to już ich błąd. Proszę pomóc doktor Gothon.

- Już mi się udało, młodzieńcze. - Gothon dopięła kołnierz. - Robię

to dłużej niż...

Gdzieś rozległ się wybuch. Gothon podniosła głowę. Wszelki ruch ustał. Szum powietrza w rurach umilkł.

- Przewody tlenowe - zawołał Bothogi. - Niech będą przeklęci...!

- Niech - powiedział Desan zimno. Nie spieszył się. Starannie sprawdzał skafander. Dryl - przykład dla młodych. Lord nawigator demonstruje młodzieży swoją umiejętność. Uważajcie. - I właśnie otrzymaliśmy odpowiedź od lordów sędziów. Musimy się dostać do tego AI i wyłączyć go. Nie panikujemy. Założmy, że mój wahadłowiec opuścił atmosferę...

...wysoko szare chmury, koszmar powierzchni. Srebrna igła wycelowana w serce lordów sędziów.

Alarm, alarm, wrzaśnie, alarm, alarm, alarm - nie powierzając tej transmisji żadnemu satelicie, pchnąwszy tę wiadomość jedną ponaddzwiękową falą. Załoga na planecie jest w niebezpieczeństwie. I kod, którego żaden lord nawigator nigdy nie miał nadziei nadać, szereg liczb syntaktycznym łączem: zdrada, lordowie sędziowie to zdrajcy, pomocy - alarm, alarm, alarm...

...bolesny krzyk ze świata pyłu, spośród czaszek, z grobu nadziei.

Zdrada, alarm, alarm, alarm!

Desan nie lubił przemocy, nigdy nie uważał siebie za skłonnego do przemocy. Był poszukiwaczem, człowiekiem z misją.

Niczego nie wiedział na pewno. Uwierzył kobiecie, która żyła ćwierć miliona lat, ponieważ... ponieważ Gothon to Gothon. Ogłosił zdradę i rozpętał piekło, wiedząc, że zdrajczynią może być ona, ta kobieta o łagodnych oczach, ta kolekcjonerka czaszek.

O, Gothon, spytałby, gdyby miał odwagę, kto z was kłamie? Zmusić lordów sędziów do ataku, który ściągnie na nich potępienie - czy o to ci chodzi? Czym jest pięć moich inkarnacji zwykłej genetycznej zgodności bez wspomnień wobec ćwierci miliona twoich

nieograniczonych lat? Nie mogę poznać twojej perspektywy.

Czy planowałaś to tysiąc lat, dziesięć tysięcy?

Czy stoisz tu i myślisz umysłem stworzeń martwych dłużej, niż ty żyjesz? Czy trzymasz ich czaszki i snujesz ich myśli? Czy osiem milionów lat temu istniał cel? Czy to był, czy to jest - zgroza, zgroza - błąd obu stron?

- Lordzie - odezwał się Bothogi, kładąc mu rękę na ramieniu. - Lordzie, mamy klucz. Mamy broń. Czekamy. Lordzie.

Nad nimi zagłada.



Był to tylko robot obsługi. Nie wiedział o własnej zagładzie. W przeciwieństwie do AI z bazy, z gabinetu dyrektora, który walczył z nimi zamknięciem drzwi i wypuszczeniem tlenu - na nieszczęście dla dyrektora...

- Tragedia, tragedia - powiedział Bothogi, stając przy małym zapadniętym trupie na ochrowym piasku przed budynkami. Dym unosił się ze zniszczonej instalacji na prawo od kopuł - atmosfera planety kłębiła się i mieszała z tlenem z rozbitej kopuły centralnej - pierwszy akt sabotażu transportera AI, uderzenie w plastikowe ściany. - Wypuścić mikroorganizmy na ten świat - głupcy, bezczelni głupcy!

Desan nie bał się mikroorganizmów, lecz ośmiokołowego transportera AI, gotującego się do następnego ataku na urządzenia. Rozsądnie zamknęli się w pomieszczeniu z resztą naukowców i mieli nadzieję na ratunek z zewnątrz, ale AI zaczął taranować plastikowe ściany, a żywe cele odwracały jego uwagę od śpiących, bezbronnych klonów - młodych wersji Gothon, Bothogiego, tuzina starszych

pracowników.

A to odwracanie stawało się coraz trudniejsze.

Godzina po godzinie unikali jego ataków, niezdarnie nacierając i cofając się pod osłoną skafandrów. Uszkodzili go, jak umieli, personel zaś usiłował wymyślić coś, co go spowolni... teraz transporter poruszał się z wysiłkiem, bo wokół jego tylnego prawego koła owinęli wielki kłęb metalowego drutu.

- Cholera! - krzyknęła młoda biolog, kiedy transporter ruszył w jej stronę. W tej grze brali udział sami sprawni młodzi ludzie oraz jeden starzejący się lord nawigator, jedyny wojownik w towarzystwie.

Unik, unik i unik.

- Młoda, chce cię przydusić do wytwórni tlenu! Tędy! - Serce Desana załomotało, gdy dziewczyna w ciężkim skafandrze przegalopowała obok, a transporter coraz bardziej się do niej zbliżał. - O, do diabła, domyślił się! Bothogi!

Desan chwycił sondę-włócznie i zbliżył się truchtem.

- Odciągnąć go! - ryknął.

Mogli liczyć tylko na tyle.

AI odwrócił się w ich stronę z wyciem silnika, węzowe wygięcie jego metalowego ciała i fontanny piasku tryskające spod ośmiu kół.

- Uciekaj, lordzie! - wrzasnął Bothogi, a transporter nadal się obracał, teraz w nich celował. Po chwili inna postać w białym skafandrze rzuciła w niego kamieniem, zwracając na siebie jego uwagę.

Transporter ciągle ich atakował. AI. Ośmiokołowa, giętka sztuczna inteligencja, która nagle uznała, że jej zachowanie się nie sprawdza, zmieniła program, nie pozwalając się już odciągnąć od ofiary. Potworny niszczyciel, pędzący za nimi krok w krok.

Coraz bliżej.

- Czujniki! - krzyknął Desan, skręcając na śliskim pyłe. Nogi go

zawiodły i z trudem odzyskał równowagę, mocniej chwycił sondę i wycelował ją prosto w rząd czujników nad przednią szybą.

Łuuu - p! Zapyłone niebo zrobiło się błękitne, a on legł na plecach, pośliznąwszy się na piasku. Po obu jego stronach ogromne opony mełły piasek.

Kombinezon, pomyślał z przerażeniem wyuczonym w przestrzeni kosmicznej, a jednocześnie przyszło mu do głowy, że AI wlecze go pod sobą i że każdy jego staw i ośrodek nerwowy pulsuje bólem po porażeniu sondą.

Potem zrobiło się bardzo spokojnie, zamieszanie ustało. Leżał oszołomiony, wpatrując się w zardzewiałe niebieskie niebo ze srebrną nitką.

Są blisko, pomyślał, wrócił myślami do swego najstarszego klona, śpiącego, dobrze wyedukowanego dwudziestolatka. Przystojny chłopak. Od czasu do czasu rozmawiał z nim. Biedny chłopcze, będziesz lordem. Twój poprzednik był głupcem...

Przez twarz przemknął mu cień. To inna twarz w kasku patrzyła na niego. Na piersi legł mu jakiś ciężar.

- Złaż - powiedział.

- On żyje! - zawołał głos Bothogiego. - Doktor Gothon, on jeszcze żyje!



Świat nie miał więcej blizn niż poprzednio - czerwień i ochra tam, gdzie nie było chmur. Algi nadal walczyły o życie w morzu, jeziorach i rzekach z tymi mikroskopijnymi organizmami, które mogły się uwolnić ze zniszczonej kopuły. Owady i robaki kontynuowały ślepą wspinaczkę w przestrzeń, dominująca forma życia na tym biednym,

pokrytym kraterami globie. Stacja badawcza znowu funkcjonowała, naprawy zostały zakończone.

Desan przyglądał się światu ze swego statku; wisiał jak kula w holozbiorniku przy stacji dowodzenia. Machnięciem ręki mógł przywołać mrok przestrzeni kosmicznej; oświetlone kształty dziesięciu myśliwców, które niedawno wróciły z głębokiego kosmosu i miały znowu doń wyruszyć w kontynuacji Misji; smukłe ryby wynurzające się i znowu zapadające w czarne morze, mówiąc w przenośni. Na ich pancerzach lśniło wiele słońc, ale to słońce widywało ich częściej niż jakiegokolwiek od chwili startu.

Dom.

Stacja kosmiczna znowu funkcjonowała. Zwłoki zostały wysłane na słońce, którego Misja tak długo szukała. A kierownictwo Misji spoczywało obecnie wyłącznie w rękach lorda nawigatora - w związku z bezprecedensowym jednoczesnym zgonem wszystkich pięciu lordów sędziów. Ich klonów jeszcze nie aktywowano - „Przyjdzie na to czas później - oznajmił Desan - w jakimś innym momencie poszukiwań. Niech to wydarzenie stanie się zamkniętą przeszłością”.

Kiedy będę się mógł z nimi rozprawić osobiście, pomyślał. Spojrzał na dwudziestoletniego Desana Sześć, a młodzieniec odpowiedział poważną miną, którą Desan widywał w lustrze trzydzieści dwa lata temu.

- Lordzie nawigatorze?

- Obudzisz brata, kiedy się oddalimy, Sześć. Dokładnie wtedy. Będę czuwać przez większą część tej podróży.

- Czuwać?

- Zdecydowanie. Chcę się nad czymś zastanowić. Będę rozmawiać z tobą i Siódmym.

- O lordach sędziach?

Desan zmarszczył brwi.

- Już teraz jesteśmy dobrze dostrojeni. Szybko odniesiesz sukces. Żałujesz, że tym razem ci się nie udało?

- Nie! Zapewniam, że nie.

- Mądra głowa. Powinienem to przewidzieć. Idź na swoje stanowisko, Szósty. Bądź wdzięczny, że nie musimy się użerać z pięcioma lordami sędziami.

Desan rozparł się na krześle, a młodzieniec przeszedł przez mostek i zatrzymał się na posterunku dla załogantów, koło kapitana. Lord nawigator był nie tylko przywódcą siedemdziesięciu statków Misji z kapitanami i załogami. Niech chłopak wypróbuj swoich sił w tym fachu. Desan zamierzał tego dopilnować. Pochylił się z grymasem - to przez ten elektryczny wstrząs, co rzucił go pomiędzy opony AI i uratował przed czymś gorszym niż złamana ręka i noga, którymi zajęła się ekipa medyczna. Ręka i noga były już niemal wyleczone i chroniła je tylko lekka opaska - a jednak kosztowały go więcej bólu niż cała reszta.

Skan istotnie zlokalizował trzy wyrzucone z kursu asteroidy, których komputery stacji nie rozpoznały jako zmierzające ku planecie - dopóki personel statków nie przeprowadził własnych obserwacji. Skierowano je na właściwe tory.

Ofiary. Zniszczenie. Walki wewnątrz Misji. Wina lordów sędziów była ogromna i poza dyskusją.

- Lordzie nawigatorze - powiedział oficer łącznościowy. - Doktor Gothon odpowiada na twoje wezwanie.

„Zegnajcie - powiedział Gothon. Nie zgadzam się z wami, poświęcę wszystkie siły na dążenie do celu. Wszystkim, którzy chcą dołączyć do was, pozwolę zamieszkać na stacji. Jest paru ochotników; nie twierdzę, że ich rozumiem, ale możecie im zaufać. I możecie być pewni, że lordowie sędziowie wyciągną wnioski z tej lekcji. Ja im to

ułatwię. Dopóki mam jakieś znaczenie, żaden uczestnik tej misji nie będzie musiał ukrywać swoich poglądów. I dopilnuję tego. Może pani znowu zasnąć i obyśmy się spotkali raz jeszcze”.

- Odbiorę - powiedział, jednocześnie zadowolony i przestraszony, że Gothon łaskawie mu odpowiada. Włączył kanał komunikacyjny. Elektroniczne przewody dotknęły jego ucha, zaopatrzonego dla wygody w implant. Usłyszał zwykły hałas i zgiełk mechanizmów, a potem cichy głos Gothon:

- Lordzie nawigatorze...

- Słyszę panią.

- Dziękuję za uczucie. Ja także dobrze panu życzę. Bardzo dobrze.

Przed nim, nad konsolą, znajdowała się tablica. Miliony lat temu z tej planety wyruszyła maleńka sonda, która na swoim pokładzie miała jej oryginał. Dwoje nagich Obcych, jeden z podniesioną ręką. Szereg wykresów, które, częściowo zatarte, nadal prowadziły Misję przez stulecia. Sonda z powitaniem. Kamery i proste instrumenty, które z czasem zamarły.

Witajcie, nieznajomi. Pochodzimy z tej planety, z tego układu słonecznego.

Widzicie, ręka, kończyna budowniczego - tyle mamy ze sobą wspólnego.

Wykresy: mamy wiedzę. Nie boimy się was, nieznajomi, którzy to czytacie, kimkolwiek jesteście.

Szaleni i mądrzy.

Dawno, dawno temu inni szaleńcy ruszyli na ich poszukiwanie... z ogromnej pustyni. Szaleńcy, którzy rozpaczliwie potrzebowali dowodu, że nie są sami. Bardzo dawno temu znaleźli jeden zakurzony artefakt Obcych, samotnie dryfujący.

Witajcie, powiedział.

Jego twórcy, miłujący pokój Starożytni, stali się legendą. Stali się

celem, inspiracją.

Obsesyjne, dręczące „dlaczego”, które ocaliło gatunek, odciągnęło go od wojny, podarowało mu gwiazdy.

- Mówię bardzo poważnie. Mam nadzieję, że pani odpocznie - proszę oszczędzić parę lat nienarodzonym.

- Moja najstarsza się przebudziła. Straciłam złudzenie, że jestem nieśmiertelna, lordzie nawigatorze. Chciałaby pana poznać.

- Nadal może pani zostawić tę planetę i wyruszyć z nami.

- Na poszukiwanie legendy?

- To nie legenda. Nie możemy się zgodzić. Co dobrego osiągnie pani na tej planecie? A jeśli ma pani racje? To ślepy zaułek. A jeśli ja nie mam racji? Nigdy nie przestanę szukać. Nigdy się nie dowiem.

- Ale my znamy ich potomków. To my. My nimi jesteśmy. Nieśliśmy tę legendę z gwiazdy na gwiazdę - i stali się bajką. Starożytnymi. Pionierami. W ten mit uwierzyły setki cywilizacji. Setki cywilizacji żyły z tą świadomością i opowiadały tę bajkę innym. A gdyby ich odszukać? Czy byście ich rozpoznali - czy ewolucja już ich ze sobą porwała? Być może już ich spotkaliśmy, gdzieś na planetach, które odwiedziliśmy - i nie rozpoznaliśmy ich.

Ironia. Łagodne żarty.

- Więc może - odparł z kolei Desan - przekonamy się, że szlak prowadzi do domu. Może jednak jesteśmy ich dziećmi, oddalonymi o osiem i ćwierć miliona lat.

- O, wy, którzy tworzycie mity. Zajmij się swoją misją, podróżniku. Dalej snuj legendy. Ucz bajek poznane rasy. Rozjaśnij nimi wszechświat. Pokładam w tobie wiarę. Widzisz - ja znalazłam tylko tę planetę, lecz ty - dziecko podróży - musisz mieć więcej. Dla ciebie Misją jest podróż. Zegnaj. Bądź zdrowy. Nic nie jest zupełną katastrofą. Tutaj równanie jest inne, przez wyzwolenie licznych mikroorganizmów. Bothogi przestał rozpaczać i zupełnie zmienił

pogląd na tę sprawę. Tym razem jego stawy z algami mogą wydać inne potomstwo - zmiana białek tu i tam w łańcuchu genetycznym - kto wie, co z tego wyniknie. Może tym razem inny scenariusz. Dobrej podróży, lordzie nawigatorze. Szukaj swoich Starożytnych pod obcymi słońcami. My będziemy czekać na ich potomstwo w blasku tego słońca.

Przełożyła Maciejka Mazan

John Crowley

ŚNIEG

Twórczość Johna Crowleya (ur. 1942) bywa porównywana z epickimi dziełami fantasy J. R. R. Tolkiena i z twórczością klasyka realizmu magicznego Gabriela Garcii Marqueza. Crowleya powszechnie uznaje się za autora mitycznej fantasy, swobodnie wplatającego elementy SF do bogatej w symbole i aluzje prozy. Jego trzy najwcześniejsze powieści to science fantasy, czyli SF o poetyce fantasy. „The Deep” (1975) przedstawia średniowieczną walkę o władzę dwóch feudalnych rodów żyjących na płaskiej powierzchni dysku umiejscowionego na szczycie kolumny wyrastającej z otchłani. Akcja „Beasts” (1976) rozgrywa się w niedalekiej przyszłości w Ameryce, gdzie zwolennicy totalitarnego scentralizowanego rządu starają się stłumić ruchy niepodległościowe, na których czele stoją ludzko-zwierzęce hybrydy, owoc manipulacji genetycznej. „Późne lato” (1979) przedstawia historię pierwotnego rytuału przejścia w Ameryce, która po katastrofie znalazła się w nowych, mrocznych czasach.

Od wyróżnionej nagrodą World Fantasy powieści „Małe, duże” (1981) Crowley zaczął przechodzić od nacechowanych elementami SF analiz struktur społecznych ludzkości do nowoczesnego ujęcia tradycyjnej fantasy. Ta bogata w aluzje do klasycznej literatury romantycznej opowieść jest kroniką ekscentrycznej, wielopokoleniowej rodziny, która żyje we współczesnym świecie o

nieco odmiennej rzeczywistości i utrzymuje kontakty ze światem baśniowych istot, któremu grozi niebezpieczeństwo ze strony pustoszącego kraj szalonego prezydenta, reinkarnacji Barbarossy. Nowatorska powieść, uważana za punkt zwrotny w nowoczesnej fantasy, wyznaczyła poetykę następnych utworów Crowleya, żartobliwie opisujących życie zwykłych ludzi stykających się z dziwnymi i magicznymi zjawiskami.

„Aegypt” (1987), „Love and Sleep” (1994) oraz „Daemonomania” (2001) to trzy pierwsze tomy planowanego czteroksięgu, cyklu łączącego fakty historyczne, wyimaginowany świat fantasy, nadprzyrodzone tajemnice, renesansową metafizykę, historię alternatywną, legendy i klasyczną mitologię. Z kolei zbiór „Novelty” (1989) zawiera cztery wizjonerskie nowele, których tematem jest artystyczna kreacja. Siedem opowiadań znalazło się także w tomie „Antiquities” (1993). Na tom „Novelties & Souvenirs” (2004) złożyły się opowiadania z powyższych zbiorów plus cztery nowe.

Nie sądzę, żeby Georgie w ogóle ją sobie kiedykolwiek kupiła; była pozbawiona sentymentalizmu, a jednocześnie trochę zafascynowana śmiercią. Nie, to jej pierwszy mąż, ogromnie bogaty i (to słowa Georgie) dziwnie płaksawy facet, kupił ją dla niej. Albo dla siebie. No jasne, oczywiście. To on miał być beneficjentem, tylko umarł tuż po instalacji. Jeśli „instalacja” to właściwe słowo. Po jego śmierci Georgie pozbyła się prawie całego spadku, zlikwidowała wszystko. I tak w tym małżeństwie najbardziej podobały jej się pieniądze. Ale Osy nie można się pozbyć. Więc przestała zwracać na nią uwagę.

To coś naprawdę ma rozmiary największej z żyjących os i lata tak samo jak one, leniwie i bezrozumnie. I oczywiście to nie owad, tylko

pluskwa, taka do podsłuchu. Więc nazwa pasuje pod każdym względem; przypadkowy genialny wynalazek, jeden z tych, które świat tworzy bezmyślnie. O Śmierci, gdzie twoje żądło?

Georgie przestała zwracać na nią uwagę, ale było to trudne; trzeba się było z nią obchodzić dość ostrożnie. Osa podążała za Georgie raz bliżej, raz dalej, zależnie od jej ruchów, od ludzi w otoczeniu, natężenia światła i tonu jej głosu. I zawsze trzeba było uważać, żeby jej nie przytrzasnąć drzwiami albo nie strącić rakieta do tenisa.

Kosztowała fortunę (wliczając prawo dostępu i stały serwis, wszystko płatne z góry) i choć tak naprawdę trudno było ją uszkodzić, irytowała.

Nie nagrywała przez cały czas. Musiała mieć odpowiednie, choć niezbyt silne oświetlenie. W ciemności się wyłączała. A czasami też się gubiła. Przez jakiś czas jej nie widzieliśmy, a potem, kiedy otworzyłem drzwi szafy, wyfrunęła ze środka taka jak zawsze i z cichym brzękiem ruszyła na poszukiwanie Georgie. Pewnie przesiedziała w zamknięciu parę dni.

W końcu zepsuła się albo może wyczerpała. W takich małych obwodach kontrolujących tyle funkcji pewnie dużo może się zepsuć. Zaczęła obijać się miękko o sufit sypialni, nieustannie niczym zimowa mucha, aż pewnego dnia pokojówka wymiotła ją spod biurka - suchy korpusik. Do tego czasu zdążyła zarejestrować co najmniej osiem tysięcy godzin (osiem tysięcy to gwarantowane minimum) z życia Georgie; jej dni i godzin, jej czynności i bezczynności, jej słów i czynów, jej samej - wszystko nagrane i zaksięgowane w Parku. Potem, kiedy nadejdzie pora, można tam będzie pójść, powiedzmy w niedzielę po południu, i w spokojnym, malowniczym otoczeniu (jak zachwała Park) znaleźć jej osobistą salę spoczynku i na osobności, a dzięki cudowi nowoczesnego gromadzenia danych i metod odzysku otworzy się dostęp do niej, żywej, pod każdym względem takiej, jaka

była, nigdy innej, nigdy starszej, świeższej nawet (jak czytamy w broszurze Parku) niż wiecznie zielone wspomnienia.



Ożeniłem się z Georgie dla pieniędzy, czyli z tego samego powodu, dla którego ona wyszła za swojego pierwszego męża, tego, który zawarł w jej imieniu kontrakt z Parkiem. Ona poślubiła mnie chyba dla mojej urody; zawsze miała sentyment do urodziwych mężczyzn. Chciałem pisać. Przeprowadziłem kalkulację, której częściej dokonują kobiety niż mężczyźni, i doszedłem do wniosku, że dzięki finansowemu wsparciu bogatej żony będę mógł to robić bez przeszkód, będę mógł się swobodnie rozwijać. I wyszedłem na tej kalkulacji nie lepiej niż większość dokonujących jej kobiet. Wozilem się z maszyną do pisania i walizą papierzysek z Ibizy do Gstaad i z Bial do Londynu, pisałem na plażach i uczyłem się jeździć na nartach. Georgie lubiła mnie w stroju narciarskim.

Teraz, kiedy moja uroda już niemal zupełnie przeminęła, patrzę na tamtego mnie, młodego byczka, i widzę, że w pewnym sensie byłem osobliwością, typem spotykanym znacznie częściej wśród kobiet - mężczyzną pięknym, który nie wie, że jest piękny, ma świadomość swojego ogromnego i niemal piorunującego wpływu na kobiety, lecz nie rozumie jego przyczyn, któremu wydaje się, że kobiety go słuchają i rozumieją, że widzą jego duszę, podczas gdy one tymczasem patrzą tylko na oczy okolone długimi rzęsami i mocne, kwadratowe, opalone nadgarstki, poruszające się w ślicznym geście zgniatania niedopałka. To prowadzi do nieporozumień. Zanim dotarło do mnie, dlaczego od dawna spotykam się z takim pobłazaniem, troską i uwagą, dlaczego jestem interesujący - przestałem już być

interesujący. Mniej więcej w tym samym czasie dotarło do mnie również to, że wcale nie jestem pisarzem, Georgie przestała uważać mnie za dobrą inwestycję, a moja kalkulacja przestała się kalkulować. Ale w tym czasie całkiem niespodziewanie okazało się, że cholernie kocham Georgie, a ona równie niespodziewanie przekonała się, że też mnie kocha i potrzebuje, tak jak potrzebowała innych. Kiedy zmarła, uświadomiłem sobie, że nigdy tak naprawdę się nie rozstaliśmy, choć wiele lat się nie widzieliśmy - telefony o świcie, o czwartej nad ranem, bo nigdy, pomimo tych wszystkich podróży, nie połąpała się, że kula ziemską się obraca, a pora koktajlu zmienia się wraz z tym ruchem. Była szalona, rozrzutna, szczęśliwa, nie wiedziała, co to złośliwość, stałość czy ambicja. Łatwo ją było zadowolić i łatwo znudzić, a ona, pomimo tego szalonego tempa, zachowywała dziwny spokój. Rozkoszowała się, traciła i zapominała wszystko: rzeczy, dni, ludzi. Ale potrafiła się bawić, a ja bawiłem się razem z nią. Na tym polegał jej talent i przeznaczenie, nie zawsze łatwe. Raz, gdzieś na wysokim piętrze w nowojorskim hotelu, przyglądając się przez ogromne okno nagłej zadymce, powiedziała do mnie: - Charlie, ta zabawa mnie zabije.

I tak się stało. Podczas bezkrwawego polowania w Austrii jej pierwszej właśnie trafił się irbis, jedna z tych cichych bestii, szybkich jak ślizgacze. Alfredo zadzwonił do Kalifornii, żeby mnie powiadomić, ale z powodu tej odległości, jego akcentu i gorączkowego pragnienia, żeby mnie zapewnić, że to nie jego wina, nigdy nie poznałem szczegółów. Wciąż byłem jej mężem, najbliższym krewnym, spadkobiercą tej resztki, która jej została, a także beneficjentem dostępu do Parku. Na szczęście w zestawie usług Parku znalazło się także odebranie jej z kostnicy w Gstaad i zainstalowanie w komorze kalifornijskiej filii Parku. Oprócz podpisania dokumentów i przyjęcia przesyłki, gdy Georgie przybyła

samolotem towarowym na Van Nuys, nie miałem nic do roboty. Przedstawiciel Parku był bardzo usłużny, upewniał się, czy rozumiem, w jaki sposób uzyskać dostęp do Georgie, ale nie słuchałem go. Jestem dzieckiem swoich czasów. Wszystko, co dotyczy śmierci - sam jej fakt, los zwłok i konieczność zetknięcia się z nimi - wydaje mi się groteskowe, krępujące i niczemu niesłużące. A wszystko, co się z nimi robi, tylko potęguje poczucie groteskowości. Ktoś, kogo kochałem, nie żyje - dlatego mam się przebrać w strój błazna, mówić na opak i kupić drogi sprzęt, żeby to sobie jakoś wynagrodzić. Wróciłem do Los Angeles.

Po roku albo i później z kancelarii prawniczej przysłali mi zawartość niektórych skrytek depozytowych Georgie: jakieś akcje, papiery oraz małą metalową kasetkę wyłożoną aksamitem, na którym spoczywał klucz. Klucz z głębokimi nacięciami po obu stronach, oprawny w gładki plastik, jak od drogiego samochodu.



Dlaczego po raz pierwszy poszedłem do Parku? Głównie dlatego, że po prostu o nim zapomniałem. Klucz był niczym odkrycie sterty starych fotek, które się zlekceważyło, kiedy były nowe, ale po czasie okazuje się, że odzwierciedlają przeszłość, choć nie odzwierciedlały teraźniejszości. Byłem ciekawy.

Bardzo dobrze rozumiałem, że Park i sama idea dostępu to prawdopodobnie kolejny okrutny żart spleatany bogaczom - iluzja, że mogą kupić to, czego kupić się nie da. Coś takiego jak moda na hibernację sprzed trzydziestu lat. Raz na Ibizie Georgie i ja spotkaliśmy parę Niemców, którzy także podpisali umowę z Parkiem; Osy wisały nad nimi jak dwa Duchy Święte, a oni zachowywali się

niemożliwie sztucznie - wydawało się, że odgrywają niekończącą się sztukę dla potomnych. Ich życiem rządziła śmierć, jakby byli faraonami. Georgie zastanawiała się nawet, czy wyrzucają Osy z sypialni. A może ich obecność pobudza ich do większych wyczynów, dowodów wiecznej miłości i godnego podziwu wigoru, przeznaczonych dla jeszcze nienarodzonych?

Nie, śmierci nie da się w ten sposób oszukać, tak jak nie udało się z piramidami. Nie znajdę Georgie ocalonej przed śmiercią, ale znajdę osiem tysięcy godzin jej życia ze mną. Prawdziwych godzin, przechowanych staranniejsz niż w mojej dziurawej pamięci. Georgie nie zamykała przed Osą drzwi naszej sypialni, a będąc osobą, która nigdy i przed nikim niczego nie udawała, nie udawałaby także przed Osą. Wśród tych tysięcy godzin będą także setki godzin ze mną, a ja właśnie zacząłem być dla siebie problemem, który należało rozwiązać, w sprawie którego należało zebrać i rozważyć dowody. Miałem trzydzieści osiem lat.

Tego lata pożyczyłem od znajomego prawnika Autostradową Kartę (obowiązujące w tamtych czasach stare zezwolenie AutoKar) i pojechałem autostradą wzdłuż brzegu morza do siedziby Parku na końcu ładnej, nadmorskiej uliczki, na wysokim, samotnym klifie. Z zewnątrz wyglądało to jak najlepszy, najspokojniejszy, wiejski włoski cmentarzyk: niski, zwieńczony urnami murek, wokół cyprysy, a na środku półkolistą bramą. Na bramie mała mosiężna tabliczka: OTWIERANIE WŁASNYM KLUCZEM. Brama rozchyliła się, a za nią ukazały się nie ocienione nagrobki, lecz schodzący w dół korytarz: cmentarny mur to była zmyłka, sedno sprawy spoczywało pod ziemią. Cisza lub bezdźwięk anonimowej mechanicznej muzyczki, pustka - pracownicy techniczni byli ukryci lub niepotrzebni. Sam dostęp okazał się idealnie prosty, przynajmniej od strony praktycznej. Nawet ja, idiota w sprawach techniki, mogę o tym zaświadczyć. Osa

stanowiła autentyczne dzieło sztuki, ale żałobnicy otrzymywali zwyczajne domowe wideo, jakby stare, przewiązane wstążeczką listy.

Na ekranie w pobliżu drzwi sprawdziłem, gdzie mogę znaleźć Georgie. Klucz otworzył mi drzwi małego pokoju projekcyjnego ze średniej wielkości telewizorem, dwoma wygodnymi krzesłami i ciemnymi ścianami wybitymi czekoladową wykładziną. Słodko-smutna muzyczka. Samej Georgie najwyraźniej nie było w pobliżu - ani na ścianie, ani pod podłogą, widać nie chcieli tu urządzać kostnicy. Na tablicy rozdzielczej przed telewizorem znajdował się otwór pasujący do mojego klucza oraz dwa przyciski: DOSTĘP oraz RESET.

Usiadłem, czując się trochę jak idiota, a trochę się też bojąc. Niepokoiło mnie, że te neutralne meble i surowe przyrządy mają mnie w tak ewidentny sposób uspokoić. Wyobraziłem sobie, że wszędzie wokół mnie, na innych korytarzach, w innych pomieszczeniach, inni ludzie łączą się ze swymi zmarłymi tak jak i ja miałem się połączyć, że zmarli szemrzą do nich przez szmer tej syntetycznej muzyczki, że żywi płaczą, mogąc ich ujrzeć i usłyszeć, tak jak ja za chwilę... Ale niczego nie słyszałem. Włożyłem klucz w szczelinę i ekran rozbłysł. Przytłumione światło przygasło jeszcze bardziej, a muzyczka przycichła. Wcisnąłem DOSTĘP - najwyraźniej był to kolejny krok. Bez wątpienia wyjaśniono mi te wszystkie procedury już dawno temu, w porcie, kiedy wyładowywano Georgie w aluminiowym opakowaniu, a ja nie słuchałem. Na ekranie odwróciła się i spojrzała na mnie - tyle że nie na mnie, choć i tak drgnąłem i wstrzymałem oddech - obserwowana przez Osę. W pół zdania, w pół gestu. Gdzie? Kiedy? „Albo umieść na tej samej karcie co pozostałe” powiedziała, odwracając się. Ktoś coś odpowiedział, Georgie znowu odpowiedziała i wstała, a Osa pospieszyła za nią chwiejnie jakby z amatorską kamerą. Biały pokój, słońce, wiklina.

Ibiza. Georgie w bawełnianej rozpiętej bluzce; wzięła ze stołu balsam, wylała trochę na dłoń i roztarła na piegowatej klatce piersiowej. Nieistotna rozmowa o umieszczaniu czegoś na karcie ciągnęła się i zamierała; patrzyłem na pokój, zastanawiałem się, w który rok, w jaki sezon wpadłem. Georgie zdjęła bluzkę - jej małe, okrągłe piersi zakończone dużymi, dziecinnymi sutkami, te nawet po czterdziestce dziecięce wciąż piersi delikatnie się zakołysały. Wyszła na balkon, Osa za nią, słońce ją oślepiło, zmieniła przysłonę. „Jeśli chcesz, to zrób tak”, powiedział ktoś. Ten ktoś przeszedł przez ekran, brązowa smuga, naga. Ja. Georgie powiedziała: „Och, patrz, kolibry”.

Przyglądała się im w zachwycie. Osa podkradła się blisko jej krótkowłosej jasnej głowy, także zachwycona, a ja obserwowałem jej obserwację. Georgie odwróciła się, oparła łokcie na balustradzie. Nie potrafiłem sobie przypomnieć tego dnia. Zresztą jak? Jeden z setek, tysięcy... Z tą swoją miną lunatyczki, z rozchylonymi ustami spoglądała na roziskrzane morze i w roztargnieniu gładziła pierś. To metaliczne migotanie wśród kwiatów musiało oznaczać kolibra.

Nie zdając sobie w pełni sprawy z tego, co robię - nagle poczułem głód, głód przeszłości - dotknąłem klawisza RESET. Balkon na Ibizie zniknął, ekran błysnął pustką. Wcisnąłem DOSTĘP.

Początkowo była ciemność, szmer; potem ciemne plecy odsunęły się sprzed oka Osy i wyłoniło się mroczne ludzkie zbiorowisko. Cięcie. I znów ci sami ludzie. Impreza? Cięcie. Najwyraźniej Osa włączała się i wyłączała, zależnie od zmiany oświetlenia w pomieszczeniu, gdziekolwiek się ono znajdowało. Georgie w ciemnej sukience, ktoś zapala jej papierosa; krótki rozbłysk zapalniczki. Powiedziała „dzięki”. Cięcie. Hotelowe lobby. Paryż? Osa gwałtownie szuka jej pomiędzy wchodzącymi i wychodzącymi ludźmi; nie był to film, ujęcia, plany - Osa jak zazdrosny mąż na oślepe szukała Georgie, nie widząc nic innego. To było męczące. Wcisnąłem RESET, DOSTĘP

Georgie myła zęby... gdzieś, kiedyś.

Po paru takich strasznych skokach zrozumiałem. Projekcja scen następowała na chybił trafił. Nie można było wybrać roku, dnia, sceny. Park nie dostarczał programu; nikt nie uporządkował tych ośmiu tysięcy godzin, były pomieszane, jak wspomnienia szaleńca, jak talia potasowanych kart. Bezmyślnie założyłem, że zaczną się na początku i będą wyświetlane aż do końca. Dlaczego tak nie było?

Ale zrozumiałem także coś innego. Jeśli projekcja następowała naprawdę na chybił trafił, jeśli naprawdę nie miałem nad tym żadnej kontroli, to obejrzone sceny właściwie już utraciłem. Miałem szansę jak osiem tysięcy do jednego (więcej?, dużo więcej?, rachunek prawdopodobieństwa jest dla mnie tajemnicą), że nigdy więcej nie trafię na nie po naciśnięciu klawisza. Zabolą mnie utrata tego popołudnia na Ibizie. Teraz utraciłem je podwójnie. Siedziałem przed pustym ekranem, bojąc się znowu dotknąć klawisza DOSTĘP, bojąc się tego, co mogę stracić.

Wyłączyłem urządzenie (w pokoju zrobiło się jaśniej, muzyczka znowu łagodnie powróciła) i wyszedłem na korytarz, do ekranu przy wejściu. Zielona lista nazwisk sunęła powoli, jak lista odlotów na lotnisku; przy wielu nie było kodów, co być może oznaczało, że miejsce jeszcze nie jest zajęte, dopiero czeka. Pod literą D trzy nazwiska oraz DYREKTOR - ukryty wśród nich, jakby także należał do świata zmarłych. Numer pokoju. Odszukałem go i wszedłem. Dyrektor bardziej przypominał nocnego stróża albo woźnego, taki podstarzały typ, który często pilnuje mało uczęszczanych budynków. Miał na sobie brązowy fartuch, coś w rodzaju habitu, i akurat robił sobie kawę w kącie małego gabinetu, najwyraźniej dla zabicia czasu. Podniósł głowę i drgnął, zaskoczony moim wejściem.

- Przepraszam - powiedziałem - ale chyba nie rozumiem tego systemu.

- Problem? - spytał. - Nie powinno być problemu. - Patrzył na mnie wielkimi oczami, nieśmiało, w nadziei że nie chodzi o nic trudnego. - Sprzęt działa?

- Nie wiem. Nie wydaje mi się, żeby to było normalne. - Opisałem swój pogląd na dostęp do nagrań. - To chyba nie powinno tak być, prawda? Kompletnie przypadkowa projekcja...

Kiwał głową, nadal z wielkimi oczami, bardzo uważny.

- Prawda? - powtórzyłem.

- Co prawda?

- Przypadkowa.

- A, tak. Tak, jasne. Jeśli wszystko działa.

Przez chwilę nie znajdowałem słów. Patrzyłem, jak pokrzepiająco kiwa głową.

- Dlaczego? - spytałem w końcu. - Dlaczego nie można tego, no, zorganizować, otrzymać jakiś zorganizowany dostęp do materiału? - Zacząłem znowu odczuwać to groteskowe zażenowanie w obliczu śmierci, jakbym się wykłócał o spadek po Georgie. - To jakieś głupie, pan wybaczy.

- Och, nie, och, nie. Przeczytał pan literaturę? Przeczytał pan całą instrukcję?

- No, prawdę mówiąc...

- Jest tak, jak napisali - powiedział dyrektor. - Mogę to zagwarantować. Jeśli będą jakieś problemy...

- Czy mógłbym usiąść?

Uśmiechnąłem się. Wyraźnie bał się mnie i mojego niezadowolenia - mnie, żałobnika, prawdopodobnie oszalałego z rozpacz i niemogącego pojąć jego ograniczonej odpowiedzialności - że sam wymagał pocieszenia.

- Na pewno wszystko jest w porządku - dodałem. - Tylko chyba czegoś nie rozumiem. W tych sprawach jestem trochę przygłupi.

- Jasne. Jasne. Jasne. - Z żalem porzucił przygotowywanie kawy i usiadł za biurkiem, splatając palce niczym doradca. - Ludzie czerpią ogromną satysfakcję z naszych projekcji - oznajmił. - Ogromną pociechę, jeśli się dobrze nastroją. - Usiłował się uśmiechnąć. Zacząłem się zastanawiać, jakie ma kwalifikacje do tej pracy. - Randomizacja. No, wszystko jest w instrukcji. Aspekt prawny - pan nie jest prawnikiem, prawda? Oczywiście że nie, bez urazy. Widzi pan, ten materiał nie służy do niczego z wyjątkiem, no, z wyjątkiem kontaktu ze zmarłym. Ale przypuśćmy, że poddano by go programowaniu, uporządkowano. Przypuśćmy, że wystąpiłby problem z podatkami, dziedziczeniem i tak dalej. Byłyby wezwania, wszędzie prawnicy, kompletne zniszczenie projekcji wspomnień.

O tym nie pomyślałem. Przypadkowość ocalała minione życie przed jakimkolwiek systematycznym przeszukiwaniem. I niewątpliwie oszczędzała Parkowi konieczności rejestracji i występowania po niewłaściwej stronie w sądzie.

- Musielibyście przejrzeć osiem tysięcy godzin - powiedziałem - i nawet gdybyście znaleźli to, czego szukaliście, nie moglibyście tego jeszcze raz odtworzyć. Wszystko by przepadło.

Znikłoby w chaosie przeszłości w chwili oglądania, tak jak tamto popołudnie na Ibizie, to przyjęcie w Paryżu. Utracone. On uśmiechnął się i pokiwał głową. Ja uśmiechnąłem się i pokiwałem głową.

- Coś panu powiem - odezwał się. - Nikt tego nie przewidział. Przypadkowości. To był efekt uboczny, efekt procesu archiwizacji. Zrządzenie losu. - Jego uśmiech zniknął, brwi zbiegły się surowo. - Widzi pan, archiwizujemy na poziomie molekularnym. Ze względu na przestrzeń. To znaczy gwarancję ośmiu tysięcy godzin. Gdybyśmy nagrywali konwencjonalnie, na taśmę, ile miejsca by to zajęło? Gdyby pomysł chwycił. Mnóstwo miejsca. Więc poszliśmy w

kondensację i nieskończoną liczbę ścieżek. Rozmiaru mojego paznokcia. Wszystko jest w instrukcji.

Spojrzał na mnie dziwnie. I nagle odniosłem przemożne wrażenie, że mnie oszukuje, że to podstęp, że ten człowiek w fartuchu nie jest żadnym ekspertem, żadnym technikiem; to szarlatan albo może szaleniec udający dyrektora i wcale niezwiązany z tym miejscem. Poczułem, jak zjeżyły mi się włosy na karku. I nagle uczucie minęło.

- Stąd przypadkowość - mówił. - Efekt poziomego molekularnego. Ruchy Browna. Trzeba tylko przez mikrosekundę zatrzymać nieustanny ruch i otrzymuje się zmianę na poziomie molekularnym. To nie my randomizujemy. Tylko molekuły.

Przypomniałem sobie co nieco ruchy Browna - ale ledwie ledwie, z lekcji fizyki. Przypadkowy ruch cząsteczek, powiedział nauczyciel, był także matematyczny opis. Jak ruch pyłków kurzu, które tańczą w promieniu słońca, jak wir płatków śniegu w szklanej kuli z chatką wśród zamieci.

- Rozumiem - powiedziałem. - Chyba.

- Czy jest jeszcze jakiś problem? - spytał. Powiedział to, jakby mógł być, a on go znał i modlił się, żebym go nie odkrył. - Rozumie pan system, zamek na klucz, dwa przyciski, DOSTĘP, RESET...

- Tak - powiedziałem. - Już rozumiem.

- Połączenie - oznajmił, wstając z ulgą, pewien, że teraz już sobie pójde. - Rozumiem. Trzeba chwili, żeby pogodzić się z ideą połączenia.

- Tak - powiedziałem. - Trzeba.

Nie dowiedziałem się tego, czego chciałem się dowiedzieć, cokolwiek to było. Osa jednak nie okazała się dobrym rejestratorem, nie lepszym od mojej młodej duszy. Jej maleńkie oczko przegapiło całe dni i tygodnie. W dodatku nie widziało dobrze, a kiedy już coś widziało, nie lepiej od mojego potrafiło odróżnić rzeczy zasługujące

na zapomnienie od niezapomnianych. Nie lepiej ani nie gorzej - tak samo.

A jednak - wstała na Ibizie i smarowała piersi balsamem, i powiedziała do mnie: „Och, patrz, kolibry”. Ja o tym zapomniałem, a Osa nie. I odzyskałem to, o czego stracie nie wiedziałem i nie wiedziałem, że tak to będę cenić.

O zachodzie słońca opuściłem Park; atłasowe morze pieniło się delikatnie i przypadkowo wokół skał.

Przez całe życie na coś czekałem, nie wiedząc na co, nie wiedząc nawet, że czekam. Zabijałem czas. Nadal czekałem. Ale nagle ukazało mi się to, co było powodem mojego oczekiwania: przeszłość.

Od śmierci Georgie minęły prawie dwa lata. Dwa lata zanim - po raz pierwszy i ostatni - zacząłem płakać za nią, nad nią i nad sobą.



Oczywiście wróciłem. W wyniku dużego wysiłku i słusznie zainwestowanych dolarów zdobyłem własne zezwolenie AutoKar. Miałem dużo wolnego czasu, jak wówczas mnóstwo osób, i podczas tych pustych popołudni (nigdy w niedzielę) często wyjeżdżałem na pełną dziur i zarośniętą chwastami autostradę, którą mknąłem aż nad morze. Park był zawsze otwarty. Pogodziłem się z ideą połączenia.

Teraz, po jakiejś setce godzin spędzonych tam, pod ziemią, kiedy od dawna przestałem otwierać te drzwi (chyba zgubiłem klucz; w każdym razie nie wiem, gdzie go szukać), wiem już, że ta samotność, którą odczułem, była autentyczna. Obserwatorzy dokoła mnie, słuchacze, których obecność w innych pokojach wyczuwałem, byli na ogół wytworem mojej wyobraźni. Rzadko ktoś tam przychodził.

Te grobowce były tak samo zaniedbane jak zwykle wszystkie

groby. Albo żywym przestało zależeć na odwiedzaniu zmarłych - czy kiedykolwiek im zależało? - albo pełni nadziei nabywcy kontraktów odkryli w końcu skazę w idei dostępu, tak jak w końcu i ja ją odkryłem.

DOSTĘP i bierze sukienkę za sukienką z jednej z szaf, przykłada je do siebie, bada efekt w wysokim lustrze i odwiesza je na miejsce. Ma śmieszoną minę, którą przybierała, jedynie patrząc na siebie w lustrze, minę przeznaczoną tylko dla niej, właściwie zupełnie do niej niepasującą. Lustrzana Georgie.

RESET.

DOSTĘP. Dziwacznym zbiegiem okoliczności znowu wpatruje się w inne lustro. Chyba lustra dezorientowały Osę. Odwraca się, Osa nadaża za nią. Ktoś śpi, zamotany w pościel wielkiego hotelowego łóża, jest ranek, wózek ze śniadaniem. A, to Hotel Algonquin, a to ja. Zima. Za wysokim oknem pada śnieg. Ona przeszukuje swoją torebkę, wyjmuje małą fiolkę, popija pigułkę kawą, trzymając filiżankę za czarkę, nie za uszko. Poruszam się, wynurzam rozczochraną głowę. Rozmowa, niezrozumiała. Szary pokój, białawe światło przefiltrowane przez śnieg, stłumione kolory. Czy teraz wyciągnę rękę (myślę, przyglądając się nam), żeby ją dotknąć? Czy teraz ją wezmę albo ona mnie, czy odrzucę pościel, rozchylę jej jasną piżamę? Ona wychodzi do łazienki, zatraskuje drzwi. Osa gapi się głupio, odtrącona, transmituje obraz drzwi.

RESET, ostatecznie.

A gdybym (myślę) był cierpliwy, gdybym patrzył i czekał?

Czas, jak się okazuje, zawsze ma czas. Te dłużyzny, zastoje - to nie jest widowiskowy sport. Jeśli siedzenie, gapienie się na nicosć i smakowanie własnego bytowania przez całe popołudnie ma jakiś urok, to ponowna projekcja wcale go nie ma. Czekanie jest straszne. Jak często przez pięć lat w czasie tych ośmiu tysięcy godzin światła

dziennego lub elektrycznego mogliśmy odbywać stosunki, ile czasu zajęło nam uprawianie miłości? Tysiąc godzin, dwa tysiące? Małe szanse, żebym trafił na taką scenę; większość pożarły ciemności, inne zaginęły pomiędzy niezliczonymi godzinami zakupów, czytania, siedzenia w samolotach i samochodach, snu, rozłąki. To beznadziejne.

DOSTĘP. Włączyła lampkę przy łóżku. Jest sama. Myszkuje wśród chusteczek i gazet na nocnym stoliku, znajduje zegarek, patrzy na niego nieprzytomnie, odwraca, znowu spogląda i odkłada. Zimno. Zakopuje się w koce, ziewa, rozgląda się, wyciąga rękę do telefonu, ale tylko opiera na nim dłoń, rozmyśla. Rozmyśla o czwartej nad ranem. Cofa rękę, wzdryga się mocno, sennie jak dziecko, i wyłącza światło. Zły sen. Chwilę potem jest ranek, świt; Osa też zasnęła. Georgie śpi mocno, bez ruchu, nad kołdrą widać tylko czubek jej blond głowy - i bez wątpienia będzie tak spać godzinami, obserwowana uważniej, z większym natężeniem niż przez podglądacza.

RESET.

DOSTĘP

- Nie słyszę już tak dobrze jak kiedyś - powiadomiłem dyrektora. - I obraz robi się nieostry.

- O, jasne - odpowiedział. - To naprawdę jest w instrukcji. Musieliśmy to starannie wyjaśnić. To może sprawiać problemy.

- Czy to nie kwestia monitora? - spytałem. - Myślałem, że to może monitor.

- Nie, nie, właściwie nie - powiedział. Poczęstował mnie kawą. Przez te miesiące się zaprzyjaźniliśmy. Myślę, że chociaż bał się mnie, cieszyło go, że od czasu do czasu wpadam; przynajmniej zjawiał się tu ktoś żywy, ktoś w końcu korzystał z usług. - To nieznaczną degeneracją, która istotnie występuje.

- Wszystko szarzeje.

Jego twarz ułożyła się w wyraz intensywnej troski, żadnego bagatelizowania problemu.

- Mmm - hmm, mmm - hmm, na poziomie molekularnym, na którym to działa, jest to degeneracja. To kwestia fizyczna. Pojawia się w przypadkowych miejscach. Dlatego traci się... nie traci się ani minuty, ale traci się odrobinę ostrości. Trochę koloru. Ale to się wyrówna.

- Naprawdę?

- Tak sądzimy. Oczywiście że tak, obiecujemy. Przewidujemy to.

- Ale pewności nie macie.

- No, no, widzi pan, zajmujemy się tym dopiero od niedawna. To nowe pojęcie. Istnieją rzeczy, o których nie możemy wiedzieć. - Nadal na mnie patrzył, ale jednocześnie jakby o mnie zapomniał. Zmęczony. Sam ostatnio jakby zszarzał, stracił ostrość. - Możliwe, że zaczęło panu śnieżyć - powiedział cicho.

DOSTĘP RESET DOSTĘP

Szary plac z płytek ułożonych w jodełkę, szare, szeleszczące palmy. Ona stawia kołnierz swetra, mruży oczy na ostrym wietrze. Kupuje w kiosku gazety: „Vogue”, „Harper’s Bazaar”, „La Mode”. „Zimno”, mówi do dziewczyny z kiosku. „Frio”. Młodzieniec, którym byłem, bierze ją pod rękę; idą po plażę, opuszczonej i zaśmieconej wyrzuconymi z morza wodorostami, obmywanej brudną wodą. Zima na Ibizie. Rozmawiamy, ale Osa tego nie słyszy, ogłusza ją szum morza; wydaje się, że jest znudzona swoimi obowiązkami i ledwie się za nami wlecze.

RESET.

DOSTĘP. Hotel Algonquin, straszliwie znajomy poranek, zima. Ona odwraca się od śniegu za oknem. Ja jestem w łóżku i oglądając to, przez chwilę czułem się, jakbym się znalazł między dwoma lustrami, odbijającymi się nawzajem w nieskończoność. Już to raz

widziałem, już to raz przeżyłem, odświeżyłem to wspomnienie, a oto znowu ono albo podobne. Ale nie. Odwraca się od okna, wyjmuje fiolkę pigułek, podnosi filiżankę, trzymając ją za czarkę. Już widziałem tę chwilę, nie przed miesiącami, przed tygodniami, tu, w tym pokoju. Dwa razy trafiłem na tę samą scenę.

Jakie jest prawdopodobieństwo, pomyślałem, jakie jest prawdopodobieństwo trafienia na te same minuty, na te minuty.

Poruszam się wśród pościeli.

Tym razem pochylam się, by usłyszeć, co mówię. Brzmi to jak „ale zawsze to zabawa” czy podobnie.

„Zabawa”, mówi ona ze śmiechem, udręczona. Kiepski dźwięk brzmi jak upiorne ćwierkanie. „Charlie, pewnego dnia ta zabawa mnie zabije”.

Bierze pigułkę. Osa podąża za nią do łazienki i widzi zatrzaskujące się przed nią drzwi.

Dlaczego tu jestem, myślę, a serce bije mi mocno i powoli. Po co się tu znalazłem? Po co?

RESET. DOSTĘP.

Osrebrzone lodowate ulice, Nowy Jork, Piąta Aleja. Ona się wychyla, krzyczy z mrocznego wnętrza taksówki. „Nie krzycz na mnie”, krzyczy na kogoś; na matkę, której nigdy nie poznałem, na smoczycę. Wysiada i biegnie po śniegowej brei na ulicach, z pakunkami, z Osą nad ramieniem. Chciałbym wyciągnąć rękę, dotknąć jej ramienia, żeby się odwróciła i poszła za mną. Odchodzi, zaginiona w bezbarwnej gęstwinie samochodów i ludzi, niemożliwa do rozróżnienia w zamglonym śnieżącym obrazie.



Coś jest tu bardzo nie w porządku.

Georgie nie znosiła zimy, na ogół, kiedy byliśmy razem, uciekała przed nią, na początku nowego roku zaczynała tęsknić za słońcem, które odeszło w inne strony; Austria sprawdzała się przez parę tygodni, zabawkowe wioseczki, cukrowy śnieg i smukli, śmigli narciarze to nie była ta zima, której się bała, choć nawet w ogrzewanych ogniem na kominku chatach trudno było ją rozebrać. Od razu dostawała gęziej skórki i dreszczy, podobno z powodu przeciągów, które czuła tylko ona. W zimie żyliśmy cnotliwie. Więc Georgie przed nią uciekała; Antigua, Bali i dwa miesiące na Ibizie w porze kwitnienia migdałowców. Nieustanna, sztuczna, pozbawiona smaku wiosna przez całą zimę.

Jak często padał śnieg w czasach, gdy Osa ją obserwowała?

Nieczęsto; dałoby się policzyć na palcach. Sam mógłbym to policzyć, gdybym miał taką pamięć jak Osa. Nieczęsto. Nie zawsze.

- Mamy problem - powiadomiłem dyrektora.
- Pogłębił się, tak? Ten problem z ostrością?
- Prawdę mówiąc, jest gorzej.

Siedział za biurkiem, z rękami rozłożonymi szeroko na oparciu fotela, ze sztucznym, różowawym rumieńcem na policzkach jak pogrzebowy makijaż. Pił.

- Nie pogłębił się, tak?
- Nie w tym rzecz - powiedziałem. - Chodzi o dostęp. Nie jest przypadkowy, tak jak pan mówił.
- Poziom molekularny - odparł. - To fizyka.
- Pan nie rozumie. Nie staje się bardziej przypadkowy. Staje się mniej przypadkowy. Staje się selektywny. Powtarza się.
- Nie, nie, nie - powiedział sennie. - Dostęp jest przypadkowy. Życie nie całe składa się ze słonecznych dni i zabawy, wie pan. Zawsze musi być deszcz.

Zaplątałem się, usiłując wytłumaczyć.

- Alealeale...

- Wie pan - powiedział. - Myślałem o staniu się niedostępnym. - Otworzył szufladę biurka; wydawała pusty dźwięk. Przez chwilę wpatrywał się w nią tępo, potem zatrzęsął ją. - W Parku było mi dobrze, ale nie jestem do tego przyzwyczajony. Bywało, myślałem, że mogę się przydać, wie pan? No a co, wie pan, było zabawnie, no to czemu nie?

Oszalał. Przez chwilę usłyszałem zmarłych wokół mnie; poczułem na języku stęchłe powietrze podziemi.

- Pamiętam - ciągnął, przechylając się w fotelu i rozglądając wszędzie - wiele lat temu zająłem się dostępem. Ale wtedy tego tak nie nazywaliśmy. W każdym razie pracowałem dla wytwórni filmów dokumentalnych. Już wypadła z gry, jak one wszystkie, jak wszystko tutaj, nie powinienem tego mówić, ale pan tego nie słyszał. W każdym razie był to wielki magazyn z kilometrami stalowych półek, pełnych puszek z filmami, puszek pełnych starych plastikowych klisz, wie pan? Najróżniejszych filmów. A filmowcy, jeśli potrzebowali dokumentalnych scen z dawnych czasów, dzwonili i prosili o to, co im było trzeba, i tak mnie znaleźli, i tak znaleźli mi to. Mieliśmy wszystko, każdą scenę, ale wie pan, co najtrudniej było znaleźć? Najzwyczajniejsze sceny z życia codziennego. Ludzi, którzy robią różne rzeczy i po prostu żyją. Wie pan, co mieliśmy? Przemówienia. Przemawiających ludzi. Na przykład prezydentów. Przemówień mieliśmy całe godziny, ale nie zwykłych ludzi, którzy jak to się tam nazywa, no, po prostu piorą, siedzą w parku...

- A może mi się wydawało - powiedziałem. - Sam nie wiem.

Patrzył na mnie długo, jakbym dopiero się pojawił.

- No więc - podjął w końcu, znowu się odwracając - pracowałem tam jakiś czas, uczyłem się zawodu. I zadzwonił producent i

powiedział „daj mi to, znajdź mi tamto”. Jeden producent robił film, jakiś film o dawnych czasach, i chciał starych scen, dawnych, z ludźmi sprzed lat, w lecie, bawiących się, jedzących lody, pływających w kostiumach kąpielowych, jeżdżących kabrioletami. Sprzed pięćdziesięciu lat. Osiemdziesięciu.

Znowu otworzył tę pustą szufladę, znalazł wykałaczkę i zaczął jej używać.

- Więc znalazłem dostęp do najwcześniejszych nagrań. Przemówienia. I inne przemówienia. Ale znajdowałem jakieś sceny, to tu, to tam - przechodnie, futra, wystawy, ulica. Starzy ludzie. To znaczy wtedy byli młodzi, ale czasy były stare; mieli takie skrzywione twarze, to charakterystyczne. Trochę smutne. Na ulicach, spieszyli się, przytrzymywali kapelusze. Miasta były wtedy jakby czarne na tych filmach; czarne samochody na jezdniach, czarne meloniki. Kamień. No, nie tego chcieli. Znalazłem im lato, kolorowe lato, ale nowe. Chcieli starego. Szukałem dalej. Ciągle szukałem. Naprawdę. Im głębiej w przeszłość, tym więcej tych skrzywionych twarzy, czarnych samochodów, czarnych kamiennych ulic. Śnieg. Tam nie ma lata.

Z powolną powagą wstał, znalazł brązową butelkę i dwa kubki. Nalał, trochę rozchlapał.

- Więc to się panu nie wydawało - powiedział. - Z filmem trwa to dłużej, tak myślę, ale to prawo fizyki. Wszystko to prawo fizyki. Mądrej głowie dość dwie słowie.

Alkohol był gryzący, zimny destylat minionego słońca. Chciałem już stąd iść, wyjść, nie oglądać się za siebie. Nie mogłem stać i patrzeć tak długo, aż zostanie już tylko śnieg.

- Więc staję się niedostępny - powiedział dyrektor. - Niech zmarli grzebią swoich zmarłych, tak? Niech zmarli grzebią zmarłych.



Nie wróciłem. Nigdy tam nie wróciłem, choć znowu otworzono autostrady, a Park nie jest daleko od miasta, w którym się osiedliłem. Osiedliłem, właściwe słowo. Przywraca równowagę - w końcu - a nawet w pewien dziwny sposób wesołość, kiedy sobie uświadomisz bez żalu, że najlepsze w życiu masz już za sobą. Ale mnie jeszcze zostało trochę lata.

Myślę, że istnieją dwa różne rodzaje pamięci i tylko jeden się pogarsza z wiekiem; ten, w którym wysiłkiem woli rekonstruujemy swój pierwszy samochód albo numer rejestracyjny, albo nazwisko i sylwetkę nauczyciela fizyki z liceum - niejaki pan Holm, w szarym garniturze, brodaty gość, chudy, koło trzydziestki. Ten drugi rodzaj się nie pogarsza, a nawet staje się bardziej intensywny. To coś w rodzaju lunatykowania, jakby się zabłąkało do pokoju z tajnymi drzwiami i nagle znalazło się nie na własnym frontowym ganku, lecz w sali szkolnej. Początkowo nie można się połapać, co się dzieje, a brodaty, uśmiechnięty mężczyzna obraca w dłoni szklany przycisk do papieru, w którym wśród śnieżnej zamieci stoi chatynka.

Nie mam już dostępu do Georgie, z wyjątkiem tego nieprzewidzianego, kiedy siedzę na ganku albo pcham wózek z zakupami lub stoję przy zlewie - wtedy nawiedza mnie wspomnienie tego rodzaju, intensywne i poruszające, jakby hipnotyzer strzelił palcami.

Albo jak to dziwne uczucie, które się czasami miewa na progu snu, jakby twoje imię wyszeptał cicho i wyraźnie ktoś, kogo tam nie ma.

Przełożyła Maciejka Mazan

James Patrick Kelly

SZCZUR

Pierwsze teksty Jamesa Patricka Kelly'ego (ur. 1951) zaczęły się ukazywać pod koniec lat siedemdziesiątych w czasopismach i antologiach i szybko wyrobiły mu reputację autora dobrze skonstruowanych opowiadań, proponujących różnorodne podejście do eklektycznej mieszanki tematów. Wiele z nich jest mocno zakorzenionych w sytuacji społecznej. „Death Therapy” przedstawia wizję futurystycznego systemu sprawiedliwości, w którym w procesie rehabilitacji przestępców wykorzystuje się symulację śmierci. „Big Guy” bada problem osłabienia związków międzyludzkich spowodowany gwałtownym rozwojem telekomunikacji i rzeczywistości wirtualnej. Najlepsze opowiadania znalazły się w zbiorze „Think Like a Dinosaur and Other Stories” (1997) i „Strange But Not a Stranger” (2002).

Kelly jest też autorem dyptyku „Planet of Whispers” (1984) i „Look into the Sun” (1989), opisującego życie na planecie Aseneshesh, gdzie walki polityczne i religijne są przyczyną takich samych problemów, jakie występują w krajach Trzeciego Świata na Ziemi. Konflikt pokoleń w kontekście inżynierii genetycznej opisuje powieść „Wildlife” (1994); jest to historia młodej kobiety buntującej się przeciwko osobowości i losowi, które zaplanował dla niej ojciec.

James Patrick Kelly współpracował także z Johnem Kesselem przy powieści „Freedom Beach” (1985).

Szczur wsypał pył do czterech plastikowych kapsułek, a następnie je połączył. Klucze u podstawy żeber to był znak, że właśnie przeciskają się do jego dwunastnicy. Nadal mnóstwo czasu. Superekspres mknął przez próżnię tunelu transatlantyckiego już od niemal dwóch godzin; niedługo dotrą na Dworzec Kocha. W punkcie celnym wszystko było załatwione, jak powiedział marszałek. Szczur musiał tylko wrócić do swojej nory, zamknąć inteligentne drzwi i puścić wiadomość na strzeżoną sieć. Miał dość Algierskiego Słońca, żeby zapylić co najmniej połowę mózgow na East Side. Jeśli wywiąże się z tego kontraktu, dostanie tyle forsy, że będzie się kąpać w dom perignon i wycierać arrasami. Znow go zakłuło w lewym boku. Noga odruchowo sama się podniosła i drapnęła powietrze.

Był tylko jeden problem: Szczur postanowił odstawić marszałka od piersi. To znaczyło, że przed powrotem do domu musi zgubić „ogon”.

Przyczepiła się do niego w Marsylii. Miała jasne włosy zaczesane w cienkie warkoczyki, piegi i aparat na zębach. Drobne piersi opinał skromny jedwabny golf. Jakies dwanaście, czternaście lat. Słodka. Pewnie wyglądała tak od dwudziestu lat i nie zmieni się przez kolejnych dwadzieścia, jeśli wcześniej nie nadzieje się na czyjąś pięść albo nie przetnie jej na pół jakiś automatyczny laser systemu alarmowego, reagujący tylko na ciepło ciała, a nie na jej - niepokojącą - słodycz. W paszportach byli panem Sterlingiem Jaynesem i jego córką Jessalynn z Forest Hills w Nowym Jorku. Pisała na laptopie, pulchne paluszki skupione na klawiaturze. Praca domowa? List do chłopaka? Raczej obrabiała bazę danych jakiejś firmy, posługując się tnącym jak skalpel szyfrem własnego pomysłu.

- *Ne fais pas semblant d'étudier, ma petite* - odezwał się Szczur. -

Que fais-tu?

- Oj, tatusiu - powiedziała, nadąsana. - Nie możemy wrócić do starego, nudnego angielskiego? Przecież już prawie jesteśmy w domu.
- Przechyliła laptop tak, żeby mógł spojrzeć na ekran. Przeczytał: „Dwa rzędy za nami, drugie miejsce z brzegu. Federalny. Gdyby wiedział, że to ty, wydarłby ci proszek z flaków, a swoją skórą by się podtarł”.

Wcisnęła klawisz i wiadomość znikła.

- No dobrze. - Wyprężył grzbiet, walcząc z przypiływem adrenaliny, od której zadzwoniły mu siekacze. - Wiesz, nagle zachciało mi się jeść. Przekąsimy coś w pociągu czy zaczekamy do Nowego Jorku?

Tylko „ogon” dostrzegł jego gest w stronę federalnego.

- Może poczekamy do stacji? Tam jest większy wybór.

- Jak chcesz, kochanie.

Chciał, żeby zlikwidowała federalnego natychmiast, ale nie ośmielił się powiedzieć nic więcej. Nerwowo oblizał dłonie i dla zabicia czasu zaczął wyczesywać sierść między krótkimi, mięsistymi uszami.

Międzynarodowy Peron Przyjazdów na Dworcu Kocha był niezwykle spokojny jak na czwartkowy wieczór. Szczur węszył pułapkę. Pasażerowie z superekspresu poczłapali przez pełną ech marmurową czeluść ku rzędom komór celnych. Szczur nie miał bronii; w razie walki to „ogon” miał go osłaniać. Szczur nie był wojownikiem - był biegaczem. Dostali instrukcję, żeby przejść przez komorę numer cztery. Czekaając w kolejce, zauważył gdzieś z tyłu przydzielonego im federalnego. Klasyczny niewidzialny człowiek: ani przystojny, ani brzydki, metr siedemdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilo, szatyn, ciemny garnitur, biała koszula. Znudzony.

- Ma pan coś do oclenia? Jakies dewizy?

Celniczka też była znudzona. Wszyscy się nudzili z wyjątkiem Szczura, który niósł w brzuchu równowartość dwóch milionów nowych dolarów w nielegalnych narkotykach, oraz federalnego, który rwał się, żeby je z niego wydrzeć.

- Tylko jedną - odparł Szczur. - Wszyscy ludzie rodzą się równi. - Zdobył się na blady uśmiech, jakby to był dowcip, a nie hasło.

- Tatusiu, proszę cię! - „Ogon” udał zażenowanie. - Przepraszam panią, jemu się wydaje, że to śmieszne. To z Deklaracji Niepodległości, pani rozumie.

Celniczka uśmiechnęła się i poczochnęła „ogonowi” grzywkę.

- Wiem, kochanie. Proszę położyć bagaż na pasie transmisyjnym. - Rzuciła okiem na monitor, kiedy ich walizki przechodziły przez skaner, a potem kiwnęła Szczurowi głową. - Dziękuję panu, życzę przyjemnego...

Nieszczere słowa zamartyły jej na ustach, bo przez kolejkę właśnie zaczął się ku nim przepychać federalny. Szczur dostrzegł jej obrót w stronę wyjścia w tym samym momencie, w którym „ogon” wrzucił laptop w skaner. Laptop wyciągnął błękitny palec wystrzału w stronę magnetycznych soczewek, po czym światła nad ich głowami rozbłyły i zgasły. Zasilanie awaryjne także padło. Nos Szczura wypełnił gryzący zapach płonących przewodów elektrycznych. W ciemności rozległy się krzyki i wrzaski, łomoty i trzaski - oszalały tętent stada tratującego z coraz większym rozpędem.

Opadł na czworaki i śmignął przez salę. Dworzec Kocha był jego terenem. Jego liczne poziomy mógł przemierzać na węż. Nawet w kompletnych ciemnościach potrafił znaleźć drogę. Ale w tym pośpiechu grzmotnął głową o czyjeś obleczone w pończochy kolana i po chwili przygniótł go skrzeczący ciężar, wyduszając mu powietrze z płuc. Poczł lodowate dziabnięcie w zad; dotknął go tylną nogą. Palce były mokre; pisnął. W odpowiedzi rozległ się krzyk, czubek

buta zderzył się z nim, cios pchnął go przez podłogę. Szczur przetoczył się w lewo, poderwał do biegu. Pobiegnął po nieczynnych schodach ruchomych w głąb korytarza z wykładziną. Wyprostował się, osiągając pełne pięćdziesiąt dwa centymetry. Skrobiąc palcami ścianę, natrafił w końcu na klamkę wyjścia awaryjnego. Rzucił się w nie, wrzasnęła syrena i drzwi otworzyły się z sykiem, wyrzucając go w zaułek. Leżał tam przez chwilę, dysząc, połową ciała poza Dworcem Kocha, połową na jego terenie. Dotknął zimnego miejsca na krzyżu, pewien, że wykrwawia się na śmierć. Lepka czerwona substancja; pociągnął nosem, polizał. Lody. Parsknął śmiechem. Cienkie piski odbiły się echem w opuszczonym zaułku.

Ale nie było czasu do stracenia. Już słyszał warkot policyjnych helikopterów schodzących z nocnego nieba. Przez jakiś czas zajmie ich brak oświetlenia; Szczur bardziej się bał federalnego. I „ogona”. Wkrótce wyjdą i zaczną go szukać. Pomknął zaułkiem w stronę ulicy. Zerknął na dworzec, czarną dziurę w galaktyce jaskrawych, tandetnych hologramów, którą stała się Czterdziesta Druga. Paru gliniarzy z latarkami zmagало się z tłumem spanikowanych podróżnych, wysypujących się przez otwarte drzwi. Szczur wygładził zmierzwiłone futro i odwrócił się, ruszając na przełaj przez miasto. Instynkt kazał mu uciekać, ale wysiłkiem woli zdołał utrzymać spacerowe tempo. Jak prowincjusz szukający wielkomiejskich rozrywek. Szcherzył się do alfonsów, gapił na sklepy z komputerami. Zatrzymał się przed bliźniaczymi sex shopami - DZIEWCZYNY! NA ŻYWO! DZIEWCZYNY i NA ŻYWO! DZIEWCZYNY! NA ŻYWO! - by wciągnąć w nozdrza aromatyzowany feromonami zapach potu, lejący się ze stojącego na chodniku naganiacza - androgynicznego robota. Robot z obowiązku sięgnął do krocza Szczura, który odepchnął go z sykiem i poszedł dalej. W końcu, upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, uruchomił portfel i wszedł w transsieć z zamiarem

srowadzenia śmigłówki. Portfel poinformował go, że zablokowano ruch powietrzny w centrum, by umożliwić akcję ratowniczą na Dworcu Kocha, i zalecił wybór metra lub taksówki. Ponieważ Szczur nie zamierzał wkładać chipa identyfikacyjnego - nawet fałszywego - w bramkę metra, stanął na krawężniku i zaczął wypatrywać.

Przerobiony checker, który z klekotem zatrzymał się przed nim, wyglądał jak mozaika pomarańczowego plastiku i nierdzewnej stali.

- Manhattan, dalej nie - powiedział głośnik na dachu. - Sto Dziesiąta na północ, dalej nie.

Szczur skinął głową i zamki drzwi odblokowały się. Siedzenie dla pasażera śmierdziało gazem łzawiącym i uryną.

- Bunkier na Pierwszej Alei - rzucił, pociągając nosem. - Chryste, jak tu jedzie. Co tu siedziało?

- Rozrabiaka. - Głośnik miał obluzowane przewody, dlatego głos taksówkarza brzmiał chrapliwie. - Dowcipnisie dostają w tej bryce pełny ryj gazu.

Szczur już zdążył zauważyć ujścia przewodów w podłodze. Wyteńczył wzrok, żeby odczytać kartę identyfikacyjną. Nad nią widniał wypalony - pewnie tym nowym miniaturowym laserem Mitsubishi - slogan. „Uwolnić trupy”. Szczur uśmiechnął się: trupy to jego klienci. Ludzie, którzy wybrali pylistą drogę. Od roku do półtora cudownego uzależnienia: syntetyczne orgazmy, powracające halucynacje, prowadzące do całkowitego przeładowania zmysłów i ekstatycznej śmierci. Wystarczyła jedna dawka, żeby ruszyć drogą pyłu. Federalni usiłowali odciąć dopływ towaru - co dla trupów miało okropne konsekwencje. Bez pyłu mogły pożyć parę miesięcy dłużej, ale radosna jazda pylistą drogą zmieniała się w potworny maraton bólu i szaleństwa głodu. Tak czy tak, to i tak były już trupy. Szczur usadowił się wygodnie. Ten napis to dobry omen. Sięgnął do kieszeni, wyjął rzemyk nasączony prywatną kompozycją

rozpuszczalnych w tłuszczu odmian amfetaminy i zaczął go przeżuwać.

Od czasu do czasu z policyjnej sieci, z której taksówkarz dowiadywał się o pożarach i zasadzkach ulicznych gangów, dochodziły go aktualne wiadomości. Musieli ominąć obstawioną policją Park Avenue aż do Pięćdziesiątej Dziewiątej, zanim zdołali wjechać na drogę do bunkra. Zbudowany pierwotnie z myślą o ochronie dyplomatów ONZ przed terrorystami, po rozwiązaniu organizacji stał się blokiem mieszkalnym. Zachwalano go jako „najbezpieczniejszy adres w mieście”. Szczur był innego zdania i na wszelki wypadek kazał założyć superbezpieczne, inteligentne drzwi. Podobno wszyscy ich posiadacze byli kandydatami albo do prania mózgu, albo przedłużonego urlopu w federalnym sanatorium.

- E, pasażer - powiedział taksówkarz. - Sieć mówi, że przed twoimi drzwiami hałasują trupy. Przebijać się czy spadać?

Sierść na krzyżu Szczura zjeżyła się.

- Gliny?

- Na razie dają im się bawić.

- Masz karoserię odporną na zderzenia?

- A jak. Gdzie to się nie czekało na klienta. - Śmiech taksówkarza brzmiał jak biały szum. - Nie przejmuj się, bunkrowiec. Damy umarlakom salwę z gazu łzawiącego i tak się zaleją łzami, że się nas nie będą czepiać.

Szczur usiłował wygładzić sierść. Mógł staranować tłum i utknąć w nim. Ale gdyby czekał, wkrótce albo „ogon”, albo federalny zacząłby deptać mu po piętach. Nie wątpił, że oboje zdążyli przyczepić mu namierzającą pluskwę.

- Ma się rozumieć, że rozpędzanie tłumy będzie cię kosztować - dodał taksówkarz.

- Trzy razy licznik. - Opłata już wynosiła ponad dwieście dolarów

za piętnaście minut jazdy. - Pruj do Drugiej Nawy, tej z żółtymi drzwiami. - Wyjął portfel i zaczął stukać w podświetlane klawisze. - Wysyłam kod rozpoznawczy.

Taksówkarz powiadomił policjantów, że się zbliżają. Po minięciu kordonu Szczur poczuł przyspieszenie checkera, dostrzegł migoczące światła, policjantów w niebieskich pancierzach, czołg najeżony wodnymi działkami. Nagle taksówkarz zahamował, Szczur szarpnął się w pasach. Solidne gumowe opony checkera kwiknęły i coś ciężko pacnęło o dach. Zwolnili, a trupy otoczyły ich ze wszystkich stron.

Szczur nie widział, co się dzieje z przodu, ponieważ taksówkarza chroniła przed pasażerami stalowa płyta, jednak przez boczne okna zajrzały twarze spływające potem, łzami i krwią. Wykrzywione, krzyjące, naznaczone cierpieniem głodu. Dźwiękoszczelna osłona tłumiała ich wycie. Szczur przyglądał się im ze strachem i podnieceniem. Gdyby wiedzieli, jak blisko jest pył, pomyślał. Wyobraził sobie trupy gorączkowo przegryzające opancerzoną karoserię, zatrzymujące się tylko po to, by wypluć złamane zęby. Cudownie. Te zamieszki były dowodem, że pył nadal idzie jak woda. Trupy muszą być zdesperowane, skoro atakują budynek. Postanowił, że podniesie cenę o kolejne dziesięć procent.

Coś zabębniło o dach, potem ktoś zaczął na nim skakać. Jakby się siedziało w środku werbla. Szczur wbił pazury z siedzenie i wygiął grzbiet.

- Na co czekasz? Zagazuj ich, do diabła.

- E, pasażer. Gazu na ulicy nie znajduję. Wszystko będzie dobrze, już prawie jesteśmy.

Kobieta o przyklejonych do głowy włosach czerwonych jak krew przycisnęła usta do szyby i krzyknęła. Szczur wspiął się na tylne łapy i kłapnął na nią zębami. Wtedy zobaczył w jej ręce laser. W ostatniej chwili rzucił się na plecy. Laser rozbłyśił i w samochodzie

zaśmierdziało stopionym plastikiem. Igła skupionej wiązki światła osmaliała mu futro na lewym boku. Pisnął i w drgawkach upadł na podłogę.

Taksówkarz otworzył zewnętrzne przewody gazowe i nagle wszystkie twarze odpadły od okien. Taksówka przyspieszyła, podskakując na ciałach. Nastąpiło oszałamiające przejście z ciemności tej agresywnej nocy do zalanego światłem spokoju Niszy Numer Dwa. Szczur wgramolił się z powrotem na siedzenie i wyjrzał przez tylne okno. W samą porę, by zobaczyć, jak zamykają się automatyczne drzwi zewnętrznej śluzy. Coś między nimi uwięzło - coś miotającego się i bryzgającego. Wewnętrzne drzwi osunęły się w dół niczym kurtyna kończąca krwawy ostatni akt.

Był już niemal w domu. Zjawili się dwaj ochroniarze w pancerzach, zamki drzwi stuknęły. Wygramolił się z taksówki. Ochroniarz wycelował emiter w jego głowę, drugi bez słowa podał czytnik odcisków palców. Szczur przycisnął kciuk; komputer bunkra natychmiast go rozpoznał.

- Dobry wieczór - powiedział ochroniarz. - Trochę dziś niebezpiecznie. Ma pan bagaż?

Frontowe drzwi taksówki otworzyły się i mechaniczne ramię z cichym jękiem elektrycznych silników opuściło na podłogę taksówkarza w fotelu inwalidzkim. Była to siwowłosa kobieta o zaropiałych oczach, której od dawna należało się miejsce w domu opieki w New Jersey. Jej uschnięte nogi osłaniała szydełkowa chusta.

- Miało być trzy razy licznik. - Ramię kliknęło i uwolniło fotel; podjechała do niego. - Sześćset sześćdziesiąt dziewięć dolarów.

- Nie mam bagażu.

Teraz, w bezpiecznym bunkrze, Szczur pożałował, że w chwili paniki był aż tak hojny. Przelanie pieniędzy z własnego konta w

ogóle nie wchodziło w rachubę. Wsunął ostatni tysiąc dolarowy chip do czytnika portfela, przerzucił z niego 331 dolarów do pralni pieniędzy na Bahamach, a następnie rzucił chip w wyciągniętą dłoń taksówkarki. Przyjęła go z powątpiewaniem; przez chwilę spodziewał się, że wypróbuje go zębami, jak czasami się widuje na przedpotopowych filmach. Starzy ludzie działali mu na nerwy. Ale ona wsunęła chip do własnego czytnika i spojrzała na niego surowo.

- A coś ekstra?

Szczur prychnął.

- Może ekstramocnego?

Ochroniarz usłużnie zarechotał. Drugi zrobił ostrzegawczy gest, ale Szczur dostrzegł skunksikawę w krześle o milisekundę za późno. Z mokrym plaśnięciem krzesło wystrzeliło śmierdzącą petardę, która rozkwitła niczym zły kwiat tuż przed wąsami Szczura. Ochroniarz starał się chwycić fotel od tyłu, ale stara niespodziewanie najechała mu na stopę. Drugi wycelował emiter.

Taksówkarka uśmiechnęła się jak babunia z piekła rodem.

- Zajrzyjcie do kodeksu. Nie ma paragrafu na śmierdzieli, chłopcy. I nie chcecie mnie skrzywdzić. Ta bryka monitoruje moje EEG. Jak odwinę kitę, to się wścieknie.

Ochroniarz z przejechaną stopą przestał skakać, drugi, ten z bronią, wzruszył ramionami.

- Pańska decyzja.

Szczur kilka razy uderzył się w skroń, a potem wsunął pysk pod pachę. Teraz czuł już tylko stęchłego hamburgera polanego siarkowym sosem.

- Nieważne. Nie mam czasu.

- Wiesz co - powiedziała taksówkarka. - Normalnie bym z bryki nie wysiadła, ale chciałam sprawdzić, kto też może mieszkać w takiej chałupie. - Podnośnik zajęczał, gdy mechaniczne palce odnalazły

swoje miejsce na fotelu. - I już wiem. - Zarechotała, odjeżdżając w głąb samochodu. - Zaparkuję przy drzwiach. Gliniarze mówią, że zaczną czyścić ulicę.

Ochroniarz zaprowadził Szczura do wind. Szczur wszedł do tej z otwartymi drzwiami, przyłożył kciuk do czytnika i podał swój kod dostępu.

- Dobry wieczór panu - powiedziała winda. - Czy jedziemy prosto do pańskich pokojów?

- Tak.

- Doskonale. Czy życzy pan sobie listę aktualnie czynnych punktów użyteczności publicznej?

Nie można było wyłączyć tego komercyjnego jazgotu, więc Szczur wyłączył siebie i zaczął zlizywać smród z sierści.

- Basen jest otwarty jedynie dla posiadaczy karnetu - mówiła winda, otwierając drzwi. - Wszystkie środowiska z wyjątkiem pomieszczenia z nieważkością są obecnie używane. Komory deprywacji sensorycznej będą zajęte do jedenastej. W surogatorium chwilowy brak żeńskiej obudowy, przepraszamy za niedogodności...

Winda zjechała dwa i pół piętra w dół i zatrzymała się tuż nad suteroną. Szczur spojrzał w górę i ujrzał czarną dziurę, otwierającą się między szeregami dyfuzorów światła. Z dziury wypadł „ogon”.

- ...holoterapeuci są offline aż do ósmej rano następnego dnia, jednak interaktywne sekskabiny pozostaną otwarte do północy. Automat z farmaceutykami...

Wyglądała, jakby miała za sobą przejażdżkę na nartach wodnych po ściekach. Jej jasne włosy były mokre i upačkane mazią, pogubiła wstążki z warkoczyków. Dżinsy miała rozdarte na kolanach, a na policzku brzydkie draśnięcie. Jedwabny golf oblepił ją dokładnie. A jednak pomimo tego stanu rękę, w której trzymała laser, miała pewną niczym szlifierz klejnotów.

- Zdaje się, że zaistniał drobny problem - odezwała się winda głosem dobrej wróżki. - Nie ma powodów do niepokoju. Ta winda jest chwilowo nieczynna. Powiadomiono obsługę, która obecnie zajmuje się usuwaniem problemu. W wypadku sytuacji alarmowej proszę się skontaktować z ochroną. Za chwilowe utrudnienia serdecznie przepraszamy.

„Ogon” poraził promieniem panel z przyciskami, który bluznął na nich ogniem i zgasł.

- Gdzieś polazł? - spytała. - Powiedziałeś, że jak nas rozdziela, to spotykamy się w McDonaldzie na Time Square.

- A gdzieś ty polazła? - Szczur stanął na tylnych łapach. - Kiedy tam dotarłem, aż się roiło od glin.

Znieruchomiał, bo czubek lasera znów rozbłysł. „Ogon” nakreślił niezbyt precyzyjne kontury sylwetki Szczura na stalowych drzwiach za jego plecami.

- Goń się ze swoimi kłamstwami - powiedziała. Promień zbliżył się tak, że Szczur poczuł swąd skręcającej się sierści. - Dawaj pył.

- Alarm! Obcy! - wrzasnęła ranna winda. W sztucznym głosie pojawiła się nagłoca nuta. - Ochrona informuje, że na terenie kompleksu zjawiły się nieuprawnione osoby. Lokatorzy mają pilnie powrócić do swoich apartamentów i uruchomić wszystkie urządzenia zabezpieczające. Nie ma powodu do niepokoju. Za chwilowe utrudnienia serdecznie przepraszamy.

Łuski na ogonie Szczura zjeżyły się.

- Umawialiśmy się. Marszałek potrzebuje mojej sieci, żeby rozprowadzić produkt. Więc wyjdźmy stąd, zanim...

- Dawaj.

Szczur skoczył na nią z nienawistnym piskiem. Wbił pazury w golf i raz po raz zaczął uderzać w odstłoniętą szyję, znacząc ją długimi czerwonymi pręgami. Zdezorientowana szybkością i gwałtownością

ataku upuściła laser i usiłowała nim cisnąć o ścianę. Zaparł się w miejscu, szarpiąc ją za gardło i wściekle jazgocząc. Zepchnął ją pod otwarte wyjście awaryjne w suficie, a wtedy znowu skoczył. Podciągnął się na sufit i zawisł na kablach windy. Do szybu wpadło górne światło; uzbrojeni strażnicy przemocą otwierali drzwi i schodzili ku unieruchomionej kabinie. Szczur przeskoczył przez półtorametrową przepaść z kabli na przeciwwagę i skulił się za nią jak za tarczą, kryjąc się przed ostrzałem „ogona”. Walczyła krótko i niesławnie. Rzuciła granat ogłuszający, żeby zdezorientować ochroniarzy, a potem usiłowała się przedrzeć. Szczur usłyszał trzask emiterów. Nie wychylał się, dopóki nie doszedł go aromat pieczonego mięsa i stopionego plastiku; dopiero wówczas wyłonił się z cienia i dał znak ochroniarzom.

Do suterenu, gdzie znajdowało się jego mieszkanie, odprowadził go oddział skruszonych ochroniarzy. Kiedy po raz pierwszy oglądał bunkier, agent niechętnie wynajął mu opuszczone pokoje, twierdząc, że powinien zamieszkać nad ziemią wraz z innymi lokatorami. Wszystkie jednak prezentowane mu apartamenty były nieznośnie przestronne, czyste i niezagracone. Szczur o wiele bardziej cenił sobie swój zatęchły loch, gdzie w stojącym powietrzu długo utrzymywały się wszystkie fetory. Lubił zasypiać przy łomocie systemu wentylacyjnego nad głową, a spało mu się lepiej ze świadomością, że znajduje się tak daleko od smrodu innych ludzi, jak to tylko możliwe w tym mieście.

Ochroniarze odeskortowali go do lśniących mosiądzem inteligentnych drzwi i dyskretnie obserwowali, kiedy wprowadzał kod dostępu: swego czasu polecił Moslerowi przebudować mechanizm tak, by identyfikował piski o wysokiej częstotliwości, niesłyszalne dla ludzkiego ucha. Zawołał i przycisnął drżące palce do czytnika linii papilarnych. Podczas strzelaniny dostał sensacji

żołądkowych i kapsuły zaczęły go straszliwie palić. Z trudem powstrzymywał się od wypróżnienia już na korytarzu. Drzwi wyczuły strażników i zabuczały ostrzegawczo. Niecierpliwie zdezaktywował alarm i blokady puściły z westchnieniem.

- Miłego wieczoru - zawołał za nim ochroniarz. Szczur wpadł do środka. - I proszę się nie martwić o... - Drzwi ucięły resztę zdania.

Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu udało się! Przez chwilę stał, bębniąc ogonem o drzwi, a fantastyczny chaos mieszkania koił mu rozdygotane nerwy. Zasłużył sobie na nagrodę - teraz cały pył należał do niego. Nikt nie mógł mu go odebrać. Dostrzegł siebie w odłamku lustra, opartego o pusty pojemnik po tetrahydrokanabinolu i zadygotał z samozadowolenia. Był najbogatszym szczurem na East Side, a może w całym mieście.

Ruszył przez labirynt zbudowany z plątaniny przeciążonych stalowych półek, zostawionych tu lata, może dziesiątki lat temu. Kierownictwo bunkra chciało je usunąć wraz z zawartością, ale Szczur uparł się, żeby je zostawiono. Inspektor, która przyszła zatwierdzić jego nowo zainstalowany system przeciwpożarowy, przeraziła się na widok makulatury na półkach i zagroziła, że nie da zgody. Łapówka drogo go kosztowała, ale się opłaciło. Od tego czasu śmietnik co najmniej podwoił swoje rozmiary. Od lat nie oglądał go nikt prócz Szczura i incydentalnych karaluchów.

Szczur uspokoił się wreszcie i wyciągnął ze swojej ogromnej kolekcji obuwia zapleśniały czubek półbuta; uwielbiał bukiet szlachetnej starej skóry i żuł ją przy każdej okazji. Obok butów piętrzyła się sterta książek: prywatna biblioteka. Jednym z jego ulubionych smakołyków było pierwsze wydanie „Żdźbeł trawy”, które zwędził ze zbiorów rzadkich książek w Nowojorskiej Bibliotece Publicznej. Dla uczczenia bezpiecznego powrotu wydarł stronę 43 i nafaszerował nią czubek buta. Powlókł go za sobą przez stertę

potłuczonych stiuków, obok półek pełnych złomu: rozbitych monitorów, nieczynnych maszyn do pisania, mikrofal i automatycznych odkurzaczy. Niemal już dotarł do legowiska, kiedy zza brudnej węgierskiej flagi, zwisającej ze stłuczonej świetlówki, wyszedł federalny.

Zaskoczony Szczur instynktownie skoczył do pęknięcia w ścianie, gdzie urządził sobie legowisko, jednak federalny był szybszy. Szczur nie dostrzegł broni; zorientował się, dopiero kiedy syknęła, a on stracił czucie w tylnych łapach. Osunął się bezwładnie, ale nadal pełzał przed siebie - powoli, boleśnie.

- Masz coś, czego potrzebuję. - Federalny go kopnął.

Szczur prześliznął się po betonowej podłodze w stronę szczeliny, zostawiając za sobą strugę rzadkich odchodów. Nie przestawał pełznąć, dopóki federalny nie nastąpił mu na ogon.

- Gdzie pył?

- Ja... nie...

Federalny przydepnął go znowu; Szczur poczuł, że chrząstki pękają mu jak tani plastik. Nie czuł bólu.

- Pył. - Głos federalnego dziwnie drżał.

- Nie tutaj. To zbyt niebezpieczne.

- Gdzie? - Federalny puścił go. - Gdzie?

Szczur z zaskoczeniem zauważył drżenie dłoni, w której federalny trzymał broń. Po raz pierwszy spojrzął mu w oczy i dostrzegł wymowne żółte zabarwienie. Dopiero teraz zrozumiał, jak niesłusznie zinterpretował wyraz twarzy federalnego na dworcu. To nie nuda. To pustka. Przez ułamek chwili jeszcze nie wierzył własnemu fantastycznemu szczęściu. Graj na zwłokę, powiedział sobie. Jeszcze masz szansę. I choć był przyparty do muru, wiedział, że instynkt niesłusznie zmusza go do walki.

- Mogę ci go skombinować, jak tylko mnie puścisz - powiedział. -

Za dziesięć, piętnaście minut. Zdaje się, że jesteś w potrzebie.

- O co ci chodzi?

Pewność siebie zaczęła federalnego opuszczać i Szczur już wiedział, że go ma. Federalny chciał zagarnąć pył dla siebie. On też był trupem.

- Nie utrudniaj sobie - powiedział Szczur. - W legowisku mam komputer. Tam, w szczelinie. Dziesięć minut.

Zaczął pełznąć w stronę legowiska. Wiedział, że federalny nie ośmielił się go zatrzymać; już był na dużym głodzie.

- Tylko dziesięć minut i dostaniesz tyle pyłu, ile zechcesz. - Ten biedny idiota nie miał cienia nadziei na walkę z potokiem neuroregulatorów, wariacko tętniących w jego synapsach. Mógł się załamać lada chwila, wypuścić broń z rozdygotanych dłoni. Szczur dotarł do szczeliny i wpełzł w jej kojącą czerń.

Legowisko zbudował wokół stuletniego wózka sklepowego i ławki z metra. Przestrzeń między nimi wypełnił kawałkami syntetycznej gumy, felgami, plastikowymi pocztówkami, drutem kolczastym, pudełkami na dyskiety, torebkami foliowymi, znakiem z zakazem parkowania i kolekcją kości. Wpełzł do środka i osunął się na miękkie posłanie z podartych tysiąc dolarówek. Owoc sześciu lat kontraktów i zdrad, paru tuzinów morderstw i kilku tysięcy trupich śmierci.

Włączył komputer, by powiadomić ochronę. Federalny pociągnął nosem.

- Ktoś mnie zrobił, jakiś podły sukinsyn mi to wepchnął nie wiem kiedy chyba w Barcelonie... Sarah by umarła gdyby się dowiedziała... - Rozpłakał się. - Chciałem się przyznać... ciągle pracują nad nowymi lekami no nie ale to niesprawiedliwe cholera! Odsetek wyleczeń jest mniejszy niż... pierwszy raz kupiłem dopiero dwa tygodnie temu dopiero dwa Boże a wydaje się jakby... zabiłem

człowieka żeby zdobyć jakiś parszywy proszek... ale oni mają rację to jest to jest nie potrafię nawet opisać co to jest...

Palce Szczura śmigały po rozjarzonej klawiaturze, opisując sytuację, rozkład pomieszczeń, strategię napadu. Usunął zabezpieczenia z inteligentnych drzwi. To niebezpieczne, ale ochrona może wyprowadzić federalnego, jeśli będzie działać szybko i ostrożnie. Lepiej zaryzykować atak z zaskoczenia niż dyskutować z niebezpiecznym i uzbrojonym trupem.

- Właściwie powinienem się zabić... tak by było najlepiej ale nie chodzi tylko o mnie... widywałem dziesięciolatków... co za bydlę sprzedaje pył dzieciom... powinienem zabić siebie i ciebie. - W chwili gdy Szczur zakończył pisanie, w głosie federalnego zaszła jakaś zmiana. - I ciebie. - Pochylił się i sięgnął do szczeliny.

- Już idzie - rzucił szybko Szczur. - Przez pościa. Dziesięć działek. Zanim dojdiesz do drzwi, powinno już być. - Zobaczył rękę federalnego i zakopał się w gnijącą stertę pieniędzy. - Czekaj przy drzwiach, słyszysz? Lada chwila będzie.

- Nie chcę. - Ręka była tak wielka, że zasłoniła światło. Sierść Szczura zjeżyła się, grzbiet mu się wygiął. - Zatrzymaj sobie ten parszywy pył.

Szczur słyszał ochroniarzy torujących sobie drogę przez bałagan. Półki przewróciły się z łomotem. Niezdary z tych ludzi.

- Chcę ciebie. - Ręka przesiewała strzępy banknotów, szukała Szczura. Nie miał wątpliwości, że federalny mógłby go zgnieść na śmierć - ręka była ogromna. W ciemnościach mógł policzyć linie na dłoni, wiry na opuszkach palców. Zakreśliło mu się od nich w głowie - tracił panowanie nad sobą. Zdał sobie sprawę, że któraś kapsuła musiała pęknąć i sypnęła gigantyczną działkę pierwszorzędnego Algierskiego Słońca prosto w jego wnętrze. Z halucynacyjną klarownością wyobraził sobie iskierki płynące w jego krwi,

zapalające neurony niczym chrust. Nagle ochroniarze przestali się liczyć. Nie liczyło się nic z wyjątkiem faktu, że jest przyparty do muru. W chwili kiedy nie potrafił już dłużej powstrzymać instynktu walki, dłoń federalnego zamknęła się na jego ciele. Ten człowiek był silniejszy, niż można się było spodziewać. A gdy go wywlókł - drapiącego i kłającego - z powrotem w światło dnia, Szczur miał w głowie już tylko jedną myśl: jak straszliwie wielki jest człowiek. O wiele większy od szczura.

Przełożyła Maciejka Mazan

Terry Bisson

NIEDŹWIEDZIE ODKRYWAJĄ OGIEŃ

Science fiction nie zawsze po drodze z humorem i fantasy, ale Terry Bisson (ur. 1942} wielokrotnie i z powodzeniem dokonywał takiego połączenia w swojej prozie. Już w pierwszej powieści („Wyrlldmaker”, 1981) udatnie wprowadził elementy SF do wyeksploatowanego schematu opowieści miecza i magii. Z jeszcze lepszym skutkiem scalał elementy fantasy i SF we współczesnej fantazji „Talking Man” (1986). Alternatywa „Fire on the Mountain” (1988) opiera się na założeniu, że losy wojny domowej w USA potoczyły się inaczej, a to zaowocowało stworzeniem czarnej utopii przez Afroamerykanów.

Humor w tekstach Bissona to czasem slapstick, czasem inteligentna i zjadliwa satyra, kierująca uwagę czytelników na irracjonalność coraz bardziej skomplikowanych światów, którym muszą stawić czoło zupełnie nieprzygotowani na to ludzie (na przykład w szaleńczej powieści przygodowej „Voyage to the Red Planet”, 1990, pierwsza wyprawa na Marsa pokazana jest jako przekręt zorganizowany przez zagrożonego bankructwem producenta filmowego). Kolejne powieści satyryczne SF: „Pirates of the Universe” (1996) i „The Pickup Artist” (2001). „Dear Abbey” (2003) to gorzka i bolesna, szalona i brawurowa novella o desperackiej próbie ratowania świata przed ekologiczną katastrofą - współczesna wersja „Wehikułu czasu”; bohaterowie podróżują w przyszłość odległą o miliard lat, poprzez upadki i wloty

cywilizacji, rozpalają ognisko pod gasnącym słońcem i poznają największego przyjaciela ludzkości i jej najzjadlejszego wroga. „Numbers Don't Lie” (2005) to trzy zwiariowane opowieści o szalonym genialnym naukowcu, który pokonuje najstraszliwsze zagrożenia czyhające na ludzkość.

Za tytułowe opowiadanie zbioru „Bears Discover Fire” (1993) Bisson otrzymał Nebulę, Hugona oraz nagrodę im. Theodore’a Sturgeona. W dorobku ma jeszcze m.in. dwa zbiory opowiadań - „In the Upper Room and Other Likely Stories” (2000), „Greetings & Other Stories” (2005) - i napisaną wspólnie z Walterem M. Millerem (właściwie dokończoną po jego śmierci) książkę „Święty Leibowitz i Dzikokonna” (1997), będącą sequelem słynnej „Kantyczki dla Leibowitza”, biograficzne powieści o Nacie Turnerze i Mumii Abu Jamalu oraz beletryzacje scenariuszy filmowych, m.in. „Johnny Mnemonic” (1995, na podstawie opowiadania Williama Gibsona, opublikowanego w Polsce w zbiorze Gibsona pod tym samym tytułem), „Virtuosity” (1995) i „Piąty element” (1997).

Jechaliśmy z moim bratem, kaznodzieją, i jego synem, a moim bratankiem, drogą I-65 na północ od Bowling Green, gdy złapaliśmy gumę. Był to niedzielny wieczór i jechaliśmy moim samochodem odwiedzić Mamę, która przebywała w Domu. Pęknięcie opony wywołało u pasażerów kontrolowany jęk zawodu. Jestem nieco staroświecki (co mi nieraz wytykano) i sam naprawiam przebicia kół, chociaż mój brat stale powtarza, żebym wreszcie kupił opony radialne i przestał zbierać stare.

Jeśli jednak się wie, jak naprawiać gumy i je zakładać, można mieć ich całe mnóstwo za bezcen. Ponieważ poszło lewe tylne koło, skręciłem w lewo i wjechałem na rozdzielający jezdnie pas trawy. Ze

sposobu, w jaki mój cadillac się zatrzymał, wywnioskowałem, że guma jest stracona.

- Przypuszczam, że nie warto pytać, czy masz w bagażniku FlatFix - odezwał się Wallace.

- Chłopcze, przytrzymaj mi tu światło - powiedziałem do Wallace'a Juniora. Był już wystarczająco duży na to, by chętnie służyć pomocą, a za mały (jeszcze), by uważać się za wszytkowiedzącego. Gdybym miał żonę i dzieci, chciałbym, żeby taki właśnie był mój syn.



Stary caddy, rocznik '56, miał wielki jak stodoła bagażnik, który z upływem czasu zapełniał się różnymi gratami. Wallace włożył dziś odświętną koszulę, nie kwapił się więc z pomocą, gdy w poszukiwaniu lewarka przekopywałem się przez stare czasopisma, przybory wędkarskie, drewniane pudło z narzędziami i zniszczone ubrania zapakowane w torbę z morskiej trawy. Zapas wyglądał na niedopompowany. Światło zgasło.

- Potrząśnij lampką, chłopcze - powiedziałem.

Znów się zaświeciło.

Lewarek dawno gdzieś się zawieruszył, ale wozilem ze sobą ćwierćtonowy podnośnik hydrauliczny. Znalazłem go w końcu pod rocznikami „Southern Livings” z lat 1978-1986, należącymi do naszej matki. Od dawna zamierzałem je wyrzucić. Gdyby nie było z nami Wallace'a, pozwoliłbym Juniorowi umieścić podnośnik pod wahaczem. Ucząc się zmieniać koła, chłopiec niczego nie straci. Nawet jeśli nie będzie sam łatał gum, to pewnie przyjdzie mu nieraz zakładać nowe opony. Zanim udało mi się ściągnąć koło, światło znów zgasło. Zrobiło się zdumiewająco ciemno. Był już późny

październik i zaczynały się chłody.

- Potrząśnij jeszcze raz - poprosiłem.

Światło zapłonęło ponownie, ale o wiele słabsze. Drżące.

- Nie zdarzyłoby ci się to, gdybyś miał radialne - stwierdził Wallace tonem, którym zwykle zwracał się do audytorium, w tym wypadku złożonego ze mnie i z Juniora. - A jeśli nawet, to po spryskaniu przebicia preparatem FlatFix moglibyśmy jechać dalej. Trzy dolary dziewięćdziesiąt pięć centów puszka.

- Wujek Bobby potrafi naprawić oponę osobiwie - powiedział niepoczuwający się do obowiązku lojalności wobec ojca Junior.

- Osobiście - poprawiłem, wyłaniając się spod auta.

Gdyby to zależało od Wallace'a, chłopiec wyrażałby się zgodnie z określeniem Mamy „jak dzikus z gór”. Ale używałby opon radialnych.

- Potrząśnij jeszcze raz - powiedziałem. Światło znów zaczęło przygasać. Ściągnąłem oponę; pękła wzdłuż bocznej krawędzi. - Nie da się naprawić - powiedziałem.

Wcale mnie to nie zmartwiło. Pod szopą miałem stos zapasowych wysokości chłopca.

Światło zgasło ponownie, po czym pojawiło się, o wiele jaśniejsze niż poprzednio. Mocowałem właśnie koło zapasowe.

- Znacznie lepiej - powiedziałem.

Wszystko było zalane drżącym światłem o lekkim pomarańczowym zabarwieniu. Kiedy się odwróciłem, żeby pozbiierać nakrętki, ze zdumieniem ujrzałem, że trzymana przez chłopaka lampka nie działa. Światło pochodziło z pochodni trzymanyh przez stojące pod drzewami dwa niedźwiedzie. Były to wielkie bestie, ważące chyba po trzysta funtów i wysokie na co najmniej pięć stóp. Wallace Junior i jego stary, ujrawszy je, stanęli jak przymurowani.

Lepiej nie denerwować niedźwiedzi.

Wyłowiłem nakrętki z dekla i przykręciłem koło. Zazwyczaj natłuszczam je przedtem smarem, lecz tym razem sobie odpuściłem. Sięgnąłem pod samochód po podnośnik, zwolniłem go i wyciągnąłem. Widząc, że w zapasowym kole jest dość powietrza, by kontynuować jazdę, odetchnąłem z ulgą. Felgę i podnośnik wrzuciłem do bagażnika. Zamiast mocować dekiel, wrzuciłem go tam również. Przez cały ten czas niedźwiedzie stały nieruchomo. Po prostu trzymały swoje pochodnie, powodowane ciekawością, a może chęcią niesienia pomocy, kto zresztą może to wiedzieć. Wyglądało na to, że tam z tyłu, pomiędzy drzewami, jest o wiele więcej niedźwiedzi.

Każdy z nas dopadł swoich drzwi i ruszyliśmy natychmiast. Wallace pierwszy odzyskał mowę.

- Chyba niedźwiedzie odkryły ogień - powiedział.



Kiedy zawoziliśmy Mamę do Domu, prawie cztery lata temu (dokładnie czterdzieści siedem miesięcy), szykowała się do odejścia.

- Nie martwcie się o mnie, chłopcy - szepnęła, przyciągając nas do siebie, tak by nie mogła usłyszeć jej pielęgniarka. - Przejechałam już milion mil i jestem gotowa do przejścia na tamten brzeg. Nie zagrzeję tu miejsca.

Mama przez trzydzieści dziewięć lat prowadziła szkolny autobus.

Później, kiedy Wallace już wyszedł, opowiedziała mi swój sen. Grupa lekarzy siedziała wokół niej, omawiając jej przypadek. Jeden z nich powiedział: „Koledzy, zrobiliśmy już wszystko, dajmy jej umrzeć”. Obecni podnieśli ręce w górę i uśmiechnęli się. Mama była bardzo rozczarowana, że nie umarła tej jesieni, ale z wiosną, jak to

bywa ze starszymi ludźmi, zapomniała o wszystkim.

Oprócz niedzielnych wizyt, kiedy zabierałem ze sobą Wallace'a i Wallace'a Juniora, pojawiałem się u Mamy we wtorki i czwartki. Zazwyczaj zastawałem ją siedzącą przed telewizorem, chociaż nie zawsze śledziła program. Pielęgniarki nie wyłączały aparatu, ich zdaniem starzy ludzie lubią, kiedy coś się rusza. To ich uspokaja.

- Co z tym odkryciem ognia przez misie? - spytała mnie we wtorek.

- To prawda - odparłem, czesząc jej siwe włosy grzebieniem zrobionym z muszli; Wallace kupił go jej na Florydzie.

W poniedziałek artykuł na temat misiów ukazał się w „Courier-Journal Luisville”, a we wtorek mówiono o tym w wieczornych wiadomościach NBC i CBS. Widziano niedźwiedzie we wszystkich stanach, nawet w Wirginii. Przerwały sen zimowy i wyglądało na to, że zamierzają spędzić zimę na pasach zieleni rozdzielających jezdnie międzystanowych autostrad. W górach Wirginii zawsze były jakieś niedźwiedzie, ale nie w zachodniej części Kentucky.

Co najmniej od stu lat. Ostatni został zabity, kiedy Mama była jeszcze małą dziewczynką. „Courier-Journal” wysnuwał teorię, że te niedźwiedzie pochodziły z lasów Kanady i przywędrowały z okolic Michigan wzdłuż drogi I-65, ale pewien staruszek z hrabstwa Allen (pokazywany w telewizji ogólnokrajowej) twierdził, że w górach uchowało się trochę tych zwierząt i po wynalezieniu ognia przyszły, by połączyć się z innymi.

- Już nie zimują w swoich legowiskach - powiedziałem. - Wynalazły ogień i chcą przetrwać zimę.



- Wyobrażam sobie - powiedziała Mama - co też one mogą jeszcze wymyślić.

Weszła pielęgniarka i zabrała Mamie tytoń, co oznaczało, że nastała już pora spoczynku.



Co roku, w listopadzie, Junior mieszka u mnie, a jego rodzice wyjeżdżają wtedy na obóz. Wiem, że brzmi to głupio, ale tak już jest. Mój brat jest ministrem w Zreformowanym Kościele Właściwej Drogi, ale głównie trudni się handlem nieruchomościami. On i jego żona Elizabeth biorą udział w programie Chrześcijańskiego Treningu dla Sukcesu i wraz z ludźmi z całego kraju ćwiczą się w sprzedawaniu rozmaitych dóbr reszcie społeczeństwa. Wiedziałem wszystko nie dlatego, że mój brat był łaskaw mnie o tym poinformować, ale dlatego, że cały ten Plan reklamowano w telewizji.

Autobus szkolny przywiózł Juniora w środę, w dniu ich wyjazdu. Aby zostać u mnie, chłopiec nie musiał zabierać zbyt wielu rzeczy. Miał tu swój pokój. Jako najstarszy z rodziny mieszkaliśmy w naszym starym domu nieopodal Smiths Grove. Dom chylił się ku upadkowi, ale Junior i ja nie przejmowaliśmy się tym. Chłopak miał też swój pokój w Bowling Green, lecz odkąd Wallace i Elizabeth zmieniali co pół roku mieszkania (stanowiło to część Planu), trzymał tu w pokoju, który niegdyś dzieliłem z jego ojcem, swoją strzelbę kaliber 22 i komiksy oraz resztę drobiazgów niezbędnych chłopakowi w jego wieku.

Junior ma dwanaście lat. Zastałem go siedzącego na werandzie za domem, skąd roztaczał się widok na autostradę. Wracalem z pracy, którą udało mi się dostać; sprzedawałem ubezpieczenia. Gdy

przebrałem się, pokazałem mu, w jaki sposób można ściągnąć oponę z felgi, posługując się młotkiem lub najeżdżając na nią kołem samochodu. Wyrób syropu ze zboża sorgo i ręczna naprawa opon należą do ginących umiejętności. Mały uczył się szybko.

- Jutro pokażę ci, jak zakładać oponę za pomocą młotka i łyżki.
- Chciałbym zobaczyć niedźwiedzie - odparł.

Spoglądał w stronę drogi I-65, której odcinek przechodził przez północną krawędź naszego pola. Czasami nocami słyszeliśmy w domu odgłosy pojazdów, przypominające z tej odległości szum wodospadu.

- W ciągu dnia nie widać ich ognisk - powiedziałem. - Zaczekaj do wieczora.

Wieczorem CBS lub NBC (nie pamiętam już która z nich) pokazywała specjalne wydanie poświęcone misiom, które zyskały ogólnokrajową popularność. Widziano je w Kentucky, Wirginii Zachodniej, Missouri, Illinois (na południu), no i oczywiście w Wirginii. W Wirginii zawsze były niedźwiedzie. Jakies typki gadały coś o polowaniu na nie. Pewien naukowiec twierdził, że podążają w kierunku stanów, w których są mniejsze opady śniegu i gdzie mogą znaleźć wystarczająco dużo drewna na ogniska; drewna z płotów rozdzielających autostrady. Udał się tam nawet z kamerą wideo, ale na jego zdjęciach widać było jedynie niewyraźne postacie siedzące wokół ogniska. Inny naukowiec twierdził z kolei, że niedźwiedzie zwabił zapach jagód z krzewów, którymi w ostatnich latach obsadzono autostrady. Oświadczył, że jest to zupełnie nowy gatunek, powstały w wyniku krzyżowania różnych krzewów. Zjadł taką jagodę przed kamerami, skrzywił się i nazwał ją neojagodą. Klimatolog z kolei dowodził, że ciepłe zimy (w ubiegłym roku nie było śniegu w Nashville, a tylko jedna zamieć w Louisville) zakłóciły cykl snu zimowego niedźwiedzi i odtąd te zwierzęta są zdolne

zapamiętywać różne wydarzenia z ubiegłych sezonów.

- Niedźwiedzie mogły odkryć ogień setki lat temu - twierdził - ale o tym zapomniały.

Według innej teorii odkryły (lub też zapamiętały) ogień podczas pożaru, jaki wybuchł przed kilku laty w parku Yellowstone.

Ponieważ telewizja pokazywała więcej facetów opowiadających o niedźwiedziach niż samych niedźwiedzi, Junior i ja straciliśmy zainteresowanie programem. Kiedy pozmywaliśmy po kolacji, zabrałem chłopca w stronę ogradzającego nasze pole płotu. Poprzez autostradę, pomiędzy drzewami, widać było ogniska niedźwiedzi.

Junior chciał wrócić do domu po swoją strzelbę i upolować jednego z nich, wyjaśniłem mu jednak, że to zły pomysł.

- A w dodatku - powiedziałem - kaliber 22 może jedynie rozwścieczyć zwierzęta. Pamiętaj też - dodałem - że polowanie na pasie rozdzielającym autostradę jest sprzeczne z prawem.



Cały dowcip przy zakładaniu opony polega na prawidłowym ułożeniu pustej gumy na feldze. Kiedy już ją nabijemy na felgę, stawiamy w pozycji pionowej, przytrzymując pomiędzy nogami, lekko odbijamy ją w górę i w dół. Prawidłowo założona guma rozprostuje się z charakterystycznym trzaskiem. W czwartek przywiozłem Juniora ze szkoły i pokazywałem mu, jak to powinien robić, aż się w końcu nauczył. Potem przeleźliśmy przez płot i poszliśmy popatrzeć na niedźwiedzie.

W północnej Wirginii, jeśli wierzyć temu, co podano w programie „Good Morning America”, niedźwiedzie paliły ogniska przez cały dzień. Tu, w zachodnim Kentucky, panowała wciąż ciepła jesień i

zwierzęta gromadziły się wokół ognia tylko nocą. Co robiły i dokąd szły w dzień, tego nie wiem. Może obserwowały, siedząc na krzakach neojagód, jak wspinamy się z Juniorem na państwowy płot i przecinamy północną stronę autostrady? Ja niosłem siekierę, a Junior wziął swoją strzelbę kaliber 22. Nie po to, by ustrzelić niedźwiedzia, ale dlatego, że chłopcy lubią nosić broń. Pas rozdzielający autostradę zarośnięty był chaszczami i winoroślą zwieszającą się z klonów, dębów i sykomor. Chociaż znajdowaliśmy się zaledwie sto jardów od domu, nie byłem tu jeszcze nigdy, nie słyszałem też, żeby to miejsce odwiedzał ktoś ze znanych mi osób. To jak odkrywanie nowych łądów. Znaleźliśmy wydeptaną ścieżkę, którą poszliśmy. Gdzieś tam przecinały ją małe strumyczki. Odciski w gliniastej ziemi to były jedyne ślady niedźwiedzi, jakie początkowo ujrzeliśmy. W powietrzu unosiła się zatechła, lecz niezbyt dokuczliwa woń. Opodal, na nieco większej przestrzeni, przy niewielkim zagłębieniu, znaleźliśmy ślady ogniska. Nie pozostało jednak nic poza popiołem.

Spalone pniaki leżały ułożone w koło, a zapach stał się jeszcze bardziej intensywny.

Rozgrzebałem popiół i znalazłem pod nim wystarczającą ilość żaru do ponownego rozpalenia ogniska, przysypałem go więc z powrotem, doprowadzając do poprzedniego stanu.

Wyciąłem trochę drzewa i ułożyłem obok na kupę; taka sąsiedzka przysługa. Może zwierzęta w tej chwili obserwowały nas z zarośli, nigdy nic nie wiadomo. Spróbowałem jedną z tych neojagód i wyplułem ją natychmiast. Była bardzo słodka i jednocześnie bardzo kwaśna. Ten smak powinien, moim zdaniem, odpowiadać niedźwiedziom.

Tego wieczora po kolacji spytałem Juniора, czy nie zechciałby towarzyszyć mi podczas wizyty u Mamy. Ku memu zdumieniu zgodził się. Chłopcy są bardziej troskliwi, niż się powszechnie sądzi.

Zastaliśmy Mamę siedzącą na betonowym ganku Domu. Obserwowała samochody przejeżdżające autostradą I-65. Pielęgniarka powiedziała mi, że przez cały dzień Mama była bardzo podniecona. Wcale mnie to nie zdziwiło. Każdej jesieni, kiedy liście zmieniały kolor, stawała się niespokojna, jak gdyby na coś czekała.

Zabrałem ją do salonu i zacząłem czesać jej siwe włosy.

- W kółko mówią o niedźwiedziach - poskarżyła się pielęgniarka, przełączając kanały telewizora.

Po jej wyjściu Junior złapał pilota i włączył specjalny, nadawany przez CBS lub NBC, reportaż o myśliwych z Wirginii, którym spalono dom. Był to wywiad z myśliwym i jego żoną. Ich posiadłość w Shenandoah Valley wartości 117 500 dolarów spłonęła doszczętnie. Kobieta oskarżała o to niedźwiedzie. Mężczyzna ich nie oskarżał, domagał się jednak odszkodowania od rządu, twierdząc, że ma ważne zezwolenie na działalność myśliwską. Komisarz stanowy do spraw łowiectwa oświadczył, że posiadanie zezwolenia nie zabrania (nie ujmuje, tak to chyba powiedział) obiektowi polowania prawa do obrony. Pomyślałem sobie, że to niezwykle liberalne podejście, jak na komisarza stanowego. Ale mnie w końcu nie dotyczy. Nie jestem myśliwym.

- Nie fatyguj się do mnie w niedzielę - powiedziała Mama Juniorowi, puszczając do niego oko. - Przejechałam milion mil i jestem już jedną nogą na tamtym świecie.

Przywykłem do tego, że Mama wygaduje te głupstwa, zwłaszcza jesienią, ale zaniepokoiłem się, bo mogło to zdenerwować chłopca. Rzeczywiście wyglądał na przygnębionego i kiedy wyszliśmy, spytałem, co mu jest.

- Jak mogła przejechać milion mil? - spytał.

Powiedziała, że przez 39 lat robiła dziennie 48 mil, ale kiedy policzył to na kalkulatorze, wypadło mu 336 960 mil.

- Mogła - odparłem. - To było 48 mil rano i wieczorem, plus wyjazdu z drużyną futbolową, plus lekka przesada starej kobiety.

Mama była pierwszą kobietą w całym stanie prowadzącą szkolny autobus. Oprócz tego zajmowała się wychowywaniem dzieci. Tatko zajmował się tylko farmą.



Zazwyczaj zawracam w Smiths Grove, ale tego wieczora pojechałem dalej na północ, aż do Horse Cave, podwójnie nadkładając drogi, dzięki temu mogliśmy z Juniorem obserwować ogniska niedźwiedzi. Nie było ich tak wiele, jak można byłoby sądzić z relacji telewizyjnych, najwyżej jedno na sześć, siedem mil. Poukrywane za drzewami lub skałkami. Widocznie zwierzęta potrzebowały wody równie mocno jak drewna. Junior chciał, żebyśmy się zatrzymali, ale postój na autostradzie jest niezgodny z prawem i bałem się, że złapie nas policja.

W skrzynce znaleźliśmy kartkę od Wallace'a. Elizabeth i on czuli się wyśmienicie i doskonale się bawili. Nie wspomniał nawet o Juniorze, ale chłopiec nie wydawał się tym przejęty. Jak większość jego rówieśników nie przepadał zbytnio za wyjazdami w towarzystwie rodziców.



W sobotnie popołudnie zadzwoniono z Domu do mojego biura (Burley Belt Drought i Hill) z wiadomością, że Mama odeszła. Byłem akurat w trasie. Pracuję w soboty. To jedyny dzień, kiedy można

zastać w domu większość ludzi zajmujących się tylko dorywczo gospodarowaniem na farmie. Serce mi zamarło, gdy po otrzymaniu tej wiadomości łączyłem się z Domem. Ale zamarło mi tylko na chwilę, bo byłem na to przygotowany.

- Wola boska - powiedziałem pielęgniарce, która odebrała telefon.

- To nieporozumienie - odparła. - Wcale nie powiedziałam, że pańska matka zmarła, tylko że odeszła, uciekła.

Mama, korzystając z chwili nieuwagi personelu, wydostała się tylnymi drzwiami. Podważyła zamek grzebieniem i wyszła, zabierając ze sobą należącą do Domu kapę z łóżka. Spytałem, co z jej tytoniem. Zniknął również. Wywnioskowałem z tego, że postanowiła wynieść się stamtąd na dobre. Byłem we Franklin i dotarcie do Domu drogą I-65 zajęło mi niecałą godzinę. Pielęgniarka powiedziała, że mama ostatnio zachowywała się coraz dziwniej. To oczywiste, że musiała coś takiego powiedzieć. Rozejrzeliśmy się po najbliższej okolicy. Było tu przylegające do szosy, pozbawione drzew, pole soi wielkości mniej więcej akra. Polecono mi zawiadomić szeryfa. Miałem też płacić za opiekę nad Mamą do chwili, kiedy zostanie oficjalnie uznana za zaginioną, czyli mniej więcej do poniedziałku. Gdy dotarłem do swojego domu, było już ciemno; Junior szykował kolację. Wymagało to jedynie otwarcia kilku puszek, już uprzednio przygotowanych i związanych gumką. Powiedziałem mu o babci, a on tylko skinął głową i skonstatował: - Mówiła przecież, że odejdzie.

Zadzwoiłem na Florydę i zostawiłem wiadomość. To wszystko, co mogłem zrobić. Usiadłem przed telewizorem, usiłując zmusić się do oglądania programu, ale nie było niczego interesującego. Wówczas wyjrzałem przez tylne drzwi i pomiędzy drzewami rosnącymi na pasie rozdzielającym autostradę dojrzałem blask ognia. Pomyślałem sobie, że wiem, gdzie jej szukać.



Zrobiło się bardzo chłodno, włożyłem więc kurtkę. Poleciałem małemu, żeby został w domu i czekał na telefon od szeryfa, lecz kiedy się obejrzałem, a stałem już wtedy na środku pola, zobaczyłem, że był obok mnie. Bez kurtki. Niósł za to swoją strzelbę, którą kazałem mu zostawić opartą o ogrodzenie. W moim wieku wdrapanie się nocą na państwowy płot jest o wiele trudniejsze niż za dnia. Mam sześćdziesiąt jeden lat, autostradą mknęły samochody jadące na południe i ciężarówki zdążające na północ.

Gdy znalazłem się już po drugiej stronie, rosa, która pokrywała długą trawę, zamoczyła mi mankiety spodni. Dla ścisłości, była to lokalna odmiana trawy *bluegrass*.

Już po kilku pierwszych krokach pomiędzy drzewami ogarnęła nas ciemność i chłopiec złapał mnie za rękę. Potem zrobiło się nieco jaśniej. W pierwszej chwili myślałem, że to światło księżyca, ale po chwili przekonałem się, że to odbijana przez wierzchołki poświata pochodząca od ogniska. Dzięki niej mogliśmy z Juniorem obrać właściwy kierunek. Wkrótce znaleźliśmy ścieżkę nasyconą niedźwiedzim zapachem.

Podchodzenie niedźwiedzi nocą jest trochę deprymujące. Idąc ścieżką, moglibyśmy natknąć się w mroku na któregoś z nich, ale z drugiej strony, gdybyśmy poruszali się przez gąszcz, niedźwiedzie mogłyby uznać nasze zamiary za nieprzyjazne. Zastanawiałem się, czy zbyt pochopnie nie zrezygnowałem ze strzelby.

Zostaliśmy jednak na ścieżce. Światło odbijające się w listowiu przypominało migotliwy deszcz. Szło się nam dość łatwo, zwłaszcza gdy nie patrzyliśmy pod nogi, tylko pozwalaliśmy naszym stopom

odnajdywać właściwy szlak.

W pewnej chwili dostrzegłem ognisko.



Płonęły przeważnie gałęzie buka i sykomory, dając mało ciepła i światła, a za to dużo dymu. Widocznie misie nie nauczyły się jeszcze odróżniać różnych gatunków drewna. Na razie nauczyły się je gromadzić. Wielki, ciemnobrązowy niedźwiedź, pochodzący zapewne z północy, grzebał w ognisku kijem i dokładał gałęzie z leżącego opodal stosu. Inne rozsiadły się wokół na pniakach. Na ogół były to mniejsze od tamtego samce, czarne i brązowe, ale znajdowała się również pomiędzy nimi samica z małymi. Niektóre pojadały jagody z dekła samochodowego. Pomiedzy nimi siedziała Mama, otulona wyniesioną z Domu kapą. Nie jadła, obserwowała tylko ogień.

Jeśli nawet niedźwiedzie dostrzegły nas, nie dały tego po sobie poznać. Mama klepinięciem wskazała mi miejsce obok siebie na pniaku, więc usiadłem. Niedźwiedź posunął się nieco, robiąc miejsce Juniorowi z drugiej strony obok Mamy.

Zapach niedźwiedzi jest silny, lecz nie odrażający, zwłaszcza gdy się do niego przywyknie. Pochyliłem się, by szepnąć coś Mamie do ucha, lecz ona stanowczo pokręciła głową.

- To niegrzecznie szeptać, będąc wśród stworzeń, które nie potrafią mówić - poinformowała mnie bez słów.

Junior też nic nie mówił. Mama podzieliła się z nami kapą i wpatrzni w ogień przesiedzieliśmy tak ładnych parę godzin.

Wielki niedźwiedź, ten, co dokładał do ognia, łamał gałęzie, unosząc je w łapach i przydeptując, tak jak to robią ludzie. Udawało mu się utrzymywać płomień na stałej wysokości. Inny miś czasem

dorzucił jakieś polano, ale pozostałe nie zajmowały się tym wcale. Wyglądało na to, że tylko kilka z nich wiedziało, jak obchodzić się z ogniem i demonstrowało to reszcie. Ale czyż nie jest tak ze wszystkim? Co pewien czas do ogniska zbliżał się jakiś mniejszy niedźwiedź z naręczem chrustu i rzucał go na znajdujący się obok stos drewna. Gałęzie miały srebrny blask, jak gdyby oblane były wodą.

Junior na szczęście nie jest taki ruchliwy jak większość jego rówieśników. Mnie osobiście siedzenie i spoglądanie w ogień sprawiało dużą przyjemność. Chociaż nie żuję, wziętem od Mamy nieco tytoniu. Sytuacja właściwie nie różniła się tak bardzo od odwiedzin w Domu, tyle że spędziliśmy czas o wiele ciekawiej, choćby ze względu na niedźwiedzie, których było w sumie osiem czy dziesięć. Ognisko też miało swoją dramaturgię. Co pewien czas płomienie strzelały wyżej lub dopalające się gałęzie pękały z trzaskiem, syjąc iskrami. Rozbudziło to moją wyobraźnię. Popatrzyłem na siedzące wokół zwierzęta i zastanawiałem się, co one widzą. Niektóre z nich miały zamknięte oczy. Chociaż zgromadziły się razem, duchem były wciąż oddzielnie, tak jakby każde z nich siedziało samotnie przy własnym ognisku.

Dekiel krążył wśród siedzących i wreszcie dotarł do nas. Wzięliśmy nieco neojagód. Nie wiem, jak Mama, ale ja tylko udawałem, że jem. Junior skrzywił się i wypluł owoc. Gdy usnął, okryłem nas wszystkich kapą. Robiło się coraz chłodniej, a my, w przeciwieństwie do niedźwiedzi, nie byliśmy pokryci futrem. Chciałem pójść do domu, lecz Mama sprzeciwiła się temu. Wskazała na rozświetlone korony drzew, a potem na siebie. Czyżby sądziła, że to aniołowie zstępują z wysokości? Było to tylko odbicie długich świateł ciężarówek zmierzających na południe, ona jednak wydawała się tym usatysfakcjonowana.

Czułem, jak jej dłoń powoli stygnie w mojej ręce.

Junior obudził mnie klepinięciem w kolano. Dniało. Jego babcia siedziała nieżywa pomiędzy nami na pniaku. Ogień wygasł, niedźwiedzie poszły sobie, a coś przedzierało się w naszą stronę, ignorując ścieżkę. To był Wallace. Towarzyszyli mu dwaj żołnierze. Miał na sobie białą koszulę, co uświadomiło mi, że jest niedziela rano. Spod maski smutku z powodu śmierci Mamy wyzierała irytacja.

Żołnierze pociągnęli nosem i pokiwali głowami. Zapach zwierząt był bardzo intensywny. Wallace i ja zawinęliśmy ciało Mamy w kapę, a potem ruszyliśmy w stronę autostrady. Żołnierze zostali, by rozgrzebać popiół z ogniska i porzucić przygotowane gałęzie. Paskudna robota. W swoich mundurach sami przypominali niedźwiedzie.

Na poboczu, z wciśniętymi w trawę radialnymi oponami, stał oldsmobile '98 Wallace'a, przed nim wóz policyjny, obok żołnierze, a z tyłu karawan, również oldsmobile '98.

- Po raz pierwszy zdarzył się wypadek niepokojenia przez nie starszych ludzi - powiedział żołnierz do Wallace'a.

- To niezupełnie tak było - odezwałem się, ale nikt nie zamierzał słuchać moich wyjaśnień. Wiedzieli swoje. Dwóch mężczyzn w garniturach wysiadło z karawanu i otworzyło tylne drzwi. Dla mnie była to chwila, w której Mama tak naprawdę rozstała się z życiem. Gdy włożyliśmy już ją do środka, otoczyłem chłopca ramionami. Drżał, chociaż wcale nie było chłodno. Sprawia to czasem tchnienie śmierci, zwłaszcza o świcie, w asyście policji, kiedy trawa mokra jest od rosy. Dzieje się tak nawet wtedy, gdy śmierć przychodzi jak przyjaciel.

Staliśmy przez chwilę, spoglądając na przejeżdżające samochody.

- Wola boska - powiedział Wallace.

Byłem zdumiony tak wielkim natężeniem ruchu o szóstej

dwadzieścia dwie rano.



Po południu wróciłem i narąbałem nieco drewna na opał, żeby zastąpić to, które porzucali żołnierze. Wieczorem znów widziałem ogień pomiędzy drzewami.

Wróciłem dwa dni później, po pogrzebie. Ognisko płonęło, o ile zdołałem zauważyć, siedziały przy nim te same niedźwiedzie. Usiadłem pomiędzy nimi na chwilę, ale spostrzegłem, że je to trochę drażni, wróciłem więc do domu. Zabrałem ze sobą garść neojagód z dekla. Kiedy w niedzielę pojechałem z Juniorem na cmentarz, ozdobiłem nimi grób Mamy. Znów spróbowałem jednej, ale to na nic, nie da się ich zjeść.

Chyba że jest się niedźwiedziem.

Przełożył Feliks Forbert-Kaniewski

John Kessel

CHYTRE WYJŚCIE

Reputację twórcy wyrafinowanej fantasy i SF John Kessel (ur. 1950) zawdzięcza właściwie garstce opowiadań. Szyderczy esej „Herman Melville: Space Opera Virtuoso” oraz wyróżniona Nagrodą Nebula alegoryczna wariacja na temat „Moby Dicka” - „Następna sierota” (1989) - to udane, choć absurdalne próby powiązania czasów Melville’a ze współczesnością. „The Big Dream” to opowieść o prywatnym detektywie na tropie Raymonda Chandlera, zmieniającym się w typową postać z jego kryminałów. „The Pure Product” i „Wszystkie anioły są straszne” rozwijają motywy z gotyckich powieści Flannery O’Connor. W „Buffalo” pojawia się sam Herbert George Wells. Historie te, a także teksty przedstawiające historię alternatywną - „Some Like It Cold”, „The Franchise” i „Uncle John and the Saviour” - znalazły się w zbiorze opowiadań „Meetings in Infinity” (1992) i „The Pure Product” (1997). W powieściach Kessela dostrzegamy także żartobliwe spekulacje „co by było, gdyby”. „Good News from Outer Space” (1989) maluje satyryczny obraz ogarniętej obsesją inwazji Obcych i milenijnym szaleństwem Ameryki u progu XXI w. „Corrupting Dr. Nice” (1997) to szalona opowieść o podróży w czasie - złodziejska para, ojciec i córka, przekracza granice czasu i światów alternatywnych w poszukiwaniu ofiar. Kessel jest także, obok Jamesa Patricka Kelly’ego, współautorem powieści „Freedom Beach” (1985).

Siedząc w gabinecie i czekając - tylko na co, nie wiedziała dokładnie - doktor Evans modliła się, żeby to nie był kolejny zły dzień. Chciało jej się palić i pić. Obróciła się z krzesłem w stronę zamkniętych żaluzji za biurkiem, oparła wygodnie i splotła ręce za głową. Zamknęła oczy i zrobiła głęboki wdech. Powietrze spływające z wentylatora w suficie śmierdziało olejem maszynowym. Było zimno. Odczuwała to na twarzy, ale gruby sweter rozgrzewał resztę ciała. Czuła, że ma przetłuszczone włosy. Przez parę minut nie myślała o niczym. Nagle ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - powiedziała z roztargnieniem.

Wszedł Havelmann. Miał potężne ciało sportowca, który nieco stracił formę, miękkie, gęste siwe włosy i pobrużdżoną twarz. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał na sześćdziesiąt lat. Jego dobrze skrojony granatowy garnitur bardzo domagał się prasowania.

- Pani doktor?

Evans przez chwilę wpatrywała się w niego. Mogłaby go zabić. Spuściła wzrok na biurko, potarła czoło.

- Proszę usiąść - powiedziała.

Wyjęła z szuflady biurka paczkę papierosów.

- Zapali pan?

Stary człowiek przyjął papierosa. Przyglądała mu się uważnie. Jego brązowe, zaczerwienione oczy spoglądały przeprasząco.

- Za dużo palę - powiedział. - Ale nie potrafię rzucić.

Podawała mu ogień.

- Tu codziennie coraz więcej osób rzuca.

Havelmann zaciągnął się głęboko.

- Co mogę dla pani zrobić?

Co ja mogę zrobić dla pana, drogi panie.

- Po pierwsze, chciałabym zagrać w taką grę. - Wyjęła z kieszeni chusteczkę. Przesunęła mosiężny przycisk do papieru, mały model pomnika Lincolna, na sam środek biurka. - Proszę obserwować moje czynności.

Havelmann uśmiechnął się.

- Niech zgadnę - zniknie, tak?

Usiłowała nie zwracać na niego uwagi. Zakryła przycisk chusteczką.

- Co jest pod tą chustką?

- Możemy się założyć?

- Nie tym razem.

- Przycisk do papieru.

- Cudownie. - Evans odsunęła się, czując, że to jej nie ominie. - A teraz proszę odpowiedzieć na parę pytań.

Stary człowiek rozejrzał się z ciekawością po gabinecie; obejrzał zamknięte żaluzje, ekran komputera i klawiaturę pod ścianą, pulpit z przełącznikami w rogu biurka. Jego spojrzenie spoczęło na lustrze naprzeciwko okna.

- To lustro dwustronne.

Evans westchnęła.

- Co pan powie.

- Pani to nagrywa?

- Czy to ma dla pana jakieś znaczenie?

- Chciałbym wiedzieć. Prosta uprzejmość.

- Tak, nagrywają nas na wideo. Teraz proszę odpowiadać.

Havelmann jakby się skurczył w obliczu jej wrogości.

- Oczywiście.

- Jak się panu tu podoba?

- Jest w porządku. Trochę nudno. I wszystko wygląda tak, że człowiek tu pewnie nawet nic nie złapie, wie pani, co mam na myśli.

Bez urazy, pani doktor. Nie przebywam tu tak długo, żeby się tu poczuć swobodnie.

Evans kołysała się powoli do przodu i tyłu.

- Skąd pan wie, że jestem lekarzem?

- A nie? Tak myślałem. Przecież to szpital, nie? Więc domyśliłem się, że skoro mnie wysłali na spotkanie z panią, to musi być pani lekarzem.

- Jestem lekarzem. Nazywam się Evans.

- Miło mi panią poznać, doktor Evans.

Mogłaby go zabić.

- Jak długo tu pan przebywa?

Pociągnął się za ucho.

- Chyba przyjechałem dzisiaj. Nie sądzę, żebym tu był długo. Parę godzin. Rozmawiałem w sali z pielęgniarkami.

Czego by nie dała za szklaneczkę jacka danielsa, choćby tylko na trzy palce. Spojrzała na niego znad złożonych dłoni.

- Bardzo gadatliwe pielęgniarki.

- Na pewno robią, co do nich należy.

- Na pewno. Proszę mi powiedzieć, co pan porabiał przed przybyciem do tego... szpitala.

- Znaczący, bezpośrednio?

- Tak.

- Pracowałem.

- Gdzie pan pracuje?

- Mam własną firmę, Systemy Komputerowe ITG. Piszemy programy dla wielu osób. Niedługo podpiszemy wielki kontrakt z Ma Bell. Jak tylko ubijemy ten interes, do czterdziestki będę mógł przejść na emeryturę - jeśli Wuj Sam utrzyma łapska z dala od mojej kieszeni na tyle długo, żebym zdążył przeliczyć drobniaki.

Evans zrobiła notatkę.

- Ma pan rodzinę?

Havelmann patrzył jej prosto w oczy. Było to spojrzenie prostodusznego młodego studenta, zupełnie niepasujące do człowieka w jego wieku. Gapił się na nią, jakby nie potrafił zrozumieć, dlaczego zadaje mu te obcesowe pytania. Nienawidziła go za tę słabość; budziła w niej furję, popychającą ją na krawędź szaleństwa. To już był zły dzień, a zanosiło się, że będzie gorszy.

- Nie rozumiem, do czego pani zmierza - oświadczył Havelmann z dużą dozą godności. - Ale skoro to pani potrzebne do dokumentów: mam żonę Helen i dwoje dzieci. Ronnie ma dziewięć lat, a Susan pięć. Mamy ładny duży dom, lincolna i porsche. Kibicuję Śmiałkom i nie jadam quiche'a. Co jeszcze chciałaby pani wiedzieć?

- Mnóstwo rzeczy. I w końcu się dowiem. - Głos Evans brzmiał zimno. - Czy chce mnie pan o coś spytać? Jak się pan tu znalazł? Jak długo pan tu pozostanie? Kim pan jest?

Jego głos ochłódł w równym stopniu.

- Wiem, kim jestem.

- W takim razie kim?

- Nazywam się Robert Havelmann.

- Zgadza się - powiedziała spokojnie. - Który mamy rok?

Havelmann przyglądał się jej podejrzliwie, jakby spodziewał się podstępu.

- O czym pani mówi? 1984.

- Jaka jest pora roku?

- Wiosna.

- Ile ma pan lat?

- Trzydzieści pięć.

- Co znajduje się pod tą chustką?

Havelmann spojrział na chustkę na biurku, jakby zobaczył ją po raz pierwszy w życiu. Skulił się, spojrział podejrzliwie na Evans.

- A skąd mam wiedzieć?



Wrócił popołudniem tego samego dnia, tak samo wymięty, tak samo niewinny. Jak ktoś tak stary może być nadal niewinny? Nie pamiętała, kiedy ostatnio szło jej tak łatwo.

- Proszę usiąść - powiedziała.

- Dziękuję. Co mogę dla pani zrobić, pani doktor?

- Chciałabym kontynuować naszą poranną kłótnię.

Havelmann uśmiechnął się.

- Kłótnię? Poranną?

- Nie pamięta pan, że dziś rano rozmawialiśmy?

- Nigdy w życiu pani nie widziałem.

Evans patrzyła na niego chłodno. Stary człowiek poprawił się na krześle.

- Skąd pan wie, że jestem lekarzem?

- A nie jest pani? Powiedzieli mi, że mam się spotkać z doktor Evans w pokoju dziesięć.

- Rozumiem. Jeśli nie był pan dziś rano tutaj, to gdzie?

Havelmann zawahał się.

- Zaraz... w pracy. Pamiętam, że mówiłem Helen - żonie - że spróbuję wrócić do domu wcześniej. Zawsze gdera, jeśli zostaję do późna. W firmie teraz dużo roboty: wielki kontrakt na warsztacie. Susan gra w szkolnym przedstawieniu i musimy zdążyć na ósmą. Dlatego chcę zaraz jechać do domu, żeby przedtem jeszcze trochę popracować w ogrodzie. Pogoda w sam raz.

Evans zrobiła notatkę.

- Jaką porę roku mamy?

Havelmann wiercił się jak dziecko. Wyjrzał przez okno, nadal zasłonięte żaluzjami.

- Wiosnę - powiedział. - Słonecznie, ciepło, bardzo ładna pogoda. Na drzewach już się pojawiają pączki.

Evans bez słowa wstała, podeszła do okna. Otworzyła żaluzje, ukazując nagie pole zasłane zaspami śniegu. Wicher szarpał suche trawy, na niebie kłębiły się chmury.

- Co pan na to?

Havelmann wytrzeszczył oczy. Wyprostował się, pochylił do przodu. Pociągnął się za ucho.

- A to dopiero. Ależ tu macie pogodę... trzeba trochę poczekać.

- A co z pączkami na drzewach?

- Pewnie wymarzną. Mam nadzieję, że Helen dała dzieciom kurtki.

Evans wyjrzała przez okno. Nic się nie zmieniło. Z wolna zaciągnęła żaluzje i znowu usiadła.

- Który mamy rok?

Havelmann poprawił się na krześle, znowu spokojny.

- Jak to? 1984.

- Przeczytał pan tę książkę?

- Zaraz, powoli. O czym pani mówi?

Ciekawe, co by zrobił, gdyby tak wstała i wcisnęła mu kciuki w oczy?

- Książkę George'a Orwella pod tytułem „Rok 1984”. - Zmusiła się, żeby mówić powoli. - Zapoznał się pan z nią?

- Jasne. Musieliśmy ją przeczytać w liceum. - Czy pod powierzchnią niewinności Havelmanna pojawił się cień rozdrażnienia? Evans zamilkła i starała się nawet nie drgnąć.

- Pamiętam, że zrobiła na mnie spore wrażenie - ciągnął Havelmann.

- Jakiego rodzaju wrażenie?

- Spodziewałem się po profesorze czegoś innego. Był zdeklarowanym liberałem. Oczekiwałem jakiejś kliwej bajdy. A to było coś zupełnie innego.

- Poczł się pan niezręcznie?

- Nie. Nie znalazłem w niej nic, czego bym już nie wiedział. Tylko wykazała, co złego jest w kolektywizmie. Wie pani, komunizm prześladauje jednostkę, niszczy inicjatywę. Twierdzi, że chodzi mu o interesy większości. I zaprzecza wszelkim wartościom humanistycznym. Tyle zrozumiałem z „1984”, choć kiedy profesor o tym mówił, to wychodziło na to, że wszystko jest o Nixonie i Wietnamie.

Evans nadal milczała. Havelmann mówił dalej.

- Taką samą mentalność spotykamy w pracy. Wielkie firmy są jak rząd. Wielkie, powolne; pokaż im, jak zaoszczędzić miliard, a one cię rozgniotą jak robaka, bo zmiana jest zbyt kłopotliwa.

- Zdaje się, że ktoś panu zalażł za skórę?

Stary człowiek uśmiechnął się.

- Faktycznie. Przyznaję się bez bicia. Dużo o tym myślałem. Ale nie tracę wiary w człowieka. Pewnego dnia może zajmę się polityką i sprawdzę, czy zdołam zdziałać coś dobrego.

Czubek jej ołówka pękł z trzaskiem. Spojrzała na Havelmanna, który patrzył na nią. Po chwili skupiła uwagę na notesie. Złamany grafit zostawił czarną bliznę biegnącą przez jej precyzyjne pismo.

- Dobry pomysł - powiedziała cicho, nadal ze spuszczoneymi oczami. - Wciąż nie pamięta pan naszej porannej kłótni?

- Do chwili kiedy wszedłem w te drzwi, nigdy pani nie widziałem. O co mielibyśmy się kłócić?

Był szalony. Evans niemal roześmiała się głośno na tę myśl. Oczywiście, że to wariat, w przeciwnym razie co by tu robił? Wątpliwości - zmusiła się do racjonalnego myślenia - dotyczą natury

tego szaleństwa. Wzięła przycisk do papieru i przesunęła go w stronę Havelmanna.

- Kłóciliśmy się o ten przycisk - powiedziała. - Pokazałam go panu, a pan powiedział, że nigdy wcześniej go nie widział.

Havelmann przyjrzał się przyciskowi.

- Moim zdaniem, wygląda zwyczajnie. O czymś takim mógłbym spokojnie zapomnieć. O co tyle krzyku?

- Zauważył pan, że to model pomnika Lincolna.

- Pewnie kupiła go pani w sklepie z pamiątkami. W Waszyngtonie jest pełno tego śmiecia.

- Od dawna nie byłam w Waszyngtonie.

- Ja tam mieszkam. Właściwie w Alexandrii, codziennie dojeżdżam.

Evans zamknęła notes.

- Mam prawdopodobną diagnozę pańskiego stanu - odezwała się nagle.

- Jakiego stanu?

Tym razem trudniej było jej opanować śmiech. Z wysiłku w oczach niemal stanęły jej łzy. Wstrzymała oddech i ciągnęła:

- Ma pan objawy syndromu Korsakowa. Słyszał pan o tym?

Havelmann miał oczy puste jak kosmiczna próżnia.

- Nie.

- Syndrom Korsakowa jest niezwykle postacią utraty pamięci. Pierwsze udokumentowane przypadki pojawiły się u schyłku dziewiętnastego wieku. W latach siedemdziesiątych dwudziestego stulecia trafił się słynny przypadek - słynny dla lekarzy, ma się rozumieć. Pewien sierżant komandosów, niejaki Arthur Briggs. Miał pięćdziesiąt parę lat, był zdrowy, jeśli nie liczyć przewlekłych skutków alkoholizmu, i był cenionym podoficerem. Aż do przejścia do cywila w połowie lat sześćdziesiątych, po dwudziestu latach

służby. Funkcjonował normalnie do początku lat siedemdziesiątych, kiedy stracił świadomość wszystkiego, co nastąpiło po wrześniu 1944 roku. Wszystko aż do tej daty pamiętał z najdrobniejszymi szczegółami, jednak reszty swego życia - nie. Mało tego, jego pamięć krótkotrwała została upośledzona tak, że zapamiętywał bieżące wydarzenia tylko na parę minut, po czym wszystko kompletnie zapominał.

- Pamiętam, co mi się przydarzyło aż do chwili, kiedy wszedłem do tego pokoju.

- Tak mówił sierżant Briggs swoim lekarzom. Aby im to udowodnić, powiedział, że druga wojna światowa toczy się w najlepsze, że on stacjonuje w San Francisco, przygotowując się do misji na Filipinach, że wygląda na to, iż drużyna z St Louis w końcu zdobędzie proporzec, jeśli tylko wytrwa przez cały wrzesień, i że on ma dwadzieścia lat. Miał umysłowość i świadomość dwudziestolatka. Wszystko zapamiętywał najwyżej na czterdzieści minut. Życie toczyło się dalej, ale on na wieczność utknął w roku 1944.

- To straszne.

- Tak też myślał lekarz prowadzący... początkowo. Później uznał, że może nie jest to takie złe. Pacjent nadal miał życie emocjonalne. Potrafił się cieszyć terażniejszością; po prostu nie zatrzymywał jej na dłużej. Pamiętał swoją młodość, dla niego nigdy się nie skończyła. Nie starzał się, nie widział starości i śmierci swoich przyjaciół, nie pamiętał, że sam stał się samotnym alkoholikiem. W Kolumbii w stanie Missouri nadal czekała na niego dziewczyna. Na wieczność został dwudziestolatkiem. Znalazł sobie chytre wyjście.

Evans otworzyła szufladę biurka i wyjęła małe lustro.

- Ile ma pan lat?

Havelmann przestraszył się.

- Zaraz, dlaczego rozmawiamy...

- Ile ma pan lat? - Evans mówiła cicho, ale z determinacją. Od spazmu radości omal nie pękło jej serce.

- Trzydzieści pięć. Co do diabła...

Wciśnięcie mu lusterka sprawiło jej taką samą satysfakcję jak strzał z pistoletu. Havelmann ujął je, spojrzał na nią, potem nieśmiało, niczym najbardziej nerwowy student sprawdzający wyniki egzaminów końcowych, zerknął na swoje odbicie.

- Jezu Chryste - powiedział. Zaczął dygotać. - Co się stało? Co wyście mi zrobili? - Wstał z krzesła, twarz mu się wykrzywiła. - Coście ze mną zrobili? Ja mam trzydzieści pięć lat! Co się stało?



Doktor Evans stała przed lustrem w swoim gabinecie. Miała na sobie mundur. Był równie wymięty jak garnitur Havelmanna. Rozpięła marynarkę i zbadała lewą pierś. Położyła się na podłodze i kontynuowała badanie. Nie ma wątpliwości - guz. Jeszcze nie bolał.

Usiadła, sięgnęła po paczkę papierosów na biurku, wyjęła ostatniego i zapaliła. Zgniotła paczkę i rzuciła ją w kosz. Dwa punkty. W liceum, dwadzieścia lat temu, nieźle grała w kosza. Znowu się położyła i zaciągnęła się głęboko, mocny wdech, mocny wydech, zmęczone westchnienie. Prawdopodobnie już ani razu nie zdołała przez to przejść.

Odwróciła głowę w stronę okna. Żaluzje były otwarte, ukazywały ten sam pusty krajobraz. Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę - powiedziała.

Wszedł Havelmann. Spojrzał na nią, leżącą na podłodze, uniósł brew, uśmiechnął się.

- Pani jest doktor Evans?
- To ja.
- Mogę usiąść czy też mam się położyć?
- Rób, co ci się, kurwa, podoba.

Usiadł. Nie obraził się.

- Więc w jakiej sprawie chciała się pani ze mną spotkać?

Evans wstała, zapięła marynarkę, usiadła w obrotowym krześle. Wbiła w niego spojrzenie. Twarz miała kamienną, bladą, wąskie usta nieruchome. Była to twarz kobiety śmiertelnie chorej, tak przywykłej do swojej choroby i konieczności ignorowania jej, że wszystkie objawy bólu trochę ją drażniły. Zamierzam doprowadzić to do końca, mówiła jej twarz, a potem się zabiję.

- Czy już się spotkaliśmy? - spytała.
- Nie. Na pewno bym pamiętał.

Na pewno by pamiętał. Mogłaby go, kurwa, zabić. To by zapamiętał. Zdusiła centymetrowy niedopałek. Poczwała, że szczęki jej się same zaciskają; z żalem zajrzała do popielniczki.

- Teraz muszę rzucić.

- Ja też powinienem. Za dużo palę.

- Teraz posłuchaj mnie uważnie - powiedziała powoli. - Nie odpowiadaj, dopóki nie skończę. Nazywam się major D. S. Evans i jestem wojskowym psychologiem. To pomieszczenie znajduje się w szpitalu Państwowego Centrum Kryzysowego do spraw Łączności Obronnej, tysiąc stóp pod poziomem ziemi w zachodniej Wirginii. O ile wiemy, jesteśmy jedyną ocalałą organizacją rządową w kontynentalnej części Stanów Zjednoczonych. To, co widzisz za oknem, to obraz przekazywany przez kamerę na powierzchni w środkowej Nebrasce; za pomocą komputera mogę nas połączyć z dowolną z dwunastu kamer, które jeszcze funkcjonują na powierzchni.

Odwróciła się do klawiatury i wpisała polecenie; scena za oknem mignęła i zmieniła się w ujęcie zburzonych murów i powykręcanych prętów. Widok zasłaniał zaskorupiały pył na obiektywie kamery oraz gęsta śnieżycą. Evans wpisała dodatkowe polecenie i dotknęła przełącznika na biurku. Z głośnika dobiegł cichy szum, jakby syczał smażony bekon.

- To Dallas. Ten dźwięk to odczyt poziomego promieniowania, rejestrowany przez czujniki przy kamerze. - Wpisała kolejne polecenie i „okno” wyświetliło szereg widoków równie spustoszonych miejsc, poświęcając każdemu po dziesięć sekund. Pustynia o zmroku, bezruch pod ciężkimi chmurami; mętny podwodny widok w miejscu, gdzie nadal widać było ruiny budynku; ogołocoony las, na pół zasypany śniegiem; opustoszała autostrada. Z każdą zmianą widoku głośnik milkł na ułamek sekundy i znowu syczał.

Havelmann patrzył z powagą.

- Sytuacja na powierzchni wygląda tak już od roku, od zrzucenia ostatnich bomb. O ile wiemy, w Ameryce Północnej nie ma już żywych - ani zresztą na całej półkuli północnej. Przez ostatnich osiem miesięcy przekazy radiowe z Ameryki Południowej, Nowej Zelandii i Australii ustawały jeden po drugim. Od początku tego roku nie zaobserwowaliśmy przez nasze monitory żadnego żywego stworzenia na poziomie wyższym od owadów. Jest lato dwa tysiące dziesiątego roku. Choć, zważywszy sytuację, obliczanie czasu według dawnego kalendarza wydaje mi się dość bezzasadne.

Otworzyła szufladę biurka i wyjęła automat. Położyła go na środku blatu i odchyliła się, prawą ręką dotykając krawędzi biurka tuż koło broni.

- Teraz powiesz mi, że o tym nie słyszałeś, a mnie widzisz pierwszy raz w życiu - powiedziała. - Choć od dwóch tygodni rozmawiam z tobą codziennie, a w tym okresie tłumaczyłam ci to co najmniej

trzykrotnie. Powiesz mi, że jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty, a ty masz trzydzieści pięć lat, pomimo absurdu takiego stwierdzenia. Będziesz udawać zdumienie i oszołomienie; im bardziej będę nalegać, żebyś się zmierzył z tymi faktami, tym bardziej będziesz się denerwować. W końcu wybuchniesz płaczem i będziesz się spodziewać mojego współczucia. Idź do diabła.

Mówiła z coraz większym gniewem. Musiała przerwać; to okazało się prawie niewykonalne. Odezwała się, kiedy odzyskała panowanie nad sobą.

- Jeśli będziesz się upierać przy tym oszustwie, mogę cię zabić. Zapewniam, że nikomu to nie robi różnicy. Teraz możesz mówić.

Havelmann spojrzał w okno. Bezmyślnie otworzył i zamknął usta. Wydawał się bardzo stary i kruchy. Poczła nagłą falę litości i zwątpienia. A jeśli się myliła? Zobaczyła siebie taką, jaką ją widział: arogancką, rozgoryczoną, niezrozumiałą śledczą, która dręczy go z całkowicie niepojętych przyczyn. Patrzyła na niego. Po paru chwilach jego usta się zamknęły, oczy zamrugały i odzyskały jasność spojrzenia.

- Proszę. Powiedz, o czym mówisz.

Evans wzruszyła ramionami.

- Broń jest nabita. Mów dalej.

- Czego się spodziewasz? Pierwszy raz o tym słyszę. Jeszcze dziś rano widziałem żonę i dzieci, wszystko było w porządku. A ty mi opowiadasz o wojnie atomowej i roku dwa tysiące dziesiątym. Co, przespałem trzydzieści lat?

- Wszedłeś tutaj niezbyt zaskoczony. Skoro jesteś taki dezorientowany, jak wyjaśnisz, w jaki sposób się tu znalazłeś?

Usiadł ciężko.

- Nie pamiętam. Pewnie przyszedłem tutaj... myślałem, że do szpitala... na badania kontrolne. Nie myślałem o tym. Musisz

wiedzieć, skąd się tu wzięłam.

- Wiem. Ale myślę, że i ty wiesz i tylko się ze mną bawisz. Z nami. Inni się martwią, ale ja mam tego dość. Przejrzałam cię, więc możesz już przestać. Jesteś znany ze swojej szczerości, ale zawsze podejrzewałam, że ją także udajesz, więc się nie nabrałam. Za późno zacząłeś tę grę, żeby mi wmówić, że jesteś szalony, choć inni myślą inaczej.

Evans bawiła się niedopałkiem papierosa.

- A może to złudzenie - ciągnęła. - Wydaje ci się, że jesteś w szpitalu, a twoja schizofrenia osiągnęła etap, w którym zaprzeczasz wszystkim faktom, przeszkadzającym ci uniknąć odpowiedzialności. Przypuszczam, że w pewnym sensie takie szaleństwo byłoby dla ciebie rozgrzeszeniem. Jeśli tak, powinnam być bardziej obiektywna. Ale nie jestem. Widzę, że zachowuję się nieprofesjonalnie. Szkoda. - Emocje stopniowo ją opuszczały, aż w końcu czuła się, jakby przemawiała nie z za biurka, lecz z drugiego końca kontynentu.

- Nadal nie rozumiem, o czym mówisz. Gdzie moja żona i dzieci?

- Nie żyją.

Havelmann wyprostował się sztywno. Jedyнным dźwiękiem w pomieszczeniu był syk czujnika promieniowania.

- Proszę o papierosa.

- Skończyły się. Wypaliłam ostatniego. - Głos miała odległy. - Na dwóch kartonach jechałam przez cały rok.

Havelmann spuścił wzrok.

- Jakie mam stare ręce! Helen miała piękne.

- Dlaczego tak się upierasz przy tej maskaradzie?

Twarz starego poczerwieniała.

- Do diabła! Powiedz, co się stało!

- Słynna wściekłość Havelmanna. Teraz mam się przerazić?

Syk z głośnika narastał. Havelmann sięgnął po broń. Evans

chwyciła ją i zabrała z biurka. Stary złapał przycisk do papieru i podniósł do ciosu. Wymierzyła w niego.

- Twoja żona nie zdążyła na samolot. Znajdowała się w Białym Domu. Nie wiem, gdzie były te twoje cholerne dzieci - pewnie wyparowały razem ze swoimi rodzinami. Ty natomiast zawiadywałeś operacją Rzepka, która cię uratowała, panie prezydencie. Teraz usiądź i wyjaśnij mi, dlaczego się z nami tak bawisz, albo cię zabiję na miejscu. Siadaj!

Havelmann jakby zaczął coś pojmować.

- Oszalałaś - powiedział cicho.

- Odłóż przycisk na miejsce.

Posłuchał. Usiadł.

- Nie możesz być zwyczajną wariatką - dodał. - Nie miałaś powodu porywać mnie z domu i tak traktować. To jakiś spisek. Rząd... CIA...

- A ty masz trzydzieści pięć lat?

Havelmann znowu przyjrzał się swoim rękom.

- Coś mi zrobiliście.

- A obozy? Rozkaz Administracyjny nr 31?

- Jeśli jestem prezydentem, to dlaczego mnie tu przesłuchujesz? Dlaczego nic nie pamiętam?

- Przestań. Natychmiast przestań - powiedziała powoli. Po raz pierwszy usłyszała własny głos. Brzmiał bardziej starczo od głosu Havelmanna. - Nie zniosę kolejnych kłamstw. Przysięgam, że cię zabiję. Najpierw udawałeś wielkiego przywódcę, ćwiczenia, fason i dyscyplina. Potem wielkiego brata, napijmy się whisky i obgadajmy to, synu. Tak jest, panie prezydencie. - Havelmann gapił się na nią. Zamierzał ją sprowokować do zabójstwa, a ona wiedziała, że nie starczy jej sił, żeby się oprzeć. - A teraz nic nie pamiętasz - dodała. - Twoi chłopcy mają zamęt w głowach, mają dość. Ja też.

- Jeśli to prawda, musisz mi pomóc!

- W dupie mam pomaganie! - krzyknęła. - Chcę cię zmusić do wyznania prawdy. Nie rozumiesz, że już umarliśmy? Nie obchodzi mnie twoja rachityczna moralność, powiedz mi, co cię trzyma przy życiu. Na kim chcesz zrobić wrażenie? Myślisz, że musisz wygrać wybory? Bronić swojego miejsca w historii? Nie będzie już historii! Historia skończyła się w sierpniu zeszłego roku! Więc daruj sobie te opowieści o szpitalu i nieistniejącej stacji medycznej. Ktoś, kto ma Korsakowa, nie musi zmyślać. Dostrzegłby różnicę między oknem a ekranem. I jeszcze parę innych potknięć. Kiepski z ciebie aktor.

Ręka jej zadrzała. Broń była ciężka. Głos też jej drżał i za to siebie nie lubiła.

- Czasami myślę, że przy życiu trzymało mnie tylko te pół ocalonej paczki papierosów. To i pragnienie, żeby cię rzucić na kolana.

Stary patrzył na broń w jej ręce.

- Byłem prezydentem?

- Nie - rzuciła gorzko. - Wszystko zmyśliłam.

Jego oczy jeszcze bardziej zapadły się w sieć otaczających je zmarszczek.

- Wypowiedziałem wojnę?

Serce zaczęło jej bić szybciej.

- Przestań kłamać! To ty wysłałeś siły uderzeniowe, ty wydałeś rozkaz pierwszego ataku.

- Jestem stary. Ile mam lat?

- Doskonale wiesz, ile... - Urwała. Z trudem łapała oddech. W piersi odezwał się ostry ból. - Sześćdziesiąt jeden.

- Jezus, Mario, Józefie.

- I to wszystko? Tylko tyle masz do powiedzenia?

Stary gapił się tępo, po czym powoli, tak powoli, że początkowo nie było wiadomo, co robi, oparł głowę na rękach i zaczął płakać.

Syk z głośnika niemal zagłuszał jego szloch. Doktor Evans przyglądała mu się z napięciem. Oparła łokcie na biurku, przytrzymała broń w obu rękach. Głowa Havelmanna kołysała się przed nią. Pomimo podeszłego wieku siwe włosy nadal miał gęste.

Po chwili wyciągnęła rękę i wyłączyła głośnik. Syk ustał.

W końcu Havelmann przestał płakać. Podniósł głowę. Miał błędne spojrzenie. Jego twarz stała się nieprzenikniona. Spojrzał na lekarzkę i broń.

- Nazywam się Robert Havelmann - powiedział. - Dlaczego pani we mnie celuje?

- Przestań.

- Co przestać? Kim pani jest?

Jego twarz rozmyła się przed oczami Evans. Przez łzy wydał jej się znacznie młodszy. Opuściła broń. Usiłowała ją podnieść, ale stała się jak utkana z dymu - nie była już namacalna i mogła tylko walczyć o to, by się nie rozpuścić, co dopiero strzelać do kogoś tak czystego i niewinnego jak Robert Havelmann. Wyjął jej broń z ręki.

- Dobrze się pani czuje? - spytał.



Doktor Evans zasiadła w swoim gabinecie z nadzieją, że to nie będzie zły dzień. Dziś ból w piersi się nie pojawił, ale skończyły się papierosy. Przeszukała biurko, łudząc się, że może znajdzie paczkę albo chociaż niedopałek w kącie. Nic z tego.

Poddała się i odwróciła do okna. Żaluzje były otwarte, ukazywały zaśnieżone pole. Przyglądała się sunącym kłębiastym chmurom. Było ciemno. Zima. Wszystko umarło.

- Zimno na dworze - szepnęła.

Pukanie do drzwi. Dobry Boże, daj mi spokój, pomyślała. Proszę, daj mi spokój.

- Proszę - powiedziała.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł starszy pan w wymiętym garniturze.

- Doktor Evans? Jestem Robert Havelmann. O czym chciała pani porozmawiać?

Przełożyła Maciejka Mazan

Lisa Goldstein

TURYŚCI

W prozie Lisy Goldstein (ur. 1953) występują motywy powszechnie spotykane w SF: podróże w czasie, wizyty na egzotycznych obcych planetach oraz futurystyczna dystopia. Dla niej jednak są to zwykłe środki pozwalające osiągnąć literacki cel, który należałoby raczej zakwalifikować jako realizm magiczny, mitotwórczą fikcję i współczesną bajkę. Lisa Goldstein została zauważona w 1982 roku dzięki swojej pierwszej powieści „Rudy czarodziej”, będącej alegorycznym ujęciem narodzin nazizmu i holokaustu, za którą dostała American Book Award. Kolejne dwie powieści to jej dość konwencjonalne wycieczki w świat SF. „The Dream Years” (1985) łączy surrealizm lat dwudziestych i francuski ruch kontestacyjny 1968 roku za sprawą podróży w czasie pisarza, który przekonuje się, że te dwa okresy więcej łączy, niż dzieli. Z kolei akcja „A Mask for the General” (1987) osadzona jest w przyszłości; Ameryka znajduje się pod rządami wojskowego dyktatora, zaistniałe zaś ideologiczne i społeczne różnice przyczyniają się do powstania różnych odłamów rewolucyjnej subkultury. „Turyści” (1989) stopniowo wprowadzają swych bohaterów do Amazu, niewystępującego na żadnej mapie kraju Trzeciego Świata, który rządzi się własnymi, szczególnymi prawami logiki znanymi z niektórych opowiadań Goldstein. Powieść „Strange Devices of the Sun and Moon” (1993) przedstawia okres historyczny poprzedzający oświecenie, będący czasem akceptacji fantazji i

mitologii, które są nieustannie obecne w codziennym życiu. Wyprawą high fantasy, w inny wymiar, jest „Summer King, Winter Fool” (1994); akcja powieści toczy się w świecie, w którym żyją obok siebie i ze sobą bogowie oraz śmiertelnicy. Dowodem umiejętności przekazywania drzemiącego w codzienności magicznego potencjału poprzez nieznaczące, niemal niezauważalne zniekształcenie zwyczajnych wydarzeń jest „Walking the Labyrinth” (1996) - tutaj bohaterka, młoda kobieta, wchodzi w posiadanie spadku dzięki pokrewieństwu z iluzjonistami parającymi się prawdziwą magią, oraz „Dark Cities Underground” (1999) - rozwinięcie znanego tematu rozłamu między rzeczywistością i światem literackiej fantazji. „The Alchemist’s Door” (2002) - John Dee i rabbi Ben Loew ożywiają golema i przekonują się, że stwarzanie i unicestwianie to tylko dwie strony tego samego medalu. Opowiadania Lisy Goldstein znalazły się w zbiorach „Daily Voices” (1989) i „Travellers in Magic” (1994).

Obudził się zziębnięty. No tak, zrzucił koce, a klimatyzacja była zbyt mocno nastawiona. Debbie... gdzie jest? Na dworze było jeszcze ciemno.

Przykrył się i usiłował znowu zasnąć. Coś tu nie gra. Debbie gdzieś poszła, może do łazienki albo na dół, na kawę. A on - on był na wakacjach, ale gdzie? Już całkiem rozbudzony usiadł i spróbował się roześmiać. Idiotyczne. Pomyśleć tylko, wydać tysiące dolarów za wakacje, a potem zapomnieć, gdzie się jest. Grecja? Nie, Grecja była w zeszłym roku.

Wstał i odsłonił okno. Morze, widoczne dziesięć pięter niżej, było czarne jak sen, trochę jaśniejsze na wschodzie - to musiał być wschód - tam, gdzie wstaje słońce. Wyłączył klimatyzację - cichy szum umilkł jak ucięty - i poszedł do łazienki.

- Debbie? - spytał niepewnie. Był trochę rozdrażniony. - Debbie?
Wziął prysznic, ogolił się i ubrał, a jej nadal nie było.

- Więc dobrze - powiedział głośno, głównie po to, żeby usłyszeć własny głos. - Skoro cię nie ma, idę na śniadanie sam.

Pewnie gdzieś rozmawiała z tubylcami, śmiejąc się, kiedy źle użyła jakiegoś słowa, choć przed wyjazdem twierdziła, że nigdy się nie uczyła języków. Widać miała do nich smykałkę, niektórzy już tacy są. Przypomniawszy sobie, jak mówiła miękkim akcentem z Południa: „Na litość, Charles, dlaczego uważasz, że ludzie zrozumieją cię, jeśli będziesz mówił głośniej? Oni po prostu nie znają angielskiego”. Od tego momentu przejęła inicjatywę, pokazywała na migi, śmiała się i szukała słów w rozmówkach, które skądś wytrzasnęła. W ten sposób dostawali najlepszy pokój, najsmaczniejszy stek, koc, który tkaczka zrobiła dla własnej rodziny. Kiedy Charles z nią był, jego akcje rosły i dobrze o tym wiedział. Miał nadzieję, że Debbie wkrótce się pojawi.

W korytarzu cicho grała tandetna muzyczka; słyszał ją nawet w windzie, którą zjechał do kawiarni. Podobała mu się hotelowa kawiarnia, podobało mu się, że kelnerzy mówią po angielsku i wiedzą, co to omlet. Przez parę ostatnich dni coraz częściej zostawał w hotelu położonym tuż przy plaży, w końcu zaczął przesiadywać z margaritą przy basenie. Koledzy z pracy będą oceniać jego wakacje po odcieniu opalenizny. Debbie trochę ponarzekła, a potem powiedziała, że jedzie autobusem zobaczyć ruiny. Wróciła smaglejsza od niego, ze spłowiałymi niemal do bieli jasnymi włoskami na brązowej skórze rąk, z mnóstwem opowieści o kobietach wiozących kury w autobusie i o świątyniach, rozpadających się w gruzy na pustyni. I do tego miała srebrną bransoletkę z niebieskimi i zielonymi kamieniami.

Płacąc rachunek, zdał sobie sprawę, że nadal nie wie, w jakim kraju się znajduje. Na pierwszym banknocie, który wyjął z portfela,

w każdym rogu widniała piątka, a na środku wizerunek jakiegoś spiczastego kwiatu. Dziesiątka prezentowała widok na morze, a jedynka, co było dość niepokojące, grubego, zwiniętego węża. Po drugiej stronie wszystkie miały coś w rodzaju urzędowej pieczęci i ani jednego słowa. Analfabeci, pomyślał. Wkrótce jednak sobie przypomnę albo Debbie się zjawi.

Wrócił do pokoju i kiedy przebierał się w kąpielówki, przypomniał mu się paszport. Czując się trochę jak detektyw na tropie, wyjął spod materaca pas z saszetką i otworzył ją. Paszportu nie było. Brakowało paszportu i biletu na samolot. Czeki podróżne zostały, ale bez paszportu jako dokumentu tożsamości były nieprzydatne. Zrobiło mu się zimno. Z mocno bijącym sercem usiadł na łóżku.

Myśl, powiedział sobie. Są gdzieś indziej. Muszą. Kto by kradł paszport, a zostawił czeki? Chyba że komuś potrzebny był paszport, żeby opuścić ten kraj. Ale kto mógł wiedzieć, gdzie go ukrył? Nikt oprócz Debbie, która wyśmiewała te środki ostrożności, a myśl, że to ona mogłaby mu ukraść paszport, była absurdalna. Tylko gdzie jest Debbie?

No dobrze, pomyślał. Będę musiał znaleźć amerykański konsul, coś wymyślić... Na szczęście wczoraj zrealizowałem czek. Ktoś mnie okradł, bez przerwy ktoś okrada Amerykanów, wielkie rzeczy. Mam czas. Zapłaciłem za hotel do... do kiedy?

Rozdrażniony uświadomił sobie, że to także zapomniał. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy wszystko z nim w porządku. Może jest przepracowany. Po powrocie do Stanów powinien się z tym do kogoś zwrócić.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił na recepcję.

- Tak, sor? - spytał recepcjonista.

- Tu pokój 1012. Zapomniałem... dzwonię, żeby spytać... do kiedy

zarezerwowałem pokój?

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Milczenie pełne dezaprobaty, czuł to. Goście na ogół nie bywają tak źle wychowani i nie zapominają o terminie wyjazdu. Ciekawe, jaką reakcję wywołałoby pytanie, co to za kraj. Zaczynało go ogarniać coś w rodzaju hysterii. Opanował się.

Kiedy recepcjonista znowu się odezwał, mówił wymuszonym, obojętnym tonem.

- Zarezerwował pan pokój do jutra rano, sor - powiedział. - Czy życzy pan sobie przedłużyć pobyt?

- E... nie. Czy wie pan... gdzie jest konsulat amerykański?

- Nie utrzymujemy kontaktów z pańskim krajem.

Przez chwilę Charles nie rozumiał.

- No, a... konsulat brytyjski? - spytał w końcu.

Recepcjonista tylko się roześmiał. Najwyraźniej nie czuł potrzeby dokładniejszego wyjaśniania. A kiedy Charles usiłował wymyślić następne pytanie - konsulat australijski, kanadyjski? - recepcjonista odłożył słuchawkę.

Charles bardzo powoli wstał.

- No dobrze - powiedział do pustego pokoju. - Po kolei.

Wyjął z szafy walizki i metodycznie obie przeszukał. Walizka Debbie nadal była na miejscu. Ją także przeszukał. Sprawdził pod materacami, w szafce nocnej, w łazienkowej apteczce. Nic. No dobrze. Widać Debbie ukradła paszport, musiała. Ale dlaczego? I dlaczego nie zabrała ze sobą walizki?

Ciekawe, czy pojawi się w pracy. Urzędowała w sąsiednim korytarzu jako jedna z sekretarek. Zaprosił ją do towarzystwa, bardzo wyraźnie zaznaczając, że nic się za tym nie kryje, po prostu nie ma ochoty na samotną podróż. Czasami taki kontakt nabierał seksualnego charakteru, czasami nie. W zeszłym roku, z Katią z

księgowości, tak się właśnie stało. W tym roku nie.

Jeszcze nie ma się czym martwić, pomyślał, zatrzasnąwszy zamki walizek. Prawdopodobnie takie rzeczy dzieją się bez przerwy. Trzeba pojechać na lotnisko, gdzie bez wątpienia mają rejestry, listy pasażerów, i wszystko im wyjaśnić. Sprawdził w portfelu, czy nadal ma karty kredytowe, i przekonał się, że tak. Dobrze. A teraz sprawdźmy, czy reklama mówi prawdę. Akceptowane na całym świecie.

Był tak pewien siebie, że postanowił zostać w hotelu jeszcze jeden dzień. W końcu, pomyślał, zapłaciłem. A może Debbie wróci. Zrzucił ręcznik na ramię i zszedł na dół.

Przy basenie siedzieli stali bywalcy. Millie i Jean, starsze panie z Miami. Nowożeńcy, którzy zajmowali się głównie sobą. Autostopowicz, który zjawił się tu przejazdem, a okazał się tak zabawny, że nikt nie miał serca donieść o nim kierownictwu hotelu. Charles skinął im głową i zanim usiadł, zamówił w barze margaritę.

Wokół słychać było rozmowy.

- Byliście już w Dżazbanie? - spytała Jean parę emerytów, którzy właśnie zjawili się przy basenie. - Bo my wczoraj, z hotelową wycieczką. Rynek jest wprost bajeczny. Kupiłam pierścioneek, widzicie? - I błysnęła srebrem i kamieniami.

- Słyszałem, że niezłe są te ruiny w Dżazbanie - powiedział emeryt.

- Och, Haroldzie... - odezwała się jego żona. - Harold by wszedł na każdą wieżę w tym kraju.

- Nie, słuchajcie, ruiny trzeba oglądać w Zabli - włączył się autostopowicz. - Ale autobusy tam nie dojeżdżają, trzeba wynająć samochód. Na środku pustyni, nieskażone, nietknięte. Jak się samochód zepsuje, to już jesteś trup, tamtędy nikt nie jeździ.

Żona Harolda zadrżała pomimo upału.

- Ja chcę sobie tylko coś kupić przed wyjazdem. Słyszałam, że w Karnatl są wyjątkowo tanie wyroby ze skóry.

- My w Karnatl widziałyśmy tylko tubylców, którzy nam chcieli wcisnąć karty do gry - powiedziała Jean. Spojrzała na Millie. - Pamiętasz? Nie wiem, dlaczego uznali, że Amerykanie zainteresują się ich kartami. Nawet nie przypominały naszych.

Charles popijał margaritę, przysłuchując się przepływającym wokół niego egzotycznym nazwom. A gdyby im powiedział, że te słowa nic dla niego nie znaczą, kompletnie nic? Ale za bardzo się wstydził. Trzeba jednak dbać o pozory - pozory, że się bywało tu i tam, że się z niejednego pieca chleb jadło. Zresztą wkrótce wszystkiego się dowie.

Dzień upływał. Charles wypił margaritę, potem drugą. Kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić, wydało mu się najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem, że poszedł za nimi i zamówił stek, średnio wysmażony. Zauważył, że kończy mu się gotówka - rano będzie musiał zrealizować kolejny czek na okaziciela.

Ale rano, kiedy się obudził, od razu przytomny, natychmiast zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Sięgnął na nocną szafkę po portfel - palce trochę mu drżały. Została mu tylko piątka z bladym wizerunkiem jakiegoś krzaka. A więc tak, pomyślał nieco roztrzęsiony. Może ktoś dziś pojedzie na lotnisko. Być może. Chłopaki z biura mi nie uwierzą.

Spakował swoje walizki, a torbę Debbie zostawił. Na wypadek, gdyby wróciła. Na dole, zanim się opamiętał, automatycznie skierował się do kawiarni. Nagle poczuł, że głód bardzo mu dokucza.

- Przepraszam - zwrócił się do recepcjonisty. - Ile... czy wie pan, ile kosztuje taksówka na lotnisko?

- Nie mówi angielski - odparł mężczyzna. Był drobny i smagły, jak większość tubylców. Zęby miał zabarwione na czerwono.

- Nie mówi... - powtórzył zde gustowany Charles. - Dlaczego, na Boga, zatrudniają kogoś, kto nie zna angielskiego? Ile? - powtórzył powoli. - Taks. Lotnisko.

Uświadomił sobie, że mówi głośniej; najwyraźniej Debbie miała rację. Recepcjonista wzruszył ramionami. Obok stanął inny mężczyzna. Charles odwrócił się do niego z ulgą.

- Ile kosztuje taksówka na lotnisko?

- A, taksówka - powiedział tamten, jakby sprawa nie była zbyt ważna. - Niezbyt wiele, nie. Osiem, dziewięć. Może piętnaście.

- Piętnaście? - powtórzył Charles. Usiłował sobie przypomnieć lotnisko i jak się tu dostał. - Nie pięć? - Pokazał pięć palców.

Drugi mężczyzna roześmiał się.

- O, nie, sor. Piętnaście. Dwadzieścia. - Wzruszył ramionami.

Charles rozejrzał się zdesperowany. Wycieczki hotelowe, odczytał na tabliczce nad recepcją. Ruiny. Gratis.

- Ruiny - powiedział, wskazując na tabliczkę i zastanawiając się, czy któryś z tych mężczyzn umie czytać. - Są blisko lotniska?

Pojedzie tam, może złapie okazję...

- Blisko? - powiedział drugi mężczyzna. Znowu wzruszył ramionami. - Może. Tak, chyba tak.

- Jak blisko?

- Blisko. Tak. Dość blisko.

Charles wziął walizki i poszedł za szeregiem turystów na przystanek autobusowy. Widzisz, pomyślał. Nie ma się czym przejmować, w dodatku podrzucą cię na lotnisko za darmo. Swoją drogą ci taksówkarze to złodzieje.

Na schodach autobusu nastąpiła chwila niezręcznego manewrowania walizkami.

- Jadę na lotnisko - zwrócił się Charles do kierowcy. Czuł potrzebę złożenia wyjaśnień.

- Oczywiście, sor - powiedział kierowca i wzruszył ramionami, jakby dawał do zrozumienia, że amerykańskie walizki to nie jego zmartwienie. Dodał jeszcze jakieś słowo, którego Charles nie rozumiał. Pewnie w swoim języku.

Autobus ruszył nową dwupasmową jezdnią. Wkrótce zostawili za sobą hotele, minęli stadko zrujnowanych chat i ruszyli na pustynię. Klimatyzacja szumiała głośno. Nad piaskiem przepływały fale upału.

Po niespełna godzinie autobus się zatrzymał.

- Mamy godzinę - powiedział kierowca z kiepskim akcentem. Otworzył drzwi. - To świątynie Marmaz. Bardzo stare. Godzina.

Turyści wysiedli. Paru włączyło kamery i aparaty.

Z powodu walizek Charles wysiadł ostatni. Zmrużył oczy w ostrym słońcu. Świątynia była solidnym masywem białego marmuru na piasku. Zaciekawiony, wbrew samemu sobie przeszedł przez parking, wymijając tubylca, który usiłował mu coś pokazać.

- Czyste srebro - wołał za nim drobny człowieczek. - Specjalna cena, tylko dla ciebie!

Przed świątynią znajdował się basen ze spękanego marmuru, obecnie wyschnięty. Kim byli ci ludzie, którzy zanieśli wodę w głąb pustyni, którzy uwięzili księżyc w jasnym marmurze? No, a co wiedział o innych zabytkach, które zaliczył, o Grekach, którzy zbudowali Partenon, Majach, którzy wznieśli piramidy? Poszedł za szeregiem turystów do świątyni; chłód spłynął na niego jak błogosławieństwo.

Szedł od komnaty do komnaty, zachwycony, niemal nie czując ciężaru walizek. Widział kruszące się mozaiki, czerwone, niebieskie i zielone, strzępy gobelinów, kopuły, fontanny, wieże, białą salę jadalną, w której mogło się pomieścić niemal stu gości. W jednym małym pomieszczeniu tubylec opowiadał tuzinowi Amerykanów o marmurowej rzeźbie.

- Ten to bóg słońca - mówił tubylec. - A w pomieszczeniu obok jest bogini księżycy. Księżyc, tak? Zobaczymy ją potem. Raz na rok, pod koniec roku, te dwa posągi - posągi, he? - wychodzą na zewnątrz. Kapłani je wynoszą. Biorą ślub. Jej dziecko to nowy rok.

- Ale głupoty - odezwała się cicho kobieta stojąca obok Charlesa. Trzymała w ręku przewodnik. - To czwarty król. Zbudował tę świątynię. Bóg słońca! - Roześmiała się urągliwie.

- Czy... czy mogę rzucić okiem na tę książkę? - spytał Charles. Okładka wygięła się przekornie, niemal ukazując nazwę kraju.

Kobieta zerknęła na zegarek.

- Muszę lecieć - powiedziała. - Autobus za minutę odjedzie, a muszę znaleźć męża. Przepraszam.

Kiedy wyszedł ze świątyni, autobus już odjechał. Ochłodziło się, ale od piasku pustyni nadal bił żar. Charles był bardzo głodny, omal nie kupił sobie napoju i kanapki na stoisku przy parkingu.

- Karty? - odezwał się ktoś.

Charles odwrócił się. Mały tubylec powiedział coś, co brzmiało jak „Tiraz”. To samo słowo rano usłyszał od kierowcy autobusu. A potem: - Karty?

- Co? - rzucił niecierpliwie Charles, szukając taksówki.

- Starożytna talia - powiedział tubylec. - Bardzo święta. - Wyjął z haftowanej sakiewki talię kart i rozłożył przed Charlesem. Kolory były rażąco jaskrawe. - Suvenir - wyjaśnił tubylec. Wyszczrzył poplamione czerwienią zęby. - Suvenir z podróży.

- Nie, dziękuję - rzucił Charles. Wyglądało na to, że na całym parkingu mali tubylcy usiłowali wcisnąć turystom pierścionki, fajki, bluzki i, z jakiegoś powodu, talie kart do gry. - Taksówka? - spytał. - Jest tu jakaś taksówka?

Tubylec wzruszył ramionami i zajął się następnym turystą.

Zrobiło się późno. Charles podszedł do najbliższego autobusu.

Kierowca opierał się o pojazd, paląc małego papierosa zawiniętego w brązowy liść.

- Gdzie mogę znaleźć taksówkę? - spytał.

- Nie ma taksówek.

- Nie ma... dlaczego? - Niesłychany kraj. Charles nie mógł się już doczekać, kiedy się z niego wydostanie, kiedy znajdzie się w samolocie, zmierzając z margaritą w ręce do starych, dobrych Stanów. Najgorsze wakacje w jego życiu. - Czy mogę zadzwonić? Chciałbym pojechać na lotnisko.

Kobieta wsiadająca do autobusu usłyszała go i zatrzymała się.

- Lotnisko? Lotnisko jest pięćdziesiąt mil stąd. Co najmniej. Żaden taksówkarz nie zawiezie pana tak daleko.

- Pięćdziesiąt mil? A mnie mówili... w hotelu powiedziano mi, że to dość blisko. - Na chwilę opuściła go pewność siebie. Co teraz zrobię, pomyślał. Osunął się na walizki.

- Niech pan posłucha. - Kobieta zwróciła się do kierowcy. - Mamy miejsce. Możemy go zabrać do miasta? Nasz autobus jest chyba ostatni.

Kierowca wzruszył ramionami.

- Dla tiraz, oczywiście. Wszystko jest możliwe.

Gdyby Charles nie doznał takiej ulgi, pewnie by się zirytował. Co ma znaczyć to „tiraz”? Idiota? Mężczyzna z dwiema walizkami? Wsiadł za kobietą do autobusu.

- Skąd panu przyszło do głowy, że stąd jest blisko na lotnisko? - odezwała się kobieta. Charles usiadł po drugiej stronie przejścia. - To środek pustyni. Tu nic nie ma. Nikt by tu nie przyjeżdżał, gdyby nie ruiny.

- Tak mi powiedzieli w hotelu - wyjaśnił.

Nie miał ochoty o tym rozmawiać. Nie był już bywalcem, człowiekiem zabawiającym znajomych znad basenu historiami o

Meksyku, Grecji, Hawajach. Musiał się przyznać, musiał wrócić do hotelu i opowiedzieć komuś o wszystkim. Może wezwać policję, żeby znaleźć Debbie. Zmarnowany dzień, a on tylko zatoczył koło i wrócił do punktu wyjścia. Był zmęczony i bardzo głodny.

Ale autobus nie zatrzymał się przed jasno oświetlonym rzędem hoteli. Charles wyteńczył wzrok, by zobaczyć coś w mroku.

- Wydawało mi się... - zwrócił się do kobiety, niechętnie myśląc, że znowu robi z siebie idiotę. - Wydawało mi się, że jedziemy do miasta.

- To jest... - zaczęła kobieta. Potem ze zrozumieniem pokiwała głową. - Panu chodziło o nowe miasto, dla turystów. To jakieś dziesięć mil stąd. Każda taksówka pana stąd zawiezie.

Charles znowu wysiadł ostatni. Tym razem zwolnił nie tyle z powodu walizek, ile ze względu na nową myśl. Niektórzy zamieszkują w tych samych miastach co tubylcy. Słyszał o tym, choć myślał, że robią to tylko młodzi, studenci, włóczędzy i autostopowicze, tacy jak ten z hotelu. Ta kobieta była niemłoda i bardzo miła. Szkoda, że zapomniał jej podziękować.

Pierwszy kierowca, któremu Charles pokazał piąta i poprosił o zabranie do nowego miasta, roześmiał się. Czeki podrózne też nie zrobiły na nim wrażenia. Drugi i trzeci od razu go spławili. W mieście cuchnęło olejem silnikowym i zepsutymi rybami. Robiło się późno, nawet dość chłodno, i Charles zaczął się niepokoić, że chodzi tak nocą po dworze. Te dwie walizki to z pewnością łakomy kąsek dla jakiegoś złodzieja. Dokąd iść? Co robić?

Tak długo tłumiona panika w końcu wyrwała się spod kontroli. Rzucił się biegiem. Wpadł w zawiły labirynt miasta, nie dbając, dokąd zmierza, byle być w ruchu. Od budynków o zamkniętych okiennicach odbijało się echo jego kroków. Spod nóg uskoczył jakiś kot, jego oczy zalśniły złotem.

Po jakimś czasie Charles zaczął zwalniać.

- Tiraz! - dobiegł go szept z opuszczonego budynku. Serce mu załomotało. Nie obejrzał się. Przed sobą ujrzął oświetloną wystawę, sklepik pełen drobiazgów. Drzwi były otwarte. Lombard.

Poczuł ulgę, wszedł. Zrobił sobie miejsce wśród starych gazet, zardzewiałych form do pieczenia i dziecięcych koralików. Mężczyzna za kontuarem przyglądał mu się, ale nie zrobił żadnej uwagi. Charles wyjął wszystko z walizek, wybrał rzeczy potrzebne, ponownie je spakował, a drugą walizkę wręczył mężczyźnie. Ten podszedł do małego biurka, otworzył szufladę i wyjął metalową kasetkę. Odliczył pewną sumę i podał. Charles przyjął ją bez słów, nie zadając sobie nawet trudu, żeby przeliczyć pieniądze.

Kupił sobie za nie posiłek o smaku trocin i oleju sezamowego oraz zapadnięte łóżko w starym hoteliku. Wentylator pod sufitem obracał się przez całą noc, bo Charles nie potrafił odkryć, jak się go wyłącza. Z kąta przyglądał mu się niewzruszony karaluch.

Za dnia miasto wyglądało inaczej. Pod oknami hotelu przechodziły kobiety w szalach i ze srebrnymi bransoletami i mężczyźni w strojach modnych pół wieku temu. Świeciło słońce. Charles poczuł się podniesiony na duchu. Dziś dotrze na lotnisko.

Wędrował ulicami niemal zawiadacko, nie zwracając uwagi na ból ramion. Broda go swędziała, bo wczoraj, w chwili paniki, dorzucił do zastawionych rzeczy maszynkę elektryczną. Wzruszył ramionami. Nadal miał rzeczy do sprzedania. Dziś znajdzie lepszy lombard.

Mijał zrujnowane domy i nędzne targi, żebraków i dzieci, garaże i mroczne knajpki śmierdzące smażoną rybą.

- Przepraszam - zwrócił się do mężczyzny opartego o zaprzężony w konia wóz. - Nie wie pan, gdzie znaleźć lombard?

Mężczyzna i koń podnieśli głowy.

- Jechać, tak? - spytał entuzjastycznie woźnica. - Sławne pomniki.

Bardzo tanio.

- Nie. Lombard. Jasne?

Woźnica wzruszył ramionami, pociągnął konia za grzywę.

- Nie mówi angielski - powiedział w końcu.

Za plecami Charlesa stanął inny.

- Lombard?

Charles odwrócił się szybko, z ulgą.

- Tak - powiedział. - Czy nie wie pan...

- Dwie przecznice dalej. Skręcić w lewo, przejść pięć przecznic.

Naprzeciwko szpitala.

- Co to za ulica?

- Ulica? - powtórzył mężczyzna, marszcząc brwi. - Dwie przecznice i w lewo.

- Jak się nazywa. Jak się nazywa ulica?

Ku zaskoczeniu Charlesa mężczyzna wybuchnął śmiechem. Woźnica także się roześmiał, choć przecież nie mógł rozumieć, o czym mowa.

- Jak się nazywa? Wy, turyści, nazywacie ulice, jakby były dziećmi, tak? - Znowu się roześmiał, otarł oczy i zatrajkotał coś w niezrozumiałym języku do woźnicy.

- Dziękuję - powiedział Charles.

Minął dwie przecznice, skręcił w lewo i przeszedł jeszcze pięć przecznic. Tam, gdzie skierował go mężczyzna, nie było żadnego szpitala ani lombardu. Jakiś człowiek, ledwie rozumiejący po angielsku, opowiadał coś o wielkim pożarze, ale Charles nie potrafił się dowiedzieć, czy miał on miejsce w zeszłym tygodniu, czy kilka lat temu.

Chciał wrócić do mężczyzny, który go tu przysłał, ale po paru minutach beznadziejnie się zgubił. Ulice stały się podlejsze, raz ze sterty gazet wyłonił się szczur. Ogień strawił tę część miasta, budynki

stały osmalone i zniszczone wodą, wystawione na spojrzenia przechodniów jak muzealne eksponaty. Dwoje brudnych dzieci rzuciło się z krzykiem w stronę Charlesa.

- Daj pieniądze, sor! Pieniądze na jedzenie!

Skręcił w inną ulicę, żeby zejść im z oczu.

Przed sobą zobaczył trzech młodzieńców w zatłuszczonych ubraniach. Jeden coś do niego syknął. Słowa strzeliły jak piorun. Drugi miał łańcuch, który przesypywał z dłoni na dłoń.

- Nie mówię... - zaczął Charles, ale było za późno. Już go dopadli.

Jeden wydarł mu walizkę, krzycząc:

- El amak! El amak!

Drugi powalił go ciosem w żołądek, który wydusił z niego powietrze. Trzeci przeszukał mu kieszenie, zabrał portfel i chudy plik czeków podróżnych. Kiedy Charles niemrawo usiłował się podnieść, drugi znowu go przewrócił kolejnym ciosem w brzuch. Pierwszy coś wrzasnął i uciekli. Charles leżał tam, gdzie go zostawili, z trudem łapiąc powietrze.

Minęło go dwoje brudnych dzieci i kobieta z koszem ubrań na głowie. Po paru minutach przetoczył się na klęczki i usiadł, oparty o rdzewiejący samochód stojący na klockach zamiast kół. W odrętwieniu zauważył, że spodnie ma rozdarte i poplamione olejem, a walizka wraz z resztą ubrań znikła.

Mógł iść na policję, iść i wyjaśnić, że go okradziono. Wiedział, jak się nazywa walizka, bo młody złodziej krzyknął to słowo. Amak. El amak. I nagle pojął coś, co pozbawiło go tchu równie skutecznie, jak ten cios w brzuch. Każde angielskie słowo, każde znane mu słowo, miało swój odpowiednik w tym dziwnym, obcym języku. Wszystko, o czymkolwiek by pomyślał - ręka, miłość, stół, gorący - trafiało do tych tubylców poprzez inne słowa, słowa nieangielskie. Debbie o tym wiedziała i dlatego nauka języków tak dobrze jej szła. Jemu nie.

On spodziewał się, że wszyscy napotkani przestaną się wreszcie wygłupiać i zaczną mówić jak normalni ludzie.

Wstał chwiejnie, oddychając płytko, żeby brzuch tak nie bolał. Po chwili znowu ruszył przed siebie, jeszcze głębiej w miejski labirynt. W końcu dotarł do małego parku i usiadł na ławce, żeby odpocząć.

Tubylec znalazł go niemal natychmiast.

- Karty? - zagadnął. - Patrz.

Otworzył haftowaną sakiewkę.

Charles westchnął. Był zbyt zmęczony, żeby odejść.

- Nie chcę kart - powiedział. - Nie mam pieniędzy.

- Oczywiście, że nie - powiedział tubylec. - Spójrz. Piękne, nie?

Rozłożył na trawie jaskrawe karty. Charles ujrzał baseballistę, wrózkę, studenta, jakieś wzory, których nie znał.

- Patrz - powtórzył tubylec i odwrócił kolejną kartę. - Turysta.

Na widok wizerunku mężczyzny z dwiema walizkami Charles musiał się roześmiać. Turyści odwiedzają tych ludzi od tak dawna, że stali się dla nich archetypem, elementem rzeczywistości, jak królowie i dzokery. Spojrzał uważniej. Te walizki wyglądały znajomo. A turysta... Cofnął się, jak rażony prądem. To był on.

Szybko wstał i zaczął uciekać, choć brzuch nadal go bolał. Ale tubylec go nie gonił.

Potem na każdym rogu ulicy widział sprzedawców kart. Wołali go nawet wtedy, kiedy przechodził na drugą stronę, byle dalej od nich.

- Tiraz, tiraz! - krzyczeli. Już wiedział, co to znaczy. Turysta.

Do zachodu słońca potężnie zgłodniał. Ominął żebraczkę, siedzącą w kucki na ulicy, i zbyt późno dostrzegł czekającego na rogu sprzedawcę kart. Sprzedawca coś mu podał, coś w rodzaju naleśnika, a Charles przyjął, zbyt głodny, by odmówić.

Naleśnik był z mięsem, bardzo dobry. Jakby na dany sygnał inni mijani sprzedawcy kart zaczęli mu dawać różne rzeczy - bukłak z

wodą, kawałek ryby w gazecie. Jeden wcisnął mu pieniądze, o wiele więcej, niż mogłaby kosztować talia kart. Robiło się ciemno. Za te pieniądze załatwił sobie nocleg.

Następnego ranka na rogu ulicy czekał na niego sprzedawca kart.

- No dobrze - odezwał się Charles. Przestał już być tak wojowniczy. - Poddaję się. Co tu się dzieje, do diabła?

- Patrz - powiedział sprzedawca kart. Wyjął karty z haftowanej sakiewki. - To tutaj.

Przykucnął na chodniku, nie zwracając uwagi na brud, przechodniów, spaliny.

Ulica, zauważył kucający przy nim Charles, była wybrukowana kapslami. Sprzedawca rozłożył przed nim karty.

- Patrz - powiedział. - Zostało przepowiedziane. Te karty to nasza wyrocznia, nasza gazeta, nasza rozrywka. Wszystko zależy od tego, jak je przeczytasz. - Charles zastanawiał się, skąd ten człowiek tak dobrze zna angielski, ale nie chciał przerywać. - Widzisz - powiedział mężczyzna, odwracając kartę. - Jesteś tutaj. Turysta. Zostało przepowiedziane, że przyjedziesz do miasta.

- A co potem? - spytał Charles. - Jak wrócę?

- Musimy spytać kart - oznajmił mężczyzna. Powoli odwrócił następną. Ruiny Marmaz. - Może poczekamy na następne wydanie.

- Następne... To znaczy, że karty nie są zawsze takie same?

- Nie. Czy wasze gazety są zawsze takie same?

- Ale... kto je drukuje?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie wiemy. - Odwrócił następną kartę. Młoda jasnowłosa kobieta.

- Debbie! - zawołał zaskoczony Charles.

- Tak. Kobieta, z którą przyjechałeś. Musieliśmy ją namówić do odejścia, żebyś wypełnił proroctwo i przybył do miasta. A potem

zabraliśmy twoje papierki, te, które są takie ważne dla tiraz. To głupi sposób podróżowania, jeśli wolno mi tak powiedzieć. W tym mieście jedynym ważnym papierem są karty, a jeśli traci się karty, można bez trudu zyskać następne.

- To wy... zabraliście mój paszport? - spytał Charles. Nie rozgniewał się tak, jak by chciał. - Mój paszport i bilety? Gdzie one są?

- Ach... - powiedział mężczyzna. - O to musimy spytać kart.

Wyjął z sakiewki kolejną talię i podał ją Charlesowi. Zanim Charles zdołał odpowiedzieć, mężczyzna wstał i odszedł.

W południe Charles znowu trafił do małego parku. Usiadł i rozłożył karty, ciekawe, czy w słowach sprzedawcy coś było. W talii nie zobaczył Debbie. Czy to wcześniejsze, czy późniejsze wydanie?

Kiedy rozmyślał, podeszła do niego para Amerykanów.

- Znowu te karty - powiedziała kobieta. - Nie mogę się im nadziwić, takie są osobliwe. Ile chcesz za swoje? - spytała Charlesa. - Sprzedawca, który stoi tam dalej, powiedział, że odda za dziesięć.

- Osiem - odparł Charles bez wahania, zbierając karty.

Kobieta spojrzała na męża.

- Dobrze - powiedział. Wyjął z portfela piątkę i trzy jedynki i podał je Charlesowi.

- Dziękuję, sor - powiedział Charles.

Mężczyzna stęknął.

- A wydawało mi się, że bardzo dobrze mówi po angielsku - odezwała się kobieta, odchodząc. - Tobie nie?

Tego dnia sprzedawca kart dał mu jeszcze trzy talie i haftowaną sakiewkę. Do wieczora Charles sprzedał dwie talie. Parę wieczorów później stanął wśród sprzedawców kart, czekających w małym parku na nowe wydanie. Jakiś dzwon wybił północ. Z mroku wyszła kobieta o pięknych, długich i ciemnych włosach, w haftowanym

szalu, i w milczeniu zaczęła wyjmować z torby talie kart. W świetle księżycy błysnęły jej srebrne bransolety. Dała Charlesowi dwanaście talii. Mężczyźni wokół już rozdierali opakowania i rozkładali karty, odczytując przeszłość, teraźniejszość lub przyszłość.



Mniej więcej trzy lata później Charles znudził się sprzedawaniem kart. Zęby zrobiły mu się czerwone od żucia orzechów, które żuli wszyscy, i nauczył się palić papierosy owinięte w liście. Inni ciągle mu mówili, że ktoś tak dobrze mówiący po angielsku powinien być przewodnikiem, i w końcu uznał, że mają rację. Teraz oprowadza turystów po ruinach Marmaz i opowiada o bogu słońca i bogini księżycy albo cokolwiek, co tego dnia akurat przyjdzie mu do głowy. Do tej pory nie wie, w jakim kraju mieszka.

Przełożyła Maciejka Mazan

George Alec Effinger

JEDEN

George Alec Effinger (1947-2002) twierdzi, że głównym źródłem inspiracji jego twórczości jest teatr absurdu, a swoje wielowarstwowe pisarstwo nazywa „surrealistyczną fantasy”. W latach siedemdziesiątych dał się poznać jako autor łatwo rozpoznawalnych, intrygujących opowiadań publikowanych w czasopismach i zbiorach. Jego pierwsza powieść „What Entropy Means to Me” (1972) to w gruncie rzeczy cztery powiązane ze sobą opowiadania, które co prawda zaczynają się jak tradycyjna fantasy, stopniowo jednak przeistaczają w subtelny analizę stosunków rodzinnych, politycznych zmaganiań oraz aktu artystycznej kreacji. Późniejsze utwory charakteryzuje podobna wielowątkowość oraz wielowarstwowa narracja. Centralną metaforą wielu opowiadań (np. „The Pinch-Hitters”, „Naked to the Invisible Eye”, „From Downtown at the Buzzer” i „Breakaway”) jest sport. Effinger analizował też rozmaite aspekty podóży w czasie (dylogia „The Nick of Time”, 1985 i „The Bird of Time”, 1986), a także kpił z heroic fantasy (cykl „Maureen Birnbaum, Barbarian Swordperson”, 1993, „The Zork Chronicles”, 1990. Jego najważniejszym dokonaniem jest trylogia z Marîdem Audranem w roli głównej („When Gravity Fails”, 1987, „A Fire in the Sun”, 1989 i „The Exile Kiss”, 1991 plus tom opowiadań „Budayeen Nights”, 2003); autor zastanawia się, w jaki sposób cyberpunkowa technologia może zostać przyjęta w tradycyjnym muzułmańskim społeczeństwie. Liczne

krótkie formy Effingera zostały zebrane w „Mixed Feelings”, 1974, „Irrational Numbers”, 1976, „Dirty Tricks”, 1978, „Idle Pleasures”, 1983, i „The Old Funny Stuff”, 1989. Podsumowaniem jego twórczości nowelistycznej jest zestaw 22 opowiadań „George Alec Effinger Live! From Planet Earth” (2005). Effinger jest także autorem czterech beletryzacji serialu TV „Planet of the Apes”, głównonurtowej powieści „Felicia” (1976) i sensacyjnej „Shadow Money” (1978) oraz współautorem „The Red Tape War” (1991, z Jackiem L. Chalkerem i Mike’em Resnickiem) i „Nightmare Blue” (1975, z Gardnerem Dozoisem).

Był Rok 30, Dzień pierwszy, rocznica opuszczenia Ziemi przez doktora Lesliego Gillette’a. Stojąc samotnie przy oknie, wpatrywał się w pusty obszar przestrzeni zerowej.

- O ósmej temperatura w pustce międzygwiazdnej jest ujemna i wynosi dwieście siedemdziesiąt trzy stopnie Celsjusza - rzekł. - Zimno. Nawet bez wiatru i jego współczynnika chłodzenia. Cholernie zimno.

Tablica poinformowała go tego ranka, że statek i jego samotny pasażer - jeszcze nim pójdzie spać - dotrą w sąsiedztwo układu planetarnego. Gillette nie przypominał sobie nazwy gwiazdy - był to tylko numer katalogowy. Już dawno temu stracił wszelkie zainteresowanie gwiazdami. Początkowo, przez kilka pierwszych lat, gdy jeszcze miał przy sobie Jessicę, z zapałem prosił tablicę, by wskazywała im położenie każdej widocznej na nocnym niebie Ziemi. Odczuwali pewną przyjemność w badaniu z bliska tych, które rozpoznawali jako fragmenty głównych gwiazdozbiorów. To już minęło. Po odwiedzeniu kilku tysięcy gwiazd nie byli już tak zainteresowani. Odkryli jeszcze więcej ciał planetarnych i

poszukiwania niemal ich znużyły. Niemal. Gillette'owie nadal mieli wtedy w sobie dosyć naukowej ciekawości, by podążać naprzód, coraz dalej od punktu startowego.

Teraz jednak nie było już pierwotnej inspiracji. Zamiast czekać przy oknie, aż elektroniczny nawigator wsunie statek z powrotem w normalną przestrzeń, Leslie Gillette odwrócił się i opuścił sterownię. Nie miał nastroju do poszukiwania planet nadających się do życia. Robiło się późno i mógł się tym zająć nazajutrz rano.

Nakarmił natomiast swego kota. Wybrał kod i wziął kocią kolację ze zsuwni kambuza.

- Masz tutaj - rzekł. - Jedz ze smakiem. Chcę sobie poczytać przed snem.

Kiedy szedł do swej kwatery, czuł łagodne pobrzękiwanie ścian i podłogi korytarza, co oznaczało, że statek wszedł w przestrzeń rzeczywistą. Pojazd nie potrzebował instrukcji od Gillette'a - bazując na wielkości i charakterystykach gwiazdy, wyliczył już bezpieczną i dogodną orbitę parkingową. Następnego ranka wszystkie planety - o ile w ogóle tu istnieją - będą na pewno nadal czekać na doktora Gillette'a, by je zbadał, zaklasyfikował, nazwał i porzucił.

Jeśli, oczywiście, nie znajdzie gdzieś życia.



Znalezienie życia było jednym z głównych celów podróży. Szybko stało się to również celem życiowym Gillette'ów. Wyruszyli jako pełni entuzjazmu badacze: doktor Leslie Gillette, trzydziestopięcioletni, już wpływowy pisarz i wykładowca egzobiologii teoretycznej, i jego żona, Jessica Reid Gillette, dziekan wydziału biochemii wielkiego uniwersytetu na Środkowym

Zachodzie. Byli małżeństwem od jedenastu lat, a decyzję wyruszenia w podróż podjęli po śmierci swego jedyne dziecko.

Teraz sunęli przez kosmos ku odległym rubieżom galaktyki. Dawno, dawno temu ziemskie Słońce zniknęło z pola widzenia. Egzobiologia, na temat której tam, w domu, obydwójce Gillette'owie rozmyślali, pisali i sprzecali się, pozostała dokładnie tym, czym była wtedy - zaledwie teorią. Zwiedzili tysiące układów planetarnych, tysiące planet - potencjalnych siedlisk życia, ale odkrycie jakiegokolwiek jego formy, choćby najbardziej prymitywnej, nadal mieli przed sobą. Urządzenia laboratoryjne na lądownikach odsyłały tę samą frustrującą odpowiedź: nie ma życia; martwa; sterylna. Z roku na rok galaktyka jawiła się Gillette'om jako rozległe i przerażające zbiorowisko nieczułych skał i płonącego gazu.

- Czy przypominasz sobie - spytała pewnego dnia Jessica - co mawiał staruszek Hayden?

Gillette uśmiechnął się.

- Uwielbiałem prowokować tego faceta do sprzeczek - odparł.

- Powiedział mi raz, że może i znajdziemy życie, ale na znalezienie życia inteligentnego mamy takie same szanse, jak na znalezienie w piekle śnieżnej kuli.

Gillette z przyjemnością przypomniał sobie tę dyskusję.

- A ty go nazwałaś ziemskim szowinistą. Ogromnie mi się to podobało. Wymyśliłaś na poczekaniu nową kategorię bigoterii. Myśleliśmy, że jest takim konserwatywnym, starym dziwakiem. Teraz wygląda na to, że nawet on był zbyt wielkim optymistą.

Jessica stała za krzesłem męża, czytając, co pisał.

- Jak sądzisz, co by powiedział Hayden, gdyby wiedział, że nie znaleźliśmy ani tyci tyci?

Gillette obrócił się i spojrzał na nią.

- Myślę, że nawet on byłby rozczarowany - rzekł. - A także

zdziwiony.

- Nie tego oczekiwałam - stwierdziła.

Absolutna nieobecność nawet najprostszych form życia była z początku irytująca, potem zagadkowa, w końcu złowieszcza. Wkrótce nawet Leslie Gillette, który zawsze usiłował oddzielać emocje od logicznego myślenia, musiał sobie uświadomić, że te empiryczne wnioski przeczą wszystkim matematycznym przepowiedniom, sformułowanym przez ludzi i maszyny. W sterowni wisiał oprawiony w ramki kawałek papieru welinowego, na którym widniał pięknie wypisany kursywą wzór:

$$N = R^* f_p n_e f_1 f_i f_c L$$

Formuła określała przybliżoną liczbę zaawansowanych cywilizacji technicznych, których człowiek mógł się spodziewać w swojej galaktyce. Wyprowadzono ją przed dziesięcioleciem. Zmiennym we wzorze nadano realistyczne wartości, zgodnie z wiedzą naukową tamtego czasu. N było wyznaczone przez siedem czynników: R^* - średnia szybkość formowania się gwiazd w galaktyce (nadano jej wartość dziesięć na rok); f_p - procent gwiazd posiadających planety (bliski stu); n_e - średnia liczba planet ze środowiskiem nadającym się do życia w każdym układzie planetarnym (nadano temu wartość jeden); f_1 - procent tych planet, na których życie się rzeczywiście rozwinęło (około stu); f_i - procent planet, na których rozwinęło się życie inteligentne (dziesięć); f_c - procent planet, na których rozwinęła się cywilizacja techniczna (dziesięć); L - czas życia cywilizacji technicznej (przyjęto dziesięć milionów lat).

Liczby te pozwoliły ocenić wielkość N - liczbę zaawansowanych cywilizacji w galaktyce Droga Mleczna - dziesięć do szóstej potęgi.

Milion. W pierwszych latach rozczarowań Gillette'owie cały czas mieli tę formułę w głowie. Ale przecież nie szukali zaawansowanej cywilizacji, szukali życia. Jakiegokolwiek życia. Jakies sześć lat po opuszczeniu Ziemi Leslie i Jessica wędrowali po suchej, piaszczystej powierzchni chłodnego świata, obracającego się wokół małego, chłodnego słońca.

- Nie widzę żadnej zaawansowanej cywilizacji - rzekła Jessica, schylając się, by ciężką rękawicą skafandra ciśnieniowego trącić pył.

- Żadnego - przyznał mąż. - W polu widzenia nie ma ani jednego kiosku z hamburgerami.

Nie lubił zbyt często spoglądać na niebo, które miało kolor czerwonawofioletowy. Obserwował Jessicę przesuającą palcami po pozbawionej życia glebie.

- Wiesz - powiedziała - zgodnie z tym wzorem w każdym systemie powinna znajdować się przynajmniej jedna planeta nadająca się do życia.

Gillette wzruszył ramionami.

- W wielu układach się znajduje - odpowiedział. - Ale również zgodnie z nim na każdej planecie, na której może istnieć życie, to życie się w końcu pojawi. Możliwe, że gdy wybierali wartości dla swoich zmiennych, podchodzili do sprawy ze zbyt dużym entuzjazmem.

Jessica zaśmiała się.

- Możliwe. - Wykopała w powierzchni płytki dołek. - Wciąż mam nadzieję, że natrafie na jakieś mrówki, robaki czy cokolwiek.

- Nie tutaj, kochanie - rzekł Gillette. - Chodź, wracajmy.

Wstała z westchnieniem. Powrócili do lądownika.

- Co za pustkowia - stwierdziła, gdy przygotowywali się do startu. - Dałam swej wyobraźni całkowitą wolność. Jestem przygotowana na zobaczenie tam na dole czegokolwiek, jakichś warzyw lub czegoś jeszcze dziwniejszego. Rozumiesz, tańczące kryształki czy myślące

chmury. Lecz zupełnie się nie spodziewałam takiej ilości niczego.

Lądownik wystrzelił przez cienką atmosferę ku orbitującemu statkowi-matce.

- Uczony powinien być przygotowany na takie rzeczy - rzekł smętnie Gillette. - Ale zgadzam się z tobą. Zdaje się, że doświadczenie niepokojąco zaprzecza wszelkim prognozom.

Jessica poluzowała pas bezpieczeństwa i wzięła głęboki oddech.

- Powiedziałyby, że to matematycznie nieprawdopodobne. Mam zamiar przyjrzeć się dzisiaj temu wzorowi i zobaczyć, która ze zmiennych wszystko psuje.

Gillette potrząsnął głową.

- Robiłem to wielokrotnie - rzekł. - Nie zaprowadzi cię to zbyt daleko. Wynik zawsze będzie bardzo różny od tego, cośmy znaleźli.

Na miriadach światów, które zwiedzili, nie spotkali nic, choćby czegoś tak prostego jak algi czy pierwotniaki, nie mówiąc już o życiu inteligentnym. Ich biochemiczne czujniki niczego nie wykryły, niczego, co by choć wskazywało w tym kierunku, jak na przykład jakieś złożone proteiny. Jedynie skały, kurz, puste wiatry i pozbawione życia kałuże.

Rankiem, dokładnie tak jak to przewidywał, planety znajdowały się wciąż na swoich miejscach. Pięć, krążących dokoła skromnej gwiazdy, typ G3, niezbyt różniącej się od ziemskiego Słońca.

- Gwieździe nadaję nazwę Hannibal - powiedział do komputera statku. - Zaczynając od najbliższej Hannibala, planety nazywam: Huck, Tom, Jim, Becky i Ciotka Polly. Będziemy kontynuować badania.

Instrumenty mogły dokonać niezbędnych pomiarów, lecz w sprawie istnienia życia Gillette nie uwierzyłby im na słowo. Zagadnienie było tak ważne, że czuł, iż musi sam dokonać ostatecznej oceny.

Ospowaty od kraterów, gorący, suchy i martwy Huck był żelazowoniklową kulą wielkości Marsa o barwie rdzawobrązowej. Tom był większy i ciemniejszy, lecz równie uszkodzony przez zderzenia i równie martwy. Jim był podobny do Ziemi; miał dość grubą atmosferę tlenu i azotu, której temperatura wahała się w zakresie od -30°C do $+50^{\circ}\text{C}$, a na powierzchni planety występowała w wielkich ilościach woda. Lecz nie było tam życia - ani na skalistym, zakurzonym lądzie, ani w wodzie z rozpuszczonymi solami mineralnymi. Nic, nawet cyjanobakterii. Z Jimem Gillette wiązał największą nadzieję, lecz zbadał również Becky i Ciotkę Polly. Były to mniej gęste gazowe giganty systemu, nie tak jednak wielkie jak Uran czy Neptun. Ani w ich gęstych jak zupa atmosferach, ani na magmowych powierzchniach ich satelitów nie istniało życie. Gillette nie zatroszczył się, by nazwać dwadzieścia trzy księżyce pięciu planet; postanowił zostawić to ludziom, którzy przyjdą po nim. Jeśli ktoś kiedyś tu przyjdzie.

Potem musiał pomyśleć o drugim celu wyprawy. Wokół Jima, najbardziej nadającej się do zamieszkania planety układu, umieścił orbitującą bramę transmisyjną. Teraz statek, idący jego śladem, mógł przebyć dziesiątki lat świetlnych natychmiast, korzystając z bramy, którą ustawił na poprzednim postoju. Nie mógł sobie nawet przypomnieć, jak tamten system wyglądał i jak go nazwał. Po tylu latach wszystkie mu się mieszały, zwłaszcza że wyglądały niemal identycznie i były tak kompletnie pozbawione życia.

Usiadł przy ekranie i patrzył w dół, na Jima, na brązowawe, piaszczyste kontynenty, niebieskie morza, białe obłoki i polarne czapki. Kot, szary maine coon, jego jedyne towarzysze, wdrapał mu się na kolana. Benny był prawnukiem Methyla i Ethyl, dwóch kociąt, które zabrała ze sobą Jessica. Gillette podrapał zwierzę za uszami i pod brodą.

- Dlaczego tam w dole nie ma żadnych kotów? - spytał.

W odpowiedzi Benny jedynie długo mruczał. Po chwili Gillette'a zmęczyło to patrzenie na milczący świat. Przeprowadził badania, ustawił bramę i teraz pozostało mu jedynie wysłać na Ziemię informację i ruszyć dalej. Przekazał instrukcje komputerowi statku i za pół godziny gwiazdy znikły, a Gillette znowu podróżował przez ciemność zeroprzestrzeni.



Pamiętał, jak jakieś trzydzieści lat temu podnieceni byli wyprawą. On i Jessica złożyli swoje podania i zostali wybrani z przyczyn, których Gillette do końca nie rozumiał.

- Mój ojciec uważa, że każdy, kto chce pędzić przez galaktykę do końca swego życia, musi być odrobinę szalony - rzekła Jessica.

Gillette uśmiechnął się.

- Odrobinę nie zrównoważony, możliwe, ale nie szalony.

Leżeli w trawie za domem i patrzyli w nocne niebo, zastanawiając się, którą z tych jasnych diamentowych gwiazd wkrótce odwiedzą. Projekt postrzegali jako cudowne wakacje, odpoczynek po tragedii, okazję, by przeanalizować swe życie i swój związek, bez miliona wspomnień, które wiązały ich z przeszłością.

- Powiedziałam ojcu, że to dla nas wspaniała okazja - rzekła. - Powiedziałam, że z naukowego punktu widzenia nie mogliśmy się spodziewać bardziej ekscytującej szansy.

- Uwierzył?

- Spójrz, Leslie, spadająca gwiazda. Wypowiedz życzenie. Nie, nie sądzę, by mi uwierzył. Powiedział, że rada nadzorcza projektu jest na pewno tego zdania co on: jedyna przyczyna, dla której zostaliśmy

wybrani, to nasze szaleństwo czy też może nasze niezrównoważenie odpowiedniego typu.

Gillette połaskotał żonę w ucho długim źdźbłem trawy.

- Ponieważ niewykluczone, że resztę życia spędzimy na oglądaniu gwiazd i światów.

- Powiedziałam mu, że najwyżej pięć lat, Leslie. Pięć lat. Powiedziałam, że gdy tylko znajdziemy coś, co rozpoznamy jako żywą materię, możemy zawrócić do domu. I jeśli będziemy mieć odrobinę szczęścia, możemy to znaleźć na jednym z pierwszych przystanków. Możliwe, że będziemy nieobecni zaledwie kilka miesięcy lub rok.

- Miejmy nadzieję - rzekł Gillette.

Patrzyli na niebo, czując, jak ciśnie ich jakimś strasznym ciężarem, jak gdyby nieskończone odległości zamieniły się na masę i wagę. Gillette zamknął oczy.

- Kocham cię - szepnął.

- Ja też cię kocham, Leslie - powiedziała cicho. - Boisz się?

- Tak.

- To dobrze - rzekła. - Bałabym się z tobą jechać, gdybyś także nie był zaniepokojony. Lecz nie ma się czego bać. Będziemy ze sobą i to będzie fascynujące. Zabawniejsze, niżbyśmy mieli spędzić następne parę lat tu na miejscu, robiąc te same rzeczy, wykładając magistrantom i pijąc sherry z noblistami.

Gillette zaśmiał się.

- Mam tylko nadzieję, że gdy powrócimy, ktoś będzie pamiętał, kim jesteśmy. Już widzę sytuację za dwa lata - poleciliśmy, wróciliśmy, a tu nikt nawet nie pamięta, o co chodziło w tym projekcie.

Pożegnanie z ojcem Jessiki okazało się dość trudne. Pan Reid nadal nie wiedział, dlaczego chcą opuścić Ziemię.

- Wielu młodych ludzi poniosło taką samą stratę jak wy - powiedział. - Ale jakoś ciągną. Nie przekreślają swego życia.

- Nic nie przekreślamy - tłumaczyła Jessica. - Tato, chyba musiałbyś być biologiem, żeby to zrozumieć. Szansa odkrycia gdzieś istot żywych jest bardziej ekscytująca niż wszystko, co moglibyśmy robić tu na miejscu. I wkrótce wrócimy. To praca w terenie, największe wyzwanie. Obydwoje zawsze woleliśmy coś takiego od kariery akademickiej na jakimś uniwersytecie.

Reid wzruszył ramionami i ucałował córkę.

- Jeśli jesteście tacy pewni...

Było to wszystko, co miał do powiedzenia. Ucisnął Gillette'owi dłoń.

Jessica podniosła wzrok na potężny pojazd kosmiczny.

- Chyba tak - odpowiedziała.

Nie było więcej do dodania. Parę godzin później opuścili Ziemię. Wyglądając przez okno i obserwując ekrany, widzieli, jak kurczy się coraz bardziej.

Początkowo życie na statku wydawało im się dziwne, lecz szybko weszło w utarte tory. Musieli przyznać, że wprawdzie sam pomysł lotów międzygwiazdnych jest podniecający, to jednak ich praktyka jest nudniejsza, niż sobie wyobrażali. Dwa kociaki nie miały trudności z przystosowaniem się i Gillette'ów cieszyło ich towarzystwo. Gdy statek znalazł się milion kilometrów od Ziemi, przesunęli się w zeroprzestrzeń i po raz pierwszy byli naprawdę izolowani.

To napawało strachem. W zeroprzestrzeni nie można było w żaden sposób komunikować się z Ziemią. Statek stał się samoistnym, małym światem i w niebezpiecznych chwilach, gdy Gillette pozwalał swojej wyobraźni na zbyt wielką swobodę, milcząca pustka wokół wydawała mu się nowym rodzajem szaleństwa lub śmierci.

Obecność Jessiki uspokajała go, z ulgą jednak przyjął powrót do normalnej przestrzeni, w pobliże niezbadanego układu planetarnego.

Ich pierwszym obiektem była mała, przyćmiona gwiazda klasy M - najbardziej powszechny rodzaj w galaktyce - z dwiema tylko planetami i mnóstwem okrążającego ją asteroidalnego gruzu.

- Jak nazwiemy tę gwiazdę, kochanie? - spytała Jessica.

Obydwoje patrzyli przez okno z rodzicielską niemal czułością.

Gillette wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że najłatwiej pozostać przy systemie mitologicznym, jakiego używają w domu.

- To chyba dobry pomysł. Mamy jedną gwiazdę i dwie małe, krążące wokół niej planety.

- Czy przypadkiem Apollo nie miał... Nie, pomyliłem się. Myślałem...

Jessica odwróciła się od okna.

- Przypomina mi Odyna i jego dwa kruki.

- Miał dwa kruki?

- Owszem - odpowiedziała. - Myśl i Pamięć. Huginn i Muninn.

- Doskonale. Nazwiemy więc gwiazdę Odynem, a planety tak jak powiedziałaś. Cieszę się, że mam cię przy sobie. Jesteś w tym o wiele lepsza ode mnie.

Jessica zaśmiała się. Nie mogła się doczekać badania planet. To będzie pierwsze urozmaicenie ich monotonnej podróży. Ani Leslie, ani Jessica nie spodziewali się, że znajdą życie na tych dwóch opuszczonych światach, lecz z przyjemnością wykonali szczegółowe badania. Zafascynowani wędrowali po pęsnym, samotnym przestrzeniach Huginna i Muninna, wykonali testy i w końcu wrócili do swego orbitującego statku. To, co znaleźli, odesłali na Ziemię, ustawili pierwszą z bram transmisyjnych i niezbyt nawet rozczarowani, opuścili układ. Czuli, że skontaktowali się z rodzinnym

światem, choć ich wiadomość miała dotrzeć na Ziemię po długim czasie, a oni oddalali się zbyt szybko, by kiedykolwiek dostać odpowiedź. Wiedzieli jednak, że jeśli tylko zechcą, mogą zawsze zawrócić i skierować się z powrotem ku Ziemi.

Potrzeba wiedzy gnała ich jednak naprzód. Wtedy jeszcze samotność nie stała się nieznośna. Nie zrodził się jeszcze przerażający strach.

Bramy miały służyć ludziom, którzy ruszyli za Gillette'ami w niezasiedlone obszary galaktyki; można je było wykorzystać do podróży naprzód, lecz nie można było przez nie powracać. Bramy, niczym strusie jaja napełnione wodą i zostawione przez tubylców na afrykańskiej pustyni, sprawiały, że dla innych ta podróż stawała się bezpieczniejsza i wygodniejsza, że mogli dotrzeć jeszcze dalej.

Za każdym razem gdy Gillette'owie opuszczali jeden układ planetarny i poprzez zeroprzestrzeń udawali się do następnego, zostawiali kolejną otchłań czasu i przestrzeni między sobą a macierzystym światem.

- Czasami czuję się bardzo dziwnie - przyznał Gillette po ponad dwu latach podróży. - Czuję, jak gdyby kontakt, który mamy z Ziemią, był tylko złudzeniem, czymś, co wymyśliliśmy jedynie po to, by pozostać przy zdrowych zmysłach. Czuję, jak gdybyśmy składali znaczną część naszego życia w ofierze czemuś, co może nikomu się nigdy nie przyda.

Jessica słuchała posępnie. Miała te same odczucia, lecz nie chciała, by mąż o tym wiedział.

- Czasami wydaje mi się, że praca na uniwersyteckiej sali wykładowej jest czymś najbardziej godnym pożądaniam. Czasami przeklinam siebie, że nie dostrzegałem tego wcześniej. Lecz nie trwa to długo. Za każdym razem, gdy schodzimy na nowy świat, mam nadzieję. To tylko tygodnie w zeroprzestrzeni dają mi się we znaki.

Wyobcowanie jest wtedy takie wyraźne.

Gillette spojrział na nią ze smutkiem.

- A jakież to będzie miało znaczenie, jeśli nawet odkryjemy życie? - zapytał.

Milcząc, patrzyła na niego przez chwilę wstrząśnięta.

- Nie myślisz tak naprawdę - rzekła w końcu.

Gillette'owi, jak niejednokrotnie w przeszłości, w sukurs przyszła ciekawość naukowca.

- Nie - rzekł cicho. - Przeciwnie. To ma znaczenie. - Podniósł w górę jednego z kociaków; Ethyl urodziła trzy. - Niech tylko odkryję, że coś takiego czeka na jednej z tych wielu planet, a będzie to warte całego wysiłku.

Mijały miesiące. Gillette'owie odwiedzili gwiazdy i dalsze planety, zawsze z tym samym wynikiem. Po trzech latach wciąż pełną mocą oddalali się od Ziemi. Przeszedł rok czwarty i piąty. Ich nadzieje zaczęły maleć.

- Trochę mnie to trapi - rzekł Gillette, gdy siedzieli nad szarym oceanem na świecie, który nazwali Carraway. Była tam szeroka plaża czystego, białego piasku, ograniczona od lądu wysokimi wydhami. Fale łamały się bez końca i podchodziły im do stóp spienioną krawędzią. - Chodzi mi o to, że nigdy nie widzimy nikogo za sobą ani nic nie słyszymy. Wiem, że to niemożliwe, lecz miewałem taki zwariowany sen, że ktoś idzie za nami przez bramy, a potem skacze przed nami przez zeroprzestrzeń. Ten ktoś czekał na nas przy jakiejś gwiazdzie, do której jeszcze nie dotarliśmy. Jessica zbudowała z mokrego piasku płaski pagórek.

- Tu jest dokładnie tak, jak na Ziemi - rzekła. - Jeśli zapomni się o tym zielonkawym niebie. I jeśli nie myśli się, jak to możliwe, że na wydmach nie ma trawy, a na plaży - muszelek. Czemuż ktoś miałby podążać za nami w ten sposób?

Gillette leżał na plecach na czystym białym piasku i słuchał kojącego dźwięku fal.

- Nie wiem - rzekł. - Może na którejś z planet sprawdzonych przez nas przed laty istniała jakaś absurdalna forma życia. Może popełniliśmy błąd i coś przeoczyliśmy, albo na przykład źle odczytaliśmy wskazania mierników. A może narody Ziemi zniszczyły się w wojnie, zostałem jedynym żyjącym ludzkim samcem i samotne kobiety świata posłały za mną zwiad?

- Zwariowałeś, kochanie - rzekła Jessica. Nasypała trochę wilgotnego piasku na nogawki swego skafandra próżniowego.

- Może powrócił Chrystus i stwierdził, że bez nas czegoś tam brakuje. Kiedy jestem tutaj, za każdym razem, gdy wskakujemy do normalnej przestrzeni wokół gwiazdy, mam nadzieję, że napotkamy inny oczekujący nas statek. - Choć nigdy się to nie zdarzyło.

- Szkoda, że nie mam kijka - stwierdziła Jessica. Zgarnęła na kupę więcej mokrego piachu, patrzyła na nią przez kilka sekund, a potem podniosła wzrok na męża. - Czy w domu mogło się stać coś szczególnego? - spytała.

- Kto wie, co się tam już wydarzyło w ciągu tych pięciu lat? Pomyśl o wszystkim, co opuściliśmy, kochanie. Pomyśl o książkach i filmach. Pomyśl o odkryciach naukowych, o których w ogóle nie słyszeliśmy. Może nastąpił pokój na Bliskim Wschodzie, może odkryto rewolucyjne, nowe źródło energii, może w Białym Domu mieszka Murzynka. Może Cubsi zdobyli mistrzostwo? Któż to wie?

- Nie przesadzaj, kochanie - odpowiedziała.

Wstali, otrzepali piasek, który przyłgnał do skafandrów, i ruszyli do lądownika. Godzinę później, na pokładzie statku-matki, Gillette obserwował koty. Zupełnie je nie obchodził Bliski Wschód - być może miały rację.

- Powiem ci jedno - rzekł do żony. - Powiem ci, kto wie, co się

wydarzyło. Ludzie tam w domu wiedzą. Wiedzą wszystko o wszystkim. Jediną rzeczą, o której nie mają pojęcia, to to, co się z nami w tej chwili dzieje. I mam wrażenie, że łatwiej im żyć ze swoją ignorancją niż mnie z moją.

Kot, który miał wyrosnąć na matkę Benny'ego, zwinął się w miły kłębuszek i zasnął.

- Czujesz się odcięty - stwierdziła Jessica.

- Oczywiście - odparł Gillette. - Pamiętasz, co mówiłaś? Zanim się pobraliśmy i powiedziałem ci, że chciałbym tylko kontynuować swą pracę, a ty mi powiedziałaś, że jeden człowiek to żaden człowiek? Pamiętasz? Zawsze mówiłaś tego rodzaju rzeczy, tak że musiałem cię pytać, o co ci, do diabła, chodzi. I wtedy uśmiechałaś się i opowiadałaś historyjkę, którą wcześniej przygotowałaś. Chyba to lubiłaś. Tak więc powiedziałaś. „Jeden człowiek to żaden człowiek”, a ja spytałem: „Co to znaczy?”, a ty mówiłaś o tym, że jeśli mam zamiar żyć zupełnie sam, to mógłbym właściwie w ogóle zupełnie nie żyć. Nie pamiętam dokładnie, jak to sformułowałaś. Masz ten zwariowany sposób mówienia rzeczy, które nie mają w sobie ani ociupinki logiki, lecz zawsze mają sens. Powiedziałaś, że bym wyobraził sobie, jak siedzę w swej wieży z kości słoniowej, patrzę przez mikroskop, notuję to, co znalazłem, i wysyłam od czasu do czasu małe obwieszczenia o tym, co robię i jak się czuję. I że nie będę zdziwiony, jeśli nikogo to ani trochę nie zainteresuje. Powiedziałaś, że muszę żyć między ludźmi, że bez względu na to, jak bardzo będę się starał, nie ucieknę od tego. I że nie mogę wdrapać się na drzewo i postanowić, że zapoczątkuję swój własny gatunek. Ale myliłaś się, Jessico. Można uciec od ludzi. Spójrz na nas. - W jego głosie brzmiała gorycz. - Spójrz na mnie - rzekł cicho.

Spojrzał na swe odbicie i przestraszył się. Wyglądał staro. Gorzej - wyglądał na nieco szalonego. Odwrócił się szybko, z oczami pełnymi

łez.

- Nie jesteśmy naprawdę odcięci - rzekła łagodnie. - Nie, dopóki jesteśmy razem.

- Tak - odparł, lecz wciąż czuł się na uboczu.

Jego poczucie przynależności do ludzkości malało wraz z przemijającymi miesiącami. Nie wykonywał żadnych funkcji, które by uznał za szczególnie ludzkie. Odczytywał wskazania mierników i naciskał guziki. Ale mogły to robić maszyny, można było wytresować do tego zwierzęta. Czuł się niepotrzebny jak zepsuta część kartofla, odcięta i wyrzucona.

Jessica nie dopuściła, by jego depresja przemieniła się w szaleństwo. Był znacznie wrażliwszy od niej na skutki izolacji. Ich praca podtrzymywała Jessicę, lecz według jej męża tylko podkreślała daremność ich wysiłków.



- Miewam dziwne myśli, Jessico - wyznał jej w dziesiątym roku podróży. - Od czasu do czasu przychodzą mi do głowy. Początkowo zupełnie nie zwracałem na nie uwagi. Potem zacząłem, ale wystarczyła chwila, a już wiedziałem, że to myśli idiotyczne.

- Jakie myśli? - spytała.

Przygotowywali lądownik, który miał ich zabrać na duży, czerwony świat. Gillette sprawdził oba skafandry ciśnieniowe i umieścił je na pokładzie.

- Czasami wydaje mi się, że nigdzie indziej nie ma żadnych ludzi, że to wszystko płód mojej wyobraźni. Że nigdy nie przybyliśmy z Ziemi, że dom i wszystko, co sobie przypominam, to tylko złudzenia i fałszywe wspomnienia. Tak jak gdybyśmy zawsze byli na tym statku,

przez całą wieczność, i że jesteśmy absolutnie sami w tym całym wszechświecie.

Mówiąc to, ścisnął ciężkie drzwi śluzы powietrznej lądownika, aż zbieleły mu knykcie. Czuł, jak serce mu przyspiesza, usta wysychają, i wiedział, że za chwilę chwyci go następny atak trwogi.

- Wszystko w porządku, Leslie - uspokajała go Jessica. - Myśl o czasach, które spędziliśmy razem w domu. To nie może być kłamstwo.

Oczy Gillette'a rozwarły się szerzej. Przez moment miał trudności z oddychaniem.

- Tak - szepnął - to może być kłamstwo. Ty też możesz być halucynacją.

A widząc, dokąd prowadzi go jego niedomagający umysł, zaczął łkać.

Jessica trzymała go w uścisku, gdy atak przybierał na sile, i potem, gdy już słabł. Po kilku chwilach Gillette odzyskał swój zwykły, rozsądny wygląd.

- Ta wyprawa jest znacznie cięższa, niż przewidywałem - szepnął. Jessica pocałowała go w policzek.

- Po tych wszystkich latach musimy być przygotowani na pewne problemy - rzekła. - Nigdy nie planowaliśmy, że potrwa to aż tak długo.

Układ, w którym się znaleźli, złożony był z następnej gwiazdy typu M i dwunastu planet.

- Mnóstwo pracy - stwierdził, rozjaśniając się nieco. - Powinno nam to zająć parę tygodni. To lepsze niż spadanie przez zeroprzestrzeń.

- Tak, kochanie - odpowiedziała. - Czy wymyśliłeś już nazwy?

Wynajdywanie nowych nazw dla wszystkich gwiazd i ich satelitów stało się najbardziej żmudną częścią misji. Po ośmiu

tysiącach układów wyczerpali całe zasoby mitologiczne, historyczne i geograficzne, wszystkie słowa, jakie pamiętali. Teraz każde z nich kolejno proponowało nazwy, upamiętniając graczy baseballu, pisarzy i gwiazdy filmowe.

Mieli zamiar zbadać pustynny świat, który nazwali Rick, od bohatera „Casablanki”. Choć było nieprawdopodobne, że będzie nadawał się do życia, czuli potrzebę zbadania go osobiście, po prostu na wszelki wypadek, a nuż, a widelec, jak mawiała matka Gillette’a.

To wspomnienie zmusiło go do chwili refleksji. Spokojnie się uśmiechnął. Od lat powiedzonko to nie przychodziło mu do głowy. Tamto załamanie było punktem krytycznym w podróży. Nigdy więcej, gdy była z nim Jessica, nie zbliżył się tak bardzo do utraty władz umysłowych. Tulił się do żony i do swoich wspomnień, jak do tarczy przeciw zimnym, niszczącym siłom rozległej pustki kosmosu.

Jeszcze raz lata przemknęły obok. Przeszłość rozmyła się w nieczytelną mgiełkę, przyszłość nie istniała. Życie w teraźniejszości stanowiło dla Gillette’ów zbawienie i przekleństwo zarazem. Czas mijał im na procedurach i niezmiennych obowiązkach, nie bardziej żmudnych niż te, które znali na Ziemi, ale również nie bardziej ekscytujących.

Gdy zbliżał się dwudziesty rok ich wspólnej wyprawy, Gillette przeżył tragedię. Na nienazwanym świecie, setki lat świetlnych od Ziemi, na skalistym wzgórku nad jałową piaskowcową doliną, Jessica zmarła. Pochyliła się, by pobrać próbkę gleby - zużyty szew w jej skafandrze ciśnieniowym pękł, ostrzegająco zasyczały gazy, przechodzące przez podbicie do wnętrza skafandra. I padła na kamienisty grunt martwa. Mąż patrzył, jak umiera, niezdolny do udzielenia jakiegokolwiek pomocy - tak szybko zabiła ją trucizna. Siedział przy niej, kiedy dzień planetarny zmienił się w noc, i przez długie, zimne godziny, aż do świtu.

Pochował ją na tym świecie, któremu nadał imię Jessica, i pozostawił ją tam na zawsze. Umieścił bramę transmisyjną na orbicie planety, skończył przegląd reszty układu i skierował się ku następnej gwiazdzie. Pograżony w żalu, przez wiele dni nie opuszczał łóżka.

Pewnego ranka Benny, kotek, wdrapał się na górę i położył tuż przy nim. Zwierzę nie dostawało jedzenia prawie przez tydzień.

- Benny - powiedział cicho samotny mężczyzna. - Chciałbym, żebyś zdał sobie z czegoś sprawę. Nie możemy powrócić do domu. Gdybym w tej sekundzie zawrócił statek i pędził do domu cały czas przez zeroprzestrzeń, zabrałoby to dwadzieścia lat. Gdybym nawet dożył chwili, gdy dotrzemy do Ziemi, miałbym ponad siedemdziesiątkę. A nie spodziewam się, bym żył tak długo.

Odtąd wykonywał swe obowiązki mechanicznie, bez tego entuzjazmu, jaki kiedyś dzielił z Jessicą. Nie miał innego wyboru prócz kontynuowania podróży i robił to, lecz samotność towarzyszyła mu jak cień śmierci.

Przestudiował swe wyniki i postanowił wysunąć próbną hipotezę roboczą.

- To niezwykle dane, Benny - stwierdził. - Musi istnieć jakieś proste wyjaśnienie. Jessica zawsze utrzymywała, że być może w ogóle nie ma żadnego wyjaśnienia, ale jestem pewien, że musi ono istnieć. Gdzieś, za tym wszystkim, musi kryć się jakieś znaczenie. Teraz mi powiedz, dlaczego nie znaleźliśmy Oznaki Numer Jeden życia na żadnym z tych dwudziestu kilku tysięcy zwiedzonych przez nas światów?

Benny nie miał w tym momencie wiele do zasugerowania. Śledził Gillette'a swymi wielkimi żółtymi oczami, a mężczyzna spacerował po pomieszczeniu.

- Przerabiałem już to wszystko - rzekł Gillette - i przychodziły mi do głowy teorie, ale nadzwyczaj trudno się z nimi pogodzić. Jessica

pomyślałaby, że już na pewno zwariowałem. Moi przyjaciele na Ziemi przeżyliby ciężkie chwile, zapoznając się z nimi. Ale w badaniach takich jak nasze przychodzi moment, w którym musisz odrzucić wszystkie spodziewane rezultaty i wniknąć głęboko w to, co się rzeczywiście uzyskało. Rozumiesz, nie tego chciałem. Jestem pewien, że oboje z Jessicą oczekiwaliśmy czegoś innego. Ale właśnie to się wydarzyło.

Gillette usiadł przy biurku. Wspomniął Jessicę i zebrało mu się na płacz. Pomyślał jednak, że poświęcił resztę swego życia ich wspólnemu marzeniu o znalezieniu odpowiedzi w jakimś, wciąż jeszcze nieodkrytym, układzie planetarnym. Poświęcił się, by dla niej zdobyć tę odpowiedź. Jednym z błogosławieństw podczas lat rozczarowań był fakt, że dane statystyczne dawały się tak łatwo zinterpretować. Nie potrzebował komputera do porządkowania informacji - miał do czynienia z jednym długim ciągiem zer. Nauka oparta jest na teoriach, myślał. Niektóre mogą być do końca niepotwierdzone, lecz są przyjmowane z powodu przytłaczających danych doświadczalnych. Na przykład może nie istnieć taka rzecz jak grawitacja; może rzeczy ciągle spadają w dół na skutek jakiegoś skandalicznego kaprysu statystyki. Teraz, w każdej chwili, mogą zacząć spadać i w górę, i w dół - losowo, jak monety upadające do góry orłem lub reszką. I wtedy Powszechne Prawo Ciężenia będzie trzeba poprawić.

To była pierwsza i najbezpieczniejsza część rozumowania. Następnie przyszło poczucie, że istniało jedno decydujące zjawisko, mogące wyjaśnić ten paraliżujący ciąg planet pozbawionych życia.

- Tak naprawdę nie chcę o tym na razie myśleć - przemówił cicho do ducha Jessiki. - Może w przyszłym tygodniu. Myślę, że najpierw odwiedzimy jeszcze parę układów.

Tak też uczynił. Dookoła gwiazdy klasy M krążyło siedem planet,

potem była gwiazda klasy G z jedenastoma i klasy K z czternastoma. Wszystkie światy miały kratery po kosmicznych zderzeniach i zapadliska, wygładzone napływem lawy. Gillette zwiedził trzy układy.

- Trzydzieści dwie planety - rzekł, trzymając Benny'ego na kolanach. - Ile to daje w sumie? - Benny nie wiedział.

Gillette z nikim nie mógł omówić tego zagadnienia. Nie mógł poradzić się naukowców na Ziemi; nawet Jessica była dla niego stracona. Miał jedynie swego cierpliwego, szarego kota, po którym nie można było oczekiwać wielu subtelnych analiz.

- Czy zauważyłeś - spytał człowiek - że im bardziej oddalamy się od Ziemi, tym bardziej jednorodnie wygląda wszechświat? - Jeśli nawet Benny nie rozumiał słowa „jednorodny”, to nie dał tego po sobie poznać. - Jedyłą nienaturalną rzeczą, jaką widzieliśmy w ciągu tych wszystkich lat, była sama Ziemia. Życie na Ziemi jest jedynym, naprawdę odbiegającym od normy zjawiskiem, jakiego byliśmy świadkami w ciągu dwudziestu lat eksploracji. Co to, według ciebie, może znaczyć?

Na tym etapie rozważań nie oznaczało to dla Benny'ego nic, lecz zaczęło coś znaczyć dla Gillette'a. Wzruszył ramionami.

- Wszyscy moi przyjaciele odrzucali możliwość, że Ziemia może być sama we wszechświecie, że nigdzie, w nieskończonych obszarach wszechświata, może nie istnieć nic żywego. Oczywiście, spośród tych nieskończonych obszarów niewiele zbadaliśmy, lecz zero otrzymane dla wszystkich dwudziestu trzech tysięcy oznacza, że dzieje się coś niezwykłego.

Kiedy dwie dekady temu Gillette'owie opuszczali Ziemię, większość naukowców utrzymywała, że gdzieś tam musi być życie, mimo że nie było na to żadnych bezpośrednich czy pośrednich dowodów. Musiało być życie - należało się tylko na nie natknąć.

Gillette spojrział na stary wzór, nadal wiszący tam, gdzie wisiał przez całą podróż. Jeśli jeden z tych czynników jest równy zeru, myślał, wtedy cały iloczyn jest zerem. Który to może być czynnik? Nie miał najmniejszej wskazówki, ale akurat to pytanie stawało się dla Gillette'a coraz mniej ważne.



W końcu nadszedł ten moment: Rok 30. A on wciąż leciał od Ziemi. Koniec życia Gillette'a znajdował się gdzieś tam, w czarnej ciszy. Ziemia zmieniła się w blade wspomnienie, mniej teraz realne niż sen z ubiegłej nocy. Benny stał się starym kotem, wkrótce umrze tak jak Jessica i Gillette zostanie zupełnie sam. Nie lubił o tym myśleć, lecz myśl o tym ciągle powracała.

Ale równie często rodziła się inna myśl. Wiedział, że to myśl irracjonalna, coś, co wykpiwał trzydzieści lat temu. Naukowe podejście kazało mu badać idee stałym, zimnym światłem rozumu, lecz ta nowa koncepcja nie utrzyma się przy takim mechanicznym oglądzie.

Zaczął myśleć, że może Ziemia jest jedyna we wszechświecie, jedyna z miliardów planet pobłogosławiona życiem.

- Muszę znowu przyznać, że nie przeszukałem nawet znaczącej części wszystkich światów w galaktyce - powiedział, jakby bronił przed Jessicą swego stanowiska. - Byłbym jednak głupcem, gdybym zignorował trzydzieści lat doświadczeń. Co to oznacza, gdy mówię, że tylko na Ziemi jest życie? To nie jest stwierdzenie naukowe ani matematyczne. Statystyka wymagałaby istnienia innych światów z jakimiś formami życia. Ale co może przewyciężyć taki biologiczny imperatyw? - Cekał, aż Benny wysunie hipotezę. Kot okazywał

powściągliwość. - Tylko akt wiary - rzekł cicho Gillette.

Przerwał, myśląc, że może usłyszy trel, powątpiewający śmiech ducha Jessiki, lecz wokół panowała tylko brzęcząca, tykająca cisza statku.

- Pojedynczy akt stworzenia, na Ziemi - rzekł Gillette. - Czy wyobrażasz sobie, co by na to powiedzieli ci na uniwersytecie? Nie mógłbym się tam już w ogóle pokazać. Straciłbym całe zaufanie, jakim mnie obdarzali. Moja prenumerata „Science” zostałaby unieważniona. Odłączyłaby mnie lokalna kablówka.

Ale cóż innego mam myśleć? Gdyby któryś z tych ludzi spędził ostatnie trzydzieści lat w taki sposób jak my, doszedłby do takich samych wniosków. Niełatwo pogodziłem się z tą odpowiedzią. Wiesz o tym, Jessico. Nigdy nie pokładałem wiary w czymś, czego sam nie byłem świadkiem. Nie wierzyłem nawet w istnienie Jerzego Waszyngtona, nie mówiąc już o podstawowych zasadach. Lecz przychodzi taka chwila, gdy uczony musi zaakceptować najmniej atrakcyjne wyjaśnienie, skoro jedynie ono pasuje do faktów.

Gillette'owi było wszystko jedno, czy ma rację, czy nie i czy zbadał znaczącą liczbę światów, by urealnić swój wniosek. Musiał kolejno porzucić wszystkie swoje przesady i wykonać ostatni skok w wiarę. Coś, co wydawało mu się prawdą, poznał nie dzięki laboratoryjnym doświadczeniom, lecz dzięki impulsowi, jakiego nigdy wcześniej nie odczuwał.

Przez parę dni podobał mu się ten pomysł: życie zostało, z jakichś przyczyn, stworzone tylko na Ziemi i nigdzie indziej. Od tego momentu każda pozbawiona życia planeta, odkryta przez Gillette'a, stała się przykładem potwierdzającym jego hipotezę. Ale nagle, pewnej nocy, uświadomił sobie, na jak straszne przekleństwo się naraził. Jeśli Ziemia była jedynym schronieniem życia, dlaczego oddalał się wciąż od niej? Od Ziemi, gdzie również jego stworzono,

gdzie wyznaczono mu miejsce pobytu.

Co zrobił sobie - i Jessice?

- Moja bezstronność zawiodła mnie, kochanie - powiedział do niej, niepokieszony. - Gdybym mógł pozostać chłodny i obiektywny, przynajmniej zachowałbym spokój umysłu. Nigdy bym nie wiedział, na jakie potępienie skazałem nas oboje. Lecz nie potrafiłem; bezstronność była kłamstwem, od samego początku. Gdy tylko zaczęliśmy coś mierzyć, przeszkadzało nam to, że jesteśmy ludźmi. Nie mogliśmy biernie obserwować wszechświata, ponieważ żyjemy, jesteśmy ludźmi, myślimy i czujemy. Byliśmy więc skazani na poznanie w końcu prawdy i byliśmy przez nią skazani na cierpienie.

Żałował, że nie ma już z nim Jessiki, by go pocieszyła, tak jak czyniła to tyle razy. Już wcześniej czuł się izolowany, lecz nigdy nie było to takie dotkliwe. Teraz rozumiał ostateczne znaczenie alienacji - oddzielenia od swego świata i od siły, która go stworzyła. To nie jest jego miejsce. Jego miejsce było na Ziemi, pośród życia. Patrzył w okno i bezkresna czerń zdawała się wnikać do jego wnętrza, stapiając się z jego duchem i umysłem. W duszy czuł starszliwy chłód.

Na pewien czas Gillette został przez swe emocje pozbawiony zdolności działania. Gdy Jessica umarła, zdusił w sobie żal - nigdy właściwie nie pozwolił sobie na luksus odbycia żałoby. Teraz, wskutek nowych przekonań, strata żony uderzyła go z dodatkową siłą, mocniej niż kiedykolwiek przedtem. Pozwolił, by maszyny, wśród których żył, troszczyły się nie tylko o jego przetrwanie, ale by całkowicie przejęły sterowanie wyprawą. Obserwował, jak gwiazdy pałają w czerni, gdy statek wpadał w normalną przestrzeń. Gładził gęste, szare futro Benny'ego i wspominał wszystko, co w tak głupi sposób porzucił.

W istocie to właśnie Benny pozwolił przetrwać Gillette'owi ten okres. Między kolejnymi pieściami ręka człowieka zawisała w

powietrzu; Gillette doświadczył olśnienia, tego, co wschodni filozofowie nazywają *satori*, chwili czystej jak diament jasności. Intuicyjnie wiedział, że popełnił błąd, który doprowadził go do użalania się nad sobą. Jeśli życie zostało stworzone na Ziemi, wszystkie istoty żyjące były częścią tego stworzenia, bez względu na to, gdzie się znajdowały. Benny, szarowłosa kot, także był jego częścią, nawet zamknięty w tej mknącej wśród gwiazd blaszanej puszcze. Sam Gillette był jego częścią, gdziekolwiek by podróżował. Życie było tak samo obecne na statku kosmicznym, jak na Ziemi. To głupie ze strony Gillette'a, że myślał, iż kiedykolwiek mógł się od niego oddzielić - i właśnie to powtarzała mu zawsze Jessica.

- Benny! - rzekł Gillette, a po pomarszczonym policzku ściekała mu łza. Kot obserwował go łaskawie. Gillette czuł, jak zalewa go przyjemne ciepło, gdyż w końcu wyzwolił się ze swej samotności. - Wszystko to był tylko lęk przed śmiercią - szepnął. - Po prostu bałem się umierać. Nie uwierzyłbym w to! Myślałem, że jestem ponad tym wszystkim! Tak dobrze się od tego wyzwolić!

I kiedy spojrzał znów na obracające się gwiazdy, galaktyka nie wydała mu się już pusta i czarna, lecz żywa i pełna twórczej energii. Wiedział, że jego odczucia nie ulegną zachwianiu, nawet jeśli następny świat, który odwiedzi, okaże się bujnym, pełnym życia ogrodem - nie zmieni to nic ani na jotę, gdyż jego wiara nie opierała się już na liczbach i faktach, lecz na mocniejszym poczuciu w jego wnętrzu.

Nie miało to zupełnie żadnego znaczenia, dokąd zmierzał, jakie gwiazdy miał odwiedzić: bez względu na to, gdzie się udawał, rozumiał wreszcie, że kieruje się do domu.

Przełożyli Grażyna Grygiel i Piotr Staniewski